

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
W WIELKIEJ BRYTANII

TEKI HISTORYCZNE

NAKŁADEM TOWARZYSTWA

LONDYN

Nr. 1 — STYCZEŃ

1 9 4 8

Jan

8.01.494

SPIS RZECZY

I. ROZPRAWY:

M. Danilewiczowa „Straty wojenne bibliotek polskich”, str. 1. **J. Janowski** „Polska w zasięgu cywilizacji arabskiej” (IX—XI wiek)”, str. 27.

II. RECENZJE :

Latham R. „In Quest of Civilisation” (J. Wieniewski), str. 38. **Ogg D.** „Herbert Fisher” (A. F. Dygnas), str. 41. **Trevelyan G. M.** „History and the Reader” (A. F. Dygnas), str. 43. **Wojeński T.** „Historia literatury polskiej” (J. Żmigrodzki), str. 44. **Kawecka-Gryczowa A.** „Zarys dziejów piśmiennictwa polskiego w Prusach Wschodnich” (M. Danilewiczowa), str. 48. **Gerlach J.** „Chłopi w obronie Rzeczypospolitej” (W. Dziewanowski), str. 49. **Popiołek K.** „Trzecie powstanie śląskie” (E. Oppman), str. 51. **Chałasiński J.** „Społeczna genealogia inteligencji polskiej” (M. Kukiel), str. 54. **Lepszy K.** „Dzieje floty polskiej” (J. Unrug), str. 57. **Roczniki Historyczne** (M. Różycki), str. 60.

III. POLEMKA : (M. Kukiel i A. F. Dygnas), str. 62.

IV. KRONIKA : str. 65.

V. RESUMES : str. 67.

I. ROZPRAWY

Maria Danilewiczowa

STRATY WOJENNE BIBLIOTEK POLSKICH

Aczkolwiek od zakończenia działań wojennych upłynęły już z górą dwa lata, odtworzenie pełnego obrazu strat bibliotecznych jest nadal zadaniem niezmiernie trudnym. W Kraju nie opublikowano dotychczas wyników rejestracji zniszczeń, w oczekiwaniu — zdaje się — na wyniki szczegółowych ankiet i na zakończenie prac rewindykacyjnych, które do tragicznego bilansu strat przynieść mogą jeszcze pewne poprawki.

Autorka publikowanego obecnie zarysu miała przeto do dyspozycji materiał szczątkowy, rozproszony po czasopiśmie, ograniczony przy tym do publikacji, które do Londynu dotarły. W materiale tym, dość bogatym zresztą ilościowo, przeprowadzić należało dalszą selekcję, polegającą na odrzuceniu materiałów z drugiej ręki, przestarzałych i niepewnych. Najwięcej wiarogodnych danych dostarczyły sprawozdania biblioteczne, ogłaszane we wznowionym już w październiku 1945 r. miesięczniku „Bibliotekarz”, a opracowywane przez obecnych kierowników lub pracowników poszczególnych placówek, dające więc relacje z pierwszej ręki. W odtworzeniu ogólnego obrazu sytuacji walną pomocą były artykuły dra Mariana Łodyńskiego w „Przeglądzie Historycznym”, 1946 (str. 42—50) i dra Adama Lewaka w „Kwartalniku Historycznym”, 1946 (zesz. 3—4, str. 687—700). Pierwszy powojenny rocznik „Przeglądu Bibliotecznego” (1946) dorzucił do nich, wbrew przewidywaniom, niesłychanie mało. Ogólnie biorąc, końcowy okres okupacji niemieckiej, zwłaszcza drugie półrocze 1944 r. i przełom 1944/1945, trudniejsze były do opracowania od lat 1939—1943, t. j. od okresu, objętego szczegółowymi i doskonale opracowanymi sprawozdaniami Delegatury Rządu, które do Londynu docierały z zadziwiającą regularnością dzięki ofiarnej pracy autorów ich w Kraju i bohaterstwu kurierów, którzy z równym narażeniem życia w dostarczeniu ich współdziałali. Recenzja broszury mojej p. t. „The Libraries of Poland” (St. Andrews, 1943), ogłoszona przed kilku miesiącami w „Przeglądzie Bibliotecznym”, 1946 (str. 67—9) stwier-

dza, iż dysponowałam wówczas „dostatecznymi materiałami” i że „emigracyjne czynniki biblioteczne posiadały ściśle i dokładne dane”, dotyczące strat osobowych i rzeczowych bibliotek polskich.

Wydawało się nam wówczas, w czwartym roku drugiej wojny światowej, że dopełniła się już miara straszliwych zniszczeń, wywołanych bezpośrednimi skutkami działań wojennych, których ofiarą padły w r. 1939 zbiory rapperswilskie Biblioteki Narodowej, Centralna Biblioteka Wojskowa i Biblioteka Przędzieckich. Zdawaliśmy sobie w pełni sprawę z istotnego znaczenia niemieckich posunięć „reorganizacyjnych”, z zahamowania ruchu wydawniczego, z zagłady sieci bibliotek oświatowych a wynaturzenia prac nielicznych działających pod zarządem niemieckim bibliotek naukowych. Łudziliśmy się jednak, że zagładzie materialnej uszły księgozbiory naukowe warszawskie i poznańskie, uratowane w 1939 r. Łudziliśmy się, że w Polsce, która z chaosu wojennego się wyłoni, nie zabraknie Lwowa i Wilna, Krzemieńca i Łucka. Nie przypuszczaliśmy także, że żniwo śmierci zbierze plon tak obfity wśród przedstawicieli najbardziej chyba pokojowego zawodu.

Listy zmarłych, poległych i zamęczonych, ogłoszone dotychczas w „Bibliotekarzu” (paźdz. 1945 i czerwiec–lipiec 1946) obejmują 134 nazwiska. Większość — to dawni członkowie Związku Bibliotekarzy Polskich, liczącego w roku 1937 — 533 członków. Oznacza to, że z szeregów czynnych bibliotekarzy ubyłoby w latach wojennych około 25 proc. Do cyfry tej dorzucić należy sporą garść nazwisk dawnych pracowników bibliotecznych, którzy — z różnych powodów — po zakończeniu działań wojennych na dawne swe stanowiska nie powrócili.

Najsilniejszemu przerzedzeniu uległy szeregi starszej generacji bibliotekarzy. W listopadzie 1939 r. zmarł w wyniku przejść wrześnieowych Stefan Demby, pierwszy dyrektor i twórca Biblioteki Narodowej w Warszawie, wybitny znawca epoki pozytywistycznej i „Młodej Polski”, zbieracz i bibliofil. Wcześniej jeszcze, 29-go września 1939 r. zmarł na serce wieloletni dyrektor Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, dr Ludwik Bernacki, historyk literatury polskiej i teatru polskiego, wydawca szeregu najstarszych zabytków staropolszczyzny i doskonały znawca pisarzy stanisławowskich. 2-go października 1940 zmarł na wygnaniu w Kazachstanie dr Rudolf Kotula, zasłużony

dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej i Biblioteki Baworowskich we Lwowie. W listopadzie 1940 r. zmarł w Krakowie emerytowany dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, prof. dr Fryderyk Papée, historyk wielkiej miary. W obozach koncentracyjnych niemieckich zakończyli męczeńsko życie: prof. dr Stanisław Estreicher, kontynuator „Bibliografii Polskiej” swego wielkiego Ojca, hr. Edward Krasiński, kurator Biblioteki Ordynacji Krasińskich w Warszawie i dr Stefan Rygiel, b. dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Wilnie a następnie Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. W czasie powstania warszawskiego zaginęli: prof. dr Zygmunt Batowski, b. dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie i długoletni jej opiekun z ramienia władz uniwersyteckich i Faustyn Czerwijowski, emerytowany dyrektor Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy, najwybitniejszy polski bibliotekarz oświatowy, człowiek wielkiego serca i wielkich zasług. Przedwczesna śmierć dra Zygmunta Mocarskiego, dyrektora Książnicy Miejskiej im. M. Kopernika w Toruniu, była skutkiem pierwszej zimy wojennej, przeżytej w nieopalanym mieszkaniu warszawskim.

Ofiarą trudnych warunków życia pod okupacją padli ponadto dwaj wybitni przedstawiciele młodszego pokolenia bibliotekarskiego: dr. Kazimierz Piekarski, kustosz Działu Starych Druków Biblioteki Narodowej w Warszawie (zm. 5. II. 1944 w Łowiczu) i dr Kazimierz Tyszkowski, kustosz Działu Rękopisów Biblioteki Zakł. Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie (zm. 25. IV. 1940). Los zaginionych w Rosji oficerów polskich podzielił dr Karol Piotrowicz, dyrektor Biblioteki Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, czynny i zasłużony członek Rady Związku Bibliotekarzy. W obozie koncentracyjnym w Majdanku zginął w r. 1943 bibliotekarz Biblioteki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Antoni Stolarski, który duże zasługi położył w pracy społecznej na terenie Związku Bibliotekarzy Polskich.

Do bibliotecznych strat osobowych dodać ponadto należy kilka przynajmniej nazwisk najwybitniejszych bibliofilów, zmarłych w czasie wojny. Odeszli więc na zawsze: Franciszek Biesiadecki, biskup Stanisław Okoniewski, Stefan Komornicki. Po raz drugi wspomnieć tu trzeba nazwisko nieodżałowanego Kazimierza Piekarskiego.

Na długą listę zmarłych z innego jeszcze spojrzeń można punktu widzenia. Ograniczę się do cyfr. I tak; z perso-

nelu Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy odeszło na zawsze osób 20, z Biblioteki Narodowej — 16, z Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie — 8. Dla osób, znajdujących stosunki biblioteczne lwowskie zacytuję dla odmiany kilka nazwisk: zabrakło tam na raz Ludwika Bernackiego, Kazimierza Tyszkowskiego, Władysława Tadeusza Wislockiego, Rudolfa Kotuli i Eustachego Gaberlego.

Jedni polegli bohatersko na polu walki, inni w obozach niemieckich i sowieckich, jeszcze inni — po prostu na gruźlicę czy z braku insuliny, czy wreszcie od zbłąkanej, na wiwat może wystrzelonej kuli żołdaka sowieckiego na ulicach Warszawy. Nie wiem jednak, czy znalazłoby się na tej liście więcej, niż kilka nazwisk osób zmarłych śmiercią naturalną w przedwojennym znaczeniu tych słów.

Od rozważań o ludziach przechodzę do próby podsumowania strat w zakresie mienia bibliotecznego. Sięgają one niezmiernie głęboko i nie ograniczają się do strat w materialnym tylko znaczeniu. Trafnie określiła je dawna redaktorka „Bibliotekarza”, mówiąc o „stratowanym do cna” polu pracy.

Z danych, ogłoszonych w tymże czasopiśmie w r. 1945 i 1946-ym wynika, że biblioteki polskie (naukowe i oświatowe) liczyły łącznie w r. 1939 około 21 milionów tomów. Składały się na to:

72 większe i duże biblioteki naukowe	ok. 6.900.000 t.
9411 bibliotek oświatowych	6.500.000 t.
25928 bibliotek szkolnych	7.600.000 t.
	<hr/>
	21.000.000 t.

W roku 1945-ym doliczono się zaledwie 6 milionów tomów, z czego 5 milionów przypadło na biblioteki naukowe, a zaledwie około miliona na biblioteki oświatowe i szkolne łącznie. Na znikomy odsetek książek ocalonych z pogromu tych bibliotek składają się egzemplarze zniszczone i przypadkowo dobrane, luźne tomy i t. p. Można więc mówić o zupełnym unicestwieniu dorobku przedwojennego bibliotekarstwa oświatowego w zakresie księgozbiorów i urządzeń bibliotecznych. Najdotkliwsze straty poniosły biblioteki na obszarze t. zw. ziem włączonych do Rzeszy i biblioteki kre-

Straty bibliotek naukowych, wyrażające się niższymi znacznie cyframi bezwzględными i proporcjonalnymi, oznaczają cięższe wyłomy, niżby, statystycznie tylko rzecz biorąc, być powinno. W wielu wypadkach o znaczeniu strat decyduje nie ilość, ale wartość i niepowtarzalność obiektów utraconych. Dotyczy to nie tylko rękopisów, inkunabułów, druków XVI—XVIII w., ale i pewnych zespołów druków nowszych, czasopism, opraw i t. p. Typowym przykładem jest tu utrata rękopiśmiennych i drukowanych materiałów do dziejów Wielkiej Emigracji ze zbiorów rapperswilskich, druków regionalnych wielkopolskich w Bibliotece Raczyńskich i t. p.

Wartość zbiorów utraconych, możliwych do odtworzenia, ocenia się w Polsce na 130 milionów złotych według wartości złotej w dniu 1 sierpnia 1939. Straty pozostałe oblicza się j. n.: 75.000 rękopisów, 200.000 druków zabytkowych, 25.000 map, 3000 atlasów, 300.000 obiektów graficznych, 30.000 fotografii zabytków, dzieł sztuki, portretów i t. p., 50.000 rękopisów muzycznych i nut.

Przy ocenie strat brać nadto należy pod uwagę geograficzne ich rozmieszczenie. Najciężej, pod każdym względem, dotknięta została Warszawa. Z danych, opublikowanych w Kraju, wynika, że na drugim miejscu wymienić należy Poznań. Niewiadomo jednak, w jakim stopniu ucierpiały księgozbiory wileńskie, lwowskie i ogólnie biorąc kresowe. Od Zachodu, a nawet od Kraju dzieli je jeszcze jedna nieprzenikniona zasłona.

Chronologia strat jest również sprawą bardzo skomplikowaną. Największe ich nasilenie wiąże się w pamięci wielu z nas z wrześniem 1939 i okresem powstania warszawskiego. Zbiory stołeczne niszczone były jednak najintensywniej już po ustaniu walk na przełomie 1944 i 1945, w przededniu kapitulacji Niemców. Wcześniej, poczynając od jesieni 1943 r., w okresach cięższych niepowodzeń na froncie wschodnim niemieckie władze biblioteczne zarządzały raz po raz pośpieszną ewakuację wartościowych zespołów druków i rękopisów. Przez cały czas okupacji ciągnęło się nadto stopniowe, powolne ale radykalne wyniszczanie zasobów książki polskiej w bibliotekach oświatowych, szkolnych i prywatnych, płatnych wypożyczalniach, księgarniach i antykwariatach. Na ziemiach zachodnich proces ten przebiegał najbrutalniej. W t. zw. Generalnej Gubernii zasoby książek nieskonfiskowanych ulegały zacytaniu wobec zupełnego zahamowania dopływu nowych wydawnictw.

We wschodnich województwach Rzeczypospolitej, kilkakrotnie zmieniających okupantów, przeciw książce polskiej sprzysięgły się — i sprzysięgają nadal — wszystkie moce piekielne. O sowieckiej gospodarce bibliotecznej na zagrabionych terenach mamy, niestety, skąpe tylko i chaotyczne informacje. Niemiecka omawiana była wielokrotnie i wyczerpująco w wydawnictwach polskich i angielskich.¹⁾ Odsyłając do nich, przechodzę bezpośrednio do zestawienia danych o losach poszczególnych księgozbiorów.

I. WARSZAWA

1. **Biblioteka Narodowa.** W momencie wybuchu wojny zbiory Biblioteki Narodowej mieściły się w trzech wynajętych lub wypożyczonych budynkach, t. j.: Bibliotece Szkoły Głównej Handlowej (Rakowiecka 6), Pałacu Potockich (Krak. Przedmieście 32) i Centralnej Bibliotece Wojskowej (Al. Ujazdowskie 1). Ta ostatnia spalona została niemal doszczętnie we wrześniu 1939, a z nią razem spłonęły stanowiące własność Biblioteki Narodowej **zbiory rapperswilskie**, a w szczególności prawie wszystkie druki emigracyjne z lat 1831—1918 (czasopisma i druki nieperiodyczne), polonica szwedzkie ze zbiorów Henryka Bukowskiego, nuty, mapy, i sztychy oraz (prawdopodobnie) zbiory materiałów rękopiśmiennych i graficznych, dotyczących Kościuszki, Kopernika i Mickiewicza. Pożar wrześniowy nie zniszczył jednak wyewakuowanych w sierpniu 1939 rękopisów rapperswilskich i batignolskich, objętych katalogami dra Adama Lewaka i dr. Heleny Więckowskiej²⁾. Dotrwały one do powstania warszawskiego. Ofiarą płomieni padły natomiast już wtedy liczne rękopisy, wchodzące w skład t. zw. Działu Rękopisów Nowszych Biblioteki Narodowej, a pochodzące z zakupów i darów. Obejmowały one m. i. archiwa gospodarcze Morykonich, Ponińskich, Zamoyskich (z Podzamcza), rękopisy ze zbiorów J. I. Kraszewskiego, ks. Ign. Polkowskiego, korespondencję Józefa Korzeniowskiego (powieściopisarza), Marii Konopnickiej, bardzo cenny zespół rękopisów Stanisława Wyspiańskiego, zbiór autografów i w. in.

Długoletni opiekun zbiorów rapperswilskich, dr Adam Lewak, pisze o dalszych losach części uratowanej w r. 1939,

¹⁾ Najlepiej w „The Nazi Kultur in Poland”, London 1945.

²⁾ „Katalog rękopisów Bibl. Rapperswilskiej”, t. I—III. Warszawa 1929—1938.

co następuje:¹⁾ „Co z Biblioteki Rapperswilskiej ocalało we wrześniu 1939 r., spłonęło w październiku 1944 r. na Okólniku 9 w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich . . . Fragmenty tego archiwum nie dochodzące do jednej dziesiątej dawnej zawartości wróciły do Warszawy z Goerbitsch pod Frankfurtem nad Odrą — autografy królów, pisma A. Mickiewicza i inne — w stanie najgorszym, zmieszane z pierzem i śmieciem, zwilgotniałe”. Spłonęły natomiast m. i. zbiory Leonarda Chodźki, Leleweliana, korespondencja Ludwika Mierosławskiego, Arch. Rządu Narodowego 1863/4, archiwum Towarzystwa Demokratycznego, archiwum Centralizacji, cenne pamiętniki i korespondencje emigrantów i w. in. Razem wzięte stanowiły one najpełniejszy i najwartościowszy zespół rękopisów do dziejów Wielkiej Emigracji i ruchów wolnościowych w w. XIX-ym. Zbiór ten, w pełni udostępniany w miarę ogłaszania katalogów, daleki był od wyzyskania i krył w sobie wiele straconych już dziś bezpowrotnie możliwości.

W wyniku „zabezpieczających” i „reorganizacyjnych” posunięć niemieckich władz bibliotecznych, ocalałe we wrześniu 1939 r. zbiory Biblioteki Narodowej z Rakowieckiej i Krakowskiego Przedmieścia uległy zupełnemu przetasowaniu. Po utworzeniu centralnej „Staatsbibliothek in Warschau”, obejmującej zbiory bibliotek: Narodowej, Uniwersyteckiej (łącznie z bibliotekami seminariów i zakładów), Krasińskich, ministerialnych i t. p., postanowiono wydzielić z Biblioteki Narodowej wszystkie druki obcojęzyczne (książki i czasopisma) i przenieść je do gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej, a polskie z Biblioteki Uniwersyteckiej do Biblioteki Narodowej (na Rakowiecką). Przemieszczenia te dotyczyły ok. 500.000 t. Przenoszono je chaotycznie, w zimie 1941 r., w okresie śniegów i śloty. W wyniku analogicznych zarządzeń rozdzielono między Bibliotekę Narodową i Bibliotekę Uniwersytecką druki nowsze Biblioteki Krasińskich. Do gmachu tej ostatniej zwieziono natomiast ze wszystkich bibliotek warszawskich t. zw. zbiory specjalne, t. j. inkunabuły i druki XVI—XVIII w., rękopisy, mapy, nuty, zbiory graficzne i t. p. W związku z tym uległ pełnej likwidacji oddział Biblioteki Narodowej w Pałacu Potockich, a przechowywane tam Załusciana (druki i rękopisy), teatra-

¹⁾ „Polskie biblioteki naukowe zniszczone w 1939/44 r.”, *Kwartalnik Historyczny*, LIII, 1946, str. 696.

lia (m. i. kilkutyśięczny zbiór rękopisów z Biblioteki Teatrów Miejskich m. st. Warszawy z XVIII—XX w.), muzykalia (m. in. autografy Chopin'a i Karola Szymanowskiego), Archiwum Fonograficzne, zbiory grafiki i fotografii, zbiory kartograficzne i t. p. znalazły się w Bibliotece Krasińskich „w wilgotnym i przez działania wojenne najbardziej zniszczonym magazynie... Scalenie to wykonano pośpiesznie, pod grozą wysłania opornych do fabryk amunicji, z jasnym dziś zamiarem wywiezienia tych cymeliów do Rzeszy”¹⁾.

W październiku 1944 r., po przymusowej ewakuacji ludności cywilnej Warszawy — gmach Biblioteki Krasińskich spalony został przez „Brandkommando”. Wcześniej, pod koniec września 1944 r. „oficer SS wywiózł z Okólnika 9, z Biblioteki Uniwersyteckiej i z Narodowej skrzynie, które mu się wydawały najcenniejsze, resztę pozostałą w gmachu Biblioteki Krasińskich, najmniej 99 proc. zgromadzonych tam skarbów spalono”²⁾. „W listopadzie 1944 r. — pisze dalej dr Lewak — komisja polsko-niemiecka, która na podstawie aktu kapitulacji Warszawy miała zabezpieczać majątek kulturalny, zastała u Krasińskich ledwie kilkaset niedopalonych nowszych książek. Rękopisy i książki na półkach były niewątpliwie polane materiałem palnym, gdyż część piwnicy ze skrzyniami i składy z gospodarczymi zapasami Biblioteki (szczotki, żarówki w papierowym opakowaniu i t. p.) ocalały, więc żar nie był bardzo silny, a tymczasem trudno palące się pergaminy, zakurzone i zawsze nieco wilgotne, stare rękopisy i książki, wypalone były zupełnie. Wokoło ścian stały półki żelazne, a na nich leżały warstwy popiołu. Po kolana brodziło się w delikatnym jasnym popiele z kart rękopisów, których już nikt nie odczyta, w popiele z rysunków i sztychów, których już nikt nie będzie oglądał”.

Gmach Biblioteki Ordynacji Krasińskich stał się więc ostatnim etapem wędrówki Biblioteki Żałuskich, wywiezionej do Rosji po rozbiorach, a rewindykowanej z Leningradu w wyniku postanowień Traktatu Ryskiego. Na zbiór ten składały się: cenne inkunabuły, catenata, kilkadziesią tysięcy druków polskich i obcych z XVI—XVIII w., rękopisy i zbiory graficzne. Cenne oprawy, exlibrisy, notatki proveniencyjne, glossy i t. p. zwiększały jeszcze znaczenie

¹⁾ A. Lewak, j. w., s. 696.

²⁾ j. w.

wspaniałego tego księgozbioru. Z opublikowanych dotychczas relacyj wynika, że w czasie pożaru gmachu Biblioteki Krasiańskich spłonęły nie tylko druki ale i rękopisy Biblioteki Załuskich i inne pomieszczone tam rękopisy Biblioteki Narodowej. Oznaczałoby to niewiarogodne wprost straty dla nauki polskiej, gdyż zbiór ten, liczący ponad 10.000 vol. zawierał:

1) cenną kolekcję rękopisów iluminowanych, francuskich, włoskich, polskich i in. ze zbiorów Załuskich i zbiorów wilanowskich, graduauy z klasztorów polskich i t. p.

2) zabytki staropolszczyzny. (Żywić należy nadzieję, że ocalały przynajmniej dwa najcenniejsze obiekty: Kazania Świętokrzyskie i Psalterz Floriański.¹

3) źródła i materiały historyczne, m. i. Rocznik Wielkopolski, wczesne odpisy kronik Kadłubka, Janka z Czarnkowa, historii Długosza, fragmenty archiwum rodzinnego Sobieskich i Żółkiewskich, korespondencja Chodkiewiczów, Radziwiłłów i Sapiehów z XVI—XVII w., diariusze sejmowe i t. d. Ze zbiorem Załuskich związane były — również z Rosji rewindykowane — luźne rękopisy, pochodzące z różnych zbiorów polskich m. in.: opisy statystyczne parafii polskich rz. katol. z XVIII w. (23 t.), materiały do dziejów szkolnictwa na przelomie XVIII/XIX w. i t. zw. „Teki Dąbrowskiego” (z biblioteki Tow. Przyjaciół Nauk Warszawskiego).

W jesieni 1947 obiegły Londyn pogłoski o rzekomym odnalezieniu części zbiorów Załuskich w zonie sowieckiej Niemiec. Uratowane obiekty, w pokaźnej jakoby ilości, wrócić mają do Warszawy drogą okólną via Prusy Wschodnie czy nawet Leningrad. Pogłoski te, oby prawdziwe, nie znalazły jednak dotąd wiarogodnego potwierdzenia.

Z zestawienia uzyskanych dotąd wiadomości wyłania się obraz niezmiernie tragiczny. W wyniku strat wojennych Biblioteka Narodowa utraciła najcenniejsze i najistotniejsze części swego księgozbioru, od starych druków i inkunabułów poczynając, na muzykaliach i teatraliach kończąc. Z t. zw. zbiorów specjalnych Biblioteki pozostały żałosne tylko resztki. Najmniej stosunkowo ucierpiały druki nowsze, ale i tu straty dochodzą do 25 proc.

2. Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie dwukrotnie — we wrześniu 1939 i podczas powstania warszawskie-

¹) Psalterz Floriański zakupiony był przez Rząd Polski około r. 1930.

go — cudem niemal uszła zniszczeniu, choć pastwą pożarów padły wszystkie niemal otaczające ją gmachy uniwersyteckie. W dziale druków straciła ona jedynie część książek, znajdujących się w chwili wybuchu wojny u czytelników, i prawie wszystkie dublety, zmagazynowane w podziemiach pałacu Staszica.

Zupełnej natomiast zagładzie uległy zbiory kartograficzne, muzykalia i rękopisy Biblioteki, przekazane na Okólnik 9 do centralnych zbiorów specjalnych. Wśród rękopisów znajdowały się bogate materiały do dziejów szkolnictwa polskiego w XVIII i XIX w., diariusze sejmowe, pisma rokoszowe, miscellanea z czasów wojen szwedzkich, silvae rerum.

Ze wspaniałego Gabinetu Rycin ocalały zaledwie szczątki. W lipcu 1945 r. powróciła do Warszawy mniej niż jedna trzecia: „część podarta, wiele podziurawionych, niemal wszystkie pobrudzone i zwilgotniałe”. Zniszczeniu uległa cała bogata biblioteka podręczna, ok. 40.000 sptychów, kolekcja rysunków ze zbiorów Potockich, ok. 10.000 rycin ze zbiorów polskiej grafiki nowoczesnej i t. d.

Niezmiernie ciężkie straty poniosły ponadto biblioteki seminaryjne i zakładowe Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1939/40 Niemcy wywieźli biblioteki Instytutu Fonetycznego, seminariów języków indoeuropejskich, Zakładów Fizyki Doświadczalnej i Chemii Organicznej. W czasie działań wojennych i okupacji ucierpiały szczególnie dotkliwie: seminaria filologii klasycznej i germanistyki, Instytut Wschodni, Zakłady Chemii i Farmacji.

Z księgozbiorów seminaryjnych, liczących ponad 150.000 t. ocalało łącznie mniej niż 120.000 t. Stratami pośrednimi są luki w ciągach czasopism, wywołane przerwaniem prenumerat, utrata kontaktu z ruchem wydawniczym światowych ośrodków naukowych i zahamowanie dopływu nowych wydawnictw.

3. Biblioteka Ordynacji Krasieńskich ucierpiała stosunkowo niewiele we wrześniu 1939 r. Przez krótki okres okupacji, w pierwszych latach wojny, była ona jedyną biblioteką naukową Warszawy, dostępną dla czytelników polskich. W r. 1941, po śmierci hr. Edwarda Krasieńskiego w niemieckim obozie koncentracyjnym, władze niemieckie rozpoczęły likwidację biblioteki. Druki polskie wydzielono i przekazano do Biblioteki Narodowej, obcojęzyczne — do Biblioteki Uniwersyteckiej. Ta część zbiorów ocalała

z niewielkimi stratami. W gmachu na Okólniku, spalonym w jesieni 1944 r., pozostały natomiast i zniszczeniu uległy: mapy (3000) i atlasy, zbiory graficzne (8000), stare druki ze zbiorów Konstantego Świdzińskiego i L. Górskiego (w tym liczne unikatki polskie XVI w.) oraz — niezmiernie cenny zbiór rękopisów, obejmujący m. in. korespondencję J. K. Chodkiewicza, archiwum J. Butlera, część archiwum Jana Kazimierza, kilkadziesiąt diariuszy sejmowych od 1505—1831 r., korespondencję Stanisława Augusta, archiwum celne (198 t.), rękopisy J. Słowackiego i Zyg. Krasieńskiego, bogate materiały do dziejów szkolnictwa polskiego, objęte katalogiem dr. M. Hornowskiej i w. in.

Zniszczeniu uległ ponadto gmach Biblioteki. W chwili obecnej nie istnieje ona, jako odrębna instytucja, a ocalone jej partie (druki nowsze) podzielone zostały między Bibliotekę Narodową i Bibliotekę Uniwersytecką.

4. Biblioteka Ordynacji Zamoyskich poniosła ciężkie straty już w czasie oblężenia Warszawy w r. 1939. 16-go września bomby lotnicze wzniciły pożar, którego ofiarą padła znaczna część muzeum, biblioteka podręczna i część druków nowszych. Zbiory ocalałe kilkakrotnie rabowane były przez oficerów SS i „Komisję zabezpieczającą mienie kulturalne Generalnej Gubernii”.

„W pierwszych dniach powstania — pisze Lewak¹⁾ — Niemcy opanowali teren Biblioteki i spalili około 100.000 starych druków, zbiory numizmatów, map, atlasów i rycin. Najstarsze rękopisy i najcenniejsze druki stare ocalały zabezpieczone w podziemiach. Stamtąd wywieziono je w listopadzie 1944 do Goerbitsch. Wrócili w maju 1945 r. w strzępach, fragmentach, nie więcej niż jedna dwudziesta dawnej kolekcji”. Chlubą zbiorów Biblioteki Zamoyskich były fragmenty biblioteki Zygmunta Augusta i bogaty zbiór dyplomów pergaminowych. Ocalały z nich drobne szczątki. Z cennych, cudem uratowanych obiektów wymienić natomiast należy kodeks tyński i odpis kroniki Galla z pocz. XIV w. Znajdują się one obecnie w Bibliotece Narodowej.

5. Biblioteka Ordynacji Przezdzieckich, ul. Foksal 6, zniszczona została na skutek wznieconego bombami pożaru we wrześniu 1939 r. Trzon biblioteki stanowiły księgozbiory Józefa Łepkowskiego, J. K. Gieysztora, archiwalia do dzie-

¹⁾ j. w., s. 691.

jów rodów polskich i litewskich, Ormian polskich i t. p. Zagładzie uległy ponadto materiały rękopiśmienne do dziejów legionów Dąbrowskiego, Sobieszciana, źródła do dziejów Inflanów i t. p. Reszty księgozbioru, przetrzebionego raz jeszcze w r. 1944, przewieziono do Częstochowy i Krakowa.

I ta także biblioteka istnieć przestała jako odrębna instytucja.

6. **Centralna Biblioteka Wojskowa** straciła w czasie pożaru we wrześniu 1939 r. około 250.000 t., w tym księgozbiory Szkoły Rycerskiej, Szkoły Aplikacyjnej, Korpusu Kadetów w Kaliszu, kolekcję najrzadszych polskich druków wojskowych od XVI w. do 1863 r., zbiory kartograficzne, materiały bibliograficzne i t. p. Ze zbiorów Centralnej Biblioteki Wojskowej ocalało jedynie 1959 t. W czasie okupacji przechowywano je w Bibliotece Narodowej.

7. **Biblioteka Publiczna m. st. Warszawy** niszczone była przez Niemców powoli i systematycznie. Etapami tej akcji było:¹⁾ „wycyfrowanie książek, redukcja personelu, likwidowanie placówek, zamknięcie biblioteki dla czytelników a wreszcie wywożenie zbiorów”. „Aktem końcowym (było) podpalenie magazynów w wigilię ucieczki: siedmopiętrowa konstrukcja, oparta na żelazie i betonie, metalowe półki wraz z książkami — wszystko runęło pod wpływem piekielnego żaru — ani jedna książka nie ocalała”. Zniszczeniu uległ nadto znaczny procent zbiorów, ewakuowanych z Warszawy w październiku 1945 r. Ocalały jednak: biblioteka podręczna, dział księgoznawstwa, inkunabuły i druki XVI w., znaczny procent rękopisów i książek z działu sztuki. Wśród uratowanych rękopisów na szczególną uwagę zasługują archiwalia Konfederacji Barskiej, akty Banku Polskiego (1832—1844), a wśród starych druków — dary Jakuba Potockiego z Helenowa, zbiory Zygmunta Glogera i Zygmunta Wolskiego.

Straty poniesione przez Bibliotekę Publiczną m. st. Warszawy (łącznie z placówkami) ujawniają się najdobitniej w następującym zestawieniu:

1939 — biblioteka centralna i 37 placówek	około 503.000 t.
1945 — biblioteka centralna i 10 ocalałych placówek	ok. 139.000 t.

¹⁾ Według artykułu J. Millerowej („Bibliotekarz”, paźdz. 1946).

II. KRAKÓW

1. **Biblioteka Jagiellońska** opieczętowana została i zamknięta dla publiczności w dniu 6 listopada 1939 r., pamiętnym ze słynnego „odczytu” SS-Obersturmfuehrera Muellerera, po którym nastąpiły masowe aresztowania profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. W połowie r. 1940 gmach biblioteczny na ul. św. Anny objęty został przez Institut fuer Deutsche Ostarbeit. W tymże okresie rozpoczęło się przenoszenie zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej do nowego gmachu, wykończonego w okresie okupacji, ale niemal gotowego do objęcia w momencie wybuchu wojny. „Okupanci uważali jednak — pisze H. Lipska¹ — że oni gmach wybudowali i dr Abb przyjmował z tej racji gratulacje bez zażenowania”.

Do nowego gmachu Biblioteki Jagiellońskiej, przemianowanej na Staatsbibliothek, zwieziono w czasie okupacji księgozbiory seminariów i zakładów uniwersyteckich oraz biblioteki: Polskiej Akademii Umiejętności, Akademii Górniczej, Akademii Handlowej, Akademii Sztuk Pięknych, Szkoły Nauk Politycznych, Centralną Bibliotekę Pedagogiczną, księgozbiór Potockich z Pałacu „Pod Baranami” i z Krzeszowic, bibliotekę Badenich z Radziechowa, biblioteki licznych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i t. p.

W r. 1944 Niemcy ewakuowali część zbiorów do Adelsdorfu (Adelina) na Dolnym Śląsku, skąd rewindykowano je z niewielkimi tylko stratami. Rękopisy, stare druki i cimele przechowywane były w schronach na Wawelu.

2. **Biblioteka Polskiej Akademii Umiejętności** przeniesiona z ul. Sławkowskiej 17 do nowego gmachu Biblioteki Jagiellońskiej, poniosła minimalne straty.

3. **Biblioteka Muzeum XX. Czartoryskich**²). Przed wybuchem wojny, w lecie 1939 r., ewakuowano do Sieniawy i zamurowano tam w skrytce najcenniejsze rękopisy iluminowane i kilka dyplomów pergaminowych, pozostawiając resztę na miejscu. Te ostatnie nie poniosły szkód wskutek działań wojennych, skrytka natomiast w Sieniawie od-

¹) Według artykułu H. Lipskiej („Bibliotekarz”, 1946, styczeń-luty). Dr Gustaw Abb, b. dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Berlinie pełnił z ramienia władz okupacyjnych obowiązki dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej i komisarza do spraw polskich bibliotek naukowych na obszarze Generalnej Gubernii.

²) Według artykułu Dra Karola Buczka („Bibliotekarz”, 1946, styczeń-luty).

naleziona została przez żołnierzy niemieckich i dotkliwie obrabowana. Ocalała część powróciła jednak do Biblioteki. Utraciła ona natomiast 62 rękopisy, w tym część tek Naruszewicza. Były one wypożyczone przed wrześniem 1939 r. do Warszawy.

Na zlecenie władz niemieckich biblioteka przekazała władzom miejskim m. Olkusza piętnaście dyplomów pergaminowych, dotyczących tego miasta, oraz siedem rękopisów ze zbioru Pstrokońskiego do Archiwum Miejskiego w Siemradzu.

III. LUBLIN.

1. **Biblioteka Uniwersytetu Katolickiego**¹⁾. Gmach bernardyński, w którym mieściła się Biblioteka, poniósł pewne szkody w czasie działań wojennych w r. 1939 i 1944, zbiory ocalały w 66 proc. W kwietniu 1944 były one przygotowywane do wywiezienia na rozkaz okupantów. Do ewakuacji jednak nie doszło.

2. **Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego**²⁾ liczyła ok. 32.000 t. i mieściła się w ukończonym na krótko przed wybuchem wojny gmachu Instytutu Lubelskiego. W budynku tym okupanci niemieccy zgromadzili około 500.000 t. z różnych bibliotek polskich. W ramach pośpiesznej ewakuacji wywieziono do Rzeszy cenniejsze druki niemieckie i bibliotekę podręczną: Straty Biblioteki im. Łopacińskiego są jednak stosunkowo niewielkie (ok. 7 proc. księgozbioru i ok. 400 rękopisów). W r. 1945—6 zwrócono prawym właścicielom zbiory przewiezione przez Niemców, z wyjątkiem Biblioteki Bobolanum (28.000 t.), której gmach zajęty był nadal (jesień 1946) przez szpital wojskowy. Do biblioteki włączono bibliotekę poklasztorną chełmską (8000 t.), obejmującą dawne biblioteki OO. Reformatów i Pijarów w Chełmie.

IV. ŁÓDŹ³⁾

Władze okupacyjne przeniosły księgozbiór Centralnej Biblioteki Publicznej z dawnego budynku przy ul. Andrzeja 14

1) Według artykułu Dra Andrzeja Wojtkowskiego (dawnego dyrektora Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu) w „Bibliotekarzu”, 1946, sierpień.

2) Według artykułu J. Rudniańskiej w „Bibliotekarzu”, 1946, sierpień.

3) Według artykułu Jana Augustyniaka, w „Bibliotekarzu”, 1945, list.—grudzień.

do niewykończonego nowego gmachu u zbiegu ulicy Gdańskiej i Kopernika. Zgromadzono tam wzorem innych miast, książki z licznych bibliotek polskich z miasta i okolicy. W okresie okupacji zbiór ten stopniał wskutek rabunków o 30 proc.

V. PŁOCK.

Biblioteka im. Zielińskich przy Towarzystwie Naukowym Płockim — wbrew pesymistycznej relacji Dra A. Lewaka w „Kwartalniku Historycznym” (1946, str. 693) wyszła niemal bez szkód z opresyj wojennych. „Inne biblioteki płockie — pisze p. M. Kieffer¹⁾ — zostały rozgromione np. Miejska Biblioteka im. Stefana Dembego lub spalony częściowo przez SS-owców księgozbiór Seminarium Duchownego. W Bibliotece im. Zielińskich zagnieździł się chyba jakiś dobry opiekuńczy duch: podobnie jak w czasie tamtej wojny, okupant uciekając bezładnie z Płocka w ostatnich dniach stycznia 1945 nie zdążył nic zniszczyć ani wywieźć”.

VI. ŚLĄSK.

1. **Katowice.** **Śląska Biblioteka Publiczna²⁾**, wywodząca się z Biblioteki Sejmu Śląskiego liczyła przed wojną około 100.000 t. W lecie 1939 r. ewakuowano część zbiorów do Lwowa, skąd powróciły w okresie okupacji niemieckiej. Biblioteka przemianowana została na oddział Landes-Bibliothek w Bytomiu. Towarzyszyła temu wymiana części zbiorów z kilkoma bibliotekami śląskimi. Pod koniec okupacji ewakuowano na Zachód znaczną część zbiorów. Wywołane tym straty wynoszą około 10 proc. dawnego księgozbioru.

2. **Cieszyn³⁾.** Zbiory naukowe Cieszyna skupione były przed wojną w zabytkowej kamienicy przy ul. Regera 6. Mieściły się tam: Biblioteka im. Z. Szersznika, zbiory J. I. Kraszewskiego, Bibl. Muzeum Miejskiego, Czytelni Ludowej i Cieszyńskiego Towarzystwa Ludoznawczego, obejmujące łącznie około 50.000 t. Władze okupacyjne obeszły się z bibliotekami cieszyńskimi brutalnie, przerzucając je z miejsca na miejsce i przegrupowując chaotycznie. Najcenniejsza część biblioteki im. Szersznika (inkunabuły i stare druki)

1) Według artykułu Marii Kieffer, „Bibliotekarz”, 1946, listopad—grudzień.

2) Według artykułu Józefa Mayera, „Bibliotekarz”, 1946, maj.

3) Według artykułu Ludwika Brożka, „Bibliotekarz”, 1946 maj.

ewakuowana pod koniec wojny na tereny Czechosłowacji do Cieszyna nie powróciła.

VII. WIELKOPOLSKA I POMORZE.

1. **Poznań**¹⁾. Biblioteki poznańskie przetrwały w stanie niemal nienaruszonym do dnia 13 grudnia 1939 r. W dniu tym władze niemieckie zarządziły konfiskatę ogólną bibliotek polskich na całym obszarze t. zw. Warthelandu. W poznańskim kościele św. Michała utworzono specjalną instytucję t. zw. Buchsammelstelle, do której przez cały ciąg okupacji zwożono biblioteki polskie z Poznania i Wielkopolski, Pomorza, Kujaw i dalszych jeszcze okolic. M. in. przewieziono tam bibliotekę Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (150.000 t.), bibliotekę Poznańskiej Akademii Handlowej, Centralną Bibliotekę Pedagogiczną Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego, biblioteki zakładowe Uniwersytetu Poznańskiego, Bibliotekę Archidiecezjalną (ok. 200.000 t.), biblioteki seminariów duchownych w Poznaniu, Gnieźnie i Włocławku i w. innych. Ogółem zgromadzono około 2.500.000 t. Kilkaset tysięcy tomów poszło z kolei na przebieg do papierni poznańskich, a dalszych kilkaset spłonęło w wyniku nalotu bombowego w dniu 29 maja 1944 r. Losy poszczególnych bibliotek poznańskich kształtowały się, jak następuje:

a) **Biblioteka Uniwersytecka**, niemczona intensywnie w czasie wojny, nie poniosła jednak wielkich strat w księgozbiorze. Frontowy gmach Biblioteki przy ul. Ratajczaka 6 ucierpiał poważnie w czasie walk o Poznań w styczniu i lutym 1945 r. Inkunabuły, rękopisy i t. p. znajdowały się w tym czasie w Smogulcu pod Wągrowcem. Przewieziono je z powrotem do Poznania w r. 1946.

b) **Biblioteka Raczyńskich** przestała istnieć i jako gmach i jako księgozbiór. Padła ona „ofiara barbarzyńskiego palenia” na krótko przed ustąpieniem okupantów niemieckich. Ze wspaniałych zbiorów ocalały jedynie drobne partie, ewakuowane dla zabezpieczenia przed nalotami. Znajdują się one obecnie w gmachu nowoutworzonej Biblioteki Publicznej m. Poznania, liczącej ogółem 12.000 t. Ocaleć więc musiało niewiele.

c) **Biblioteka Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół**

¹⁾ Według artykułu dra Jana Baumgarta, „Bibliotekarz”, 1946, kwiecień.

Nauk ocalała ze swych zasobów zaledwie połowę księgozbioru (ok. 80.000 t.). „Całe wewnętrzne urządzenie biblioteki zostało przez okupanta doszczętnie zniszczone”.

d) **Biblioteka Radziecka**, mieszcząca się w gmachu ratuszowym, stała się w całości pastwą płomieni, wzniesionych ręką okupanta, w zimie 1945 r. Losy jej podzielił księgozbiór Archiwum Państwowego (ok. 100.000 t.).

e) **Biblioteka Archidiecezjalna** straciła około 90 proc. swego dwustutysięcznego księgozbioru w czasie nalotu bombowego, który zniszczył część Buchsammelstelle w maju 1944 r. Ocalały jednak inkunabuły i cimelia wywiezione do Smogulca.

2. **K ó r n i k**. **Biblioteka Kórnicka** ocalała niemal w całości mimo bliskiego z Poznaniem sąsiedztwa. Uratowała się tam nadto część księgozbiorów zakładowych Uniwersytetu Poznańskiego, ewakuowana w czasie wojny.

3. **T o r u ń**. **Książnica Miejska im. Kopernika** poniosła stosunkowo niewielkie straty. Cimelia, ewakuowane w r. 1944 do Wyrzyska koło Marburga, powróciły do Torunia bez strat.

4. **B y d g o s z c z**¹⁾. **Biblioteka Miejska**, licząca przed wybuchem wojny ok. 136.000 t., była w pierwszych miesiącach okupacji przedmiotem szczególnie złośliwego pastwienia się Niemców. „Przetrzebili oni półkę za półką. Oddali ok. 25.500 t. na makulaturę do papierni bez żadnego odnotowania. W końcu wyeliminowali wszystkie książki polskie”. W r. 1944 rękopisy i stare druki Biblioteki wywiezione zostały przez okupantów do maj. Dębowo w pow. wyrzyskim. Tam w r. 1945 spłonęły. Straty Biblioteki w dziale polskim są więc bardzo poważne.

5. **P e l p l i n**. W czasie wojny zbiory poniosły stosunkowo niewielkie straty. W styczniu 1947 r. wybuchł jednak w Bibliotece pożar, którego ofiarą padło ok. 10.000 t. t. j. ok. 25 proc. księgozbioru. Biblia Gutenberga ocalała.

6. **G d y n i a**. **Młoda Biblioteka Publiczna** straciła w czasie okupacji ok. trzy czwarte księgozbioru, t. j. około 15.000 t. Spalone one zostały przez Niemców.

7. **G n i e z n o** — brak wiadomości.

¹⁾ Według artykułu Klary Sarnowskiej w „Bibliotekarzu”, paźdz. 1946.

VIII. ZIEMIE WSCHODNIE RZECZYPOSPOLITEJ.

Wiadomości o losach bibliotek kresowych są niezmiernie skąpe i niepewne. Prasa krajowa ogranicza się, ze zrozumiałych względów, do krótkich tylko notatek, oświetlających drobne fragmenty zagadnienia.

W r. 1939 na obszarach, położonych poza obecną linią rozbioru, znajdowało się 16 bibliotek naukowych o łącznym księgozbiorze około 1.500.000 t. oraz ok. 4.000.000 w bibliotekach oświatowych i szkolnych. „Jeżeli na stronę strat trzeba będzie wpisać książki z ostatnich dwu grup — czytamy w „Bibliotekarzu” (1946), to jednak dokończyć należy wszelkich starań, aby księgozbiory naukowe, będące świadectwem kultury, dorobkiem narodu polskiego, zostały temu narodowi zwrócone”.

Według danych, opublikowanych tamże, najważniejsze księgozbiory lwowskie i wileńskie obejmowały w r. 1939:

Lwów:

Biblioteka Uniwersytecka: 369.000 vol., 3900 rękopisów, 1100 map.

Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich: 298.000 t., 13.000 rękopisów, 2370 map.

Biblioteka Baworowskich: 40.000 t.

Biblioteka Dzieduszyckich: 48.000 t.

Wilno:

Biblioteka Uniwersytecka: 377.000 t. i 12.000 rękopisów.

Biblioteka Wróblewskich: 122.000 t.

Biblioteka Publiczna im. T. Zana: 15.000 t.

Ze wzmianek prasowych i relacji ustnych wiadomo, że gmach Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie, uszkodzony w czasie nalotów, przez kilkanaście tygodni pozostawał bez dachu w czasie uporczywych deszczów — i że gmach Ossolineum ucierpiał poważnie w czasie bombardowań. Wileńska Biblioteka im. T. Zana spalona została przez ustępujące wojska niemieckie. O bibliotekach wołyńskich (Łuck i Krzemieniec) nic w ogóle nie wiadomo.

O zbiorach, wypełniających mury Ossolineum, uniwersyteckie gmachy Lwowa i Wilna, czy wreszcie salę kolumnową Liceum Krzemienieckiego nie można myśleć, jak o przedmiotach martwych. Przeżywają one — jak ludzie — ciąg najstraszliwszych udręczeń, upokorzeń i krzywdy.

Świecą, jak kościotrupy pustymi żebrami pól, z pogardą patrzą na kolejne: rosyjskie, niemieckie, ukraińskie, litewskie szyldy z narzuconymi siłą nazwami, sprzyjają wiatrom i ulewom, które na jaw wydostają przekornie dawne wielkie imiona. Czy można zgłębić Ossolineum? Czy można zabić Krzemieniec? Czy Wilno może przestać być miastem Lelewela, Mickiewicza i Słowackiego?

Czytamy dziś w prasie krajowej, że „Rząd Ukraińskiej Republiki Radzieckiej” wysłała **ze Lwowa do Polski** transporty mienia „rewindykowanego” z Ossolineum i że transporty te (oby zresztą jak największe) kieruje się do Wrocławia, do „przeniesionego” tam Uniwersytetu Jana Kazimierza. Uniwersytet Wileński przeniesiony został w analogiczny sposób do Torunia — głucho jednak o „rewindykacji” zbiorów Wszechnicy Batorowej, Wróblewskich i innych zbiorów wileńskich. Głucho także o Krzemieńcu, z którego uratowano jednak (w czasach okupacji niemieckiej) książki, rękopisy i pamiątki, zgromadzone w Liceum na wystawie Słowackiego w lecie 1939 r. Głucho o zbiorach łuckich. Głucho o losach czterech milionów książek ze szkolnych i oświatowych bibliotek kresowych. Utraty ich nie wynagrodzi na pewno 5000 t. ofiarowanych krakowskiemu TURowi przez Związek Patriotów Polskich we Lwowie!

Proces niszczenia polskiego mienia kulturalnego na ziemiach kresowych trwa nadal. O ile jednak o barbarzyństwach okupanta niemieckiego z oburzeniem pisała prasa wolnych krajów na obu półkulach, o tyle teraz — ku wiecznej hańbie naszych dni — nad sprawą steroryzowanych ziem kresowych zawisło głucho milczenie świata, pokrywające zażenowanie czy niemoc.

Na ziemiach zaś t. zw. wyzwolonych i na przyłączonych w r. 1945 ziemiach zachodnich w sytuacji bibliotek polskich dokonały się wielkie i głębokie przemiany. Dzięki ofiarnym, często bohaterskim, wysiłkom bibliotekarzy polskich większość placówek naukowych wznowiła swą działalność już w r. 1945. Co więcej: w pędzie do tworzenia nowych uczelni, nowych instytutów, nowych zakładów — narodził się szereg bibliotek, rozpoczynających byt swój w niezmiernie trudnych warunkach. Powstały więc biblioteki uniwersyteckie w Toruniu, Łodzi, Lublinie (druga!) i Wrocławiu, kilka nowych bibliotek wyższych szkół technicznych, agromonomicznych, handlowych, lekarskich i t. p., nie licząc bibliotek instytutowych, zakładowych, specjalnych (np. Centralna

Biblioteka Techniczna w Warszawie). Niektóre z nich, np. Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu czy Biblioteka Akademii Lekarskiej w Gdańsku, tworzono w oparciu o księgozbiory dawnych uczelni niemieckich — większość zaczynała jednak od szumnej nazwy i pięknych zamiarów.

Lata podziemnej pracy zostawiły po sobie bogaty plon pomysłów, planów i tęsknot. Dano im upust w żywiołowym pędzie do tworzenia, do odrabiania zaległości, do budowania od podstaw.

Realizacja planów natrafiała jednak często na trudne do przewyżczenia przeszkody. Zasoby biblioteczne Polski, ogółem wzięte, uległy poważnemu skurczeniu w wyniku strat wojennych, przetasowania zbiorów, zahamowania produkcji wydawniczej i odcięcia od świata. Statystyki biblioteczne z ostatnich dwu lat zdają się jednak mówić co innego. Z opublikowanych ostatnio danych wynika, że stan księgozbiorów czołowych bibliotek polskich uległ poważnemu zwiększeniu. Z najnowszego sprawozdania Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie wynika np., że w dn. 1. XII. 1946 r. liczyła ona 1.124.023 t. (w r. 1939 — około 875.000 t.) — podobne zjawiska występują w Bibl. Uniwersytetu Poznańskiego, Bibliotece Jagiellońskiej a nawet w Bibliotece Narodowej. Na osobliwy ten stan rzeczy składa się wiele przyczyn.

Przypomnieć więc warto przede wszystkim, że okupanci w dążeniu do niemczenia bibliotek polskich nie żalowali trudu i pieniędzy na zwiększenie i wzbogacenie działów niemieckich w Staatsbibliotheken na obszarze Gen. Gubernii i w bibliotekach ziem t. zw. przyłączonych do Rzeszy. Z artykułu H. Lipskiej¹⁾ o Bibliotece Jagiellońskiej wynika np., że w latach 1941—3 zbiory powiększyły się o 31562 t. głównie z zakupów dzieł w jęz. niemieckim. Uzupełniano intensywnie dział czasopism naukowych niemieckich. Dr Abb, niemiecki zarządca Biblioteki Jagiellońskiej, zakupił nawet w r. 1942 od E. de Ganche'a zbiór cennych pamiątek po Chopinie. Ze sprawozdań bibliotek wielkopolskich i śląskich wynika również, że zbiory ich zwiększyły się w czasie okupacji w dziale książek niemieckich. Książki o trwałej wartości naukowej stanowiły znaczny procent tych nabytków.

Dalszym źródłem nowych nabytków bibliotecznych były t. zw. zbiory „poniemieckie”. Termin ten, niezbyt szczęśli-

¹⁾ „Bibliotekarz”, styczeń—luty 1946.

wie ukuty, używany jest potocznie w krajowej prasie bibliotecznej. Oznacza się nim biblioteki niemieckich instytucyj naukowych, wojskowych i cywilnych tudzież biblioteki prywatne, pozostawione przez okupantów podczas odwrotu i księgozbiory opuszczone przez Niemców, przesiedlanych do Rzeszy. Ze źródeł tych uzyskano dotychczas około 3.5 miliona t. (w tym ok. 900.000 t. wartościowych dzieł naukowych). Cyfry ogólne osiągnąć mogą 5 milionów. Wśród bibliotekarzy polskich przeważa pogląd, że w księgozbiorach tych należy przeprowadzić podział na literaturę naukową i propagandową. Książki należące do pierwszej kategorii rozprowadzić należy równomiernie po księgozbiorach naukowych całej Polski, przeznaczając jednak pewien procent na wymianę zagraniczną. Literatura propagandowa nie zasługuje na przechowywanie w bibliotekach.

Cyfrą 3.5 miliona t. objęte są prawdopodobnie duże biblioteki naukowe uczelni niemieckich, biblioteki miejskie i t. p. „Bibliotekarz” przynosi szereg ciekawych wzmianek o ważniejszych spośród nich (Szczecin, Słupsk i t. d.). Najpoważniejszą z omówionych dotychczas jest niewątpliwie Biblioteka Miejska w Gdańsku, sięgająca końca XVI w. (zbiór markiza d’Oria). Liczyła ona w r. 1939—245.000 t., w tym około 50.000 t. druków XVI—XVIII w. Po wojnie doszukano się około połowy rękopisów i inkunabułów. Na zorganizowanej przez Dra M. Des Loges’a wystawie rękopisów i starodruków pokazano m. in. liczne dokumenty królewskie, rękopis Lutra, biblię kardynała Andrzeja Batorego, gedanensia, sztychy Falcka i t. d.

Trzecią kategorię nabytków stanowią t. zw. zbiory „zabezpieczone”. Nazwą tą obejmuje się zbiory opuszczone przez właścicieli wskutek działań wojennych, bezpieczeństwa, „z opuszczonych i porozbijanych mieszkań, niszczone na śniegu i wilgoci, rozkradane przez szabrowników”¹⁾). Zbiorów takich było b. wiele — zwłaszcza w Warszawie. W zimie 1945 r., po wyjściu Niemców ze stolicy, w dwu tylko dzielnicach (Żolibórz i Bielany) uratowano około 50.000 t. wartościowych dzieł naukowych (w tym księgozbiory prof. A. B. Dobrowolskiego, J. Dąbrowskiego (Grabca), Leona Wasilewskiego, Suchowiaka i w. in. „Książki zbierane były z zachowaniem danych o ich właścicielach — pisze J. Filip-

¹⁾ Według artykułu J. Filipkowskiej-Szemplińskiej w „Bibliotekarzu”, październik 1945.

kowska - Szemplińska. — Zarząd Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (która akcją opieki zorganizowała) stanął na stanowisku, iż należy zwracać właścicielom książki potrzebne im zawodowo, oraz książki „ulubione” czy pamiątkowe, zachowując pozostałe do dyspozycji tworzących się bibliotek publicznych”.

Obok księgozbiorów „zabezpieczonych” spotykamy odrębną jeszcze kategorię zbiorów prywatnych, przechodzących obecnie masowo do zbiorów publicznych. Stanowią ją t. zw. księgozbiory „podworskie”, objęte przez biblioteki państwowe „w związku z wykonaniem reformy rolnej” t. zn. po prostu zabrane b. właścicielom ziemskim przy wywłaszczaniu ich z majątków. Do stycznia 1946 uzyskano z tego źródła ok. 650.000 t. „Prawnicy są zdania — czytamy w „Bibliotekarzu”, styczeń—luty 1946 — że poprzedni właściciele nie utracili w stosunku do księgozbiorów, będących ich własnością, swego stanu posiadania. Wyrażają opinię, że tylko drogą wypłaty odszkodowania może Skarb Państwa przejąć je na własność. Jest to zagadnienie ważne z tego względu, że w niektórych bibliotekach podworskich znajdują się wartościowe partie książek, które powinny wejść, jako ogólnonarodowy dorobek do naszych bibliotek państwowych”. Z cytaty tej wynika jasno, że pewien przynajmniej odłam bibliotekarzy ze zmieszanymi uczuciami przyjmuje do bibliotek nowe nabytki tego właśnie pochodzenia.

Biblioteki ocalałe z pogromu stały się nadto w wielu wypadkach przytuliskiem zbiorów, zgromadzonych przez prywatnych zbieraczy, znawców i miłośników książki. Właściciele tych zbiorów nie mogą pozwolić już sobie w dobie obecnej, przy ciasnocie mieszkań i szczupłych zarobkach, na luksus utrzymania bibliotek. Oddają je przeto dobrowolnie do bibliotek naukowych w przekonaniu, że ocalały w ten sposób dorobek wieloletniej pracy i starań.

Wspomniałem wcześniej o poważnym skurczeniu się zasobów bibliotecznych Polski, ogółem wziętych — i o pozornym wzroście stanu posiadania wielkich bibliotek naukowych. Z analizy omówionych wyżej kategorii nowych nabytków wynika jednak, że — poza zbiorami „poniemieckimi” — mamy tu do czynienia raczej ze zmianą właścicieli, niż ze zwiększeniem ogólnopolskiego stanu posiadania. Zbiory „poniemieckie” są zaś niewątpliwie skromnym tylko ekwiwalentem strat poniesionych przez biblioteki polskie wskutek barbarzyństwa niemieckiego. W żadnym wypad-

ku nie zastąpią one nieodtworzalnych zabytków i drogich pamiątek narodowych.

Podsumowując bilans strat wspomnieć wreszcie należy o dotychczasowych rezultatach prac rewindykacyjnych i nadziejach, jakie z nimi wiązać można z myślą o przyszłości. Ze sprawozdań, opublikowanych w prasie krajowej, wynikać się zdaje, że prace te prowadzone są energicznie i fachowo. Na podstawie wiadomości zebranych przez personel polski, zatrudniony przez okupantów w bibliotekach naukowych, udało się ustalić, że największe i najcenniejsze transporty skierowane zostały do Goerbitsch koło Frankfurtu nad Odrą, do Adelsdorfu (Adelina) na Dolnym Śląsku oraz do Bruch (albo Wiednia). Część zbiorów, przeznaczonych do ewakuacji, utknęła w Pruszkowie i stamtąd powróciła do Warszawy. W całości niemal odzyskano zbiory wywiezione do Adelsdorfu. W Lignicy i Budziszynie odnaleziono ponadto dwa i pół wagona książek, wywiezionych z Biblioteki Polskiej w Paryżu. Powróciły one na Quai d'Orléans drogą okólną, via Warszawa, w lecie 1947 r. Tajemniczo natomiast przedstawia się sprawa zbiorów, wywiezionych do Goerbitsch. Z pięciu zdeponowanych tam wagonów do lata 1947 r. powróciła do Polski zawartość dwu. „W sprawie trzech wagonów — pisze „Bibliotekarz” I—II. 1946) — został powiadomiony ambasador polski w Moskwie, który ma wszcząć ich poszukiwania. Los tych książek jest o tyle niepewny, że nie jest nam znany ani oddział, który książki zabierał, ani miejsce ich skierowania. Były to przeważnie bezcenne zbiory, pochodzące z Biblioteki Załuskich”. Notatka ta dotyczy prawdopodobnie części t. zw. zbiorów specjalnych, wywiezionych z gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich na Okólniku po upadku powstania warszawskiego a przed spalaniem reszty zbiorów i budynku. Los owych tajemniczych trzech wagonów jest jednak dotychczas nieznanym. Pogłoski o odnalezieniu części Załuscianów, obiegające Londyn w jesieni 1947 r., mogą wiązać się w jakimś stopniu z tą sprawą.

Na zakończenie wspomnieć wypada o jednej jeszcze kategorii nowych nabytków bibliotek polskich, zbywanej drobnymi tylko wzmiankami w prasie krajowej. Do grupy tej należą pokaźne przecież i wartościowe dary amerykańskie i angielskie, gromadzone w okresie wojny przez American Library Association na terenie Stanów Zjednoczonych, a przez Conference of the Allied Ministers of Education

(Books and Periodicals Commission — inaczej zwana Komisją Sir Ernesta Barkera) w Wielkiej Brytanii. Przy gromadzeniu tych ostatnich współdziałał finansowo w latach 1943—5 Rząd Polski w Londynie. W wyniku akcji, prowadzonej zbiorowo przez emigracyjne rządy alianckie, zakupiono wówczas dla Polski 6 kompletów t. zw. „tysiąca najlepszych książek angielskich wydanych w okresie wojny” i znaczne ilości czasopism. Zbiory te, przekazane do bibliotek uniwersyteckich, politechnicznych i Biblioteki Narodowej wypełniły z górami sto skrzyń i na miejsce przeznaczenia dotarły. Zawierały one m. i. znaczne ilości wartościowych dzieł z zakresu nauk ścisłych, medycyny, prawa, ekonomii, historii i t. d. Z wielkiej składnicy książek starszych, zgromadzonych w Interallied Book Centre (pozostającym pod opieką Books and Periodicals Commission) przesłano do Polski ok. dwustu skrzyń wartościowych wydawnictw angielskich. O losach tego transportu niewiele wiadomo. Skrzynie zalegały pono do niedawna składy w Pomarańczarni Łazienkowskiej. Brak również wiadomości o cennych darach amerykańskich, przesłanych do Polski przez American Library Association. Pisze się natomiast wiele, zwłaszcza w prasie codziennej, o drobnych darach Biblioteki im. Lenina w Moskwie (2000 t. książek technicznych), biblioteczkach gminnych im. Związku Patriotów Polskich (sic) i t. p.

Normalne nabytki biblioteczne, pochodzące z celowych i przemyślanych zakupów, sprowadzone są natomiast do rozmiarów niemal mikroskopijnych. Dotacje bibliotek uniwersyteckich, przeznaczone na ten cel, przedstawiają po przeliczeniu na waluty obce równowartość kilkuset tomów czy prenumeraty kilkudziesięciu czasopism. Egzemplarz obowiązkowy przynosi niewiele i ilościowo i jakościowo. Sytuacja bibliotek naukowych jest przeto niezmiernie groźna — są one pozbawione możliwości normalnego uzupełniania zbiorów i sprowadzone do roli księżnic historycznych, służących gromadzeniu pamiątek przeszłości. Nie mogą, jak to się dzieje na Zachodzie — być bibliotekami żywymi, służącymi postępowi wiedzy i postęp ten ułatwiającymi.

Inaczej, lecz równie niebezpiecznie, układają się stosunki na odcinku bibliotek powszechnych. Z zadziwiającą łatwością udało się zrealizować szereg przedwojennych postulatów polskich działaczy oświatowych i bibliotecznych. W pierwszych dniach lutego 1945 r. powołano do życia Wy-

dział Bibliotek, w rok później przemianowany na Naczelną Dyrekcję Bibliotek. 31 stycznia 1946 r. warszawska Rada Ministrów uchwaliła dekret o bibliotekach, widząc w nich narzędzie prowadzenia przy ich pomocy „jednolitej działalności kulturalnej” na obszarze całego państwa. Sieć biblioteczna obejmuje biblioteki wszelkiego typu: naukowe, szkolne i powszechne. Dr Adam Łysakowski uważa, że odtąd „książka pełnić będzie służbę prawdziwie demokratyczną na przestrzeni od biblioteki uniwersyteckiej do gminnej” („Bibliotekarz”, styczeń—luty 1947). Dr J. Grycz sądzi również, że „uspołecznienie książki może w praktyce przyjąć różne formy, z uwzględnieniem demokratycznej zasady równouprawnienia wszystkich obywateli w starcie do oświaty i kultury” („Bibliotekarz”, paźdz. 1945).

Dekret o bibliotekach wszedł w życie 18. VI. 1946. Przewiduje on, w teorii przynajmniej — zorganizowanie na obszarze całego państwa sieci bibliotek powszechnych i zapewnienie im „wszelkich warunków rzetelnej i wydajnej pracy”. Związane z tym wydatki pokrywać mają zasadniczo związki samorządowe. W okresie jednak przejściowym „Skarb Państwa przyjął obowiązek pokrywania wydatków na samorządowe biblioteki powszechne”.

Po roku od daty ogłoszenia dekretu okazało się jednak, że brak jest środków na urzeczywistnienie pięknych planów. W budżecie państwa nie preliminowano odpowiednich sum. „Powstają fałszywe sytuacje — czytamy w „Bibliotekarzu” (maj—czerwiec 1947) — biblioteka nazywa się samorządowa, ale organizuje ją inspektor szkolny, prowadzi nauczyciel urlopowany od obowiązków w szkole; gdy skończy się urlop, zamkniemy bibliotekę. Szczupłe zasoby książek rozprasza się na mnóstwo małych, nieumiejętnie prowadzonych biblioteczek — nie powstają wielkie, zasobne biblioteki powszechne, jedynie zdolne w pełni zaspokoić potrzeby czytelników”.

W prasie krajowej nie omawia się zupełnie, ze względów zrozumiałych, innego niebezpieczeństwa, grożącego bibliotekom powszechnym: jest nim tendencyjny dobór książek, wynikający z ograniczenia swobody ruchu wydawniczego. Przedwojenne zasoby książek, nadających się do bibliotek powszechnych, uległy w czasie okupacji zniszczeniu lub zacytaniu. Półki biblioteczne zapełniane są przeto wyłącznie niemal nowymi wydawnictwami. Na skalę nieznaną dotąd w Polsce podjęto publikację masowych nakła-

dów beletrystyki i książek popularno-naukowych, które zaspokoić mają przede wszystkim potrzeby bibliotek. Państwowe przedsiębiorstwa wydawnicze z „Czytelnikiem” na czele pracują szybko i sprawnie — plon ich pracy przynosi jednak zadziwiająco mało zdrowego ziarna. Bibliotekom grozi zarzucenie utworami trzeciorzędnych autorów régime’owych i pismami pisarzy swoich i obcych, których uznaje się za prekursorów narzucanych dziś społeczeństwu poglądów. W tych warunkach zaopatrywane centralnie biblioteki, nolens volens, stawać się będą w stopniu co raz wyższym sługami régime’u i jego polityki wydawniczej.

Biblioteki polskie przeżywają dziś chmurny i trudny okres swej historii. Trwają jednak i wierzyć trzeba, że doczekają lepszych dni. Zasluga to — zwłaszcza w bibliotekach naukowych — ofiarnych ich pracowników, wiernie służących sprawie książki polskiej w dniach złej doli. Tych zwłaszcza, którzy do pracy stanęli po wojnie ze straszliwym ciężarem wspomnień z więzień i obozów, po utracie najbliższych im osób i dorobku całego życia.

Londyn, jesień 1947.

**POLSKA W ZASIĘGU CYWILIZACJI ARABSKIEJ
(IX—XI WIEK)**

(Z powodu nowego wydania Ibrahima Ibn Jakuba)

I.

Komisja Historyczna Polskiej Akademii Umiejętności wznowiła swoją działalność wydawniczą po wojnie pierwszym tomem nowej serii „*Monumenta Poloniae Historica*”, w którym Prof. T. Kowalski opublikował arabski tekst relacji Ibrahima Ibn Jakuba o krajach słowiańskich z końca X wieku wraz z jego polskim i łacińskim przekładem oraz obszernymi komentarzami (1).

Relacja ta, przechowana zresztą tylko w formie przekazu w dziele geografa arabskiego Al Bekri, znana była już od dawna naszym historykom z rosyjskiego i niemieckiego przekładu (2) i była przedmiotem wielu specjalnych rozpraw, zarówno w polskiej (3) jak i niemieckiej (4) literaturze historycznej, oraz podstawowym źródłem do rozważań dotyczących początków państwa polskiego (5). Należy więc przypuścić, że to nowe jej wydanie (a zwłaszcza doskonały przekład polski i komentarze) pozwolą uzupełnić dotychczasowe dociekania.

Przygotowując tekst arabski do druku — Prof. Kowalski nie zadowolił się dotychczasowymi jego wydaniem, ale zbadał wszystkie znane warianty rękopiśmienne dzieła Al-Bekri, by w ten sposób odtworzyć jak najbardziej dokładne brzmienie zachowanej w nim relacji Ibrahima. Równoległe z tym przeprowadził szczegółowe studia porównawcze nad arabską literaturą podróżniczo-geograficzną z końca pierwszego i początku drugiego millenium, co pozwoliło mu na ustalenie niektórych szczegółów dotyczących osoby samego autora owych relacji, którego zidentyfikował z podróżnikiem Jakubem, cytowanym przez geografów arabskich Quazwini i Himjari. W tej dziedzinie Prof. Kowalski prześcignął wszystko, co dotychczas napisano o Ibrahimie w nauce francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej.

Na relację Ibrahima, związłą co do treści, ale bogatą w szczegóły, składają się własne obserwacje i spostrzeżenia autora, poczynione w czasie podróży po krajach słowiańskich oraz zasłyszane o nich opowieści od osób trzecich.

Własne obserwacje są na ogół ściśle, choć niekiedy zbyt uproszczone; to, co pisze o życiu i obyczajach Słowian, nie nastrocza specjalnych trudności w zrozumieniu. Trudności te zaczynają się dopiero tam, gdzie wchodzi w grę bądź to wiadomości zasłyszane od osób trzecich, bądź też nazwy geograficzne: imiona miast i plemion, z którymi Ibrahim nie miał również bezpośredniej styczności. Tu jego znajomość Europy Wschodniej (podobnie jak i innych podróżników arabskich) stanowczo nie dopisała; to też podane w tej relacji nazwy geograficzne stanowią nielada trudność dla badacza.

Objaśnienia ich podjął się w r. 1878 orientalista rosyjski A. Kunik (wespół z W. Rozenem) a w dwadzieścia lat później inny jego rodak, F. Westberg (6). W komentarzach Prof. Kowalskiego nazwy geograficzne stanowią również główną, bodaj czy nie najważniejszą pozycję. Niektóre z nich są tego rodzaju, iż — z powodu całkowitego zniekształcenia — stanowczo nie dadzą się już „wyprostować”. Ponadto wiele faktów zostało Ibrahimowi błędnie podane. Do ich rzędu zaliczyć należy wiadomość o kraju amazonek, który miał istnieć rzekomo gdzieś na terenie Słowiańszczyzny, a o którym opowiedział mu pono sam cesarz Otto (str. 50 polskiego przekładu).

Wydaje się, iż wiadomość ta jest po prostu dalekim echem tego, co pisarze grecko-rzymscy zaobserwowali u Sarmatów, poprzedników (a zapewne i praocjów) Słowian na zamieszkałych przez nich po dziś dzień obszarach. Stwierdzili oni, iż zarówno w ich życiu rodzinnym jak i grupowym, przeważną rolę odgrywają kobiety, co tak dla Greków jak i dla Rzymian było osobliwością, gdyż u nich kobieta miała bardzo podrzędne znaczenie. Toteż Sarmaci zyskali sobie u Greków niezbyt zaszczytny przydomek „rządzeni przez kobiety”, a fakt ten, przez swoją osobliwość, przedostał się później i do pisarzy średniowiecznych i przerodził się w legendę, geograficznie związaną z krajem dawniej zamieszkałym przez Sarmatów (7).

Wiadomości geograficzne Ibrahima, mimo iż były dotychczas najważniejszym przedmiotem dociekań badaczy, nie stanowią jedynej wartości jego relacji. O wiele dokładniejsze wiadomości niż o rozsiedleniu przekazał on o życiu i obyczajach Słowian zachodnich.

Arabowie ówczesni mieli zamiłowanie do anegdotycznych opowieści z pogranicza fantazji i rzeczywistości, do czego

strona obyczajowa życia Słowian dostarczała im niemało materiału. Ta kongenialność faktów i zamilowania do ich rodzaju spowodowała, że podróżnicy i geografowie arabscy przechowali nam wiele cennego materiału społeczno-obyczajowego, o którym nie mamy wzmianek w ówczesnych źródłach łacińskich, odnoszących się do Polski i innych krajów zachodnio-słowiańskich.

W ich rzędzie Ibrahim Ibn Jakub zajmuje (acz Żyd, ale całkiem przesiąknięty kulturą arabską) niewątpliwie pierwsze, choć nie jedyne miejsce.

II.

Dotychczasowi badacze relacji Ibrahima a także i innych geografów, piszących o krajach słowiańskich (8) kładli główny nacisk w swych studiach na to, co ci autorowie zaobserwowali i przekazali nam o nich, pomijając prawie całkowicie fakt możliwości cywilizacyjnego oddziaływania świata arabskiego na Słowiańszczyznę.

Ówczesna cywilizacja arabska, ta która niewątpliwie przenikała do krajów słowiańskich, była *sui generis* cywilizacją, którą byśmy dziś nazwali zachodnio-europejską, nie tylko ze względu na swoje siedlisko (Hiszpania), ale także i ze względów na szereg elementów kulturowych, przejętych z cywilizacji grecko-rzymskiej, oraz na etniczne pomieszanie się elementu arabskiego (semicki) z europejskim, co niezawodnie też oddziaływało na jej charakter.

Ponadto cywilizacja ta, za emiratu Omayyadów, przeżywała wówczas swój najświetniejszy okres rozwoju. Ówczesna stolica emirów Cordova (a w pewnej mierze i cała Hiszpania arabska) była przez cały wiek IX i X ośrodkiem życia kulturalnego i cywilizacyjnego; w porównaniu do niego germańsko-romański „zachód” był jeszcze bardzo zgruba ciosany (9).

W parze z rozwojem każdej cywilizacji idzie zawsze ekspansja na kraje, nie tylko równe jej co do stopnia rozwoju, ale bardziej jeszcze na niższych szczeblach postępu, głównie poprzez wymianę dóbr materialnych. Rolę nosiciela dorobku materialnego cywilizacji odgrywał w tych czasach przede wszystkim kupiec, poszukujący rynków zbytu dla swych towarów oraz taniego źródła surowców.

Tą drogą, poprzez stare szlaki handlowe grecko-rzymskie,

docierały do Polski wytwory cywilizacji arabskiej, wymieniane za jej surowce oraz za niewolników, których Arabowie masowo importowali z krajów słowiańskich.

Na fakt bezpośredniego kontaktu pomiędzy Arabami z półwyspu pirenejskiego a Polską zwrócił uwagę — zdaje się pierwszy w naszej literaturze historycznej — Prof. A. Szelaḡowski (10). Problemu wpływów cywilizacyjnych dotknął jednak tylko mimochodem, zajmując się głównie szlakami handlowymi, idącymi ze wschodu ku Bałtykowi poprzez ziemie polskie.

Sami Arabowie, jak słusznie zauważył Prof. Szelaḡowski, z rzadka tylko docierali do krajów słowiańskich, od których odstręczały ich trudy dalekiej podróży, a więcej jeszcze ostry klimat. Wyręczali ich w tym Żydzi, zdomowieni w Hiszpanii arabskiej, znający oddawna stare szlaki handlowe, oraz języki i obyczaje ludów które wzdłuż nich zamieszkiwały.

Jednym z nich był również i autor wspomnianej powyżej relacji Ibrahim Ibn Jakub.

Czy można, na podstawie jego opisu krajów słowiańskich, ustalić jakieś fakty, dotyczące oddziaływania na nie cywilizacji arabskiej? Podanych przezeń szczegółów odnośnie tego zagadnienia jest bardzo niewiele.

Wspomina on, mówiąc o drzewach owocowych spotykanych w Słowiańszczyźnie, o brzoskwini (arab. firsig). Ponieważ drzewo to pierwsi sprowadzili Arabowie (zapewne z Indii) do Hiszpanii, gdzie je zaczęli powszechnie kultywować i skąd następnie rozpowszechnili je po wszystkich krajach, z którymi mieli pośrednią lub bezpośrednią styczność, fakt pojawienia się go wśród Słowian należałoby im właśnie przypisać (raczej pośrednio, niż bezpośrednio).

O wiele poważniejszym dowodem styczności Słowiańszczyzny ze światem arabskim jest fakt przebywania w większych jej centrach poważnej ilości kupców żydowskich, co zauważył nie tylko Ibrahim, ale co stwierdzają również i inni geografowie arabscy, wcześniejsi i późniejsi od niego. Wprawdzie Żydzi wysługiwali się nie tylko Arabom, ale i innym ludom, znacznie bliższym Słowian, jak Bułgarzy i Chazarowie, wśród których przebywali dość licznie; ich głównym siedliskiem była jednakże Hiszpania, dokąd przywozili niewolników i surowce z krajów słowiańskich, częstokroć otrzymywane właśnie za pośrednictwem chazarskim i bułgarskim.

Używanie pieniędzy w wymianie handlowej i opłacie daniny na rzecz panującego — o czym również Ibrahim wspo-

mina — dowodzi powszechności ich użycia, do czego nie-
mało musiał się przyczynić kontakt handlowy z Arabami
i import ich monet. Świadczą o tym znaleziska archeolo-
giczne na całym obszarze Słowiańszczyzny, a w Polsce głów-
nie na obszarze zakreślonym: od północy linią biegnącą przez
Santok, Bydgoszcz i Wiznę, a od południa przez Wrocław —
Sieradz i Zakroczym (11). Dowodzi to równocześnie, jak
bardzo ożywione były szlaki handlowe, idące ku Bałtykowi.

Wpływom arabskim należało by również przypisać zano-
towany przez Ibrahima fakt, iż władcy słowiańscy „trzymają
swoje żony w ukryciu” i że one są o nich bardzo zazdrosne.

Jak widzimy — faktów tych u Ibrahima jest stosunkowo
niewiele; inni autorowie arabscy są jeszcze bardziej w tych
sprawach lakoniczni. Należy więc szukać dowodów na
drodze bardziej pośredniej.

III.

Ponieważ handel stanowi pomost, poprzez który w ówczes-
nych warunkach odbywała się wymiana dóbr, naturalnych
i cywilizacyjnych, należy najpierw ustalić, jakie to dobra
były przedmiotem wymiany. To pozwoli nam dotrzeć do
jednego z najważniejszych źródeł dotyczących samego za-
gadnienia wpływów arabskich.

Jeśli chodzi o Polskę — jednym z najstarszych towarów,
po który udawano się na jej ziemię był bursztyn, znajdujący
na pobrzeżach Bałtyku, od ujścia Odry aż do ujścia Nar-
wy (12). U Arabów, ze względu na wielką obfitość efektyw-
niejszego niż bursztyn materiału do wyrobu kosztowności
(złoto, drogie kamienie) dostarczanego z Indii — „złoto Bał-
tyku” (bursztyn) nie miało już tak wielkiego wzięcia, jakim
cieszyło się w czasach grecko-rzymskich. Tym niemniej
jednak kupcy z Hiszpanii arabskiej po dawnemu zdążali nad
Bałtyk, by wymienić u Słowian nieobrobione grudy burszty-
nu za własne wyroby i pieniądze.

Były dwa szlaki, które prowadziły po bursztyn: śródlądo-
wy, od Morza Czarnego, poprzez dopływy Dniepru na Nie-
men, Dźwinę i Wisłę oraz morski. Pierwszy, znany oddaw-
na w naszej literaturze historycznej dzięki pracy J. N. Sadow-
skiego (13) nie wymaga specjalnego omawiania.

Mniej znanym jest szlak morski, wiodący z Hiszpanii na
Bałtyk, niebezpieczny dla żeglugi arabskiej, skutkiem prze-

wagi Normanów na Bałtyku i na morzach okalających Europę, ale tym niemniej uczęszczany, zapewne głównie dla zdobycia bursztynu.

Użycie tego „kruszca”, wypartego ze zdobnictwa, znalazło ogromne zastosowanie w medycynie arabskiej, która aplikowała go dla całego szeregu chorób zewnętrznych i wewnętrznych. Sproszkowany bursztyn stosowano w wypadkach krwotoku oraz dla zatrzymania nadmiaru upływu krwi u kobiet w czasie periodu. Używano go również w połączeniu z innymi preparatami, jako środek na choroby żołądkowe, różnego rodzaju bóle głowy i t. p. (14).

Towarem o wiele pospolitszym niż bursztyn, wywożonym z krajów słowiańskich, byli niewolnicy. O jego powszechności świadczy nie tylko wzmianka samego Ibrahima, ale i innych autorów arabskich, zarówno wcześniejszych jak i późniejszych. Niewolnicy ci dostawali się do Hiszpanii arabskiej dwoma drogami: jako jeńcy, nabywani od Chazarów, Węgrów i Bułgarów oraz jako młodzi chłopcy, porywani lub zakupywani na wolnym rynku. Z niewolników tworzyli sobie prawie wszyscy Kalifowie przyboczną gwardię, która odegrała niemałą rolę w późniejszym rozpadzie Kalifatu hiszpańskiego, podobnie jak pretorianie w czasach rzymskich. Ośrodkiem handlu niewolnikami słowiańskimi, którzy byli nabywani jako młodzi chłopcy, była Praga. Żydzi, których tu spotkał Ibrahim, po ten właśnie towar przybywali. W ich ręku też, jak świadczą prawie współcześni Ibrahimowi geografowie: Ibn Rustah, Ibn Hawqal i Al-Maqdisi, oraz znacznie późniejszy Beniamin z Tudeli, spoczywał całkowicie ten rodzaj handlu (15).

Ścisłe związana z nim była nowa gałąź specjalności Żydów hiszpańsko-arabskich: kastracja, którą z wielką zręcznością przeprowadzano na chłopcach wywożonych głównie z Czech, których — po dokonaniu tej operacji i pewnym przeszkoleniu — rozsprzedawano po haremach. Ośrodkiem tej swego rodzaju „hodowli” eunuchów była Cordova. Że handel młodymi chłopcami nie był sporadyczny, świadczy również i Knaparz, autor żywota Św. Wojciecha, który podaje go jako jedną z przyczyn niechęci tego wielkiego świętego do własnych rodaków, Czechów.

Trzecim, co do popularności surowcem, wywożonym z krajów zachodnio-słowiańskich, były skóry zwierząt oraz gotowe już, wyprawione z nich futra, używane wówczas, nawet w krajach o wysokiej stosunkowo temperaturze jak Egipt

i Mezopototamia, jako ozdoba. Ibrahim oraz prawie wszyscy geografowie arabscy, którzy opisują kraje słowiańskie, wspominają o futrach, jako o towarze importowanym stamtąd w większych ilościach (16). Handel ten był zapewne tak stary jak i handel bursztynem.

Ibrahim wspomina również o wywozie cyny, a inni geografowie podają jeszcze wosk i miód; były to jednak — zdaje się — towary eksportowane ze Słowiańszczyzny dość sporadycznie. Nie wyczerpują one również listy tego wszystkiego, co stamtąd wywożono (17).

Ustalenie rodzaju towarów przywożonych do krajów słowiańskich jest o wiele trudniejsze, bo wzmianki geografów arabskich o tym są więcej niż lakoniczne. W pomoc przychodzi nam archeologia, a szczególnie ta jej część, która zajmuje się wykopaliskami dawnych monet; wśród nich monety arabskie stanowią bardzo okazały procent, a ich rozrzucenie po całym obszarze słowiańszczyzny świadczy, jak bardzo były tam popularne (18).

Obok monet są znajduwane od czasu do czasu wyroby złotnicze, pochodzenia niewątpliwie arabskiego; powtarzające się w ich ornamentacji motywy krzyża świadczą, że produkowano je specjalnie na eksport do krajów o kulturze chrześcijańskiej. Nie sądzę, by wszystkie surowce oraz t. zw. „żywy towar” nabywane były za pieniądze. Wnioskując na podstawie techniki ówczesnego handlu — należy przypuścić, że Arabowie prowadzili bardzo rozgałęziony handel wymienny, zwłaszcza z krajami tak chłonnymi na ich wyroby jak ówczesna Ruś, Polska i Czechy, rywalizując skutecznie z mało wówczas ruchliwym handlem bizantyjskim.

Wśród towarów przywożonych z Hiszpanii znajdowała się niewątpliwie broń (zwłaszcza sieczna), choć co do tego posiadamy stosunkowo bardzo mało przekazów. Pierwszorzędne miejsce zajmować musiały natomiast przedmioty zbytku, których krajom słowiańskim nie mógł dostarczyć ani rycersko-ascetyczny zachód, ani też — a przynajmniej niewiele — Bizancjum.

Liczne, acz lakoniczne wzmianki kronikarskie, dotyczące życia w dwóch stolicach ówczesnych państw słowiańskich: Pradze i Kijowie świadczą, iż przedmioty zbytku musiały się tam cieszyć popytem i że specyficzne wpływy orientalne, niesione wraz z nimi przez cywilizację arabską, niewątpliwie wywarły tam swoje piętno.

Ze tak było istotnie — ilustrują to najlepiej dwa wydarzenia

polityczne z czasów Bolesława Wielkiego a mianowicie jego wyprawy zbrojne do Pragi (1003) a następnie do Kijowa (1018). Przyzwyczajone do surowego życia w kraju rycerstwo Bolesławowe, znalazło się nagle w środowisku typowo (na ówczesne stosunki) „wielkomijskim”, w dodatku przesiąkniętym zamięłowaniem do zbytku oraz wschodniego przepychu. W parze z tym szła specyficzna moralność, której destrukcyjnym wpływom musiało ono rychło ulec, co z kolei bardzo ujemnie odbiło się na dyscyplinie i karności. Rozprężenie, które orientalna cywilizacja wniosła w szeregi rycerzy Bolesławowych, było jedną z przyczyn jego niepowodzeń politycznych zarówno nad Wełtawą jak i nad Dnieprem.

Daremnie byśmy szukali w zabytkach ówczesnej sztuki jakichś wpływów, jakże wspaniałej architektury mauretańskiej w Hiszpanii. Ta dziedzina należała całkowicie do kościoła: wschodniego na Rusi oraz zachodniego w Polsce i w Czechach. Chrześcijaństwo, wraz z nowymi wierzeniami, niesło także swoisty styl w sztuce, traktowanej jako konieczne uzupełnienie niektórych form życia religijnego.

Architektura świecka (budownictwo obronne) pozostawało nadal w ramach tradycji lokalnej. Nie było tu więc miejsca na jakiegokolwiek wpływy czy nawet naleciałości, które by mogły pozostawić ślad trwalszy, po dziś dzień widoczny. W jednej tylko dziedzinie, stojącej na pograniczu sztuki i rzemiosła: w numizmatyce uwidacznia się niewątpliwy wpływ złotników wyszkolonych na arabskiej technice menniczej. Że Mieszko I, powziąwszy pomysł kowania własnych monet, nie szukał potrzebnych do tego mincerzy we wrogim mu cesarstwie — tego nie potrzeba specjalnie udawadniać.

Znaleziska monet — coprawda z późniejszego nieco okresu — dowodzą, iż Żydzi (niewątpliwie pochodzący z Hiszpanii arabskiej) nie tylko że kowali monety dla władców polskich, ale je nawet zaopatrywali własnymi znakami i napisami (19).

Fakty, wykazane powyżej, nie wyczerpują całokształtu zagadnienia oddziaływania cywilizacji arabskiej Hiszpanii na Polskę i Słowiańszczyznę. Wpływy te mogły iść podwójną drogą: bezpośrednią — szlakami handlowymi, idącymi przez te kraje i pośrednią — poprzez ludy ościenne (Chazarowie, Pieczyngowie, Węgrzy, Bułgarzy) zamieszkałe u zlewisk morza Czarnego, które w znacznie większym stopniu pozostawały w zasięgu tej cywilizacji. Tą drogą niewątpliwie przedostała się do Słowiańszczyzny znacznie więcej, niż drogą

pośrednią, poprzez wymianę towarową i drobne kontakty z kupcami i rzemieślnikami z Hiszpanii arabskiej.

Ustalenie ostateczne, jak głęboko sięgały te wpływy i w jakich dziedzinach życia się uwidoczniły musi zapewne pozostać — poza kilku bezspornymi faktami — jeszcze przez dłuższy czas w dziedzinie hipotez, które zawsze będą wystawione na krytykę.

Powyższe uwagi są próbą wyjścia naprzeciw zagadnieniu, jednemu z tych, które czeka na szczegółowe zbadanie przez historyka lepiej uzbrojonego w znajomość źródeł, zarówno łacińskich jak i wschodnich. Sądzę iż wydanie, z polskim przekładem, fragmentów dzieł wszystkich geografów arabskich piszących o Słowianach mogłoby przyspieszyć podjęcie opracowania tego problemu. Oby tak naprawdę wzorowe wydanie relacji Ibrahima Ibn Jakuba było dobrym w tej sprawie początkiem.

(1) Pomniki dziejowe Polski. Seria II — Tom I. Relacja Ibrahima Ibn Jakuba z podróży po krajach słowiańskich w przekazie Al-Bekri'ego. Wydał, wstępem, komentarzem i przekładem opatrzył Tadeusz Kowalski. Kraków 1946, Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, str. 162 + 14 + 12 tablic.

(2) Przekład rosyjski dał A. Kunik: (1878), przekłady niemieckie F. Westberg (1898) i G. Jacob (1927).

(3) **H. Merczyng** „Wiadomości o Słowianach zawarte w dziele geografa arabskiego Al-Bekri'”. „Kłosy” 1879. **W. Lebiński** „Co Al-Bekri opowiedział o Słowianach i ich sąsiadach (Roczn. Tow. Przyj. Nauk. Pozn. T. XV) 1886. **W. Kętrzyński** „Przyczynki do historii Piastowiczów” (Rozpr. Wydz. Histor. Filozof. A. U. T. XXXVII) 1898. **S. Zakrzewski** „Czeski charakter Krakowa za Mieszka I” (Kwartalnik Historyczny T. 30) 1916. **B. Stasiewski** „Untersuchungen ueber drei Quellen zur aeltesten Geschichte und Kirchengeschichte Polens” (Breslauer Studien zur historischen Theologie Bd. XXIV) 1933.

(4) **Fr. Wigger** „Bericht des Ibrahim Ibn Jakub ueber die Slaven aus dem Jahre 973” (Jahrbuecher des Vereins fuer mecklenburgische Geschichte und Altertumskunde Bd. 45) 1880 (W oparciu o rozprawę De Goeje „Een belongrijk arabisch Bericht over de Slavische Volken omstreeks 965”). **G. Haage** „Ueber den Bericht des Ibrahim-Ibn-Jakub von den Slaven aus dem Jahre 973” (Baltische Studien Bd. 31) 1881. **G. Jacob** : „Studien in arabischen Geographen” vols II, IV. Berlin 1892. **B. Spuler** : „Ibrahim Ibn Jakub” (Jahrbuecher fuer Geschichte Osteuropas) 1938.

(5) Syntezę tych dociekań zawiera zapewne rozprawa J. Widajewicza „Studia nad relacją o Słowianach Ibrahim Ibn Jakuba” Kraków 1946, do której nie mogłem w czasie pisania mego artykułu dotrzeć.

(6) **A. Kunik** — **W. Rozen** „Izwestia Al-Bekri i drugich autorow o Rusi i Sławianach” Petersburg 1878 (tekst arabski i przekład rosyjski oraz komentarze). **E. Westberg** „Ibrahim's-Ibn-Jakub's Reisebericht ueber die Slavenlande aus dem Jahre 965” (Zapiski Imp. Akad. Nauk. po istoriko-filol. otd., Tom III) 1899 (objaśnienia i przekład niem.). **F. Westberg** „Komentarij na zapiski Ibrahima Ibn Jakuba o Słowianach”, Petersb. 1903 (komentarze, tekst arabski, przekład rosyjski).

(7) The Cambridge Ancient History, vol. XI, str. 91—92 i 874—76. Autorem rozdziału o Sarmatach jest Prof. M. Rostontzeff. Objasnienia Westberga (str. 88—89 w niem. wyd. i str. 38—39 w ros. wyd.) oraz G. Jacoba („Reiseberichte, str. 88—89) są nieprzekonywujące.

(8) **C. M. Fraehn** „Ibn-Foszlans und anderer Araber Berichte ueber die Russen aeltere Zeit (teksty i przekłady), Petersburg 1823. **A. J. Harkawi** Skazanija Musulmanskich pisatelej o Sławianach i Russkich”, Petersburg 1870. **G. Jacob** „Arabische Berichte von Gesandten an germanische Fuerstenhoefe aus 9. und 10. Jahrhundert”, Berlin 1927. **M. Defremery** „Fragments de Geographes et d'historiens arabes et persans inedits, relatifs aux anciens peuples du Caucase et de-la Russie Meridionale (Journal Asiatique) 1849. **Macoudi** „Les prairies d'or”, Texte et traduction par C. Barbier de Meynard et P. de Courteille”, Paris 1861—77. Societé Asiatique, Tomy II, III i IV. (Tekst arabski, przekład francuski i komentarze).

(9) **Ph. K. Hitti** „History of Arabs”, London 1946, str. 504—536. **Levi — Provencal** „L'Espagne musulmane au X-ieme siecle”, Paris 1932.

(10) **A. Szelągowski** „Najstarsze drogi z Polski na wschód w okresie bizantyńsko-arabskim”, Kraków 1909.

(11) Ibidem str. 69—73 i 133—34 oraz mapa znalezisk monetarnych na ziemiach Polski.

(12) **G. Jacob** „Der Bernstein bei den Arabern des Mittelalters”, Berlin 1886. **Tenže**: „Bezogen die Araber des Mittelalters Bernstein von der Ostsee?” (Schriften der Naturforschenden Gesellschaft in Danzig, Neue Folge, Bd. VI) 1887. **Tenže**: „Neue Beitræge zum Studien des Kaspisch-baltischen Handels im Mittelalter (Zeitschrift der Duetschen Morgenlaendischen Gesellschaft, Bd. 437) 1889. **A Zeki-Validi** „Die Nordvoelker bei Biruni (Zeitschrift der Deutschen Morgenlaendischen Bd. Gesellschaft 90) 1936.

(13) **J. N. Sadowski** „Drogi handlowe greckie i rzymskie przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna do wybrzeży morza Bałtyckiego” (Pamiętnik Akademii Umiej. w Krakowie, Tom III) 1876.

(14) **G. Jacob** „Neue Beitræge”, str. 365.

(15) **G. Jacob** „Welche Handelsartikel bezogen die Araber des Mittelalters aus den nordisch-baltischen Laendern”, Berlin 1891, str. 6, 12 „The Itinerary of Rabbi Benjamin of Tudela”, przekł. **A. Ascher**, London 1840.

(16) **P. Saweljew** „Ueber den Handel der wolgaischen Bulgaren im 9. und 10. Jahrhundert (Ermans Archiv fuer wissenschaft. Kunde von Russland, Bd. VI) 1848. **R. Hennig** „Der mittelalterliche arabische Handelsverkehr in Osteuropa“ (Der Islam, Bd. 22) 1935. **R. Hennig** „Der nordeuropäische Pelzhandel in den älteren Perioden der Geschichte“ (Vierteljahrschrift fuer Sozial und Wirtschaftsgeschichte, Bd. 23). **G. Jacob** „Welche Handelsartikel“ i t. d. — j. w.

(17) **G. Jacob** („Welche Handelsartikel“) wylicza szczegółowo najdrobniejsze nawet wzmianki o towarach eksportowanych przez Arabów.

(18) **M. Gumowski** „Wykopaliska monet polskich X i XI wieku“ (Rozprawy A. U., Wyd. Histor.-Filozof., ser. II, Tom 23) 1906. **A. Markow** „Topografia kładow wostocznych monet“ Petersb. 1910. **H. Frank** „Die baltisch-arabischen Fundmuentzen“ (Mitteilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est und Kurlands, Bd. 18) 1908. **A. Szelański** „Najstarsze drogi“ — j. w.

(19) **Gumowski M.** „Podręcznik numizmatyki polskiej“, Kraków 1914.

II. RECENZJE

Latham R. „In Quest of Civilisation”, London, 1946, Jarrolds Publ., s. 336 + 3 mapy i 26 ilustracji.

Wyznam szczerze, że kiedy zobaczyłem ten spory tom, wertując książki w księgarni, pierwszą reakcją była nieufność. Nazwisko autora nic mi nie mówiło. Zebranie w jednym tomie historii ludzkości w aspekcie kulturalnym od człowieka jaskiniowego do narodzenia Chrystusa — wraz z Egiptem, Mezo potamią, Indiami, Chinami, Izraelem, Egeą i antykiem klasycznym — wydało mi się przedsięwzięciem, które z natury rzeczy musi nosić wszelkie cechy kompilacji. Cóż oryginalnego może powiedzieć o tylu tak różnych cywilizacjach najteższy nawet historyk kultury, porywając się na stosunkowo dokładny ich opis? Ot, zapewne jeszcze jedna popularna historiozofia, tak uzięta w świecie anglosaskim. Umocniły mnie w tym podejrzeniu słowa autora, zacytowane na obwolucie: „Jeżeli życie ludzkości, jakim widzimy je dzisiaj, jest wynikiem wysiłków człowieka, kierowanych przez jego pragnienia, dlaczego jesteśmy dotychczas tak daleko od zaspokojenia tych pragnień?” A więc jeszcze jedna „synteza” historyczna z morałem? . . .

Tymczasem zdarzyło się, że książka Lathama znalazła się jednak na moim biurku. Ktoś mi ją przyniósł i radził przejrzeć. Ze starego nałogu otworzyłem rozdział o Grecji. I oto w miarę czytania moje uprzedzenia rozwiewały się coraz bardziej. Zamiast komunałów o „niezniszczalnym pięknie greckim” i „harmonii psyche helleńskiej” znalazłem szereg świeżych i oryginalnych ujęć, opartych na rzetelnej wiedzy i bogatym materiale źródłowym. Doskonałe są np. uwagi o racjonalizmie Greków i ich pozbawionym wszelkiego fanatyzmu stosunku do spraw religijnych. Autor wskazuje, że Hezjod wprowadzając (w „Teogonii”) do historii stworzenia świata takie abstrakcje, jak Chaos i Eros („Miłość”), toruje drogę — rzecz znamienita dla umysłowości greckiej — przeobrażeniu religii w filozofię. A bogowie? „Ci olśniewający nadludzie z Olimpu — pisze Latham — którzy odgrywali tak czynną rolę w życiu Greka, musieli wywrzeć pewien wpływ na myśl grecką, mimo że odnoszono się do nich bez nadmiernej rewerencji. Nawet sceptyk podświadomie wyczuwał, że siły, które rządzą światem, nie są o wiele gorsze od człowieka, nie będąc zresztą od niego dużo lepsze czy mędrsze: jakkolwiek poządlivi i kapryśni, nie są bogowie ani niemiłosiernymi tyranami ani niepojętymi mocami. Ich ołtarze kałała rzadko (a właściwie nigdy) krew ofiar ludzkich. Nie nakładali na nikogo obowiązku męczeństwa w ich imię, ani też nikogo nie posyłali na śmierć za herezję czy niewiarę (nawet Sokrates nie stanowi tu w rzeczywistości wyjątku). Ich kapłani byli poważanymi urzędnikami państwowymi, a nie znachorami w niebezpiecznych konszachtach ze ślepyimi mocami. Nie sprzeciwiali się też bogowie dociekaniom filozoficznym czy naukowym”.

Bardzo trafnie ujmuje Latham słynną antynomie grecką: Physis—Nomos, obrazującą przeciwieństwo między prawem natury a przyjętą przez ludzi konwencją. Autor wykazuje w ciekawy sposób, jak ważną rolę odegrała ta antynomia w zapatrywaniach Greków na istotę mowy ludzkiej („Kratylos”

Platona), jeszcze zaś ważniejszą w dziedzinie etyki: roztrząsanie istoty dobra i zła oraz zagadnienia, które uczynki człowieka wynikają z prawa natury, a które z umowy między ludźmi, doprowadziło do indyferentyzmu etycznego sofistów, według których wartościowanie moralne uczynków opiera się wyłącznie na konwencji, nie zaś na prawie natury (czyli — jak my byśmy powiedzieli — prawie boskim).

Przekonywująco narysowana jest przełomowa w historii myśli greckiej rola Sokratesa, który przestał zajmować się wyłącznie problemem „**jak**” (t. j. jak powstał świat), a podjął zagadnienie „**dłaczego**”. To przeobrażenie badacza natury, skarykaturowanego przez Arystofanesa w „Chmurach”, w filozofa doszukującego się etycznych uzasadnień czynności ludzkich, słuchającego głosu tajemniczego „dajmonion” — ma wszelkie znamiona nawrócenia religijnego. W innych czasach — zauważa Latham — Sokrates zdobyłby łatwo autorytet świętego wysłannika bożego; ale racjonalistyczne i sceptyczne Ateny V wieku przed Chr. wymagały innego rodzaju autorytetu.

Kiedyindziej wreszcie, à propos Arystotelesa, który za najwyższe dobro człowieka uważał szczęście, widząc je nie w jakimś stanie ciała czy ducha, ale w swobodnej działalności, powiada Latham pięknie i trafnie, że taka koncepcja szczęścia utrwaliła się jako charakterystyczny rys kultury europejskiej.

Wszystko to opiera się u Lathama na rzetelnej podbudowie tekstów, których bogaty wybór ilustruje jego wypowiedzi. Z piśmiennictwem starożytnym jest obeznany gruntownie i czerpie z niego obficie. Ta źródłowość wzbudza zaufanie do książki.

Lektura całości nie zawodzi tego zaufania. Korzystne wrażenie osłabiają jednak pewne aprioryczne założenia, trącające materializmem typu nieco zeszlowiecznego. Wyraźny też jest dosyć naiwny stosunek autora do komunizmu, cechujący wielu postępowców anglosaskich. Kiedy ze swej analizy ewolucji kultury stara się wysnuć określenie istoty tej kultury, powiada, że jest nią proces zbiorowych wysiłków ludzi uzyskania tego, czego pragną. Zdając sobie sprawę z wątpliwości, jakie musi budzić taka definicja, dopuszczająca do zakresu sfery kultury np. działalność bandy zbójckiej, autor replikuje, że działalność taką można uważać za znamiennej dla całej kapitalistycznej fazy kultury ludzkiej . . . Dopuszcza jednak, jako alternatywę, o wiele bardziej przekonującą definicję, opartą na sformułowaniach myślicieli rzymskich, że „kultura (humanitas) jest procesem, dzięki któremu życie ludzkie odróżnia się od zwierzęcego”. W samym zaś procesie rozwoju kulturalnego, jako walki o zaspokojenie pragnień ludzkich, zarówno materialnych jak duchowych, widzi autor trzy fazy:

1. W pierwszej fazie (o niewiadomej długości) ludzie przewyciężyli całkowitą zależność od przyrody (cechującą zwierzęta) i nauczyli się zmieniać w pewnym stopniu warunki, stwarzane przez przyrodę, np. przez rozniecanie ognia w zimnej porze. Osiągnęli to dzięki darowi wyobraźni, który stał się zasadniczym czynnikiem, uwalniającym człowieka od niewolniczych związków z przyrodą. Wyobraźnia zaczęła wypierać zwierzęcy instynkt. W tej jednak fazie, poza pragnieniami, które sama natura mogła

w pełni zaspokoić, ludzie uświadamiali sobie jeszcze niewiele pragnień. Żyjąc w małych grupach społecznych bez różnic klasowych, karmili się oni tym, czego im dostarczała przyroda; ale już w tej fazie dzięki wyobraźni zaczęli sporządzać narzędzia, które ułatwiały im zbieranie darów przyrody. Z chwilą, kiedy dalszy postęp na tej drodze doprowadził ich do samodzielnego wytwarzania pożywienia, rozpoczęła się druga faza rozwoju kultury.

2. Faza ta osiągnęła zenit w najdawniejszych cywilizacjach Egiptu, Mezopotamii, Chin i Egei (Kreta), a jej najwালniejsze wynalazki (oswojenie pewnych zwierząt, budownictwo, tkactwo, garncarstwo, obróbka metali, żegluga, wozy, pismo) zostały dokonane między r. 6000 a 3000 przed Chr. W fazie tej, która miała trwać do VI wieku przed Chr., ludzie organizowali się już w o wiele większe społeczności i specjalizowali swe zajęcia. W tych grupach społecznych drobna mniejszość monopolizowała lepsze zajęcia (włącznie z kierowaniem pracą innych). Rządy opierały się na strachu przed przemocą ludzką (przewódców) i nadprzyrodzoną (bóstwa).

3. Głosy myślicieli protestujących w obronie człowieka przeciw systemowi, jaki zapanował w fazie drugiej, zaczęły się podnosić już w VI w. przed Chr. W całej pełni rozległy się w fazie trzeciej, która objęła pięć ostatnich stuleci ery przedchrześcijańskiej. Głosiły one panowanie nad światem Prawa naturalnego, do którego człowiek musi się stosować dla swego własnego dobra i szczęścia; to Prawo, którego należy przestrzegać nie przy pomocy aktów magii i rytuału, lecz aktów rozumu i woli, działa uniwersalnie, bez różnic klasowych, rasowych czy etnicznych. Trzecią fazę cechował więc z jednej strony racjonalizm, z drugiej zaś tęsknota za powrotem do natury i jej wyidealizowanym Prawem. W harmonii z nim starano się rozwijać kulturę — zwłaszcza w Chinach (Konfucjusz) i Grecji. Ukoronowaniem tych tendencji była nauka Chrystusa.

Oczywiście całej tej teorii trzech faz można by niejedno zarzucić, w jednym dopatrzeć się upraszczania i stylizowania historii. Zwłaszcza, gdy Latham, szkicując w kilku wierszach dalszy ciąg owego procesu, pisze, że faza trzecia przedłużyła się do XVI w. po Chr., by ustąpić z kolei miejsca fazie czwartej, którą postęp materialny w ostatnich czterech stuleciach i jego konsekwencje upodobniają do fazy drugiej. Wreszcie wiek XX zapoczątkowuje fazę piątą, analogiczną do trzeciej: olbrzymie przewroty społeczne i religijne oraz towarzyszące im konflikty rozczarowania i męczeństwa.

Odbywszy swą długą drogę „in quest of civilisation”, Latham dochodzi do trzech wniosków:

1) Człowiek (nie „homo rationalis” ani „homo oeconomicus” filozofów i utopistów, lecz nasz dobry znajomy z krwi i kości) jest istotą podlegającą wielu impulsom i nastrojom i pożądającą wielu rzeczy. Dla takiej istoty nie może być uniwersalnej czy ostatecznej formy kultury. Niepodobna sobie wyobrazić społeczności, w której ludzie mogliby urzeczywistnić równocześnie i całkowicie swe naturalne pragnienia bujnej działalności i spokojnej kontemplacji, podniecającej nowości i bezpiecznej trwałości, wolności jednostki i solidarności społecznej.

2) Dzisiejsze pokolenie ludzkości może zaspokoić wszystkie swoje niezbędniejsze potrzeby — w zakresie zdrowia fizycznego, pożywienia, odpowiedniej odzieży, wygodnego mieszkania. Stało się to dzisiaj możliwe dzięki postępowi wiedzy. Mając jednak w ręku wszystkie środki rozwiązania tego czysto ekonomicznego zagadnienia, ludzie nie używają ich z powodów, które nie są natury ekonomicznej. Bo problemy, które zaciążyły nad współczesnym światem, są społeczne i religijne. A sprzeczności, tkwiące w ludzkiej naturze, ograniczają możliwości spełnienia ludzkich pragnień.

3) W każdym razie ludzie o wysokim poziomie kultury i cywilizacji mogą lepiej zaspakając swe pragnienia, niż ludzie prymitywni. Ale pierwsi nie osiągają przez to więcej zadowolenia niż drudzy — raczej przeciwnie. Bo zaspokojenie jednego pragnienia rodzi następne. Przyszłość kultury i przyszłość ludzkości zależą od tego, czy pragnienia „antyspołeczne” i „antywitalne” nie przeważą nad twórczymi. Jeżeli zdołamy opanować tamte destrukcyjne, ludzkość będzie kroczyła naprzód w harmonii z Przyrodą, albo — wymusza na sobie autor w ostatnim słowie akcent religijny — w harmonii z zamysłem Boga.

Książka jest warta przeczytania. Przynosi dużo ciekawego materiału, rzetelnych informacji i oryginalnych refleksji. Za te zalety chętnie wybaczymy autorowi wady: trochę ciasne doktrynerstwo, które wpływa ujemnie na oświetlanie faktów historycznych, trochę zbyt sztywne, „geometryczne” ujmowanie procesów dziejowych, które czasem dostosowuje do swych teorii. Co np. wspólnego mogły mieć zjawiska kulturalne w Chinach i starożytnej Grecji, skoro ewolucja kulturalna tych dwu krajów wywodziła się z zupełnie odmiennych źródeł, szła różnymi drogami i w ogóle nie miała nic wspólnego. A jednak, jak widzieliśmy, autor nie waha się zestawiać fenomenów kulturalnych na tych dwu krańcach świata starożytnego, by podeprzeć swą tezę o trzech fazach ewolucji, jaka miała rzekomo toczyć się równomiernie na całym globie ziemskim . . .

Pamiętając o tej słabej stronie książki Lathama i wprowadzając przy jej lekturze odpowiednie korektury, można z nagromadzonych w niej materiałów wynieść wiele korzyści.

I. Wieniewski.

Ogg D. „Herbert Fisher. 1865 — 1940. A Short Biography”. London, 1947, str. 205.

Fisher, jak wielu przedstawicieli angielskiej „upper middle class” poprzedniego, a w pewnej mierze i dzisiejszego pokolenia, był człowiekiem o wielkiej skali wiadomości i zainteresowań. Wykładowca na uniwersytecie, rektor, minister oświaty, dyplomata i parlamentarzysta, lecz przede wszystkim człowiek wielkiej wiedzy, historyk, myśliciel i jak podkreśla recenzent „Times Literary Supplement” — obywatel, był niewątpliwie bardziej sławny dzięki zaletom umysłu i charakteru niż piastowanemu stanowiskom. Dlatego też zdauna zapowiadana biografia, pióra Ogg’a’ uważając poważne stanowisko, jakie ten wybitny znawca dziejów Anglii i Europy posiada w nauce

brytyjskiej, mogła już z góry budzić duże zainteresowanie i niecierpliwe oczekiwanie.

Autor podszedł do postawionego sobie zadania od strony losów zewnętrznych raczej, niż przeżyć wewnętrznych swego bohatera. Całość pracy została rozbita, zresztą słusznie, na szereg rozdziałów odpowiadających dość ściśle chronologicznym etapom kariery Fishera. W każdym rozdziale mamy szeroko podmalowane tło zdarzeń i zagadnień w skali conajmniej ogólnoangielskiej, a czasem nawet światowej i na tym tle dopiero zaznaczoną kilku rysami rolę jaką Fisher odegrał w danym okresie. Tak więc, na wstępie, mamy charakterystykę prądów umysłowych w okresie średnio-wiktoriańskim, dalej metody kształcenia w „public schools”, walkę między tutorami i profesorami w Oxfordzie, studium o organizacji nowszych uniwersytetów angielskich i wreszcie przez opis stosunków w indyjskiej „civil service” dochodzimy do gruntownej rozprawy o dziejach oświaty w Anglii (14 stron), by po zapoznaniu się z różnymi aspektami wojny światowej, światłami i cieniami traktatu wersalskiego i Ligi Narodów, dotrzeć do początków wojny ostatniej. Obok tego szerokiego tła spotykamy również liczne dygresje, pełne interesujących opinii osobistych autora, które bodaj lepiej charakteryzują osobowość biografowanego, niż biografowanego, bo niestety na tej kanwie Fisher występuje w dawkach zgoła homeopatycznych i ujęty jest jakoś dziwnie sztywno. Widzimy działalność urzędnika czy męża stanu, ale brak człowieka.

Są co prawda rozdziały, które dają nieco więcej informacji biograficznych, ale odnoszą się one do tych okresów życia Fishera, w których działał on na skromną skalę, gdzie jego osoba przerastała postawione przed nim zadania i obowiązki, a więc młodzieńczy okres winchesterski, okres tutorowania w Oxfordzie, czy wreszcie pod koniec życia okres gdy był warden'em „New College”. Z chwilą gdy Fisher wpływa na szerokie wody zagadnień państwowych czy międzynarodowych, osoba jego roztopia się w zadaniach, które go konfrontowały. Ponadto te strony osobistego życia, które nie znalazły uzewnętrznienia w oficjalnych stanowiskach są pominięte niemal zupełnie, przez co obraz jest nie tylko niekompletny, ale i niekonsekwentny. Trudno np. zrozumieć dlaczego choćby nawet najzdolniejszy tutor Oxfordu, po kilkunastu latach spokojnego uczenia studentów, nagle zostaje mianowany rektorem, z równoczesnym wyznaczeniem na członka komisji badającej problemy urzędnicze w Indiach i już odtąd bez przerwy idzie od jednego wielkiego stanowiska do drugiego.

Ostatnie dwa rozdziały poświęcone są analizie spuścizny pisarskiej Fishera i dają obszerną i bardzo staranną analizę książek zarówno historycznych jak polityczno-społecznych, choć i tu czasami tylko wynurza się fragmentaryczny obraz ich twórcy i jego metod badawczych. Jak i w innych rozdziałach znajdują się tu również, zwłaszcza ex re „Dziejów Europy” ciekawe, choć dość długie rozważania na tematy filozofii historii, a zwłaszcza materialistycznego pojmowania dziejów i — co jest rzeczą ciekawą i niezwykłą — długa i gwałtowna filipika przeciw Actonowi.

W całości praca napisana z dużym zacięciem pisarskim i świetnym językiem całkowicie odpowiada sądowi jaki sam Ogg wydał o jednej z prac Fi-

shera: „Do końca Bryce pozostaje dla nas odległy, a jego kariera nieożywiona upadkiem czy błędem; również nie udało się autorowi połączyć pisarza z mężem stanu... Czytanie fisherowskiego Bryce'a przypomina nie tyle żywą osobę co poprawny opis postaci z panteonu”.

W czym leży przyczyna tego nieporozumienia? Sam autor twierdzi, że „być może biograf powinien wybierać jako przedmiot swej pracy osobę całkiem różnego zawodu i temperamentu, bo w takim wypadku można osiągnąć lepsze odczucie proporcji i obraz może być bardziej przekonujący”. Z drugiej strony „biografie mogą być podzielone na dwa rodzaje: biografia oficjalna pisana wkrótce po śmierci jej bohatera, z sankcją rodziny i przyjaciół i oparta na materiałach przez nich dostarczonych, oraz biografia retrospektywna pisana przez historyka późniejszego pokolenia... Współczesna biografia opisuje drzewa, historyczna rozsuwa obraz lasu” (Trevelyan).

Zdaje się, że obie przyczyny złożyły się na to, że omawiana książka może zainteresować polityka czy dyplomata, ale humanista-historyk musi czekać jeszcze lat kilkadziesiąt „nim się przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytoń uleży”.

A. F. Dygnas

Trevelyan G. M. „History and the Reader”
(The Third Annual Lecture of the National Book League).
London, 1945. str. 27.

Historia Anglii od połowy osiemnastego aż do schyłku dziewiętnastego wieku uznawana była za gałąź literatury i dopiero prądy pozytywistyczne, tak dobitnie wyrażone w słynnym werdykcie prof. Bury z r. 1903, że historia jest „nauką ścisłą i niczym mniej ani więcej”, stworzyły problem stosunku czytelnika-niefachowca do historii. Zdaniem Trevelyana historia jest wiedzą ścisłą i sztuką zarazem, wiedzą ścisłą w metodzie ustalania faktów, a sztuką w literackiej ich ekspozycji. Reakcja „scientystyczna” wśród historyków miała swe dobre strony, ale bezwzględna jej wadą było zamknięcie historii w wąskim kręgu specjalistów i odcięcie jej od szerokich warstw społeczeństwa. Jak słusznie zauważa autor „głównym celem nauk ścisłych jest zebranie wiadomości specjalnych przez fachowców, po czym z kolei mogą one być użyte dla zaspokojenia materialnych potrzeb świata”, nawet bez ich popularyzacji. Historia nie posiada takiego celu samego w sobie i zdaniem autora jej celem jest edukacja społeczeństwa co, pozwólmy sobie zauważyć, stawałoby ją raczej w rzędzie sztuk stosowanych.

Głównym celem historii jednakże jest odpowiedź na dwa pytania — jak wyglądało życie ludzi w przeszłości i jak współczesność wyłoniła się z przeszłości. Stąd wynikają dwa wnioski — po pierwsze „że jest częścią obowiązku historyków przedstawiać dzieje w formie łatwo czytelnej, a raczej w różnorodnych formach dostępnych dla różnych grup społeczeństwa”, po drugie „społeczeństwo winno studiować historię” gdyż „kto nie zna historii nie jest właściwie wykształconym człowiekiem, ani jako obywatel, ani jako jednostka intelektualna. A ponieważ niewiele osób studiować będzie z obowiązku należy spowodować, by robiono to dla przyjemności”.

Na zakończenie rozpatrując korzystne i niekorzystne czynniki jakie wpływają na stan studiów i czytelnictwa historycznego, autor dochodzi do melancholijnego twierdzenia, że „biblioteki prywatne różnego rodzaju wielkości były jedną z najlepszych rzeczy w cywilizacji wiktoriańskiej” i obawia się, „że giną one bezpowrotnie. Częściowo jest to skutek zmniejszonych dochodów, częściowo mniejszych mieszkań. W nowym wspaniałym świecie bliskiej przyszłości nasze jednoklasowe społeczeństwo zamieszkujące w małych domkach nie będzie miało miejsca na półki biblioteczne. A gdy samochód i benzyna zostaną opłacone braknie na książki pieniędzy”.

Aby nie kończyć nutą pesymizmu autor wyraża w ostatnim zdaniu nadzieję, że jednak nowa cywilizacja jakoś ten problem rozwiąże, ale ten końcowy optymizm zdaje się brzmieć oficjalnie, podczas gdy poprzedzająca go pesymistyczna ocena ma wydźwięk przekonania osobistego tego dziedzicznemu od trzech pokoleń największego historyka Anglii, a od dłuższego jeszcze czasu dziedzicznego liberała.

Celem przyświecającym Trevelyanowi zdaje się być przesunięcie czytelnictwa historycznego z wiktoriańskiej „upper middle class” na szerokie warstwy „jednoklasowego społeczeństwa” doby obecnej. Formalnie jest to i możliwe i niezbyt trudne, ale czy rezultat będzie identyczny? Oświecone klasy poprzednich generacji miały dość czasu na szerokie studia i dość wykształcenia na zaadoptowanie, lub odrzucenie, a w każdym razie na dyskusowanie idei pisarza. Obawiać się należy, że dzisiejszy szary człowiek, nawet po wprowadzeniu powszechnego nauczania na poziomie gimnazjalnym, choć zdolny będzie do przyswojenia faktów, nie zawsze zrozumie problemy.

A. F. Dygnas.

Wojeński T. „Historia literatury polskiej”, Warszawa, 1946, Tow. Wyd. „Wiedza”, T. I. s. 167, T. II. s. 255.

W okresie 20-lecia niepodległości ilość nowych książek, poświęconych całokształtowi dziejów literatury polskiej, była nieproporcjonalnie mała, wprost znikoma w zestawieniu z ilością prac, poświęconych poszczególnym epokom, okresom, prądom i indywidualnościom pisarzy.

Wszyscy ci, którzy poszukują syntezy, odczuwają dziś niewątpliwie nadal, jak odczuwali przed wojną, potrzebę dzieła, które by całokształt siedmiu wieków historii naszej literatury ogarniało spojrzeniem człowieka z połowy wieku XX — w tym znaczeniu, w jakim „Historia literatury” Piotra Chmielowskiego ogarniała ten całokształt wzrokiem człowieka, należącego do epoki pozytywizmu.

Praca Wojeńskiego potrzeby tej nie zaspakaja. Już powierzchowne oględziny tej książki przynoszą zawód pod jednym conajmniej względem. Rozmiar jej jest o wiele za mały. Zdaje sobie sprawę z tego, że wartości dzieła naukowego czy literackiego nie wolno mierzyć mechanicznie ilością zadrukowanego papieru. Sądzę wszakże, że sam tytuł: „Historia literatury polskiej” narzucić musi siłą rzeczy potrzebę rozmiaru powyżej pewnego minimum.

Dwutomowa książka Wojeńskiego, doprowadzająca dzieje literatury do 1914 r., zawiera b. niewiele ponad 400 stron druku raczej dużego i raczej rozstrzelonego.

Dzieło Chmielowskiego było bez porównania większe. Dodajmy, że od czasów Chmielowskiego narosło wiele przemian w życiu duchowym narodu, zjawili się pisarze, którzy wybitnemu uczonemu nawet z nazwiska nie mogli być znani. Zjawisk tych i pisarzy tych dzisiejszy historyk literatury nie może pominąć.

Większy również rozmiar od książki Wojeńskiego miała historia literatury Bronisława Chlebowskiego, choć nie obejmowała całego okresu przedrozbiorowego, a tylko czasokres 1795—1918.

Sprawa tomu III, który winien obejmować okres lat trzydziestu z górą od 1914 do chwili obecnej — jest niejasna. Na rynku księgarskim w Londynie tom ten nie zjawił się (dwa pierwsze są dostępne). W tomie II, omawiając twórczość takich pisarzy jak Żeromski czy Strug, zapowiada autor, że dalsza twórczość tych pisarzy, wybiegając poza rok 1914, zostanie omówiona w następnej części. Wbrew tym zapowiedziom jednak, karta ostatnia tomu II nie zawiera adnotacji, która by o istnieniu tomu III świadczyła w tym sensie, jak adnotacja na ostatniej karcie tomu I świadczy o istnieniu tomu II. Wolno przypuszczać, że tom III, obejmujący okres współczesny, nie ukazał się. Wolno iść w przypuszczeniach dalej. Wydaje się, że tom III nie ukaże się w bliskiej przyszłości. Brak danych, które by kazały wyraźnie stwierdzić, że w ogóle ukaże się.

Należy żałować, że dobra skądinąd książka Wojeńskiego nie objęła literatury lat ostatnich. W tym stanie rzeczy — cokolwiek dałoby się powiedzieć na jej korzyść — stwierdzić trzeba, że jest to książka niekompletna, że nie spełniła, jak dotychczas przynajmniej, ważnego zadania: nie wprowadza czytelnika w nurt życia duchowego Polski współczesnej.

Wróćmy jednak do sprawy bardziej jeszcze zasadniczej.

Zdaję sobie sprawę z tego, że nawet wielotomowa, nawet największa i najlepiej napisana historia literatury nie zastąpi czytelnikowi obcowania bezpośredniego z utworami literackimi. Obstaje jednak przy twierdzeniu, że historia literatury naszej wszystkich wieków, mająca dać obraz pełny jej rozwoju, musi mieć rozmiar większy, niż książka Wojeńskiego. Wydaje mi się, że nie sposób w książce o tym rozmiarze dać obraz, ogarniający swym zasięgiem wszystkie najważniejsze zjawiska, a zarazem zawierający coś więcej niż stłoczone kontury schematów — obraz, który by w dostatecznej mierze ukazywał żywe kształty wydarzeń i żywe sylwetki pisarzy.

I sądzę, że właściwiej byłoby tę książkę nazwać **zarysem** historii literatury polskiej — szkoda, że tytuł ten nie został użyty. (Uwaga ta zresztą może się odnosić i do wielu innych książek tego typu).

Sądzę, że w ocenie wszelkiej książki, poświęconej całokształtowi dziejów literatury — jeśli uwzględnić, że jest ona pozycją wydawniczą, mającą swój czas, w którym jest uważana za nową — zasadniczymi są kwestie:

- 1) o ile książka ta oddaje nowe sądy o zjawiskach literackich, ustalone na drodze ostatnich badań nad poszczególnymi okresami, pisarzami i utworami;
- 2) czy książka ta ustala taką w przybliżeniu hierarchię pisarzy, dzieł i wydarzeń pierwszo- i drugoplanowych, która by znajdowała usprawiedliwienie w ostatnich wynikach badań, poświęconych poszczególnym kwestiom specjalnym.

Postulaty te ściśle zązębiają się z sobą. Od spełnienia ich w dużej mierze zależy celowość wydania nowej historii literatury czy zarysu historii polskiej.

W odniesieniu do książki Wojeńskiego postulaty te nabierają szczególnej wagi — stanowi ona pierwszy zarys historii literatury, który ukazuje się po drugiej wojnie światowej. Dwudziestolecie niepodległości, stanowiące oddzielny okres nie tylko dziejów politycznych, lecz również dziejów literatury — jest już okresem zamkniętym. W czasie drugiej wojny narosły — nie prace naukowe wprawdzie, ale wielkie przemiany w życiu duchowym narodu, które na niejedno ze zjawisk, związanych z wcześniejszymi okresami, każą patrzeć inaczej.

Książka Wojeńskiego w dość dużej mierze uwzględnia sądy i oświetlenia, które ustaliły się w czasie 20-lecia niepodległości, są jednak tu i owdzie luki i niedociągnięcia.

W niedostatecznej na przykład mierze uwzględnia autor badania Kolačzkowskiego nad Wyspiańskim, a niemal wcale nie wykorzystuje badań Kleintera nad Słowackim.

Proporcja rozmiaru rozdziałów, poświęconych poszczególnym okresom, budzi pewne zastrzeżenia. Literaturze staropolskiej poświęcił autor 110 stron, romantyzmowi — ok. 140, pozytywizmowi i naturalizmowi — ok. 55, Młodej Polsce — ok. 85. Jest to proporcja nie odbiegająca, czy też niewiele odbiegająca od tej, która została zastosowana w zarysach historii literatury wydanych przed wojną — proporcja, która dziś już nie oddaje właściwej perspektywy przemian duchowych społeczeństwa ani ewolucji sądów o literaturze — proporcja, która już przed wojną budziła zastrzeżenia, a dziś budzi je tym bardziej.

Większe jeszcze zastrzeżenia budzi ilość miejsca, poświęconego niektórym pisarzom w ramach rozdziałów, odnoszących się do poszczególnych okresów. Czy można na przykład urobić sobie jakikolwiek sąd o Szarzyńskim na podstawie 14-wierszowej notatki o tym pisarzu?

Trzeba powiedzieć na korzyść Wojeńskiego, że ma dar przedstawienia zagadnień w silnych, treściwych skrótach. Dla przykładu — fragmenty, dotyczące Kasprowicza, Przybyszewskiego czy Weyssenhoffa należą do znakomitych; w formie lakonicznej oddają trafnie oblicze omawianych pisarzy. Takich rozdziałów w książce Wojeńskiego jest wiele.

W niektórych jednak wypadkach metoda, przyjęta przez Wojeńskiego zawodzi, a zbyt szczupły rozmiar książki ujemnie odbija się na treści. W wypadkach tych tendencja wypowiedzania się najbardziej zwięzłego idzie w parze z tendencją unikania bardziej wszechstronnych i wnikliwych rozwa-

zań, mimo, że moment dyktuje ich potrzebę. Która z tych tendencji była w toku pisania książki pierwotną, a która wtórna — nie umiałbym odpowiedzieć. Należy wszakże zwrócić uwagę na te niedociągnięcia książki.

Cały ostatni okres twórczości Słowackiego po r. 1842, któremu poświęcił Wojeński zaledwie 4 strony, został potraktowany zbyt pobieżnie, bodaj nawet — powierzchownie. Nie zostały więc wyzyskane nie tylko wyniki badań Kleinera z okresu dwudziestolecia niepodległości, ale nawet znacznie wcześniejsze prace Matuszewskiego czy Paulikowskiego. Zbyt ogólnikowo potraktowane zostały prelekcje paryskie Mickiewicza, podobnie twórczość Norwida. Problematyka „Wesela” jest niedość pogłębiona.

Z uznaniem dla autora natomiast należy podkreślić, że usunął w wielu wypadkach na dalszy plan te dzieła literackie, o których w poprzednich dziełach z zakresu historii literatury rozpisywano się zbyt wiele, które jednak w świetle nowych badań straciły na znaczeniu.

Tendencją, rzucającą się w oczy w tej książce, jest unikanie sądów indywidualnych — takich, które by dopuszczały możliwość dyskusji polemicznych. Tendencja ta jest zarazem wadą i zaletą książki. Wadą, bo łączy się z nią brak pewnych potrzebnych pogłębień — brak, o którym poprzednio wspomniałem. Zaletą, bo odpada całkowicie niebezpieczeństwo narzucania czytelnikowi koncepcji jednostronnych, nieprzemyślanych do końca.

Pragnę w tym miejscu podkreślić, że nie ma w całej książce Wojeńskiego, bodaj ani jednego oświetlenia, na które z punktu widzenia prawdy naukowej nie można by się zgodzić, ani jednego sądu, który by grzeszył brakiem obiektywizmu. Jest to książka rzeczowa w całym słowa znaczeniu — już ten jeden fakt sprawia, że można ją z czystym sumieniem polecić młodzieży wyższych klas szkół średnich i ogółowi czytelników, interesujących się bliżej literaturą.

Pisałem poprzednio, że książka Wojeńskiego nie zaspakaja potrzeb dzisiejszego ogółu czytającego w tym sensie, jak zaspakajała w swoim czasie książka Chmielowskiego potrzeby czytelników ówczesnych. Pragnę jednak teraz dodać: jest to jednak książka chyba niegorsza od wydanej przed wojną dla użytku szkół książki Bruecknera i Kleinera, a na pewno o wiele lepsza od popularnej wśród ogółu polskiego w W. Brytanii książki Wojciechowskiego. Bądź co bądź jest bardziej dostosowana do potrzeb aktualnych, niż książka Chlebowskiego.

Szczupłość miejsca nie pozwala mi na wyczerpujące omówienie zalet tej książki. Wspomnę o nich tylko w ogólności.

Autor rozgraniczył i w sposób racjonalny uszeregował zagadnienia, należące do literatury we właściwym słowa znaczeniu, t. j. do literatury pięknej i zagadnienia, związane z innymi rodzajami piśmiennictwa. W odniesieniu do okresu przedrozbiorowego — w rozgraniczeniu tym wyraża się wyższość książki Wojeńskiego nad książką Chrzanowskiego.

Rozdział, przedstawiający oblicze kultury średniowiecznej w aspekcie ogólnoeuropejskim, umieszczony przed fragmentem, poświęconym początkom kultury polskiej — był bardzo potrzebny.

Książka wyszła w Warszawie w r. 1946. Wojeński, znany przed wojną ze swych przekonań lewicowych, dziś zajmuje wysokie stanowisko w szkolnictwie w kraju. Z prawdziwą przyjemnością jednak podkreślam, że książka zupełnie jest wolna od wszelkich niepożądanych wpływów ubocznych. Bezstronność i pietyzm, z jakim Wojeński odniósł się do pisarzy katolickich tego np. typu, co Cieszkowski, czy pisarzy o światopoglądzie tradycjonalistycznym tego typu co np. Weyssenhoff — budzić muszą pełne uznanie. Problem antagonizmu narodowego polsko-rosyjskiego omówiony został otwarcie. W poglądach Wojeńskiego na kwestie, znajdujące się na pograniczu literatury i dziejów politycznych — nie ma niczego, pod czym nie mógłby się podpisać przeciętny Polak, przebywający poza Krajem.

Styl dobry — przejrzysty i jasny.

J. Żmigrodzki.

Kawecka - Gryczowa A. „Zarys dziejów piśmiennictwa polskiego w Prusach Wschodnich. Warszawa, 1946, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, s. 115 (Biblioteka Popularno-Naukowa. Seria: Ziemie odzyskane).

Aczkolwiek „Zarys dziejów piśmiennictwa polskiego w Prusach Wschodnich” ukazał się w „Bibliotece Popularno-Naukowej” i zalecony jest do bibliotek szkolnych, błędem byłoby wyciąganie stąd wniosku, iż mamy do czynienia z opracowaniem, przeznaczonym dla samouków i młodzieży. Na karb nienormalnych stosunków wydawniczych złożyć należy fakt, że praca dr. Gryczowej ogłoszona była przez PZWS, dysponujące urzędowymi przydziałami papieru, a nie — jak na to w pełni zasługiwała — w serii wydawnictw któregoś z towarzystw naukowych. Plon wydawniczy tych ostatnich jest nadal zadziwiająco niski w zestawieniu z masową produkcją urzędową. „Zarys” sam zyskał to tylko, że odbito go w imponującym nakładzie 10.000 egz.

„Zarys dziejów” ogranicza się, jak wyjaśnia w przedmowie autorka, do obszaru Prus t. zw. Książęcych t. zn. nie obejmuje Warmii, związanej z Polską bliższymi węzłami politycznymi i religijnymi.

Poza popularnym szkicem Emilii Sukertowej-Biedrawiny (1935) jest to pierwsza, na naukową miarę podjęta, próba opracowania tematu. Droge uitorowały autorce studia Kota, Weintrauba, Mocarskiego, Lutmana, „Reformacja” w Polsce i księga pamiątkowa ku czci Mrongowiusza (1933) — by wymienić najważniejsze tylko pozycje. Autorka jednak, skromnie zastrzegając się, że skupia tylko w jedno wyniki prac swych poprzedników, dała tu niewątpliwie coś więcej, niż kompilację. Dr. Gryczowa jest obecnie najlepszą chyba w Polsce znawczynią kancjonalistyki, a temat, podjęty obecnie, dawał jej pełne pole do popisu. Piśmiennictwo Prus Książęcych — od wspaniałych pierwocin do uboższego plonu okresów prześladowań — wyrasta niejako z reformacyjnej rewolucji przeciw łacinie i z zasady języka narodowego w kościele. Przez krótki tylko okres konsekwencje tej zasady wygodne były władcom tej ziemi, czy ureszcie nie kłuły ich zbyt w oczy,

Gotyckie czcionki kancjonałów prędko przestały być „krakowskim szryftem”, zamieniając się w „szwabachę” administracji pruskiej. Dr. Gryczowa śledzi czujnie etapy wiekowej walki o słowo polskie w świątyni od zmięczeniu wieku złotego poprzez lata obrony i noc ucisku i pogardy. Praca to niewdzięczna, boć, prawdą a Bogiem, po okresie świetności reformacyjnej, niewiele pojawia się w Prusach Wschodnich dzieł oryginalnych czy nawet nowych opracowań, a o wartości artystycznej zamilczeć lepiej. Tradycja, będąca motorem owego szczególnego ruchu wydawniczego nakazuje, w rozpaczliwym dążeniu do utrzymania bodaj *status quo* polskości, coraz dalsze i dalsze przedruki ksiąg, do których przywykli jednako dziadowie, ojcowie i wnuki, gorzkim nauczeni doświadczeniem, że bać się należy każdej zmiany. Historyka interesować więc muszą losy owych przedruków, odmianek i uzupełnień, rozrzucenie ich w czasie i przestrzeni, nakłady i wydawcy. Do badań na tym polu predestynowało dr. Gryczową długie terminatorstwo pod okiem nieodżałowanego Kazimierza Piekarskiego i wieloletnia z nim w Bibliotece Narodowej współpraca. Czytając „Zarys dziejów” ma się wrażenie, że wyrósł on z rzuconego przez Mistrza posiewu i osładza mu jego „po żywocie rajski przebyt” w Boskiej już może bibliotece.

Mimo konieczności przystosowania się do warunków wydawnictwa, nie uznającego — zdaje się — przypisów (czyżby aż tak ostry odwrót od tradycyj „Biblioteki Narodowej”, także dla szkół pomyślanej?) i, co gorsza, indeksów — dr. Gryczowa zdołała wprowadzić do pracy swej całą precyzję aparatu bibliograficznego, nie nużąc czytelnika nadmiarem szczegółów. Jest to, pod tym zwłaszcza względem, rozprawka wzorowa.

Na szczególne podkreślenie zasługują nadto wartości językowe książki. Z długiego obcowania z polszczyzną wieku złotego, a w szczególności z polszczyzną Reformacji, wyniosła autorka język bogaty, przejrzysty, oszczędny w ozdoby, a celny i dosadny. Rzadkie to zjawisko w epoce pustej gadatliwości i zaniku poczucia językowego.

M. Danilewiczowa.

Gerlach Jan „Chłopi w obronie Rzeczypospolitej” (Studium o Piechocie Wybranieckiej). Z przedmową prof. F. Bujaka. Biblioteka Dziejów Kultury Wsi T. 9. Lwów 1939. Spółdzielnia wydawnicza „Wies”. s. 254 i 5 ilustr.

Praca Jana Gerlacha o piechocie wybranieckiej, chociaż datowana 1939, dopiero obecnie dotarła do Londynu. Stanowi ona pierwszą obszerną i źródłową pracę na ten wysoce ciekawy temat. Był on oczywiście poruszany w całym szeregu dzieł traktujących o historii wojskowości polskiej lub też o stosunkach gospodarczych w wiekach ubiegłych, lecz monografii jemu poświęconej dotąd nie było. Obszerniej poruszył zagadnienie piechoty wybranieckiej Szymański w „Przeglądzie Poznańskim” (1846 r.) [oraz Stadnicki w obszernym artykule wydrukowanym w „Gazecie Lwowskiej” (1854 r.).

Autor wykorzystał wszelkie, chociażby fragmentaryczne, wiadomości jakie mógł znaleźć w literaturze, ale głównie oparł swą pracę na poszukiwaniach źródłowych. Przystudiował więc Volumina Legum, akta grodzkie i ziemskie, uniwersały królewskie, księgi referendarskie, lustracje dóbr królewskich i t. d.

Żmudne poszukiwania zostały uwieńczone pięknym wynikiem. Praca Gerlacha stanowi zwartą, przejrzystą i doskonalie zbudowaną całość, niewątpliwie wzbogaca ona poważnie naszą literaturę historyczno-wojskową. Doskonale i bardzo szczegółowo są potraktowane strony prawna i gospodarcza zagadnienia, nad nimi widocznie autor najwięcej pracował i najswoobodniej się w tej dziedzinie porusza. Bojowa działalność piechoty wybranieckiej jest poruszona tylko bardzo pobieżnie, może ze względu na trudność lub niemożność znalezienia obszerniejszych źródeł. Właściwie obszerniej mówi tylko o udziale wybrańców w oblężeniu Pskowa i o jednym drobnym epizodzie przypadkowej walki jednej rotacji wybranieckiej z Tatarami.

Książka rozpada się na 5 rozdziałów, w których autor kolejno omawia genezę piechoty wybranieckiej, przepisy o powinności wojskowej wybrańców, ich służbę w obronie Rzeczypospolitej, przyczyny zaniku piechoty wybranieckiej i jej położenie prawne i gospodarcze, przy czym te dwa ostatnie zagadnienia są poruszane nie tylko w rozdziale im poświęconym, ale i w rozdziałach traktujących o innych kwestiach. Wreszcie, w zakończeniu, autor podaje opinie różnych pisarzy politycznych o piechocie wybranieckiej i rozważania na temat jej przypuszczalnej siły liczebnej.

Książka jest zaopatrzona w obfite przypisy, umieszczone przy końcu każdego rozdziału, pozwalające na skontrolowanie poszczególnych twierdzeń autora.

W pracy Gerlacha znajdujemy szereg ciekawych, a mało znanych, lub nawet zgoła dotychczas nieznanymi wiadomości o piechocie wybranieckiej. Że wybrańcy pełnili nie tylko służbę piechurów, ale często również odpowiadającą dzisiejszej pracy saperów, jest rzeczą powszechnie znaną. Mniej znanym faktem jest, że byli oni również powoływani bez broni, w charakterze oddziałów robotniczych (według listu przypowiedniego wydanego Stefanowi Mamoniczowi w r. 1633), oraz że byli też raz przydzieleni do artylerii (w r. 1647). Zupełnie nieznanymi dotychczas szczególnie dziejów wybrańców wydaje się być decyzja wystawienia z pośród nich tysiąca strzelców „jezdnych” i wysłania ich na Podole. Decyzja ta została powzięta na żądanie Pretficza na sejmie konwokacyjnym po śmierci Stefana Batorego.

Ciekawe jest stwierdzenie przez autora bardzo ujemnego ustosunkowania się do wybrańców tych gromad wiejskich, do których oni należeli. Że starostowie i dzierżawcy dóbr królewskich nie żywili sympatii dla piechoty wybranieckiej, jest rzeczą zrozumiałą; ale krzywdy wyrządzane wybrańcom przez współwieśniaków rzucają dość ciekawe światło na ówczesne stosunki we wsiach polskich.

Naogół bardzo dobra praca Jana Gerlacha posiada jednak i swoje strony ujemne. Uderza u autora, piszącego pracę z dziedziny historii wojskowości, brak znajomości jednego z jej działów, mianowicie historii uzbrojenia.

Wskutek tego spotykamy cały szereg rażących błędów. Tak na przykład opisując dardę, broń dziesiętników, daje opis halabardy (szczegółowo omówionej w Encyklopedii Wojskowej, w której jest zresztą i opis dardy). W innym miejscu pisze, że uzbrojenie wybrańców w niczym się nie różniło od uzbrojenia innych piechurów, podając równocześnie jaką mieli broń, przy czym piki nie figurują wcale. Jeśli rzeczywiście wybrańcy nie posiadali pik, to nie było oczywiście i pikinierów, a więc piechota wybraniecka zasadniczo się różniła od innej piechoty tego czasu, która miała zawsze w swych szeregach spory procent pikinierów. W innym znów miejscu autor tłumaczy co oznacza słowo „pólhak” i podaje, że jest to „rodzaj rusznicy z większym otworem rury”. W rzeczywistości półhak to postolet i jest rzeczą zrozumiałą, że mógł go zamiast rusznicy nosić porucznik, a słowa „z większym otworem rury” należałoby zastąpić określeniem „większego kalibru”, co by brzmiało więcej wojskowo. Zresztą półhak bez najmniejszej wątpliwości nigdy nie posiadał „większego otworu rury” niż rusznica. Tego rodzaju nieprzyjemnych, a tak łatwych do uniknięcia błędów jest niestety sporo.

Najgorszym jednak defektem książki Gerlacha jest jej tytuł, zupełnie nie odpowiadający treści. Podtytuł by całkiem wystarczył, gdyż książka jest jedynie studium o piechocie wybranieckiej, a w żadnym wypadku nie jest historią współdziałania chłopów w obronie Rzeczypospolitej. Poza swym nieco niemiłym posmakiem politycznym, tytuł ten krzywdzi włościństwo polskie, udział jego w obronie państwa nie ograniczył się bowiem bynajmniej do służby w piechocie wybranieckiej, której rola znów tak bardzo wybitną nie była. Wystarczy przypomnieć, że w czasie oblężenia Pskowa ilość dezertersów wśród niej wyniosła 21 procent stanu, albo też fakt, że żadnego szczególnie wybitnego czynu wojennego autor jej przypisać nie był w stanie. Chłopi służyli wówczas i w innych rodzajach piechoty, jak również w dragonach i jeździe i raczej tam należałoby szukać ich zasług. Z drugiej znów strony w piechocie wybranieckiej nie służyli sami chłopci. Rotmistrze byli szlachtą z jednym tylko wyjątkiem (Serny — mieszczanin), znaczna część poruczników też do szlachty należała, a i wśród szeregowych byli też szlachcice, o czym autor zresztą wspomina.

Pomimo wymienionych usterek, pracę Jana Gerlacha należy powitać jako dobrą, pożyteczną i wzbogacającą naszą literaturę historyczno-wojskową.

W. Dziewanowski.

Popiołek K. „Trzecie śląskie powstanie”. Katowice, 1946, Wydawnictwa Instytutu Śląskiego, s. 215 + 2 szkice.

Polska literatura o powstaniach śląskich obejmuje prawie że jedynie relacje i wspomnienia uczestników. Niektórzy z nich drukują przytym dokumenty, zresztą w ograniczonej ilości. Brak nieomal że zupełnie prac syntetycznych, a i te, które istnieją, nie są pozbawione osobistej reakcji autorów na opisywane wypadki. Do tej grupy prac syntetycznych zaliczyć można tylko Benisza „Górny Śląsk w walce o polskość” (wyd. w 1930 r.) oraz Dąbrowskiego „Górny Śląsk w walce o zjednoczenie z Polską” (druk. w ro-

ku 1923). Obie te prace nie wyczerpują zagadnienia. Dąbrowski daje właściwie tylko wybór materiałów do powstań z krótką charakterystyką tła i wypadków, a Benisz, choć bezsprzecznie stara się o zachowanie obiektywizmu, nie potrafi — jako wybitny uczestnik powstania i działacz jednej z walczących ze sobą politycznych grup powstańczych — dać bezstronnego obrazu, pominął ponadto zupełnie stronę wojskową i niezausze panował nad materiałem. Wśród grupy relacyj i wspomnień znajduje się szereg cennych; wszystkie jednak mają zabarwienie zbyt subiektywne. Autorzy bądź to starają się udowodnić swą słuszność podczas powstania, bądź też wykazać niesłuszność i szkodliwość postępowania swych przeciwników politycznych. Bezstronnością wśród tej grupy wyróżniają się Ludugi-Laskowskiego „Materiały do historii powstań górnośląskich”, obejmujące tylko dwa pierwsze powstania i stanowiące — jak autor zaznacza — tylko materiały do historii. Najistotniejszą do dziejów politycznych III powstania jest relacja dyktatora Korfantego, drukowaną pt. „Marzenia i zdarzenia” w maju i czerwcu 1931 w formie szeregu polemicznych niestety artykułów. Jej odpowiednik ze strony grupy przeciwnej stanowi wydaństwo „O wolność Śląska” (druk. w 1931 r.) z centralnym syntetycznie ujętym szkicem wspomnień Grażyńskiego. Brakiem tych ciekawych wspomnień jest stronniczość autora, centralnej postaci opozycji w stosunku do Władzy Naczelnej, inspiratora bodajże wszystkich wystąpień politycznych grupy „Wschód”. Uzupełniają te relacje „Wspomnienia i przyczynki do historii III powstania górnośląskiego” Mielżyńskiego, naczelnego wodza powstańców w pierwszym okresie walk, oraz „Wspomnienia z III powstania górnośląskiego” Srokowskiego, delegata rządu polskiego przy Śląskiej Naczelnej Władzy. Mielżyński zajmuje się przeważnie analizą swej działalności, starając się odeprzeć zarzuty, które mu czyniono podczas i po powstaniu. Srokowski podaje „dyplomatyczną” historię powstania, choć nie ujawnia wszystkich znanych mu wiadomości, zajmuje się jednak również stroną polityczną i wojskową, nie szczędząc krytyki Korfantemu, a wręcz ujemnie oceniając posunięcia wojskowe. Dalej już idą tylko opisy pewnych fragmentów: Smogorzewskiego „Sprawa Śląska na konferencji pokojowej”; nieudana praca Benisza o walce o Kędzierzyn; Grzegorzaka „Pierwsze powstanie śląskie” będące autoklambą autora; ciekawa relacja Sołtysówny-Szayerowej „Praca kobiet w służbie czynnej na Śląsku”; relacja Mendoszewskiego o działalności jego podgrupy („Linke” z grupy „Północ”); Piechaczka wspomnienia o walkach grupy południowej; Jasnocha o służbie łączności; Jagielskiego o dowództwie etapów; Murka i Mathea’go o udziale i roli kolejarzy; Jeziorskiego o policji; Kornkego o walkach w Bytomiu; Mastalerza o powiecie gliwicko-toszeckim; Bortha o powstaniu w Królewskiej Hucie; wreszcie dobrze napisane, obiektywne rozprawki Roztworowskiego, drukowane w „Bellonie”, „Taktyczny przebieg III powstania górnośląskiego” i rzeczowa, dająca rys historyczny wojskowych przygotowań powstańczych „Tajna organizacja wojskowa obrony plebiscytu na Górnym Śląsku w r. 1921”. To bodajże mniej więcej wszystko.

Szczególnie brakowało w polskiej historiografii poważnej, syntetycznej pracy, przedstawiającej obiektywnie dzieje powstań śląskich. Lukę tę w za-

kresie III powstania wypełnia znakomicie praca Popiołka, specjalizującego się już przed wojną światową w historii Śląska. Praca ta daje zwięzłą historię polityczną i w pewnej mierze wojskową III powstania. Autor w pełni wykorzystał cały polski materiał drukowany oraz ważniejsze prace niemieckie jak Huelsena, Schrickera, Olbricha, a nade wszystko podstawową, wydaną rok przed ostatnią wojną, książkę gen. Hoefera, dowódcy Selbstschutzu.

Nie wszystko zostało wyjaśnione w pracy Kazimierza Popiołka; winę tu jednak ponosi nie autor lecz niedostępność potrzebnych materiałów. Sprawa powstania w polityce międzynarodowej nie mogła być potraktowana szerzej, gdyż wyjaśniające materiały spoczywają niedostępne w archiwach angielskim i francuskim, a niedostępne były i te również, które wyrażają politykę Rzeczypospolitej. Uzależnienie działań powstańczych od wymogów „diplomacji” także nie mogło być dokładnie przedstawione. Opierać się tu musiał autor na Srokowskim oraz Korfantym, który zresztą raz po raz zaznaczał w swych artykułach, iż nie wszystko może ujawnić ze względu na interesy państwa. Mimo to autor zobrazował stosunek mocarstw zachodnich do powstania, stanowisko Komisji Międzysojuszniczej; powiązał nawet stronę wojskową powstania z polityczną. Dużą trudność stanowiła dla autora — jak można wnioskować z pracy — problem walk wewnętrznych w powstaniu i uchwycenie przeciwieństw między dyktatorem a władzami grupy „Wschód”; w tej dość zawiślanej kwestii autor zachował duży umiar i bezstronność. W przedstawieniu ideologii powstania Kazimierz Popiołek z konieczności oparł się na relacjach i wspomnieniach oraz na artykułach „Powstańca”. W tym ostatnim wypadku — mam wrażenie — autor niesłusznie utożsamia ideologię ogółu powstańców z tą, jaka była reprezentowana przez „Powstańca”, pismo wydawane w pierwszych chwilach powstania przez grupę „Wschód”, a więc lansujące te nastroje, które ożywiały dowództwo tej grupy, a które niezawsze były zgodne z tendencjami kół grupujących się wokół Władzy Naczelnej, a następnie przejęte przez Naczelną Komendę Wojsk Powstańczych, a więc znowu wyrażające nastroje tylko pewnej grupy wyższej. Trzeba przytym pamiętać, iż oficjalne pismo wojskowe podaje to tylko, co dane władze wojskowe uważają za stosowne. Pewne światło na „Powstańca” — jako źródła do historii powstania — mogłyby rzucić akta archiwum tego pisma, niestety nie były one dla autora dostępne. Sprawa celów i zadań powstania i jego ideologii, z czym wiąże się specjalny dla powstań śląskich ich charakter robotniczo-ludowy, będzie musiała być przedmiotem niejednego zapewne specjalnego studium, a to ze względu na swe znaczenie nie tylko naukowo-historyczne lecz i narodowo-państwowe. W przedstawieniu polskich działań wojskowych autor oparł się głównie na Roztworowskim, gdyż odpowiednie źródła były dla niego niedostępne. Stąd pewne niedociągnięcia, jak np. zupełne prawie pominięcie działalności oddziałów t.zw. destrukcyjnych.

Luki w pracy Kazimierza Popiołka wynikają z niedostateczności materiałów aktowych. Akta III powstania śląskiego nie zostały dotychczas opracowane i wykorzystane. Badacze nie mieli do nich właściwie dostępu, gdyż dopiero przed wojną światową zakończone było ich gromadzenie i porządkowanie w archiwum Wojskowym w Warszawie. Akta te wykorzystane

zostały w pewnej mierze w artykułach o powstaniach śląskich, które były drukowane w ostatnim zeszycie przerwanoego przez wypadki wojenne wydawnictwa Encyklopedia Wojskowa. Szkoda, iż autor „Trzeciego powstania śląskiego” nie zna tych artykułów, znalazłby tu pewien materiał uzupełniający zarówno do strony politycznej jak i wojskowej powstania.

Większość akt powstań śląskich ostała się zawierusze wojennej. Akta Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych, dowództw wszystkich trzech grup i szeregu innych dowództw i instytucyj zarówno jak i cały zbiór niedrukowanych urzędowych sprawozdań z działalności, pisanych jeszcze na rozkaz N. K. W. P. z czerwca 1921, oraz relacj (a w tym cenne bardzo obszerne wspomnienia Puszczynskiego-Wawelberga) zostały ewakuowane we wrześniu 1939 r. zagranicę i bezpiecznie przetrwały. Duża część akt innych — w tym wspomniane archiwum „Powstańca” — pozostała w Archiwum Wojskowym w Warszawie, skąd została wywieziona przez Niemców i teraz winna wraz z innymi odnalezionymi aktami Archiwum Wojskowego znajdować się w Gdańsku.

Wykorzystanie materiałów archiwalnych do powstań śląskich zasadniczo jest możliwe i należy wierzyć, iż zostaną one w przyszłości udostępnione badaczom i pomogą w rozplątaniu niejasnych momentów tego ze wszech miar narodowo i społecznie interesującego zrywu powstańczego.

Oppman

Chałasiński J. „Społeczna genealogia inteligencji polskiej”. Prace Polskiego Instytutu Socjologicznego. Studium problemów chłopskich i robotniczych. I. Warszawa, 1946. „Czytelnik”. s. 84.

Książka prof. Chałasińskiego o „Społecznej genealogii inteligencji polskiej” jest rozwinięciem i uzupełnieniem jego głośnego wykładu inauguracyjnego Uniwersytet Łódzki namiętnym atakiem na polską inteligencję i na polską przeszłość intelektualną, ze szczególnie dotkliwym szyderstwem w stosunku do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Taka inauguracja była, jak się zdaje, świadomym wylamaniem muru obyczajowego „getta” świata nauki polskiej, a sprawy jej miała wyprowadzić na ulicę. Książka pojawia się też jako pierwsza publikacja z serii prac Polskiego Instytutu Socjologicznego, zatytułowanej „Studium problemów chłopskich i robotniczych”. Jest więc inauguracyjną podwójnie. Stanowi pewne wydarzenie należące do historii bieżącej, którą „Teki Historyczne” się nie zajmują; skoro jednak pod firmą instytutu socjologicznego mówi o genealogii społecznej pewnej warstwy czy grupy naszego społeczeństwa, wkracza tematem w dziedzinę nauk historycznych. Należałoby się też spodziewać, że przyniesie definicję tego zjawiska społecznego, jakim jest inteligencja, zanalizuje jego pojęcie, poda pochodzenie jego nazwy, że w oparciu o dane zaczerpnięte z historii określi czas formowania się tej grupy społecznej u nas, jej skład i przeobrażenia w nim, jej charakter i rolę w różnych okresach. Kwestie te, wyjąwszy dorywczo

potraktowaną ostatnią, zostały pominięte w pracy prof. Chałasińskiego. Oczywiście, by odpowiedzieć na nie, potrzebna socjologowi solidna wiedza historyczna o tym, jak to na prawdę było. Prof. Chałasiński uprawia, jak się zdaje, rodzaj socjologii, obywający się bez takiej historycznej podmurówki. Orzeka, że inteligencja polska końca XIX w. jest „kontynuatorką stanu szlacheckiego” i stanowi „produkt uboczny przekształcania się przedkapitalistycznej Polski szlachecko-ziemiańskiej, rolniczo-wiejskiej Polski pańszczyźnianego folwarku-dworu, w Polskę kapitalistyczną, miejską i przemysłową”, po czym charakteryzuje inteligenta polskiego jako „rezydenta obcego kapitalizmu w Polsce, tak, jak przedtem był rezydentem folwarku-dworu pańszczyźnianego”; uparcie też powtarza tezę, że trzon inteligencji „nie powstał w drodze społecznego awansu emancypujących się mas ludowych, lecz z emigrantów dworu ziemiańskiego i szlacheckiego folwarku”, słowem, że inteligencja jest produktem „degradacji społeczno-politycznej” rzesz ziemiańskich. Cokolwiek też o inteligencji polskiej ostro i gorzko mówili i pisali jej świetni przedstawiciele, jak Świętochowski, Krzywicki, Żeromski, Dmowski czy Brzozowski i cały legion innych, bijąc w kastowość, snobizm, sobkostwo, duchowy marazm, społeczny indyferentyzm, zebrał prof. Chałasiński, dając obraz nieco dziwny, z którego by wynikało, że miarodajne dla duchowego życia inteligencji polskiej są wypowiedzi Ludwika Górskiego, a Stanisław Tarnowski sztandarową jej osobistością.

Pragnęlibyśmy porozumieć się co do pojęcia inteligencji. Wydaje nam się zgodnie z prof. Chałasińskim, że idzie o „swoistą warstwę społeczną”. Możliwy byłaby zaryzykować definicję: inteligencja jest to elita pracowników umysłowych, świadomie wyodrębniająca się od innych grup społecznych. Nazwa, niewątpliwie z Rosji pochodząca, występuje późno: u nas dopiero, jak się zdaje, w latach osmdziesiątych. Ale zjawisko samo sięga korzeniami doby stanisławowskiej, istnieje za Księstwa i Królestwa. Wyłonienie się „inteligencji” nie jest zjawiskiem powszechnym, ani istnienie jej jako grupy zwartej, odrębnej, czymś stałym. W wielu społeczeństwach pracownicy umysłowi organicznie są zrośnięci z różnymi warstwami „Middle Classes”, „bourgeoisie”, „Buergetum”. U nas, jak u naszych wschodnich czy południowych sąsiadów, wyodrębnienie się inteligencji było wynikiem modernizowania się życia państwowego, kulturalnego i społecznego w czasie, gdy odradzanie się miast dopiero się zaczynało, a rozwój kapitalizmu był opóźniony w stosunku do Zachodu.

To wyodrębnienie się inteligencji musiało być produktem procesu, dokonyującego się w świadomości zbiorowej. Można śledzić objawy tego procesu i jego stadia. Ale trzeba w tym celu pójść śladem badań Tokarza nad podziemną Warszawą 1793–4, Askenazego, Mościckiego, Handlsmanna nad wolnomularstwem, związkiem republikańców, wolnomularstwem narodowym, kosynierami, węglarstwem w okresie od trzeciego rozbioru po rewolucję listopadową. Była tendencja, przeważająca na Wielkim Sejmie, by otworzyć pracownikom umysłowym na oścież wrota do prerogatyw „stanu rycerskiego” i każdą zasługę, każdy talent opieczętować herbowym sygnetem — koncepcja spóźniona polskiej „noblesse de robe et d’epée”. Tymczasem jednak aspiracje elity intelektualnej naszej u schyłku Rzplitej i we wczesnej

dobie porozbiorowej nie zmierzały już ku społecznemu wyniesieniu wśród szlachty — ziemiaństwa, ani zresztą ku zespoleniu z mieszczaństwem. Jej patronowie duchowi to Kołłątaj, Staszic, Kościuszko, których cała postawa duchowa jest przeciwstawna tradycji szlachecko-ziemiańskiej. Życie ideowe tej formującej się nowej grupy społecznej zmierza stopniowo, analogicznie do ewolucji kół intelektualnych zachodu, coraz dalej w kierunku wolnościowym i demokratycznym. Można z uporem powtarzać, że to przeważnie szlachta z pochodzenia. Należałoby temu truizmowi przeciwstawić sztandarowe dla poszczególnych pokoleń inteligencji nazwiska Staszica, Lelewela, Marcinkowskiego, Libelta i Smolki. Należałoby odróżnić pochodzenie szlacheckie od przynależności do warstwy ziemiańskiej: Mickiewicz i Słowacki, nauczyciel gimnazjalny, syn adwokata i urzędnik ministerialny, syn profesora, to przecież inteligenci sensu strictissimo. Oczywiście, większość ludzi czynnych w ówczesnym życiu narodowym wyszła ze wsi, jest z nią związana. Prof. Chałasiński powie o niej, że „tkwi w pańszczyźnianym folwarku”. Istotnie, u wszystkich prawie politycznie przebudzonych i czynnych przedstawicieli inteligencji folwark pańszczyźniany to wyrzut sumienia, bólarzka, problemat domagający się rozwiązania. Dla wielu jest to tragiczny kompleks winy, wołającej o ekspiację. Autor mówi o „prometeizmie” niektórych inteligentów, jako zjawisku sporadycznym u schyłku XIX w. Ależ ta „prometejska” postawa inteligencji jest znamiennej dla naszego życia ideowego i dziejów naszych spiskowo-powstaniowych od czasów kongresowych aż po powstanie styczniowe. Jest to postawa rewolucyjna w stosunku do rządów zaborczych, ale także w stosunku do społecznego stanu rzeczy w Polsce. Inteligencja polska uczestniczy w tej „Revolution of Intellectuals”, którą tak przenikliwie zanalizował prof. Namier w swej świetnej książce o 1848 roku.

Zjawiska te zdają się nie istnieć dla prof. Chałasińskiego. Nie wiąże się też dlań to, co wyczytał o marnieniu duchowym inteligencji w późniejszych dziesięcioleciach z prostracją duchową, wywołaną przez klęskę, z „wygaśnięciem ogni”. Oczywiście, inteligencja, która w tym czasie otrzymuje tę nazwę, traci za to siłę motoryczną. Przed 1863 rokiem cała niemal ogarnięta jednym stronnictwem „ruchu”, „czerwonym”, demokratycznym, teraz demokratyzuje się potężnie co do składu (zwłaszcza w Galicji), ale ulega ideowej dekompozycji i pogrąża się w bezwładzie. Z walczącej grupy społecznej staje się poprostu środowiskiem. Gdy znów wyłonią się z niej ośrodki motoryczne ruchów społecznych i politycznych, już będą one wyrazem nowych zagadnień i ścierających się ze sobą prądów. W nowoczesnej Polsce u schyłku XIX i w XX w. inteligencja nie stanowiła obozu i była obecna i czynna w różnych obozach. Autor zarzuca jej rzekomo arystokratyczny styl życia i zamykanie się w towarzyskim getto. Sprawa ta prosiłaby się o studium komparatystyczne. Nieco porównania ze stylem życia kół oświeconych zachodu. Wartoby się przyjrzeć, jak to wyglądał n. p. w życiu angielskim. Jak w nim wytworzył się styl towarzyskiego życia. O ile zamknięte są w sobie różne grupy społeczne. Jak człowiek tu instynktownie trzyma się własnego środowiska, unika wejścia w cudze. Warto zajrzeć choćby do świetnej książki prof. Madariaga, „Englishmen, Frenchmen and Spaniards”. Nie

idzie o pochwałę stanu rzeczy, jaki był u nas czy jest gdzieindziej. Idzie o to, że nie był wcale zjawiskiem wyjątkowym, ani specyficznie polskim.

Prof. Chałasiński czyni zarzut, dość szczegółowy po wszystkich, czego byliśmy świadkami w sześcioleciu drugiej wojny światowej, że „europejskość, to dla inteligencji polskiej problem hedonistycznej konsumpcji, a nie zbiorowego trudu”, że „inteligencja polska stwarza klimat moralny, który nie wyzwała z chłopów i robotników poczucia godności i pierwiastków heroizmu, lecz przeciwnie te pierwiastki tłumii”. Jak to było z tą „hedonistyczną konsumpcją” dóbr kulturalnych i z tłumieniem pierwiastków bohaterstwa, odpowiedź socjologowi mogłaby dać statystyka: straconych, wymordowanych, zamęczonych, więzionych, zesłanych, poległych i rannych w boju, analiza składu sił walczących w kraju i na obczyźnie; pokąd taka statystyka nie stwierdzi czegoś odmiennego, możemy, opierając się na własnej obserwacji faktów, stwierdzić, że rola inteligencji była nie mniej ofiarna jak w dobie powstaniowej, i że tym razem nie było przedziału pomiędzy nią a masą ludową, ale zespolenie zupełne. „Bezdziewkowy zlepek, a nie organiczna całość nowoczesnego narodu” — pisze prof. Chałasiński. Śmiała ta teza zdaje się urągać rzeczywistości; autor nie postarał się jej udowodnić.

Rzecz prof. Chałasińskiego wywołała żywą dyskusję; oby dała również asumpt do prawdziwie naukowych badań nad tym zagadnieniem. Oby też sztydły „Instytutu” i „Studiów” reprezentowały w przyszłości wysiłki uczonych, nacechowane rzetelnością poznawczą w służbie prawdy.

M. Kukiel.

Lepszy K. „Dzieje floty polskiej”, Gdańsk—Bydgoszcz—Szczecin, 1947, Wyd. Instytutu Bałtyckiego, s. XIV + 351 + 3 nlb.

Dzieje floty polskiej prof. Kazimierza Lepszego są nader cennym uzupełnieniem naszej niebogatej literatury morskiej. Na podstawie własnych, źródłowych badań historycznych i w oparciu o wcześniejsze prace innych pisarzy, w szczególności dr. Stanisława Bodniaka, autor daje jasny i zajmujący opis poczynąń Polski na morzu od zarania dziejów Rzeczypospolitej aż do czasów powstania 1863 roku.

W szczególności ważne są rozdziały o operacjach morskich w wojnie trzynastoletniej za Kazimierza Jagiellończyka z udziałem polskich zaciężnych oraz o wystąpieniu kaprów w służbie królewskiej już za Zygmunta I, przez co początek naszej marynarki wojennej cofa się, w porównaniu z książką Czołowskiego, o całe pokolenie. Także historia marynarki za Zygmunta Augusta i później odtworzona została tu o wiele dokładniej; występuje wyraźniej ciągłość jej istnienia i polityki morskiej królów aż po czasy Władysława IV.

Książka ta stanowi pożyteczny podręcznik zarówno dla badacza historii, polityka, miłośnika morza, lub marynarza nieobojętnego dla dziejów rodzimej floty.

Przed wydaniem nowego nakładu — oby jak najprędzej — należałoby podać fachowej rewizji rozdział drugi o okrętach i nawigacji, w którym znajduje się sporo błędów i niedociągnięć terminologicznych. Poza tym niewystarczającą wydaje się mapa Wybrzeża Polskiego; wartość dzieła zyskałaby jeszcze przez dodanie mapy poglądowej całego Bałtyku.

Nasuują się następujące szczegółowe uwagi.

Co do ożaglowania galer śródziemnomorskich (str. 9—10) — trójkątny, t. zn. łaciński żagiel galer śródziemnomorskich umożliwiał żaglowanie „przed wietrze” a przez to poruszanie się przeciwko wiatrowi, lawirując zakosami. Został on wprowadzony przez Arabów i wypchnął poprzeczny rejowy żagiel czasów rzymskich i średniowiecza, zdalny tylko do poruszania się „przed wiatrem”. Te same żagle, w niezmienionej postaci, są dziś jeszcze w powszechnym użyciu na statkach rybackich i przybrzeżnych południowej Francji, we Włoszech i na Morzu Czerwonym.

Co do łodzi Wikingów (str. 10) — teza, by była ona przede wszystkim żaglowcem, jest nie do utrzymania.

Cała konstrukcja łodzi Wikingów wskazuje na to, że były one przeznaczone dla poruchu wiosłami, w pierwszym rzędzie. Nie potrzebowały one mieć dużej stateczności, bo poprzeczny, niewielki stosunkowo, żagiel rejowy mógł być użyty tylko przy tylnym wietrze. Sępka nie była „wydatnia” a raczej niewysoka, bowiem łodzie Wikingów często wyciągano na brzeg. Zresztą sępka (za wyjątkiem specjalnych konstrukcji, jak np. nowocześniejszych jachtów żaglowych) wcale nie powiększa stateczności statku.

Jest nieprawdopodobne, żeby przeciętna szybkość, z którą replika łodzi Wikingów przepłynęła Atlantyk, mogła wynosić aż 11 węzłów. Przecież największa szybkość, którą zdołały rozwinąć sławne pasażerskie żaglowce transatlantyckie w połowie zeszłego stulecia (t. zw. clippers), na rejsach z Ameryki do Europy, t. j. przy wiatrach zachodnich, wynosiła 14 węzłów.

Z późniejszymi nadbudówkami na statkach autor łączy (str. 12) względem ich stateczność. W polskiej terminologii morskiej rozumie się pod wyrazem „stateczność” opór, który przeciwstawia statek przechyłowemu w bok, więc przeciwko przewróceniu go. Rozbudowa nadbudówek wzwyż nie mogła za tym wpłynąć na powiększenie stateczności, a przeciwnie, obniża ją.

Co do wpływu szerokości statku na jego stateczność (str. 13) należy zaznaczyć, że im szerszy statek (w stosunku do swej długości) tym stateczniejszy, t. j. większy opór stawia przeciwko przechyleniu go w bok przez siłę zeunętrzną. Wydaje się, że zachodzi nieporozumienie i że autor w tym wypadku rozumie pod „stateczność” zdolność statku do łatwego trzymania prostego kursu bez zbędnej ingerencji steru.

Niezrozumiałe jest również następne zdanie o „głębokości” statku. Przypuszczalnie autor ma na myśli zagłębienie, lub zanurzenie statku. Jeżeli tak jest, to trzeba zaznaczyć, że statek szeroki o małym zanurzeniu może mieć większą stateczność (być „sztywniejszy”) od wąskiego o dużym zanurzeniu.

Co do budownictwa karawelowego i flotylli Kolumba (str. 14) trzeba wyjaśnić, że składała się ona z trzech statków. Największy, „Santa Maria”, okręt flagowy Kolumba, oraz mniejsze, „Nina” i „Pinta”. Wiemy, że wszyst-

kie trzy statki posiadały poszycie typu karawelowego. Jeżeli chodzi o nazwę typu statków, to właśnie „Santa Maria” była karawelem, te dwa mniejsze zaś pinkami lub pintami.

Zaznaczyć też trzeba, że użyty przez autora termin „masztowiec” nie istnieje. Może być tylko jedno-, dwu-, trójmasztowiec i t. p.

Skoro przy omaszowaniu karawel mowa (str. 17) o wantach, należałoby również wymienić sztagi, tak samo ważne dla umacniania masztu jak wanty.

Okręt „Henry Grace à Dieu” (str. 20—1) nie był skazany na żaglowanie jedynie z wiatrem. Był on zdolny do żaglowania przy wietrze i lawirowania. Na to wskazuje ilość masztów i żagle łacińskie.

Rozmieszczenie artylerii na okręcie (str. 23) nie powiększa, samo przez się, celności strzałów armatnich. Celność zależy od konstrukcji samego działa i jego podwozia, oraz od ładunku.

Wygięte na zewnątrz burty drewnianych żaglowców wojennych przyjęły się powszechnie dla budowy wszystkich większych okrętów mających działa ustawione wzdłuż burt, w kilku piętrach. Przez wzgląd na stateczność (przeciwko przechyłom) najcięższe działa stały na najniższym pokładzie, lżejsze na górnych. Silne wygięcie burt od góry do dołu powiększało szerokość kadłuba w linii wodnej, co powiększało jeszcze stateczność. Fakt, że brzechate burty utrudniały abordaż był raczej pożądanym zjawiskiem wtórnym, ale nie powodem do wprowadzenia takiej konstrukcji.

Gdańskie urządzenia portowe (str. 26) nie były „dokami”. Pod angielskim terminem fachowym „dock” rozumie się basen, w postaci zamkniętej komory, dla postoju statków na wodach z pływami o dużej różnicy poziomu. Na Morzu Bałtyckim, gdzie pływów nie ma, takie urządzenia nie są potrzebne. Doki remontowe, do podniesienia statków z wody celem naprawy i czyszczenia dna, spotykamy dopiero w nowszych czasach. Wobec tego należałoby w danym wypadku mówić o „stoczniach” lub „warsztatach portowych”.

Toż samo tyczy się wzmianek późniejszych (str. 130, 132—3, 246).

Sztuka oznaczenia pozycji statku na morzu (str. 32) z obserwacji głębokości, rodzaju dna i t. p. jest i dziś jeszcze rozpowszechniona wśród pilotów, rybaków i marynarzy statków przybrzeżnych wszystkich narodów morskich.

Okręt „Jaegermeister” (str. 77) nie mógł mieć więcej jak 200—300 ludzi stałej załogi. Wyporność tego okrętu nie przekraczała 800 ton, była raczej mniejsza, wobec czego podaną liczbę załogi 1100 ludzi należy odrzucić jako niewiarygodną. W razie przewozu wojska do desantów liczba zaokrętowanych osób mogła być, na krótki czas, znacznie powiększona kosztem ograniczenia (czasowego) gotowości manewrowej i bojowej okrętu.

To samo tyczy się liczebności załóg okrętów „Engel” i „Morian” (na str. 78).

Podana (str. 79) ilość 170 dział na okręcie 400—800 ton wyporności jest niewiarygodna, chyba, że obejmuje broń ręczną palną zaokrętowanych żołnierzy. Najwyżej 40 armat dałoby się ustawić na takim okręcie.

Z nieco mętnego opisu końcowych robót przy galeonie można by wywnioskować, że przed spuszczeniem okrętu na wodę poddano kadłub próbie szczelności przez napełnienie go wodą (co jest i dziś jeszcze praktykowane).

Po próbie trzeba było oczywiście wodę wypuścić przez dziury w tym celu wiercone we dnie, które przed spuszczeniem statku na wodę zostały uszczelnione. Stąd podane w opisie 12 nieco tajemniczych „rurek”.

Działa okrętowe (str. 242) były zaszeregowane według wagi ich pocisków. W danym wypadku więc mowa o działach 9-cio funtowych.

Cały opis bitwy pod Oliwą stanie się zrozumialszy, jeżeli się zauważy, że flota polska od samego początku bitwy była w posiadaniu korzystnej dla niej pozycji „nawietrznej” w stosunku do szwedzkiej floty. Słusznie więc twierdzi autor, że Szwedzi albo dali się zaskoczyć, albo też lekceważyli sobie przeciwnika. Inaczej bowiem byłiby uniknęli starcia przez manewr odwrotowy.

J. Unrug.

„Roczniki Historyczne”, Organ Towarzystwa Miłośników Historii w Poznaniu pod redakcją Kazimierza Tymienieckiego i Zygmunta Wojciechowskiego. Rocznik XV, z. 2. Poznań 1946.

Jesteśmy w posiadaniu zeszytu drugiego XV rocznika poznańskich „Roczników Historycznych”. Zeszyt pierwszy wydany został jeszcze przed wybuchem wojny; drugi zaś, mający zamknąć piętnastolecie pisma, już nie zdążył ukazać się w druku.

W artykule p. t. „Piętnaście lat „Roczników Historycznych”, pióra prof. Uniu. Poznańskiego dra Kazimierza Tymienieckiego, redaktora „Roczników Historycznych” od chwili ich powstania, czytamy: „We wrześniu r. 1939 Roczniki Historyczne podzieliły los wszystkich innych wydawnictw naukowych polskich. Trudność skompletowania dziś wszystkich piętnastu roczników wskazuje na to, że na terenie Poznania wydawnictwo to należało do świadomie niszczonego przez Niemców. Zapowiedzią tego były już niektóre epizody z przesłuchania w „Gestapo” redaktora „Roczników” w dniu 5 października 1939 r. bezpośrednio przed jego uwięzieniem”.

Wspomniany artykuł został napisany z okazji piętnastej rocznicy „Roczników” (1925–1939) i został umieszczony w zeszycie drugim XV r. „Roczników Historycznych”. Przedstawia on w doskonale ujętym syntetycznym skrócie cały dorobek naukowy tego ze wszech miar poważnego i wszechstronnego pisma historycznego, oraz charakteryzuje cele i zadania, jakim pismo to miało służyć. Przegląd artykułów umieszczonych na łamach „Roczników Historycznych” wskazuje dobitnie, że w pierwszym rządzie położono nacisk na sprawy związane z naszymi ziemiami zachodnimi, a ponadto zajęto się także sprawami dotyczącymi całości Rzeczypospolitej oraz sprawami odnoszącymi się do całokształtu nauki historycznej.

Jak się „Roczniki Historyczne” wywiązały z tego, niechaj dowodem będą te liczne prace historyków polskich zarówno starszej jak i młodszej generacji, zamieszczone tam w ciągu omawianego piętnastolecia.

Jak już zaznaczyliśmy, dysponujemy jedynie zeszytem drugim ostatniego rocznika i wyłącznie do tego zeszytu ograniczyć musimy niniejsze omó-

wienie. Warto jednak, na podstawie posiadanego spisu zawartości całego rocznika, poinformować czytelników, co zawierał zeszyt pierwszy „Roczników”. Otóż w dziale rozpraw znalazły się artykuły Karola Buczka „O dokumencie biskupstwa praskiego z r. 1086”, Witolda Jakóbczyka „Pierwsze Centralne Towarzystwo Rolnicze w Poznańskim” oraz pierwsza część pracy Antoniego Lauferskiego p. t. „Ludność wiejska powiatu pyzdrowskiego w świetle zapisek sądowych XIV i XV wieku”.

W dziale „Drobne prace i materiały” znalazł się artykuł Jana Baumgarta „Historia i zawartość archiwum ksiąząt Sulkówskich w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk”.

Przy sposobności musimy nadmienić, że Archiwum to już nie istnieje. Przeniesione przez Niemców za czasów okupacji do Archiwum Państwowego na Górze Przemysława w Poznaniu, zostało ono spalone w walkach o Poznań w roku 1945.

Zeszyt drugi „Roczników Historycznych” ukazał się ponownie w bieżącym roku, po długiej przymusowej wojennej przerwie. Większość artykułów nosi datę 1939 roku. Szczęśliwym trafem, mimo zmiennych losów redaktora pisma, zachowały się one i dziś stanowią jakby pomost pomiędzy dwoma okresami w dziejach nie tylko samego wydawnictwa, lecz także w dziejach polskiej nauki historycznej.

W omawianym zeszycie zasługuje na szczególną uwagę rozprawa z dziedziny teorii i metody historycznej p. t. „Historia i prehistoria” prof. K. Tymienieckiego. Celem autora jest wszczęcie dyskusji w sprawie współpracy historii i prehistorii. Rozwój prehistorii, jako samodzielnej nauki, został już bardzo daleko posunięty. Materiały prehistoryczne są już tak bogate, że przerastają wielokrotnie materiały historyczne. Idzie o to, by wykorzystać je należycie dla celów historii, bo przedmiot zarówno historii jak i prehistorii jest właściwie ten sam. W szczególności badania wczesnohistoryczne nie dadzą się już dziś pomyśleć bez uciekania się do wyników badań prehistorycznych. Skąpość materiału historycznego dla tego okresu może być jedynie uzupełniona przez obfitszy materiał prehistoryczny.

Artykuł ten, mimo że został przygotowany w 1939 roku, nie stracił i dziś na ważności. Szczęśliwym zbiegiem wezwanie do współpracy przychodzi nie tylko ze strony historyków, ale również od prehistoryków. Zwracamy tu uwagę na artykuł prof. Sulimirskiego p. t. „Badania prehistoryczne a zagadnienia genezy narodu”, który ukazał się w zeszycie pierwszym „Tek Historycznych”.

Do zagadnienia połączenia metod prehistorycznych i historycznych powraca prof. Tymieniecki w tym samym zeszycie „Roczników Historycznych” omawiając pracę dra Władysława Kowalenki p. t. „Grody i osadnictwo grodowe Wielkopolski wczesnohistorycznej”. Połączenie tych dwóch metod w pracy badawczej autor recenzji uważa za bardzo szczęśliwe, mimo iż nie chce zamykać oczu, że przy znacznym wyspecjalizowaniu się badań w chwili obecnej, mogą się nawinąć przeszkody utrudniające łączenie tych dwóch dyscyplin naukowych.

Antoni Lauferski ogłosił drugą część swej pracy p. t. „Ludność wiejska powiatu pyzdrowskiego w świetle zapisek sądowych XIV i XV wieku”. Zaj-

muje się on tutaj rozważaniami na temat uwarstwienia ludności wiejskiej w tym powiecie, jej uposażeniem i powinnościami. (Część pierwsza poświęcona była udziałowi kmieci w sądownictwie publicznym, układowi ziemskiemu i wolności osobistej kmiecia).

Na podstawie bardzo obfitego materiału, jakkolwiek jednostronnego, bo opartego jedynie na zapiskach sądowych, autor zdołał pogłębić wyniki badań innych historyków w zakresie tego samego zagadnienia i tego samego okresu. Sytuacja kmiecia, według autora, była w tym czasie na ogół pomyslna i wszystko wskazuje na to, że zobowiązania kmiecia jako czynszownika w stosunku do pana nie mają charakteru przytwierdzenia kmiecia do roli.

W dziale „Drobne prace i materiały” Adam Wolff zamieszcza „Wiadomość o skartabellacie”, a prof. Roman Pollak drukuje ciekawe materiały biograficzne p. t. „Samuel Twardowski w kaliskich aktach grodzkich”. Podane nowe daty i szczegóły dotyczące Samuela Twardowskiego, poety z XVII wieku, przyczynić się mogą do dalszych badań i prac nad jego życiorysem, który ze względu na duże luki w zebranych materiale dotychczas ukażać się nie mógł.

Liczny dział recenzji, w którym zostały omówione prace prof. Wojciechowskiego, Kowalenki, Jedlickiego, Jaenichena, Kasiske'go, Williaume'a, Szafrąńskiego i inn., oraz wspomnienia pośmierne o prof. Kazimierzu Chodynickim, Januszu Staszewskim i Sylwestrze Machnikowskim, związanymi swoją działalnością naukową tak ściśle zarówno z terenem Wielkopolski jak i samymi „Rocznikami Historycznymi” — zamykają ten, pod każdym względem ciekawy, zeszyt „Roczników Historycznych”.

M. Różycki.

III. POLEMIKA

Szanowny Panie Redaktorze,

Zamieszczony w nrze 2 „Tek Historycznych” artykuł p. A. F. Dygnasa — bardzo interesujący, bogaty w informacje i trafne spostrzeżenia o polskich i brytyjskich studiach nad historią powszechną — nie wydaje mi się sprawiedliwy w stosunku do historiografii polskiej — a może i brytyjską nieco krzywdzi. Idzie o redukcję dorobku historyków polskich (a po trosze i brytyjskich) w dziedzinie historii powszechnej. Winne tu błędne, moim zdaniem, kryterium, wyłączające z pojęcia historii powszechnej „stosunki łączące kraj ojczysty z innymi”, przez co zakres tematów w historii powszechnej ograniczałyby się do spraw odległych czasowo lub przestrzennie. Dlatego zapewne nie wspomniane tu nawet nazwisko Askenazego, który pierwszy z historyków polskich dziejów nowożytnych na taką skalę badaniami ogarniał „dwa stulecia” dziejów Europy, a w wielkim dziele o Napoleonie i Pol-

sce posunął naprzód badania nad polityką Francji rewolucyjnej i Dyrektoriatu, nad Napoleonem i jego młodością i nad całością spraw europejskich 1793—1805, nie tylko zaś nad dziejami Polski. Podobnie wykluczone zostały wszelkie pozycje, gdzie przychodzi w tytule nazwa „Polska”. Tak obok dzieła Askenazego zgubiła się książka Handelsmana „Napoleon et la Pologne 1806—7”, Feldmana „Bismarck a Polska”, Konopczyńskiego „Fryderyk Wielki a Polska”, Kipy „Gentz i Polska” — wszystkie należące tematycznie do historii powszechnej już ze względu na osobistości, występujące w nich jako działające podmioty.

Podobnież nie wydaje mi się trafne eliminowanie wszystkich dzieł i studiów o sprawie polskiej w polityce mocarstw europejskich. Tak pominięte zostały książki rzucające nowe zupełnie światło na pewne momenty dziejów Europy, jak np. Wawrzkowicza „Anglia a sprawa polska 1813—5”, Feldmana „Sprawa polska w roku 1848”. Wina tytułów? Zapewne. W obu wypadkach autorzy mogli byli, treści nie zmieniając, inaczej temat zakreślić tytułem — mógł Wawrzkowicz nazwać swą książkę „Anglia i Aleksander I 1813-5”, Feldman — „Sprawa wojny z Rosją o wolność narodów w roku 1848”. Czy za tę cenę książki ich byłyby awansowane do „historiografii powszechnej”? Ale już nawet przyjęte kryterium nie uzasadnia pominięcia takich pozycji jak Jana Dąbrowskiego „Władysław Jagiellończyk na Węgrzech” (należąca tematycznie do historii Węgier), jak Szelągowskiego „Walka o Bałtyk”, jak Loreta „Kościół katolicki i Katarzyna II”, jak liczne studia i szkice Askenazego (w „Dwóch stuleciach”, „Wczasach Historycznych” etc).

Tak eliminując pozycje bibliograficzne doszedł autor do tego, że dopiero w M. Handelmanie widzi pierwszego w nauce polskiej „oficjalnego przedstawiciela” historii powszechnej. Skoro jednak wykreślił z jego dorobku „Napoleon et la Pologne”, „Czartoryski et Nicolas I” i wszystko, co Polską zatraćcało, martwi się, że pozostało parę szkiców z wczesnego średniowiecza i o Coli Reinzi’m i — „ani jednej większej pracy”. Kryterium jego stanowi, jak widzimy, krzywe zwierciadło.

Nie trafia też do przekonania postawiony historiografii polskiej zarzut „zwięzienia pola widzenia”. Gdy idzie o prymat naszych własnych dziejów w dorobku badawczym i pisarskim, pamiętać trzeba, że miała przecież historiografia nasza ogromne, niezupełnie przez nas zawinione zaległości z lat niewoli (przypominam niedostępność własnych naszych archiwów), dużo miała do odrobienia i należało koncentrować się na wypełnieniu najbliższej, najpilniejszej powinności. Należało też w wyborze tematów liczyć się z najbliższymi, najdostępniejszymi zasobami źródłowymi. Ale horyzonty rozszerzały się uciąż, nie zacieśniały.

Autór zechciał wymienić moją monografię o wojnie 1812 roku w liczbie „kilku prac, które historycy polscy napisali jakby na marginesie swej właściwej pracy naukowej”. Studia źródłowe nad tym przedmiotem prowadziłem (choć z przerwami) przez ćwierć wieku. Margines wydaje się przeto nieco szeroki.

Co się tyczy historyków angielskich, nie podejmuję się rewizji bilansu ich dorobku w artykule p. Dygnasa. Rzuca mi się w oczy pominięcie świe-

żej, znakomitej książki prof. L. B. Namiera o roku 1848 („Revolution of Intellectuals”). A przecież nie ma w jej tytule Anglii.

Łączę wyrazy poważania.

M. Kukiel.

Londyn, 1. XII. 1947.

Szanowny Panie Redaktorze,

Całkowicie zgadzam się z p. Gen. Kukiem, że większość prac traktujących o stosunkach kraju ojczystego z innymi należy zaliczyć do dziedziny historii powszechnej. Mówię większość, bo studia traktujące o wpływach obcych na polityczne czy kulturalne stosunki w kraju ojczystym zaliczyłbym jednak do dziejów ojczystych. Książka A. B. Browna — „The French Revolution in English History” jest na przykład, mimo szumnego tytułu, klasycznym przykładem pracy z historii Anglii. To samo można powiedzieć o krótkim szkicu J. H. Harleya — „Great Britain and the Polish Insurrection of 1863”. Stąd wniosek że znowu zgodzić się wypada ze zdaniem Gen. Kukieła, że treść a nie tytuł stanowi o przynależności książki do takiej czy innej grupy piśmiennictwa historycznego.

Z tych wszystkich problemów zdawałem sobie sprawę i podkreśliłem we wstępie, że pojęcie historii powszechnej celowo zwięzam w swym artykule. Jest to więc sprawa nie tyle definicji ile dowolnego zakreszenia ram tematu. Ramy te zakresiłem raczej formalistycznie tytułem, niż faktyczną treścią książki. O tytułach, przyczynach ich powstawania i stosunku do treści dzieła możnaby napisać całą rozprawę. Chcę tu tylko podkreślić, że zarówno tytuł jak i treść książki są tworem autora i często tytuł lepiej niż treść charakteryzuje jego intencje, a przede wszystkim z góry implikuje z jakiego punktu widzenia autor chciał ująć traktowany przez siebie problem. Chodziło mi o zestawienie prac biorących sprawy obce za punkt wyjścia, a przez to stawiających problem w innej perspektywie. Daje to nieraz rezultaty nawet dla historii ojczystej bardzo ciekawe, że nie użyję zbyt może mocnego słowa — rewelacyjne. Nie zupełnie zgadzam się zresztą ze zdaniem Gen. Kukieła, że przez to „zakres tematów ograniczałby się do spraw odległych czasowo lub przestrzennie”, gdyż np. wojna trzydziestoletnia nie jest przecież odleglejsza ani czasowo od unii brzeskiej, ani przestrzennie od stosunków Polski z hugonotami.

Wobec nielicznych prac z dziedziny historiografii polskiej, jak również trudności w konsultowaniu niektórych z nich na terenie Anglii, w przeglądzie piśmiennictwa polskiego są niewątpliwie liczne braki, na które Gen. Kukiel słusznie zwrócił uwagę. I tak prof. Dąbrowski, którego w swym artykule zbyłem wzmianką o jednej książce napisanej „jakby na marginesie właściwej pracy naukowej”, oprócz pracy o Warneńczyku napisał jeszcze parę innych prac o Węgrzech i powinien być znacznie szerzej potraktowany. Również Szelażowski, całkowicie przeze mnie pominięty, zasłużył na obszernie omówienie jako historyk o bardzo szerokim zasięgu zainteresowań. Dziś widzę zresztą, że i Dembińskiego potraktowałem nieco po macoszemu, a Dr Oppman zwrócił mi uwagę na pomniejszenie roli młodszych historyków

przez pominięcie nazwiska Tadeusza Manteuffla, badacza średniowiecza francuskiego i przeoczenie pracy Widerszala — „Bułgarski ruch narodowy 1856—1872”. Nad tym wszystkim góruje rzeczywiście karygodne pominięcie szkiców Askenazego.

Wszystkie powyższe uzupełnienia, choć dopełniają obrazu piśmiennictwa polskiego, jednak nie upoważniają mnie do zmiany wniosków i charakterystyki ogólnej. Zgodzić się więc wypada z opinią Feldmana z r. 1936, że „zagadnienia z historii innych narodów, żadnymi z Polską nie powiązane niemi, znajdują od czasu do czasu miłośników i badaczy, na ogół jednak nie leżą one na linii naszej historiografii”. Zdaje mi się, że wykazałem iż leżą one na linii historiografii brytyjskiej, a zapewne i wielu innych. Co do przyczyn tego stanu rzeczy zdaje mi się, że jesteśmy z Gen. Kukiелеm na ogół zgodni, ale podkreślić trzeba, że czasem konieczność staje się przyzwyczajeniem i skutki prawem atawizmu ciężą nawet gdy przyczyny odpadną.

Łączę wyrazy poważania

A. F. Dygnas.

Londyn, 10. XII. 1947.

IV. KRONIKA

Londyn

I. Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii (październik 1947—styczeń 1948).

W dniu 29 listopada 1947 r. odbyło się doroczne walne zebranie Towarzystwa w lokalu Instytutu im. Generała Sikorskiego. Zebraniu przewodniczył Prof. S. Stroński. Po wysłuchaniu sprawozdania Prezesa, Sekretarza, Redaktora „Tek Historycznych” i Komisji Rewizyjnej oraz po odbyciu dyskusji nad tymi sprawozdaniami, dokonano wyboru Zarządu Towarzystwa na następny rok. Zarząd ten, po przyjęciu listy jego składu przez aklamację, ukonstytuował się jak następuje:

Prezes: Gen. dyw. M. Kukiel; Vice-prezes: Prof. H. Paszkiewicz, Sekretarz: Ppłk. dypl. Dr W. Dziewanowski; Skarbnik: Mgr M. Danilewiczowa. Członkowie zarządu: Płk. dypl. Dr S. Biegański, Dr J. Jasnowski, Doc. Dr L. Koczy, Mjr Mgr O. Laskowski, Płk. dypl. H. Piątkowski, Prof. Dr T. Sulimski, Dr W. Weintraub. Do Kom. Rew. weszli: Mgr A. Dygnas, Dr E. Oppman i Płk. dypl. T. Wasilewski. W dniu 13. XII. 47. odbyło się zebranie Komitetu Redakcyjnego „Tek Historycznych”, na którym postanowiono wystąpić na plenum Zarządu z następującymi postulatami: 1. Zakończyć Tom I „Tek” (rok 1947) drugim zeszytem. 2. Drukujący się zeszycik wydać jako zeszycik I tomu II-go (rok 1948). 3. Wydać w r. 1948 16 arkuszy „Tek Historycznych” w czterech lub trzech zeszytach. 4. Poruczyć redagowanie „Tek” łącznie Dr. J. Jasnowskiemu i Dr. E. Oppmanowi, poczynając od zesz. II-go (1948). 5. Wydać jeden numer „Tek” poświęcony rocznicy

„wiosny ludów“. 6. Rozszerzyć dotychczasowy skład Komitetu Redakcyjnego przez powołanie nowych członków spośród historyków, przybyłych z Armią Polską z Bliskiego Wschodu. Na odbytym w dniu 16. XII, pierwszym zebraniu nowego Zarządu Towarzystwa zaaprobowano całkowicie powyższe postulaty. W skład Komitetu Redakcyjnego (od nr. 2/1948) powołani zostali nowi członkowie w osobie: Doc. Dr. J. Adamus, Doc. Dr. L. Koczy, Mgr. Mjr. O. Laskowski, Prof. H. Paszkiewicz.

W omawianym okresie sprawozdawczym odbyły się następujące zebrania naukowe Towarzystwa z odczytami:

- 10 **paźdz.** 1947. Dr W. Dziewanowski „Dzieje głupoty w Polsce“ A. Bocheńskiego.
- 28 **listopada** 1947. Gen. M. Kukiel „Zagadnienia wojskowe powstania narodowego w dobie polistopadowej“.
- 18 **grudnia** 1947. Prof. H. Paszkiewicz „Problem powstania państwa polskiego w X wieku w świetle najnowszej literatury historycznej“.
- 16 **stycznia** 1948. Dr E. Oppman „Kongres wiedeński w świetle najnowszej literatury“.

Po każdym z tych odczytów odbyła się dyskusja.

II. Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego.

Instytut został założony w r. 1945 z głównym zadaniem badania najnowszej historii Polski, a w szczególności jej udziału i roli w drugiej wojnie światowej. Ponad to Instytut gromadzi wszelkie materiały odnoszące się do wspomnianych zagadnień. W skład Instytutu wchodzi: Prof. St. Stroński (przewodniczący), Sir H. P. Mitchell, Bt., Amb. T. Romer, Inż. St. Leśniowski; Dyrektorem Instytutu jest Płk. Z. Borkowski.

Do Instytutu należą:

Biblioteka, obejmująca około 6.000 tomów książek, roczniki czasopism polskich wychodzących na emigracji i niektórych obcych oraz kolekcje wyków i gazet (około 30.000 pozycji) odnoszących się do spraw polskich.

Archiwum, obejmujące dokumenty i materiały historyczne z lat 1939—1947.

Muzeum, obejmujące ponad 10 tysięcy eksponatów, ilustrujących w szerokim ujęciu wkład Polski w okresie drugiej wojny światowej.

W ramach działalności naukowej Instytutu wygłoszone zostały następujące odczyty:

- 3 **paźdz.** 1946. Amb. T. Romer „Wrażenia z pobytu w Szwajcarii, Francji i Belgii“.
- 6 **listop.** 1946. Gen. M. Kukiel „Historia w służbie teraźniejszości“.
- 20 **lutego** 1947. Amb. T. Romer „Zagadnienia Pacyfiku“.
- 20 **marca** 1947. Płk. T. Tomaszewski „Obrona Warszawy we wrześniu 1939“.
- 9 **paźdz.** 1947. Płk. A. Liebich „Odbudowa polskich sił zbrojnych we Francji 1939/40“.
- 4 **grudzień** 1947. Amb. E. Raczyński „The Agreement of Mutual Assistance between Poland and the United Kingdom“.

III. Polski Instytut Badania Spraw Międzynarodowych.

W dniu 30 października odbyło się doroczne Walne Zebranie Instytutu, które dokonało wyboru nowego zarządu. Skład zarządu został podany w nr. 4 kwartalnika „Sprawy międzynarodowe”. Numer ten przynosi następujące artykuły: **J. Starzewski** „Rękojmie wolności morza Bałtyckiego”; **J. Stecki** „Ziemie Zachodnie Polski w nowej Europie”; **J. Lipski** „Stosunki polsko-niemieckie w świetle Aktów Norymberskich” (cz. II); **T. Komarnicki** „Próby stworzenia związku Polsko-Czeskiego w czasie drugiej wojny światowej (cz. II); **J. Rakowski** „Zagadnienia finansowe polskiego planu trzyletniego”.

IV. Polish Research Centre.

W dniu 9 stycznia 1948 odbyło się inauguracyjne zebranie nowozałożonego Instytutu Kultury Polskiej, na którym wygłosili przemówienia: Prof. Wł. Folkierski i p. Mieczysław Pawlikowski. Prof. A. Żółtowski wygłosił odczyt „O materializmie w filozofii”.

J. Jasnowski.

V. RÉSUMÉS

J. JASNOWSKI Ph. D. (Warsaw) „The Influences of Arabian Civilization in Poland” (IX—XI century).

The Polish Academy of Sciences in Cracow issued in 1946 the itinerary of the journey of Ibrahim Ibn Jakub over the Slavonic countries at the end of the X-th century. This edition contains the Arabic text, the Polish and Latin translation, with excellent commentaries, all the work of eminent Polish scholar Prof. T. Kowalski.

Some references made by Ibrahim, and some others appearing in the works of Arabian geographers and in contemporary Latin chronicles, give rise to the idea that Arabian civilization, at the time at the height of its splendour, was spreading also from the Iberian peninsula to the Slavonic countries, such as Poland, Bohemia and the Kievan Kaganate. These influences travelled mainly by way of the commercial relations which had existed for centuries, and were carried on by the Jews, settled in Spain, and some of the more enterprising Arab merchants. In this way many specimens of the Arabian arts were brought to Kiev, Cracow, and Prag, from whence they spread gradually over the country, so accustoming the peoples to their use, and thus introducing some new forms of civilized life. Money also was brought in great quantities, as is shown by archeological remains.

In addition, the neighbouring peoples, the Bulgars, Khazars, and Hungarians, who to a much greater extent were influenced by Arabian civilization, and who were in close contact with the Slavs, served as another channel for the spreading of that civilization.

The whole question of that influence, which is only raised and left open in this short essay needs deeper investigation and careful study of the written sources and archeological proofs before a final conclusion may be drawn.

M. DANILEWICZOWA, M. A. (Warsaw), A. L. A. „War losses suffered by Polish libraries”.

This article, written by the author of „The Libraries of Poland” (publ. by the St. Andrews Univ. 1943) concentrates mainly on the losses suffered by Polish libraries in the last stages of the Second World War. As official reports have not yet been published in Poland, the author has had to use all the available, but unfortunately fragmentary, sources of information, especially those published in the „Bibliotekarz” (The Librarian), the monthly journal of the Polish Library Association (1945—1947). According to these sources approximately 25 % of the pre-war members of the Polish Library Association were killed or died in the years 1939—1945. Only 6 millions volumes have been recovered out of over 20 millions in the possession of Polish libraries in 1939. This represents about 6 % of the pre-war stock in Polish public and school libraries, and about 80 % in the national and university libraries. The latter lost very valuable sections of their collections. Among those libraries which ceased to exist, the most important were: the Rapperswil collections in the National Library in Warsaw, the Zamoyski library, the Przeddziecki Library, the Krasiński Library (all in Warsaw), and the Raczyński Library in Poznań.

There is but little information with regard to the fate of the numerous and very valuable Polish libraries in Wilno, Lwów, Krzemieniec, Łuck, and other towns beyond the Curzon Line. It is only known that fragment of the collections in the Ossoliński Library, formed by the Poles in Lwów (Leopol) under the Austrians in the XIXth century, were handed over to the Warsaw Government and transferred to Wrocław (Breslau). The fate of the University libraries in Lwów and Wilno is unknown. The network of popular libraries in Eastern Poland ceased to exist, having been drastically suppressed by the Russians.

Official statistics show that the number of volumes housed in the Warsaw University Library, in the Jagellonian Library in Cracow, etc. has increased since the war in spite of the heavy losses suffered by some sections of the same libraries. This is due to various new acquisitions of quite a new kind in the history of Polish libraries, coming for example, from the libraries of Polish landowners', confiscated by the Land Reform Act, and from the former German libraries, left in Poland in 1945.

In spite of the numerous decrees and declarations made by the Warsaw Regime, the position of Polish libraries is very precarious. Their resources are inadequate, their contact with the West is more than limited, their new acquisitions are limited to the production of state owned and controlled publishing firms.

KOMITET REDAKCYJNY:

M. K u k i e l

T. Sulimirski

J. Jasnowski

E. Oppman

Cena

~~6 sh.~~

3/-

Price

Prenumerata roczna £ 1.4.0.

Adres Redakcji: Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii,
c/o 20, Princes Gate, London S. W. 7.

Annual Postal Subscription Rate £ 1.4.0.

Orders, with remittance, should be sent to POLISH HISTORICAL
SOCIETY, c/o 20, Princes Gate, London S. W. 7.

Printed by: The Montgomeryshire Printing and Stationery Co., Ltd., Newtown,
Mid-Wales.

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
W WIELKIEJ BRYTANII

TEKI HISTORYCZNE

NAKŁADEM TOWARZYSTWA
LONDYN T. II, Nr. 2. KWIECIEŃ—CZERWIEC 1948

beits oork.
avril Juin

SPIS RZECZY

I. ROZPRAWY :

Władysław Dziewanowski: O „Dziejach głupoty w Polsce” — str. 69;
Wiktor Weintraub: „Blaski i nędze dziejów życia prof. Tarlego” — str. 80.

II. RECENZJE :

Karol Maleczyński: „Bolesław Krzywousty” (Jan Adamus) — str. 138; **Oskar Halecki:** „The Crusade of Varna” (Henryk Paszkiewicz) — str. 140; **G. P. G o o c h :** „Frederick the Great” (Aleksander Nowina) — str. 142; „Dzieje Najnowsze”. Kwartalnik Instytutu Pamięci Narodowej (E. Oppman) — str. 144.

III. KRONIKA : — str. 148.

IV. RESUMES : — str. 151.

I. ROZPRAWY

Władysław Dziewanowski

O „DZIEJACH GŁUPOTY W POLSCE”

Jakieś 40 lat temu, gdy byłem jeszcze uczniem rosyjskiego gimnazjum, usłyszałem po raz pierwszy, z ust naszego profesora historii, oczywiście Rosjanina, twierdzenie, że Rosja w XVIII w. bynajmniej nie dążyła do rozbiorów Polski. Twierdzenie to tłumaczył on w sposób bardzo prosty: poco miała Rosja dzielić się Polską z innymi państwami, kiedy miała zamiar ją całą zagarnąć. Nie udało się to, co prawda, ale Rosja jednakże dostała lwią część, którą sobie potem jeszcze doskonale uzupełniła przez wcielenie Królestwa Kongresowego. Nie twierdził jednak stary profesor, że w interesie Polski leżało niesprzeciwianie się tym rosyjskim dążeniom.

Taką natomiast właśnie tezę przeprowadza Aleksander Bocheński w swej książce, zatytułowanej „Dzieje głupoty w Polsce”^{*)}. Książka ta, napisana doskonale, zawierająca liczne, bardzo słuszne myśli i uwagi, ale jakże niebezpieczna, zasługuje na to, żeby się z nią bliżej zapoznać i poszczególnie jej twierdzenia należycie rozważyć.

Książka składa się z szeregu oddzielnych artykułów, pisanych w różnym czasie, które autor w przedmowie nazywa pamfletami. Są one poświęcone poszczególnym polskim historykom i krytyce tych ich prac, które dotyczą przyczyn upadku Rzeczypospolitej oraz walk o niepodległość i ich ocenie. Poza tym książka zawiera jeden rozdział poświęcony polityce Stanisława Augusta, jeden poświęcony ks. Adamowi Czartoryskiemu i jeden (pierwszy), zatytułowany „Koniunkury geopolityczne w dziejach upadku Polski”.

Głupota, figurująca w tytule książki, ma być głupotą wszystkich tych historyków lub publicystów, bo i tych paru

^{*)} Warszawa, Panteon, 1947; str. 330.

krytykuje autor, którzy swą mylną oceną przeszłości pchali naród polski do czynów nieprzemyślanych i wysoce szkodliwych. Wtórnie niejako epitet ten stosuje się również i do tych wodzów lub mężów stanu, którzy do spełnienia tych czynów doprowadzili. Przede wszystkim jednak chodzi autorowi o historyków, i stąd taki podział książki na rozdziały.

Niewielu historyków zdołało uniknąć zaliczenia do kategorii szkodników. Twierdzenia Bocheńskiego, silnie umotywowane, poparte nieraz bardzo zręcznym rozumowaniem, robią wrażenie i mogą wywołać poważne skutki. Książka jest tym bardziej niebezpieczna, że jest zapewne pisana uczciwie i przedstawia rzeczywiste przekonania autora, a nie twierdzenia, wywołane kombinacjami koniunkturalnymi i oportunistycznymi.

Ażeby móc należycie śledzić rozwój myśli autora, trzeba przede wszystkim uwypuklić dwie podstawowe jego tezy stanowiące niejako fundamenty, na których spoczywa cały gmach jego dalszych rozumowań.

Tezę pierwszą stanowi twierdzenie, że nauczycielką życia może być jedynie wiedza o przeszłości zupełnie ścisła i prawdziwa, wszelkiego rodzaju zabarwienie lub zniekształcanie przeszłości w celu podniesienia ducha, zagrzania do walki, poparcia jakiegoś kierunku myśli politycznej, lub w innych mniej szlachetnych celach, jest bardzo szkodliwe, bo z mylnych przesłanek historycznych zostaną wyprowadzone mylne wnioski, niebezpieczne dla przyszłej polityki narodu. Z tą tezą można się chyba zgodzić bez zastrzeżeń.

Druga teza natomiast budzi zastrzeżenia, i to daleko idące. Autor zapytuje: „naród czy państwo?” i odpowiada: „naród”. Celem jest dobro narodu, dążenie do dania mu należnego stanowiska w hierarchii narodów i do stałego ulepszenia tego stanowiska. Suwerenność, a nawet sam tylko byt państwowy pod obcą kuratelą nie są koniecznymi warunkami spełniania tego dążenia, naród może się rozwijać i bez własnej państwowości. W teorii wygląda to zupełnie dobrze, ale tylko przy założeniu, że państwo, pod którego władzę trafił dany naród, nie dąży do zniszczenia jego cech narodowych i do obniżenia jego miejsca w hierarchii narodów, a taki wypadek zachodzi rzadko. Raczej należy się spodziewać wynaradawiania, uwieńczonego mniejszym czy większym powodzeniem. Rezultatem może tu być

utrata poczucia odrębności narodowej i języka, albo też utrata jednego z nich przy zachowaniu drugiego.

Omawiając przyczyny upadku Polski w XVIII w., Bocheński ostro występuje przeciw tym historykom, którzy starają się wykazać, że rozbiory nastąpiły jedynie wskutek zachłanności złych sąsiadów i nieszczęśliwego geograficznego położenia Polski. Uważa, iż zachłanność sąsiadów jest zjawiskiem zupełnie normalnym i stałym, z którym każde państwo musi się zawsze liczyć, że silniejszy zawsze i wszędzie stara się słabszego ograbić i że położenie Polski pod tym względem nie stanowiło żadnego wyjątku. I tu trudno się z autorem nie zgodzić. Znamy co prawda pokojowe współżycie słabszych państw z silnymi sąsiadami, ale zwykle tylko do czasu i tylko o ile niepodległość mniejszego państwa leży w interesie większego sąsiada lub też jakiego innego, lub jakich innych wielkich państw, które nie pozwalają na jego opanowanie.

Co do geograficznego położenia Polski, to i tu znowu musimy się zgodzić z autorem. Położenie Prus w XVI, XVII i XVIII w. było bez żadnego porównania gorsze, a jednak nie tylko utrzymały swą niepodległość, ale nawet rozrosły się w imperium niemieckie i osiągnęły niebywały stopień potęgi. Takież Portugalia, chociaż całkowita enklawa Hiszpanii i chociaż swego czasu utraciła niepodległość, potrafiła ją jednak odzyskać i utrzymać. Chociaż więc położenie geograficzne Polski niewątpliwie przyczyniło się do jej upadku, nie ono jest jednak jego główną przyczyną.

Prawdziwymi przyczynami, według Bocheńskiego, są błędy ustrojowe, powodujące słabość i anarchię, oraz zupełnie błędna polityka zagraniczna. Tu jednak zdaje się, że trzeba by było sięgnąć nieco głębiej wstecz, niż to zrobił autor. Nie wystarczy wspomnieć liberum veto i, powtarzając za Konopczyńskim, stwierdzić, że zapłaciliśmy za nie i kłeską pod Batohem, i utratą Kamieńca, i bodaj że wszystkimi nieszczęściami, jakie na nas spadały. Zdaje się, że trzeba tu przede wszystkim podkreślić fakt, że Rzeczpospolita nie przeszkodziła dwu przyszłym rozbiornikom w dojściu do potęgi. Trzeba było wyzyskać zwycięstwo pod Grunwaldem, a przynajmniej nie pozwolić w żadnym razie na sekularyzację Prus i utworzenie z nich świeckiego państwa, nie trzeba też było pozwolić Moskwie na wcielenie kupieckich republik Nowogrodu i Pskowa, które przecież ciążyły

do Litwy. Trzeba było wyzyskać okres skrajnej słabości Rosji na początku XVII w. Trzeba było prowadzić inną politykę kozacką. Tych licznych poważnych błędów, dotyczących czasów dawniejszych, można by było wyliczyć dużo.

Zaczynając od początku XVIII wieku, zdaniem autora jedynie słuszną polityką polską mogło być całkowite pójście na podporządkowanie się Rosji, czy to drogą zawarcia ścisłego sojuszu, drogą unii, czy też stając się państwem lennym, a nawet, czego zresztą autor wyraźnie nie mówi, stając się mniej lub więcej autonomiczną częścią państwa rosyjskiego. Zakłada przy tym Bocheński jakąś ogólną życzliwość dla Polski i nie dopuszcza myśli, że Rosja mogła by chcieć naród polski zruszczyć lub inaczej ograniczyć jego możliwości rozwojowe.

Od początku więc XVIII w. należało dążyć do sojuszu z Rosją. Tak właśnie postąpiliśmy, i to z bardzo złymi skutkami. Już w 1686 r. za pokój i zupełnie enigmatyczną pomoc przeciw Turcji zapłaciliśmy Kijowem, Smoleńskiem, Dorohobuzem, Czernihowem i Starodubem, a co znacznie gorzej, przyznaliśmy Moskwie prawo opieki nad dyzunitami, dając jej w ten sposób pretekst do ciągłego mieszania się w sprawy wewnętrzne Polski, z którego skwapliwie będzie korzystała przez cały wiek XVIII.

Następnym krokiem, zgodnym z teorią Bocheńskiego, był sojusz polsko-rosyjsko-duński. Po rozmowach między Augustem a Piotrem w Rawie Ruskiej w 1698 r. zawarto w roku następnym traktat preobrażeński, pogłębiony jeszcze w 1704 r. traktatem naruskim. Jakież rezultaty dała ta pierwsza współpraca polsko-rosyjska? Straszliwe zniszczenie kraju, okupację szwedzką, wojnę domową, okupację rosyjską, połączoną ze zwykłą gospodarką wojsk moskiewskich na polskich ziemiach. Wystarczy przypomnieć spalenie Witebska i Mohylowa lub własnoręczne mordowanie przez Piotra księży bazylianów w Połocku w 1705 r., tak dokładnie opisane przez ks. Zawadzkiego. To jednak nie były najgorsze skutki nowej przyjaźni — najgorszym był sejm niemy, wymuszone od Augusta pozostawienie liberum veto i redukcja wojska do 24.000 porcyj.

W dość ciekawy sposób Bocheński rozprawia się jednocześnie z rozbiorowymi zamiarami Augusta i odmową zgody na nie Piotra. Pochwała i jedno i drugie. August miał

rację, bo lepiej przecież, żeby Polska była nieco mniejsza, ale za to posiadała silny rząd, Piotr też chciał dobrze dla Polski, bo lepiej, żeby cała była pod jego władzą, niż podzielona na części. Co do zamiaru Piotra zagarnięcia czy może tylko opanowania całej Rzeczypospolitej, Bocheński zdaje się nie mieć wątpliwości.

Nielogiczne jest ustosunkowanie się autora do sprawy traktatu wiedeńskiego, za który bardzo chwali Augusta. Rzeczywiście sojusz, zawarty 5 stycznia 1719 r. z królem angielskim Jerzym I (jako elektorem hanowerskim) i cesarzem Józefem I, rokował jak najlepsze nadzieje. Skłonni do współdziałania byli Szwedzi, Turcy, a nawet Kozacy zaczęli nawiązywać kontakty. Można było mieć nadzieję, na zrzucenie jarzma moskiewskiego, ale dwa kolejne sejmy odmówiły ratyfikacji, a wszyscy czterej hetmani ofiarowali swe usługi carowi. Że pomysł traktatu był zbawienny, zdaje się nie ulegać wątpliwości, ale wydaje się dziwne, że chwali zań Augusta właśnie Bocheński, dopatrujący się zbawienia Rzeczypospolitej w sojuszu i przyjaźni z Moskwą, choćby za cenę zależności od niej.

Nad traktatem „Trzech czarnych orłów” Bocheński przeslizguje się dyskretnie. Elekcję Stanisława Leszczyńskiego, zgodnie z Bobrzyńskim, uważa za bardzo niepolityczną. Polska bez wojska, bez pieniędzy nie mogła się oprzeć trzem państwom, związanym traktatem poprzedniego roku. Elekcja ta, nie mając szans rzeczywistego wprowadzenia elekta na tron, spowodowała wojnę domową, wkroczenie silnej armii rosyjskiej i dała nowy asumpt do mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski.

Autor stale utrzymuje, że Rosja była przeciwna rozbirom. Że tak było w zasadzie, wydaje się nie ulegać wątpliwości, ale o tyle tylko, o ile istniała możliwość zagarnięcia całości. Dla usunięcia wszelkich przeszkód Rosja była niemal zawsze gotowa do zapłacenia mniejszymi czy większymi połaciami polskiej ziemi. Jak stwierdza prof. Kopoczyński w swym „Fryderyku Wielkim”, już przed elekcją Augusta III Rosja obiecywała Prusom za pomoc Elbląg, Warmię i część Pomorza. Zasada więc niedzielenia Polski nie była znów tak niewzruszona.

O projekcie sojuszu z 1738 r. Bocheński nie mówi właściwie nic, mimochodem tylko cytuje parę wierszy o nim Askenazego. Może wówczas sojusz z Karolem VI i Anną Ioan-

nówną mógłby nawet dać pewne korzyści, wprowadzając Polskę na widowie europejską, zmuszając ją do reform wojskowych, dając okazję do wykształcenia pewnej ilości doświadczonych oficerów i t. d., Bocheński jednak, chociaż omawia te i inne jeszcze korzyści w związku z innymi projektami sojuszów, w tym wypadku zachowuje milczenie.

Prześlizguje się też dość pobieżnie nad okresem panowania Augusta III, nie podkreślając arcysmutnej roli, odegranej przez Rosję zarówno w zimie 1747-48 r., kiedy to armia rosyjska przemaszerowała na zachód, dążąc na pomoc Marii Teresie przeciw Francji, jak i podczas wojny siedmioletniej, gdy teoretycznie neutralna Polska służyła za bazę wojskom rosyjskim i narażała się przez to na represje pruskie za nieutrzymywanie neutralności prawdziwej.

Najwięcej miejsca poświęca Bocheński panowaniu Stanisława Augusta. Trzeba się zgodzić z autorem, że określenie Szujskiego, napisane w 1866 r., według którego „... był Poniatowski pierwszym i najważniejszym z nieszczęść narodowych...” jest niesprawiedliwe. W rok później zresztą, po przeczytaniu pamiętników króla, Szujski pisał już zupełnie inaczej. Nie był Stanisław August z pewnością człowiekiem, działającym na szkodę własnej ojczyzny z jakichś samolubnych powodów, nie był też ani płytkim, ani próżnym, ani lekkomyślnym, przeciwnie, zdaje się być człowiekiem rozumnym i pragnącym szczerze dobra Polski. Niewątpliwie miał liczne wady, ale miał i poważne zalety, popełniał błędy, ale w wielu wypadkach miał rację, a w wielu dziedzinach oddał Polsce nieocenione usługi, podnosząc podupadły za Sasów poziom kultury, wywołując odrodzenie nauki, literatury i sztuki i doprowadzając ponownie naród polski do poziomu europejskiego. Dlatego też trudno dziś bez prawdziwego wstydu wspomnieć o potajemnym w nocy przywiezieniu zwróconych przez bolszewików zwłok króla do Wołczyna i pochowaniu ich w tamtejszym kościele.

Wielkie znaczenie przypisuje Bocheński rosyjskim propozycjom sojuszu z r. 1764. Uważa za wielki błąd negatywne ustosunkowanie się do nich Familii i samego króla. Podkreśla zwłaszcza możliwość podniesienia liczby wojska do 50.000, czyli prawie do takiej samej liczby, do jakiej zostało ono podniesione za Sejmu Wielkiego, i to za zgodą Rosji, bez żadnych walk i trudności. Zdaje się jednak, że

tu autor trochę zanadto upraszcza sytuację, nie biorąc pod uwagę jawnych, tajnych i poufnych artykułów prusko-rosyjskiego traktatu z tegoż roku. W każdym razie i Kalinka, i Smoleński, i Konopczyński odnoszą się do tego projektu sojuszu całkowicie ujemnie, za co autor ma do nich wielką pretensję.

Do konfederacji barskiej odnosi się jak najbardziej wrogo. Że wybuch jej nie dał dobrych rezultatów, że nią miała ona szans powodzenia, że pogrążyła kraj w wojnę domową, to wszystko prawda. Prawdą też jest, że działania nie były prowadzone dobrze (z pewnymi wyjątkami) i że intencje nie zawsze były czyste i patriotyczne, o czym chociażby świadczy uwięzienie i śmierć Józefa Pułaskiego. Jednakże, chociaż wybuch walki był nieszczęściem, to jednak psychologicznie był rzeczą zrozumiałą jako reakcja na straszną gospodarkę rosyjską w Polsce, porwanie biskupów i hetmana, przeforsowanie równouprawnienia dysydentów, terroryzowanie sejmu, i tak dalej. Bocheński ogranicza się tylko do stwierdzenia, że Repnin przyczynił się do wywołania wybuchu przez swoje wyzywające postępowanie. Piśze o tym, jak bojąc się o swą karierę, chciał on koniecznie spacyfikować kraj, ale nie piśze, jak się ta pacyfikacja odbywała. O ucinaniu rąk wziętym do niewoli powstańcom (przez Drewicza) nie ma mowy, jak zresztą i o traktowaniu jeńców jako przestępców i deportowaniu ich na wschód. Opowiada natomiast o zupełnie niepoważnej propozycji, zrobionej przez przerażonego o swe przyszłe losy Repnina, który ofiarował Stanisławowi Augustowi sojusz przeciw Turcji, naczelne dowództwo nad polskimi i rosyjskimi wojskami i siebie samego na adiutanta.

Trudno się natomiast nie zgodzić z Bocheńskim, że konfederacja barska była bezpośrednią przyczyną pierwszego rozbioru i że podczas samego jej trwania generalność zrobiła chyba wszystkie błędy, jakie zrobić mogła, n. p. ogłosiła detronizację króla w chwili, gdy zdawał się on już skłaniać do nawiązania z nią kontaktów, dopuściła jeśli nie nakazała zamach na króla. Zamach ten, chociaż z całą pewnością nie miał na celu zamordowania Stanisława Augusta, tak jednak został wytłumaczony i wywołał powszechną w Europie niechęć do niedoszłych królobójców. Jeśli do tego jeszcze dodać zdanie z pamiętnika Stanisława Augusta, stwierdzające, że garnizony rosyjskie miały opuścić Polskę

za parę miesięcy, gdy ruchawka się rozpoczęła, to dodatkowo będziemy mieli dobre pojęcie i o konfederackim wywiadzie.

Z wielkim uznaniem wyraża się Bocheński o okresie nateżonej pracy między pierwszym rozbiorem a Sejmem Wielkim. Oczywiście jest to słuszne. W latach tych zrobiono ogromnie dużo dla kultury polskiej, można by je nazywać odrodzeniem złotego wieku. Nie wiem jednak, czy można fakt ten uważać za potwierdzenie tezy o konieczności podporządkowania się Rosji, jak to czyni autor. Pisze on, że królowi udało się zrobić bardzo wiele przy pomocy Stackelberga, może raczej — pomimo jego działalności. Do Rady Nieustającej odnosi się całkiem pozytywnie, nazywając ją pierwszym polskim porządnie działającym rządem. Przyznaje jednak, że została ona ukonstytuowana, żeby umożliwić przeprowadzenie zamiarów Moskwy.

O projekcie sojuszu, z którym Stanisław August pojechał do Kaniowa, mówi oczywiście z uznaniem, oburza się natomiast na tych polskich historyków, którzy się wyrażają ujemnie o kontrprojekcie rosyjskim. Uważa go także za dodatni. Nie bierze tu pod uwagę moralnie niemożliwej sytuacji, gdybyśmy mieli występować w charakterze wrogów naszych wczorajszych wiernych sprzymierzeńców z czasów konfederacji. Zresztą, jak wiemy, projekt upadł ze względu na protest Prus.

Sejmowi Wielkiemu poświęca Bocheński sporo miejsca i polemizuje na jego temat z całym szeregiem pisarzy: Kalinką, Smoleńskim, Askenazym, Dembińskim. Do prac sejmku odnosi się ujemnie. Uważa, że postanowienia sejmku musiały doprowadzić do wojny. Za szczególnie prowokacyjne w stosunku do Rosji uważa jednostronne odrzucenie rosyjskich gwarancji ustrojowych. Uchwaloną aukcją wojska uważa za niedostateczną wobec wielkich sił zbrojnych, jakimi w tym czasie rozporządzały Rosja, Austria i Prusy. Do sojuszu z Prusami oczywiście odnosi się jak najbardziej ujemnie. Po przeczytaniu zresztą pracy prof. Konopczyńskiego „Fryderyk Wielki a Polska”, trudno się w tym punkcie z autorem nie zgodzić. Prusy nie były szczere i oparcie się o sojusz z nimi wobec pociągnięć politycznych, które niemal niechybnie musiały doprowadzić do wojny, wydaje się obecnie wielkim błędem. Zdaniem autora lepiej było zaniechać reform, a utrzymać pokój i przy-

jażń z Rosją, pod której kuratelą Polska mogła by żyć i rozwijać się spokojnie. Byłoby to może słuszne, gdybyśmy mogli przypuszczać, że Rosja rzeczywiście żywiła wobec Polski zamiary przyjazne, czemu przeczą wypadki dawniejsze i treść rozmaitych umów Rosji z Prusami.

O wojnie 1792 r. pisze, że dobry polityk mógł jej łatwo uniknąć, a najlepszy nawet wódz — tylko z trudem wygrać. Zdaje się, że druga część tego twierdzenia nie jest ścisła: wygrać jej w ogóle nie było można. Wynika to niewątpliwie z pracy prof. Bujaka p. t. „Siły gospodarcze”, gdzie dowiadujemy się, że dochód państwowy rosyjski już w r. 1764 wynosił 19,4 miliona rubli, a ilość wojska w r. 1791 dochodziła do liczby 400.000; w Prusach w r. 1772 dochód wynosił 23 miliony talarów, a wojsko liczyło 186.000 ludzi, gdy w Polsce dochód wynosił 7 milionów talarów, a stan wojska nie został nawet doprowadzony do 60.000.

Do powstania kościuszkowskiego odnosi się oczywiście też ujemnie, potwierdzając opinię Skalkowskiego, że było ono „wielkim, nieszczęsnym szaleństwem” i „beznadziejnym przedsięwzięciem”. Dalej cytując ripostę Sobieskiego, który mówi: „Jeśli tak, to nie tylko insurekcja kościuszkowska, ale wszystkie nasze powstania były beznadziejną, zbrodniczą lekkomyślnością” i dodaje, że nie jest to argument przeciw twierdzeniu Skalkowskiego, bo powstania późniejsze zostały już potępione, zanim w ogóle zaczęto krytykować powstanie Kościuszki.

Omawiając okres napoleoński, autor staje wyraźnie po stronie koncepcji Czartoryskiego. Polemizuje ostro z Askenazym. Wysuwa tezę o absolutnej dobrej woli Aleksandra i o możliwości zupełnego zaufania mu. Dość dziwnie na tym tle wygląda opisany zresztą przez autora epizod z wizytą Aleksandra w Puławach w 1805 r., gdzie mu niemal jako przyszłemu królowi polskiemu hołd składa licznie zebrana arystokracja polska, po czym car jedzie do Berlina i odnawia sojusz z królem pruskim. Nie wspomniał tu zresztą Bocheński o teatralnej, a dość dla Aleksandra charakterystycznej scenie wzajemnego składania sobie obietnic nad trumną Wielkiego Fryderyka.

W ogóle Bocheński przedstawia Aleksandra, zapewne rozmyślnie, w nieco błędnym świetle. Pisze o oligarchii rosyjskiej, która zamordowała cara Pawła, ale zapomina dodać, że Aleksander o zamiarze zamachu wiedział i nań

się godził, że zresztą zamachowców potem usunął i z nimi nie walczył. Nie wspomina również o całym okresie arakcejskim panowania Aleksandra, tak bardzo różnym od czasów przyjaźni z ks. Adamem.

Do tego ostatniego ma znów pretensje, że nie poszedł na projekt Aleksandra, wysuwany w 1810 i 1811 r., utworzenia Wielkiego Księstwa Litewskiego, oczywiście z Aleksandrem jako Wielkim Księciem. Amatorów Aleksander znalazł: Michała Ogińskiego, byłego naczelnika Tomasza Wawrzeckiego, Konstantego Lubeckiego i innych, ale z projektu nic nie wyszło. Stanowisko ks. Adama dziś wydaje się racjonalne i słuszne: chciał uniknąć rozdzielenia sił narodu i walki zbrojnej między dwoma jego odłłami.

Przy omawianiu kongresu wiedeńskiego Bocheński słusznie zdaje się podkreśla, że żądania angielskie odtworzenia Polski w granicach 1772 r., względnie w granicach 1791 r., nie były szczere i miały na celu tylko storpedowanie żądań Aleksandra, aby pod jego berło oddano całe Księstwo Warszawskie, a jemu przyznano tytuł króla polskiego. Jeśli targ był wówczas aż tak ostry, że przez tydzień obawiano się wybuchu wojny, to w każdym razie nie przyszyły los Polski to spowodował.

Do powstań odnosi się autor jak najbardziej ujemnie, pisząc w jednym miejscu, że do ich organizatorów można zastosować określenie wieszczka „mądrzy szalem” i że oczywiście innej mądrości prócz szalu nie mieli ci, jak ich nazywa, „grabarze Rzeczypospolitej”. Zwłaszcza powstaje przeciw 600 ludziom, którzy spod Krakowa wypowiedzieli wojnę trzem mocarstwom w r. 1846.

Uważa, że można było z Rosją współżyć spokojnie. Nie wspomina o nadużyciach władz moskiewskich, o cenzurze wprowadzonej wbrew konstytucji, o projektach ustaw „przeciw nadużywaniu swobód narodowych”, sprawie filaretów, sprawie Łukasińskiego, aresztach itd., itd. Nie wspomina również, że nie tylko próby zgodnego współżycia z władzami carskimi zawiodły, ale również i próby porozumienia z tymi, którzy niewątpliwie byli wówczas najlepszym elementem w państwie carów — z przedstawicielami późniejszych dekabrystów, a przecież w tym wypadku Rosjanie potrzebowali naszej pomocy, nie odwrotnie. Na sprawę ustalenia granic się nie zgodzili. Przypomina to bardzo

o sto lat późniejsze pertraktacje gen. Karnickiego z Denikinem.

O tym, jak trudno jest z Rosją dojść do porozumienia, świadczy całe życie ks. Adama, który przez wiele lat pracował nad tym porozumieniem, był osobistym przyjacielem cara, rosyjskim ministrem, a potem podpisał akt detronizacji Mikołaja i został, na szczęście zaocznie, skazany na ścięcie toporem.

Streszczając powyższe, widzimy, że według Bocheńskiego celem do osiągnięcia jest zajęcie przez naród należnego miejsca w hierarchii narodów, co może być uskutecznione bez suwerenności, a nawet bez własnego państwa, choćby zależnego. Analizuje on nasze dzieje od początku XVIII wieku tylko, i bardzo zręcznie, a przeważnie i słusznie, podkreśla nasze winy i błędy. Wyprowadza z tego wniosek, że tylko w oparciu o Rosję, w sojuszu z nią, w unii, lub nawet w stanie jakiej innej podległości był jedyny ratunek i że wszelka akcja, zdążająca ku temu, była mądrą, a wszelka działalność sprzeczna z tą teorią, była głupia.

Przy tych często na pozór słusznych rozumowaniach nie bierze zupełnie pod uwagę postawy Rosji w różnych okresach, przyjmując milcząco, że postawa ta była zawsze przychylna i że chociaż groziła naszej państwowości, to na pewno nie byłaby groźna dla naszego rozwoju narodowego. Zapomina, że próby oparcia o Rosję były, próby współzycia w stanie takiego czy innego podporządkowania — też i żadna z tych prób nie dała pozytywnego rezultatu, i to wcale nie z naszej winy.

BLASKI I NĘDZE DZIEJÓW ŻYCIA PROF. TARLEGO

I.

Prof. Tarle jest dzisiaj nie tylko najwybitniejszym i najbardziej znanym za Zachodzie historykiem sowieckim. Jest on także w tej chwili najbardziej reprezentacyjnym historykiem panującego w Rosji reżimu. Jeśli kogo z dziejopisów sowieckich można nazwać nadwornym historykiem Kremlu, to właśnie jego.

Wiele jest na to dowodów. Kiedy trzeba w prasie sowieckiej znaleźć argumenty dla takiego czy innego posunięcia dyplomatycznego, zawsze wiadomo, że najprawdopodobniejszym autorem takiego elaboratu — czy to na łamach wydawanego w Moskwie w kilku językach tygodnika „Nowoje Wremia”, czy w „Prawdzie” — będzie prof. Tarle. Potrzebny jest autor, który by na łamach prasy amerykańskiej dał wyraz poglądom sowieckiego historyka na możliwości wybuchu nowej wojny: „Chicago Daily News” z 30 grudnia 1946 r. ogłosił artykuł prof. Tarlego „War Likely? Here's What Russ Think”. Wychodzi masowym nakładem oficjalna, zbiorowa „Historia dyplomacji”: głównym współautorem jej pierwszego tomu jest prof. Tarle. Reżim postanawia rozprawić się z koncepcjami historycznymi Pokrowskiego i jego szkoły: jeden ze współredaktorów zbiorowego dzieła „Przeciwko historycznej koncepcji Pokrowskiego” to prof. Tarle. W r. 1942 Akademia Nauk ZSRS wydaje jubileuszową książkę „Dwadzieścia pięć lat nauki historycznej w ZSRS”: prof. Tarle jest i współredaktorem i jednym ze współpracowników tej książki. Kiedy zaś na rok wcześniej ta sama Akademia wyda pierwszy tom wielkiej zbiorowej historii powszechnej, poświęcony rewolucji francuskiej — tom ten dla jakichś nieznanymi przyczyn w ogóle nie dotarł na Zachód — jednym ze współredaktorów tego tomu będzie znowu prof. Tarle.

A poza tym prof. Tarle pisze teraz książki. Sporo książek. Książki te poświęcone są nowszej historii politycznej, ich związek z aktualnymi tendencjami polityki sowieckiej

jest zawsze wyraźny, wydawane są one w masowych nakładach, szeroko się je reklamuje. Wydanie takiej książki jest zawsze w sowieckim życiu kulturalnym pewnym wydarzeniem dnia.

Tęgo rodzaju reprezentacyjną rolę gra prof. Tarle lat już zgórą dziesięć. Stopniami zaś, które go na to czołowe stanowisko prowadziły, były — idąc w odwrotnym porządku chronologicznym — przede wszystkim kilkuletnia zsyłka w Turkiestanie, przed tym jeszcze przeszło roczne więzienie w Leningradzie, jeszcze zaś wcześniej dwanaście lat profesury w Leningradzie pod rządami sowieckimi, w czasie których początkowo prof. Tarle energicznie zwalczał marksizm w historiografii. Cofnijmy się jeszcze głębiej w czas, w lata wojenne, i oto okaże się, że prof. Tarle jest liberałem, rozwijającym żywą działalność polityczną, zwłaszcza za rządów Kiereńskiego. — Jak widzimy, są to dzieje życia bardzo niezwykle.

I oto powstaje pytanie. Jak doszło do tego, że ten liberał, wróg marksistów, więzień leningradzki i turkiestański zesłaniec stał się oficjalną, reprezentacyjną znakomitością sowieckiej nauki historycznej. Co skłoniło go do tego, że stał się posłusznym narzędziem reżimu? I co skłoniło reżim do tego, że właśnie jego wziął sobie za to narzędzie? — Niniejszy szkic będzie próbą odpowiedzi na te pytania.

Prof. Tarle jest już dzisiaj człowiekiem zgórą siedemdziesięcioletnim. Urodził się w roku 1874¹⁾. Studia uniwersyteckie rozpoczął w r. 1892 w uniwersytecie odesskim (który wtedy nazywał się noworosyjskim), ale już po roku przerzucił się do Kijowa, gdzie kierownikiem jego studiów został prof. Łuczickij²⁾, który wyrobił sobie w nauce poważne nazwisko jako badacz zagadnień agrarnych w okresie Wielkiej Rewolucji francuskiej. Tarle miał z czasem również wyspecjalizować się w zagadnieniach z tej epoki. Ale

1) Te i inne dane o karierze naukowej Tarlego wdl. „Izw. Ros. Akad. Nauk”, r. 1921, str. 67—72, „Izw. Akad. Nauk SSSR”, seria VI, t. XXI (1927), str. 155—61 oraz W. B u z e s k u ł, „Wsieobszczaja istorija i jejo priedstawiteli w Rossiji w XIX i naczale XX wieka”, cz. II, Leningrad 1931, str. 22 i n.

2) Zob. o nim B u z e s k u ł, j. w., cz. I, Leningrad 1929, str. 187—200. — Tarle pisał o swoim profesorze z okazji jego jubileuszu w styczniowym zeszycie pisma „Gołos Minuuszawo” z 1914 r., str. 42—61.

podówczas, w latach studiów, jego ulubionym okresem były czasy renesansu. Kończy uniwersytet w r. 1896 ze złotym medalem za pracę o Pomponazzim. W r. 1901 ogłasza swoją pierwszą książkę. Jest ona poświęcona teoriom społecznym Tomasza Morusa.

W dwa lata później habilituje się w Petersburgu. W tym też mniej więcej czasie zwekslował na tę epokę i na te zagadnienia, które z czasem miały mu przynieść europejską sławę i wybitną pozycję w nauce. Postanawia mianowicie zająć się historią przemysłu i klasy robotniczej we Francji rewolucyjnej. Przeprowadza w tym celu poważne, kilkuletnie studia w archiwach francuskich. Rezultatem tych studiów jest najpierw wydana w r. 1907 książka o „Robotnikach państwowych manufaktur we Francji w latach 1789—1799”, którą następnie ogłosił też po niemiecku w znanej serii Schmollera „Staats- und Sozialwissenschaftliche Forschungen”, gdzie ukazała się ona p. t. „Studien zur Geschichte der Arbeiterklasse in Frankreich waehrend der Revolution”.

W r. 1909 ukazuje się pierwszy tom większego syntetycznego dzieła o „Klasie robotniczej we Francji w epoce Wielkiej Rewolucji”. W dwa lata później, w r. 1911, wychodzi tom drugi i ostatni. Fragment tej książki, o francuskim wiejskim przemyśle przetwórczym, ukazał się w r. 1910 po francusku p. t. „L'Industrie dans les campagnes en France à la fin de l'ancien régime”¹⁾.

Książki te zdobyły Tarlemu poważną pozycję naukową. Przede wszystkim poświęcone były tematowi dotychczas bardzo mało przez naukę eksploatowanemu. Historię klasy robotniczej w epoce Wielkiej Rewolucji opracowywali przed Tarlem Lévassur i Jaurès, ale robili to w sposób dużo mniej gruntowny i systematyczny od niego. Pierwszy Tarle przystąpił do opracowywania tego tematu na podstawie tak rozległej dokumentacji archiwalnej. Książki jego nie zawsze wyzyskiwały wyczerpująco literaturę przedmiotu²⁾, ale zawsze przynosiły mnóstwo świeżego materiału archiwalnego³⁾.

1) Zob. o nich Buzeskuł, j. w., str. 23—25 i Kariejew, „Epoka francuskiej rewolucji w trudach russkich uczonych za poslednich diesiat let (1902—11), Petersburg 1912, str. 95—97.

2) Zob. Kariejew, j. w., str. 96. Podobnie pisał francuski recenzent E. T. w nr. 36 paryskiej „Revue Critique” z 9 września 1911 r.

3) Buzeskuł, j. w., str. 25.

A przy tym autor ich był człowiekiem, który z poza mnóstwa drobnych archiwalnych szczegółów umiał dostrzec zarysy ogólnych problemów i problemy te zanalizować. I w ogóle był człowiekiem szerokich horyzontów. Jego „L'Industrie dans les campagnes” zachwycał się znany francuski historyk gospodarczy, Henri Sée¹⁾.

O tych horyzontach świadczy i reszta jego dorobku z tych lat. Obok bowiem prac źródłowych ogłasza on szereg książek charakteru bardziej już popularyzatorskiego: wydaje dwutomowy podręcznik historii Włoch, książkę o upadku absolutyzmu, obszerną rozprawę, obrazującą dzieje Irlandii w XIX wieku, wreszcie szereg drobniejszych szkiców, głównie z dziejów społecznych XIX w., z czasem zebranych w osobnym tomie. Gruntowność, przynajmniej niektórych z nich, można postawić pod znakiem zapytania. Croce z czasem stwierdzi u niego ignorancję w dziedzinie historiografii Włoch, zadziwiająco u autora specjalnych książek, poświęconych historii Włoch²⁾. W każdym bądź razie jednak prace te są dowodem bardzo bujnej działalności pisarskiej i pochlebnie świadczą o szerokości zainteresowań Tarlego. Dodajmy jeszcze, że książki te świadczą też o nieprzeciętnym talencie pisarskim Tarlego: pisane są z temperamentem, autor ich ma zmysł dla barwnego, charakterystycznego szczegółu, umie być dowcipnym.

Tarle był w swoich książkach historykiem klasy robotniczej. Ale trudno powiedzieć, aby to była historia klasy robotniczej, pisana w duchu marksistowskim. Tarle posługuje się co prawda koncepcją walki klas, ale z jego ocen zjawisk gospodarczych widać, że patrzy na nie oczyma radykalnego liberała.

Z jednej więc strony z uznaniem będzie podkreślał, iż jakobini mieli najhumanitarniejszą politykę wobec robotników (dużo uczciwszą niż żyrondyści czy później Dyrektoriat), z drugiej jednak, wszelkie próby reglamentacji przez jakobinów życia gospodarczego traktuje jako coś zgóry skazanego na fiasco, bo sprzecznego z podstawowymi zasadami tego życia. Tak więc ostro krytykuje wprowadzenia t. zw. prawa o maximum (t. j. o maksymalnych cenach),

¹⁾ „Annales de Bretagne”, t. XXVI (1910—1911), str. 624—25: „Cette excellente étude forme une importante contribution à l'histoire économique de la France au XVIII-e siècle”.

²⁾ „La Critica”, t. XXXVII (1939), str. 37.

mającego na celu zapobieżenie spekulacji, dowodząc, że prawo to było nieuprawnioną interwencją państwa w życie gospodarcze, szkodziło interesom konsumenta, stało się nieznośnym ciężarem dla robotników i doprowadziło do dyktatury Komitetu Ocalenia Publicznego i do zaprowadzenia terroru.

Darmo by też szukać w tych jego książkach jakiegoś ostrza polityczno-bojowego. W rozdziale swej rosyjskiej książki, poświęconym partiom politycznym, Tarle podkreśla, że walka robotników miała wówczas charakter wyłącznie walki o poprawę warunków bytu, a nie walki politycznej, że robotnicy bez protestu patrzyli na stracenie Robespierre'a, że brak zupełnie udziału robotników w spisku Babeufa, i że tak samo zupełnie spokojnie robotnicy przyjęli później przewrót 18 Brumaire'a. Tę bierność polityczną robotników podkreśli też w zakończeniu książki: „Za cały omawiany okres — pisze on tam — robotnicy nie okazywali, ogółem mówiąc, zasadniczo wrogiego stosunku ani do podstaw panującego ustroju gospodarczego, ani też do jakichkolwiek bądź ustrojów politycznych, poczynając od Zgromadzenia Ustawodawczego, a kończąc na Konsulacie. Świadomość różnicy klasowej, poczucie solidarności z towarzyszami, rzadko — jeśli nie liczyć nielicznych wyjątków — pojawiają się w środowisku robotniczym w omawianym okresie”. Jeszcze mocniej będzie to formułował we wspomnianym wyżej rozdziale o partiach politycznych: „Polityczne interesy, nawet jako coś bezpośrednio wynikającego z potrzeb i dążeń natury gospodarczej, były dla nich jeszcze zbyt daleką i skomplikowaną abstrakcją”. Polemizuje z poglądami marksistów: Mehringa i Kautzky'ego. W jednym zaś ze swoich drobnych szkiców będzie krytykował Marxa. Marx — dowodzi tam — nie miał naukowego prawa stawiania prognoz. Jego zapowiedzi rewolucji były za optymistyczne, nie sprawdziły się¹⁾.

Widzimy więc, że książki jego pisane są z punktu widzenia liberała, odnoszącego się do robotników niewątpliwie z sympatią, ale który nie ma w sobie nic z temperamentu i nastawienia działacza robotniczego, co dopiero marksisty.

¹⁾ „Oczerki i charakteristiki”, Petersburg 1904, str. 155. Cytuję za książką G. Zajdla i M. Cwibaka, „Klassowyj wrag na istoriczeskom frontie”, Moskwa—Leningrad, 1931, str. 13.

Zgadza się to zresztą z tymi danymi biograficznymi, jakie znamy. Coprawda Łunaczarskij opowiada w swoich wspomnieniach, że Tarle należał w r. 1901 do tych kijowskich słuchaczy jego nielegalnego odczytu, którzy za ten właśnie odczyt znaleźli się razem z nim w więzieniu¹⁾, ale byłoby rzeczą ryzykowną wyciąganie z takiego jednego, oderwanego epizodu jakichś daleko idących wniosków. W latach młodości miał być bliski socjal-demokratom. Ale już w latach 1905—1906 słyszymy o nim jako o „lewicowym kadecie”²⁾. W latach zaś następnych miał ewoluować bardziej na prawo³⁾.

Po napisaniu książek o historii klasy robotniczej w okresie Wielkiej Rewolucji Tarle postanowił kontynuować swoje badania i zabrać się do studiów nad dziejami klasy robotniczej w okresie Konsulatu i Cesarstwa. Ale tu na samym wstępie wynikła pewna zasadnicza trudność. Na to bowiem, aby można było zająć się dziejami klasy robotniczej w tym okresie, trzeba było przede wszystkim być dobrze zorientowanym w polityce gospodarczej imperium Napoleona. Trzeba było przede wszystkim zorientować się w tym, jaki miała charakter i jak funkcjonowała kontynentalna blokada Napoleona. A ten temat również był w nauce słabo opracowany.

Tarle zabiera się więc do studiów nad blokadą. Studia te szybko zdołały go pochłonąć tak, że stały się same dla siebie celem. Tak powstały bodaj że najcenniejsze naukowo książki Tarlego. W r. 1913 ukazuje się po rosyjsku jego „Kontynentalna blokada”, poświęcona omówieniu polityki gospodarczej Napoleona i jej wpływu na sytuację przemysłu we Francji. W tym samym roku 1913 pojawia się też po niemiecku praca „Deutsch-franzoesische Wirtschaftsbeziehungen zur Napoleonischen Zeit”. Już zaś w czasie wojny, w r. 1916, wyszła w Juriewie (Tartu) nowa książka Tarlego z tej dziedziny „Życie gospodarcze królestwa Włoch za panowania Napoleona I”. W zamęcie rewolucyjnym prawie cały nakład tej książki spłonął, ale wyszła ona później, w r. 1928, w Paryżu po francusku p. t. „Le blocus continental en Italie”.

1) „Rewolucyjnyje siluety”, 1922, str. 58.

2) Zajdel i Cwibak, j. w., str. 8.

3) W. Dalin w „Ist. Marks.”, t. XXI (1931), str. 56—57.

Podobnie jak książki o klasie robotniczej, tak i te uderzają przede wszystkim bogactwem nowego materiału archiwalnego. Podobnie jak tam, tak i tu dobry historyk gospodarczy współpracuje w nich ręka w rękę z tęgim historykiem politycznym. Szczególnie duże wrażenie wywołała książka francuska o blokadzie kontynentalnej we Włoszech, która po raz pierwszy w tak rozległym zakresie uzmysłowiła ludziom, jak bezwzględnie system blokady kontynentalnej we Włoszech funkcjonował i jak zabójczym okazał się on dla życia gospodarczego Włoch. W superlatywach pisał o Tarlem z racji tej książki znakomity francuski historyk rewolucji, Albert Mathiez: „Ce n'est pas assez dire qu'il a renouvelé cette histoire. Il l'a créée presque de toutes pièces... Je suis confondu devant l'immensité de ses recherches... Derrière les chiffres, il saisit la vie. Il tourne et retourne le sujet sous tous ses aspects: diplomatique, politique, économique”¹⁾. Zdaniem Crocego, zresztą niechętnie usposobionego do Tarlego, jest to „una monografia di particolare importanza”, oparta na dobrej podstawie dokumentarnej („con buone ricerche documentarie”)²⁾.

Kiedy Tarle pojawił się w r. 1913 w Londynie na pierwszym międzynarodowym kongresie historyków, miał wszystkie lat 39, ale był już znakomitością europejską. Komplementował go najwybitniejszy ówczesny angielski historyk gospodarczy, Ashley. Winogradow wysunął projekt wydania jego „Kontynentalnej blokady” po angielsku³⁾.

Przyszła wojna. Tarle nie przerywa pracy naukowej — w czasie wojny właśnie opracował książkę o wpływie blokady kontynentalnej na Włochy — ale równocześnie rzuca się w wir publicystyki. Jest namiętnym ententofilem, gorącym wyznawcą sojuszu rosyjsko-francuskiego. I pewne jego studia historyczne, wydane wówczas, związane są z tą wojenną działalnością publicystyczną. Ogłasza w r. 1915 książkę o politycznych preliminariach wojny, pisze też studium informujące o tym, jak wyglądał we Francji przed wojną problem Alzacji i Lotaryngii.

Przychodzi rok 1917. Okres rządów Kiereńskiego staje się okresem najbardziej intensywnej działalności Tarlego, tak publicystycznej, jak i politycznej. W dzienniku „Dzień”

1) „Annales Historiques de la Révolution Française”, t. V (1928), str. 276—77.

2) „La Critica”, j. w., str. 37.

3) „Izw. Akad. Nauk SSSR”, j. w., str. 1558.

prowadzi energiczną kampanię za dalszym prowadzeniem wojny. „Imperator Mikołaj — pisze — padł, jak to pokazują dzieje wszystkich wojen oraz ostatnie wydarzenia, nie dlatego, że wojował, ale dlatego, że przeszkadzał w obronie”. Stara się po obaleniu monarchii wzbudzić w Rosjanach ten zapał patriotyczno-wojenny, jaki cechował rewolucyjną Francję. Szermuje przykładami i analogiami z dziejów rewolucji francuskiej, ludziom przeszkadzającym w dalszym prowadzeniu wojny grozi rewolucyjną gilotyną. Jest pewny jak najdalej idącej pomocy zachodnich sojuszników, a przynajmniej stara się w czytelnikach swoich umacniać tę wiarę.

Angażuje się też bezpośrednio w polityce jako agent polityczny Kiereńskiego. Z jego ramienia jedzie do Helsinek, aby przeciwdziałać odłączeniu się Finlandii od Rosji. Jeździ także do Stockholmu, gdzie konferuje z Brantingiem.

Pokój brzeski scharakteryzował jako „śmierć Rosji”¹⁾.

W r. 1918 zostaje mianowany profesorem historii w Piotrogradzie. W Piotrogradzie też w tym samym roku wychodzi pierwsza jego powojenna książka. Jest to zbiór jego drobniejszych studiów na tematy stosunków Rosji z Zachodem w ciągu ostatnich stu kilkudziesięciu lat, „Zachód i Rosja”. Większość z nich drukowana była jeszcze przed wojną. Studia są zasadniczo apolityczne, ale mimo to akcenty polityczne przebijają w nich nie raz i nie dwa. Jak hasło polityczne brzmieć musiał podówczas już tytuł tej książki. Politycznym akcentem jest też i jej dedykacja. Została ona mianowicie poświęcona „męczeńskiej pamięci A. I. Szingarewa i F. F. Kokoszkina”. Szingarew i Kokoszkina byli to dwaj kadeccy działacze polityczni. Szingarew, wybitny parlamentarzysta, jeden z przywódców kadetów, był w r. 1917 najpierw ministrem rolnictwa, później — finansów. W listopadzie 1917 r. został aresztowany przez bolszewików. W więzieniu rozchorował się i 6 stycznia przewieziony został do szpitala. Zaraz następnej nocy tak on, jak i Kokoszkina, który również znajdował się w szpitalu, zostali zamordowani przez grupę rewolucyjnych marynarzy. Bolszewicy później już, chcąc zrzucić z siebie odium za to morderstwo polityczne, ogłosili, że mordercami byli marynarze „o poglądach anarchistycznych”.

¹⁾ Dane biograficzne do działalności Tarlego w czasie wojny u Zajdla i Cwibaka, j. w., str. 44—49.

Złośliwe aluzje do stosunków współczesnych mamy na tych stronach książki, na których Tarle omawia głośne dzieło markiza Custine'a o Rosji Mikołaja I. Dużo wymowniejsze jest tu jednak inne nawiązanie do współczesności. W książce jest mianowicie rozprawa o działalności w latach 1756—57 posła brytyjskiego na dworze petersburskim, Charlesa Williama (dodajmy nawiasem: tego samego, z którym młody Stanisław Poniatowski przyjechał do Petersburga). Jak wiadomo, wtedy, jeszcze za panowania Elżbiety, Rosja była w wojnie z Prusami Fryderyka II, Anglia zaś de facto była wówczas sojusznikiem Prus. Otóż zadaniem Williama było jeśli już nie samo odciągnięcie Rosji od udziału w tej wojnie, to co najmniej osiągnięcie tego, aby udział ten był jak najmniej skuteczny. W tym celu Williams nawiązał bardzo bliskie i serdeczne stosunki z żoną następcy tronu i późniejszą carycą Katarzyną, która miała wtedy orientację proruską; i w tym celu też przekupił ni mniej ni więcej, tylko kanclerza rosyjskiego, Bestiuzewa Riumina. Otóż opowiedziawszy bliżej o tym, jak to przekupywanie wyglądało, Tarle dodaje na zakończenie opowieści taki od siebie komentarz:

„Tajna dyplomacja” XVIII wieku poświęcała interesy kraju równie chętnie co „jawna dyplomacja” w naszych czasach (— mamy tu aluzję do znanego hasła Lenina, który domagał się, jak wiadomo, „jawnej dyplomacji” — W. W.). Ze szczegółami „tajnej dyplomacji” XVIII wieku zaznajamiamy się dopiero teraz; niektóre szczegóły „jawnej”, „socjalistycznej” dyplomacji będą ujawnione także nieprędko. Ale będą ujawnione. Przecież hr. Bestiuzew też niewątpliwie wierzył, że jego operacje finansowe pozostaną poza zasięgiem ciekawych oczu¹⁾).

Aluzja, jak widzimy, bardzo zjadliwa.

Co się działo z Tarlem w latach bezpośrednio następujących po objęciu przez bolszewików władzy, trudno powiedzieć. Kiedy potem komuniści ze szkoły Pokrowskiego wydadzą przeciwko Tarlemu i Płatonowowi książkę, znajdziemy tam wiadomość, że ostateczny koniec wojny na Zachodzie i załamanie się wiary w skuteczność interwencji państw zachodnich w Rosji wywołały u Tarlego „prostrację²⁾”. Najwyraźniej, w tym czasie nic nie ogłaszał. Ale

¹⁾ „Zapad i Rossija”, Piotrograd 1918, str. 158—59.

²⁾ Zajdel i Cwibak, j. w., str. 49.

też i lata nie były dla ogłaszania prac naukowych. Najwcześniejsza znana jego rzecz po „Zachodzie i Rosji” to ogłoszony w r. 1921 artykuł o niemieckim historyku, Theodorze Schliemannie. Wiemy też, że w r. 1922 wydał w Piotrogradzie studium o „Prasie we Francji za Napoleona I”.

Rok 1922 zapoczątkował w Rosji krótki, dwuletni okres, znany potem pod nazwą „naukowego Nepu”. W okresie tym warunki cenzury bolszewickiej znacznie zelżały. Korzystając z tego, grono historyków pietrogradzkich przystąpiło do wydawania względnie niezależnego periodyku, poświęconego historii powszechnej, p. t. „Annaly”. Pismo miało dwóch współredaktorów: wybitnego orientalistę Oldenburga i Tarlego.

Petersburg był zawsze ośrodkiem tych uczonych rosyjskich, którzy byli orientacji zachodniej. I piętno tej orientacji jest w „Annalach” bardzo wyraźne. Pismo jest organem tych uczonych, skupionych koło Akademii Nauk, którzy nie byli komunistami, walczyli o utrzymanie niezależności nauki i dążyli do utrzymania związków kulturalnych z Zachodem. Pismo daje nam też wgląd w szczegóły heroicznej walki poważnej nauki rosyjskiej o utrzymanie się na poziomie, związki z Zachodem, zachowanie pewnej niezależności. Mamy tu np. recenzję z poważnej — jak można z omówienia sądzić — pracy mediewistycznej o św. Michale z Tours. Temat należał do niemile widzianych, tak że nie było możliwości wydania jej drukiem. Udostępniono ją też czytelnikom w ten sposób, że przepisano ją w pewnej ilości egzemplarzy na maszynie. Praca liczyła około 400 stron.

Pisma tego Tarle nie tylko był współredaktorem i bodaj że najproduktywniejszym współpracownikiem. On też jest autorem programowego artykułu, otwierającego pierwszy zeszyt pisma. Artykuł poświęcony jest „Bieżącym zadaniom” historyka. Zaczyna się od stwierdzenia, iż katalizm, jaki świat tylko co przeżył, był tak głęboki, iż domaga się zrewidowania zasadniczych pojęć, każe patrzeć na proces historyczny nowymi oczyma. Stosowanie do zjawisk współczesności starych przedwojennych jeszcze formuł mija się z celem, nie ma już sensu. Jest rzeczą jasną, iż jest to pite do marksistów. I jest też rzeczą jasną, że taki właśnie atak ma charakter szczególnie złośliwy, bo atakuje to właśnie, co jest punktem szczególnej dumy u marksisty, jego postępowość.

Tarle zastanawia się następnie nad niebezpieczeństwami, jakie czyhają na historyka w takich właśnie epokach kataklizmów. Ogromnie trudno w takich czasach o obiektywizm naukowy: uczoney wpada w ton albo prokuratorski, albo adwokacki. Nic dziwnego, że w takich właśnie czasach szczególnie łatwo rozmnażają się — Tarle posługuje się tu terminem Crocego — „pseudohistorycy”.

Poza tym zaś grozi wtedy historykowi i inne niebezpieczeństwo, mianowicie niebezpieczeństwo popadnięcia w sytuację „kameralistów”, t. j. teoretyków i filozofów absolutystycznej biurokracji środkowo-europejskiej XVI i XVII w. Komu takie niebezpieczeństwo szczególnie zagraża? Tym, „którzy podchodzą do materiału historycznego z apriorycznie uformowaną filozoficzną czy religijną wiarą”, którzy szukają w danych historycznych nie prawdy, ale ilustracji dla swoich schematów i swoich teorii. Poczem, po tych uwagach, Tarle najspokojniej przechodzi do ataku na — Hegla.

Pisane to było w r. 1922, a więc już w pięć lat po wybuchu rewolucji bolszewickiej. Jak widzimy, Tarle jeszcze wtedy z walki z tą rewolucją na swoim odcinku i dostępnymi sobie środkami nie zrezygnował.

Podobnym duchem tchną i inne artykuły Tarlego w „Annalach”. Jeden z nich to piękna charakterystyka pośmiertna znakomitego historyka angielskiego Jamesa Bryce'a. Bryce jest autorem klasycznego dzieła o demokracji amerykańskiej, i jeśli kto z pośród historyków angielskich był sztandarowym heroldem idei demokratycznej w sensie zachodnio-europejskim, to właśnie on¹). Tarle pisze też o nim bardzo ciepło i mocno akcentuje te wartości moralne, które przyszyły do głosu zarówno w pismach Bryce'a, jak i w jego bogatym życiu.

O bieżące zagadnienia polityczne zahacza tylko jedna jego rozprawa, „Anglia i Turcja”, ogłoszona w r. 1923, w trzecim tomie „Annalów”. Tarle daje tu najpierw historię przedwojennego antagonizmu rosyjsko-angielskiego w kwestii tureckiej, a potem tłumaczy czytelnikowi, wbrew hasłom, głoszonym podówczas przez bolszewików, że ponieważ zasadnicze warunki geograficzno-polityczne po-

¹) Zob. jego piękną charakterystykę w książce Sir A. Saltera „Personality in Politics”, London 1947, str. 109—112.

zostały tu te same, także i w przyszłości należy się spodziewać analogicznego antagonizmu rosyjsko-angielskiego. Po-tem, koło r. 1930, artykuł ten ściągnie na głowę Tarlego sporo gromów¹⁾. Będzie się go przytaczało jako koronny przykład na dowód, że nie zrozumiał rewolucji bolszewickiej, że nie zdaje sobie sprawy z tego, jakim istotnym i zasadniczym była ona przewrotem w dziejach rosyjskiej polityki zagranicznej. Tarle — oświadczą jego oskarżyciele — należy do szkoły „neoimperialistów”, ale Rosja Sowiecka na zawsze z imperializmem zerwała.

Pierwszy rocznik „Annałów” skwitował w komunistycznym miesięczniku „Pieczęć i Rewolucja” M. N. Łukin. Podniósł on, iż pismo to zamknięte jest właściwie dla komunistów. Tarle zrozumiał niebezpieczeństwo, kryjące się w takim zarzucie, i zaprosił do współpracy jednego z pietrogradzkich historyków-marksistów, Zachera. Z czasem współpraca ta miała Zachera drogo kosztować²⁾.

Pismo wychodziło w ten sposób jeszcze rok. Potem trzeba je było zamknąć. Naukowy Nep się skończył.

W latach „Annałów”, jak się zdaje, Tarle wydał też wybór źródeł do historii rewolucyjnego trybunału we Francji³⁾. Z czasem spotka go zarzut, że źródła te ogłosił z celem publicystycznym — dla skompromitowania Czeki. Nie znając książki, niedostępnej w Londynie, trudno powiedzieć, o ile zarzut ten jest prawdziwy. Jedno w każdym bądź razie jest

¹⁾ Z a j d e l i C w i b a k, j. w., str. 49—50, I. T a t a r o w w „Ist. Marks.”, t. XVIII—XIX (1929), str. 173. Prof. Stuart R. Tompkins, pisząc o atakach Tatarowa na Tarlego, błędnie podaje, jakoby chodziło tu o rzecz podówczas wydaną („recently published”). W rzeczywistości Tarlemo wspomniano artykuł z okresu naukowego Nepu. — Zob. S t u a r t R. T o m p k i n s, „Communist Historical Thought”, „Slavonic Review”, t. XIII (1933—4), str. 308.

²⁾ Zob. Z a j d e l i C w i b a k, j. w., str. 50: „Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że Zacher, który został nawet komunistą, szybko został zdemaskowany przez leningradzkich historyków-komunistów jako człowiek dwulicowy, rzekomo zwalczający burżuazyjną historiografię, w rzeczywistości jednak pomagający jej”. — Zob. też tamże, str. 225—28, list Zachera z pokajaniem, o którym niżej.

³⁾ Książki tej nie wymieniamy bibliografia prac Tarlego, ogłoszona w „Izw. Akad. Nauk SSSR”, t. XXI (1927), str. 1560—61. Wspominają o niej książka Z a j d l a i C w i b a k a, j. w., str. 135, oraz „Ist. Marks.”, t. XXI (1931), str. 48, 58.

pewne: tego rodzaju zamiar byłby zupełnie zgodny z tym, co wiemy skądinąd o jego przekonaniach politycznych w tych latach, nie mówiąc już o tym, że analogie musiały się narzucać same przez się.

W r. 1921 Tarle zostaje wybrany członkiem korespondentem Akademii (członkiem czynnym zostanie w r. 1927). Z ogłoszonych wówczas z tej racji w „Izwestijach” Akademii danych bibliograficznych dowiadujemy się, że przygotował nowe wydanie swej historii Włoch i książki o upadku absolutyzmu, że pracował nad rzeczą o finansach rosyjskich w okresie wojen napoleońskich, przede wszystkim zaś, że miał zamiar opracowania trzeciej z kolei pracy, poświęconej blokadzie kontynentalnej — o Hiszpanii. „Izwestija” zaznaczają jednak, że tej ostatniej pracy nie będzie mógł napisać, jeśli nie będzie miał możliwości studiów archiwalnych w Hiszpanii¹⁾. Możliwości takie nigdy nie zaistniały. Co jednak najcharakterystyczniejsze dla warunków studiów naukowych w Rosji rewolucyjnej, to że ż a d n a z tych zapowiadzianych prac — nie tylko książka o blokadzie kontynentalnej w Hiszpanii — nigdy nie pojawiła się w druku.

Rok 1924 jest w dziejach życia Tarlego rokiem przełomowym. Dotychczas stanowisko jego było bezkompromisowe, reżimowi i jego ideologii wrogie. W ramach możliwości cenzuralnych z reżimem tym prowadził walkę. Obecnie, po siedmiu latach takiej walki, stanowisko to się załamało. Postanowił pójść na kompromis.

Trzeba tu jednak wyraźnie podkreślić: taktyka jego w tych latach była taktyką kompromisu, ale nie kapitulacji. Współpracuje przygodnie w wydawnictwach, mających wyraźne piętno marksistowskie, tu i owdzie przyjmuje terminologię marksistowską czy rewolucyjną, zacytuje w jednym czy drugim miejscu Marxa czy Engelsa — wszystko to jednak nie pociąga jeszcze wtedy za sobą zupełnego zgleichschaltowania jego prac naukowych. Stanowisko jego będzie stanowiskiem sympatyka marksistów, ale nie ortodoksyjnego marksisty. Oczywiście, o jakichkolwiek atakach na reżim czy reżimową naukę w tych warunkach nie mogło już być mowy. Trybuty na rzecz reżimu i Marxa mają świadczyć o lojalności uczonego. Za tę lojalność kupuje on sobie pewną swobodę dla swych niemarksistowskich koncepcji.

1) „Izw. Ros. Akad. Nauk”, 1921, str. 72.

Rzecz ciekawa, przez pewien czas system ten działał. A działał ze względu na politykę zagraniczną. Przywódca bowiem historyków-marksistów, M. N. Pokrowskij, był wrogo nastawiony wobec państw dawnej Ententy, miał za to stosunki z uczonymi niemieckimi¹⁾. Reżimowi zaś zależało na posiadaniu uczonego sowieckiego, który by miał dobre stosunki z nauką francuską. Nikt nie nadawał się do tego bardziej od Tarlego. To też uzyskuje on możliwość nie tylko ogłaszania swoich prac, ale i częstych wyjazdów do Francji. Już w r. 1924 wyjeżdża do Paryża, gdzie na zaproszenie Collège des Sciences Sociales wykłada historię gospodarczą Wielkiej Rewolucji. I odtąd niemal aż do samego swego aresztowania, które nastąpiło z początkiem r. 1930, jest we Francji bardzo częstym gościem. Co więcej, w latach tych ogłasza sporo po francusku. W r. 1926 wychodzi w Paryżu jego studium „Napoleon I et les intérêts économiques de la France.” W roku następnym ukazuje się francuskie wydanie jego książki o blokadzie kontynentalnej we Włoszech, przyjęte, jak widzieliśmy, bardzo dobrze przez naukę francuską. Jest też wcale częstym gościem na łamach francuskich periodyków naukowych.

Równocześnie prowadzi badania archiwalne nad dziejami klasy robotniczej we Francji w okresie restauracji Burbonów. Jest to więc okres wcale żywej działalności naukowej. Dodajmy jeszcze, że jego seminarium historyczne w Leningradzie jest żywym ośrodkiem badań naukowych i że jest on jednym z założycieli leningradzkiego Instytutu Historycznego.

Zachowały się z tych lat pewne dane biograficzne, które świadczą, że miał jeszcze wtedy pewną niezależność po-sunięć, że na forum uniwersyteckim działał łągodząco, występował przeciwko fanatyzmowi partyjnemu. Niektóre takie wystąpienia były jak na warunki sowieckie bardzo odważne.

W r. 1927 w leningradzkim Klubie Dyskusyjnym wybuchła bomba, która raniła kilka osób. W związku z tym na posie-

¹⁾ Przykładem może tu być wydany w Berlinie w r. 1929 z przedmową Ottona Hoetzsch'a tom zbiorowy wykładów berlińskich Pokrowskiego i innych historyków sowieckich p. t. „Aus der historischen Wissenschaft der Soviet-Union”.

dzeniu Instytutu Historii, które miało miejsce wkrótce po zamachu, historyk-marksista Mołok, nawiasem dodajmy, również specjalista od rewolucji francuskiej, zgłosił rezolucję, potępiającą zamachowców. Tarle, który przewodniczył na tym posiedzeniu, rezolucję tę spławił, a na jej miejsce ogłosił swoją, dużo łagodniejszą, z wyrazami współczucia dla ofiar zamachu. Postąpił tak, bo uważał, że Instytut Historii to „instytucja akademicka, a nie polityczna”¹⁾.

Jeszcze więcej odwagi wykazał w r. 1929, kiedy odmówił wzięcia udziału w nagonce na Żebielewa. Żebielew, znakomity archeolog rosyjski, posłał swą pracę do wydawanego w Pradze przez uczonych emigrantów naukowego periodyku, poświęconego bizantynologii „Seminarium Kondakovianum”. Za tę współpracę w emigracyjnym czasopiśmie rozpetano na Żebielewa nagonkę. M. in. starano się przeforsować protest profesorów uniwersytetu leningradzkiego, potępiający Żebielewa. Tarle głosował przeciwko takiemu protestowi²⁾.

Wszystko to będzie mu później policzone, ale tymczasem wystąpienia te nie miały żadnych konsekwencji. I nie one wywołały przeciwko niemu burzę, tylko jego książka o „Europie w epoce imperializmu, 1871—1919”, wydana po raz pierwszy w r. 1927, obszerne dzieło, objętości blisko 500 str.³⁾.

Ironia losu chce, że książka ta, która Tarlego zgubiła, jest właściwie jedyną jego książką, którą możnaby nazwać pracą konsekwentnego materialisty dziejowego. Jej tytuł nie dość dokładnie oddaje jej treść. Rozkład treści jest tu bowiem taki, że najwięcej miejsca zajmują w książce lata wojny

1) Zajdel i Cwibak, j. w., str. 176 (wystąpienie Mołoka).

2) Zajdel i Cwibak, j. w., str. 169—170 (wystąpienie Siemienowa Zussera).

3) Książki tej — ani pierwszego, ani drugiego wydania — nie ma w żadnej z dostępnych mi angielskich bibliotek publicznych. Omówienie jej tutaj zostało opracowane na zasadzie książki Zajdla i Cwibaka, j. w., passim, artykułu Pokrowskiego, „Ist. Marks.”, t. VII (1928), str. 10—17, artykułu N. Rubinsztejna „Odstupienie w bojewom bezporiadkie”, „Ist. Marks.”, t. XI (1929), str. 157—162, przynoszącym obszerne zestawienia pierwszego i drugiego wydania, oraz recenzji W. Wodowozowa z pierwszego wydania, ogłoszonej w paryskich „Sowriemiennjja Zapiski”, t. XXXVI (1928), str. 551—555.

i lata bezpośrednio poprzedzające wojnę światową. Główne zadanie bowiem, jakie sobie książka postawiła, to wytłumaczenie czytelnikowi, jak doszło do tej wojny. I — jak przystało na materialistę dziejowego — wszystkie przyczyny wojny światowej Tarle sprowadza w ostatecznym rachunku do konfliktów o podłożu gospodarczym, mianowicie do współzawodnictwa wrogich imperializmów, przede wszystkim niemieckiego i angielskiego.

Po roku 1870 — tłumaczy Tarle — kapitał przemysłowy ostatecznie bierze górę nad rolnym. Przychodzi okres burzliwego, gwałtownego rozwoju tego kapitalizmu. Rozrastając się, poszukuje on coraz to nowych rynków zbytu. Politycznym tego wyrazem jest imperializm mocarstw przemysłowych. Starcia imperializmów o nowe rynki zbytu — co politycznie oznacza nowe kolonie i nowe protektoraty — uczyniły wojnę nieuniknioną. Najostrzejszy z tych kryzysów to kryzys między imperializmem angielskim a niemieckim. Klasy rządzące obu państw — t. zn. w ujęciu Tarlego kapitał przemysłowy — przygotowały się do wojny jako nieuniknionej już począwszy od roku mniej więcej 1900.

Wszystkie więc wydarzenia polityczne omawianego przez siebie okresu sprowadza Tarle do przyczyn gospodarczych. O tym, jak jaskrawe uproszczenia takie ujęcie wprowadza w przedstawienie procesu historycznego, jak proces ten prymitywizuje — pouczyć może choćby jeden przykład, na który zwrócił uwagę W. Wodowozow w paryskich „Sowie-miennych Zapiskach”. Oto, jak wiadomo, pierwsze lata XX w. to były w Wielkiej Brytanii lata ważnych i głęboko sięgających reform społecznych. Tarle reformy te tłumaczy w bardzo prosty sposób: kapitalizm angielski poszedł tu na kompromisy, na ustępstwa wobec mas, bo chciał na okres nadchodzącego konfliktu masy te związać ze sobą, chciał je za cenę tych reform społecznych kupić. Takie tłumaczenie Tarle wysunął mimo oczywistej wymowy faktu, że rząd liberałów, który reformy te przeprowadził po r. 1905, zrobił to wbrew sferom wielkoprzemysłowym, reformy te zawzięcie zwalczającym.

I oto okazało się, że akurat ta książka spotkała się z gwałtownym atakiem oficjalnej szkoły historycznej marksistów-bolszewików, i to podjętym przez samego przywódcę szkoły, Pokrowskiego na łamach „Istorika Marksista”, głów-

nego organu tej szkoły¹). Zarówno sam atak, jak i jego brutalność tłumaczą się przede wszystkim ogólną sytuacją polityczną Rosji. Trzeba pamiętać, że wewnętrzna sytuacja polityczna się wówczas w Rosji zaostrzała, że komuniści przechodzili do ofensywy, stawali się coraz to agresywniejsi. Zbliżał się przecież rok 1929—30, rok pamiętnej rozprawy reżimu z chłopami.

Ale w dużej mierze ostrość krytyki tłumaczy się i tym, że książka o „Europie w epoce imperializmu” była książką — marksisty, materialisty dziejowego. Tarle bowiem w książce tej zdeklarował się jako marksista, ale nie jako uczeń Pokrowskiego. Dotychczas szkoła Pokrowskiego miała w Rosji monopol na „materialistyczne tłumaczenie dziejów”, obecnie w osobie Tarlego zjawiał się groźny konkurent. Dotychczas pozycja Tarlego była prosta — należał do obozu t. zw. uczonych „burżuazyjnych”, sympatyków reżimu, flirtujących z reżimem — ale nie ortodoksyjnych marksistów. Tymczasem teraz okazało się, że ten poganin przeobraził się w heretyka. Inde ira.

W książce Tarlego Pokrowskij widzi „próbę zniszczenia marksistowskich koncepcyj historycznych przy pomocy jakoby marksistowskich chwytów”. Zaatakował w niej dwie sprawy: Tarlego ujęcie problemu winy za wybuch wojny oraz jego ocenę roli politycznej klasy robotniczej przed wojną.

Jeszcze w czasie wojny Tarle ogłosił artykuł o „Niemieckiej orientacji u Durnawo w r. 1914”, w którym jako winowajcę wojny piętnował Wilhelma II. Obecnie, w książce

¹) „Nowyje tieczenia w russkoj istoriczeskoj literaturie”, „Ist. Marks.”, t. VII (1928), str. 10—17. — Zabaurna rzecz, że w tym samym tomie „Ist. Marks.” pojawiła się recenzja „Le blocus continental” Tarlego o pióra P. P. Szczegolewa, w którym Tarlego wychwalano jako wzór dla historyków marksistów: „Prace E. W. Tarlego — pisał tam Szczegolew — wyprowadzają nas daleko poza zewnętrznie efektowną, ale pod względem metodycznym nie zawsze wzbudzającą zaufanie historię wojenno-dyplomatyczną, na drogę dokładnej analizy tego gospodarczego fundamentu, na którym wyrosła dumna budowla napoleońskiego imperium. Ta droga jest jedyną słuszną pod względem naukowym i tą drogą będzie musiała pójść poważna filozofia marksistowska, która weźmie sobie za zadanie dalsze rozpracowanie problemów, postawionych po raz pierwszy w pracach E. W. Tarlego”. „Ist. Marks.”, j. w., str. 283. — Szczegolew później będzie się kajał za tę recenzję. Zob. Zajdej i Cwibak, j. w., str. 139.

sprawa ta ujęta została trochę inaczej. A la lettre — dowodzi Tarle — o winie wojennej tego czy innego państwa nie można mówić. Konflikt był nieunikniony, był rezultatem pewnej żywiołowej gry, wielkich procesów historycznych. Jeśli by się jednak chciało ustalać, kto zaczął działania wojenne, to tutaj nie może być wątpliwości — napastnikiem były Niemcy.

Zdaniem Pokrowskiego takie ujęcie było z gruntu błędne. Problem winy za wywołanie wojny — dowodził Pokrowski — nie tylko można, ale i trzeba stawiać, tylko że trzeba go stawiać w płaszczyźnie nie państwowej, ale klasowej. Winowajcą jest tutaj klasa kapitalistyczna wszystkich mocarstw bez wyjątku. Rozróżnianie między kapitalistami jednego czy drugiego kraju nie ma tu sensu. Jeśli Tarle wskazuje na Niemcy jako na napastnika, to jest to tylko świadectwo jego dawnych sympatii alianckich, wierności tej polityce, którą uprawiał w czasie wojny. „W gruncie rzeczy — pisał Pokrowski o książce Tarlego — mamy tu przed sobą jedną z próbek do tej pory prowadzonej przez Ententę polemiki przeciwko Niemcom”¹⁾.

Artykuł polemiczny Pokrowskiego zredagowany był w tonie niesłychanie napastliwym. Tarle przeciwko temu tonowi zaprotestował w liście do redakcji „Istorika Marksista”. List ten redakcja wydrukowała wraz ze swoją odpowiedzią²⁾. Ale mimo że wystąpienie Tarlego pełne było akcentów pojednawczych i bardzo ostrych wystąpień przeciwko Entencie, ton odpowiedzi nie był pojednawczy. Tarle w liście swoim zapowiadał drugie wydanie „Europy” z niektórymi ustępami przeredagowanymi. Dla redakcji „Istorika Marksista” zapowiedź ta to tylko dowód, że „przekonania polityczne niektórych autorów mają właściwości bliskie właściwościom kauczuku”. Ton polemiki Pokrowskiego — oświadczono tu — jest umyślnie brutalny i gwałtowny, bo tylko w ten sposób bolszewicy rozprawiają się ze swoimi „wrogami klasowymi”.

Wiemy, co w warunkach rosyjskich zarzut taki znaczy. To też Tarlego obleciał strach. Trzeba było na gwałt dowieść, że się nie jest „wrogiem klasowym”. Jeszcze w roku

¹⁾ Zarzut ententofilstwa postawił też książce T. A. Jerusalimskij, „Ist. Marks.”, t. XVIII—XIX (1930), str. 217.

²⁾ T. IX (1928), str. 101—109.

1928 ukazuje się drugie, przeredagowane wydanie „Europy w epoce imperializmu”.

Tarle miał jednak wtedy jeszcze na tyle poczucia godności własnej, że trudno mu było zdobyć się na pokajanie w stylu sowieckim, na pełne skruchy przyznanie się do błędów. Chciał „zachować twarz”, możliwie jak najmniej w sformułowaniach zmieniać, tak aby zmiany wyglądały na zewnątrz na niewinne retusze. Tym niemniej szło tu już teraz tylko o zachowanie pozorów. W rzeczach bowiem istotnych Tarle nagina redakcję drugiego wydania do ujęć Pokrowskiego i jego szkoły. Oto charakterystyczne przykłady.

W pierwszym wydaniu Tarle pisał o roli, jaką w angielskiej decyzji wypowiedzenia wojny Niemcom odegrało naruszenie neutralności Belgii:

„Dla Anglii opanowanie przez Niemców Belgii drogą pokojową czy wojenną było strasznym gospodarczym i politycznym złem, z którym w żaden sposób nie mogła się pogodzić” (str. 287).

W drugim wydaniu ustęp ten brzmi tak:

„W Anglii, oczywista, już na kilka lat przedtem wiedziano, że Niemcy naruszą neutralność Belgii. Teraz jednak (mowa jest o momencie wybuchu wojny — W. W.) Anglicy udawali, że było to coś zupełnie nieoczekiwanego; zaraz też zaczęła się agitacja. Od razu znaleziono pretekst dla wojny. Anglicy uważali, iż opanowanie przez Niemców Belgii drogą pokojową czy wojenną jest tak strasznym politycznym i gospodarczym złem, że w żaden sposób nie można się z nim pogodzić”.

Przykład ten jest charakterystyczny dla metody tych zmian: dawny tekst, z pierwszej redakcji, został, ale obstawiony takim kontekstem, że nabrał zupełnie innego znaczenia.

Nie tylko w kwestii odpowiedzialności za wojnę Pokrowski i jego szkoła nie zgadzali się z Tarlem. Drugim kamieniem obrazy były poglądy Tarlego na rolę ruchów robotniczych w polityce lat przedwojennych. W pierwszym wydaniu swojej książki Tarle wysuwał tezę, iż w latach poprzedzających wojnę ruchy robotnicze w Europie przeżywały okres depresji, że tętno ich działalności osłabło i że dlatego nigdzie nie okazały się one hamulcem dla agitacji wojennej. Dlatego — tłumaczy nam — masy robotnicze zgodziły się

popierać wojnę, która przecież była w jego rozumieniu wojną kapitalistów. Oto co pisał na ten temat w pierwszym wydaniu:

„Czwartym rysem charakterystycznym okresu lat 1871—1914 okazuje się znaczne osłabienie sił partii socjalistycznych jako hamulca i groźby w dziedzinie polityki zagranicznej. Można i trzeba dać tu od razu szerszą formułę: klasa robotnicza jako taka w owym okresie, zwłaszcza zaś w ciągu ostatnich 15—20 lat tego okresu, w coraz mniejszym i mniejszym stopniu przeszkadzała zwolennikom idei „próby sił” w przeprowadzeniu ich polityki” (str. 14).

Szkoła Pokrowskiego w takim ujęciu dopatrywała się działalności kontrrewolucyjnej, umyślnego obniżania roli politycznej klasy robotniczej. To też Tarle w drugim wydaniu ujęcie to zrewidował:

„Jeśli idzie o klasę robotniczą, to, oczywiście, w opisywanym okresie rozszerzyła ona i pogłębiła swoją świadomość klasową, socjal-demokracja zorganizowała milionowe masy, prasa robotnicza miała dziesiątki swoich organów. Ale im bardziej komplikowały się w środowisku robotniczym nastroje jeśli idzie o zagadnienia międzynarodowej, a w szczególności kolonialnej, polityki, tym mniej stawały się one groźne, a przynajmniej tym mniej wydawały się groźne w oczach kół rządzących obawy, iż klasa robotnicza może całą swą masą odpowiedzieć na mobilizację wystąpieniami rewolucyjnymi” (str. 17).

Czasem Tarle chwytą się tu w przerabianiu swego tekstu zupełnie niepoważnych metod. Jest taka anegdota o Żydzie, który oskarżony o obrazę sędziego, o to mianowicie, iż powiedział „Pan sędzia jest głupi”, tłumaczy się, że to nieprawda, że on powiedział coś całkiem innego: „Pan sędzia jest głupi?”. Otóż w pierwszym wydaniu swej książki Tarle powiedział:

„Wtedy w r. 1911 niebezpieczeństwo ruchów rewolucyjnych w klasie robotniczej było w Anglii już znacznie mniejsze niż wówczas, gdy rząd liberalny zdobył władzę” (t. j. w r. 1905 — W. W.; str. 51).

A w drugim wydaniu okazuje się, że Tarle powiedział coś całkiem innego:

„Czy wtedy, w r. 1911, niebezpieczeństwo ruchów rewolucyjnych w klasie robotniczej było w Anglii już mniejsze niż wówczas, gdy rząd liberałów zdobył władzę?” (str. 55).

Wszystkie te jednak sprostowania i retusze nie mogły uspokoić historyków spod znaku Pokrowskiego i powstrzymać ich kampanii przeciwko Tarlemu. Historycy ci przyzwyczajeni byli do innego stylu kajania się za grzechy i „odwoływania” błędów. Takie zwycięstwo jak to, którego owocem było drugie wydanie „Europy w epoce imperializmu”, musiało się im wydać połowicznym. Przede wszystkim jednak wszystkie te poprawki były naiwne z jednego względu, z tego mianowicie, że Tarlego zaatakowano przecież nie tyle za to, że chciał być marksistą nieortodoksyjnym, ile przede wszystkim za to — że chciał być marksistą. Dla każdego musiało być rzeczą jasną, że był zbyt wybitną indywidualnością na to, aby, jeśli mu się raz wyda dyplom na marksistę, mógł się zadowolnić pozycją drugorzędną.

To też ataki nie ustały. Oficjalni historycy, oczywiście, z satysfakcją stwierdzili, że Tarle wycofuje się ze swoich dawniejszych pozycji, co określali jako „odwrót w pełnym nieporządku (odstąpienie w boju bezporządkie)”, ale uznali wycofanie to za niepełne, niewystarczające, za kłuzzenie, za mimikrę ideologiczną.

Z końcem grudnia 1928 r. i początkiem stycznia 1929 r. odbył się w Moskwie pierwszy ogólnopartyjowy, bo z udziałem także i nierosyjskich uczonych, zjazd historyków-marksistów. Na zjeździe tym głośno było o Tarlem. Zwłaszcza obrady sekcji historii zachodnio-europejskiej przekształciły się w coś w rodzaju sądu nad książką Tarlego. Co prawda główny referent sekcji, Łukin, tylko o niej wspominał (oczywiście niechętnie), ale za to uczestnicy dyskusji, Fridland, Lurie, Zajdel, Fejdel, Monosow, rozwodzili się nad nią dużo. Wszyscy oni byli zgodni w potępianiu książki¹⁾.

Poprzez te ataki wyczytać jednak można ze sprawozdania z dyskusji wcale ciekawe fakty, świadczące o tym, że książka Tarlego stała się w rosyjskim życiu kulturalnym wydarzeniem dnia, że różni uczeni wyrażali się o niej pochlebnie, że przemawiała do młodzieży. Leningradzka historyczka, Lurie, twierdziła: „Przecież skandalem jest nie tylko sama treść książki Tarlego. Skandalem jest także i ta okoliczność, że kiedy wyszło pierwsze wydanie tej książki, nie spotkała

¹⁾ „Trudy Pierwoj Wsiesojuznoj Konfierencji Istorikow Marksistow”, t. II, Moskwa 1930, str. 25—45.

się ona z dostateczną odprawą z naszej strony. Przecież mamy do czynienia z takiego rodzaju faktem, że pojawienie się tej książki, niewątpliwie prawego odchylenia, spotkało się z pozytywną oceną całego szeregu profesorów, twierdzących, że ta książka to jeden z najlepszych podręczników do nauki epoki imperializmu”.

Inny uczestnik dyskusji, Fejdel, mówił o bataliach, jakie trzeba staczać z młodzieżą, która pod wpływem książki Tarlego przekonana jest, że wybuch wojny obciąża Niemcy. Książka Tarlego to „subtelna trucizna”, — ostrzegał Fejdel. Zgadzał się z tą oceną Monosow, który tłumaczył, iż książka Tarlego jest tym niebezpieczniejsza, ponieważ napisana jest „pięknie i z polotem (blestiaszczo i priekrasno)”. To że „książka w ogóle napisana jest pierwszorzędnie”, przyznawał na innym miejscu i Pokrowskij¹⁾.

W tej dyskusji Pokrowskij zabrał głos pod sam jej koniec. I on w swoim przemówieniu poruszył sprawę książki Tarlego, i to bardzo wymownie, w ferworze bowiem dyskusyjnym wyszło na jaw, jak wybitną rolę grał tu motyw zawiści osobistej: „Akademik Tarle, — powiedział, — o którym ja nie chciałem wspominać w swoim przemówieniu, ale o którym nie można nie wspomnieć, bo to „pępek ziemi”, „oś”, wokół której świat się dzisiaj obraca”...

Z pośród wszystkich uczestników dyskusji tej sekcji stosunkowo najkulturalniej i najbardziej miękko atakował Tarlego leningradzki historyk czasów najnowszych, Zajdel. Stenogramy z zebrań plenarnych tłumaczą nam, dlaczego. Zajdel reprezentował na zjeździe leningradzki Instytut Marksizmu, z którym Tarle współpracował. W swoim referacie o działalności Instytutu Zajdel tłumaczy się z tej współpracy w sposób wcale godny i kulturalny: „Przyciągnęliśmy akad. Tarlego do pracy w Instytucie Marksizmu. Uważaliśmy za rzecz niemożliwą pozostawienie go poza Instytutem. Prawda, zastrzeżyliśmy się przy tym, iż to nie znaczy, że w jakiegokolwiek mierze solidaryzujemy się z jego książką”²⁾.

W swej obronie Zajdel zdobywał się nawet na wcale liberalne i — zważywszy atmosferę zjazdu — odważne akcenty:

¹⁾ Że „książka w ogóle napisana jest pierwszorzędnie”, przyznawał to i Pokrowskij, „Ist. Marks.”, t. VII (1928), str. 11.

²⁾ „Trudy”, j. w., t. I, str. 48—49.

„Uważamy, że przyciągając tego czy innego człowieka, bliższego nam czy metodą, czy poglądem na świat, że przyciągając go do pracy, wcale nie jesteśmy zobowiązani odpowiadać za wszystkie wypuszczone przezeń prace, za prace bieżące, jak i te, które mogą w przyszłości wyjść spod jego pióra”.

„Istotnik Marksist” jeszcze przed dwoma laty oburzał się, iż znaleźli się tacy „młodzi marksściści”, którzy „na jakimś to leningradzkim zebraniu bronili książki Tarlego”¹⁾. Zdaniem Zajdla informacje pisma są nieścisłe, zebrania takiego nie było. „Co wcale nie znaczy — ciągnął Zajdel dalej — że ten czy inny towarzysz w głębi duszy nie solidaryzuje się z Tarlem, że, być może, i mówił o tym komuś, ale w każdym bądź razie na zebraniach organizowanych przez nas nikt z podobnego rodzaju oświadczeniami nie wystąpił”.

Ktoś na sali krzyknął w tym miejscu, że to formalistyka. Sam Pokrowskij zabrał po referacie Zajdla głos i oświadczył, że w jego posiadaniu jest „list z redakcji pewnej gazety, w którym mowa jest o tym zebraniu”²⁾. Wkrótce też, jak zobaczymy, Zajdel i za współpracę z Tarlem, i za tę próbę jej obrony, będzie musiał odpokutować w bardzo swoiście sowiecki sposób.

Następną książkę, jaką Tarle po „Europie” wydał, ogłoszone w r. 1928 studium „Klasa robotnicza w pierwszych latach przemysłu maszynowego, od upadku imperium do powstania robotników w Lyonie”, krytyka marksistowska przyjęła chłodno, ale nie tak wrogo. Podniesiono, że książka ta nie jest dziełem marksisty („i dlatego do używanej w niej marksistowskiej frazeologii trzeba odnosić się z wielką ostrożnością”), że szereg problemów potraktowano w niej „w sposób metodycznie niepoprawny”, ale przy tym wszystkim przyznawano, iż jest ona cenna z dwóch względów: przynosi nowy materiał źródłowy i jest dobrze napisana³⁾.

Za to wydany w rok później elementarny podręcznik historii Europy w XIX w., „Zarys najnowszej historii Europy”,

1) „Ist. Marks.”, t. IX (1928), str. 108.

2) „Trudy”, j. w., t. I, str. 49.

3) Zob. recenzję N. Zawitniewicza, „Ist. Marks.”, t. XI (1929), str. 189—193. — „Izw. Akad. Nauk SSSR, seria VI, t. XXI (1927), str. 1560, donosiły, że Tarle pracował nad kontynuacją tej książki, mającą przynieść historię klasy robotniczej w latach monarchii lipcowej. Książka ta nigdy się nie ukazała.

został gwałtownie zaatakowany: zarzucono mu błędy faktyczne i ignorancję, jeśli idzie o prace Marxa i Engelsa¹⁾.

Do czasu jednak ataki te nie pociągały za sobą praktycznych konsekwencji. Co więcej, nie spowodowały nawet przerwania kontaktów Tarlego z Zachodem. Co prawda na międzynarodowy kongres historyków w Oslo, na który zapowiedziano jego referat o klasie robotniczej we Francji w przededniu rewolucji 1848 r.²⁾, nie pojechał. Zjawił się na kongresie tylko Pokrowskij. Ale do Francji jeździ w dalszym ciągu, w dalszym też ciągu ogłasza rozprawy we francuskich periodykach, i to nie tylko w pismach, mających stempel lewicowości, jak „Annales Historiques de la Révolution Française” Mathieza, ale i np. w piśmie tak prznikniętym kultem Napoleona jak „Revue des Études Napoléoniennes.” Stanowisko jego w tym czasie jest bardzo paradoksalne: u siebie jest brutalnie i bezwzględnie atakowany, zagranicą jest uważany za reprezentacyjnego przedstawiciela historiografii sowieckiej i znany autorytet w dziedzinie historii gospodarczej czasów napoleońskich.

Jedno z jego paryskich wystąpień publicznych w r. 1929 nabrało nawet — może i bez jego wiedzy — charakteru demonstracji politycznej. Wygłosił mianowicie w Sorbonie dn. 30 listopada odczyt publiczny o gospodarczej jedności kontynentu europejskiego za Napoleona. Na krótko przedtem Briand wysunął swój projekt Stanów Zjednoczonych Europy. Już to samo nadawało tematowi odczytu posmaku politycznego. Uwypuklił jeszcze ten polityczny charakter odczytu rektor Sorbony, Charlety, w swym wystąpieniu po odczycie. Sens tego wystąpienia był taki, że Liga Narodów podejmuje właśnie ideę Napoleona³⁾.

Przyszedł pamiętny w historii rosyjskiej rok 1929—30 — rok zaprowadzenia kolchozów, generalnej rozprawy z chłopami, wielkiego głodu i wielkiego zaostrzenia walk politycznych. Był to również rok ostatecznej rozprawy reżimu

1) Zob. recenzję S. M o n o s o w a, „Ist. Marks.”, t. XIII (1929), str. 235—238.

2) „VII-e Congrès International des Sciences Historiques. Résumés des communications”, Oslo 1928, str. 291.

3) S t u a r t R. T o m p k i n s, „Communist Historical Thought”, „Slavonic Review”, t. XIII (1933—34), str. 307—308 i W. D a l i n, „Ist. Marks.”, t. XXI (1931), str. 60.

z resztkami niezależnej nauki¹). Wśród uczonych przeprowadzono masowe areszty. Dobrano się do ostatniego bastionu niezależności nauki w Rosji, do leningradzkiej Akademii Nauk. Zmieniono statut Akademii i przeprowadzono wśród członków Akademii czystkę.

Areszty najdotkliwiej uderzyły w historyków. Pierwsza fala aresztowań, przeprowadzonych jeszcze w styczniu 1930 r., objęła w Leningradzie wraz z tak znakomitymi uczonymi jak najwybitniejszy po Kliuczewskim historyk Rosji, Sergiej Platonow, oraz jak Jegorow, także i Tarlego. Nieco później przysły areszty historyków moskiewskich. Wszyscy aresztowani historycy bez rozprawy sądowej zostali w r. 1931 wysiedleni do rozmaitych miejscowości ZSRS. Tarle po przesiedzeniu w więzieniu półtora roku, został w sierpniu 1931 r. zesłany do Aulie Ata w Turkiestanie²).

Już, już wydawało się, że dla niego jednego zrobiony będzie wyjątek i że spotka go zaszczyt pokazowego procesu. Poza tym bowiem, że był „burżuazyjnym” historykiem, władze sowieckie odkryły jeszcze jedno jego przestępstwo. Oto został on wmieszany w proces Prompartii.

Głównym oskarżonym tego procesu był inż. Ramzin, jeden z czołowych sowieckich energetyków, który zajmując się sprawą elektryfikacji Rosji, jeździł w latach 1927 i 1928 do Francji i Anglii. Akt oskarżenia zarzucał Ramzinowi i jego towarzyszom, że starali się oni zorganizować spisek w porozumieniu z pewnymi kołami francuskimi i angielskimi — m. in. we wrześniu 1928 r. miał Ramzin w londyńskim Savoy’u konferować w tej sprawie z płk. Lawrence’em — mający na celu obalenie ustroju bolszewickiego. Oficjalne sprawozdanie z procesu, które ukazało się w Moskwie

1) Rozprawa reżimu z historykami była szeroko komentowana w czasopiśmiennictwie slawistycznym Zachodu. Z rzeczy mających znaczenie dla naszego tematu należy wymienić poza wspomnianą wyżej rozprawą prof. Stuarda R. Tompkinsa, Fritza Epsteina „Die marxistische Geschichtswissenschaft in der Sowjetunion seit 1927”, „Jahrbuecher f. Kultur u. Geschichte d. Slaven”, Neue Folge, t. VI (1930), str. 79—124, Hansa Jonaasa „Die Entwicklung d. Geschichtsforschung in der Soviet-Union”, „Zeitschrift f. Osteuropäische Geschichte”, t. V (1931), str. 66—83, 386—396, P. Vostokova, „Les sciences historiques en Russie”, „Le Monde Slave”, t. IX (1930), str. 437—444.

2) Zob. listę aresztowanych historyków w „Slavonic Review”, t. XI (1932—33), str. 711—713.

w r. 1930, świadczy, iż miał on na celu po pierwsze przekonanie mas rosyjskich, iż państwa zachodnie przygotowują w Rosji interwencję, po drugie zaś nastraszenie tych elementów przedrewolucyjnej inteligencji, przede wszystkim technicznej, które były w służbie reżimu.

Według zeznań głównego oskarżonego, Ramzina, spiskowcy mieli już przygotowany skład nowego rządu. Na liście z r. 1927—8 Tarle figuruje jako projektowany minister spraw zagranicznych tego rządu. Inna lista, z r. 1930, wymienia jako branych pod rozwagę kandydatów na stanowisko ministra spraw zagranicznych albo Tarlego, albo Milukowa¹).

Nie wydaje się, aby oskarżenia te można było, jeśli idzie o Tarlego, brać poważnie. W każdym bądź razie nie potraktowały ich poważnie same władze sowieckie. Tarlego bowiem spotkała taka sama kara jak innych historyków, którzy z żadnymi spiskami nie mieli nic wspólnego i których jedyną zbrodnią była „burżuazyjność” ich prac. Należy raczej przyjąć, że ponieważ władzom wyraźnie zależało na tym, by procesowi nadać jak największy rozgłos i by związać z nim jak największą ilość znanych nazwisk, po prostu — skoro proces przygotowywano wtedy, kiedy Tarle był już w więzieniu — w myśl zasady on prète aux riches i jego osobę związane z procesem.

Równocześnie z tą akcją administracyjno-polityczną szła rozprawa ideologiczna z uwięzionymi historykami. Reżimowi historycy organizowali w tym celu specjalne zebrania dyskusyjne i ogłaszali całe serie odpowiednich artykułów w prasie. Poza tym przeciwko dwu najwybitniejszym z uwięzionych historyków przygotowano z materiałów takich zebrzań dyskusyjnych całą książkę, którą wydano w r. 1931 p. t. „Klasowy wróg na froncie historycznym”.

Książka składa się z dwóch części: pierwsza i większa poświęcona jest Tarlemu, druga — Płatonowowi. Obie części mają ten sam układ. A więc najpierw idzie zasadniczy referat, akt oskarżenia, potem zaś krótkie wypowiedzi, które na pierwszy rzut oka mogą robić wrażenie głosów dyskusyjnych, które jednak od normalnej dyskusji różnią się przede wszystkim pod jednym zasadniczym względem: oto

¹) „Udar po intierwientam”, Moskwa-Leningrad, 1930, str. 27—28, oraz „Wreckers on Trial”, Londyn 1931, str. 15 — zeznania Ramzina z 25 listopada 1930 r.

między „dyskutującymi” nie ma żadnej różnicy zdań, wszyscy oni zgadzają się zarówno w potępianiu „dyskutowanego” historyka, jak i w powodach, skłaniających do tego potępienia. Poza tym widać, iż „dyskusja” ta jest z góry wyreżyserowana, ponieważ każdy z biorących w niej udział ma swój temat, swoją kwestię, która nigdy nie pokrywa się z kwestiami innych uczestników. Na zakończenie wreszcie mamy głosy dawnych uczniów, odżegnujących się od swego profesora. Kilku kajających się uczniów, którzy w zebraniach nie mogli czy nie chcieli wziąć udziału, posłało redaktorom książki listy, wydrukowane na równi z głosami dyskusyjnymi.

Na głównego oskarżyciela Tarlego reżyseria tej dyskusji wybrała — Zajdla, a więc akurat tego historyka, który z Tarlem współpracował w Leningradzie i który jeszcze w grudniu 1929 r. współpracy tej wcale dzielnie bronił. Najwyraźniej referat jego miał być aktem ekspiacji, miał nim odkupić grzech współpracy z Tarlem.

Jest też ten referat równie brutalny jak i wszystkie inne głosy tej „dyskusji”. Celem jego, jak i całej książki, jest dowiedzenie dwóch rzeczy: po pierwsze, że Tarle w swoich pracach nie jest wcale konsekwentnym marksistą-materialistą dziejowym, po drugie zaś, że to w ogóle mały i niepoważny uczonec.

Pierwszej z tych tez dowieść było łatwo. Współautorzy książki określają postawę ideologiczną Tarlego jako eklektyzm. Można się z nimi tu niewątpliwie zgodzić. Jak z całego naszego dotychczasowego przedstawienia wynika, Tarle co prawda czasem, zwłaszcza w późniejszych pracach, marksizm kokietował, ale z wyjątkiem książki o „Europie w epoce imperializmu” nigdzie jako konsekwentny marksista nie występował¹⁾.

Szczególnie chętnie uczestnicy „dyskusji” wyłapują tu z dzieł Tarlego te wszystkie miejsca, w których, zdaniem ich, nie docenia on roli politycznej klasy robotniczej czy też stopnia jej uświadomienia politycznego. Żaden z nich nie wchodzi tu przy tym właściwie w dyskusję z Tarlem.

¹⁾ Przykładem niestaranności, z jaką dowód ten został przeprowadzony, może być ten fakt, że chociaż wszyscy uczestnicy „dyskusji” poprostu wychodzą ze skóry, aby Tarlego skompromitować, nikt z nich nie przytacza książki „Rossija i Zapad” i zawartych w niej ataków na bolszewików oraz nieprzychylnych sądów o Marxie.

Ograniczają się oni wszyscy do wyliczania tych miejsc, w których Tarle odbiega od ustalonych poglądów szkoły, uważając, że samo przytoczenie takiego poglądu jest tu już udowodnieniem błędu. Milcząco przyjmuje się dogmatyczne założenie, iż jest rzeczą oczywistą, że wszystkie twierdzenia szkoły muszą być słuszne.

Udowodnienie tezy, że dzieło naukowe Tarlego jest bez większej wartości, nie było łatwe. Ale uczestnicy „dyskusji” mieli tu swoje sposoby. Po pierwsze więc, jak już widzieliśmy, w dorobku Tarlego obok prac źródłowych, przynoszących zupełnie nowe wyniki, były też i rzeczy charakteru raczej kompilacyjno-popularyzacyjnego, takie jak podręcznik historii Włoch. Otóż nad tymi pracami uczestnicy dyskusji zatrzymują się szczególnie chętnie, bo — oczywista — atakować je jest dużo łatwiej. Jak widzieliśmy też, pierwszą większą pracą, jaką Tarle ogłosił, była książka o „Utopii” Tomasza Morusa. Tarle nigdy więcej do tego tematu ani okresu nie wrócił, praca miała wyraźnie charakter młodzieńczy, w książce jednak nie ustawia się jej we właściwej perspektywie w dorobku naukowym Tarlego, ale traktuje jako rzecz dla niego reprezentacyjną, i potem dopiero wydobywa się jako szczególnie kompromitujące przykłady złego zrozumienia łacińskiego tekstu czy potknięcia w realiach.

Tam zaś, gdzie będzie można się powołać na rzecz wydaną zagranicą, a więc trudną do sprawdzenia, spotkamy się nawet po prostu z fałszem, przekręceniem danych. Tak więc Zajdel starając się dowieść w swoim referacie, że Tarle jest właściwie ignorantem i nieukiem, powołuje się na recenzję Alberta Pingaud z „Blokady kontynentalnej we Włoszech”, ogłoszoną w „Revue Historique” w 1928 r., i twierdzi, że Pingaud zarzuca tam Tarlemu przeoczenie „kapitalnej pracy” autora nazwiskiem Jacini o stosunkach agrarnych w Lombardii. Poczem zaraz w następnym zdaniu dodaje: „Nie mówimy już o tym nieuctwie, jakiego dowody zdradza Tarle w kwestiach, o których pisze nie jako badacz, ale jako kompilator czy popularyzator”¹⁾. Oczywista, w świadomości czytelnika rodzi się przekonanie, że Pingaud złapał tu Tarlego na jakimś kapitalnym, kompromitującym zaniedbaniu.

¹⁾ Zajdel i Cwibak, j. w., str. 64—68.

A teraz zajrzyjmy do samej recenzji¹⁾. Rzeczywiście Pingaud zarzuca w niej Tarlemu przeoczenie książki Jaciniego i jeszcze dwóch innych, ale nigdzie nie nazywa książki Jaciniego „kapitałną”, nie ma też w jego recenzji ani słowa, któreby wskazywało, że w ogóle uważa ją za ważną. Przeciwnie, w zakończeniu recenzji pisze: „Te drobne niedopatrzenia bibliograficzne, trudne do uniknięcia, kiedy się traktuje o przedmiocie tak obszernym, w niczym nie ujmują zasługom dzieła nowego, solidnego, jasnego, dobrze udokumentowanego, przejrzystego skomponowanego i które całe wydaje się być definitywnym”.

Przykład sam w sobie jest drobny, ale bardzo charakterystyczny dla poziomu i rzetelności intelektualnej tych „dyskusji”.

Prace Tarlego na temat dziejów gospodarczych i dziejów klasy robotniczej oparte były na nowym, nieznanym materiale archiwalnym. Zdawałoby się, że to ich wielka zaleta. Ale znalazł się w dyskusji obskurant, — nazwisko jego brzmi Szczegolew, — który zrobił z tego Tarlemu zarzut. Szczegolew w r. 1928 na łamach „Istorika Marksi-sta” wyrażał się z uznaniem o Tarlem. Dlatego teraz był szczególnie gorliwy w potępianiu:

„Historycy sowieccy, pracujący w dziedzinie historii Zachodu, z powodu całego szeregu obiektywnych warunków rzadko kiedy mają możliwość skierowania się ku takim źródłom, które by były nieznanymi burżuazyjnym historykom. Jeśliby przyjęc nastawienie Tarlego i kierować się jego dyrektywami, to przyszloby zamknąć się w ramach badań historycznych, opartych na surowcu archiwalnym, co w gruncie rzeczy oznaczałoby pełne unieruchomienie pracy naukowej naszych historyków Zachodu. Drugi aspekt tej metody Tarlego oznacza co następuje... Ustanowić orientację wyłącznie na surowiec (ten „surowiec” zamiast „materiału” to swoista właściwość frazeologii Szczegolewa — W. W.) archiwalny, to znaczy wierzyć we wszystkie wywody, do jakich dotychczas doszła burżuazyjna nauka historyczna. Ta orientacja z drugiej strony oznaczałaby wyłączenie z obrotu całej istniejącej marksistowskiej literatury historycznej. Nastawienie to oznaczałoby pełne unieruchomienie, oznaczałoby, że w całym szeregu problemów wzy-

¹⁾ „Revue Historique”, t. CLVII (1928), str. 388.

wałoby się marksistowską naukę historyczną do złożenia broni¹⁾).

Aby móc ocenić cały smak tego obskurantwa, trzeba sobie zdać sprawę z pewnych podstawowych założeń szkoły Pokrowskiego. Pokrowskij — jak wiadomo — wysunął hasło historii jako narzędzia w walce klasowej. Znaczy to, że w ujęciu jego i jego szkoły praca historyczna była właściwie publicystyką polityczną, przeprowadzoną na materiale historycznym. Zauważmy tu nawiasowo, że w takim ujęciu historii komuniści spotykają się na wspólnym gruncie z hitlerowcami. Jeśli hitlerowski pisarz, Erich Czech-Jochberg, w przedmowie do swojej „Deutsche Geschichte nationalsozialistisch gesehen” pisze, że tematem jego książki jest „nie historia po prostu, i nie historia polityki, ale polityka historii” — to stoi on w gruncie rzeczy na tym samym stanowisku metodycznym co Pokrowskij i jego szkoła. Bolszewicy historycy legitymację praworzędności swoich prac czerpali stąd, iż za wytyczne brali sobie publicystyczne wypowiedzi Lenina i Stalina. Ich hitlerowski odpowiednik pisze: „Das Buch folgt in seinen Richtlinien den von Herrn Reichsminister Dr Frick herausgegebenen Richtlinien”. Schodząc się z bolszewikami w cyniczno-utylitarnym stosunku do prawdy historycznej, Czech-Jochberg ma jednak nad nimi jedną wyższość, oto nigdzie nie pretenduje do naukowości (a co dopiero do monopolu na naukowość), przeciwnie podkreśla, iż książka jego jest dziełem „publicysty” a nie „cechowego historyka”: „Dieses Buch ist die Arbeit eines politischen Schriftstellers, nicht eines zuerftigen Historikers²⁾).

Pokrowskij i jego szkoła uważali, że są wyłącznymi posiadaczami tajemnicy naprawdę naukowej metody badań historycznych, ale przy takich założeniach, jakie wyznawali, „naukowość” ta musiała się sprowadzać do publicystyki politycznej. Stąd historycy ci najchętniej uprawiali szerokie uogólnienia, biorąc materiał opracowany najczęściej przez innych, a tylko wydobywając z niego takie publicystyczne wnioski, jakie im były potrzebne. Sam Pokrowskij wydawał dużo źródeł do najnowszej historii dyplomatycznej, takich zwłaszcza, które — jego zdaniem — kompromitowały poli-

1) Zajdel i Cwibak, j. w., str. 127.

2) Lipsk 1933, str. 5.

tykę państw „kapitalistycznych”, z Rosją carską włącznie, ale w jego pracach konstrukcyjnych, jak np. w jego studiach z historii dyplomatycznej i politycznej Rosji XIX w., prawie nigdy nie ma odwołania się do źródeł, prawie nigdy nie ma przypisku. Autor ich co strona przekreśla dotychczasowe ujęcia, wysuwa nowe, nieraz zresztą bardzo pomysłowe, teorie, ale sprawdzić jego ujęć, koncepcji, odkryć nigdy nie można, bo Pokrowskij w książkach swych nie uznaje powoływania się na źródła. Rzecz oczywista, że tego typu historiografia mogła się rozwijać tylko w takich warunkach, w których nikt nie miał możliwości atakowania czy nawet postawienia drażliwych pytań oficjalnemu historykowi. I rzecz oczywista też, że tego rodzaju historyków prace Tarlego z całym aparatem przypisków, cytatów, powoływania się na źródła — musiały kłuć w oczy, niepokoić jak wyrzut sumienia.

Przemówienie Szczegolewa oznacza się jeszcze jedną osobliwością. Zaatakował on mianowicie „Germinal i Prairial” Tarlego, która to praca — jak wynika z jego omówienia — nie tylko że nie została ogłoszona, ale nawet nie została wykończona przez autora: „Gdyby praca ta była skończona, to nie otrzymalibyśmy historii Germinalu i Prairialu, a dostalibyśmy tylko burżuazyjny falsyfikat tych ruchów paryskiego proletariatu”¹⁾. Szczegolew nigdzie nie tłumaczy, w jaki sposób w ręce jego dostał się manuskrypt niedokończonej pracy Tarlego, trudno by się też dopatrzeć tu u niego cienia jakichś skrupułów.

Główny pogromca Tarlego Zajdel zwrócił też uwagę na to, że wszystkie wybitne prace Tarlego powstały między rokiem 1905 a 1916. Te lata — dowodzi — to lata nasilenia reakcji społecznej. A więc Tarle jest historykiem, który rozwinął się w latach nasilenia reakcji, w atmosferze reakcyjnej. Jest zatem historykiem reakcyjnym²⁾. Ciekawą jest rzecz, coby mędrzec, który postawił ten zarzut, powiedział, gdyby ktoś chciał na podstawie takiego samego rozumowania dyskwalifikować Gorkiego albo Lenina.

Pod adresem książek Tarlego padały w „dyskusji” tej takie określenia jak „falsyfikatorskie chwytły”, „falsyfikacja historii”, „oburzająca falsyfikacja”, „pusta burżuazyjno-

1) Zajdel i Cwibak, j. w., str. 135—136.

2) J. w., str. 22—23.

liberalna gadanina", „burżuazyjne oszczerstwo na klasę robotniczą", „haniebny liberalny bohomaz". Autor tych książek „łże bez zarumienienia się"; jego metody to „szkodnictwo". Jego polityczną pozycję określano rozmaicie. Czasem charakteryzowano go jako „ententofila"¹⁾, ale czasem padało pod jego adresem i inne określenie — „neo-imperialista"²⁾.

Ostateczny zaś werdykt całej rozprawy brzmiał: „Historiografia proletariacka, okrzepnąwszy, raz na zawsze skończy z Tarlem i jego przyjaciółmi na froncie historycznym"³⁾.

Moralnie najhaniebniejszą stroną książki są akty skruchy oraz potępienia dawnego profesora ze strony byłych uczniów Tarlego. Jak już wspomniano wyżej, wokół katedry Tarlego skupiło się grono młodych historyków, jego uczniów; w książce mówi się o nich jako o „tarlewszczyźnie". Teraz na tych uczniów, którzy nie chcieli podzielać losów swego profesora, przyszedł czas pokajania się, odcięcia się od niego.

Oto dwa takie pokajania. Mówią one same za siebie. Autorem jednego z nich jest N. N. Rozental. „Jeśli do naszych klasowych wrogów — czytamy w jego liście, ogłoszonym w książce — nie ma u mnie odpowiedniej bolszewickiej nienawiści, nie tłumaczy się to moimi wahaniem w sprawach zasadniczych, a tylko przeżytkami burżuazyjno-inteligenckiej psychologii"⁴⁾.

A oto cytat z innego listu, nadesłanego z Leningradu przez Zachera, niegdyś ucznia Tarlego, a z czasem profesora uniwersytetu leningradzkiego i autora szeregu książek, poświęconych rewolucji francuskiej oraz rewolucji 1848 r. w Niemczech:

„Od końca 1928 r. w swoich poglądach politycznych zacząłem doświadczać wahań w stronę prawego oportunistu. Następstwem tego było niedocenianie przeze mnie potem faktu zaostrzenia się walki klasowej w ZSRS i następnie konieczności zaostrzenia walki z wrogiem klasowym na froncie ideologicznym. Dlatego też i nie rozumiałem koniecz-

1) Jako ententofila piętnował też Tarlego Ł u k i n w „Krasnoj Gazietie" z 26 grudnia 1930 r.

2) Zajdel i Cwibak, j. w., str. 160.

3) J. w., str. 66.

4) J. w., str. 228—9.

ności zdemaskowania antymarksistowskich poglądów Tarlego i kiedy mi zaproponowano wystąpienie przeciwko niemu, popełniłem swój dwulicowy czyn, który ściągnął na mnie słuszną karę wykluczenia mnie z WKP(b) i odebrania mi pracy. Ocenę tego postępuku zrobiłem w kilku oświadczeniach, przedłożonych CBSNP¹). Do tego wszystkiego, co oświadczyłem wtedy, teraz uważam za rzecz konieczną dodać, że jeśli subiektywnie powodowałem się małodusznym strachem przed ostatecznym zerwaniem z moim byłym nauczycielem, to obiektywnie rzecz biorąc, osłaniałem nie tylko antymarksistę (z tego zdawałem sobie wtedy sprawę), ale i kontrrewolucjonistę, co, oczywista, pojąłem dopiero później. Jednak okoliczność ta, co się samo przez się rozumie, w niczym nie umniejsza obiektywnego znaczenia mojej winy²).

W dalszym ciągu swojego listu Zacher prosi, aby to jego pokajanie się ogłosić drukiem. Jak przystało na doświadczonego historyka, orientował się, jaki to wymowny dokument historyczny.

Analogiczną rozprawę z „burżuazyjnymi historykami Zachodu w ZSRS” — dyskusję sekcji metodologicznej historyków-komunistów — drukował „Istorił Marksist” z roku 1931³). Comme de raison, Tarle zajmuje tu honorowe miejsce. Z pośród „burżuazyjnych” historyków — tłumaczy główny referent dyskusji, Łukin — on należy do najgroźniejszych, do tych, co „przybierali maskę marksizmu”. Ale szczęśliwie jego „Europa w okresie imperializmu” odegrała tu rolę „papierka lakmusowego”.

Ton dyskusji, jej poziom, dobór argumentów — wszystko to takie same, jak w „Klasowym wrogu na froncie historycznym”. Dlatego nie ma potrzeby referowania tu tej dyskusji bliżej. Kilku jednak momentów jej nie sposób jednak pominąć milczeniem. Jeden więc z uczestników dyskusji, F. Patiomkin, stwierdza tu chętnie: „Od Tarlego oddzielają nas teraz nie tylko różnice teoretyczne, ale — mówiąc bez metafory — oddziela nas gruba ściana z mocną kratą”.

Ten sam troglodyta znalazł jeszcze jeden „papierek lakmusowy” na stwierdzenie, że Tarle to nie marksista. Tarle

1) Централноје Бiуро Сјекциj Народново Просвiещенjа.

2) Z a j d e l i C w i b a k, j. w., str. 227.

3) „Burżuaznyje istoriki Zapada w SSSR (Tarle, Pietruszewskij, Kariejew, Buzeskuł i dr.)”, „Ist. Marks.”, t. XXI (1931), str. 44—86.

mianowicie drukował fragment swej ostatniej wydanej przed aresztowaniem pracy, studium o powstaniu lyońskim robotników z r. 1831, na Zachodzie, i to drukował dwukrotnie: raz w r. 1927 we Frankfurcie, w drugim tomie wydawanego tam „Marx-Engels Archiv”, drugi zaś w r. 1929, w trzech kolejnych zeszytach świeżo wówczas założonego komunistycznego miesięcznika „La Revue Marxiste”. Oba więc razy studium to zostało ogłoszone w wydawnictwach wyraźnego komunistycznego stempla. Ale pech chciał, że studium to omawiał w „burżuazyjnej” „Revue Historique” historyk Lyonu, L. Lévy-Schneider¹⁾. Ze wszystkich znanych autorowi tych słów francuskich recenzji prac Tarlego ta właśnie jest merytorycznie najostrzejsza. Tarle oparł się w studium swoim wyłącznie na materiałach z Archives Nationales w Paryżu, nie wyzyskał zaś archiwaliów lyońskich. Lévy-Schneider uważa to za ciężki błąd pracy. Daje też w swojej recenzji sporą listę sprostowań i uzupełnień. Mimo to wszystko recenzja jego jest w formie kurtuazyjna. O Tarlem pisze się tam jako o „od dawna cenionym historyku”. Recenzent przytem prostuje tu i uzupełnia poszczególne fakty, ale nie atakuje samego ujęcia. Otóż i jedno i drugie wydało się Patiomkinowi bardzo podejrzane. Łatwo domyśleć się — pisze on — dlaczego „różowa obsłonka udającej marksistowską frazeologii nie może oszukać francuskiego krytyka”. Krytyk ten bowiem odkrył w Tarlem bratnią duszę, „burżuazyjnego” również historyka, i dlatego potraktował go z rewerencją i kurtuzją. — Dowód winy został więc przeprowadzony.

Patiomkin zajął się też charakterystyką funkcji politycznej książek Tarlego. Zdaniem Pokrowskiego i jego szkoły, każda praca historyczna musi mieć swój sens polityczny. Patiomkin nie miał trudności w odszyfrowaniu tego sensu prac Tarlego. „Wszystkie jego prace z dziedziny polityki międzynarodowej — pisał — to obrona Ententy, przedsięwzięta dla celów przygotowania restauracji kapitalizmu”.

Aresztowanie Tarlego wywarło duże wrażenie we francuskim świecie naukowym, wrażenie tym większe, że miało miejsce wszystkiego w miesiąc po jego ostatnim pobycie we Francji. Historycy francuscy ogłosili protest, podpisany m. in. przez takie znakomitości jak Seignobos, Hau-

¹⁾ „Revue Historique”, t. CDXIV (1930), str. 375—376.

ser, Sée, Eisenmann, Silvain Lévi, Camille Bloch, Sagnac, Mathiez. Sam Mathiez, z którego inicjatywy Tarle został zaproszony do wygłoszenia swego ostatniego odczytu publicznego w Sorbonie, ogłosił w „Annales Historiques de la Révolution Française” w r. 1931 gorący artykuł, protestujący przeciwko aresztowaniu Tarlego, „Choses de Russie Soviétique”¹⁾. Mathiez, wybitny historyk rewolucji francuskiej, sam bliski marksistom, wielbiciel Robespierre’a (katedrę jego jego przeciwnicy polityczni nazywali „katedrą wojny domowej”), był swego czasu gorącym apostołem naukowej współpracy francusko-sowieckiej. Współpraca ta jednak nie bardzo się układała. Mathiez szybko odkrył, że całego szeregu rzeczy z historykami sowieckimi nie można dyskutować, bo muszą je przyjmować dogmatycznie, na wiarę. Aresztowanie Tarlego było tu dla niego najcięższym i ostatnim rozczarowaniem.

Artykuł jego, napisany z całą pasją zawiedzionego wyznawcy, jest patetycznym protestem przeciwko temu, że uczeni sowieccy zamiast wystąpić w obronie prześladowanych kolegów sami stają się współprześladawcami:

„Vous avez abdiqué — pisał pod adresem wiernych reżimowi historyków — votre indépendance. Vous n’êtes plus que des instruments dans la main du gouvernement. Vous décorez du nom de marxisme votre capitulation... Dans la Russie de Staline, il n’y a plus de place pour une science indépendante, pour une science libre et désintéressée, pour une science tout court. L’histoire notamment n’est plus qu’une branche de la propagande”.

Na apel ten uczeni sowieccy nie odpowiedzieli. Ale zato szybko potem odkryli, że historyczne koncepcje Mathiez — którego książki przed tym tłumaczone były na język rosyjski — nie mają nic wspólnego z marksizmem i że są błędne²⁾.

Zbyteczne też dodawać, że władze sowieckie protestów się nie zlekły. Tarle pozostał na zesłaniu.

Aż przyszedł rok 1934. Pod wrażeniem przewrotu hitlerowskiego Rosjanie postanowili mobilizować społeczeństwo do nadchodzącej wojny także i emocjonalnie. Ro-

1) „Annales Historiques de la Révolution Française”, t. VIII (1931), str. 149–158. — Tam też ogłoszony protest historyków francuskich.

2) C. Fridland, „Kazus Matieza”, „Borba Kłassow”, 1931, str. 100–105, i M. N. Łukin, „Nowiejszaja ewolucija Albera Matieza”, „Ist. Marks.”, t. XXI (1931), str. 38–43.

zumieli, jakie znaczenie w takiej emocjonalnej mobilizacji ma dla mas świadomość związku z przeszłością, kult własnej tradycji. Ale nauka historii w tym ujęciu, jakie dawała szkoła Pokrowskiego, nie mogło tu być żadną pomocą; przeciwnie, okazywała się zawadą. Historia Rosji w ujęciu Pokrowskiego i jego uczniów miała bowiem charakter agresywno-rewizjonistyczny, starała się na każdym kroku kompromitować przeszłość, demaskować patriotyczne legendy. A poza tym historia w ich ujęciu stawała się abstrakcyjna. Sprowadzała dzieje do procesów przede wszystkim gospodarczych, formuł ekonomicznych. Jest zaś rzeczą jasną, że do wyobraźni i uczuć mas można trafić przykładami żywych ludzi, ale nie ekonomicznymi schematami. I dlatego z samej góry rządzącej przyszło hasło zasadniczej zmiany frontu historycznego. Hasło to padło na XVII zjeździe partyjnym w r. 1934, a poza tym zostało wysunięte w ogłoszonych w gazetach 8 i 9 sierpnia 1934 r. instrukcjach dla autorów podręczników historycznych. Jako autorzy tych instrukcyj figurowali ni mniej ni więcej tylko Stalin, Kirow i Żdanow.

Pokrowskij podówczas już nie żył. Umarł dwa lata wcześniej, w r. 1932, syt honorów i sławy, chowany z wielką pompą jako luminarz nauki sowieckiej. Ale zostały jego książki. I nad tymi książkami urządzono teraz, w r. 1934, sąd. I w czasie tego sądu okazało się, że Pokrowskij wcale nie był marksistą. Że był tylko kryptomarksistą. I że jego koncepcje historyczne były błędne.

W tym samym roku 1934 Akademia Nauk wydała przekład „Pamiętników” Talleyranda. Przedmowę do przekładu napisał — prof. Tarle.

Kiedy i w jakich okolicznościach Tarle wrócił z wygnania, nie wiadomo. Zachowała się legenda, którą autor tych słów słyszał w Rosji, że kiedy Herriot, który był prezesem francuskiego Towarzystwa Przyjaciół ZSRS, pojechał w r. 1934 do Moskwy, poprosił Mołotowa jako o osobistą przysługę o umożliwienie mu zobaczenia się z Tarlem. Mołotow miał przychylić się do prośby Herriota, posłać po Tarlego samolot, i potem Tarle już więcej na zesłanie nie wrócił.

Trudno dojść, ile w tej legendzie jest prawdy. Jedno tylko jest pewne. Jeśli Herriot naprawdę prosił Mołotowa, mógł Mołotow okazać się wspaniałomyślnym, ponieważ Tarle był wtedy reżimowi gwałtownie potrzebny. Z pośród

wszystkich bowiem zesłanych historyków był nie tylko jednym z najwybitniejszych jeśli idzie o dorobek naukowy, ale był też i obdarzony największym talentem literackim i dużą łatwością pióra. Ponieważ zaś w r. 1930 został oficjalnie uznany przez Pokrowskiego i jego szkołę za wroga marksizmu, miał wszystkie dane po temu, aby teraz wybić się na stanowisko czołowego, reprezentacyjnego historyka reżimu.

Wybił się też na to stanowisko szybko. Ale myliłby się, kto by sądził, że droga tam prowadząca była dla niego teraz łatwa i usłana różami. Przeciwnie, była to droga stroma i niebezpieczna, jak to pokazały losy jego „Napoleona”.

Książka ta wyszła w r. 1936. Było to pierwsze większe dzieło Tarlego, napisane po powrocie z zesłania. Ze wszystkich jego prac jest ona najlepiej w świecie znana. Jeszcze w r. 1937 została przetłumaczona na języki angielski i francuski, a potem na włoski. Nie dawno ukazał się w kraju jej polski przekład.

Jeśli idzie o wartości ściśle naukowe, to pozostaje ona daleko w tyle za dawnymi pracami Tarlego. Ale łatwo zrozumieć powody jej wielkiej poczytności w świecie. Przede wszystkim traktowała o fascynującym temacie, a pisał ją historyk, który nie od parady władał piórem. Historyk ten znał okres napoleoński bardzo gruntownie, i to znał go od tej strony, z którą zazwyczaj specjaliści od okresu napoleońskiego są mało spoufalerzeni, bo od strony jego życia gospodarczego, od podszewki. Już to samo musiało nadawać ujęciu książki pewną świeżość, oryginalność, odrębność.

Zauważyła tu wreszcie jedna charakterystyczna właściwość książki, która czyni ją w lekturze jeszcze bardziej interesującą, ale która równocześnie w znacznym stopniu obniża jej wartość naukową. Oto umiejętność pokazania dziejów napoleońskich od strony ich podszewki gospodarczej skojarzył Tarle z pewnym anegdotycznym efekciarstwem, z zamiłowaniem do efektownych, dramatycznych scen, i to nawet takich, których autentyczność jest bardzo podejrzana. A więc mamy np. taką scenę z czasów kampanii włoskiej. Noc. Napoleon maszeruje tam i z powrotem w namiocie: bije się z myślami. Właśnie bowiem podejmuje „historyczną” decyzję wystąpienia przeciwko Dyktatoriatowi, zamach stanu. Kiedy indziej znów Tarle powtarza znaną, ale bardzo wątpliwej autentyczności anegdotę, że w czasie koronacji

Napoleon zniecierpliwiony wyrwał z rąk papieża Piusa VII koronę i sam ją sobie nałożył na głowę. Sporo też takich szczegółów anegdotycznych w duchu tradycyjnej legendy mamy w końcowych rozdziałach książki.

Takie zamiłowanie do efektownych anegdot jest tu z tego względu ciekawe, że Tarle w książce prezentuje się jako marksista i że ma swoją marksistowską koncepcję Napoleona. Napoleon w jego ujęciu wyrósł z rewolucji i jest bez rewolucji nie do pomyślenia. Jest on dla Tarlego wyrazicielem interesów młodej burżuazji francuskiej. Jego zdobycze wojenne są podyktowane ekspansją tej burżuazji, jej dążnością do znalezienia nowych rynków i wyparcia groźnej konkurencji angielskiej. Zwrócono już ze strony kompetentnej uwagę, że takie ujęcie jest wielką symplifikacją stosunku Napoleona do burżuazji francuskiej. W rzeczy samej bowiem stosunki te były dużo bardziej skomplikowane i nie brakło w nich elementów antagonizmu: burżuazji mocno ciążył despotyzm Napoleona, była ona bardziej umiarkowana w swych aspiracjach politycznych, i t. d. ¹⁾

Mniejsza jednak w tej chwili o te symplifikacje. Dla nas tutaj ciekawsza jest sprzeczność między tym ogólnym ujęciem a opracowaniem książki. Jeśli bowiem ujęcie takie ma mieć jakiś sens i jeśli Napoleon jest w gruncie rzeczy tylko pionkiem, który na powierzchnię wydobyla gra sił społecznych, to rzecz prosta, jego osobowość jest tu właściwie czymś drugorzędnym. Tymczasem Tarle jest tą osobowością najoczywiściej zafascynowany i z wielkim zamiłowaniem zbiera wszelkie szczegóły anegdotyczne o Napoleonie. I tym właśnie zdradza nieszczerłość, koniunkturalność swego marksizmu. Nieszczerłość tę bardzo trafnie wychwycił Croce w swej recenzji z włoskiego przekładu „Napoleona”. Zdaniem Crocego Tarle posługuje się w swej książce jedynie „pieczętką (una stampiglia)” materializmu dziejowego. Formuły tego materializmu są — twierdzi Croce — dla Tarlego formułami pewnego martwego rytuału, którymi posługuje się on bez żadnej wiary w ich wartość. Jest on jakby kapłanem, który nie mając wiary, odprawia mszę²⁾.

¹⁾ Zob. omówienie G. Lefebvre'a w „Revue Historique”, t. CLXXXVII (1939), Bull. Critique, str. 230.

²⁾ „La Critica”, t. XXXVII (1939), str. 37—40.

Praktyka wydawnicza rosyjska wymaga, aby za książkę obok jej autora był jeszcze odpowiedzialny także i jej „redaktor“. „Redaktorem“ takim jest człowiek politycznie pewny, którego zadaniem jest pilnowanie, aby do książki nie zakradły się żadne niewłaściwe akcenty. W pierwszym wydaniu „Napoleona” jako taki redaktor książki figuruje Karol Radek.

To związanie książki z nazwiskiem Radka o mały włos nie doprowadziło do nowej katastrofy. Kiedy bowiem Radek z kolei okazał się politycznie niepewny i dostał się do więzienia, w „Prawdzie“ pojawił się artykuł A. Konstantynowa „Historia i współczesność“, poświęcony omówieniu książki Tarlego¹⁾. Polemiki bolszewickie nigdy nie grzeszyły delikatnością, ten atak jednak nawet w skali bolszewickiej był wyjątkowo brutalny i gwałtowny. Konstantynow dopatrywał się w książce próby rehabilitacji bonapartyzmu, i to wbrew opinii Lenina. Potem zaś pisał:

“Wiadomo, że na doświadczenie bonapartyzmu powołują się japońsko-niemiecko-trockistowscy szkodnicy, szpiegdy, dywersanci, działający z rozkazu Gestapo. W kłoaie bonapartyzmu — najbardziej zdeprawowanego reżimu, jaki wydała burżuazja — czerpią swoje natchnienie tak faszystowskie tajne policje, jak i trockistowsko-bucharinowscy agenci. Starając się drogą „analogii historycznej” z Napoleonem usprawiedliwić swój podły plan restauracji kapitalizmu, czarną zdradę i wiarołomstwo, oberbandyta Trockij, jak to stwierdził na sądzie Radek, pisał swej bandzie, że “Napoleon I to nie była restauracja, — restauracja przyszła później; to była próba zachowania głównych zdobyczy rewolucji, tego co można było z rewolucji zachować”. I oto tę bandycką „koncepcję” stara się „uzasadnić” paszтет Tarlego”.

Jakby zaś tego Trockiego i Gestapo, szpiegów i bandytów było nie dość, Konstantynow wypomina jeszcze Tarlemu, że popierał go Radek, chwalił Bucharyn i że figurował na liście rządu Ramzina.

Tego rodzaju artykuł w centralnym, oficjalnym dzienniku partyjnym ma w praktyce sowieckiej sens jednoznaczny: oznacza on, iż osoba tak zaatakowana została zaarrestowana, że czeka ją zesłanie, łagier czy nawet rozstrzelanie.

¹⁾ Numer z 10 czerwca 1937 r.

Ale Tarle nie został zaaresztowany. Zamiast tego zaraz następnego dnia ukazało się w „Prawdzie” sprostowanie „Od redakcji”. Bardzo to osobliwe sprostowanie. „Recenzent — czytamy na jego wstępie — postawił autorowi książki „Napoleon” surowe wymagania, takie jakie stawia się autorowi marksistcie. A przecież, jak wiadomo, Tarle nigdy nie był marksistą, chociaż gęsto cytuje w swej pracy klasyków marksizmu”. W zakończeniu zaś tego sprawozdania autor jego pisze: „W każdym bądź razie z niemarksistowskich prac, poświęconych Napoleonowi, książka Tarlego jest najlepsza i najbliższa prawdy”. Sprostowanie przyznawało, że książka ma błędy, ale za te błędy czyniło winnym po pierwsze Radka, po drugie zaś wydawnictwo, które nie przyszło Tarlemu z pomocą.

Cały epizod świadczył o dwóch rzeczach. Po pierwsze o tym, że w partii są ludzie, którzy zagięli parol na Tarlego. Po drugie zaś o tym, że ma on protektora czy protektorów tak wysoko, iż potrafią go w opresji obronić. Dzięki nim to dywersant, agent Gestapo i trockistów potrafił się w ciągu jednego dnia przeobrazić w owcę może i zbląkaną, ale jaśniejącą niewinnością¹).

Wkrótce potem przyszło swego rodzaju wprowadzenie Tarlego na stanowisko oficjalnego historiografa reżimu. Wprowadzeniem tym był jego artykuł o „Burżuazyjnej demokracji i nowej konstytucji ZSRS”, ogłoszony w r. 1937 w „Istoriku Marksiście”²). Trzeba się nad nim chwilę zatrzymać, bo pod wieloma względami jest to dokument niezwykle ciekawy.

Konstytucja stalinowska — pisze Tarle — jest wydarzeniem przełomowym w dziejach ludzkości. W konstytucjach państw Zachodu prawa obywatela należą do dziedziny pobożnych życzeń, dobrych chęci, postulatów, w Związku Sowieckim po raz pierwszy w historii zostały one w konstytucji tak mocno obwarowane i tak konkretnie postawione, że należą do rzeczywistości życia społecznego. Prawda, wydawałoby się, że w konstytucjach państw zachodnich są pewne postanowienia demokratyczniejsze od postanowień sowieckich. Na Zachodzie np. kładzie się duży nacisk na

¹) Zob. też, co o całym tym incydencie pisze Georges Kagan, „La crise de la science historique russe”, „Revue Historique”, t. CLXXXVIII (1940), str. 32—33.

²) T. 59 (1937), str. 125—128.

tajność głosowania. Ale przecież tylko ludzie naiwni mogą taką tajność brać na serio. Przecież jest rzeczą powszechnie wiadomą, że np. w okręgach przemysłowych przed wyborami przemysłowcy dają robotnikom do zrozumienia, że jeśli będą głosowali na partie socjalistyczne, to oni, przemysłowcy, mogą ograniczyć potem produkcję, zamknąć fabryki. A robotnicy groźbę taką doskonale rozumieją.

Mówi się, że na Zachodzie władza jest odpowiedzialna przed parlamentem. Ale przecież wiadomą jest rzeczą, że w czasie wojny światowej Lloyd George rządził Anglią, nie pytając się żadnego parlamentu. I w ogóle parlamentaryzm na Zachodzie się przeżywa. We Francji są cagoulards i Maurras, w Anglii faszyzm jest trochę słabszy, ale i tu Mosley zbiera siły i przygotowuje się do zdobycia władzy. Właśnie to poczucie niższości Zachodu wobec Rosji tłumaczy, dlaczego przyjął on, konstytucję stalinowską bez odpowiedniego entuzjazmu, nawet z wrogością.

Artykuł napisany jest w tonie bardzo agresywnym, jaskrawym, brutalnym. I ma to niewątpliwie swój cel polityczny. Władze patrzyły na Tarlego nieufnie, prześladowały go, bo uważały go za sympatyka Zachodu. Otóż takim artykułem Tarle się od podejrzeń oczyszczał. Artykułem takim zdaje się mówić: prawda, może nie jestem ortodoksyjnym, stuprocentowym marksistą, ale za to jeśli idzie o szowinizm, ksenofobię, gotowość podpisania się pod każdą opinią, choćby najbardziej odrażającą i prostacką, jeśli tylko reżym będzie tego ode mnie wymagał — to tutaj nikomu z bolszewików nie dam się wyprzedzić. — Równocześnie zaś fakt, iż artykuł ukazał się w czołowym sowieckim periodyku historycznym, świadczy, że oferta została przyjęta. W tym samym numerze mamy zresztą jeszcze jedno świadectwo ugruntowania się stanowiska Tarlego: pochwalną recenzję z „Napoleona” pióra Łukina, jednego z tych nielicznych historyków - marksistów dawnego stempla, którzy utrzymali się i po roku 1934¹⁾.

Jak więc widzimy, tym razem Tarle wyszedł z tarapatów zwycięsko. W tym samym 1936 roku mógł też zanotować i inne jeszcze zwycięstwo. Oto Zajdel, jego główny oskarżyciel z „Wroga na froncie historycznym”, teraz sam z kolei okazał się „wrogiem” i zniknął z horyzontu nauki sowiec-

¹⁾ J. w., str. 153—159.

kiej¹⁾. Z końcem zaś następnego roku ukazała się — niedostępna w Londynie — książka „Germinal i Prairial”, ta sama, którą we „Wrogu na froncie historycznym” Szcze-golew na podstawie lektury niedokończonego rękopisu charakteryzował jako „burżuazyjny falsyfikat”.

W r. 1938 wyszła nowa książka Tarlego, poświęcona wojnie 1812 r. W latach dyktatury Pokrowskiego wojnę 1812 r. traktowano w historiografii sowieckiej jako „wojnę właścicieli ziemskich”. Pokrowskij energicznie podkre-ślał, że rosyjskie masy ludowe w wojnie tej nie były bezpo-średnio zainteresowane. Z Napoleonem — tłumaczył on — walczyła tylko armia regularna i po trosze Kozacy; ci ostat-ni zresztą dopiero wtedy, kiedy armia napoleońska została „ostatecznie zniszczona głodem i chłodem”. O jakimś powstaniu ludowym — dowodził — nie można mówić²⁾.

Rzecz prosta, Tarle w najmniejszej mierze nie czuł się związany ujęciami Pokrowskiego, ale i on, porównując w swoim „Napoleonie” walkę z inwazją francuską Hisz-panów i Rosjan, musiał zgodnie z prawdą historyczną stwier-dzić, że podczas gdy w Hiszpanii była to wojna całego naro-du, obejmująca najszerze masy, to w Rosji było inaczej: „Nigdy — pisał — ani Napoleon, ani jego marszałkowie czy towarzysze broni nie mówili o wojnie 1812 r. jako o wojnie „ludowej” w takim sensie, w jakim mówili o hiszpańskiej guerilli jako o „ludowej” wojnie. I nie mogli oni tych dwóch zjawisk porównywać”. W wojnie — dowodzi dalej Tarle — brały co prawda udział oddziały partyzanckie Figne-ra, Dawidowa i in. Nie miały one jednak charakteru ludo-wego. Na czele takich oddziałów stali oficerowie, rekru-towały się też one przeważnie z żołnierzy regularnej armii. „Chłopi jako warstwa społeczna nie brali udziału w tej ak-cji”. Wymagano od nich informacji topograficznych, cza-sem służyli za przewodników, wyjątkowo napadali na po-szczególnych żołnierzy francuskich, którzy się zawieruszyli poza oddziałami. „Później, kiedy armia francuska opuści-ła już gubernię smoleńską i wkraczała na Białoruś, chłopi z małym ryzykiem wylapywali wielu głodnych i na wpół zamarniętych Francuzów, którzy pozostawali w tyle. Prze-

¹⁾ Zob. Georges Kagan, j. w., str. 4.

²⁾ Zob. jego „Diplomatija i wojny carskoj Rossiji w XIX stoletii”, Mo-skwa 1923, str. 45—46, oraz „Russkaja istorija z drieniejszych wrie-mieni”, t. III, wyd. 6, Leningrad 1924, str. 206.

ważnie zabijali ich natychmiast". Wszystko to jednak — ciągnie dalej Tarle — „mało podobne było do tej bezwzględnej i niezmordowanej walki, jaką naród hiszpański z własnej inicjatywy toczył przez pięć lat". Wojowała z Napoleonem właściwie klasa rządząca. „Niewątpliwie — można było przeczytać gdzie indziej w „Napoleonie” — w Smoleńsku i aż do Smoleńska Rosja nie zachowywała się tak jak Hiszpania. Napoleon wiedział, że chłopcy rosyjscy nie palili swoich izb i swoich zapasów żywności, i że nie ludność Smoleńska podpałiła miasto. Widział, jak po wycofaniu się armii rosyjskiej marsz. Davout nie miał potrzeby zabijania mieszkańców i wyrzucania trupów przez okna, tak jak to musiał robić w Saragossie marsz. Lannes z Hiszpanami. Nie to jednak było ważne, czy inicjatywa takiego postępowania należała do mas ludowych, jak w Hiszpanii, czy do rządu petersburskiego, jak w Rosji. Ważne było, że Aleksander, władca ich wszystkich, uważał wojnę za walkę na śmierć i życie”¹⁾).

Jak więc widzimy, ujęciom Tarlego brak jest pryncypialności i agresywności sformułowań Pokrowskiego, w gruncie jednak rzeczy w charakterystyce tła społecznego walki 1812 r. obaj oni się schodzili. Trudno się im tu zresztą było nie schodzić, skoro co do takiego ujęcia istniała powszechna zgoda. Kto zresztą pamięta „Wojnę i pokój” Tołstoja, ten wie, jak silne były w Rosji 1812 r. obawy rewolucyjnej chłopskiej.

Tymczasem jednak przy wzrastającym napięciu sytuacji międzynarodowej Kremlowi potrzebna była inna wojna 1812: taka, w której by cały lud przykładowie brał udział w wypędzaniu nieprzyjaciela. Taki obraz wojny propagowały broszury, popularne dramaty, masowe wydawnictwa. Poglądom Pokrowskiego na wojnę 1812 r. poświęcił specjalne studium zajmujący się także i sprawami polskimi historyk W. Piczeta (zmarły w ub. r.). Ze studium tego można się dowiedzieć, że „walka ludu z „wielką armią“ zaczęła się natychmiast gdy tylko armia napoleońska wkroczyła na terytorium Litwy i Białorusi”. Ujęcie Pokrowskiego Piczeta zdemaskował jako „burżuazyjne”. Musi więc ono być błędne, ponieważ wojnę 1812 r. „trafnie

¹⁾ Nie mając pod ręką egzemplarza pierwszego wydania rosyjskiego, cytuję z opartego na nim przekładu angielskiego „Bonaparte”, Londyn 1937, str. 302—303 i 272.

oświetlić i ocenić można tylko na podstawie marksistowskiej metodologii¹⁾).

Zbyteczna dodawać, że książka Tarlego „Najazd Napoleona na Moskwę” jest już zrobiona „na podstawie marksistowskiej metodologii”. Czytelnicy „Tek” wiedzą już z recenzji gen. Kukieła²⁾, jak często i jak bezceremonialnie Tarle nagina w tej książce prawdę historyczną dla celów publicystycznych reżimu. Nic też dziwnego, że jeśli idzie o „ludowy” charakter wojny Szawel z „Napoleona” przeobraził się tu w Pawła:

„Według jednomyślnej (sic!) opinii Francuzów — czytamy w książce — absolutnie nigdzie z wyjątkiem Hiszpanii chłopci nie okazywali po wsiach tak desperackiego oporu jak w Rosji. „Kiedyśmy nadchodzili, każda wieś zamieniała się albo w stos płonący, albo w fortecę“ — tak Francuzi pisali potem... To właśnie chłopci zniszczyli wspaniałą kawalerię Murata, pierwszą w świecie, przed której zwycięskimi uderzeniami uciekały wszystkie armie europejskie. I tę właśnie armię zniszczyli chłopci rosyjscy... Nie można napisać w historii 1812 roku osobnego rozdziału „Wojna ludowa”. Cała wojna przeciwko Napoleonowi była w gruncie rzeczy wojną ludową. Napoleon w strategii swojej obliczał ilość wojsk swoich i wojsk Aleksandra, ale zapomniał, że przyjdzie mu także walczyć z ludem rosyjskim. Jego to dłoń zadała największemu w historii świata wodzowi fatalne, śmiertelne uderzenie³⁾).

¹⁾ W książce zbiorowej „Protiw istoriczeskoj koncepciji M. N. Pokrowskiego”, Moskwa — Leningrad 1939, t. I, str. 276—302.

²⁾ T. I (1947), str. 57—58.

³⁾ „Naszestwije Napoleona na Moskwu”, Moskwa 1938, str. 183—4. — Na aferę z radykalną zmianą poglądów Tarlego na charakter wojny 1812 r. zwracają uwagę A. Mazour w książce „Modern Russian Historiography”, Berkeley 1939, str. 96—98, oraz Georges Kagan, j. w., str. 19. Również prof. L. B. Namier, jakkolwiek chwali książkę, podkreśla jej charakter „pragmatyczny”; zob. jego „Facing East”, Londyn 1947, str. 115. — Zabaurna rzecz, że partyzantkę chłopską jako ważny element wojny 1812 r. wziął na serio tak znakomity znawca epoki napoleońskiej jak G. Lefebvre w recenzji z francuskiego przekładu książki, ogłoszonej w „Revue Historique”, t. CXCVI (1946), str. 210—211. W dalszych wydaniach „Napoleona” Tarle uzgodnił tekst z ujęciem książki o wojnie 1812 r. To też zamiast zacytowanego wyżej tekstu mamy tam taki ustęp: „Nigdy ani Napoleon, ani jego marszałkowie czy towarzysze broni w swoich późniejszych wspomnieniach i wypowiedziach nie nazywali wojny 1812 r. „wojną ludową” w tym sensie, w jakim mówili oni np. o hiszpańskiej „guerilli”. Dwa te zjawiska miały, oczywiście, wspólne korzenie, ale w Rosji „wojna ludowa” wyrażała się w nieco innych formach niż w Hiszpanii, chociaż zaciętością swoją przypominała ona Napoleonowi Hiszpanów”. — Wyd. „Napoleona” z r. 1941, str. 281.

Nie odmówił sobie też Tarle w książce satysfakcji zaatakowania Pokrowskiego za to, że pisząc o r. 1812, powtarza opinie „burżuazyjnych” francuskich nacjonalistów¹⁾.

Dużo było radości w „Prawdzie” z nawróconego grzesznika. „Wszyscy, którym droga jest bohaterska przeszłość naszego narodu — zapewniał N. Krużkow w „Prawdzie” z 13 lipca 1938 r. — przeczytają z zainteresowaniem książkę Tarlego”.

Z momentem wydania tej książki pozycja Tarlego jako reprezentacyjnego historyka reżimu wydaje się być już ugruntowaną. Przedtem jeszcze los dał mu tę satysfakcję, że był jednym z redaktorów zbiorowego wydawnictwa historyków sowieckich, które miało w imieniu Akademii Nauk egzorcyzmować ducha jego głównego antagonisty w historiografii sowieckiej, Pokrowskiego. Trzeba pamiętać, że przez siedemnaście lat Pokrowski był powszechnie uznaną głową oficjalnej historiografii sowieckiej. Trzeba zatem było całej kampanii propagandowej na to, aby ludzi w Rosji oduczać jego ujęć i poglądów. Najpoważniejszym atakiem w tej kampanii, przeprowadzonym przy użyciu całego arsenału wyposażenia naukowego, na jakie tylko naukę sowiecką było stać, była książka „Przeciwko koncepcji historycznej Pokrowskiego”, w której komitecie redakcyjnym znajdujemy także nazwisko Tarlego.

Bez względu jednak na to, jak energicznie w tej nowej fazie historycy sowieccy odżegnywali się od Pokrowskiego, pozostali oni w dalszym ciągu wyznawcami jego podstawowej koncepcji, tej mianowicie, że historia jest narzędziem polityki. I jeśli teraz zaczęli oni wcielać w życie tę koncepcję inaczej niż Pokrowski, to tylko dlatego, że zmieniła się polityka.

Tę zależność od polityki możemy obserwować i na następnych książkach Tarlego.

W r. 1939 w popularnej serii biograficznej „Życie znakomitych ludzi” ukazała się niewielka na objętość książka Tarlego „Talleyrand”. Literacko jest to książka napisana świetnie: lekko, żywo, barwnie, o płynnej narracji, doskonale wyzyskująca materiał anegdotyczny. Czy waga naukowa tej książki jest poważna — wolno wątpić. W portrecie psychologicznym Talleyranda, jaki tu dostaliśmy,

¹⁾ Zob. „Naszestwije”, j. w., str. 5.

wybija się ponad wszystko inne jeden rys — jego chciwość pieniędzy. To jest w ręku Tarlego główny klucz do poznania Talleyranda, to jest w jego przedstawieniu leitmotiv charakteru Talleyranda. To też jeśli przyjmiemy, że praca historyka jest marksistowska o tyle, o ile sprowadza zjawiska historyczne do przyczyn natury ekonomicznej, okaże się, że ze wszystkich książek Tarlego ta jest najbardziej marksistowska.

Następną z kolei większą pracą Tarlego było opracowanie dziejów dyplomacji lat 1799—1870 dla pierwszego tomu zbiorowej „Historii dyplomacji”. Książka ta wydana została w r. 1941 pod redakcją wicekomisarza spraw zagranicznych W. P. Patiomkina w olbrzymim nakładzie pół miliona egzemplarzy. Wydanie jej, jak i całej serii „Biblioteki polityki zagranicznej”, którą inaugurowała, było rehabilitacją dyplomacji w oczach sowieckiej opinii publicznej, którą dotychczas — w teorii — obowiązywała pryncypialna pogarda dla „burżuazyjnych” metod polityki zagranicznej. Miało ono także być narzędziem wykształcenia politycznego sowieckiej inteligencji.

Rozdziały opracowane przez Tarlego — w sumie 150 stron — są w książce najżywsze, napisane z nerwem, ze świetnym wyczuciem akcentów dramatycznych rozgrywek dyplomatycznych. Dają się też czytać wyjątkowo gładko. Inna rzecz, że zostały napisane pośpiesznie i trochę powierzchownie. Jest w nich sporo błędów, przy czym, rzecz ciekawa, najwięcej z takich błędów — niektóre z nich dotyczą polonistów — znajdujemy w przedstawieniu czasów napoleońskich, a więc akurat tego okresu, który stanowi ściślejszą specjalność Tarlego¹). Zdaje się, że Tarle pisał te rozdziały po prostu z pamięci.

W ciągu roku 1940 i z początkiem 1941 w różnych periodykach sowieckich zaczęły się pojawiać rozprawy Tarlego na temat wojny krymskiej, fragmenty przygotowywanej książki²). Jak się z jednego z tych artykułów dowiadujemy, książka miała być poświęcona sprawom dyplomatycz-

¹) Zob. gruntowną recenzję B. Elkina, ogłoszoną w „Slavonic Review” XXV (1947), str. 570—573.

²) „Nakanunie Krymskoj wojny”, „Krasnaja Now” 1940, nr. 11—12, str. 217—260; „Posolstwo Mienszikowa i razryw snoszenij mieźdu Ros-sijej a Turcijoje, 1853”, „Litieraturnyj Sowriemiennik”, 1940, nr. 10—11, str. 135—161; „Adm. Nachimow”, „Mołodaja Gwardija”, 1940, nr. 4, str. 13—57; „O Krymskoj wojnie”, „Bolszewik”, 1941, nr. 6, str. 46—64.

nym, a operacje wojenne traktować tylko na dalszym planie, o tyle, o ile były one potrzebne dla zrozumienia gry dyplomatycznej.

Już sam fakt wybrania takiego tematu w okresie flirtów sowiecko-niemieckich jest bardzo wymowny. Przypominając wojnę Rosji z państwami Zachodu, książka miała niejako pośrednio usprawiedliwiać dobre stosunki ZSRS z Niemcami, będącymi z tymi właśnie państwami zachodnimi w wojnie. Nie ma potrzeby spekulowania na ten temat, w jakim duchu książka byłaby napisana, gdyby zdążyła się ukazać przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, autor nam bowiem sam sprezentował ekstrakt tego „ducha” w krótkim, syntetycznym artykule „Anglo-francuska dyplomacja i wojna krymska”¹⁾. Artykuł jest gwałtownie antyangielski. Dyplomacja angielska — dowodzi w nim Tarle — zawsze dążyła do tego, aby prowadzić wojny kosztem sojuszników. Dyplomacja ta jest stale wroga Rosji: konsekwentnie, raz po raz, opracowuje plany rozbicia Rosji, plany te jednak zawsze biorą w łeb. W plany te Anglia wciąga Francję, która jednak idzie za nią tylko do pewnych granic, rozumiejąc, że pełne zaangażowanie się byłoby dla niej niebezpieczne.

Książka jednak nie zdążyła ukazać się przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Ukazała się później. Ale kiedy? Przy bliższym wejrzeniu w sprawę okazuje się, że to wcale nie jest takie proste zagadnienie.

„Gospolizdat” zapowiadał wydanie książki jeszcze na r. 1941²⁾. Wybuch wojny przekreślił jednak plany wydawnictwa. W r. 1942 ukazała się nakładem Akademii Nauk niewielka książka „Nachimow”, składająca się, jak tłumaczy notka autora, z materiałów odpowiednich rozdziałów „Wojny krymskiej”, „przygotowanej do druku”. Książka jednak wyszła — również nakładem Akademii — znacznie później, bo dopiero pod sam koniec wojny: pierwszy tom

¹⁾ „Wojenno-Istoriczeskij Żurnał”, 1940, nr. 4, str. 98—112. Rzecz ciekawa, w drobiazgowej bibliografii „Wojny krymskiej” artykuł ten nie jest wymieniony.

²⁾ Zob. zapowiedzi „Gospolizdatu” na r. 1941 w dwumiesięczniku „Istoriczeskaja Litieratura”, t. II (1941), zesz. 1, str. 181. — W „Bolszewiku”, j. w., str. 46, czytamy, że książka ma się ukazać w „niedługim czasie” nakładem „Gospolizdatu,” w Moskwie i „Wojenmorskizdatu” w Leningradzie równocześnie. Szło więc wyraźnie o to, aby książka trafiła do jak najliczniejszych czytelników.

w r. 1944, tom drugi w r. 1945. Nigdzie nie wspomniano, że jest to wydanie drugie, wszyscy recenzenci potraktowali też książkę jako pierwodruk. Kiedy jednak potem w „Bolszewiku” ukazał się poświęcony książce artykuł N. Jakowlewa¹⁾, zacytowano w nim nieco odmienną redakcję z „pierwszego wydania” książki, jakie pojawiło się w r. 1943 nakładem „Wojenmorizdatu”²⁾. Wydania takiego jednak nigdzie nie notują bibliografie. Co się z nim stało? Czyżby cały nakład jego został zniszczony wskutek działań wojennych? Dlaczego jednak w takim razie prof. Tarle o wojennych perypetiach swojej książki ani słówkiem nie wspominał w przedmowie do wydania z r. 1944—45? Zresztą przytoczony przez Jakowlewa cytat przekonywa nas, że wydanie z r. 1944-45 nie jest prostym przedrukiem poprzedniej edycji, ale zmienioną redakcją. Dlaczego trzeba było książkę przeredagowywać? — Wszystkie te sprzeczności wyjaśnia tylko jedno tłumaczenie: że książka miała dwa „pierwsze” wydania, z których chronologicznie wcześniejsze zostało po cichu skonfiskowane.

Od tej książki, jaką Tarle zapowiadał przed wojną, ostateczna redakcja „Wojny krymskiej” różni się przede wszystkim pod jednym względem: w tamtej redakcji operacje wojenne miały być potraktowane pobieżnie, na dalszym planie. W tej zostały one opracowane bardzo szeroko, szerzej niż dzieje dyplomatyczne wojny, i wysunęły się na plan pierwszy. Bo też zmieniło się zasadniczo zadanie publicystyczne książki. Pierwotnie, przypominając antagonizm angielsko-rosyjski, miała ona mobilizować uczucia sowieckiego czytelnika przeciwko Anglikom i w ten sposób uzasadniać dobre stosunki sowiecko-hitlerowskie. W ostatecznej zaś redakcji, przypominając sceny z rosyjskiej przeszłości wojennej, miała ona mobilizować tego czytelnika do walki z Niemcami.

Miała go mobilizować wtedy, kiedy państwa anglo-saskie były sojusznikiem Rosji. Co się w takim razie stało z anty-angielskim ostrzem książki? Sądząc po przedmowie, o żadnej takiej tendencji nie może już być mowy. W przedmowie tej bowiem są komplementy pod adresem Anglików i zapewnienia, że „między najbardziej znanymi historykami

¹⁾ Numer z 15 czerwca 1945, str. 63—72.

²⁾ J. w., str. 68.

angielskimi a nami nie ma dzisiaj żadnych zasadniczych różnic w sprawach istotnych". Czytając jednak książkę, szybko przekonujemy się, że te uprzejmości przedmowy to tylko zasłona dymna. Książka i teraz jest antyangielska. Ale jest już antyangielska inaczej niż artykuł o „Anglo-francuskiej dyplomacji i wojnie krymskiej”. Tam Tarle szedł na Anglików z kłonicą. Tu posługuje się subtelniejszą bronią. Tu w szczególności upodobał sobie krytyki sztych.

Aby się w tej antyangielskiej tendencji książki zorientować, trzeba sobie choćby w najogólniejszy sposób zdać sprawę z tego, jak ustosunkowały się do Rosji kierownicze koła brytyjskie w przede dniu wojny krymskiej. Jak wiadomo, najbardziej antyrosyjski był wtedy minister spraw wewnętrznych, Palmerston. Czując za sobą poparcie znacznego odłamu opinii publicznej, występował ostro, energicznie, z rozmachem. Zupełnie inną politykę reprezentował premier, stary lord Aberdeen, który zgodnie z wieloletnią tradycją swojej polityki starał się za wszelką cenę o utrzymanie dobrych stosunków z Rosją, a w każdym razie o zapobieżenie wojnie, o sojuszu zaś z Francją myślał niechętnie. Z rosyjskim ambasadorem Brunnowem był w dobrych stosunkach osobistych. Cieszył się też jego zaufaniem.

Był wreszcie brytyjski ambasador w Konstantynopolu, lord Stratford de Redcliffe, bodaj czy nie główny bohater tej gry dyplomatycznej, która poprzedziła wybuch wojny krymskiej, nie byle jaka indywidualność, polityk zręczny, energiczny, cieszący się dużym autorytetem u swojego rządu i dużym zaufaniem sultana Mechmeda II, stąd mający znaczną swobodę akcji dyplomatycznej. Jego to jest głównie zasługą, że wszelkie próby rosyjskie zastraszenia Porty spełzły na niczym. To też dla historiografii rosyjskiej był on od dawna czymś w rodzaju *bête noire*: zawziętym wrogiem Rosji, który konsekwentnie do wojny dążył, Petersburg prowokował i wciągnął cara Mikołaja I w takie położenie, że nie miał już innego wyjścia, jak tylko wojnę. Za człowieka, który parł do wojny, uważał zresztą Stratforda de Redcliffe'a także i stary angielski historyk wojny krymskiej, Kinglake.

Tego rodzaju ujęcie roli lorda Stratforda postawił ostatnio pod znakiem zapytania tak wybitny historyk angielski, jak Harold Temperley, i to postawił dwukrotnie: najpierw w r. 1933—1934 w specjalnej rozprawie, poświęconej temu

tematowi¹⁾, a potem w r. 1936 w swej pięknej książce „England and the Near East. The Crimea”²⁾. Jak wszędzie tam, gdzie wchodzi w grę ocena motywów działalności tak powikłanej, w której krzyżuje się tyle różnych motywów i czynników, cały szereg ocen zależnie od rozłożenia akcentów jest możliwy. To też nie można mieć pretensji do rosyjskiego historyka, jeśli nie został przekonany argumentami Temperley’a. Natomiast każdego nieuprzedzonego czytelnika analiza Temperley’a musi przekonać, że problem jest skomplikowany, delikatny i że wszelkie generalizujące potępienia — czy apologie — są tu tylko niedopuszczalnym prymitywizowaniem.

Tarle jednak pierwotnie dał się ujęciu Temperley’a przekonać. Jeszcze w r. 1937 skwitował wydanie książki recenzją. Miał książce sporo do zarzucenia. Nie podobała mu się jej forma literacka. Za ciężki błąd uważał zlekceważenie strony gospodarczej konfliktu. Uważał, że Temperley nie rozgryźł sytuacji Turcji. Natomiast dla przedstawienia w książce rozgrywki dyplomatycznej, poprzedzającej wybuch wojny, miał tylko słowa gorącej pochwały. Pisał:

„Porywająco interesujące są ostatnie rozdziały książki, poświęcone pierwszym krokom, dyplomatycznej uwerturze do wojny krymskiej. Bezmyślna polityka „naprołom” Mikołaja I, posłanie Mienszikowa do Konstantynopola i jego prowokacyjne wybryki, zacięta walka w łonie gabinetu angielskiego między lordem Aberdeenem, nie chcącym wojny z Rosją, a lordem Palmerstonem, który już w r. 1852 uważał wojnę niemal że za nieuniknioną — wszystko to opisano bardzo wyraziście, z mnóstwem nowych szczegółów”.

Tymczasem w książce całą tę uwerturę dyplomatyczną przedstawiono w zupełnie innej tonacji. W „Wojnie krymskiej” lord Stratford odgrywa w dalszym ciągu rolę czarnego charakteru dramatu. Diabeł jest tam czarny i tylko czarny. Ale diabeł ten ma kilka wcieleń.

Jednym zaś z tych wcieleń jest lord Aberdeen, przy czym — jeśli wierzyć Tarlemu — odegrał on w gruncie rzeczy rolę jeszcze czarniejszą od Stratforda, bo perfidniejszą. W ujęciu bowiem Tarlego i Stratford, i Palmerston, i Aberdeen pro-

¹⁾ „Stratford de Redcliffe and the Origins of the Crimean War”, „English Historical Review”, t. 48 (1933), str. 601—621, i t. 49 (1934), str. 265—298.

²⁾ Londyn 1936; zob. w szczególności omówienie roli Stratforda w „Appendix V. Responsibilities for the Crimean War”, str. 508—509.

wadzili jedną wspólną politykę, a tylko podzielili się rolami: jeden w Konstantynopolu będzie usztywniał stanowisko Turcji wobec żądań rosyjskich, a drugi w Londynie, w przyjaznych, intymnych rozmowach z łatwowiernym Brunnowem będzie zapewniał, iż rząd Jego Królewskiej Mości żywi jak najprzyjaźniejsze uczucia dla rosyjskiego samodzięrcy i zrobi wszystko, co tylko możliwe, dla uniknięcia konfliktu¹⁾. Cóż dziwnego, że otrzymując takie raporty z Londynu, car Mikołaj będzie mógł myśleć, że ma w rozgrywce z Turcją rozwiązane ręce, że niczego poza niegroźnymi protestami nie ma się co obawiać. Ze zatem w żądaniach wobec Turcji będzie się posuwał coraz dalej. Aż przyjdzie katastrofa.

Taką dwulicową politykę przypisuje Tarle lordowi Aberdeen mimo faktu ustawicznych protestów Sir George'a Hamiltona Seymoura, ambasadora brytyjskiego przy dworze petersburskim (o których to protestach mówi tylko półgębkiem²⁾) i bez względu na to, że — jak to wiemy — Aberdeen patrzył na politykę Stratforda z nieufnością, a był nawet taki moment — w sierpniu 1853 r. — iż wraz z kilkoma innymi ministrami myślał o odwołaniu go z Konstantynopola³⁾. Wiemy zresztą z jego poufnych wyznań, jak np. z jego listu do Gladstone'a z września 1853 r., że głównym celem jego starań było zapobieżenie wszelkimi siłami wojnie⁴⁾, że zatem, jeśli wojna wybuchła, to nie tyle z racji jego ukartowanej z góry polityki, ale wbrew niemu, po prostu dlatego, że nie potrafił się przeciwstawić silniejszym od siebie indywidualnościom i — logice wypadków.

Tarle żadnych z takich rozróżnień nie uznaje. Jego przedstawienie zdaje się mówić: Anglicy są groźnymi przeciwnikami, ale najgroźniejszymi spośród nich są ci, którzy udają przyjaciół.

Jeszcze pod jednym względem bieżąca polityka wpłynęła w książce Tarlego na przedstawienie dziejów dyplomatycznych wojny krymskiej: oto gdyby o wojnie tej sądzić na podstawie jego ujęcia, możnaby mniemać, że była to wojna ro-

¹⁾ Zob. zwł. t. I, str. 130, 148—150 i 331.

²⁾ Rzecz zabawna, że w cytowanej wyżej recenzji z r. 1937 Tarle zarzucał Temperley'owi, iż niedostatecznie uwydatniał wysiłki Seymoura w celu zapobieżenia wojnie. — zob. „Istoria Marksiszt”, t. 61 (1937), str. 192.

³⁾ Zob. Harold Temperley, „England and the Near East”, j. w., str. 348.

⁴⁾ Temperley, j. w., str. 352.

syjsko-angielska, w której Francja odegrała jakąś już tylko zupełnie drugorzędną rolę. Musiała tu zaciążyć na książce ta okoliczność, że była ona pisana pod wrażeniem klęski francuskiej 1940 r.

Przy tym wszystkim, rozdziały poświęcone historii dyplomatycznej są najwartościowsze w książce: Tarle wyzyskał tu nowy materiał archiwalny, poza tym zaś rozdziały te przynoszą sporo żywych, plastycznych portretów psychologicznych. Dyplomacji rosyjskiej u schyłku panowania Mikołaja I Tarle nie potępia w czambuł, ale i nie szczędzi jej ostrej krytyki. Najostrzej, z zauważalnością nawet, potraktował kanclerza Nesselrodego, który w jego przedstawieniu spada do roli jakiegoś zupełnego już zera politycznego. Obok niego z wyraźną pasją potraktowani tu zostali przedstawiciele rządzącej arystokracji, ludzie tacy jak Mienszkow czy M. D. Gorczakow, których Tarle czyni głównymi winowajcami klęsk rosyjskich. Postać cara Mikołaja I odmalowana jest tak, że zwłaszcza w rozdziale o jego ostatnich chwilach i śmierci, ma rysy pewnej ponurej, tragicznej wielkości. Feldmarszałek Paskiewicz występuje tu tylko na dalszym planie, ale może właśnie dlatego tym wyłącznie rysuje się w kategoriach heroizmu, monumentalności, wzniosłości. I nie bez kozery. Bohater spod Erywania i zwycięzca polskiego powstania jest tu bowiem uosobieniem tradycji armii rosyjskiej. O armii tej zaś Tarle potrafi mówić w swojej książce tylko w jednej tonacji — uwielbienia. Przyznaje wprawdzie, że stan techniczny tej armii i jej zaopatrzenie pozostawiają dużo do życzenia, ale winę za to wszystko składa wyłącznie na skorumpowaną administrację, nieudolną czy lekkomyślną kamaryllę dworską. Zacołanie techniczne i nieład administracyjny armia rosyjska nadrabia jednak w ujęciu Tarlego bohaterstwem, odwagą, wytrzymałością, o których w książce mówi się zawsze w superlatywach, bez cienia krytyki. I to mówi się tak nie tylko o prostym żołnierzu, ale i o oficerach. Ideałem książki jest admirał Nachimow, przedstawiony jako wzór bohaterstwa wodza, *chevalier sans peur et sans reproche*. W portretach takich ludzi jak Nachimow, Kornilow czy Todleben nie ma miejsca na grę światła i cienia. Zasady sowieckiego kultu wielkich ludzi, nie pozwalające na dostrzeganie w bohaterze najmniejszej skazy, są tu skrupulatnie przestrzegane.

Nuta entuzjazmu brzmi tu tym mocniej, wyraźniej, że wszelkie sprawy, które mogłyby ją zamącić, zostały w książce usunięte w cień. Wiemy, że dla rosyjskiej opinii publicznej wojna była silnym wstrząsem. Problemu tego jednak książka prawie że nie porusza. O nastrojach, nurtujących w społeczeństwie rosyjskim, mówi się trochę w pierwszym tomie, w odniesieniu do miesięcy, bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny. Natomiast pominięto tu milczeniem reakcje społeczeństwa rosyjskiego na klęski wojenne, następstwa wojny, jeśli idzie o wewnętrzne stosunki rosyjskie. Dwukrotnie w tekście drugiego tomu zapowiada Tarle, że sprawy te zostaną omówione w przygotowywanym tomie trzecim¹⁾. Tom ten jednak nigdy się nie ukazał.

Wiemy też, że z wojną krymską związane były różne ruchy wyzwolenicze narodów, uciskanych przez Rosję. Najgłośniejszym z nich było powstanie Szamila na Kaukazie. O powstaniu tym słyszymy w książce całkiem przelotnie, tylko o tyle, o ile zahaczało ono o rozgrywkę mocarstw. Przelotnie też mignie nam przed oczyma postać ks. Adama Czartoryskiego, wyczekującego cierpliwie na audiencję w przedpokojach Drouyn de Lhuysa (oto na co zeszło dawnemu ministrowi cara Aleksandra I — wzdycha w tym miejscu Tarle). W korespondencji Paskiewicza z carem przebija też raz po raz nuta obaw przed powstaniem polskim. I to by było w gruncie rzeczy wszystko. Jak widzimy, Tarle starał się tu uniknąć poruszania drażliwego tematu.

Wreszcie najbardziej zasadnicza luka. Gdyby ktoś chciał się spytać, jak wyglądał stan finansów rosyjskich w latach wojennych, jak funkcjonowała administracja, jak się prezentował rosyjski przemysł wojenny, jakie były możliwości mobilizacyjne armii rosyjskiej, jakie jej zaopatrzenie — na żadne z tych pytań nie znajdzie w książce odpowiedzi. W każdej poważnej historii wojny byłaby to bardzo istotna luka. Zupełnie jednak kompromitująco wygląda ona u historyka, który uważa się za marksistę, który zatem jest zdania, że — żeby zacytować jego własne słowa — „rzecz prosta, warunki gospodarcze odegrały w danym wypadku, tak jak zawsze, nie tylko główną, ale i w ostatecznym obrachunku decydującą rolę²⁾”. We wstępnym rozdziale Tarle tłumaczy się,

¹⁾ Str. 377 i 455.

²⁾ T. I., str. 29.

że żadnego z tych problemów nie poruszył ze względu na brak odpowiednich opracowań i prac przygotowawczych. Pomijając już fakt, że tego rodzaju stwierdzenie rzuca mało pochlebne światło na poziom historiografii rosyjskiej po upływie trzydziestu bez mała lat, w czasie których obowiązuje w niej teoria materializmu dziejowego, trzeba powiedzieć, że takie tłumaczenie brzmi co najmniej dziwnie w ustach „marksisty”. Jeśli bowiem warunki gospodarcze odegrały naprawdę „decydującą” rolę, to w takim razie żadnego problemu z historii wojny nie można rozwiązać bez poznania tych warunków. Trzeba by zatem studia nad dziejami wojny rozpocząć nie od lektury raportów ambasadora Brunnowa, ale od źródłowych badań nad dziejami gospodarczymi Rosji w owych latach, skoro tych badań nikt inny nie przeprowadził. Raz jeszcze wyszło na jaw, jak bardzo nieszczerzy i formalny tylko jest „marksizm” Tarlego.

Ten „marksizm” postawił Tarlego przed jednym jeszcze bardzo kłopotliwym problemem. Wiadomo mianowicie, że Marx wojną krymską się pasjonował, problemy jej szeroko studiował i omaiał w artykułach, ogłaszanych głównie w „New York Tribune”. Z wyżyn swojego rewolucyjno-klasowego stanowiska Marx tą samą antypatią obejmował obie strony walczące, obie traktował w charakterystyczny dla niego „demaskujący” sposób. Było jednak w tej antypatii miejsce na cieniowanie, na wrogość mniejszą i większą. Otóż największą nienawiść żywił Marx właśnie do Rosji. Ba, główna jego pretensja do Wielkiej Brytanii polegała na tym, że polityka angielska szukała pokojowego modus vivendi z Rosją, że starała się o ułożenie warunków dobrego współżycia, że była „wspólnikiem Rosji”. Przeciwnie najbardziej antyrosyjskiemu z ówczesnych polityków brytyjskich, Palmerstonowi, zarzucał, że mimo całą swą rękoma wrogość w gruncie rzeczy służy interesom imperializmu rosyjskiego. Oczywiście, lorda Aberdeena traktował jako człowieka zupełnie już zaprzedanego interesom tego imperializmu. O armii rosyjskiej wyrażał się nie tylko z wrogością, ale i pogardliwie: odmawiał jej większej wartości bojowej¹⁾.

¹⁾ Artykuły Marxa zebrane zostały w tomie „The Eastern Question. A reprint of Letters written 1853—1856 dealing with the events of the Crimean War”, Londyn 1897 (o armii rosyjskiej zob. artykuł „The Russians as Fighters”, str. 593—599). — Wydanie to jest jednak niekrytyczne:

Tak więc zarówno jeśli idzie o charakterystykę sytuacji dyplomatycznej, jak i tam, gdzie w grę wchodzi ocena wartości bojowej armii rosyjskiej, poglądy Marxa są dokładnym negatywem tego, co twierdzi w swej książce Tarle. Rzecz oczywista, trudno wszystkim uwagom Marxa przyznawać wartość obiektywnego sądu historycznego. Są to po prostu opinie publicysty, wyraźnie uprzedzonego do Rosjan. Ale przecież tego o żadnej wypowiedzi Marxa sowiecki marksista nie ma prawa napisać. Marksiście temu przecież nie wolno nigdy z Marxem polemizować. Wolno mu tylko z nabożeństwem na niego się powoływać.

Jak Tarle wybrnął z tego dylematu?

Pierwsza cytata książki będzie hołdowniczo cytata z dzieł Marxa i Engelsa. Potem we wstępnym rozdziale poświęci się wypowiedziom Marxa na temat wojny krymskiej krótki, ale czołobitny i wyznawczy ustęp. W ustępie tym nazwie się je aż „proroczymi”. Ale w tekście książki będzie się unikało sięgania do tych „proroczych” wypowiedzi. Zamiast tego, zapowie się osobne studium, im poświęcone¹⁾, którego — nigdy się potem nie napisze.

Wypadało „Wojnie krymskiej” poświęcić tak dużo miejsca i uwagi, nie tylko dlatego, że to najambitniejsze dzieło Tarlego z jego „oficjalnego” okresu: najobszerniejsze, oparte na archiwalnych badaniach, najgłośniej zapowiadane. Trzeba się było tą książką bliżej zająć przede wszystkim dlatego, że w niej szczególnie wyraziście przełamały się wszelkie sprzeczności dzisiejszej historiografii sowieckiej, że jej przemilczenia, niedomówienia, zakłamania, jej „marksizm” i jej szowinizm, jej tendencje polityczne — wszystko to czyni ją specjalnie reprezentacyjną dla współczesnej historiografii sowieckiej. I w niczym nie umniejsza reprezentacyj-

nie wszystkie artykuły Marxa zostały tu wydrukowane, autorstwo niektórych zamieszczonych w nim jest niepewne, tekst zaś innych podany z rebuszami redakcyjnymi. Lepsze teksty z komentarzami N. R i a z a n o f f a przynosi wydanie francuskie: *Karl Marx, Oeuvres politiques*, t. I—VII, Paryż 1929—1930, lub wydanie rosyjskie: *Marx—Engels, „Socznienija”*, t. X—XI, Moskwa 1924. — O gwałtownej nienawiści, jaką Marx żywił do Rosji, zob. też *Franz Mehring, Karl Marx. Geschichte seines Lebens*, Lipsk 1918; dla nas tu obchodzących lat zob. zwł. str. 247—248.

¹⁾ Zob. „Krymskaja wojna”, t. I, str. 12—13. W pierwszej redakcji wstępnego rozdziału, ogłoszonej w „Bolszewiku” z 1941 r., Tarle zapowiadał jeszcze, że w jego przedstawieniu „w centrie unimanija kanieczno stojat wyskazanija Marksa i Engelsa”; — nr. 6, str. 47.

ności tej książki okoliczność, że jej pierwsze wydanie zostało skonfiskowane. Przeciwnie, ten fakt konfiskaty, oglądany z szerszej perspektywy, na tle dziejów nauk historycznych w ZSRS, czyni książkę jeszcze bardziej reprezentacyjną dla historiografii sowieckiej. Tak samo jak nie umniejsza tej reprezentatywności potępienie książki zaraz po jej wydaniu.

Potępienie takie bowiem przyszło, i to ze strony jak najbardziej miarodajnej. W lipcu 1945 r. ukazał się w „Bolszewiku” artykuł N. Jakowlewa „O książce E. W. Tarlego ‘Krymska wojna’”. Ton artykułu jest spokojny, daleki od tej gwałtowności, jaką widzieliśmy w potępieniach z r. 1930 czy też w wypadzie „Prawdy” przeciwko „Napoleonowi”. Niemniej jest to zasadnicze rozprawienie się z książką. Jakowlew chwali co prawda Tarlego za jego przedstawienie dziejów dyplomatycznych wojny, w szczególności za to, iż „dokładnie pokazał działalność dyplomacji angielskiej tego czasu, starającej się wywołać w rosyjskich kołach rządzących wrażenie, że Anglia w żadnym wypadku nie będzie wojowała z Rosją z powodu Turcji”, stawia natomiast książce cały szereg zasadniczych zarzutów. Arcyszuszenie zarzucił Tarlemu, że nie dał charakterystyki sytuacji wewnętrzno-politycznej obu stron walczących, w szczególności zaś, że nie omówił położenia Rosji. Dalszy zarzut: „Tarle nie daje prawidłowej oceny wojny krymskiej”. Dla obu stron — tłumaczy dalej Jakowlew — była to wojna imperialistyczna i stąd obie zasługują tu na potępienie. Tarle pominął milczeniem to, jak odnosili się do wojny Marx i Engels. Nie omówił wpływu wojny na urzędnictwo i instytucje Rosji. Niewłaściwie, bo w oderwaniu od tła społecznego, scharakteryzował cara Mikołaja I. W ogóle zacierają różnice między dawną Rosją carską, a nową, sowiecką.

Na tle rosyjskiej sytuacji wewnętrzno-politycznej w pierwszych miesiącach po zakończeniu działań wojennych ten ostatni zarzut staje się szczególnie wymowny i dostarcza bodaj że klucza do całej tej krytyki. Były to przecież miesiące, w których partia starała się odzyskać utraconą w czasie wojny przewagę nad armią i w których ogłoszono nawrót do ortodoksyjności partyjnej. Tymczasem książka Tarlego jest wielkim hymnem pochwalnym na cześć armii. Zdaje się ona cała mówić: to co jest wielkiego, wartościowego, budującego w rosyjskiej tradycji historycznej — to

właśnie armia rosyjska. Taka tendencja książki mogłaby być „aktualna” do maja 1945 r. Potem jednak weszła ona w kolizję z nowym kursem polityki, głoszonym przez partię. W przedmowie do swojej książki Tarle starał się zacierać jej akcenty antyangielskie, natomiast energicznie wydawał akcenty patriotyczno-wojenne. Artykuł Jakowlewa równał się stwierdzeniu, że to co zostało „aktualnego” z książki teraz, po wojnie, to właśnie jej akcenty antyangielskie.

W latach wojennych Tarle zabierał głos także i jako publicysta polityczny, również i w sprawach polskich. Sprawy polskie poruszał on, jak widzieliśmy, przelotnie także i w „Wojnie krymskiej”. A chociaż podkreślał tam specjalnie bezowocność, naiwność wszelkich polskich rachub na pomoc mocarstw zachodnich, to jednak ustępy książki, dotyczące Polaków, były zredagowane ogłędnie i w formie przyzwoitej. Inaczej ma się rzecz z artykułami. Są tu akcenty agresywne, jaskrawo, gwałtownie antypolskie¹). Nie warto wchodzić w bliższe ich roztrząsanie. Warto jednak o nich wspomnieć z jednego względu. Oto mianowicie wkrótce po wojnie prof. Henryk Tenenbaum (Rykten) ogłosił w „Dzienniku Polskim” artykuł, referujący rozmowę z pewnym dygnitarzem reżimu warszawskiego, który podówczas był w Warszawie²). Z artykułu tego m. in. dowiedzieliśmy się, iż rozmówca prof. Tenenbauma zapewniał go, że Stalin zgodził się na „niepodległość Polski”, mimo że „profesura leningradzka” miała mu doradzać, aby Polskę po prostu wcielił do Rosji i żadnej „niepodległości” jej nie przyznawał. Wiemy o jednym tylko profesorze leningradzkim, że jego autorytet i pozycja w życiu sowieckim są tego rodzaju, iż mógłby on dawać Stalinowi rady polityczne. Ten profesor to Tarle. Jeśli by zatem wiadomości informatora prof. Tenenbauma były ścisłe, profesorem, który by doradzał Stalinowi wcielenie Polski do Rosji, mógł być tylko Tarle³).

¹) Zob. zwł. artykuł „Polsza i następujący etap wojny” w dwutygodniku „Wojna i raboczej klass” z 1 grudnia 1943 r., str. 10–14. — Rzeczy polskich dotyczy też artykuł „K woprosu o buduszej zapadnoj granice Polski” tamże, nr. z 15 września 1944 (obrona granicy na Odrze i Nysie przeciwko „emigracyjnej klice” z Londynu, rzekomo zwalczającej tę granicę). — Zob. też aluzje do sprawy polskiej w artykule o Bloku Zachodnim w dwutygodniku „Nowoje Wriemia” z 1 listopada 1945, str. 18–21.

²) Numer z 15 listopada 1945 r.

³) Hipotezę, że to właśnie Tarle był owym antypolskim doradcą Stalina, wysunąłem w „Dzienniku Polskim” z 17 grudnia 1945 r. w niepodpisanym artykule „Akademik Tarle, Blok Zachodni i Polska”.

Czy ta wrogość wobec Polski znajdzie swój wyraz w nowej książce, nad jaką Tarle obecnie pracuje? Jest on bowiem obecnie w trakcie pracy nad większą rzeczą o polityce zagranicznej Rosji za czasów Katarzyny II¹⁾. Rzecz prosta zaś, że w takiej książce sprawy polskie muszą znaleźć szczególnie poczesne miejsce. Z książki tej Tarle zdążył ogłosić dotychczas tylko niewielki stosunkowo fragment „Bitwa pod Czesme i pierwsza rosyjska ekspedycja na Archipelag”. Książka ta — pisałem o niej obszerniej gdzie indziej²⁾ — jest smutnym objawem zupełnej degrengolady znakomitego niegdyś historyka. Prymitywne samochwalstwo narodowe rozrosło się tu do jakichś zupełnie już nieprzyzwoitych rozmiarów. Wystarczy porównać przedstawienie samej bitwy pod Czesme w ujęciu Tarlego z tymi faktami, jakie podaje choćby stary Finlay³⁾, aby zdać sobie sprawę z tego, jak bezceremonialnie naciąga Tarle fakty historyczne ad maiorem gloriam oręża rosyjskiego.

Książka jest objawem degrengolady nie tylko naukowej, ale i pisarskiej. Jeszcze w „Wojnie krymskiej” w takiej np. charakterystyce Nachimowa, mimo iż była ona utrzymana w granicach obowiązującego i bardzo krępującego schematu sowieckiego, można było wyczuć dobre pióro pisarskie. W tej zaś książce panuje już niepodzielnie płaski, prymitywny, oklepany frazes dziennikarski. W tej szablonowości zaś giną nieliczne przebłyski indywidualnego ujęcia i indywidualnego stylu pisarskiego. Zestawienie tej książki z którąś z dawniejszych prac Tarlego, np. z jego pięknym szkicem o Bryce’ie, daje dopiero miarę tego, jak głęboko upadł, oraz miarę straszliwego schamienia i sprymitywizowania historiografii sowieckiej.

Książka o Czesme dotyczy epizodu z dziejów polityki turckiej Katarzyny. Na temat polityki polskiej carycy Tarle niczego jeszcze nie ogłosił. W dzisiejszej jednak sytuacji politycznej nie byłoby wcale rzeczą dziwną, gdyby rozdziały, poświęcone zagadnieniom polskim, były w swym ujęciu — oczywiście o tyle tylko, o ile na to polityka sowieckiego imperializmu pozwala — „propolskie”. Z tego wszystkiego bowiem, co o Tarlem wiemy, jest rzeczą oczywistą, że na luksus własnej opinii dzisiaj go już nie stać.

1) Zob. J. e. W. T a r l e, „Czesmienski boj”, Moskwa — Leningrad 1945, str. 3.

2) W numerze 31 „Wiadomości” z 3 listopada 1946.

3) G. F i n l a y, A History of Greece, Oxford 1887, t. V, str. 247—263.

II. RECENZJE

Karol Maleczyński. „Bolesław Krzywousty. Zarys panowania”. Kraków, Stefan Kamiński, (1947?). Str. 290 + 3 nl.

Podziwu godny jest rozmach, z jakim niektórzy nasi historycy w Kraju przeszli do budowy syntez historycznych, jako też umiejętność, z jaką to wykonywują. Do rzędu takich udanych syntez należy też książka prof. Maleczyńskiego, dzieło dużej klasy i wagi. Gruntowność badawcza i wszechstronność wiedzy autora budzi szacunek. Ponadto wydaje się ona zapowiadać również poważny poziom badawczy, a nie jedynie popularyzacyjny, całej serii „Monografij historycznych”, w której zapowiedziano po trzy książki Kętrzyńskiego (Mieszko I, Chrobry i Szczodry) oraz Dąbrowskiego (Ludwik, Jadwiga i Jagiełło). Ambitne to wydawnictwo i imponujące.

Maleczyński nauraca do nader korzystnej oceny postaci Krzywoustego, a nawet może go trochę przecenia. W jego oczach Krzywousty nie stoi „ani o cal w tyle poza osobami Mieszka I, Chrobrego czy Bolesława Szczodrego” (str. 266). Czyny wojenne Krzywoustego nie były mniejsze, niż Chrobrego, a za to trwalsze dawały rezultaty (str. 276). Jesteśmy przekonani, iż autor oddaje istotnie sprawiedliwość wielkiej postaci Bolesława III, ale sądzimy, iż ścisłe porównywanie czy też cenzurowanie władców musi zawsze trochę chromać. Zjawiska historyczne są na dobrą sprawę nieporównywalne w innych warunkach i okolicznościach: co innego jest kładzenie fundamentów państwowości, a co innego nakrywanie dachem. A zawsze chyba, pomimo wszelkich prób wybielania, pozostanie jeszcze kwestia testamentu Krzywoustego, który przecież raczej należał do najsmutniejszych wydarzeń naszej historii.

W nowszej nauce zwrot na niekorzyść Krzywoustego wydawał się stać w pewnym związku z podobnym zwrotem na niekorzyść „panegirycznej” Kroniki Galla. Nasz autor wraca poniekąd na dawniejsze pozycje tak co do jednego, jak i co do drugiego, oczywiście o tyle, o ile to dzisiaj jest możliwe. Zwrotowi na korzyść władcy jesteśmy skłonni zasadniczo przyklasnąć, natomiast już niekoniecznie zwrotowi na korzyść Galla. Dawniejszy stosunek do tego źródła był raczej niekrytyczny, a zwrot w nowszej nauce był wprost koniecznością w interesie postępu badań prawdziwie naukowych. W tym też kierunku idąc, jeszcze chyba nie osiągnęliśmy granicy zdrowego krytycyzmu, jeszcze mamy może niejedno do wykonania. Dzisiaj całkowity naurót do dawnej teorii o bohaterskiej prawdomówności Galla nie jest możliwy, ale przecież autor wydaje się nawracać do ulubionego dawniej sposobu ocen ryczałtowo ogólnikowych i idących daleko poza stwierdzone fakty, np. kategorycznie twierdzi, że Gall „z prawdą nigdy się

nie mija" (str. 268). Oczywiście, pewną ilość, przeważnie łatwych do sprawdzenia, faktów, opowiedzianych przez Galla, możemy zweryfikować na podstawie innych źródeł. Lecz, jak długo chociażby jednego tylko faktu nie udało się nam w ten sposób skontrolować, tak długo dodać wypadaloby przecież jakiś odcień wątpliwości, jakies „zapewne" lub coś podobnego. I nie idzie tu wcale o jeden fakt, ale o całą masę faktów, niesprawdzalnych przy pomocy innych źródeł. Wielka ich ilość jest zaś właśnie w związku z tym, co autor nazywa panegiryzmem kronikarza, a co ogólniej możemy nazwać stronniczością. Dlatego też musimy w pewnych kierunkach nie zanadto ufać Gallowi, powstrzymać się czasami od dosłownego powtarzania wersji Kroniki, a także ustrzec się przed uwikłaniem w oczywiste wewnętrzne jej sprzeczności (por. str. 47 i n. ze str. 261 i w ogóle co do pobudek Bolesława przy osłepieniu Zbigniewa, a zwłaszcza w sprawie, czy Bolesław wierzył oskarżeniom Zbigniewa o zamiary skrytobójcze, czy też nie wierzył).

Dwa pierwsze rozdziały zajmują się młodością Krzywoustego i jego walką ze Zbigniewem. Wynotowałem sobie tutaj największą ilość wątpliwości, ale dyskusję ich, wymagającą więcej miejsca, odkładam do innej pracy. Przy dość wielkich różnicach między nami w zasadniczym podejściu do Kroniki dziwi raczej, jak czasami, i to w dość ważnych kwestiach, zgadzamy się, chociaż doszliśmy do podobnych rezultatów na całkiem innych drogach.

Najważniejszą może będzie kontrowersja na temat twierdzenia autora, iż postanowienie Władysława Hermana z r. 1097 o podziale między synów tworzyło „dwa równorzędne organizmy państwowe" i nie przewidywało instytucji księcia zwierzchniego (str. 29, 30, 31, 42). Gall mówi inaczej, chociaż relacjonuje, iż ojciec nie wyznaczył żadnego z synów na księcia zwierzchniego. Autor nie uzasadnia, dlaczego tu wyjątkowo nie dał wiary swemu kronikarzowi, bo wskazówka o wpływach klasycznych na formę tej przemowy ojca (str. 22 i n.) chyba nie ma nic wspólnego z kwestią wiarygodności treści relacji.

Dalsze cztery rozdziały, traktujące o stosunkach zewnętrznych, wydają mi się najlepszymi w całej książce. Autor zachowuje należyta ostrożność wobec opowiadania Galla o wojnie z Henrykiem V i dlatego też daje obraz jej prawdziwy. Najciekawsze zaś chyba są rozdziały o Pomorzu. Ciekawa jest konstrukcja autora, iż podbój zachodniego Pomorza nastąpił jako akcja uzgodniona z cesarzem (str. 108 i n.). Dlatego też i rzekome upokorzenie merseburskie z r. 1135, jako hołd jedynie z Pomorza i Rugii, sprowadza się do aktu rozumu politycznego, przy czym obie strony rezygnowały ze swych celów dalszych, osiągając przecież swoje cele pierwszorzędne.

Dwa dalsze rozdziały dotyczą stosunków kościelnych. Fakty, powołane przez autora, sugerują myśl, iż Krzywousty nie poszedł przecież bez żadnych zastrzeżeń na politykę reformy kościoła (coś podobnego przecież pisze sam autor na str. 187 i n.). Bywało tak w rozmaitych krajach i przejście na reformy rzadko chyba następowało od razu oraz totalnie. W takim razie opór Krzywoustego przeciw przysiędze obediencyjnej i podróżom biskupów ad limina apostolorum i nie byłby odosobniony i znalazłby łatwe

wy tłumaczenie, które czyniłoby zbędnym szukanie innych wyjaśnień (str. 191).

Ostatni rozdział traktuje o genealogii potomstwa Krzywoustego, o testamentie oraz daje syntetyczną „próbę portretu”. Testament rozumie autor oryginalnie jako seniorat co do Krakowa, a natomiast jako primogeniturę co do księstw dzielnicowych. Nie ma mowy, abyśmy się mogli na podobną teorię zgodzić, ale o tym już wypadnie napisać oddzielnie.

Kończy książkę ciekawy przegląd źródeł i najważniejszej literatury.

Jan Adamus

Oskar Halecki. „The Crusade of Varna. A Discussion of Controversial Problems”. New York, Polish Institute of Arts and Sciences in America, 1943. Str. 96.

Rozwój potęgi tureckiej w XIV i XV w. krył w sobie wielkie niebezpieczeństwo dla ówczesnego świata chrześcijańskiego, szczególnie dla cesarstwa bizantyjskiego i ludów bałkańskich. Czynniki religijne, militarne, polityczne, handlowe mieszały się tu i zazębiały wzajemnie, uwyppuklając całą doniosłość nabrzmiewającego zagadnienia. Wspólna obrona przed wspólnym wrogiem coraz szersze zyskiwała uznanie w opinii europejskiej, choć praktyczne urzeczywistnienie tego nieodzownego postulatu z różnych względów natrafiało na duże trudności.

W czterdziestych latach XV wieku doniosłą rolę w planach antytureckich odgrywa król polski i od niedawna Węgier, Władysław Jagiellończyk. Zwycięska jego wyprawa 1443 r. podnosi autorytet młodego władcy i czyni go siłą rzeczy czołową postacią, wybiegającą w swej roli i zadaniach poza ścisłe granice obu państw, którymi rządził. Problem turecki zakreślony był na miarę europejską i w skali europejskiej można tylko postać Władysława rozpatrywać.

Wiadomo, że wielkie nadzieje, związane z osobą tak świetnie zapowiadającego się monarchy, szybko prysły wskutek tragicznej katastrofy na polach Warny. Znakomity znawca epoki jagiellońskiej szczególnie był predestynowany do wyjaśnienia szeregu spornych problemów, związanych z ostatnimi miesiącami życia Władysława.

Książka prof. Haleckiego rzuca nowe światło na szereg ważnych zagadnień. Autor miał do dyspozycji nowy materiał źródłowy, który opublikował w r. 1937 historyk rumuński Franciszek Pall w swym studium o Cyriaku z Ankony; nowy w tym sensie, że zapomniany i nieuwzględniony w dotychczasowej historiografii. Prof. Halecki w dodatkach do książki drukuje raz jeszcze owe dokumenty, rozszerza jednak zasięg źródeł, koryguje je i uzupełnia oraz — co szczególnie ważne — zaopatruje je w cenne komentarze, pogłębiając naszą wiedzę o planach antytureckich Warneńczyka.

Książka podchodzi do problemu Warny od strony wyłącznie politycznej. Punktem ciężkości rozważań autora jest znany zarzut, czyniony królowi,

że zawarł z Turkami pokój w Szegedynie i złamał przysięgę. Liczni historycy oceniają postępowanie Władysława wybitnie krytycznie, krzywdząc niewątpliwie Jagiellończyka. Widzą w jego polityce tylko awanturniczość, lekkomyślność, dwulicowość, podkreślają dogodne warunki pokoju, zaofiarowane przez Turków, i słabe widoki na zwycięstwo w momencie podjęcia wyprawy.

Materiał źródłowy, którym rozporządza prof. Halecki, posiada szczególną wagę do rokowań w Adrianopolu w czerwcu 1444 r. Cyriak z Ankony bowiem zachował w swej prywatnej korespondencji wśród szeregu cennych informacji również i kopie listów króla Władysława do sułtana i Murada II do Jagiellończyka. Inicjatywa negocjacji wyszła w dyskretnej formie ze strony tureckiej i znalazła życzliwe przyjęcie u despoty serbskiego, Jerzego Brankowicza, który z kolei pociągnął do tej akcji Hunyady'ego.

Król pod wpływem czy presją obu zgodził się na pertraktacje, jednak wybór posła królewskiego (Stojki Gisdanicza), osobistości mało wybitnej i znanej, wskazuje, że Władysław stał w rzędzie ostatnich, którzy chcieli z Turkami paktować. Fakt, że Jagiellończyk w czasie owych rozmów kontynuował przygotowania wojenne do nowej wyprawy, świadczy, że nie przywiązywał do rozmów w Adrianopolu poważniejszego znaczenia.

Pisarze współcześni, nie wyłączając naszego Długosza, na ogół dość bałamutnie odtwarzają przebieg owych wydarzeń. Autor na podstawie dokładnej analizy źródłowej wykazał w sposób, wykluczający wszelkie wątpliwości, że nie było ani czasu, ani możliwości w Szegedynie do podejmowania dwóch sprzecznych decyzji i że król nie mógł złamać przysięgi choćby tylko dlatego, że jej nigdy nie składał. Tego rodzaju legenda mogła tylko powstać pod wstrząsającym wrażeniem katastrofy pod Warną.

Z drugiej jednak strony nie podobna zaprzeczyć, że polityka królewska w interesujących nas miesiącach prostolinijną nie była. Król wiedział o pertraktacjach w Adrianopolu, ulegał wpływom swych możliwych doradców, chwiał się w decyzji — a ten stan rzeczy wywołał fatalne opóźnienie akcji wojennej i dezorientował nastawionych antyturecko sprzymierzeńców.

Wątpliwości nie ulega, że rokowania w Adrianopolu były zręcznym posunięciem ze strony Turków. Brankowicz, który przyczynił się w znacznej mierze do powodzenia wyprawy 1443 r., teraz odpadł od króla i zawarł odrębny układ z sułtanem. Mimo tego faktu szanse na zwycięstwo w r. 1444 były nie mniejsze, a może nawet większe niż w roku ubiegłym.

Młody król nie wierzył w szczerość intencji pokojowych sułtana, zwłaszcza że ten ociągał się z wypełnieniem przyjętych w Adrianopolu zobowiązań. Wiedział, że Murad ubezpieczał się na czas krótki od północy, by tym silniej zaangażować się zbrojnie na terenie Azji Mniejszej. Rozdwojenie sił tureckich, jakie podówczas nastąpiło, raczej zachęcało do wojny.

Zdaniem prof. Haleckiego historycy w ocenie wydarzeń 1444 r. zbyt silnie ulegają wpływom przebiegu samych faktów, których w przedzie dniu akcji nie podobna było przewidzieć. Każda prawie wojna kryje w sobie możliwości i klęski, i zwycięstwa. Zbieg szeregu fatalnych okoliczności wpłynął w sposób decydujący na losy wyprawy.

Konsekwencje Warny nie wymagają komentarza. W 9 lat później padł Konstantynopol. Serbia i inne narody znalazły się w tragicznej sytuacji wskutek i krótkowzroczności Brankowicza, i wiarołomstwa tureckiego. Sultán utrwalił swą pozycję na Bałkanach, a wzrost jego wpływów nad morzem Czarnym zagroził Polsce w sposób oczywisty. Wysuwa się wiele zastrzeżeń na temat trafności decyzji królewskiej, a nie docenia błędów tych, którzy w decydującym momencie zawiedli w dużym stopniu i nie wsparli należycie Jagiellończyka. Wyprawa 1444 r. była nie tylko porywem bohaterstwa, ale i trzeźwą kalkulacją polityka w obronie realnych interesów państwowych.

Poza doniosłością osiągnięć naukowych praca prof. Haleckiego ma również dużą wartość metodyczną. Uważam ją za cenną książkę dla młodych historyków, którzy mogą z niej czerpać wzory, jak należy podchodzić do źródeł, jak misternie wiązać najdrobniejsze szczegóły z całą dokładnością i precyzją. Mogą na pracy o Warnie wnikać w tajemnice sztuki wielkich badaczy przeszłości, którzy osiągają trwałe, pozytywne rezultaty mimo skąpego zasobu materiału źródłowego.

Henryk Paszkiewicz

G. P. Gooch. „*Frederick the Great, the Ruler, the Writer, the Man*”. Londyn, Longmans, Green and Co, 1947. Str. VI i 363.

Dr. Gooch, znany z wszechstronnych kontaktów z ludźmi i książkami, ma ustaloną opinię wybitnego znawcy literatur historycznych obcych narodów. Ta jego kompetencja, złączona z upodobaniem, odbiła się m. in. na najnowszej monografii o Fryderyku Wielkim. Autor nie pokusił się o przeoranie na nowo całości źródeł ogłoszonych i nieogłoszonych (bo to jest zadanie nadludzkie), nie spróbował być nowym Preusem, Carlylem ani Koserem, tylko zebrał obfitą śmietanę i śmietankę z głównych opracowań, po części z pism i korespondencji Fryderyka, i przekazał nam jego osobowość (według recepty Sidney'a Lee: „to transmit a personality”) jako władcy, pisarza i człowieka. W poszczególnych rozdziałach te różne charakterystyki zobrazowane zostały nie w przymiotnikach ani analizach, tylko w ruchach i słowach. Zwłaszcza słów Hohenzollerna płynię z kart książki co niemiara. Jest to więc książka trochę przystosowana do gustu nowoczesnych amatorów „talkies”. Tytuły 15 szkiców czy też studiów brzmią: „The making of Prussia”, „The Seven Years War”, „Catherine the Great and Joseph II”, „The Crown Prince”, „The Philosopher of Sans Souci”, „Autumn Shadows”, dalej aż trzy rozdziały o Wolterze, „Wilhelmina”, „Prince Henry”, „The Antimachiavel”, „The Political Testaments”, „The Historical Writings”, „Through German Eyes”.

Literackie walory dzieła nie ulegają wątpliwości: z jej kart Fryderyk przemawia do nas bezpośrednio, żywo, obficie. Również podbudowa badawcza jest poważna: zbyt dobrze zna autor swój przedmiot i zbyt wytraw-

nym jest historykiem, by go można było przychwycić na błędzie lub niedokładności. Nie wytoczymy mu procesu ani o to, że rozważa czyjs tam projekt odebrania Kurlandii Rosjanom, ani że według niego Fryderyk w r. 1782 wróżył upadek Prus za lat 10 (zamiast 20). Nie budzą szczególnych zastrzeżeń także poglądy i sądy autora: nie dał się on zasugestionować żadnemu z niemieckich badaczy i pisarzy, których tuzin przewija się przez rozdział końcowy (Ranke, Droysen, Sybel, Treitschke, Freytag, Klopp, Lehmann, Koser, Winter, Hintze, Tomasz Mann, Wilhelm II, G. Ritter, Srbik); odgrodził się od dziwacznej „hero-worship” Carlyle’a, przewyciężył sarkazm sprowokowanego przez pruskie dytyramby Macaulay’a. Nie polemizuje z nimi, tylko ujmuje rzecz ze stanowiska ludzko-liberalnego.

Można było jednak napisać tę książkę inaczej. Nawet z tych źródłowych publikacji, które p. Gooch zna (korespondencja, pisma, „Staatsschriften”, niektóre pamiętniki), można było wydobyć także inne dane. Uderza już to, że autor liczy się poważnie ze zdaniem Freytaga, Manna, Wilhelma, jakiegoś Berney’a, a nie wspomina o takiej encyklopedii fryderycjańskiej, jaką był Gustaw Bertold Volz, mniej głośny, niezbyt utalentowany, ale nader płodny i pracowity. Są rzeczy, o których postanowił pisać mało. Taką jest przede wszystkim sprawa polska. Autor, jak widać z tonu i doboru faktów, wcale nie po prusku patrzy na zabór Śląska i pierwszy rozbiór, ale dla niego są to rzeczy niemal równorzędne, gdy Niemiec Niemiec odbiera prowincję (mniejsza o to, jakiej narodowości), i gdy tenże Niemiec skazuje na zaturę tysiącletni cywilizowany naród. O obu tych powszechnie uznanych zbrodniach króla pruskiego czytamy u p. Goocha parokrotnie, pod szyldem Katarzyny, ks. Henryka i z powodu królewskiej autohistoriografii, ale nowych światła te reportaże nie wnoszą. Są i takie rzeczy, o których autor w ogóle mówić nie chce: przecież do charakterystyki c z ł o w i e k a należy stwierdzenie, czy Fryderyk należał do masonerii i co w niej porabiał, albo jak traktował kobiety i ładnych mężczyzn; stanowczo musimy się upomnieć o miejsce w monografii o Fryderyku dla uwięzionego barona Trencka i dla ociekającej złotem rodziny Efraimów. Co do „Antymachiawela”, to autor rozgrzesza kronprinza z zarzutu obłudy i machiawelizmu publicystycznego, skoro tam gdzieś na szarym końcu jest przewidziana państwowa konieczność niektórych wojen: my byśmy powiedzieli, że filozof, świeżo skąpany w łożu, uprawia w tym traktacie... auto-machiawelizm, okłamuje własną ideologię. Co do wojny siedmioletniej, to skoro podjęta w historiografii polskiej przez prof. Konopczyńskiego próba rozsądzenia wielkiej kontrowersji uczonych niemieckich o jej genezę, czy to była ofensywa odwetowa austriacka, czy spotkanie dwóch ofensyw, nie przedostała się do nauki cudzoziemskiej, nawykłej do ignorowania literatury polskiej, należało przy nieznajomości języka polskiego przerobić całą tę naukową wojnę samodzielnie, i zapewne okazało by się, że Fryderyk działał zaczepnie do wiosny r. 1756, potem przeszedł do politycznej ofensywy, a gdy to nie pomogło — uderzył. Nasz autor poprzestaje na zreferowaniu antytezy Lehmana. Skoro ks. Henryk dostał osobny rozdział, to należało zaznaczyć, że jego druga podróż nad Nową (1776) miała na celu nie tylko kombinacje matry-

monialne, ale też pozyskanie Katarzyny dla dalszej akcji rozbiorczej. A w związku z wojną o następstwo bawarskie i z Fuerstenbuntem godziło się wspomnieć o poniżającej roli Fryderyka wobec Katarzyny II: przymykać na nią oczy można tylko wówczas, gdy się wychodzi z założeń, że dawna Rzeszę narodu niemieckiego trzeba było rozbić, że zbawienie Niemczyzny tkwiło w prusactwie, a zbawienie prusactwa — w sojuszu z carską Rosją.

Te i niektóre inne, drobniejsze zastrzeżenia są następstwem ogólnego ustosunkowania się autora do przedmiotu, którego my nie podzielamy. Osobowość Wielkiego Fryderyka nie da się ująć w trzy równorzędne obrazy władcy, pisarza i człowieka. Władca, to znaczy polityk, administrator i wódz, wypełniają 80% jego roli dziejowej, pisarz i myśliciel — może 10% a co do człowieka, członka rodziny, to chyba ten tytuł do wielkości przedstawia się najslabiej. W obrębie zaś polityki, gdybyśmy spytali spoczywającego w potsdamskiej Walhalli monarchę, przyznałby on nam z pewnością, że likwidacja Polski stanowiła na jego koncie pozycję najważniejszą, kilkakrotnie większą, niż ta, którą jej wymierzył dr. Gooch.

Aleksander Nowina

„Dzieje Najnowsze”. Kwartalnik Instytutu Pamięci Narodowej. Warszawa. T. I, z. 1, styczeń—marzec 1947; z. 2, kwiecień—czerwiec 1947.

„Dzieje Najnowsze”, organ Instytutu Pamięci Narodowej, ośrodka badań nad najnowszą historią Polski, obejmują swym zasięgiem okres od r. 1864 do 1945, a więc wyrażając się słowami redakcji, „dobę popowstaniową, dwudziestolecie dziejów Polski niepodległej oraz drugą wojnę światową, a zwłaszcza okupację niemiecką w Polsce i walkę z nią narodu polskiego”. Wydane są bardzo starannie i w szacie estetycznej, czym wyróżniają się chwałebnie na tle innych periodyków polskich. Zawierają materiał ze wszelki miar interesujący, świadczący o poważnym podejściu do sprawy. Drukują rozprawy, krytyczne przeglądy wydawnictw i materiały historyczne. Te ostatnie wybijają się w kwartalniku na plan pierwszy zarówno ze względu na ich trafny wybór, jak i staranne opracowanie i rzeczowe komentarze. W z. 1 i 2 z materiałów zostały wydrukowane listy Jana Stróżeckiego, materiały do strajku rolnego w Poznańskim w 1921 r., relacje A. Kielzy, T. Manteuffla i Von dem Bacha i dziennik Waszenki. Listy Stróżeckiego, jednego z wybitniejszych działaczy pierwszych polskich organizacji socjalistycznych, t. zw. II Proletariatu, a następnie „Zjednoczenia Robotniczego”, uczestnika zjazdu paryskiego 1892 r. i członka C. K. R. w pierwszych latach PPS, pisane z zesłania w latach 1897—1902, przedstawiają pierwszorzędny materiał do historii początków polskiego socjalizmu, jego przemian ideologicznych i sporów oraz dają atmosferę i warunki, w jakich przebywali zesłańcy polityczni na Syberii. Materiał ten uzupełnia ciekawa relacja A. Kielzy o rozłamie w t. zw. II Proletariacie i o „Związku Robotników Polskich”, a więc odnosząca się do lat 1889—1893. „Materiały do strajku rolnego w Poznańskim w 1921 r.” obejmują akt oskarże-

nia i raporty strajkowe do Związku Zawodowego Robotników Rolnych, znajdujące się w aktach adwokata Duracza, przekazanych do Archiwum PPR.

Relacja Von dem Bacha daje kompetentną ocenę strony niemieckiej w powstaniu warszawskim — jest ona odpowiedzią na specjalną ankietę Instytutu Pamięci Narodowej. Nie można nie podkreślić z uznaniem tej inicjatywy Instytutu, która przez ankietę wykorzystuje każdą nadającą się sposobność, by zdobyć wartościowe materiały historyczne. Uzupełnieniem ciekawym omawianej relacji jest dziennik Waszenki, dotyczący tegoż okresu. Waszenko, żołnierz osławionej brygady Kamińskiego, sporządzał dla siebie codzienne zapiski. Znalezione zostały one przy nim, gdy został zabity we wrześniu 1944 r.

Relacja Manteuffla, pisana na marginesie pracy Wł. Kowalenki, opisuje dzieje tajnego nauczania uniwersyteckiego w Warszawie w okresie okupacji.

Grupa przeglądów wydawnictw obejmuje staranny i wyczerpujący „Przegląd wspomnień z obozów i więzień hitlerowskich” pióra p. Wandy Kiedrzyńskiej; W. Kuli „Życie gospodarcze ziem polskich pod okupacją”; rzeczową recenzję K. Dunin-Wąsowicza o książce Reka: „Ruch Ludowy w Polsce”; ureszcie Mieczysława Biernackiego: „Kampania wrześniowa w literaturze polskiej”. M. Biernacki zestawia krytycznie wszystkie polskie prace o kampanii wrześniowej, zarówno te, które wyszły w kraju, jak i te, które ukazały się na emigracji, i stara się wydobyć ich zasadnicze linie. Dochodzi do wniosku, iż dadzą się ująć w dwie zasadnicze grupy, a mianowicie te, które starają się „usprawiedliwić” klęskę wrześniową, i te, które wskazują na błędy kampanii. Wydaje się, iż to ujęcie jest zbytnim uproszczeniem sprawy, iż różnice między drukowanymi pracami o kampanii wrześniowej posiadają w dużej mierze i inne podłoże, którego jednym z elementów jest choćby oparcie się na różnym zupełnie materiale, bo materiały dostępne np. dla Neugebauera, były niedostępne dla Kirchmayera, i odwrotnie.

Grupa rozpraw wypadła najgorzej. W omawianych dwóch zeszytach umieszczono 5 rozpraw (Wereszyckiego, Próchnika i H. Jabłońskiego w z. 1; T. Jabłońskiego i Durki w z. 2). Poziom ich jest różny. Henryk Wereszycki, poważny historyk dziejów Polski XIX st., autor cennych źródłowych prac o stosunku Austrii i Anglii do sprawy polskiej w okresie powstania styczniowego, w rozprawie „O problematyce najnowszej historii Polski” zamierzał dać program i metodę prac nad polską historią najnowszą. Rozprawka ta wywołała dyskusję w pismach krajowych i emigracyjnych, świadcząc o zainteresowaniu polskiego społeczeństwa sprawami, poruszonymi przez Wereszyckiego. Wypowiedzi autora są jednak blade i dość powierzchowne. Streszcza Wereszycki w pierwszym rzędzie dyskusję, jaka toczyła się w tym względzie w Polsce przed 1939 r. (Handelsman, Sokolnicki, Próchnik) i następnie formułuje swój program, którego podstawą ma być nie tyle badanie dziejów państwa polskiego, ile polskiego narodu. Twierdzi Wereszycki, iż pojęcie suwerenności i niepodległości jest pojęciem względnym, a stąd punkt ciężkości studiów z państwa należy przenieść na naród. „Ostatecznie dziś rozumiemy doskonale, że są najrozmaitszego rodzaju niepodległości”, konkluduje autor i na poparcie swej tezy stara się dowieść, iż od XVIII w. Polska

tej niepodległości nie posiada, a stąd rozumuje „Skoro przyjmujemy tezę że Polska od 250 lat oscyluje między wolnością a niewolą, a równocześnie stwierdzamy wielkie przemiany, zachodzące w narodzie, nieskoordynowane z tą oscylacją, zatem należy naszym zdaniem silniejszy nacisk położyć na wszelkie momenty społeczne w naszych dziejach politycznych; w pełnym sensie bądźmy raczej historykami narodu niż państwa, a równocześnie nie zapominajmy, że naród nasz i jego losy związane są jak najściślej z całym kontynentem europejskim, a szczególnie z naszym jego rejonem”. I dalej wyprowadza autor swój program studiów, zawarty w dwóch punktach: „Wobec tego prace nad najnowszą historią powinny iść niejako w dwóch kierunkach. Badajmy dzieje Europy Wschodniej i Środkowej, jako teren, na którym żyje nasz naród”. Badanie więc dziejów Polski w związku z dziejami Europy Wschodniej i Środkowej — to pierwszy postulat autora, postulat zresztą nie nowy, gdyż historiografia polska stale ten postulat miała na względzie. „Drugi kierunek badań to dzieje wewnętrzne Polski. Są to w większej części dzieje narodu bezpaństwowego . . . Badania nad dziejami narodu polskiego w tym okresie muszą więc wychodzić poza polityczne granice państw, w których one się toczą. Większy niż do tej pory nacisk należy położyć na dzieje emigracji zarobkowej. Trzeba badać losy Polaków w zachodniej Europie, a przede wszystkim dzieje Polonii w Stanach Zjednoczonych. Na czoło politycznej historii wysuwają się partie polityczne, i to nie tylko polskie, ale także tych narodów, które współżyły z Polakami w jednych organizmach państwowych. Tak rozumiem postulat, aby historyk najnowszych dziejów polskich był raczej historykiem narodu, a nie państwa”. I ten drugi postulat nie jest nowy, historiografia polska żywo bardzo zajmowała się historią myśli politycznej i społecznej, konfrontując ją z ruchami obcych narodów w tej dziedzinie.

Nowe dla historiografii polskiej są raczej przesłanki, na których H. Wereszycki buduje ten program, przesłanki, które z punktu widzenia obiektywnej historiografii są nie do przyjęcia. W pierwszym rzędzie dzieje okresu od 1918 r. wiążą się nierozzerwalnie z państwowością polską i punktem wyjścia studiów nad tym okresem dziejów Polski musi być państwo polskie. Sprawa własnego państwa i niepodległości stanowi ponadto również dominujący czynnik wszystkich polskich ruchów XIX i początków XX stulecia, niesposób np. badać początków polskiego socjalizmu w oderwaniu od tego czynnika, który kształtował przemożnie charakter tego ruchu. Materiały zresztą (jak listy Stróżeckiego, relacje i t. p.) drukowane w „Dziejach Najnowszych” świadczą o tym naocznie, wykazując jednocześnie jaskrawo, jak daleko koncepcja historiozoficzna dr. Wereszyckiego odbiegła od danych, zawartych w źródłach do historii omawianej epoki.

Rozprawa Henryka Jabłońskiego „Z dziejów obozu legionowo-peowiaczkiego” składa się właściwie z odrębnych dwóch części, powiązanych ze sobą pozornie za pomocą nic nie mówiących frazesów. Część pierwsza stanowi analizę struktury społecznej legionów i P. O. W. W odniesieniu do legionów opiera się na aktach, przechowywanych przed wojną w Archiwum Wojskowym w Warszawie, a głównie aktach Centralnego Urzędu Ewidencyjnego

i Departamentu Wojskowego N. K. N.; w odniesieniu do P. O. W. — na niedrukowanej pracy kpt. Horyda o P. O. W. (po śmierci autora przechowywanej w Archiwum Wojsk). Jabłoński w tej pierwszej części swej pracy wydobyl dane statystyczne do składu społecznego legionów i dał wnikliwą analizę ich struktury. Wypełnił dużą lukę w historiografii legionów, pomijając zupełnie te sprawy. Szkoda tylko, że autor nie kontynuuje suchych źródłowych rozważań, lecz rozpoczyna jakieś bliżej niezrozumiałe rozumowanie na temat sanacji i jej roli w Polsce Niepodległej. Ta część druga pozbawiona jest już zupełnie odnośników do źródeł, jest tylko wytworem autora, ujętym w formę napastliwego artykułu, nawet nie politycznego, bo i polityczne artykuły muszą posiadać pewien poziom naukowy. Omawia tu autor gwałtownie wypowiedzi A. Skwarczyńskiego, zawarte w jego broszurach dla młodzieży, dowodząc, że te wypowiedzi stanowią ideologię t. zw. sanacji, i określają program i działalność sfer rządzących po r. 1918. Ta druga część pracy H. Jabłońskiego nie nadaje się do omawiania na łamach „Tek”, bo nie nosi nawet pozorów pracy naukowej. Nasuwa się tu tylko jedna refleksja, że wielka szkoda, iż autor, obiecujący i uzdolniony historyk, posiadający w swym dorobku parę wartościowych pozycji z historii powstania kościuszkowskiego i styczniowego, nie zakończył swej rozprawy na części pierwszej, bo część drugą przecież mógł wydrukować na łamach innego pisma, a nie „Dziejów Najnowszych”, które obowiązane są dbać o poziom i wartość naukową drukowanych przez siebie rozpraw.

Rozprawa Tadeusza Jabłońskiego „Republika Pińczowska” przedstawia dzieje dwutygodniowego powstania nad Nidą, rozpoczętego 25 lipca 1944 r. i udział w nim oddziałów A. K. i A. L. Stanowi właściwie relację uczestnika — autora rozprawy, uzupełnioną przez relację komendanta obwodu krakowskiego A. L.

Rozprawa „Lata szkolne i studenckie Ludwika Waryńskiego” z teki pośmiertnej Adama Próchnika, najwybitniejszego bodajże znawcy dziejów polskich ruchów polityczno-społecznych drugiej połowy XIX w. i początków XX w. — daje nieznanne dotychczas dane z młodości Waryńskiego, przywódcy „Proletariatu”, pierwszego właściwie związku socjalistycznego w Polsce, który ma znamiona partii.

Na specjalną uwagę zasługuje zarówno ze względu na metodę, jak i temat interesująca rozprawa Janusza Durko „Sprawa Marcina Kasprzaka”. Marcin Kasprzak, pionier początków polskiego ruchu socjalistycznego w Poznańskim, następnie współtwórca obok Kulczyckiego t. zw. II Proletariatu, wreszcie wybitny działacz S. D. K. P., głośny ze zbrojnego oporu, jaki stawił podczas napaści żandarmerii i policji rosyjskiej na drukarnię partii w 1904 r., stanowił dla historyków polskiego ruchu robotniczego postać zagadkową. Enuncjacje P. P. S. z 1893 r. pomawiały go o współpracę z policją rosyjską, z drugiej zaś strony jego działalność w ruchu robotniczym i rola, jaką odgrywał, przeczyły temu. J. Durko zanalizował dotychczasową literaturę o Kasprzaku, zestawiał ją z drukowanymi i rękopiśmiennymi relacjami (rękopisy ze zbiorów Komisji Historyczno-Archiwalnej Stowarzyszenia b. Więźniów Politycznych) i ówczesną prasę socjalistyczną, wreszcie skonfrontował z „klimatem”,

w którym ukazały się enuncjacje oskarżające Kasprzaka. Okazuje się, iż zarzuty współpracy z rosyjską ochroną, postawione Kasprzakowi, były bezpodstawne, a ich źródła szukać należy w ówczesnych rozgrywkach i walkach partyjnych (1892—1893 r.) oraz specjalnym „klimacie”, wytworzonym zarówno przez te spory, jak i podejrzliwość, wywołaną metodami pracy rosyjskiej policji.

W 1 numerze „Dziejów” ponadto wydrukowano bibliografię za lata 1945—1946, dotyczącą więzień i obozów niemieckich, a w z. 2. spisy zawartości Archiwum Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiej Partii Robotniczej.

„Dzieje Najnowsze” redaguje Stanisław Płoski, ceniony historyk polskich ruchów powstańczych XIX w., autor drukowanych przed 1939 r. rozpraw, poświęconych partyzantce J. Zalińskiego w powstaniu listopadowym oraz wyprawie R. Rogińskiego w powstaniu styczniowym. Sekretarzem redakcji jest Janusz Durko.

E. Oppman

III. KRONIKA

— Ukazał się świeżo z datą b. r. tom XXXVII wydawanego pod redakcją Janusza Wolińskiego „Przeglądu Historycznego”. Okazały ten tom — bez mała 500 stron — dedykowany jest prof. Stanisławowi Kętrzyńskiemu w pięćdziesięciolecie jego pracy naukowej. Na tom ten składają się następujące studia: Kazimierz Tymieniecki „Z metodyki badań nad starożytnościami słowiańskimi”, Julian Krzyżanowski „Podłoże historyczne oceny literackiej”, Adam Vetulani „Nowy zarys historii ustroju Polski w średniowieczu” (omówienie „Państwa polskiego w wiekach średnich” Zygmunta Wojciechowskiego), Tadeusz Manteuffel „Problem feudalizmu polskiego”, Marian Małowist „O niektórych warunkach rozwoju feudalizmu”, Adam Krokiewicz „Tales i narodziny filozofii greckiej”, Kazimierz Kumaniński „Traktat pokojowy ateńsko-spartański z r. 431 w dziele Tucydydasa”, Iza Biezuńska „Źródła dopływu niewolników w okresie hellenistycznym”, ks. Franciszek Sokółowski „Z dziejów archiwum w Delfach”, Jerzy Manteuffel „Tell Edfu. Wyniki wykopalisk polsko-francuskich”, ks. Józef Umiński „W sprawie zatargu św. Stanisława z Bolesławem Szczodrym” (dowodzi, że jakkolwiek w opowieści Kadłubka są już pewne rysy legendarne, to jednak zasadnicze punkty tradycji Galla i Kadłubka są te same), Józef Jodkowski „Pieczęcie ruskie XI—XII w., znalezione w Grodnie i Drohiczynie”, Jadwiga Karwasińska „Z dziejów Archiwum Koronnego. Dokumenty krzyżackie”, Adam Wolff „Kompetencje urzędników mazowieckich (1370—1526)”, Ananiasz Zajączkowski „Dyplomatyka Złotej Hordy i Krymu w XV w.”, Stanisław Herbst „Najazd tatarski 1512 r.”, Jakub Sawicki „Ze studiów nad zbiorem Karnkowskiego”, Michał Walicki „Dwa przyczynki do dziejów sztuki w Polsce XVI w.”, Władysław Tomkiewicz „O składzie społecznym i etnicznym Kozaczyzny Ukrainnej na przełomie XVI i XVII w.” (odtworzenie rozdziału

większej pracy, zniszczonej w czasie wojny. Autor dowodzi, iż Kozaczyzna Ukrainna składała się z różnych elementów społecznych i narodowościowych; wcale licznie byli w Kozaczyźnie reprezentowani Polacy, w szczególności „udział szlachty polskiej w ścisłym, etnicznym tego słowa znaczeniu był w Kozaczyźnie wcale znaczny”), Władysław Konopczyński „Stanisław Dunin Karwicki (1640—1724)” (życiorys i charakterystyka traktatu „O urządzeniu Rzplitej”), Bohdan Baranowski „Geneza sojuszu kozackotatarskiego z 1648 r.”, Janusz Woliński „Po Chocimie 1673/1674” (fragment większej pracy „Od Chocimia do Żórawna”), ks. Mieczysław Żywczyński „Książę Leuchtenberg i książdz Ściegienny”, Adam Lewak „Ideologia polskiego romantyzmu politycznego a Mazzini”, Henryk Barycz „Wojciecha Kętrzyńskiego starania o katedrę uniwersytecką w Krakowie”, Stefan Kieniewicz „Tło historyczne „Dziejów Polski” Bobrzyńskiego”, Adam Stebelski „Archiwa warszawskie po wojnie” (zachowało się 20 do 30 proc. przedwojennej zawartości aktowej warszawskich archiwów państwowych, „ale zważywszy charakter materiału źródłowego, pochodzącego w znacznej części z wielkich kancelaryj publicznych i prywatnych — oraz bardzo małe zużytkowanie go dotychczas przez naukę, jest to zespół, zapewniający Warszawie utrzymanie nadal poczesnego miejsca w dziedzinie badań i prac archiwalnych”), Antoni Rybarski „Losy Albumu Miechowskiego”, Aleksander Gieysztor „Fragmenty zapisek herbowych piotrkowskich i radomskich województw sieradzkiego XIV i XV w.”. Tom przynosi także wspomnienia pośmiertne Stefana Kieniewicza o Józefie Feldmanie, Tadeusza Manteuffla o Czesławie Leśniewskim i Tadeusza Gostyńskiego o Mikołaju Jordze, Jana Reychmana przegląd nowożytnej historiografii węgierskiej z lat wojny oraz 32 recenzje. Na szczególną uwagę zasługuje tu recenzja Stanisława Kętrzyńskiego z nowego wydania relacji Ibrahima Ibn Jakuba oraz studium o niej Widajewicza (odmawia relacji większej wartości źródłowej) oraz Stanisława Kieniewicza omówienie czwartego tomu „Dziejów kultury polskiej” Bruecknera, przynoszące doskonałą charakterystykę książki i długą listę błędów rzeczowych. — Zachodnioeuropejskiej literaturze historycznej z lat wojennych i powojennych poświęcono 8 recenzyj, z tego 7 — książkom francuskim. O utrudnieniu dostępu zachodnioeuropejskiej książki naukowej do Kraju świadczą również oba artykuły o feodalizmie, zupełnie nie uwzględniające podstawowego dzieła M. Blocha „La société féodale” (dwa tomy, Paryż 1939 — 40).

— Ukazał się z datą ub. r. tom XVI redagowanych przez Kazimierza Tymienieckiego i Zygmunta Wojciechowskiego „Roczników Historycznych”. Przynosi on następujące rozprawy: Zdzisław Kaczmarczyk „Czynniki geograficzne w rozwoju dziejowym Polski”, Kazimierz Tymieniecki „O państwie polskim w wiekach średnich” (omówienie książki Zygmunta Wojciechowskiego „Państwo polskie w wiekach średnich”), Gerard Labuda „Ibrahim Ibn Jakub. Najstarsza relacja o Polsce w nowym wydaniu”, Władysław Pocięcha „Czasy Zygmunta Starego” (obszerne omówienie „Zygmunta Starego” Z. Wojciechowskiego). W dziale „Drobnych prac i materiałów” znajdujemy tu Konrada Jażdżewskiego omówienie „Prasłowiańszczyzny” J6-

zefa Kostrzewskiego oraz „O pochodzeniu i praocjczyźnie Słowian” Tadeusza Lehra-Splawińskiego, i Józefa Widajewicza „Czy Bolesław Chrobry był w młodości zakładnikiem u Niemców?” (z odpowiedzią negatywną na postawione w tytule pytanie). Poza tym tom przynosi 34 recenzje, z czego blisko połowa to omówienie książek i wydawnictw niemieckich, oraz nekrolog Józefa Feldmana pióra Stefana Kieniewiczca.

— Nakładem wydawnictwa „Ata” w Londynie ukazał się tom pierwszy „Historii Polski” Jana Rembienińskiego, obejmujący średniowiecze.

— „Książnica-Atlas” we Wrocławiu wydała pośmiertną książkę Józefa Feldmana „Stanisław Leszczyński”.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie zapowiada wydanie w najbliższym czasie dwóch podręczników metodologicznych: Władysława Konopczyńskiego „Historyki” i Juliana Krzyżanowskiego „Nauki o literaturze”. Wydział I Towarzystwa wydał J. Krzyżanowskiego „Bajkę ludową” i faksymilowane wydanie „Vade mecum” Norwida w opracowaniu W. Borowego, Wydział II — W. Kamienieckiego „Społeczeństwo litewskie w w. 15”.

— Kasa im. Mianowskiego w Warszawie wydała z prac historycznych czwarty i ostatni tom „Dzieł” Tacyta w przekładzie Seweryna Hammera oraz obszerny — bez mała 600 stron — tom Marii Hornowskiej i HaliŃy Zdzitowieckiej Jasińskiej „Zbiory rękopiśmienne w Polsce średniowiecznej”.

— Świeżo ukazał się w Warszawie z datą czerwca ub. r. zeszyt 1—2 rocznika IX „Biuletynu Historii Sztuki i Kultury”, kwartalnika, wydawanego przez Państwowy Instytut Historii Sztuki oraz Zakład Architektury Polskiej i Historii Sztuki Politechniki Warszawskiej. Zeszyt poświęcony jest w całości Warszawie. Obok artykułów, poświęconych zagadnieniom odbudowy Warszawy i ochrony zabytków, zeszyt przynosi następujące prace, mogące interesować bliżej historyka: Jan Zachwatowicz „Zabytki Warszawy”, Zbigniew Rewski „Rysunki architektoniczne z Polski w Mediolanie” (projekty architektoniczne Martinelliego, działającego w Warszawie w XVII w.), Euzebiusza Łopacińskiego „Warszawskie poszukiwania archiwalne do dziejów sztuki” (streszczenie wyników większej pracy, poświęconej architektom, muratorom, rzeźbiarzom i in. artystom, działającym w Warszawie w XVI i XVII w. Praca ma się ukazać nakładem Instytutu Historii Sztuki), Aleksander Gieysztor, Stanisław Herbst i Eugeniusz Szwanowski „Kształty Warszawy” (obszerna praca, obejmująca historię kształtów Warszawy od początków osadniczych aż po czasy współczesne). Z pisma dowiadujemy się również, iż Państwowy Instytut Historii Sztuki wydał w r. 1946 następujące zeszyty „Materiałów do Dziejów Sztuki i Kultury”: nr. 3 „Akta Nadzoru Budowlanego w Galicji 1772—1913. Akta szkół artystycznych krakowskich, 1918—1900” w opr. Zygmunta Wdowiszewskiego; nr. 4 „Muratorzy poznańscy XVII w.” w opr. Kazimierza Malinowskiego; nr. 5 „Materiały do dziejów rzemiosła artystycznego w Wielkim Księstwie Litewskim (XV—XIX w.)” w opr. Euzebiusza Łopacińskiego; nr. 6 „Źródła wschodnie w archiwum Koronnym do dziejów orientalizacji smaku artystycznego w Polsce XVI—XVIII w.” w opr. Bohdana Baranowskiego. — Wszystkie te zeszyty „Materiałów” wy-

dano w zaskakująco małej ilości egzemplarzy: nry 4 i 5 odbito w 250 egz., nry 3 i 6 — tylko w 75 egz.(!).

— Ukazał się z datą lat 1939—1945 tom XXXVI redagowanego przez Józefa Gajka i Tadeusza Seweryna „Ludu”. Znajdujemy tu m. in. pośmiertną pracę przedwojennego redaktora „Ludu”, Adama Fiszera „Monografia Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego”, Leona Halbana „O potrzebie badań socjologicznych nad religijnością”, Józefa Kostrzewskiego „Przyczynek do dawności wytworów polskiej kultury ludowej”, Stefańa Noska „Znaleziska w Biskupinie a współczesna kultura Słowian”.

— Zeszyt za styczeń—marzec b. r. paryskich „Annales. Economies. Sociétés. Civilisations” przynosi m. in. Henri Brunschwiga „Propos sur le prussianisme” i François Crouzet’a „Tout va très bien, Madame l’Angleterre”, gwałtowny atak na „English Social History” G. M. Trevelyana, któremu zarzuca szowinizm.

— Nakładem Duke University Press w Durham ukazała się książka A. A. Lobanova-Rostovsky’ego, prof. historii w Michigan, „Russia and Europe, 1789—1825”. — Jak wynika z omówienia książki w kwietniowym zeszycie „American Historical Review”, nie ma ona charakteru pracy, opartej na badaniach źródłowych.

IV. RÉSUMÉS

WŁADYSŁAW DZIEWANOWSKI. On “The history of Stupidity in Poland.”

This article is a discussion of a book recently published in Poland by Alexander Bocheński under the title of „The History of Stupidity in Poland”. The stupidity mentioned in the title is that of all those Polish historians and publicists, who, by exalting and glorifying the Polish struggle for freedom, excited their compatriots to further disastrous efforts. Of course it is also the stupidity of the statesmen and military leaders who led the Polish nation into insurrections and hopeless wars.

The whole book is based on the author’s assertion that the preservation of a national state is not important, and only the preservation of the nation matters. Bocheński affirms that, from the beginning of the XVIII-th century onward, Poland should not have opposed Russian expansion and that it would have been in her interest to unite with Russia, or even to become an autonomous Russian province. He believes that Russia never desired the partitions of Poland, and that she had to accept them only because of Polish resistance.

Bocheński’s book is well written. Many of his remarks are judicious and most of his premises are correct, but the conclusions based on them are false. The author omits to refer to the many attempts to find a friendly

„modus vivendi” with Russia since the treaty of 1686 which always failed. It is perfectly true that Russia never aimed at the partition of Poland, but only because she did not desire to share her loot with anybody. It is also quite true that Russia always did her utmost to russify any conquered nation, to deprive it of any national features and even of its language. The article tries to prove it with concrete historical instances.

WIKTOR WEINTRAUB. The Story of E. V. Tarle.

This paper deals with the well known Russian historian, E. V. Tarle (born in 1874), prolific and gifted author of many books on modern history; notably the history of the French working class during the Revolution, Napoleon and the continental blockade, the Franco-Russian war of 1812, and the Crimean war. Its chief aim is not so much an analysis of Tarle's books and evaluation of their historical value, as a study of the relationship between an eminent historian of a markedly „bourgeois” background and the Soviet régime. It tries to explain how it happened that a man who was a radical liberal before the October Revolution, an ardent patriotic publicist during the first World War, Kerensky's political agent in 1917, an opponent of the Bolsheviks and Marxian historiography up to 1924; who had maintained an uneasy truce with the Soviet régime under savage attack from the Marxist historians of that time; who in 1930 was charged, among others crimes, with having been designated for the post of the foreign minister by the so-called „Prompartia” anti-Bolshevik conspiracy, was arrested and finally deported to Central Asia; that this man has become during the last ten years the representative Soviet historian and the semi-official spokesman of Soviet political aims, not only in his historical books but in his political articles as well. The paper tries to depict all the phases of Tarle's relations with the Soviet régime and evaluate the impact of current politics on Tarle's historical writing.

KOMITET REDAKCYJNY:

*Jan Adamus, Leon Koczy, Marian Kukiel,
Edmund Oppman, Henryk Paszkiewicz,
Tadeusz Sulimirski.*

REDAKTOR: *Otton Laskowski.*

ZASTĘPCA REDAKTORA I SEKRETARZ REDAKCJI: *Wiktor Weintraub.*

Cena zeszytu: 3 sh.

Prenumerata roczna 12 sh.

**Adres Redakcji: Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii,
c/o 20, Princes Gate, London S. W. 7.**

Price 3 sh.

Annual Postal Subscription Rate 12 sh.

**Orders, with remittance, should be sent to POLISH HISTORICAL
SOCIETY, c/o 20, Princes Gate, London S. W. 7.**

**Printed by: The Montgomeryshire Printing and Stationery Co., Ltd., Newtown,
Mid-Wales.**

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
W WIELKIEJ BRYTANII

TEKI HISTORYCZNE

NAKŁADEM TOWARZYSTWA

LONDYN

T. II, Nr. 3. LIPIEC—WRZESIEŃ

1 9 4 8

Łukasz / ept

SPIS RZECZY

I. ROZPRAWY :

Marian Kukiel: Koncepcje powstania narodowego przed „Wiosną Ludów” — str. 153; **Oskar Halecki:** Geneza czerwonego caratu — str. 179; **Juliusz Kozolubski:** Służba sardyńska generała Wojciecha Chrzanowskiego (operacje pod Novarą) — str. 193.

II. RECENZJE :

Zygmunt Wojciechowski: „Hołd pruski i inne studia historyczne” (Otton Laskowski) — str. 217; **Petrus Savio:** „De Actis Nuntiaturae Poloniae quae partem Archivi Secretariatus Status constituunt” (Leon Koczy) — str. 220; **Władysław Konopczyński:** „Fryderyk Wielki a Polska” (Władysław Dziewanowski) — str. 222; **Stefan Kieniewicz:** „Rok 1848 a Polska. Wybór źródeł” (Edmund Oppman) — str. 224.

III. KRONIKA : — str. 226.

IV. RESUMES : — str. 231.

I. ROZPRAWY

Marian Kukiel

KONCEPCJE POWSTANIA NARODOWEGO PRZED „WIOSNĄ LUDÓW“

I.

Krytyka przegranej wojny

Zagadnienia wojskowe powstania narodowego stały się przed myślą polską nie po raz pierwszy, gdy po przegranej wojnie i upadku rewolucji listopadowej przyszło rozpamiętywać na obczyźnie klęskę i doszukiwać się dróg, wiodących do Polski wolnej, całej, niepodległej. Nigdy jednak przedtem zagadnienia te nie narzuciły się świadomości narodowej z taką mocą i nie wywołały tak dużego i wielostronnego wysiłku ku ich rozwiązaniu. Po raz pierwszy również pojawiły się wtedy dzieła, wykładające systematycznie doktrynę wojny powstańczej, i wywiązała się w tej dziedzinie walka idei i koncepcji.

Bywa tak, że wojna przegrana wywołuje u pokonanych jak gdyby prawem kompensaty duchowej wyjątkowe nasilenie twórcze; szczególnie zaś w dziedzinie wojskowej doświadczenia poniesionych klęsk bywają zazwyczaj nie tylko przedmiotem rozpamiętywań, ostrej analizy krytycznej, cierpkich osądzeń, lecz także śmiałych koncepcyj i systemów myślowych. Myśl usiłuje nie tylko odtworzyć akcję świeżego dramatu, ale ją przetwarza, bieg jej odwraca, ludzkie słabości chce zamienić w siłę, ludzkie błędy usiłuje sprostować, objawić w końcowym wyniku możliwość zwycięstwa, a przechodząc do koncepcji doktrynalnych — tajemnicę zwyciężania, rzec można, przepis na zwycięstwo. Po wojnie 1831 r. zjawiska te wystąpiły tym silniej, że świadomość zbiorowa ludzi rewolucji listopadowej z zastanawiającą jednolitością odrzucała myśl, by poniesiona przegrana była

nieuchronną, konieczną — a tym samym nieodwracalną dla tego pokolenia. Były prezes Rządu Narodowego, książę Adam Czartoryski, mówił 29 listopada 1840 r.: „To pewna, żeśmy nie zginęli przez oręż nieprzyjacielski... Nie upadliśmy dla braku środków materialnych, ale braku siły moralnej, któraby tamtych mogła zarządzać...” i gorzko stwierdzał, że „główna przyczyna naszych nieszczęść jest w nas samych”¹). „Nie nie mogliśmy, ale nie umieliśmy” — pisał kilka lat przed tym Maurycy Mochnacki, jeden z głównych sprawców listopadowego wybuchu i *spiritus movens* dni następnych rewolucji — „Zginęliśmy nie dla braku sił, ale dlatego, że ich użyć nie umieliśmy”²). Surowy osąd powstania listopadowego jest w myśli emigracyjnej konieczną przesłanką hipotezy nowego, mocniejszego, zwycięskiego powstania.

Krytykę działań wojennych 1831 r. zwykliśmy wiązać z imieniem Prądzyńskiego. Ale pisma jego w okresie międzypowstaniowym były niemal nieznanie; późno dostępna się stała jego relacja ze Smitta „Feldherrnstimmen”³); odgłosy jego poglądów odnajdują się u Willisena⁴). Zresztą krytyka Prądzyńskiego, skoncentrowana świadomie na dziedzinie operacyjnej, nie mogła dać w wyniku odpowiedzi na te zagadnienia, wobec których stawała myśl powstańcza doby polistopadowej, gdy przecież Polska żadną już siłą zbrojną nie rozporządzała, ani nie było pod nogami ziemi własnej, wolnej od wroga.

W swym niedokończonym dziele o „Powstaniu Narodu Polskiego” (1834) Mochnacki, mówiąc, że nie umieliśmy użyć sił posiadanych, nie tylko błędy wodzów miał na myśli; myślał on o braku kierownictwa mocnego i śmiałego, o braku władzy prawdziwie dyktatorskiej; dochodził do wniosku, że „powstanie potrzebuje tęgiego absolutyzmu tymczasowego”, że „tylko władza jednego mogła nas była zbawić”⁵). Sam w toku pisania ewoluował ku koncepcji monarchicznej. Zrazu skłonny uznać, że „środkiem powstania w Polsce, nie jedynym, ale głównym jest rewolucja społeczna”

1) Adam Czartoryski, „Mówy”, 1847, 12, 41.

2) Mochnacki, „Powstanie Narodu Polskiego”, 1834, I 6, II 58.

3) Friedrich v. Smitt, „Feldherrnstimmen aus und ueber den polnischen Krieg vom Jahre 1831”, Leipzig 1858.

4) W. v. Willisen, „Theorie des grossen Krieges”, Berlin 1840.

5) Mochnacki, j. w., II 531, 606-7.

(pojęta jako poruszenie chłopów przy ich uwolnieniu i uwłaszczeniu)¹⁾, w dalszych częściach pracy zastrzegał się zresztą przeciw „poruszaniu społecznych namiętności”²⁾. Wielki ten pisarz mógł być zatem natchnieniem i dla tych, którzy, jak Czartoryski i jego obóz, u podstaw przyszłego powstania widzieli silną władzę królewską, i dla tych, którzy, jak Mierosławski, będą rzecznikami dyktatury rewolucyjnej; dla tych, którzy, jak tenże Czartoryski, chcieli złączyć powstanie z usamodzielnieniem i uwłaszczeniem włościan, przy skupieniu i zjednoczeniu całego narodu, ale przy przewodniej w tym roli właścicieli ziemskich — i dla tych, którzy, jak to zobaczymy u Mierosławskiego, w formach i stylu jakobińskim i egalitarnym wyrażali treść bardzo zbliżoną.

Bo w gruncie rzeczy wszyscy godzą się co do tego, że — jak mówił Czartoryski — „niewiara we własne siły od samego początku gubiła nasze przeszłe powstanie”³⁾, co do tego, że — jak pisał — „Polska nie może wrócić do swego życia, tylko przez powstanie silne, powszechne, w całym kraju i wporę zrobione”⁴⁾, że „bez wysilenia narodu, a zatem bez powstania, odrodzenie Polski jest niepodobieństwem”⁵⁾.

Wszyscy skłonni są — jak on — winić w przeszłej rewolucji „brak ładu, jedności, zdolnego Rządu i wiary w siebie”⁶⁾. Tylko że demokraci w swoim „manifestie” i pismach Heltmana, Kamieńskiego, Mierosławskiego miejsce naczelne wśród win popełnionych przypisują wstrętowi szlachty do reform społecznych; ich zdaniem, Polska „nie prostą przemocą hord najezdniczych, ale egoizmem warstw uprzywilejowanych zamordowana została”⁷⁾.

Stąd też wypływa pogląd ich na to, co należało zrobić, by wydobyć maximum sił z narodu i użyć ich w sposób zwycięski.

Ale tutaj wchodzimy już w właściwą problematykę powstania narodowego, stajemy wobec starego pytania: „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?”

¹⁾ Mochnecki, j. w., I 61.

²⁾ Mochnecki, II 274, 315, 332, 352.

³⁾ Czartoryski, „Mowy”, 16.

⁴⁾ Czartoryski w instrukcji dla Karola Marcinkowskiego, 14 października 1834 (Handelsman, „Francja—Polska”, 1926, 240).

⁵⁾ Tenże w instrukcji z 1840 r. (j. w.).

⁶⁾ Czartoryski, „Mowy”, 12.

⁷⁾ „Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego”, 1836.

II.

Testament Kościuszkowski

Położenie Polski po upadku rewolucji listopadowej nie było w istocie odmienne, jak w latach po upadku insurekcji i trzecim rozbiore: o tyle chyba gorsze, że silniejsza była teraz solidarność rozbiorców, a Francja nie wracała na dawne szlaki wojen rewolucyjnych. Izolacja, w jakiej pozostawiono walczącą Polskę w roku 1830-31, zabiła wiarę w pomoc obcych rządów, a jeśli jeszcze została wiara w skuteczną interwencję ludów, parę lat następnych zdołało silnie wiarę tę zachwiać. Rzeczywistość sprowadzała się do tego, że cały naród był ujarzmiony, że do nowej walki o wolność nie było ani sił zbrojnych własnych, ani konkretnych widoków zewnętrznej pomocy. Takie były zaś właśnie założenia pamiętnej broszury — „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość”, którą w r. 1800, zrażony do Francji Bonapartego Tadeusz Kościuszko kazał pisać swemu sekretarzowi, Józefowi Pawlikowskiemu, za własne grosze dał drukować w Paryżu, „w Perekopie nad Donem”, rozszerzać w Legionach, przemycać do kraju.

Szło o to, by „odrzuciwszy nadzieje ratunku (z zewnątrz), w swoich własnych siłach, odwadze i męstwie szukać zbawienia”. Kościuszko chce „bez względu na obce mocarstwa, ale w samej sile wewnętrznej szukając pomocy, zachęcać i rozszerzać ten duch i w jak najprędszym czasie zrobić przygotowanie do powszechnego powstania”. Taką jest geneza broszury, w której „wszystkie myśli są jego własne”¹⁾.

Jest tu zatem postulat, postawiony narodowi, by ufał w swoje siły, a nie „w obce wsparcie lub łaskę”²⁾. Siły te wydobyte być mają z całej masy ludu polskiego przez ogłoszenie wolności włościan. Armiom trzech zaborców, mogącym wystąpić przeciw Polsce w 450.000 łącznej siły, chce Kościuszko

¹⁾ Genezę broszury przedstawił A s k e n a z y, „Napoleon i Polska”, III 206—14, ustalając autorstwo; szczegółowiej H a n d e l s m a n, „Ideologia polityczna Towarzystwa Republikantów Polskich”, „Rozwój narodowości nowożytnej”, I, 1925, 181—2, 186—190. Por. E s t r e i c h e r, „Bibliografia polska XIX stulecia”, II 391 (pod Kniaziewicz!).

²⁾ „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość”, Poitiers 1839, 2—3. Dawniejszych wydań nie miałem pod ręką przy redakcji tej pracy.

przeciwstawić co najmniej jedną trzecią część zdolnych do broni Polaków, w liczbie przeszło miliona, jak szacuje, oczywiście bardzo wysoko¹⁾. Mobilizację tych mas zapewnić ma czynnik moralny; idzie o to, by chłopci poznali, że to idzie o ich wolność. Przewadze, jaką daje wyćwiczenie, przeciwstawia Kościuszko przewagę sił moralnych. Cytuje modnego wtedy teoretyka wojny: „Lloyd pisze, że wolność najmocniejszą jest sprężyną do wzbudzenia męstwa w bijących się”.

Zwartości i dyscyplinie wojsk zaborczych przeciwstawia indywidualne męstwo bijących się za wolność obywateli. „Czegóż nie dokażą Polacy, gdy się przejmą tym duchem”²⁾.

Kościuszko nie cofa się przed przewagą uzbrojenia armii nieprzyjacielskich. Dyktuje długi wywód, wsparty cytata-
mi z Folarda, Lloyda, Maurycego Saskiego, ilustrowany historycznymi przykładami, z powołaniem się na taktykę wojsk republiki francuskiej, ażeby udowodnić, że to nie ogień zwycięża w bitwach, że „armata czyni tylko postrach ludziom i wielkie wrażenie na imaginacji”, że „wszystkie batalie, co były odbywane, nie broń ogniowa, lecz bagniet albo pałasz je wygrywał”.

Daje przykład Raclawic, jak porywać lud i żołnierzy, jak „rozbudzić zapal w bijących się”. Następuje apoteoza kosy, broni powstania.

„Zdanie jest Kościuszki, iż aby tylko męstwo zawsze towarzyszyło bijącemu się, nie masz broni, któraby oparła się kosie i nie masz wojska w Europie, któregooby nią zwyciężyć nie można”. „U Francuzów w ostatnich wojnach bagniet był bronią zwycięską, kosa jest broń daleko użyteczniejsza”³⁾.

Przykład Raclawic, inne przykłady z insurekcji mają dowieść powyższej tezy. „Nie gatunek sukni, ani rodzaj broni, stanowi żołnierza, ale odwaga i chęć zwyciężenia”. Czyli znów prymat czynników moralnych. Jeśli w r. 1794 ta „arme terrible”, jak określa ją historyk Suworowa (Anthing), nie zawsze zwyciężała, wina to dowódców, że „zamiast wzmacniać zaufanie ludu w broń, jaką była kosa, zamiast zachęcania ludu, gardzili kosą i ludem”⁴⁾.

¹⁾ J. w., 43—6.

²⁾ J. w., 28—30, 33—4.

³⁾ J. w., 24—7.

⁴⁾ J. w., 31, 33. Cf. (Fr. Anthing), „Les campagnes du comte Alexandre Suworow Rymnikski”, Londres 1799, II 177—8.

W broszurze kościuszkowskiej zarysowuje się typowe dla powstań polskich połączenie kosynierów ze strzelcami i z improwizowaną jazdą, uzbrojoną w piki.

Co do strategii powstania, Kościuszko nie tyle polega na planowaniu operacyjnym, „jak batalii lub kampanii militarnej”, ile na „elementach rewolucji”, które „wstrząsają naturę” — na zaskoczeniu przeciwnika grozą rzeczy nieprzewidywanych; Francję bierze co do tego za przykład¹⁾. Odnajdziemy tę myśl przewodnią w pismach Henryka Kamieńskiego. Kościuszko podnosi znaczenie zaczepnych działań na wielkich obszarach kraju, podstępów, zasadzek, małej wojny, w której mieszkańiec kraju ma przewagę nad obcym wojskiem, a powstaniec — nad regularnym żołnierzem²⁾. Zaleca unikanie bitew z przeważającymi siłami, przeciąganie wojny, wyzyskiwanie lasów, dających korzyści powstaniu nad regularnym wojskiem. Chce, aby napastować, nie narażając się na zgubę i nie ulegać przeciwnościom. „Na tym najwięcej zależy zwycięstwo, abyśmy trwali długo i licznymi zawsze byli”³⁾. Mimo krytycznego sądu o konfederacji barskiej, broszura podnosi, że przez kilka lat potęga moskiewska zdusić jej nie mogła. W przekonaniu Kościuszki wskazane jest przeciąganie walki do wzmacniania sił własnych, zużycia najeźdźczych i do uzyskania wreszcie (jak było z rewolucją amerykańską) obcej pomocy. Silny wpływ tych idei rzuca się w oczy, gdy wziąć do ręki książkę Stolzmana o partyzantce, a nawet broszury Chrzanowskiego, Jełowickiego, Bema.

Organizację rewolucji chce mieć prawie taką, jak za insurrekcji, tylko ze wzmocnioną władzą dyktatorską Naczelnika i z powołaniem kongresu, jak amerykański, do czynności prawodawczych, zasiadającego w obozie głównym. Jest za mocną władzą, ślepyim posłuszeństwem i surową karnością w czasie wojny, ale przeciw „zgubnym maksimum” terroru, sprzecznym z charakterem polskim⁴⁾.

Jego koncepcja rewolucyjnej dyktatury, silnego centralnego ośrodka kierowniczego, twardej dyscypliny w powstaniu, odnajdzie się rozwinięta u Ludwika Mierosławskiego.

1) „Czy Polacy . . .”, 9—11.

2) J. w., 35—42.

3) J. w., 36.

4) J. w., 53—59.

Niepodobna wyczerpać tu treści tej niedużej książeczki, myślami i sugestiami napęczniałej, brzemiennej przyszłością. Przytoczyliśmy z niej te tezy, które odnajdą się jako istotne części składowe w polistopadowych doktrynach powstania.

Broszura kościuszkowska wywarła w swoim czasie — w latach 1800-1 — duże wrażenie w Polsce i na obczyźnie. Nie wywołała jednak — jak chciał Kościuszko — ruchu powstańczego w kraju. Przyjęto ją raczej jako przestrożę, by już nie polegać na Francji, nie liczyć na Legiony, wojnę zaś o niepodległość o własnych siłach odsuwano instynktownie w dalszą przyszłość. Po kilku latach zaś, gdy orły napoleońskie dotarły do Warty i Wisły, całe zagadnienie inaczej przedstawiało się już Polakom; historia zdawała się potwierdzać koncepcje legionowe; Polska powstała przy obcej pomocy, a koncepcje Kościuszki poszły w niepamięć. Wydobyła z niej broszurę rewolucja listopadowa. Przedrukowano ją dwukrotnie w wolnej Warszawie.

Mało kto już wiedział o jej pochodzeniu. Wydawcy zupełnie bezpodstawnie przypisali autorstwo generałowi Karolowi Kniaziewiczowi. Wywarła ona pewien wpływ na czerwcową instrukcję Rządu Narodowego o pospolitym ruszeniu. Wkrótce po powstaniu, 1834 r., przedrukował ją we Lwowie Zakład Narodowy imienia Ossolińskich z fikcyjną datą 1831 r. „w oswobodzonej Warszawie”. Na emigracji doczekała się dalszych czterech co najmniej przedruków — ożyła i stała się dla okresu międzypowstaniowego wykładem wiary trzech pokoleń Polaków¹⁾.

Dawała ona pierwszą odpowiedź na pytania, jak wywalczyć niepodległość, gdy wojska już nie ma, skąd wziąć siły walczące, co przeciwstawić regularnym, dobrze uzbrojonym armiom najazdu, skąd wziąć oręż, jak prowadzić wojnę, jak zorganizować kierownictwo. Dawała koncepcje wojny bez gotowych sił zbrojnych, bez władania obszarem przewidzianej mobilizacji, bez podstawy operacyjnej na wolnym obszarze własnej ziemi. Rozwiązywała to zagadnienie przez powszechne poruszenie mas ludowych, przez apoteozę kosy racławickiej, przez wyniesienie sił moralnych jako rękojmi zwycięstwa.

¹⁾ Estreicher, j. w. Instrukcja, zob. „Kwart. Hist.” 1930, 495—503.

III.

Dogmat powstania o własnych siłach

„Polska nie może powrócić do swego życia, tylko przez powstanie silne, powszechne w całym kraju i w porę zrobione” — pisał książę Adam w r. 1834 w instrukcji dla Karola Marcinkowskiego¹). „Aby wejść w prawdziwe rachuby europejskie — mówił 29 listopada 1840 r. — trzeba koniecznie pewności powstania w porze stosownej i wybranej, powstania jednoczesnego i jednochcącego”. Ale chciał przez zespolenie sił przygotować „umysły do wewnętrznego porządku, a serca do śmiałego czynu” na chwilę, „kiedy pora pomyślna i pomocne od zewnątrz przymierza przygotowują ją” (1842). Myśl jego z wyteżeniem była skierowana ku możliwościom wojny europejskiej. „My Polacy jedni nie lękamy się wojny, — mówił w r. 1840, — dlatego naprzód, że wojna tylko ojczyznę wrócić nam może”²). Jednakże były chwile, gdy on sam zdawał się dopuszczać możliwość inicjatywy powstańczej, wyprzedzającej wojnę europejską. „Nie trzeba oczekiwać od rządów, aby wojnę wydali z przychylności dla nas. My tylko własnymi siłami i własną przecznością możemy stanąć na nogach; zaś stanąwszy, znajdziemy wszędzie pomoc” (1844)³). Tu jesteśmy bliscy wierzeniom Kościuszki. A generał Bem, zrazu bliski Czartoryskiemu, wybiegł dalej jeszcze, twierdząc w swej broszurze „o powstaniu narodowym w Polsce” (1846): „Wszyscy Polacy mają już dzisiaj to przekonanie, że Polska na żadną obcą pomoc nie licząc, swoimi własnymi siłami powstać może i powinna”⁴). Takim jest też dogmat wiary obozu demokratycznego. Gdy Czartoryski chciałby gotowości powstańczej na chwilę sposobną, oglądając się na położenie międzynarodowe i możliwości wojny zewnętrznej, nie odrzucając myśli o obcej pomocy, u pisarzy obozu demokratycznego przemaga, jak u Kościuszki, przekonanie, że nie należy się oglądać ani na pomoc rządów, ani na pomoc ludów, że nie należy uzależniać powstania od żadnych zewnętrznych okoliczności.

¹) Handelsman, „Francja—Polska”, 240.

²) Czartoryski, „Mowy”, 15, 41.

³) Handelsman, j. w.

⁴) Józef Bem, „O powstaniu narodowym w Polsce”, 1846, I, str. 1.

Henryk Kamieński (Filaret Prawdowski) w głośnej książce „O prawdach żywotnych narodu polskiego”, która miała niezmierny wpływ na wypadki, twierdził (za Kościuszką), że „mocni, będziemy mieli pomoc ludów, które się z nami przeciw powszechnemu uciemieniu połączą i ustalą nasze zwycięstwo, słabi — rachować nie możemy, jak na same elegie i czcze żale, które na nic nam się nie przydadzą . . . Polak na nikogo oglądać się nie powinien, bo na to jest stworzony, by się na niego wszyscy oglądali . . . Lud wielki do ludów silnie czynem przemawia, a wszelkiej innej mowy powinien się wyrzec . . .”¹⁾.

Od Kamieńskiego niby kompetentniejszy, bo żołnierz i artylerzysta, Karol Bogumił Stolzman w swym dziele o partyzantce (również r. 1844) za przypisaną Kniaziewiczowi kościuszkowską broszurą wzywa, by „nie oglądać się na Francuzów czy na Turków”, by powstać o własnych siłach. „Pierwszy lud, który sztandar wolności wzniesie, ludy i króle w szranki wojenne wywoła”²⁾. Z furją zaś atakuje „fakcję dyplomatyczną” (t. j. Czartoryskiego), Mierosławski w swym (rok później wydanym) „Rozbiorze krytycznym kampanii 1831 roku”, wykładzie teorii zwycięskiej wojny rewolucyjnej, toczonej niezwalczonymi siłami własnego narodu³⁾.

Ten pogląd bierze górę. Przenika świadomość polską. Głęboko zakorzenia się przekonanie, że powstanie ma wybuchnąć niezależnie od położenia Europy i od jakichkolwiek okoliczności sprzyjających. O ile zaś Czartoryski i jego obóz przewidują możliwość powstania w jednym zaborze, obóz demokratyczny skłania się ku objęciu powstaniem trzech zaborów. Dla Stolzmiana powstanie powszechne to „ruch, w którym każdy Polak, pod którymkolwiek z trzech obcych ujarzmięń jęczący i bronią władnąć mogący, udział wziąć powinien”; ruch, podjęty „na wszystkich narodowego obszaru punktach”.

1) Filaret Prawdowski (Henryk Kamieński), „O prawdach żywotnych narodu polskiego”, Bruksela 1844, 51—3.

2) Karol Bogumił Stolzman (b. w. p. kapitan artylerii pierwszej klasy), „Partyzantka, czyli wojna dla ludów powstających najwłaściwsza”, Paryż i Lipsk, Przedm., I—V.

3) Ludwik Mierosławski, „Rozbiór krytyczny kampanii 1831 roku i wyniosowane z niej prawidła dla wojny narodowej”, 2 tomy, Paryż 1845.

Jest w tym jakby świadome odcięcie się od wszelkich względów i rachub, mogących w jakiejbądź mierze skomplikować zagadnienie powstania, sprowadzane przez obóz demokratyczny — znowu w ślad za Kościuszką — do poruszenia najszerszych mas polskiego ludu w sposób rewolucyjny i wyzwolenia tą drogą tak niesłychanej ilości energii czynnej, by wszystkie siły zaborców mogła przemóc. Tryumfowała pośmiertnie myśl Kościuszki, a wspomnienie raclawickiej kosy powraca raz po raz w emigracyjnych traktatach i dziełach wojskowych i politycznych — błysk jej jest natchnieniem i wskazuje drogę¹).

IV.

Mobilizacja mas przez rewolucję społeczną

Od chwili swego wystąpienia w r. 1832 Towarzystwo Demokratyczne, głosząc oswobodzenie, uwłaszczenie, równoprawienie ludu jako pierwszy warunek wyzwolenia narodowego, przypisywało winę przegranej wojny 1831 r. głównie karygodnemu zaniedbaniu sprawy chłopskiej. Dobitnie wyraził też ów sąd przytoczony już manifest demokratyczny 1836 r.²). Spornym było jednakże już wtedy, o ile rozstrzygającym był wpływ tej sprawy na wojskowy przebieg minionej wojny. Nie da się stwierdzić, by uzasadnione aż nadto i stwierdzone historycznymi badaniami rozgoryczenie i zniechęcenie ludu, a w dużej mierze i żołnierza z ludu, odbiło się wtedy na losach operacji czy bitew; wojsko na ogół nie tylko nie zawodziło, ale, gdy dobrze prowadzone, do końca biło się śmiało³). Pozostanie kwestią otwartą, czy entuzjazm, wywołany wieścią o uwłaszczeniu, nie byłby spotęgował sił moralnych walczącej Polski, nie przysporzył sił walczących powstaniom litewsko-ruskim w tym stopniu, że byłoby to zaważyło na szali wydarzeń. Ale powszechnym dobrem

¹) Nawiązywanie do Kościuszki i Raclawic: Kamieński, 367—70; Stolzman, XXIII, 23—4, 226—9 itd.; Mierosławski, II 27, 37.

²) „Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego”, Paryż 1836; Wiktor Heltman, „Demokracja polska na emigracji”, Lipsk 1860.

³) Objawy zniechęcenia i rozgoryczenia, raczej sporadyczne, zebrał M. Meloch, „Sprawa włościańska za rewolucji listopadowej”, Warszawa 1939.

emigracji było już przekonanie, że nie ma na przyszłość powstania narodowego bez wyzwolenia i uwłaszczenia ludu, a instrukcje księcia Adama niewiele pod tym względem odbiegały od okólników demokratycznej centralizacji. Tylko u księcia Adama powołanie ludu pod broń, połączone z jego oswobodzeniem i uwłaszczeniem, miało się dokonać w duchu trzeciomajowym, w duchu porządku prawnego i społecznej solidarności, ze skupieniem całego narodu. „Zasadą jest przyszłego powstania, — pisał 1844 r., — żeby go tak urządzić, aby właściciele wystąpili w nim jako przywódcy ludowego ruchu”¹⁾. Pisarze obozu demokratycznego chcieli zaś nadać powstaniu formy rewolucyjne, utożsamiając powstanie z rewolucją społeczną. „Kto chce celów, chce środków, — pisze Kamiński (1844), — kto chce niepodległości Polski, musi chcieć wojny ludowej, a zatem rewolucji społecznej, która do niej jedna tylko doprowadzić może”. Chciałby, aby Polska odzyskała swą niepodległość przez rewolucję społeczną, „bez rozlewu krwi bratniej, a w powszechnej całego narodu jedności” ... Ale liczy się z możliwością oporu warstwy uprzywilejowanej i w tym wypadku z walką wewnętrzną, z rozlewem krwi, z koniecznością terroryzmu, jak we Francji 1793 r.²⁾. Liczy się też z możliwością, że poruszona masa ludowa nie przeciw najazdowi się zwróci, ale przeciw właścicielom ziemskim; sporadyczne reakcje ludu przeciw warstwie posiadaczy są dlań złem koniecznym. Przewiduje poniekąd niebezpieczeństwo tego, co się stało w dwa lata później w Galicji. Odwrócić to pragnąłby „apostolstwem” wśród ludu i ofiarną postawą właścicieli; nie dopuszcza zaś myśli o użyciu siły przeciw własnemu ludowi celem przywrócenia porządku³⁾. Niezmiernie doniosłe te wywody „Prawd żywotnych” wywołują, jak wiemy, groźną przestrogę poetycką Krasińskiego w „Trzech psalmach” („Hajdamackie rzućcie noże...”) i wulkaniczny wybuch Słowackiego w wierszu „Do autora trzech psalmów”, a później, po rzezi galicyjskiej, dalsze psalmy Krasińskiego — żalu i dobrej woli. Ale, co tu przede wszystkim trzeba zaznaczyć, „Prawdy żywotne” określają

1) Nota o powstaniu, 1844 (Rkpis Czartoryskich 5321, przytacza H a n d e l s m a n, „Francja—Polska”).

2) „O prawdach żywotnych”, 155, 61—6, 135—45.

3) J. w., 214, 322—3.

w sposób decydujący zachowanie się powstających elementów narodu wobec chłopów w latach 1846, 1848 i 1863.

Z punktu widzenia wojskowego traktuje rewolucję społeczną Mierosławski w swoim „Rozbiorze krytycznym kampanii 1831 r.” (1845). „Rewolucja nie czym innym jest, — pisze swym barokowym, myślą napęczniałym stylem, — jeno środkiem wydobywania warstw spodnich narodu na jego strategiczną powierzchnię. Jak tedy rewolucja marnieby się mozoliła na dnie państwa, gdyby strategia nie umiała użyć armii, wyrzucanych na wierzch, tak, odwrotnie, to tylko poruszać może, co jej rewolucja na powierzchnię kraju wyniesie. A zatem sztuka mobilizowania narodu i sztuka obracania masami zmobilizowanymi dopełniają się nawzajem¹⁾. Społeczny charakter rewolucji ma zatem zapewnić moralną mobilizację mas ludowych, a państwo całe ma się przemienić „w jeden ogromny warsztat i w jedną powszechną własność pod wolą i świadomością bezpośrednią dyktatury rewolucyjnej centralnej”. Jest to jak u Kamińskiego — koncepcja wojny narodowej totalnej, w duchu francuskiej Obrony Narodowej 1792-3. Gdy jednak Kamińskiemu roi się władza bezpośrednia samego ludu, przez wyłonione z gromad jego rady, gdy wyraźnie lęka się wszelkiej centralizacji władzy, a nawet wojskowego dowodzenia, Mierosławski widzi dyktaturę rewolucyjną, centralizującą całość wysiłku narodowego, opartą na „namiętym mas uznaniu”, na zaufaniu, które musi w nich wzbudzić²⁾.

Rewolucja społeczna ma poruszyć masy i oddać je do dyspozycji powstania. Tego pierwszego aktu mobilizacji powstańczej mieliby dokonać według Kamińskiego spiskowi „apostołowie”, działający niemal spontanicznie; według Mierosławskiego — organizatorzy powiatowi, czy wojewódzcy, działający, oczywiście, z ramienia władzy centralnej, w myśl jej instrukcji. Zachodzi pytanie, skąd ma się wyłonić ta spiskowa kadra organizacyjna, tak rozgałęziona i silna, by cały kraj mogła poruszyć i zmobilizować całą jego siłę żywą. Kamiński doszukuje jej się w ostatecznym wyniku po dworach, wśród najofiarniejszych właścicieli; tam gdzie właściciele nie są na wysokości zadania, liczy na księży, rządców, ewentualnie innych ludzi dworskich³⁾.

1) „Rozbiór krytyczny”, I 54.

2) J. w., I 8.

3) „O prawdach żywotnych”, 178—9.

„Rewolucję społeczną”, którą głosi, w praktyce chciałby robić rękami „klasy uprzywilejowanej”, a w każdym razie wykorzystując środowisko, stworzone przez organizację folwarczno-pańszczyźnianą. Mierosławski idzie dalej. Przyjmuje on udział kierowniczy szlachty jako coś naturalnego i koniecznego. Do niej skierowuje swe postulaty, apelując do jej narodowego sumienia; „przymus dworski” ma w chwili powstania być oddany na usługi mobilizacji rewolucyjnej¹⁾.

Jest w tym, oczywiście, głęboka sprzeczność wewnętrzna. T. zw. „rewolucja społeczna”, jeśli ma wprowadzić masy ludu do walki z najazdem, musi być istotnie dokonana przez samą warstwę uprzywilejowaną; wybuchająca spontanicznie od dołu, odwracałaby się od walki z najazdem i mściłaby krzywdy społeczne na jedynym elemencie narodowo świadomym i czynnym. Przewyciężenie tej sprzeczności wewnętrznej mogło się dokonać jedynie przez bezprzykładną ofiarę społecznego przywileju warstwy szlacheckiej na rzecz przyszłości narodu. W dużej mierze osiągnął to obóz demokratyczny w 1846 r. w Galicji i Wielkopolsce, 1848 r. w Wielkopolsce, 1863 r. w zaborze rosyjskim. Ale na to, by mobilizacja moralna mas stała się rzeczywistością, nie wystarczył akt ofiary ze strony klasy uprzywilejowanej. Trzeba było jeszcze, by chłop po wielu pokoleniach pańszczyźnianej niewoli naraz uwierzył i zaufał. „Niewolnik nie zna ojczyzny” — mówią „Prawdy żywotne”²⁾.

Była w tym tylko ironia losu, że w r. 1846 do powstania poszedł chętnie chłop krakowski, od poddaństwa i od pańszczyzny przeważnie już wolny; w r. 1848 masowy udział w ruchu wziął chłop wielkopolski od pokolenia już wolny i uwłaszczony. Słowem dopisał chłop tam, gdzie go nie trzeba już było oswobadzać. Okrutne natomiast rozczarowanie przynosi próba powstania ludowego w tarnowskim i rzeszowskim, gdzie chłop zaufał urzędnikom cesarskim, a mścił swą wielowiekową niewolę i poniżenie na tych, którzy go chcieli wyzwalać. Ciężkie zawody przyniósł rok 1863 w rosyjskim zaborze. Co do chłopu ruskiego, próba pociągnięcia go do powstania miała się kiedyś skończyć tragedią Sołowijówki.

Nie wydaje się oczywistym, by zaniedbania rewolucji listopadowej w sprawie chłopskiej miały wpływ decydujący

1) „Rozbiór krytyczny”, I 433—8, 449, 462—5, 469, II 21—2 itd.

2) „O prawdach żywotnych”, 56.

na przegraną wojnę 1831 r.; natomiast wątpliwości zda się nie ulegać, że miały one wpływ złowrogi na los późniejszych powstań polskich, pozbawiając je tego, w czym teoretycy rewolucji narodowej od Kościuszki do Kamińskiego i Mierosławskiego dopatrywali się rękoi mi zwycięstwa — „namiętnego mas uznania”, ich ufności.

V.

Zagadnienie uzbrojenia i legenda kosy

Przed myślą powstańczą, zamierzającą poruszyć do walki milionową masę ludu, stawało zagadnienie jej uzbrojenia. „Owe tysiąc trzysta dział, pod Borodinem grających, — pisze Stolzman, — odsłaniają tajemnicę potężnej i stanowczej, ale trudnej i kosztowniejszej od każdej innej metody. Wcale jej użyć nie możemy, bo nie posiadamy armii . . .” A wskazując na istniejące jej elementy: masę ludzką, dowódców zaprawionych do wojny, stawia pytanie: „A broń i działa? Te dotąd znajdują się w ręku nieprzyjaciół, oni je nam, gdy zechcemy, mimowolnie oddadzą”. Ale czym zdobyć broń na nieprzyjacielu? „Lada broń, lada ostre narzędzie, kłonica, kół z płota nawet posłużyć mogą do rozpoczęcia wojny powstańczej i wydarcia nieprzyjacielowi lepszej broni”. I wymienia „piki, widły, kosy, toporki, maczugi”, a sławi kosę, „tę broń straszliwą, która każdą chatę wieśniaka naszego zdobi”¹⁾. Co do jej roli i użycia taktycznego przytacza kościuszkowską broszurę i idzie za nią. Stolzman widzi oczywiście obok kosynierów oddziały strzeleckie, uzbrojone w broń myśliwską, a możliwie w karabiny z bagnetami, widzi oddziały jazdy, uzbrojone w lance, a możliwie w szable i pistolety, chciałby dorobić się w walce dział i należycie ich użyć. Kamińskiemu kosa raclawicka rozcięła węzeł gordyjski wojny bezbronnego narodu i przesłoniła wszystko inne. Dla niego wszelkie przygotowywanie broni jest „dodatkiem niepraktycznym”, obciążającym powstanie²⁾.

Mierosławski, od obu przenikliwszy i głębszy, nie wyszedł w sprawie uzbrojenia poza koncepcję kościuszkowską, kom-

1) Stolzman, przedm., VII, 23—4.

2) „O prawdach żywotnych”, 192—3.

binacji masy kosynierskiej z tyralierką strzelecką i jazdą. Ale Kościuszko w praktyce miał artylerię i umiał jej używać. Od czasu zaś insurekcji broń ta nie tylko wystąpiła w masach przed tym nieznanymi, ale użycie jej taktyczne poczyniło groźne postępy. „Owe tysiąc trzysta dział pod Borodino”, wspomniane przez Stolzmana, miało dużą wymowę; ich ogień skruszył tam przecież zdolność zaczepną obu stron walczących. Ulepszenia sprzętu, upowszechnienie użycia granatów i szrapneli spotęgowały odtąd jeszcze siłę działania tej broni.

Uzbrojenie piechoty od czasów kościuszkowskich nie doznało wprawdzie rewolucyjnych przemian; panował jeszcze karabin z przodu nabijany. Jednakże wprowadzono już stopniowo broń kabzlową, co zwiększało niepomrotnie szybkostrzelność, a taktyka ognia piechoty poczyniła ogromne postępy, podnosząc jeszcze jego skuteczność. W czasie, gdy u nas odżywała najbujniej legenda kosynierska, Prusacy już eksperymentowali z bronią odtylcową, która, choć jeszcze nie użyta w r. 1848 przeciw Polakom, tuż po ostatnim naszym powstaniu debiutuje w wojnie duńskiej, a w r. 1866 pod Sadową inauguruje krwawo nowy rozdział w dziejach sztuki wojennej.

Niegdyś, za insurekcji kościuszkowskiej, użycie kosynierów istotnie dało nie tylko sukcesy bojowe, ale wywołało duży wstrząs u przeciwnika; ton, w jakim o tym zjawisku mówi inspirowany historyk Suworowa, to nie literacka amplifikacja, zwłaszcza gdy z tym porównać raporty Tormasowa i Denisowa o Raclawicach, korespondencję Suworowa, szczególnie zaś jego październikowy list do Coburga, jak zmienia szyki i taktykę, by stawić czoło kosynierom Kościuszki. Wtedy, u schyłku XVIII w., było do pomyślenia użycie kosynierów na większą skalę, z większym jeszcze wynikiem. Natomiast w pięćdziesiąt lat potem wskrzeszenie Raclawic na skalę wielokrotnioną było złudzeniem, urągającym nowej rzeczywistości wojny. Ofiarny atak kosynierów pod Sokółowem (Września) 1848 r., czy też podobne epizody 1863 r., były tylko dowodem, że samo pojęcie możliwości jest względne, gdy w grę wejdą czynniki duchowe. „Niechaj kto dowiedzie po Raclawicach, Szczekocinach i Rakowicach, — pisze Mierosławski, — że użycie do boju ruchawki pieszej, samą tylko bronią sieczną opatrzonej, jest romanssem, a przez to samo, że liczba bijących się na powodzenie wojny wcale

nie wpływa . . ." I przypisuje tylko złemu prowadzeniu kosynierów i brakowi zaufania do kosy fakt, że „rozsyпка po lada wychłostaniu tych biedaków kulami i kartaczami przeszła w obyczaj, w systema, które już nikogo nie gorszyło”¹⁾. Przyczyny były głębsze; były już w naturze rzeczy.

Na tych dwóch filarach: wierze w poruszenie wielkich mas ludu i w kosę, jako broń rewolucji ludowej, opierały się koncepcje powstania o własnych siłach, pojętego jako walka masowa — koncepcje Kamińskiego, Stolzmana, Mierosławskiego. Z usunięciem tych filarów upadły.

Pisarze wojskowi emigracji — Chrzanowski, Bystrzonowski, Bem — nie poddający się hypnozie racławickiej legendy, szukają innego oręża dla powstania, sprowadzonego z zewnątrz czy zdobytego na wrogu; woleliby — jak Bem — zamiast masy ludzi źle uzbrojonych i nie wyćwiczonych raczej mieć wojsko małe a bitne. Jednakże z przyjęciem tej koncepcji siły zbrojnej powstańczej również i koncepcja wojny musiałyby ulec redukcji.

Jeśli o własnych siłach prowadzona, mogłaby być ona jedynie już to demonstracją zbrojną, już to walką na zużycie i przetrwanie, w oczekiwaniu — wbrew dogmatowi powstania o własnych siłach — na jakoweś *deus ex machina*, na pośrednią czy bezpośrednią zewnętrzną pomoc. Przeto i generał Bem każe „pobić nieprzyjaciela tym, co się ma w rękę”, bo „dla człowieka walecznego kamień, kij i nóż, a tym bardziej siekiera lub kosa, wystarczyć może do pokonania przeciwnika” . . . Ale nie ukrywa, że wolałby broń palną i dobrą.

VI.

Koncepcje wojny powstańczej: wojna ludowa

We wszystkich koncepcjach wojny powstańczej, czy wychodzących od demokracji, czy od księcia Adama, rozwijanych w pismach Kamińskiego, Stolzmana, Mierosławskiego, Jełowickiego²⁾, Bystrzonowskiego³⁾, Bema, wspólna jest

1) „Rozbiór krytyczny”, II 27, 37.

2) „O powstaniu i wojnie partyzanckiej”, Paryż 1835.

3) Prace rkpis w Muz. Czartoryskich.

„zasada jednoczesności powstania” w całym kraju, zaatakowania sił zaborców w jak największej ilości punktów, wyzyskania momentu zaskoczenia, śmiała powszechna inicjatywa zaczepna. Ale koncepcje zarówno wstępnych operacji, jak dalszego prowadzenia wojny, jej wizje, były różne. Różnica nie sprowadzała się jedynie do przeciwieństwa idei walki masowej całą żywą siłą narodu, oraz idei działania tą ograniczoną siłą, którą da się wojskowo zorganizować i uzbroić, ku czemu skłaniali się Chrzanowski, Bystrzonowski, Bem. W samych koncepcjach walki masowej, ludu pod bronią, są głębokie przeciwieństwa: możemy mówić o trzech różnych wizjach masowej wojny powstańczej. Twórcami ich byli Kamieński, Stolzman, Mierosławski.

Koncepcja Kamieńskiego, rozwinięta w jego traktacie „Wojna ludowa”, wypełniającym przeważną część książki „O prawdach żywotnych”, jest to rozpętanie żywiołu ludowego, który działać ma niemal bez organizacji i bez kierownictwa centralnego, spontanicznie. Choć w dalszych fazach wyłonić ma on doborowe lotne oddziały, a te z czasem mogą ze sobą współdziałać, łączyć się i wytworzyć korpusy ludowe, a wreszcie i jednolitą armię, wszystko to jednak ma być zasadniczo różne od jakiegokolwiek regularnej organizacji wojskowej, niezależne od zasad i wskazań strategii i taktyki, jest czymś leżącym poza zwyczajną sztuką wojenną i zwyczajnymi zjawiskami wojny. W koncepcji tej kierownictwo i dowodzenie ma wyłonić się z pierwotnego chaosu przez rodzaj naturalnego doboru i gromadzką wolę wszechmocnego a nieomylnego ludu. Ta anarchiczna koncepcja wojny oddziała na umysły silnie a zgubnie. Przewyciężenie jej w samym obozie demokratycznym — niezupełnie — było wynikiem wieloletnich wysiłków Mierosławskiego. Uderzał on w teorię Kamieńskiego w „Demokracie Polskim”, przeprowadził potępienie jej przez Centralizację Towarzystwa Demokratycznego, a w pamiętnej mowie 29 listopada 1845 r. ostro wystąpił przeciw „pismom młodzi”, które „jak pod firmą wszechwładztwa ludowego zarażały politykę i ekonomię rewolucyjną nieładem i bezsilnością, tak pod firmą wojny ludowej wprowadzały do teorii wojennej zaprzeczenie wszelkiej teorii i uniepodobnienie wszelkiej wojny”.

VII.

Wojna partyzancka

W wydanej jednocześnie z dziełem Kamińskiego książce kapitan artylerii Karol Bogumił Stolzman, autor fachowego podręcznika dla tej broni w dobie kongresowej, wybitny działacz Węglarstwa i „Młodej Polski”, rozwinął w systematycznym wykładzie doktrynę i wyłożył metody „partyzantki, czyli wojny dla ludów powstających najwłaściwszej”. Partyzantka, czyli mała wojna, występuje tu jako panaceum, kamień filozoficzny, mający — łącznie z masowym poruszeniem ludu — zamienić niemoc wojskową narodu w niezwalczoną siłę.

Działania partyzanckie, jak widzieliśmy, zalecał w powstaniu Kościuszko w broszurze, którą Stolzman, przypisując ją Kniaziwiczowi, pilnie cytuje. Ale dla Kościuszki nie stanowiły one metody operacyjnej wyłącznej, ani nawet głównej; choć stosunku ich do głównych działań wyraźnie nie sprecyzował. Co do skuteczności tego środka walki, miał w pamięci doświadczenia amerykańskie i był pod silnym wrażeniem wojny wandejskiej. Z doświadczeń polskich podnosił rolę powstania wielkopolskiego i wyprawy Dąbrowskiego, co może być wskazówką, jaką była myśl przewodnia: rola „małej wojny” wiążąca, pomocnicza w stosunku do wielkich operacji.

Od czasu Kościuszki wydarzenia, związane z wojną hiszpańską Napoleona, ugruntowały przekonanie o groźnych możliwościach partyzantki, prowadzonej przez powstanie ludowe. Była nawet skłonność przeceniania wpływu „guerillas” hiszpańskich czy portugalskich na losy tej wojny, rozstrzygnięte ostatecznie orężem brytyjskim, i to dopiero wtedy, gdy główne operacje na rozstrzygającym, środkowo-europejskim teatrze wojennym lwią część sił francuskich odciągnęły z półwyspu. Z legendą „gerylasów” łączyła się tradycja walk Tyrolczyków (1797 i 1809), partyzantów rosyjskich (1812), zagonów kawalerii rosyjskiej i pruskiej (1813). Wytworzyła się mistyczna wiara w skuteczność tej metody działania; a gdy w r. 1831 przegraliśmy wielką wojnę, już w roku następnym, 1832, partyzantka Zaliwskiego podejmowała się zwalczyć zwycięską potęgę najazdu, naśladując Hiszpanów.

W swej broszurze „O wojnie partyzanckiej”, pierwszej, jaka się o tym przedmiocie ukazała na emigracji, generał Wojciech Chrzanowski dokonał zwięzłego przeglądu wszelkich doświadczeń w tej dziedzinie; zalecał ten sposób walki, ale tylko „w połączeniu z wojną przez regularne wojsko prowadzoną”. Wróżył mu wynik zwycięski¹⁾. Aleksander Jełowicki, rozważając zagadnienie partyzantki w związku z doświadczeniami powstania na Podolu i Ukrainie, zalecał partyzantkę jako zasadniczą formę działań powstańczych, ostrzegał przed przechodzeniem od takich działań do regularnej wojny i „zamienianiem powstańca w żołnierza”. Łączenie się oddziałów partyzanckich w większe związki widział dopiero na ostatnim planie²⁾. W tymże duchu, wybiegając daleko poza tezy Chrzanowskiego, wypowiadała się publicystyka emigracyjna obu obozów, apoteozując partyzantkę jako jedyną właściwą formę wojny powstańczej i krytykując powstanie listopadowe, że prowadzić jej nie chciało czy nie umiało. Poglądom tym przeciwstawił się natychmiast po ukazaniu się broszur Chrzanowskiego i Jełowickiego jeden z najwybitniejszych oficerów rewolucji listopadowej, pułkownik Wincenty Nieszokoć, w dobrze przemyślanej, poważnej rozprawie³⁾. Była to obrona klasycznej strategii i wzorów wielkich wodzów, z powołaniem się na zdanie Napoleona: „*La guerre est toujours la meme*”. Nie widzi on możliwości zwycięskiego rozstrzygnięcia wojny inaczej, jak wygranymi bitwami — Fryderyk powiedział słusznie: „*Il faut en venir la, pour finir les guerres*”. Co więcej, kwestionuje nawet tezę Chrzanowskiego o skuteczności partyzantki w połączeniu z wojną, przez regularne wojsko prowadzoną; nie przypisuje partyzantce większego znaczenia. Wskazuje natomiast niezwykle zdolności naszego narodu do improwizowania wojska, dowiedzione także w wojnie listopadowej.

Wojnę tę poddaje Nieszokoć rozbiorowi krytycznemu, wyprzedzającemu prace Prądzyńskiego i Mierosławskiego i ich idee, górującemu może trzeźwością i realizmem nad

1) Wojciech Chrzanowski, „O wojnie partyzanckiej”, Paryż 1835, i u Jełowickiego, „O powstaniu”, Paryż 1835. Przedrukowane z rozkazu dyktatora Tyssowskiego (Kraków 1846).

2) Jełowicki, j. w.

3) W. Nieszokoć, „O systemie wojny partyzanckiej, wzniesionym wśród emigracji”, Paryż 1835.

oboma. Odpiera zarzuty, by powstanie nie umiało prowadzić wojny partyzanckiej. Przytacza liczne przykłady partyzantki, prowadzonej lepiej, niż przypisuje Chrzanowski. Wręcz przeciwnie, grzeszyło powstanie „manią dywersji i działań odrębnych, cząstkowych i odśrodkowych”. Konkludował: „Powieśmy zwolennikom systemu partyzanckiego, że nic nam nowego nie przynoszą, że ten rodzaj wojny znany był od niepamiętnych czasów . . . , że jako działanie posiłkowe w wielkiej wojnie może niejako przynieść korzyści, które ograniczą się na niepokojeniu nieprzyjaciela, na szarpaniu go z boków i z tyłu, ale nie potrafią wypędzić go z kraju bez pomocy wojsk regularnych, które same tylko są zdolne, manewrując podług prawideł sztuki wojskowej i staczając boje w punktach przez nią wskazanych, oswobodzić kraj od napaści wrogów. Powieśmy, że tym wojskiem regularnym może się stać cały naród polski . . .”

Wywód ten Nieszokocia zapłodnił niewątpliwie myśl młodego Mierosławskiego; legendy partyzanckiej, szerzonej przez Węglarstwo i pochodne organizacje, nie rozwiązał; w dziele swym Stolzman nie liczy się wcale z jego argumentami i posuwa się w uznaniu partyzantki za jedyną formę wojny powstańczej dalej od poprzedników. Odrzuca sposób wojny „regularny”. Chce wojny totalnej, eksterminacyjnej, ale prowadzonej tak, by niszczyć przeciwnika, gdzie słaby, nie staczać bitew z większymi, a nawet równymi siłami najeźdźcy i „nie powierzać jednej walnej bitwie losu rewolucji”. Chce zaczynać od atakowania wroga małymi oddziałami, ale wszędzie, „aby nieprzyjaciel na każdym prawie kawałku ziemi polskiej był niepokojony i szarpany”, a przechodzić stopniowo do działań silniejszymi „lotnymi hufcami powstania”, z dążeniem do wyniszczenia, znękania, ogłodzenia wojsk najeźdźczych, utrzymując stale inicjatywę zaczepną, a unikając walki z przemagającą siłą.

Zgodnie z Kościuszką głosi Stolzman wykorzystywanie lasów i bagien i przedłużanie wojny.

Doktryna taka wojny partyzanckiej, pojętej jako wojna totalna i mającej doprowadzić do wyniszczenia wszystkich sił najeźdźczych, była oczywiście błędna, bo zużyciu ulegałyby przecież nie tylko siły najazdu, wciąż odnawiane przez zaborców, lecz także walcząca elita narodu; terroryzm powstańczy wywołałby eksterminację własnej ludności przez wroga na coraz większą skalę, a zniszczenie kraju prowadziło-

by do wyczerpania się sił i zasobów i załamania się woli zbiorowej. Duża jednak siła sugestywna była w tezie, że partyzantka jest najodpowiedniejszą formą powstania. Przy dysproporcji sił i uzbrojenia, w warunkach, w których by niepodobieństwem zdało się szukać regularnej bitwy, czy stawiać nieprzyjacielskiemu natarciu regularny opór, partyzantka zdała się jedynym sposobem, by walcząc i zadając ciosy przeciwnikowi — przeciagać wojnę — i trwać. To też książka Stolzmana miała powodzenie ogromne i na całe pokolenie ona właśnie kształtowała poglądy taktyczne i operacyjne w kołach konspiracyjnych, zwłaszcza w kraju.

Uderzył w nią od razu Mierosławski ostrą krytyką w „Demokracie Polskiej”: „Jest to po prostu — pisał — regulamin Młodej Europy, konspiratomania włoska, szczepiona na swawoli szlacheckiej polskiej, bezsilna reakcja przeciw rządnej i centralizującej demokracji, która po tylu mozołach stała się nareszcie ideą żywotną obecnego pokolenia w całej Polsce myślącej”. Partyzantkę nazywał na innym miejscu strategią neo-herostratyczną”. W mowie listopadowej 1845 roku uderzał naraz w doktryny wojny ludowej i partyzantki¹⁾.

VIII.

Doktryna wielkiej wojny

W roku 1845 obóz demokratyczny, przygotowujący powstanie, przyjął oficjalnie doktrynę wojny rewolucyjnej, rozwinętą i głoszoną przez Mierosławskiego, desygnowanego wodza powstania. Właśnie pojawił się jej systematyczny wykład.

W dziele p. t. „Rozbiór krytyczny kampanii 1831 roku i wynioskowane z niej prawidła dla wojny narodowej”, dwutomowym, stanowiącym oddział drugi wykładanego w ostatnich latach wspólnie z Józefem Wysockim „Kursu sztuki wojskowej”, zawarł Mierosławski swoją teorię wielkiej wojny, prowadzonej siłami improwizowanymi w warunkach re-

¹⁾ Spór o doktrynę wojny rewolucyjnej i odrzucenie teorii Kamieńskiego i Stolzmana przedstawił L i m a n o w s k i, „Historia demokracji w Polsce”, 1901, 321—4, 333—4; por. tegoż „Historia ruchu rewolucyjnego 1846 r.” (1913), 92—4 i „Szermierze wolności” (1911), gdzie szkic o Mierosławskim, szczególnie str. 214—27; tamże o Stolzmanie, str. 88—110.

wolucyjnych. Dziedzictwu węglarskiego romantyzmu, tendencjom anarchistycznym, decentralistycznym, zniechęconemu „federalizmowi”, który tępił z jakobińską pasją, przeciwstawiał ducha dyktatury wojskowo-rewolucyjnej, centralizacji, „gromadności regulaminowej i nieustannej dosiebności”, to jest jedności działania i koncentracji wysiłków. Operację wstępną rewolucji, wyłożoną później w lapidarnej „Instrukcji powstańczej”, pojmował jako zamach jednoczesny na ośrodki władzy administracyjnej, miasta i miasteczka, po których owładnięciu zaczyna się akt „czarnoksięskiego kunsztu przemienienia martwych prowincji w żywe bataliony i najeżenie całego kraju żelazem”, „ta chiromancja rewolucyjna, co w roku 1793 odstraszyła całą monarchiczną Europę od granic Francji”. Mobilizacja mas dokonuje się w śpiesznie umocnionych obozach, w miejscowościach zdobytych, a siły zmobilizowane ruszają niezwłocznie na połączenie z oddziałami najbliższymi stolicy kraju, względnie najbliższymi nieprzyjaciela. Mierosławski żąda automatycznego łączenia sił, koncentrowania ich do boju, garnięcia się wszystkich mniejszych sił do większych skupień, działania jednolitego masą.

Z pasją, ale i z realizmem nie byle jakim pastwi się Mierosławski nad powstaniami litewskimi i ruskimi 1831 r., nad „tulaniami się z dworszczyzną po lasach i bagnach”, rozłazaniem się kupkami, rozpuszczaniem włościów kosynierów, a przez to „redukowaniem wojny do rozmiarów szlacheckiej konfederacji”. „Naród czujący w sobie miarę i materiał do państwa nie może się zrezygnować na taką cygańską strategię, bo w niej starga tyle siły i ducha, co w porządnej kampanii, żadnym zaręczeniem powodzenia nie nagradzając ich ubytku”. Wojnę podjazdową dopuszcza „jako jedną z najcelniejszych broni w ręku mądrego rządu i zdolnego wodza”, ale tylko na usługach wojny regularnej¹⁾.

W przeciwieństwie do Kamieńskiego, upraszczającego zagadnienie powstania przez eliminację elementów takich, jak kierownictwo centralne, przygotowanie, organizacja, uzbrojenie, dowództwo operacyjne w fazie wstępnej, Mierosławski w tym wszystkim widzi niezbędne współczynniki owej „chiromancji rewolucyjnej”, przez którą kraj ujarzmiony, w ręku wroga, przeobrazić się miał w potęgę, walczącą jak

¹⁾ „Rozbiór krytyczny”, II, 22, 35, 48—57, 54—5.

Francja za Konwencji Narodowej. W przeciwieństwie do Stolzmana, rezygnującego z tworzenia większych zgrupowań wojsk powstańczych, Mierosławski zmierzał do natychmiastowego, w ciągu kilku dni, stworzenia armii; w przeciwieństwie do doktryny unikania bitew, jego doktryna przeniknięta była dążeniem do koncentracji do bitwy. We wszystkim szedł po linii największego oporu, stawiał powstaniu zadania najtrudniejsze, bez ich spełnienia nie widział zwycięstwa.

Wbrew zarzekaniu się przeciw romantyzmowi był on w tym mierzeniu sił na zamiary największym z romantyków w wojskowym piśmiennictwie i wojskowym działaniu.

Jego fascynująca krytyka wojskowych koncepcji Węglarstwa i „Młodej Europy” i porywająca siła jego wywodów wysunęły go na czoło teoretyków powstania narodowego i, więcej jeszcze, wysunęły trzydziestoletniego byłego podporucznika rewolucji listopadowej na czoło przygotowywanego powstania.

IX.

Koncepcja powstania 1846 roku

Koncepcja powstania 1846 r. jest koncepcją Mierosławskiego. Plan wojny — jego planem¹⁾. Koncepcja polegała na jednoczesnym wybuchu w Poznańskim, Galicji i Królestwie. Rozważał, czy dla „wykpienia się od jednoczesnej wojny z Prusami, Austrią i Moskwą warto jest rozmyślnie unie władnić połowę lub dwie trzecie potęgi rewolucyjnej Polski” i zdecydował, że przeważa wzgląd na powiększenie sił rewolucji „całymi milionami ludności i całymi tysiącami mil kwadratowych”. Lekceważył przy tym przyrost sił zaborców; ich „różnostronność” redukowała w jego oczach ich dyspozycyjność i wartość. Teatrem wojennym roz-

¹⁾ Plan ten przedstawił i zanalizował L i m a n o w s k i, „Historia ruchu rewolucyjnego”, 94, 104—7, 119—135. Instrukcję tajną Mierosławskiego podał w przekładzie Moritz v. Sala. „Geschichte des polnischen Aufstandes”, Wien 1867, w załącznikach. Niepowetowaną stratą jest zniszczenie spuścizny rękopiśmiennej Towarzystwa Demokratycznego i samego Mierosławskiego w zbiorach rapperswilskich, naukowo dotąd niewyżytkanej.

strzygającym miał być zabór rosyjski; opanowanie Poznańskiego i Galicji miało stworzyć dla powstania podstawy operacyjne, przy czym Poznańskie wysuwało się pod względem znaczenia na plan pierwszy, z pomocniczą rolą Prus Zachodnich.

Pierwsze zaciągi z wschodniej i południowej połaci Poznańskiego, skoncentrowane u ujścia Prozny, wkroczyć miały w Kaliskie na Koło; zaciągi z części zachodniej uderzyć miały na Poznań i przy pomocy powstania w mieście ować cyta delę i osłonić za pomocą minimum sił powstanie od zachodu, gros ich kierując do Królestwa za siłą główną. Oddziały ze Śląska miały być użyte w kierunku na Częstochowę; z Prus Zachodnich, po owaćdnięciu Chełmnem i Toruniem, wkroczyć miały w Płockie. Przewidywano nawet zamach na Gąbin w Prusach Wschodnich i stąd ruch na Kowno; z Krakowskiego i Galicji skoncentrowane siły wkroczyć miały w Kieleckie. Powstanie ruskie miało służyć jako dywersja, z Kowlem jako przedmiotem działań.

W ten sposób zamierzał Mierosławski wtargnąć do Królestwa od zachodu na Koło z dalszym kierunkiem zapewne na Piotrków, a drugim korpusem z krakowskiego na Małogoszcz z dalszym kierunkiem na Dęblin czy Radom, przy współdziałaniu drugorzędnych zgrupowań na Częstochowę, na Płock i odleglejszych dywersji na obu skrzydłach.

Ale na to, by ten plan operacyjny stał się realnym, koniecznym było spełnienie nie byle jakiego warunku wstępnego: owaćdnięcia zaborów pruskiego i austriackiego w tym stopniu, by mogły stać się podstawami operacyjnymi wojny powstańczej. Nie ze wszystkim wydaje się jasne, w jakim stopniu liczył Mierosławski na pomoc niemieckiego ruchu rewolucyjnego, na chwiejność rządu berlińskiego, na powstania przeciw Austrii Czechów, Słowaków, a zwłaszcza Węgrów; wiemy, że Kossuth dał odpowiedź w tonie przyjazną, w treści wymijającą. Liczono na opanowanie niektórych pułków austriackich o dużym odsetku Polaków, na przyjazną postawę pułków węgierskich. Słowem, wbrew zasadniczej decyzji powstania o własnych siłach, szukano, jak rozsądek nakazywał, zewnętrznej pomocy. Nie od niej uzależniano jednak wystąpienie, gdy raz Mierosławski pod naporem „młodego natchnienia” skrajnego skrzydła spisku, t. zw. „kamieńszczyków”, uznał konieczność „jakiegobądź powstania”.

Licząc przede wszystkim na siły własne, zmierzano do totalnej mobilizacji całej żywej siły kraju przez rewolucyjny akt wyzwolenia, uwłaszczenia, obywatelskiego równouprawnienia ludu, a do mobilizacji zasobów kraju przez „niepodzielne” oddanie ich w rozporządzenie rządu rewolucyjnego. Co do broni, liczono na 45.000 strzelb w rozporządzeniu spisku, czyniono zakupy broni i amunicji; kosy i lance miały uzbroić masy.

Wstępna operacja polegać miała na uderzeniu oddziałów, zebranych w gminach przez sprzysiężenie, na miasta powiatowe, które stają się umocnionymi obozami; z zebranej w nich masy najzdolniejsi do broni i najlepiej uzbrojeni stanowią pierwszy zaciąg i oddziałami idą w miarę formowania na punkt koncentracji; pozostali stanowią drugi zaciąg, ćwiczo-ny i uzbrojony na miejscu. Reszta ludu stanowi trzeci zaciąg, na razie używany do służby pomocniczej.

Tą improwizowaną siłą zbrojną spodziewano się zgnieść dość szczupłe liczebnie i bardzo rozrzucone siły pruskie i austriackie. Większe miasta: Poznań, Kraków, Lwów, miały być owdądnięte przy decydującej roli miejskiego sprzysiężenia.

Jak wiemy, plan Mierosławskiego nie zdołał wejść nawet we wstępną fazę realizacji. Aresztowanie na dziesięć dni przed zamierzonym wybuchem samego wodza i całego kierownictwa spiskowego w Poznańskim zupełnie ubezwładniło tam sprzysiężenie. Z chwilą zaś, gdy lud w Galicji zwrócił się przeciw powstaniu, walił się w gruzy plan Mierosławskiego, pod znakiem zapytania znalazła się jego koncepcja wojny narodowej.

X.

Po katastrofie — przed burzą

Wątpić należy, czy w ciągu paru lat następnych ktokolwiek w Polsce wierzył nadal w „powstanie o własnych siłach” i dążył do „jakiegobądź” powstania.

Ci, co nie wyrzekli się myśli o nowej walce o niepodległość, czerpiąc otuchę z okazanego patriotyzmu i gotowości bojowej ludu miejskiego Poznania i Krakowa, chłopów wielkopolskich i krakowskich, górników wielickich, górali cho-

chołowskich, już widzieli przecież konieczność uzależnienia własnych działań od sytuacji europejskiej, od rewolucji innych narodów, od wojny o wolność ludów, o którą modlili się Polacy, a która z marzeń przechodziła w sferę możliwości.

Sam Mierosławski, po tyłu gromach na dyplomację miotanych, uprawiać zaczął szczególną dyplomację — więzień, podsądny w procesie o zbrodnię stanu — oferując Prusom przymierze i obiecując im za to dalsze panowanie nad polskimi prowincjami. A gdy wyjdzie z Moabitu w tryumfie, wyzwolony przez rewolucję berlińską, nie rychło dostrzeże rozejście się dróg rewolucji niemieckiej i sprawy polskiej.

W przedzie dniu wypadków 1848 roku ze wszystkich koncepcyj powstańczych jedna utrzymała się niezachwiana: wskazanie Czartoryskiego, by „utworzyć ile możliwości się dla Polski”, „usposabiać umysły do wewnętrznego porządku, a serca do śmiałego czynu” na czas, „kiedy pora pomyslna i pomocne od zewnątrz przymierza przygotowują się i nadejdą”.

Oskar Halecki

GENEZA CZERWONEGO CARATU.

(Z powodu wydania angielskiego skrótu dzieła Jana Kucharszewskiego „Od białego caratu do czerwonego”).

Na łamach „Tek Historycznych” toczyła się niedawno ciekawa polemika na temat tak aktualnego zawsze pytania, czy historiografia polska, skądinąd tak pięknie się rozwijająca od czasu Lelewela, nie zaniedbała jednak zanadto dziejów powszechnych. Bardzo słusznie gen. Kukiel zwrócił na to uwagę, że także prace, dotyczące przeszłości własnego narodu, a zwłaszcza jego stosunków z innymi narodami, mogą stanowić cenne przyczynki do historii całego świata. Nie trudno też wytłumaczyć, że historycy nasi, pracując w tak niezwykłych warunkach, mało się zajmowali dziejami krajów bardzo odległych od Polski, aczkolwiek już Lelewel wykrył ciekawe analogie między historią polską i hiszpańską, a lepsza znajomość angielskiej byłaby nam oszczędziła wielu złudzeń i nieporozumień. W każdym zaś razie wielkim to było błędem, że nie pokusiliśmy się nawet o samodzielne zbadanie rozwoju dziejowego naszych dwóch bezpośrednich, przemożnych sąsiadów: Niemiec i Rosji.

Co do Niemiec, w dziedzinie, gdzie teraz dopiero, pod wrażeniem całkiem świeżych, bolesnych doświadczeń, historycy polscy starają się odrobić jak najspieszniej dawne braki, mogło ich wyręczyć do pewnego stopnia świetne dziejopisarstwo innego sąsiada Niemiec, mianowicie Francji, niemniej od Polski powołanej do interpretacji Niemiec na podstawie własnej obserwacji i doświadczenia. Jeżeli jednak chodzi o Rosję, to żadna z wielkich, w pełni rozwiniętych historiografii nie mogła tak jak polska spojrzeć na ten kraj z zewnątrz, a przecież z bliska, na podstawie przeszło pół tysiąca lat nieprzerwanych stosunków.

Nie można powiedzieć, aby uczynił to historyk polskiego pochodzenia, który przez biografie wszystkich niemal wybitniejszych władców Rosji — nie wyłączając kobiet — od

Iwana Groźnego do Aleksandra I, przyczynił się niewątpliwie w dużym stopniu do uprzystępnienia jej dziejów czytelnikom zachodnim. Wszak Kazimierz Waliszewski nie tylko pisał w obcym, francuskim języku, ale też jak gdyby w oderwaniu od tego wszystkiego, co w dziejach Rosji tak szczególnie porusza Polaka. Mogła na tym zyskać zimna obiektywność badacza, aż zbyt rozmiłowanego w anegdotycznych szczegółach, ale o specyficznym polskiej interpretacji tak żywotnych dla nas zagadnień nie ma tu mowy. Pragnął ją dać historyk nawskrós przejęty tradycją narodową, jakim jest Feliks Koneczny, i pokusił się o napisanie pierwszej w języku polskim historii Rosji. Ale pomijając nawet wszelkie inne niedociągnięcia, jakie mu wytknęła krytyka, nie rozróżnił należycie — rzecz dziwna u Polaka — dziejów Rosji od dziejów Rusi, które za wzorem historiografii rosyjskiej włączył do tamtych, zaczynając od Ruryka. Przede wszystkim zaś doszedł tylko do końca wieków średnich, a ledwo wszedł w okres ożywionych stosunków między Moskwą a zjednoczonym z Polską Wielkim Księstwem Litewskim, pisał właściwie raczej monografię tych właśnie stosunków, jak to zaznaczył zresztą w samym tytule drugiego tomu.

Na tym tle praca Jana Kucharzewskiego nabiera szczególnego znaczenia. Dobrze go przygotowały do studiów nad Rosją pierwsze jego książki, w których i on zajmował się historią ojczystą, ale takimi właśnie zagadnieniami, jak rola Maurycego Mochnackiego, rozwój czasopiśmiennictwa w zaborze rosyjskim, losy oświaty w Królestwie pod rządami Paskiewicza — zagadnieniami, które wprowadzały go zarazem w przygniatający wówczas Polskę świat białego caratu. Książki te, wydane jeszcze przed pierwszą wojną światową, należało przypomnieć, bo nieraz zapomina się o nich pod wrażeniem tych grubych tomów, które, zaczynając od r. 1926, wychodziły w zadziwiająco krótkich odstępach czasu, a dotyczyły już bezpośrednio dziejów Rosji.

Chociaż ukazało się ich siedem, nie była to jeszcze zamknięta całość dzieła, do którego opracowania Kucharzewski przystąpił pod wrażeniem rewolucji rosyjskiej z 1917 r., uświadomiwszy sobie natychmiast ważność, a zarazem trudność naukowego wyjaśnienia genezy tego przewrotu o powszechno-dziejowym znaczeniu. Ciągłość rozwojowa, która łączy biały carat z czerwonym, niewątpliwym również caratem, ciągłość tak lapidarnie uwydatniona w tytule dzieła, a syste-

matycznie wykazywana na każdej jego stronie, to istotnie problem, który dziś obchodzi już nie tylko Rosję i jej sąsiadów, ale cały świat, a w szczególności świat anglosaski. I dlatego właśnie angielskie wydanie tego polskiego o Rosji dzieła było tak bardzo potrzebne ¹⁾).

Potrzebne nie dlatego, aby Anglikom, a zwłaszcza Amerykanom, wykazać całą wagę zagadnienia. To już uczyniły wypadki ostatnich lat. Ale było ono niezbędną dlatego, ponieważ wybrali oni błędną metodę zbadania problemu, a właściwie dwie metody, diametralnie różne, a jednakowo niebezpieczne. Jedna z nich sprowadza się do powtarzania wygodnej formułki, po raz pierwszy użytej w r. 1939 przez Winstona Churchilla, według której Rosja jest po prostu „a riddle wrapped in mystery inside an enigma” — potrójną zagadką, tak zawiłą, że wszelkie próby jej wytłumaczenia są beznadziejne. Jeszcze częściej wpada się w przeciwną ostateczność. Znany publicysta amerykański Walter Lippman nie wahał się przyznać w przypisku do swej poczytnej książki o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, że cały rozdział o stosunkach z Rosją oparł, jeżeli chodzi o materiał faktyczny, na jednym artykule, jaki przeczytał w miesięczniku „New Europe”. Co więcej, historyk tej miary co Arnold J. Toynbee, rozważając w swym słynnym dziele „A Study of History” rolę Piotra Wielkiego i wyprowadzając stąd daleko idące wnioski, również zaczerpnął materiału dowodowego w sprawie tak spornej, jak europeizacja Rosji, z jednej książki, wydanej na ten temat przeszło 60 lat temu przez Aleksandra Bruecknera (nie naszego słynnego slawistę, lecz mniej znakomitego imiennika).

Pod wrażeniem, że powierzchowny nawet zarys może rozwiązać zagadkę rosyjską, mnożą się też w Ameryce i w Anglii jednotomowe syntezy wszelkiej wiedzy o Rosji i jej dziejach. Powtarzają się w nich do znudzenia pewne elementarne dane, rozmaicie co prawda interpretowane, a czasem, jak w książce B. H. Sumnera, przedstawione dla odmiany w odwrotnym porządku: od najnowszych do najdawniejszych czasów. Inną zupełnie drogą poszedł Kucharzewski, streszczając obecnie swoje badania nad Rosją w jednym tomie.

¹⁾ Jan Kucharzewski, „The Origins of Modern Russia”. New York, The Polish Institute of Arts and Sciences in America, 1948. Str. XXI i 3 nl. i 503 i 1 nl.

Nie pokusił się o żadne uproszczenia, łudzące tylko czytelnika, że tanim wysiłkiem można opanować całość przedmiotu. Pozostał wierny swej metodzie gruntownej analizy i wyboru zagadnień najistotniejszych, ale też najtrudniejszych. Nie poszedł ani za tymi, którzy tradycyjnym sposobem kładą nacisk na historię polityczną, ani za tymi, tak licznymi wśród samych rosyjskich historyków, nie tylko marksistowskich, którzy jednostronnie podkreślają zjawiska gospodarczo-ustrojowe. Jego „Origins of Modern Russia” — to wybrane ustępy z dziejów nowoczesnej myśli rosyjskiej, w której w swym wielotomowym dziele polskim szukał odpowiedzi na pytanie, skąd się właściwie wziął bolszewizm. Widząc w nim słusznie nie tyle pewien system ekonomiczno-społeczny, lecz ideę, zastosował metodę najsubtelniejszą w dziedzinie nauk historycznych: metodę historyków idei.

Aczkolwiek całkowicie zaczerpnięte z dawniejszego, to dzieło wydane w r. 1948 jest mimo to książką całkiem nową, napisaną z wielkim wysiłkiem twórczym. Jakąkolwiek bowiem jest metoda historyka, najtrudniejszym jest dla niego nie zebranie materiału, ani nawet jego krytyczna ocena, lecz akt ostatni, kiedy to badacz, przystępując do pisania, dokonuje wyboru wśród odkrytych i ocenionych faktów, których ilość, gdy chodzi o temat rozległy, a zwłaszcza o czasy nowsze, obficie oświetlone przez źródła, jest z natury rzeczy olbrzymią. Nadto w skrócie angielskim plan całości, aczkolwiek z góry wytknięty w niedokończonym niestety polskim oryginale, stał się jeszcze jaśniejszy, architektura książki jeszcze bardziej logiczna i zwarta.

Jest ona podzielona na 12 rozdziałów, z których przeważna część, bo aż 10, zajmuje się wyłącznie czasami dwóch carów, Mikołaja I i Aleksandra II, od r. 1825 do 1881, tak samo zresztą jak większa część, bo pierwszych 5 tomów, obszernej, polskiej redakcji. Data końcowa, choć pozornie dość odległa od rewolucji bolszewickiej, da się doskonale uzasadnić. Wszak Toynbee, tak wnikliwy, gdy idzie za własną intuicją, również widzi już w zamordowaniu Aleksandra II, drobiazgowo zbadanym w V. tomie „Od białego caratu do czerwonego”, fakt przełomowy w dziejach Rosji, wyraźnie zapowiadający jej rozkład wewnętrzny. Ale ważniejszą jeszcze jest inna okoliczność. Historiografia rosyjska i obca stale podkreślają różnice między Mikołajem I a Aleksandrem II, i chociaż całkiem niedawno nawet pierwszy z nich zna-

lażł biografa — obrońcę w osobie emigranta rosyjskiego w Paryżu, p. C. de Grunwald, tradycyjnie przeciwstawia się temu ciasnemu despotcie tyle liberalniejszego następcę. Nie jest to pozbawione słuszności, o ile chodzi o ich osobistą charakterystykę, i sam Kucharzewski w swych portretach psychologicznych poszczególnych carów, dla których niestety nie znalazło się miejsca w angielskim streszczeniu, uwydatnił różnicę między „jednolitą” postacią Mikołaja I a naturą Aleksandra II, pełną sprzeczności i niekonsekwencji. Ale czytelnika jego książki, czy polskiego czy też angielskiego wydania, o wiele silniej jeszcze uderza fakt, że mimo wszystko za obu carów, symbolizujących rzekomo dwie różne metody polityczne, Rosja przedstawia się dziwnie jednakowo, bez zasadniczych zmian w tym, co możnaby nazwać jej politycznym i ideologicznym klimatem.

Te rozdziały podstawowe książki poprzedza pierwszy, który słusznie przypomina, że geneza Rosji, nawet ściśle nowoczesnej, tkwi w średniowieczu; że dla rozumienia jej współczesności trzeba się cofnąć w przeszłość znacznie wcześniejszą nawet od Piotra Wielkiego. Ale jak daleko? Oczywiście nie od tradycyjnej daty r. 862, której tysiąclecie obchodzono oficjalnie za Aleksandra II. Wszak dzisiaj nawet już niektórzy historycy rosyjscy przyznają, że trzeba odróżnić od Rusi kijowskiej nowe zupełnie państwo „wielkoruskie”, którego odrębną genezę przedstawił w r. 1918 prof. Presniakow. Zgodnie z tą jedynie słuszną koncepcją Kucharzewski zaczyna od przypomnienia pierwszego z wielkich ksiąg moskiewskich, który systematycznie rozpoczął „zbieranie ziem ruskich”, mianowicie Iwana Kality.

Ten początek angielskiego skrótu jest przejęty z pierwszych kart polskiego wydania. Ale tym razem autor dodał od razu w tym rozdziale wstępnym, co w IV tomie polskiego oryginału napisał o Iwanie III (1462—1505). To nowe ujęcie jest całkowicie uzasadnione, bo żaden z następców Kality na tronie moskiewskim, tak dziwnie podobnych do siebie, nie odegrał bardziej przełomowej roli w rozwoju państwowości moskiewskiej, aniżeli ten właśnie władca, czasem Wielkim zwany, który, rzecz dziwna, nie doczekał się dotąd żadnej monografii specjalnej. A przecież do jego właśnie czasów cofnąć się należy, aby zrozumieć genezę wszystkich niemal najistotniejszych problemów dziejów Rosji. Z tych tak odległych wypadków z czasów Iwana III Kucharzewski

trafnie wybrał najbardziej przełomowy i charakterystyczny, mianowicie podbój Wielkiego Nowogrodu w r. 1478, którą to datę znowu także Toynbee słusznie uważa za decydującą. Zręcznie też postąpił autor polski, przedstawiając tragedię nieszczęśliwego miasta za pomocą dosłownych cytatów z Karamzina i uwydatniając w ten sposób, że urzędowy historiograf caratu okrutną i przewrotną metodę, zastosowaną przez Moskwę przy tym pierwszym jej podboju na większą skalę, uważał za rzecz zupełnie normalną. Konkluzja jego, że z wolnej przedtem Rzeczpospolitej pozostało tylko martwe ciało, uleciała zaś dusza, powtarza się kilka razy jak gdyby złowrogi refren w późniejszych uwagach Kucharzewskiego o rezultatach polityki rosyjskiej w stosunku do słabszych sąsiadów.

Rozdział wstępny książki kładzie nacisk, na początku i na końcu, na bardzo krytyczny do Rosji stosunek wnikliwych obserwatorów cudzoziemskich, czy to będzie Anglik Fletcher w w. XVI, czy też Francuz de Custine w w. XIX. Nasuwa się jednak spostrzeżenie, że mimo swej pozornej prymitywności kontrpropaganda rosyjska była w takich wypadkach bardzo skuteczna, skoro na przykład w najczęściej dzisiaj używanym wydaniu relacji Fletchera brak właśnie najkrytyczniejszych pod adresem caratu ustępów. Jak trafne zaś były spostrzeżenia Custine'a, o tym świadczą najlepiej dalsze rozdziały książki Kucharzewskiego, poświęcone właśnie okresowi, do którego nas wprowadza podróżnik francuski.

Pisząc w głównej części dzieła o okresie Mikołaja I i jego następcy, autor wybrał bardzo szczęśliwie trzy zagadnienia zasadnicze, które muszą szczególnie zainteresować dzisiejszego czytelnika anglosaskiego. Pierwszą z nich jest sprawa agrarna na tle położenia chłopu rosyjskiego. Dwa różne względy uzasadniają omówienie tego trudnego problemu zaraz na początku. Z jednej strony, znaczenie „uwolnienia” ludu wiejskiego przez cara Aleksandra II bywa zwykle tak wyolbrzymiane, że zapomina się zarówno o rozpaczliwych, znacznie gorszych niż gdziekolwiek indziej warunkach, w jakich znajdował się chłop rosyjski przed tą, stosunkowo tak późną datą, jak również o niedostatkach reformy z r. 1861. Kucharzewski wykazuje w świetle wymownych cytatów źródłowych, jak mało się właściwie wówczas zmieniło i jak żywą pozostała potrzeba gruntowniejszej reformy agrarnej, do której, jak wiadomo, przystąpiono dopiero za czasów

Stołypina, na kilka lat zaledwie przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Z drugiej zaś strony, ponury obraz prawdziwych warunków, w jakich jeszcze w XIX w. żyła wieś rosyjska, jest najlepszą odpowiedzią na ciągle usprawiedliwianie rozbiorów Polski uciskiem ludu, który rzekomo został „wyzwolony” przez rządy zaborcze. Zapomina się o tym, że w rzeczywistości Rosja uzasadniała swój zabór z r. 1772 w sposób wręcz przeciwny: jako odszkodowanie za stratę, jaką poniosła przez to, że setki tysięcy chłopów rosyjskich, stanowiących „własność” swych panów, uciekało od Polski przedrozbiorowej, znajdując tam lepsze widocznie warunki bytu.

Drugim problemem, który Kucharzewski szerzej przedstawił, jest geneza i rola „inteligencji”, tej specyficznie rosyjskiej grupy społecznej, której nazwa przyjęła się dopiero później w innych krajach, wywołując po dziś dzień przeróżne nieporozumienia. Ku tym postępowym żywiołom, tak krytycznie usposobionym wobec rzeczywistości caratu, zwracały się zawsze sympatie Zachodu, a również i polski autor pisze w ciepłych słowach o pierwszej generacji tej inteligencji, wiecznie „niespokojnej”, która wywołała, zaraz u progu opisywanego okresu, próbę rewolucyjną t. zw. „dekabrystów”. Wykazuje jednak równocześnie, jak ta elita umysłowa, o której „osamotnieniu” pisał obszerniej w I-szym tomie polskiego wydania, dążąc — według wyrażenia Hercena — „ku tamtemu brzegowi”, dochodziła stopniowo do całkowitego, znowu typowo rosyjskiego, nihilizmu. Obraz nihilisty, uwydatniający jaskrawo destrukcyjne pierwiastki ruchu, jest całkowicie zaczerpnięty z pism Turgieniewa, stąd tym bardziej przekonujący dla czytelnika zachodniego, pełnego słusznego podziwu dla wnikliwości psychologicznej tego właśnie pisarza.

Niemniej wymownej ilustracji dostarczają dwa najsłynniejsze chyba typy rewolucjonisty rosyjskiego, których wyczerpująca analiza w całym szeregu rozdziałów stanowi trzeci problem, jaki z materiału, nagromadzonego w polskim wydaniu, wybrał Kucharzewski dla czytelnika amerykańskiego. Znowu bezstronnie uwydatnia wyjątkowo dodatnie cechy charakteru, jakimi się odznaczał Hercen, ale już w przedmowie do angielskiego skrótu, która w ogóle jest doskonałym streszczeniem istoty wywodów autora, zwrócił uwagę na to, że nawet u tego rewolucjonisty, najszczerszego w swym libe-

ralizmie, wyraźnie występuje zachłanny mesjanizm rosyjskiego nacjonalizmu, tak widoczny w jego przepowiedni, że Rosja, przewodząc narodom słowiańskim, stanie się „pokojową głową nowego związku”. Najważniejszym jest jednak, że Kucharzewski rozprawił się szczegółowo i przekonująco z mitem, jaki po dziś dzień otacza postać Bakunina, rzekomego anarchisty, dążącego do wolności uniwersalnej, a w rzeczywistości zwolennika najbezważelniejszej dyktatury proletariatu, torującego drogę bolszewizmowi. W tej szczególnie oryginalnej części swego dzieła, wyzyskującej, obok wielu innych materiałów, niewydaną, trzytomową biografię Bakunina, którą dr Max Nettlau pozostawił w 50 tylko odpisach, Kucharzewski uzasadnił dwa podstawowym znaczeniu: rosyjski ruch rewolucyjny, prowadzący do bolszewizmu, nie uniósł żadnych nowych, oryginalnych pierwiastków do myśli wolnościowej i postępowej Zachodu, a zarazem w praktycznych konsekwencjach swoich stał się tego Zachodu całkowitą antytezą.

To ostatnie spostrzeżenie łączy się z podstawowym zagadnieniem stosunku Rosji do Europy. Problem ten postawił swego czasu Tomasz G. Masaryk w samym tytule swego znanego dzieła o rosyjskiej myśli religijno-filozoficznej, wydanego w r. 1913, jedynej w ogóle książki w literaturze światowej, którą można zestawić z dziełem Kucharzewskiego. Czeski uczony doszedł jednak do mylnej konkluzji, jakoby różnica między Rosją a Europą, z której oczywiście zdaje sobie sprawę, była właściwie tylko różnicą stopnia rozwojowego: „Rosja jest tym, czym Europa była” — oto twierdzenie Masaryka, które po dziś dzień wprowadza w błąd tylu badaczy. Jest ono zresztą bardzo bliskie opinii wszelkiego rodzaju „Zachodowców”, z których np. osiadły obecnie w Ameryce prof. N. S. Timaszew w świeżo ogłoszonym artykule tezę o przynależności Rosji do Europy uzasadnił m. in. porównaniem „ziemskich soborów” moskiewskich z parlamentami zachodnimi. Zapomniał tylko o tym, że, jak to podniósł Kucharzewski w swym polskim wydaniu, słowianofile rosyjscy szczylic się różnicą między tymi soborami o wyłącznym doradczym charakterze, a władzą ustawodawczą parlamentów, które na „zgniłym Zachodzie” w tak niebezpieczny ich zdaniem sposób ograniczały władzę monarszą. Dziś pojawiła się zresztą trzecia jeszcze doktryna rosyjska, która silniej jeszcze od słowianofilów przeciwstawia się zachodowcom, identy-

fikując imperium rosyjskie, białe czy też czerwone, z Eurazją, całkiem odrębną i od Europy i od Azji częścią świata.

Wracając do prądów XIX w., które tak trafnie charakteryzuje Kucharzewski, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na jego wyjaśnienie genezy panslawizmu, który tyle zapożyczył od nacjonalizmu niemieckiego, z pangermanizmem włącznie. W roku obecnym, gdy cały świat obchodzi stulecie „Wiosny ludów”, ze szczególnym zainteresowaniem czyta się wszystko, co Kucharzewski pisze o Kongresie słowiańskim w Pradze 1848 r. i o roli, jaką na nim odegrał jako jedyny wybitny przedstawiciel Rosjan wspomniany już Bakunin. Jego ówczesny projekt użycia Czech jako podstawy i ośrodka dla „decydującej, radykalnej, rewolucji” o destrukcyjnym, wyraźnie bolszewickim charakterze, projekt dokładnie opisany w jego własnych, późniejszych „zeznaniach”, nabiera dziś niezwykle aktualnego znaczenia.

Zacytowawszy te świadectwa o pierwszej fazie działalności Bakunina, a przed omówieniem drugiego jej okresu, po przeszło 12 latach, jakie ten „podpalacz Europy” spędził w więzieniu i na wygnaniu, Kucharzewski umieścił w angielskim skrócie swego dzieła aż cztery obszernie rozdziały, poświęcone stosunkom polsko-rosyjskim. Zajmują one więc w nowym, streszczonym wydaniu stosunkowo więcej miejsca, aniżeli w pierwotnym tekście polskim. W tym jednak wypadku autor kierował się mniej zainteresowaniami obcego czytelnika, ile pragnieniem spełnienia narodowego obowiązku. Tytuły tych rozdziałów, jak „Fatalna sprawa” lub „Tatarski Gracchus”, są znowu wzięte z pism Hercena.

Z chronologicznych ram książki wynikało naturalnie, że na pierwszy plan wysunęło się powstanie 1863 r., a w szczególności okrutne represje, jakie po nim nastąpiły. Warto było je przypomnieć, aczkolwiek często mówi się nam dzisiaj, że Polacy powinni wreszcie puścić w niepamięć te krzywdy, dawno minione. Nie uwzględnia się zaś tego, że ze strony rosyjskiej wydobywa się nieustannie wspomnienia „inwazji polskiej”, tyle dawniejszej, bo z początku XVII w., i tak wyjątkowej w stosunkach polsko-rosyjskich, w których agresja prawie zawsze wychodziła od wschodu.

Z nadzwyczajną wyrazistością występuje u Kucharzewskiego złowroga sylwetka Murawiewa, a to dzięki temu, że wydobyte zostały i po raz pierwszy podane obcemu czytelnikowi konkretne cyfry i fakty, świadczące o słuszności tak czę-

sto cytowanego przydomku „wieszatiela”. Dodatkowym względem, przemawiającym za przedstawieniem roli męczenników polskich z doby powstania styczniowego, jest niepokojąca okoliczność, że obecnie w różnych pracach, w angielskim języku ogłaszanych, robi się z wielu pośród nich nie polskich lecz litewskich bohaterów, nie wyjmując nawet takiego Zygmunta Sierakowskiego, na którego polski patriotyzm tyle rzuca światła praca Kucharzewskiego.

Wykazuje ona również, że Murawiew nie był bynajmniej objawem jakiegoś odosobnionego zwyrodnienia, skoro jego działalność spotkała się z gorącym uznaniem większości społeczeństwa rosyjskiego z „liberalnym” carem Aleksandrem II na czele. Szczególnie wymownym świadectwem są pod tym względem zacytowane przez autora słowa księcia Wiaziemskiego.

Wykazując historyczną ciągłość nieprzejednanie wrogiego stosunku Rosji do Polski, Kucharzewski zbija cały szereg uporczywie powtarzanych legend i iluzji. Mógł np. car Paweł I, robiąc jak zwykle na złość matce i jej pamięci, uwolnić Kościuszkę, ale nie przeszkadzało to temu, że właśnie za jego rządów uzupełniono akt rozbioru tajnym traktatem 1797 r., w którym rozbiornicy obiecywali sobie wzajemnie, że sama nazwa Polski zniknie na zawsze. Nasuwa się tu uderzająca analogia ze stanowiskiem, dziś jaskrawo oświetlonym w aktach świeżo opublikowanych przez amerykański Departament Stanu, jakie we wrześniu 1939 r. zajęli Stalin i Mołotow w rokowaniach z Hitlerem i Ribbentropem. Tak samo okazuje się w świetle badań Kucharzewskiego, zwłaszcza z pełnego polskiego tekstu, że opinia polska, nie wyjmując samego Mickiewicza, dała się wprowadzić w błąd co do stanowiska dekabrystów w sprawie przywrócenia Polsce prawdziwej niepodległości. Zastrzeżenia, jakie wszyscy z pośród nich, nie wyjmując nawet najprzyjaźniejszego nam Pestela, dodawali do wszelkich oświadczeń na korzyść Polski, przypominają znowu analogiczne poniekąd zastrzeżenia demokratycznego Rządu Tymczasowego rosyjskiego, gdy w marcu 1917 r. oświadczył się w zasadzie za niepodległością Polski. Miliukow, który — jak wiadomo — był wówczas ministrem spraw zagranicznych, występuje dwa lata przedtem jako jeden z autorów mało znanej pracy o celach wojny Rosji, z której Kucharzewski, wybiegając w tym wypadku poza chronologiczne ramy, jakie sobie zakresił, cytuje niezmiernie cha-

rakteryistyczne słowa o spodziewanym zlaniu się wszystkich narodowości caratu w jeden naród. Nie brak też w książce ubocznej wzmianki o celach wojennych Rosji sowieckiej, gdy w r. 1920 armia czerwona posuwała się włąb ziem polskich.

Jak potrzebnym było uwydatnienie tego prawdziwego oblicza polityki, jaką wobec Polski stosowała Rosja różnych okresów i obozów, o tym świadczy chociażby wydana niedawno w Paryżu praca Edwarda Krakowskiego, który, nie znając badań Kucharzewskiego, trwa przy wszystkich złudzeniach co do sympatii polskich, tkwiących rzekomo głęboko w duszy rosyjskiej, czy to Aleksandra I, czy też Bakunina. Warto też podkreślić znowu najbardziej zasadnicze wnioski, jakie wynikają niezbitcie z dzieła Kucharzewskiego. Pierwszy z nich to zadziwiająca zgodność stanowiska, jakie w tej sprawie zajmowały zarówno biały jak i czerwony carat, chociaż pierwszy zarzucał Polakom ich niepoprawną rewolucyjność, drugi zaś, wręcz przeciwnie, dominującą rolę „panów”, spod których ucisku musiał „wyzwalać” masę ludową w Polsce. Niemniej ważnym z punktu widzenia czysto naukowego jest wniosek drugi. Trzeba oczywiście rozróżnić w Rosji XIX w. stanowisko słowianofilów i zachodowców, z których zresztą jedni i drudzy mają po dziś dzień licznych epigonów. Ale znowu te dwie sprzeczne ideologie prowadzą w konsekwencji do jednakowo antypolskiego stanowiska z tą tylko różnicą, że pierwsza wytyka Polakom brak solidarności słowiańskiej, którą rzekomo zawsze zdradzali, podczas gdy druga widziała w Polsce zaporę, oddzielającą Rosję od Zachodu, i w gruncie rzeczy zazdrościła jej odwiecznej do tego Zachodu przynależności.

Bardzo obfity materiał nagromadził Kucharzewski w rozdziale, który dowodzi, jak dawno i jak trafnie pisarze polscy sprzed blisko stu lat przestrzegali Europę przed wzrastającym niebezpieczeństwem rosyjskim. Cytaty z „Przeglądu Rzeczy Polskich”, wychodzącego w Paryżu w latach poprzedzających wybuch powstania styczniowego, są pod tym względem szczególnie pouczające. Jak słuszne zaś były te ostrzogi także co do rzekomo wolnościowych prądów, zwalczających carat, o tym czytelnik może się przekonać najlepiej z końcowego rozdziału angielskiego wydania, którego sam tytuł „Demokracja” przypomina, z jaką ostrożnością należy się posługiwać tą tak nadużywaną dziś nazwą.

W rozdziale tym, który daje syntezę poglądów autora na okres po 1881 r., tak samo jak rozdział pierwszy cofał się poza rok 1825, znajdujemy bogate dane, które najbardziej bezpośrednio wyświełtają genezę bolszewizmu rosyjskiego. Okazuje się z nich, że znowu, jak zawsze przy analizowaniu problemów rosyjskich, należy unikać zbyt teoretycznego rozróżniania ideologii nawzajem się zwalczających, w gruncie rzeczy jednak mających to samo podłoże i te same cele ostateczne. Tak na przykład znamienne oświadczenia Trockiego uwydatniają, jak wielkim to jest złudzeniem, jeśli się przeciwstawia spaczony rzekomo, imperialistyczny komunizm Stalina pierwotnym tendencjom rewolucji rosyjskiej, które by miał reprezentować Trockij. Pod pokrywką szumnych haseł wolnościowych także kierunek przez niego reprezentowany prowadził do takiego samego totalizmu państwowego, opartego na krwawym terrorze.

Co więcej, także Plechanow, główny jak gdyby bohater tego rozdziału końcowego, wykazuje nie tylko tradycyjne cechy nacjonalizmu rosyjskiego w stosunku do Ukraińców, ale nadto, chociaż się przeciwstawiał maksymalizmowi Lenina aż do ostatka, dostarczał przecież bolszewikom wygodnych argumentów, usprawiedliwiających wszelki gwałt i przemoc w służbie rewolucji.

Nie ulega wątpliwości, że do tych skrajnych konsekwencji musiała doprowadzić, przy bezkompromisowym zastosowaniu, sama doktryna marksistowska, zrodzona na Zachodzie i ogłoszona tam równo sto lat temu w Manifestie Komunistycznym. Nadto, jak to podniósł też niedawno w Ameryce prof. G. Bruun, genezy wszystkich dzisiejszych doktryn totalitarnych można się już dopatrzeć w jakobinizmie wielkiej rewolucji francuskiej. Ale celowo cytuje Kucharzewski zdanie sowieckiego historyka Pokrowskiego o wyższości rewolucji rosyjskiej nad francuską, którą to wyższość widzi właśnie w tym, że Lenin prześcignął nawet Robespierre'a w bezwzględności postępowania. Tylko na gruncie rosyjskim doszło istotnie do zrealizowania całej terrorystycznej ideologii rewolucyjnej w praktyce życiowej wielkiego państwa. Dlaczego zaś tak się stało, to tłumaczy Kucharzewski w ostatnim ustępie swojej nowej książki, który jest kwintesencją wszystkich jego wywodów:

„Despotyzm, trwający wiele stuleci, wydał koncepcję czerwonego despotyzmu, który obejmuje także dziedzinę ducha,

i rozwinął gotowość do poddania się absolutnej władzy doktryny rewolucyjnej. Umysłowość późniejszych komunistów rosyjskich jest niezaprzeczoną odmianą starego nihilizmu, przenikniętego dogmatyzmem i negacją wszystkiego, co się nie zgadza z doktryną”.

Czytając te konkluzje, prawie zapomina się o tym, że wielkie to dzieło pozostanie niestety niedokończone, ponieważ — jak to autor przypomina w przedmowie — wszystkie materiały, zebrane dla opracowania końcowych tomów, zostały całkowicie zniszczone, kiedy we wrześniu 1939 r. bomby niemieckie padły na jego mieszkanie w Warszawie. Trudno się dziwić, że pod wrażeniem tego bolesnego przeżycia autor nie zamierza już odtworzyć tego wszystkiego, co zginęło z niepowetowaną dla nauki szkodą. Byłoby to zresztą niemożliwe w warunkach życia emigracyjnego. Korzysta jednak Kucharzewski z pobytu w Ameryce, aby w ślad za świeżo wydanym tomem przygotowuje do opublikowania inną zupełnie książkę, nad którą już od paru lat pracuje: studium naukowe o stosunkach rosyjsko-amerykańskich, które wypełni dotkliwą lukę w historiografii.

Nie przeczuwając chyba, że w tym kierunku pójdą dalsze jego badania, rzucił już w r. 1931, w V tomie polskiego tekstu dzieła o Rosji, bardzo ciekawe spostrzeżenie, które stanowi jak gdyby punkt wyjścia dla tych przyszych jego rozważań. Zwrócił mianowicie uwagę na artykuł, jaki socjalista rosyjski Piotr Ławrow ogłosił w r. 1873 z okazji stulecia dwóch rewolucji: wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych i powstania Pugaczewa. Starał się oczywiście wyidealizować to ostatnie jako zwiastuna lepszej przyszłości w przeciwstawieniu do tamtej rewolucji, rzekomo należącej całkowicie do przeszłości i pozbawionej istotnych osiągnięć socjalnych. Bezstronnemu czytelnikowi nasunie się jednak antyteza o wręcz odwrotnym charakterze: antyteza między szlachetną postacią Jerzego Washingtona, którego duch żyje po dzień w otoczonym takim pietyzmem dworku nad Potomakiem, mogącym stać równie dobrze nad Wisłą lub nad Niemnem, a złowrogą postacią przywódcy kozaków dońskich, który przelotne swoje tryumfy zawdzięczał po części oszustwu, podając się za cara Piotra III, po części zaś brutalnej demagogii, gdy wzywał do wyrznięcia całej warstwy szlacheckiej.

Wrażenie takie będzie całkiem zgodne z wnioskiem, do którego doszedł już w r. 1835 w słynnym swym dziele o demokracji w Ameryce Alexis de Tocqueville; kiedy przewidując przed przeszło stu laty przyszły rozwój potęgi amerykańskiej i rosyjskiej, przeciwstawił charakter tych dwóch narodów, z których jeden jako głównego narzędzia używa wolności, drugi zaś niewoli.

Cytat ten z Tocqueville'a zrobił duże wrażenie, kiedy niedawno na zebraniu polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce Kucharzewski przemawiał o stosunku prezydenta Wilsona do Polski. Należy się też spodziewać, że przyszłe jego dzieło, na którego związek z poprzednim zgóry należało zwrócić uwagę, spotka się z takim samym uznaniem nauki amerykańskiej, jakiemu we wstępie do książki o genezie Rosji współczesnej dał wyraz prof. S. Harrison Thomson, z Uniwersytetu w Colorado, jeden z najlepszych w Ameryce znawców spraw Europy Środkowej i Wschodniej.

SŁUŻBA SARDYŃSKA GENERAŁA WOJCIECHA CHRZANOWSKIEGO

OPERACJE POD NOVARĄ

Upadek powstania listopadowego nie zakończył kariery wojskowej generała Chrzanowskiego. Dwukrotnie jeszcze potem był on powołany do odegrania zasadniczej roli, wprawdzie nie w wojsku polskim, ale na najwyższych szczeblach dwu armij obcych, tureckiej i sardyńskiej. Epizod turecki nie z winy generała, a dzięki okolicznościom, nie dał mu okazji do rozwinięcia jego możliwości jako wodza. Za to jego wkład organizacyjny w przeobrażenie i unowocześnienie tureckiego wojska oceniany jest bardzo pozytywnie przez obcych autorów.

Natomiast przegrana pięciodniowej kampanii włoskiej, w której Chrzanowski *de facto* pełnił obowiązki naczelnego wodza armii sardyńskiej, po prostu przypisywana jest jego osobie. Niektórzy autorzy włoscy idą tak daleko, że wysuwają nawet zastrzeżenia co do jego lojalności wobec sprawy sardyńskiej¹⁾. Jeden z autorów brytyjskich²⁾ nazywa go awanturnikiem, imputując przez to, że Chrzanowski nie miał kwalifikacyj do stanowiska, które zajmował, a prowadzenie przez niego bitwy pod Novarą nazywa nieudolnym. Są jednak historycy włoscy, zdobywający się na sąd bardziej obiek-

¹⁾ Niccolo Giorgetti, „Le Armi Toscane e le occupazioni straniere in Toscana” (1837—1860), 3 tomy, Citta di Castello 1916. W pracy tej, wydanej przez Biuro Historyczne Sztabu Generalnego, autor nazywa Chrzanowskiego „polacco conte Alberto Czarnowsky”, i w t. III str. 355, mówi, że był „non adatto per alcun titolo a comandarli, non immune da vaghi sospetti di mancata lealta politica e militare”.

²⁾ Major G. Le M. Gretton, „The Battle of Novara, March 23, 1849”. („Battles of the Nineteenth Century”, IV.). Używa on np. takiego zwrotu: „... Chrzanowski far too stupid to realise that the crisis of the battle had arrived...” i nazywa Chrzanowskiego „a Polish adventurer”.

tywny, szczególnie jeżeli nie ograniczają się do rozpatrzenia planu i przebiegu samej kampanii, a biorą pod uwagę wypadki, które ją poprzedziły, i warunki, w jakich armia sardyńska znajdowała się w okresie kampanii 1849 r.

Wypadki poprzedzające kampanię 1849 r. wywołały bardzo silny wpływ na *morale* wojska sardyńskiego. Wojsko to, które przez pół wieku nie miało żadnej praktyki wojennej, w r. 1821 przeszło bardzo silny kryzys na tle walki o konstytucję. Kryzys ten rozdarł je na dwa stronnictwa: konstytucyjne i konserwatywne. Stronnictwo konstytucyjne, z następcą tronu na czele, podniosło bunt, zdławiony siłą po wycofaniu się i rewokacji następcy tronu, późniejszego króla Karola Alberta. Następstwem buntu były procesy, wyroki skazujące i rozwiązanie kilku pułków, oraz przewaga elementu reakcyjnego w wojsku na długie lata. Dobór personalny wyższych dowódców dokonywany był z małymi wyjątkami wedle arystokratycznego pochodzenia i wierności dla tronu. Wprawdzie na czołowych stanowiskach wojska znajdowali się dawni napoleońscy żołnierze, ale doświadczenie ich wojenne, nabyte przeważnie w stopniach młodszych oficerów, nie dawało im podstaw do kierowania wojną. Długi pokój zrobił z nich dworzan i znawców parad, a nie polowych dowódców, pochodzenie zaś arystokratyczne — przeciwników konstytucji i wszelkich poczynań rewolucyjnych.

Nominalnym naczelnym wodzem był król Karol Albert. Osobiście, dzielny, do szaleństwa odważny, nie miał jednak żadnych kwalifikacyj do prowadzenia nawet małej armii sardyńskiej. Najgorszą jego wadą było niezdecydowanie, zarówno w polityce, jak i w działaniach wojennych. Dzięki swej wahającej się polityce zwany był „Hamletem sabaudzkim” lub „*Re tentenna*”. Wyjaśnienia jego niezdecydowania należało szukać częścią w jego charakterze, częścią w głębokiej religijności, a stąd wielkim poczuciu odpowiedzialności, przede wszystkim jednak w jego podejrzliwym nastawieniu do liberalizmu. Uważał on, że liberalizm osłabia jedność i energię państwa¹⁾. Byłby on wolał wypędzić Austriaków z Włoch bez nadawania ludowi wolności politycznej. Tylko stopniowo dochodził do zrozumienia, że warunkiem nieodzownym zjednoczenia Włoch jest wolność polityczna

¹⁾ H. Temperley i A. J. Grant, „Europe in the Nineteenth and Twentieth Centuries, 1789—1939”, London 1945.

dla ich mieszkańców. Dlatego też nadał konstytucję Sardynii 8 lutego 1848 r., a gdy powstanie wybuchło w Lombardii na wieść o upadku Metternicha we Wiedniu, proklamacją z 23 marca zapowiedział, że idzie na pomoc ludowi Lombardii i Wenecji, walczącemu ze swymi ciemiężcami.

Powstanie w Lombardii, głównie w Mediolanie i w Wenecji, zaskoczyło Austriaków swą siłą. Po kilkudniowych walkach z ludnością w Mediolanie Austriacy ze swym naczelnym wodzem Radetzky'm musieli opuścić miasto. W Wenecji i całym szeregu innych miast powstańcy również wypędzili garnizony austriackie. Trzymały się tylko twierdze słynnego czworoboku, a gdy armia sardyńska przekroczyła rzekę Ticino, położenie Austriaków stało się ciężkie. Ale działania sardyńskie szły tak ślamazarnie, tak powolnie mobilizowały się dalsze rzuty armii sardyńskiej, że Radetzky zdołał wycofać się z obrębu bezpośredniego zagrożenia, skoncentrować rozproszone siły austriackie, a nawet ściągnąć jeszcze posiłki z Austrii, gdzie rewolucja coraz bardziej się rozszerzała, i mimo tego, że w walce z Austrią oprócz powstańców lombardzkich, weneckich, armii sardyńskiej, zjawily się oddziały wojska papieskiego, tokańskiego i ochotnicy rzymscy, a nawet oddziały neapolitańskie, nie zwątpił w możliwość opanowania położenia. Wprawdzie rząd austriacki, przerażony zasięgiem rewolucji, zamyslał o opuszczeniu Lombardii, aby przy pomocy armii lombardzkiej opanować położenie na północ od Alp, Radetzky jednak z oburzeniem odrzucił tego rodzaju sugestie.

Karol Albert, nie prowadzący wojny wedle jakiegoś z górą powziętego planu, a tylko kierujący się nie zawsze najszcześliwszymi radami otaczających go generałów, doszedłszy z armią swą do rzeki Mincio, postanowił pokusić się o zdobycie dwu twierdz czworoboku, Peschiera i Mantuy, ale bezskutecznie — wobec czego zatrzymał się na prawym brzegu rzeki Mincio. Dał przez to czas Austriakom na ściągnięcie posiłków i częściową likwidację powstania we wschodniej części Lombardii, a w rezultacie po nieznacznym sukcesach utracił zupełnie inicjatywę działań. Radetzky, zrobiwszy wypad z Werony 29 maja, pobił pod Curtatone i Montanara korpus tokański, któremu Sardyńscy nie przyszl z pomocą. Następnego dnia uderzył pod Goito na I korpus sardyński, ale gdy natarcie jego nie zdołało przełamać pozycji sardyńskiej, przerwał walkę i wycofał się na Sacca, bardzo

miętko ścigany przez Sardyńczyków. W dniu tym kapitulowała także najsłabsza z twierdz czworoboku, Peschiera. Ale te powodzenia nie wytrąciły naczelnego dowództwa sardyńskiego z inercji. Radetzky, oceniając słusznie swego przeciwnika, zaurócił i marszem flankowym skierował się na Vicenzę, którą pomimo obrony przez rzymsko-wenecką dywizję generała Durando zdobył 10 czerwca. Sardyńczycy przez ten czas wykonywali małe działania na Rivoli, następnie zaś, gdy Austriacy likwidowali powstanie na swoim zapleczu, stanęli na pozycjach obronnych nad rzeką Mincio, rozciągnięci na froncie ponad 60 km. Podjęte przez nich oblężenie Mantuy nie dało wyników, aż wreszcie Radetzky powrócił do natarcia na główne siły sardyńskie i w 3-dniowej bitwie pod Custozzą w dniach 23—25 lipca pobił Sardyńczyków. Wynikiem przegranej był odwrót sardyński i prośba o zawieszenie broni. 5 sierpnia zostało zawarte prowizoryczne zawieszenie broni, 9-go zaś — formalne, na mocy którego Sardynia miała zwrócić Austrii twierdze Peschiera, Rocca d'Anfo i Osoppo, oraz odwołać swych komisarzy i oddziały z Parmy, Piacenzy, Modeny i Wenecji.

Rezultatem czteromiesięcznej kampanii, w której Sardyńczycy znaleźli się znowu u swego punktu wyjściowego, na prawym brzegu rzeki Ticino, było zmarnowanie całego wysiłku rewolucji. Cała Lombardia z powrotem znalazła się w rękach Austriaków, za wyjątkiem jedynej Wenecji, która sama stawiała opór. Kampania wykazała zupełną nieudolność wojskową króla Karola Alberta i jego doradców, ogromne braki w intendenturze, dzięki której żołnierze byli bez żywności całymi tygodniami, nieprzygotowanie służby zdrowia, nie mogącej podołać napływowi rannych po bitwie pod Custozzą, oraz małą wartość wojskową oddziałów mniejszych państw włoskich i formacji ochotniczych. Jasnym było, że w razie odnowienia konfliktu z Austrią Sardynia, szczególnie teraz, może liczyć tylko na własne siły, które bardzo ucierpiały przy odwrócie za Ticino.

Narazie jednak Karol Albert liczył na interwencję angielską i poparcie Francji w układach pokojowych, spodziewając się, że uda mu się wyrównać klęskę wojskową w drodze dyplomatycznej. Niemniej jednak wszyscy zgadzali się na konieczność przygotowania się na wypadek zerwania zawieszenia broni. W przygotowaniu tym najważniejszą była kwestia nominacji naczelnego wodza, a przynajmniej szefa

sztabu generalnego, który w imieniu króla mógłby prowadzić działania armii sardyńskiej. Dotychczasowy szef sztabu generalnego, gen. por. Karol hr. Canera di Salasco, przy całym swoim wykształceniu okazał się człowiekiem miękkim, ustępliwym i nie posiadającym własnego zdania. Nie mógł więc pozostać przy nominalnym dowódcy o takim chwiejnym postępowaniu jak Karol Albert, gdyż w dalszym ciągu decyzja leżałaby w ręku rady przybocznych generałów świty, nie posiadających najmniejszego doświadczenia wojskowego. Wśród generałów liniowych sardyńskich najpoważniejszym kandydatem był dowódca I Korpusu, gen. por. Eusebio Bava, dobry taktyk, ale nie posiadający dostatecznego przygotowania do stanowiska naczelnego wodza. Poza tym jako człowiek niskiego pochodzenia nie cieszył się on sympatią arystokratycznych szczytów armii sardyńskiej. Innych kandydatów nie było, wobec czego rząd sardyński w porozumieniu z królem postanowił szukać naczelnego wodza zagranicą, najpierw we Francji. Tymczasem dzięki gorącej rekomendacji płk. Władysława Zamoyskiego, przyjętego do armii sardyńskiej i przydzielonego do kwatery głównej króla, Karol Albert postanowił powołać generała polskiego, Wojciecha Chrzanowskiego, przewidując go na stanowisko szefa sztabu generalnego. W pertraktacjach z nim ustalono, że jako szef sztabu generalnego podporządkowany będzie naczelnemu wodzowi w osobie czy to gen. Bava, czy któregoś z gen. francuskich, czy wreszcie kogoś z rodziny królewskiej¹⁾. Generał Chrzanowski warunek ten przyjął i w dniu 28 września 1848 r. przyjęty został do wojska sardyńskiego w stopniu generała porucznika, a 22 października mianowany został szefem sztabu generalnego²⁾.

Wybór gen. Chrzanowskiego na szefa sztabu generalnego pod tymi warunkami był niewątpliwie korzystnym posunięciem. Jego przygotowanie wojskowe oraz zdolności operacyjne i organizacyjne pozwalały przypuszczać, że odegra on bardzo korzystną i pożyteczną dla armii sardyńskiej rolę, naturalnie pod warunkiem, że jako cudzoziemiec nie będzie pierwszą osobą w wojsku sardyńskim. Pewną wadą był

¹⁾ Talleyrand, „Souvenirs de la guerre de Lombardie pendant les années 1848 et 1849”. Paris 1851.

²⁾ V. Bortolotti, „Storia dell'Esercito Sardo e de suoi alleati nelle campagne di guerra 1848—49”. Torino 1889, str. 347.

wiek generała, liczącego 61 lat, lecz jak się później okazało w kampanii, był on jeszcze w pełni sił fizycznych, potrzebnej jego stopniowi i stanowisku.

Gen. Chrzanowski, obejmując swe nowe stanowisko, nie znał wcale armii sardyńskiej i oceniał ją wedle miary, wyrobionej na znajomości innych obcych armij, z którymi się zetknął w czasie swej kariery wojskowej. Oceniał on wartość bojową i wytrzymałość moralną żołnierza choćby wedle standartu polskiego. Nie zdawał sobie sprawy z temperamentu włoskiego i z tej ruchliwości umysłowej, która w jednej chwili strąca Włochów z wyżyn entuzjazmu i bohaterstwa w głębie rozpacz i paniki. Nie znał wreszcie koteryj w wojsku i w rządzie, nie przypuszczał, że pomimo decyzji króla, powołującej go na stanowisko szefa sztabu i oczywistego braku kandydatów na zastąpienie go, większość generałów patrzeć będzie na niego jako na intruza i niechętnie spełniać jego najbardziej jasne i korzystne dla sprawy zarządzenia.

Tymczasem rząd sardyński starał się zwerbować jakiegoś francuskiego generała na naczelnego wodza. Wyślany w końcu sierpnia 1848 r. do Paryża płk. Alfons La Marmora został przyjęty bardzo zimno przez gen. Cavaignac. Jego wysiłki w celu pozyskania najpierw gen. Bugeaud, następnie gen. Changarnier, a w końcu gen. Bedeau spełzły na niczym, gdyż Cavaignac odradził im wszystkim wstępowanie do służby sardyńskiej, a płk. La Marmora oświadczył, że nie ma zamiaru zepsucia przyjaznych stosunków pomiędzy Francją a Austrią jedynie dla przypodobania się Sardynii. La Marmora powrócił z niczym ze swej misji i na tym na razie sprawa naczelnego wodza utknęła.

Tymczasem gen. Chrzanowski zabrał się do pracy organizacyjnej, mającej zwiększyć siły sardyńskie na wypadek wznowienia konfliktu zbrojnego. Przede wszystkim zasilił nowymi formacjami piechotę, liczącą dotąd 20 pułków, zgrupowanych w 10 brygad, podwajając ją. Z ochotników lombardzkich, którzy wraz z Sardynczykami wycofali się za rzekę Ticino, utworzył 4 nowe pułki, a przez powołanie roczników 1828 i 1829 stworzył dalszych 16 nowych pułków piechoty. Liczbę batalionów *bersaglieri* (strzelców) podniósł z 2 do 6, wliczając w to utworzony z ochotników lombardzkich batalion *bersaglieri* Manara. Pułki piechoty wystawił o 3 batalionach połowych, z 4-tych batalionów zaś odłączonych od pułku i dwu batalionów rezerwowych utworzył nowe pułki

pro wizoryczne, które połączono w dywizję rezerwową. 10 batalionów rezerwowych różnych pułków stanowiło dalszy odwód.

Dalej liczbę artylerii podniósł do 19 baterij, dodając do istniejących 3 baterij pozycyjnych, 9 lekkich i 3 konnych, 4 dalsze. Każda bateria posiadała 6 armat i 2 haubice z wyjątkiem 10-ej lekkiej, utworzonej z artylerii Modeny, a liczącej tylko 4 działa. Z inżynierii zorganizował dwubatalionowy pułk, sformował pułk kawalerii sztabowej o 3 szwadronach i do istniejących 6 pułków kawalerii sardyńskiej dodał siódmy, szwoleżerów lombardzkich, zorganizowany z ochotniczych oddziałów konnych. Wielką wagę położył na usprawnienie służby zaopatrzenia, która bardzo szwankowała w ostatej kampanii, oraz na rozbudowę służby zdrowia, ta bowiem również zawiodła.

Wreszcie uzyskał zgodę królewską na tworzenie ochotniczego legionu polskiego i węgierskiego. Związkiem polskiego legionu był dawny legion Mickiewicza, który po stracie zmarłego z rany dowódcy, płk. Mikołaja Kamińskiego, przybył na teren Piemontu wraz z oddziałami lombardzkimi.

Wartość tych oddziałów wojska sardyńskiego była rozmaita. Kawaleria, artyleria i niektóre pułki piechoty miały bardzo dobrego żołnierza, może dlatego, że kawaleria i artyleria miały tylko żołnierzy służby aktywnej. Natomiast *gros* pułków piechoty, których żołnierze służby aktywnej zostali zasileni masą żołnierzy t. zw. służby prowincjonalnej, to znaczy rezerwy, miało bardzo małą spoistość i niski *morale*. Żołnierze byli rozpolitykowani, rezerwiści często oderwani od ognisk domowych, myśleli tylko o powrocie do nich, rekruci nowego powołania słabo wyszkoleni, wszyscy bez entuzjazmu, a raczej wrodzy myśli podjęcia nowej wojny, co gorsza bez wiary w dowódców. Skutkiem rozbudowy armii zabrakło oficerów, których trzeba było za gwałt mianować, ażeby obsadzić jednostki, co znowu wywoływało zmiany i przesunięcia w korpusie dowódców. Kompanie piechoty, liczące po 250 ludzi, były za wielkie i za ciężkie do oparowania przez dowódcę.

Artyleria pomimo zwiększenia była jeszcze za szczupła jak na potrzeby armii, poza tym posiadała sprzęt za ciężki w porównaniu do Austriaków. Temu jednak nie można było już zaradzić.

Wyżsi dowódcy włoscy, z których wielu odpadło już w czasie kampanii 1848 r., nie wszyscy byli na poziomie wymagań swego szczebla dowodzenia. Co gorsza, lepsi z nich byli przeciwnikami prowadzenia wojny, bo znając lepiej niż gen. Chrzanowski braki i ujemne strony armii sardyńskiej, nie wierzyli w jej powodzenie.

Natomiast liberalnie nastrojone koła rządowe pomimo wojskowej przegranej 1848 r. i stłumienia rewolucji w Lombardii ciągle jeszcze nie chciały dać za wygraną i marzyły o uzyskaniu Lombardii i Wenecji drogą jeśli nie układów dyplomatycznych, to rozprawy orężnej. Początkowo wydawało się, że Austria pójdzie na sugestie Palmerstona i opuści Lombardię, ale w miarę jak Austria likwidowała wrzenia rewolucyjne na północ od Alp, postawa jej stawała się coraz bardziej nieustępliwa. Nowy gabinet ks. Feliksa Schwarzenberga silną ręką ujął rządy monarchii, przeprowadził abdykację niedorozwiniętego umysłowo cesarza Ferdynanda I i wprowadził na tron jego bratanka, 18-letniego Franciszka Józefa I, wreszcie zdusił powstanie we Wiedniu. Praga i Lwów, dwa inne ogniska zapalne, zostały również zdużone orężem. Pozostawały teraz tylko jeszcze dwa poważne niebezpieczeństwa, powstanie węgierskie i konflikt we Włoszech.

Europa pozostawiała Austrii wolną rękę w likwidacji powstań na jej terytorium, próby zaś pośrednictwa w konflikcie sardyńsko-austriackim i nacisku na Austrię były tak słabe, że Schwarzenberg oparł się temu z łatwością, tym bardziej że miał za sobą pełne poparcie Radetzky'ego i jego armii i opierał jako argumentem świeżym zwycięstwem pod Custozzą.

Nadzieje na ustępstwa ze strony Austrii malały coraz bardziej, w miarę jak opanowywała ona sytuację u siebie w domu. Trzeba więc było się liczyć ze wznowieniem konfliktu zbrojnego, ponieważ zaś wyprawa La Marmory nie pozyskała żadnego generała francuskiego na naczelnego wodza, rząd sardyński znalazł kompromisowe wyjście z sytuacji, mianując gen. Chrzanowskiego 15 lutego 1849 r. *general maggiore*¹⁾, coś jakby francuski *Major General*, i wkładając nań odpowiedzialność za całość operacji. Naczelne dowództwo przy tym pozostało nominalnie w rękach króla, z tym jednak, że Chrzanowskiego odpowiedzialność określono jako od-

¹⁾ V. Bartolotti, „Storia dell'Esercito Sardo”. Str. 347 i 349.

powiedzialność ministra w rządzie konstytucyjnym. Na miejsce Chrzanowskiego szefem sztabu generalnego mianowany został generał-major Aleksander La Marmora, bardzo dzielny osobiście oficer, nadający się dobrze na stanowisko dowódcy brygady, a może nawet dywizji, ale nie mający żadnego przygotowania do objęcia tej funkcji. Zresztą sam La Marmora nie taił się z tym i kilkakrotnie głośno oświadczał, że nie nadaje się na to stanowisko, a przyjął je tylko wykonując rozkaz. Dlaczego Chrzanowski zgodził się na wysunięcie takiego figuranta na stanowisko najbliższego swego pomocnika — nie wiadomo. Przymuszczalnie La Marmora, cieszący się zaufaniem króla, wysunięty został na pewnego rodzaju kontrolera Chrzanowskiego, i dlatego Chrzanowski pogodził się z tym, nie protestując. W każdym razie armia sardyńska straciła dobrego dowódcę brygady czy dywizji, zyskała zaś hamującą wtyczkę na tak odpowiedzialnym szczeblu.

Rozbudowa armii sardyńskiej zwiększyła dwukrotnie wydatki wojskowe. Budżet wojskowy na r. 1849 zwiększony został do 101 milionów lirów, co stanowiło olbrzymie obciążenie państwa na ówczesne warunki, zważywszy że poprzednie budżety nie przekraczały cyfry 47 milionów lirów. Ale i ten budżet nie wystarczał na potrzeby armii, zwiększanej szybko, ale ciągle jeszcze nie gotowej. Kolejni ministrowie wojny, a było ich aż pięciu od chwili przyjęcia Chrzanowskiego do służby sardyńskiej¹⁾, usiłowali zaspokoić potrzeby wojska i umożliwić jego przygotowanie do wojny, ale brak pieniędzy nie pozwalał na realizację wszystkich żądań organizacyjnych gen. Chrzanowskiego, szczególnie w dziedzinie artylerii. Kryzys finansowy stawał się głębszy z każdym dniem, a jedynym jego rozwiązaniem wydawało się przerwanie dalszych wydatków na wojsko. Można to było zrobić tylko przez natychmiastowe podjęcie działań wojennych, tak aby zakończyć w krótkim czasie kampanię bez względu na jej wynik. W ten sposób można było uniknąć ruiny finansowej. O ile wynik kampanii byłby korzystny, zysk był oczywisty, w razie zaś przegranej należało znowu zabiegać

¹⁾ Giuseppe Dabormida od 22. 8. 1848, Alfonso Ferrero della Marmora od 27. 10., Ettore Gerbaix de Sonnaz od 16. 12., ponownie Alfonso Ferrero della Marmora od 2. 2. 1849 i Agostino Chiodo od 9. 2. (Broncaccio, „L'Esercito del Vecchio Piemonte (1560—1859)”, Roma 1922, str. 273.

o zawieszenie broni i próbować wygrywać sprawę na drodze dyplomatycznej, ale już bez potrzeby utrzymywania ogromnej jak na Sardynię armii.

Takie mniej więcej było rozumowanie kolejnych rządów sardyńskich, a głównie ostatniego, który wypowiedział zaawieszenie broni. Żaden z tych rządów nie mógł się zdecydować na kapitulację teraz, przed starciem z Austriakami, przede wszystkim ze względów prestiżowych na terenie międzynarodowym, oraz na terenie samych Włoch, których oczy zwrócone były na Sardynię. Poza tym, jak wojskowi przeciwni byli kontynuowaniu wojny, tak elementy liberalne i niepodległościowe tej wojny pragnęły, nie licząc się zupełnie ze stanem armii sardyńskiej i wierząc w cuda mogący zdziałać zapał. Elementy te oskarżały już teraz „arystokratów” o zdradę sprawy włoskiej i domagały się podjęcia działań wojennych.

Opierając się na tym rozumowaniu i wbrew interesom wojska, nie przygotowanego jeszcze do wojny, pomimo wszelkich sprzeciwów i argumentów gen. Chrzanowskiego, który rozumiał, że w tych warunkach z góry skazany jest na przegraną, gabinet Rattaziego wraz z ministrem wojny, płk. Chiodo, postanowił wypowiedzieć zawieszenie broni ze względu na to, iż rokowania dyplomatyczne nie osiągnęły żadnych rezultatów¹⁾. W południe 12 marca uroczyście zakomunikowano w Mediolanie Austriakom wypowiedzenie zawieszenia broni, które upływało w południe 20 marca.

Wojsko austriackie we Włoszech pomimo przygotowań do kampanii na Węgrzech zasilone zostało nowymi oddziałami i rekrutem, tak że Radetzky poza korpusem blokującym Wenecję i silnymi garnizonami w Ferrarze, Legnago, Weronie, Mantui, Peschierze, Brescello, Bergamo, Brescii i Mediolanie, dysponował jeszcze armią polową w sile około 70 tysięcy ludzi przy 200 działach. Armia ta zorganizowana była w 5 korpusów, z których 1-szym dowodził gen. Wratislaw, 2-gim — gen. D'Aspre, 3-cim — gen. Appel, 4-tym — gen. Thurn, a rezerwowym — gen. Woche.

Wojsko austriackie, w większości zawodowe, pomimo zlepku narodowościowego było dzięki żelaznej dyscyplinie i długoletniej służbie żołnierza bardziej odpowiednim

1) V. Bortolotti, loc. cit., str. 349.

narzędziem wojny niż armia sardyńska. Liczniejsza i lżejsza artyleria polowa, większa ilość zawodowych kadr, a głównie oficerów, większe doświadczenie bojowe dowódców, lepsza organizacja służby — oto zalety, którymi górowało nad swoim przeciwnikiem. Do tego dodać należy wysoki nastrój żołnierza po zeszłorocznych sukcesach, z braku wiadomości o sytuacji w kraju wcale nie nadwątlony, całkowitą apolityczność oficerów, służących od wczesnej młodości w wojsku i w wykonywaniu rozkazu widzących cel życia, wreszcie jednolitość dowództwa, spoczywającego w rękach marszałka hr. Radetzky'ego, starego wprawdzie, bo 83-letniego¹⁾, ale władającego pełnią sił umysłowych i dużym zasobem fizycznych.

Marszałek hr. Radetzky, pomimo rozgłosu, jaki zdobył już jako szef sztabu Sprzymierzonych w kampanii 1813 i 1814 r., następnie zaś w dwu kampaniach włoskich, nie był żadnym wybitnym znawcą strategii i działania jego nie mogą służyć za przykłady szkolne. Z pochodzenia kawalerzysta, pozostał on do końca pod wpływem zasad użycia tej broni, a doświadczenie bitew dało mu szybkie wyczucie sytuacji i umiejętność taktycznego jej rozegrania. Jako kawalerzysta rozumiał on czynniki szybkości i zaskoczenia, atakował, starając się uderzyć we flankę przeciwnika, rozgrywał bitwę, jeżeli miał zgromadzone odpowiednie środki, jeżeli zaś nie, nie wahał się uskoczyć. Generałowie jego ślepo wykonywali jego rozkazy, zwykle wnosząc ze swej strony dostateczne zrozumienie sytuacji taktycznej. Poszanowanie starszeństwa w wojsku austriackim, a nawet lokaty, wykluczało wszelką nielojalność na jakimkolwiek szczeblu. Najstarszy stopniem, starszeństwem i lokatą był na każdym szczeblu dowódcą i nikomu nie przychodziło do głowy kwestionowanie prawa jego rozkazodawstwa.

Reasumując, stwierdzić należy, że z obu przeciwników rozpoczynającej się kampanii wojsko austriackie pod każdym względem było do niej lepiej przygotowane.

Gen. Chrzanowski, wbrew swemu przekonaniu zmuszony do podjęcia działań wojennych, przedstawił gabinetowi sardyńskiemu dwie alternatywy prowadzenia kampanii. Pierwsza, oparta na planie obronnym, przewidywała działania o za-

¹⁾ Urodzony w r. 1766.

sięgu ograniczonym, oddającym inicjatywę działań Austriakom w pierwszym okresie, ale miała tę zaletę, że nie stawiała wyniku kampanii na jedną kartę, pozwalała wyróżnić ewentualne wstępne niepowodzenia i wyczekać na ewentualne pogorszenie się sytuacji austriackiej w związku z zaangażowaniem się Austrii w walkę z Węgrami. W razie uzyskania sukcesu Chrzanowski zamierzał go wykorzystać, przechodząc do ofensywy. Alternatywa ta miała jeszcze zaletę zaprawiania stopniowego do wojny armii sardyńskiej oraz wywołania nowych powstań na terenie Lombardii, o których dotąd nie myślano. Wadą jej w oczach przycięśniętego sytuacją finansową gabinetu było to, że rozciągała ona wojnę na miesiące.

Druga koncepcja wojny, przedstawiona przez gen. Chrzanowskiego rządowi, zmierzała do szukania szybkiego rozstrzygnięcia w walnej bitwie, w której w kilku dniach zapaść musiały losy całej wojny. Koncepcja ta, bardzo niebezpieczna dla Sardynii, stawiała wszystko na jedną kartę. W razie przegranej bitwy klęska wojskowa Sardynii była nieunikniona, bo nie można już było naprawić jej skutków i odbudować armii po przegranej, a Piemont byłby otwarty dla inwazji nieprzyjacielskiej. W razie wygrania bitwy korzyści z niej także nie były wielkie dla Sardynii, bo znając sposób działania Radetzky'ego należało się liczyć z tym, że pobity, jak w roku poprzednim, cofnie się do czworoboku twierdz i pod jego osłoną będzie starał się zrekonstruować swoje siły. W ten sposób pierwsza wygrana sardyńska przeciągnęłaby wojnę także.

Koncepcję tę Chrzanowski wysunął prawdopodobnie dlatego, bo orientował się, że rząd przede wszystkim chce zakończenia wojny za wszelką cenę, a potem dopiero myśli o wygranej. Dlatego, widząc beznadziejność wojskowej sytuacji Sardynii, nie podał się do dymisji, trudno dziś powiedzieć na podstawie źródeł włoskich. Być może, że prosił o dymisję, ale został przekonany, iż powinien pozostać, być może też, że spodziewał się, iż tak pokieruje działaniami, że w końcu przerodzą się one w jego pierwotną koncepcję obronną, dającą jedyne szanse wygrania kampanii.

Jak było do przewidzenia, rząd przyjął koncepcję zaczepną i choć potem niektórzy ministrowie próbowali zaprzeczyć, że taka decyzja rządu została powzięta, odpowiedzialność rządu za nadanie kierunku wojnie jest dziś ustalona ponad

wszelką wątpliwość¹⁾. Rząd również polecił gen. Chrzanowskiemu wydanie wszystkich zarządzeń, zmierzających do realizacji tej koncepcji.

Plan Chrzanowskiego, realizujący ją, miał wszelkie szanse powodzenia. Polegał on na zgromadzeniu wszystkich rozporządzalnych sił na linii rzeki Ticino, od Padu aż po Oleggio, z zadaniem niedopuszczenia Austriaków poza rzekę Ticino, w wypadku gdyby rozpoczęli natarcie zaraz po zakończeniu zawieszenia broni, a w zamiarze podjęcia ze swej strony natarcia po osi Trecate—Mediolan. Natarcie to, idące po najkrótszej drodze z Piemontu do stolicy Lombardii, miało bardzo duże możliwości realizacji; w krótkim czasie, bo w ciągu kilku dni, mogło owoładnąć stolicą Lombardii, ożywiając natychmiast ruch niepodległościowy w całej Lombardii. Poza tym zajęcie Mediolanu miałoby ogromne znaczenie międzynarodowe i duży wpływ na *morale* wojska sardyńskiego, któremu potrzeba było jakichś sukcesów, aby je podnieść na duchu.

Ugrupowanie sił przedstawiało się następująco: na zasadniczym kierunku naprzeciwko mostu Boffalora były zgrupowane 3 dywizje piechoty w pierwszej linii pod bezpośrednimi rozkazami króla. Za nimi w drugiej linii znajdowały się dwie dalsze dywizje. W lewo, na północ od tych sił głównych, wzdłuż rzeki Ticino jako posterunki obserwacyjne stały 4 baony, następnie detaszowana brygada Solaroli w rejonie Oleggio—Bellinzago, wreszcie 2 baony bersaglierów koło Turbigo. Prawe skrzydło sił głównych tworzyła 5-ta dywizja lombardzka, mająca zadanie osłony prawej flanki sił sardyńskich i dozorowania przepraw przez Ticino pod Pawią.

Ugrupowanie to, jak wspomnieliśmy, nastawione było na natarcie w kierunku na Mediolan, ale liczyło się ono z możliwością zetknięcia się z Austriakami na drugim brzegu rzeki Ticino. 8-dniowy jednak okres od wypowiedzenia do wygaśnięcia zawieszenia broni zostawiał Austriakom dosyć czasu na przygotowania ze swej strony działania, które pokrzyżować mogło plany sardyńskie. Chrzanowski liczył się albo z czołowym spotkaniem z głównymi siłami austriackimi na kierunku Mediolanu, albo też z ich próbą obejścia od pół-

¹⁾ Marco Minghetti, „Miei Ricordi” (Fanfulla No 341. 1886); V. Bertolotti, j. w., str. 334.

nocy lub od południa głównych sił sardyńskich i uderzenia w ich flankę. We wszystkich tych wariantach należało się też liczyć z demonstracjami na drugorzędnych kierunkach. Najbardziej prawdopodobnym wydawało mu się austriackie działanie, wychodzące z Pawii i zmierzające przez Mortarę we flankę południową sił sardyńskich, przy jednoczesnym działaniu z Mortary w kierunku stolicy Turynu. Natarcie to było tym groźniejsze, że zanim trafiło w zgrupowanie wojska sardyńskiego, mogło zagonami kawalerii zagrozić jego tyłom i komunikacjom ze stolicą i zapleczem. Dla zabezpieczenia się przed tą ewentualnością Chrzanowski naprzeciw Pawii postawił całą dywizję 5-tą z zadaniem zajęcia stosunkowo mocniejszych stanowisk obronnych pod La Cava rankiem 20 maja i obrony przepraw przez Ticino i jego ramię Gravellone. Gdyby nieprzyjaciel dużymi siłami sforsował przeprawę, 5-ta dywizja opóźniać miała go po drogach na Mortarę lub na Sannazzaro, cofając się na główne siły własne. Jeżeli zaś nieprzyjaciel zachowywał się tu biernie, 5-ta dywizja miała działać zaczepnie, zająć wyspę pomiędzy Gravellone a Ticino, sforsować Ticino i zagrozić Pawii, w dalszych swych działaniach stosując się do sytuacji swoich sił głównych.

Wybór 5-tej dywizji do tego ważnego zadania podyktowany był faktem, że w chwili wypowiedzenia rozejmu znajdowała się ona w tym miejscu na leżach. Składała się ona ze świeżo sformowanych pułków, w które weszły różne oddziały ochotnicze lombardzkie, nie miała więc wielkiej spistości i zaprawy bojowej. Dowódcą jej został znany Polakom z fatalnej swej wyprawy w r. 1831 gen. Hieronim Ramorino, którego przyjęcie do służby sardyńskiej wreszcie przeforsowały koła liberalne. Dzielnym osobiście, nie miał on jednak przygotowania do dowodzenia samodzielną jednostką i nie rozumiał roli swej dywizji.

Nagle wypowiedzenie zawieszenia broni nie pozwoliło na ściągnięcie do głównych sił sardyńskich znajdującej się w rejonie Genui 6-ej dywizji piechoty. Dywizja ta otrzymała rozkaz marszu przez Pontremoli na Parmę, a następnie miała działać dalej po prawym brzegu Padu na wysokości 5-ej dywizji.

Pomimo tego że ludność Lombardii sprzyjała wojsku sardyńskiemu, sztab sardyński nie miał prawie żadnych wiadomości o ruchach oddziałów austriackich. Wiadomo było,

że marszałek hr. Radetzky opuścił Mediolan rankiem 18 marca przez bramę Rzymską, kierując się na Lodi, pomimo iż w proklamacji do swych oddziałów zapowiedział, że tym razem pójdzie wprost na Turyn. Naprzeciwko głównych sił sardyńskich nad średnim biegiem rzeki Ticino stwierdzono obecność batalionu piechoty pułku Kinsky i pikiety husarskie pułku Reuss. Nad górnym biegiem, w rejonie Varese stała brygada Goerger.

Tymczasem wywiad austriacki działał doskonale i ugrupowanie sardyńskie znane było szczegółowo austriackiemu sztabowi generalnemu. Na podstawie tych wiadomości Radetzky postanowił właśnie, tak jak to przewidywał w swych hipotezach Chrzanowski, główny wysiłek swój skierować na południe i, przeprawiając swą armię pod Pawią, od południa uderzyć we flankę i tyły nieprzyjaciela, który ewentualnie podejmie ofensywę na Mediolan. W tym celu do dnia 20 marca skoncentrował w rejonie Pawii swoich 5 korpusów polowych, na reszcie zaś granicy lombardzko-piemonckiej pozostawił tylko słabą osłonę z zadaniem obserwacji nieprzyjaciela i w razie jego naporu wycofywania się na główne siły pod Pawią z odsłonięciem nawet kierunku na Mediolan.

Ruch głównych sił austriackich i ich koncentracja koło Pawii pozostały tajemnicą dla sardyńskiego dowództwa. Głuche pogłoski twierdziły, że główne siły austriackie przez Lodi wycofały się za rzekę Adda, gdzie miały zamiar oczekiwać armii sardyńskiej. Kilka ostrzeżeń ze strony przybyłych z Lombardii zbiegów doszło do gen. Ramorino. Mówiły one, że nieprzyjaciel zamierza przekroczyć Pad pod Piacenzą i po prawym brzegu Padu obejść prawe skrzydło armii sardyńskiej, aby poza nim przeprawić się znowu przez Pad na terytorium Piemontu. Mylne te informacje, wyglądające gen. Ramorino na pewne, skłoniły go do odstąpienia od wykonania rozkazu naczelnego dowództwa, nakazującego mu przejście z całą dywizją pod La Cava na lewy brzeg Padu. Skierował on tam jedynie batalion bersagliarów i 2 bataliony piechoty, resztę zaś dywizji zatrzymał na prawym brzegu Padu, spodziewając się nadejścia Austriaków po tym brzegu.

W południe 20 marca gen. Chrzanowski przybył do mostu pod Boffalora, gdzie oddziały 4-ej dywizji sardyńskiej stały ugrupowane do sforsowania mostu. Przez godzinę nad słuchiwano, czy nie będzie słyhać huku armat od strony La Cava i czekano na ewentualne meldunki od Ramoriny.

O godzinie 1-szej generał Chrzanowski nakazał ruch naprzód. Sardyńscy bez trudu zepchnęli wedety austriackie z mostu i uchwycili go, poczem 4-ta dywizja rozpoczęła marsz naprzód w kierunku Magenty. Po zajęciu Magenty, wolnej od nieprzyjaciela, dowiedziano się od mieszkańców, że oddziały austriackie, które tu były w nocy z 19 na 20 marca, wycofały się w kierunku na Pawię, i że droga do Mediolanu jest wolna. Brak sprzeciwu ze strony nieprzyjaciela i te wiadomości obudziły czujność Chrzanowskiego, który obawiając się pułapki, powstrzymał dalszy ruch naprzód, aż do nadejścia wiadomości z reszty frontu, a przede wszystkim od Ramoriny.

Tymczasem pod La Cava punktualnie w południe kolumna austriacka w sile około 8000 ludzi uderzyła na most na Gravelone i owładnęła nim, zepchnąwszy strzegących go 25 bersaglierów. Austriacy, rzuciwszy jeszcze dwa mosty przenośne na Ticino i Gravelone, przepawili tu cały drugi korpus generała d'Aspre. Korpus ten w trzech kolumnach uderzył na stanowiska włoskie pod La Cava i zepchnął Włochów, którzy wycofali się za rzekę Pad z wyjątkiem jednego batalionu, odciętego od mostu na Padzie w Mezzana-Corti i cofającego się na północ na Mortarę. Straty włoskie w walce o La Cava wyniosły 4 zabitych i 21 rannych, ale szkoda ze straty tego stanowiska była ogromna. Włosi, wycofawszy się poza Pad, zerwali na nim most, izolując się w ten sposób od dalszego udziału w działaniach, bo Austriacy wcale nie myśleli o przekraczaniu Padu i po zajęciu La Cava skierowali się ku północy, idąc na flankę głównych sił sardyńskich.

Za 2-gim korpusem przepawiły się dalsze korpusy armii austriackiej i skierowały się na Mortarę, mając w centrum 2-gi korpus, na lewym skrzydle 4-ty korpus gen. Thurn, na prawym 1-szy gen. Wratysława. W odwodzie postępował za środkiem 3-ci korpus gen. Appel. Korpus odwodowy gen. Wochera zatrzymał się na obu brzegach rzeki Ticino, zajmując jeszcze brygadą Pawię, do której spływały oddziały osłonowe, pozostawione nad Ticino poprzednio. W ten sposób Austriacy koncentrowali do bitwy nawet i te oddziały, bezużyteczne teraz na kierunku Mediolanu.

Tegoż dnia wieczorem około godziny ósmej gen. Chrzanowski otrzymał pierwszą wiadomość o tym, że 5-ta dywizja Ramoriny *gros* swoich sił trzyma na prawym brzegu Padu,

pod La Cava zaś posiada tylko 3 bataliony, które zostały zaatakowane przez Austriaków. W godzinę później bliższe szczegóły i potwierdzenie marszu głównych sił austriackich na Mortarę przywiózł przybyły do kwatery głównej oficer sztabu Ramoriny.

Wiadomości te wywołały konsternację w kwaterze głównej sardyńskiej i zmusiły Chrzanowskiego do zmiany planu. Zamiast natarcia na Mediolan trzeba było teraz przeciwstawić się nacierającemu od południa nieprzyjacielowi i przeprowadzić zmianę frontu o 90 stopni. W związku z tym skierował on zaraz 1-szą dywizję z zadaniem obrony na południe od Mortary, 2-gą zaś z analogicznym zadaniem obrony na południe od m. Vigevano. W drugim rzucie za nimi rzucił dywizję rezerwową na kierunek Mortary, 3-cią zaś na kierunek Vigevano. 4-ta dywizja, która czołowymi elementami swoimi osiągnęła Magentę, miała zawrócić i stanąć za 3-cią, do mostu Boffalora zaś ściągnął Chrzanowski z północy bezużyteczną już tam brygadę wydzieloną generała Solaroli. W ten sposób dosyć zręcznie przeprowadził zmianę frontu ze swego wyjściowego ugrupowania i miał szanse na zamknięcie drogi Austriakom na Mortarę, choć w ostatnim momencie. Do bitwy wprowadzał swe siły, uszczuplone już o jedną dywizję przez nieszczęśliwe posunięcie Ramoriny, który wprawdzie został natychmiast odwołany ze swego stanowiska, lecz dywizji jego nie można było już sprowadzić do głównych sił. Następca jego, gen. Manfredo Fanti, otrzymał zadanie bardzo ogólnikowe działania odpowiednio do okoliczności i w sensie rozkazów poprzednio wydanych gen. Ramorino, a znanych mu też dokładnie. Więcej nic nie można było mu powiedzieć, zważywszy na jego eksponowaną sytuację i całą armię austriacką, oddzielającą go od głównych sił sardyńskich.

1-sza dywizja pod dowództwem gen. Durando osiągnęła Mortarę 21 marca około godziny 8-ej i minawszy ją zajęła stanowiska na południe od niej na wysokości klasztoru S. Albino, zamykając drogę z Garlasco. Gen. Durando ustawił obie brygady w pierwszej linii, w każdej z nich zaś oba pułki dwoma batalionami w pierwszej linii i jednym batalionem w odwodzie. Pułk kawalerii zachował w odwodzie, wysyłając rozpoznanie na drogi z Garlasco i Vigevano. Artylerię swą rozdzielił celem wsparcia obu brygad. Obie brygady tej dywizji styk swój miały na potoku Passerini, którego oba

brzegi łączył tylko jeden most. Teren pocięty był kanałami, oddzielającymi jakby szachownicą stanowiska poszczególnych oddziałów i utrudniającymi ruch odwodów.

O godzinie 13-ej nadciągnęła do Mortary dywizja rezerwowa pod dowództwem księcia Sabaudii, przyszłego króla Wiktora Emanuela. Wraz z nią przybył i szef sztabu generalnego, gen. La Marmora, wysłany na ten odcinek przez gen. Chrzanowskiego. Dywizja odwodowa zajęła stanowiska na zachód od Mortary, pomiędzy Mortarą a Agogną, rozmieszczając swą artylerię do wsparcia swoich odcinków. Kwestia jej współdziałania ze stojącą przed nią 1-szą dywizją nie została wcale uregulowana. Obaj dowódcy dywizji, równi sobie stopniem, nie zgrali ze sobą planu działania, a obecny w Mortarze szef sztabu generalnego, młodszy od obu stopniem, sam nie czuł się na siłach do objęcia kierownictwa całością, nie zrobił też nic, aby ktoś jeden objął dowództwo sił, zebranych pod Mortarą. W rezultacie natarcie austriackie, prowadzone przez 2-gi korpus gen. d'Aspre, miało do czynienia tylko z obroną jednej dywizji sardyńskiej, nie wspartej nawet artylerią dywizji odwodowej.

Austriacy podeszli pod stanowisko sardyńskie dość późno, bo dopiero około godziny 16.30. Silny ogień artylerii austriackiej, przygotowującej natarcie wzdłuż drogi z Garlasco, bardzo poderwał *morale* broniącej tego odcinka brygady Regina. Gdy dywizja arcyksięcia Albrechta uderzyła na stanowiska sardyńskie czterema kolumnami, jeden batalion tej brygady pierzchnął i dopiero użyciem odwodu udało się na chwilę opanować położenie. Napór frontalny natarcia z jednoczesnym obejściem prawego skrzydła przez lewoskrzydłową kolumnę austriacką wywołał popłoch na całym odcinku brygady Regina. Sąsiadująca z nią brygada Aosta nie mogła jej pomóc odwodami z powodu oddzielającego ją potoku. Przeciwnatarcie, na czele którego stanął sam gen. La Marmora, załamało się, gdyż weszło w ogień, otwarty przez podsunięty naprzód pułk z dywizji odwodowej. Tymczasem lewoskrzydłowa kolumna austriacka weszła do Mortary, jednocześnie zaś ze wschodu wkroczyła do Mortary druga kolumna austriacka pod dowództwem płk. Benedeka. Energiczny ten dowódca szybko opanował wszystkie wyjścia z miasta, nie bacząc na tłumy zbiegów, taborów i szpitale sardyńskie, wypełniające miasto, i w ten sposób odciął komunikację pomiędzy resztkami 1-ej dywizji, broniącymi się jeszcze

na południe od Mortary, a dywizją rezerwową. Zapadła noc. Gen. La Marmora, zebrawszy w kolumnę trzy bataliony 1-szej dywizji, usiłował przebić się przez Mortarę, ale czoło jego kolumny utkwilo w walce ulicznej w Mortarze. Gdy płk. Benedek zaproponował przez parlamentarza kapitulację „dla uniknięcia niepotrzebnego przelewu krwi”, dwaj pułkownicy brygady Regina skwapliwie zgodzili się na propozycję, nie meldując o tym wcale gen. La Marmora. W rezultacie złożyło broń 57 oficerów i około 1700 szeregowych z brygad Cuneo i Regina, a w ręce austriackie wpadły przy tym 4 działa. Gen. La Marmora pomimo tego na czele batalionu i 2 szwadronów przebił się na północ, uprowadzając z sobą resztę dział.

Książę Sabaudii, dowodzący dywizją rezerwową, usiłował w czasie bitwy dosyć nieśmiało i niezdecydowanie interweniować w niej swymi jednostkami, ale spóźniona i słaba jego interwencja na nic się nie przydała. Teraz po bitwie osłaniał odwrót resztek 1-szej dywizji i pomagał zbierać jej rozbitków.

W czasie gdy te wypadki rozgrywały się na kierunku Mortary, na kierunku Vigevano straż przednia 1-go korpusu austriackiego pod Borgo S. Ciro starła się z czatami 2-jej dywizji sardyńskiej, odrzucając je, ale pod Sforzesca została zatrzymana przez główne siły 2-jej dywizji, które stawily taki opór, że Austriacy przerwali natarcie o zmierzchu. Przy drugiej dywizji w czasie potyczki znajdował się gen. Chrzanowski. Słyszał on o zmierzchu huk armat z kierunku Mortary, ale ponieważ wkrótce armaty zamilkły, przypuszczał, że pod Mortarą doszło także do starcia ze strażą przednią austriacką. Po stosunkowo krótkotrwałym huku armat oceniał on potyczkę jako nieznaczną i był zupełnie spokojny o sytuację pod Mortarą.

Wiadomości o klęsce pod Mortarą doszły do gen. Chrzanowskiego w Sforzesca dopiero w nocy z 21 na 22 marca. Były one dla niego i dla króla, nocującego również w Sforzesca, zupełnym zaskoczeniem. Jasnym było, że z utratą Mortary komunikacje armii sardyńskiej ze stolicą i zapleczem zostały zagrożone, a przecięcie ich zupełne było tylko kwestią czasu. W pierwszej chwili Chrzanowski zamierzał pokusić się o odebranie Mortary natarciem obu dywizyj z rejonu Sforzesca przy jednoczesnym nawrocie zaczepnym z północy dywizji 1-szej i rezerwowej, a ewentualnie i 4-tej. Jakkol-

wiek król popierał tę koncepcję, przeciw niej jednak wypowiedział się cały szereg generałów z otoczenia, którzy twierdzili, że byłoby prawdziwym szaleństwem wdawać się w tak niebezpieczne przedsięwzięcie¹⁾. Motywowali oni swoje stanowisko stanem wyszkolenia i *morale* wojska, nie pozwalającym na podjęcie takiego działania. Prawdopodobnie argumenty te przekonały Chrzanowskiego, któremu ostatnie wypadki zaczynały otwierać oczy na specyficzne warunki w armii sardyńskiej i niemożność stosowania do niej żadnych mierników, opartych na znajomości innych armij. Postanowił on zmienić plan i stoczyć decydującą bitwę w terenie pod Novarą, znanym mu i przestudiowanym przez niego osobiście, wespół z gen. La Marmora.

Teren ten, obejmujący wycinek pomiędzy rzeczkami Torrente Terdoppio i Torrente Arbogna, płynącymi z północy ku południowi, dominował nad okolicą. Jego pagórki dawały wgląd w równinę ku Mortarze, na nieprzyjaciela podchodzącego z tamtej strony. Flanki jego osłonięte były wspomnianymi rzeczkami, a rozrzucone na jego trzykilometrowej szerokości osady i murowane zabudowania stwarzały szereg naturalnych punktów oporu, które pozycję sardyńską wzmacniały bardzo poważnie.

Na tym froncie trzech kilometrów zamierzał Chrzanowski zebrać całe swoje rozporządzalne siły, liczące po odrzuceniu strat ponad 5 dywizyj przy 119 działach, w sumie około 45.000 bagnatów i 2500 szabel. Koncentracja taka pozwalała mu na przeciwstawienie się siłom austriackim, które licząc 70.000 ludzi i 200 dział, nie mogły ich wszystkich wprowadzić do akcji od razu na odcinku Novary. Chrzanowski planował, że zużywwszy obroną natarcie austriackie, w sprzyjającym momencie zwrotem zaczepnym pobije część sił austriackich, a znając *modus operandi* Radetzky'ego spodziewał się, że po częściowej porażce Austriacy odskoczą za Ticino. Wówczas zamierzał on pójść na południe i połączwszy się z dywizjami 5-tą i 6-tą działać na prawym brzegu Padu.

W realizacji tego planu Chrzanowski zadyrgował pod Novarę wszystkie wielkie jednostki, zarówno te, które brały

1) „... che era una vera pazzia la avventurarsi in questa pericolosa impresa”, „Considerazioni sopra gli avvenimenti militari del marzo 1849 scritte da un Ufficiale Piemontese”, Torino 1849.

udział w nieszczęśliwym boju pod Mortarą, jak i te z kierunku Vigevano. *Gros* tych sił przybyło w rejon koncentracji w dniu 22 marca. Sam Chrzanowski wytyczył tutaj zasadniczą linię oporu i rozmieścił oddziały na pozycji.

Pozycję obsadziły 3 dywizje w 1-szym rzucie, w odwodzie stanęły dwie dywizje i brygada Solaroli. Centrum pozycji tworzyła 2-ga dywizja, lewe skrzydło, obsadzające miejscowość Bicocca i zamykające drogę Mortara—Novara — 3-cia dywizja, prawe skrzydło zaś — 1-sza, wzmocniona częściami z innych dywizyj. W odwodzie za prawym skrzydłem na zewnątrz, z zadaniem osłony tego skrzydła i kierunku Vercelli—Novara, stanęła dywizja rezerwowa, za lewym — 4-ta dywizja. W trzecim rzucie, za lewym skrzydłem, dozorując kierunek na Trecate, umieszczona została brygada Solaroli.

Austriacy, którzy po boju nocnym w Mortarze stracili kontakt z oddziałami sardyńskimi, wycofującymi się na północ, nie byli pewni zamiarów sardyńskich. Ponieważ część dywizji rezerwowej sardyńskiej wycofywała się początkowo spod Mortary drogą na Vercelli, przypuszczali oni, że Sardyńscy może cofają się na Turyn. W związku z tym marszałek Radetzky na dzień 23 marca skierował 1-szy korpus na Borgo Vercelli, 2-gi, 3-ci i rezerwowy korpus na Novarę, 4-ty zaś na Vercelli, tworząc ugrupowanie o trzech strażach przednich na trzech różnych kierunkach, północnym na Novarę, zachodnim na Borgo Vercelli i południowo-zachodnim na Vercelli. Zamierzał on przerzucić tam *gros* swych sił, gdzie jedna ze straży przednich natrafi na siły główne przeciwnika.

Na przeciwnika natrafił naturalnie 2-gi korpus gen. d'Aspre 23 marca około godziny 11-ej. Idąc po drodze z Mortary, straż jego przednia, wysunięta z dywizji arcyksięcia Albrechta, zetknęła się pod Bicocca z obroną 3-ej dywizji sardyńskiej i dokoła tego punktu zaczęły się rozwijać do natarcia dalsze siły austriackie w miarę napływania ich do przodu.

Będąc przekonany, że ma do czynienia tylko z jakąś częścią sił sardyńskich, gen. d'Aspre rozpoczął od razu silne natarcie z marszu, rozwijając po obu stronach drogi 9 batalionów piechoty i strzelców. Natarcie jego miało taki rozmach, iż pomimo olbrzymich strat od ognia przeważających sił sardyńskich, zepchnęło na lewym skrzydle 15-ty pułk sardyński, tak że gen. Chrzanowski musiał wprowadzić tu do boju z odwodów nową brygadę Savoia, aby odzyskać utracone stano-

wisko. Wyrzuceni Austriacy ponownie powrócili do natarcia na tym samym froncie, uderzając znowu w 3-cią dywizję. Dywizja ta, wytrzymująca ogień całej artylerii 2-go korpusu austriackiego, miejscami zaczęła się chwiać, wobec czego gen. Chrzanowski około godz. 15-ej wprowadził na jej odcinku w bój 4-tą dywizję, która wyrzuciła Austriaków z miejscowości Bicocca, ścigając ich aż do Olengo.

Wejście w akcję 4-ej dywizji było kryzysem boju. Niewątpliwie 2-gi korpus austriacki, skrwawiony i wyczerpany dwoma natarciami, nie był w stanie oprzeć się natarciu świeżych sił sardyńskich. Ale za jego plecami podchodziły już dalsze dwa korpusy, 3-ci i rezerwowy, które mogły przejąć wkrótce ciężar walki. Chodziło o to, aby uprzędzić ich rozwinięcie i, rozbiwszy 2-gi korpus, zepchnąć jego resztki na rozwijające się oddziały 3-go korpusu i w ten sposób zdeorganizować możliwość nowego natarcia austriackiego. Czy to generał Chrzanowski miał wiadomości o nadchodzących dalszych dwu korpusach austriackich, czy też nie dowierzał duchowi zaczepnemu podwładnych sobie oddziałów, nie wiadomo — dość, że zatrzymał pościg 4-ej dywizji i kazał jej cofnąć się na dotychczasowy przedni skraj pozycji sardyńskiej pod Bicocca. Zarządzenie to wywołało pomruk oskarżeń o zdradę ze strony żołnierza sardyńskiego i uratowało szanse austriackie. Pierzchające przed chwilą oddziały austriackie zaczęły uracać i ścigać cofających się Sardyńczyków, a około 16-ej świeże oddziały z 3-go korpusu austriackiego rozpoczęły szturm domów Bicocca.

Ponieważ reszta frontu sardyńskiego nie była atakowana, Chrzanowski, chcąc odciążyć obrońców tej miejscowości i odciągnąć część sił austriackich, nakazał dywizji 1-ej i części 2-giej uderzyć na lewe skrzydło austriackie. Uderzenie to zajęło Torrione Quartara, ale na pole bitwy zaczął nadchodzić 4-ty korpus austriacki gen. Thurn z kierunku Vercelli. Dalsze postępy sardyńskie zostały tu zahamowane, a napór na obronę pod Bicocca był tak silny, że pomimo wrzucenia tam nowych sił sardyńskich Austriacy opanowali miejscowość i przełamali lewe skrzydło sardyńskie. Skrzydło to w większości prysło i zniknęło w potoku uciekających z pola walki żołnierzy, głośno wrzeszczących o zdradzie i pomstujących przeciwko „panom”, którzy sprowadzili na nich wojnę. W tej sytuacji, kiedy rozsypka zaczęła ogarniać oddziały piechoty centrum i prawego skrzydła, gen. Chrzanow-

ski uznał bitwę za przegraną i nakazał odwrót na Novarę. Kilka mniej zdemoralizowanych oddziałów przykrywało odwrót, cała artyleria wycofywała się w porządku rzutami, ostrzeliwując z kolejnych stanowisk oddziały austriackie, które nie napierały silnie. Większość jednak wojska sardyńskiego uciekała w panice i w rozsypce do Novary, gdzie w nocy przyszło do ekscesów i rabunków. Zabito przy tym oficera, który chciał interweniować.

Straty sardyńskie wyniosły w tej bitwie około 650 zabitych, 2380 rannych i 1600 jeńców, austriackie — 400 zabitych i 1851 rannych. W ogóle straty sardyńskie w całej tej kampanii wyniosły tylko 696 zabitych i zmarłych z ran, nie można więc twierdzić, że panika pod Novarą była wynikiem zdziśiatkowania oddziałów w boju.

Król Karol Albert, który widząc przegraną bitwę, szukał śmierci na polu walki i siłą uprowadzony został przez swe otoczenie do Novary, zwołał radę wojenną w pałacu Bellini. Na radzie tej, na której był również i premier Cadorna, uznano sytuację wojskową za beznadziejną i delegowano gen. Cossato do podjęcia rokowań o zawieszenie broni. Następnie Karol Albert, uważając, iż osoba jego będzie przeszkodą w rokowaniach pokojowych, zakomunikował zebranym swą decyzję abdykacji.

Następnego dnia, 24 marca, nowy król Wiktor Emanuel II spotkał się z marszałkiem Radetzky'm pod Vignale dla omówienia preliminarium zawieszenia broni, 26 marca zaś król wraz z Chrzanowskim z jednej strony, Radetzky z drugiej strony, podpisali w Novarze zawieszenie broni. Na mocy tegoż wojska austriackie miały zająć cały obszar pomiędzy Padem, Ticino a Sesią, w Alessandrii obok garnizonu sardyńskiego miał stanąć garnizon austriacki, ponadto Sardyncy mieli wycofać się z księstw włoskich (Parmy i Modeny), rozwiązać oddziały lombardzkie, węgierskie i polskie, sprowadzić wojsko na stopę pokojową, wreszcie wycofać swoją flotę z Adriatyku.

Warunki zawieszenia broni były bardzo łagodne dla Sardyncyków, którzy w rokowaniach pokojowych następnie potrafili obronić swój dotychczasowy stan posiadania. W ten sposób politycy sardyńscy, dążący za wszelką cenę do zakończenia wojny, cel swój osiągnęli kosztem znacznie mniejszym, niżby tego należało oczekiwać. Dlaczego jednak celem polityki sardyńskiej gen. Chrzanowski poświęcił swą

wojskową reputację, pozostaje dla nas zagadką, co do której można snuć tylko przypuszczenia.

Niewątpliwie Chrzanowski popełnił błędy z punktu widzenia czysto wojskowego. Błędem jego jest nie uregulowanie sprawy dowództwa pod Mortarą, jak również błędem taktycznym jest rozegranie bitwy pod Novarą, gdzie przepuścił moment zachwiania się 2-go korpusu austriackiego i prowadził bitwę tylko jednym skrzydłem. Być może, że obawiał się on ruszenia z pozycji obronnych jednostek sardyńskich, nie wierząc w ich zdolności zaczepne. Niewątpliwie jednak już w momencie wypowiedzenia zawieszenia broni musiał zdawać sobie sprawę, że rząd nie chce wojny i chce ją skończyć, choćby przegraną.

Przypuszczać można jedynie, iż Chrzanowski nie znał jeszcze warunków wewnętrznych armii sardyńskiej, bo znając jego metody pracy przyjąć należy, że zetknął się z nią tylko w sztabach, gdzie przygotowywał jej rozbudowę i reorganizację. Jako cudzoziemiec, mniej orientował się w nurtujących ją kierunkach, a nie znając także żołnierza sardyńskiego, oceniał go na poziomie mniej więcej żołnierza francuskiego.

Widząc, że rząd chce działania ryzykownego a szybkiego, być może spodziewał się, że pomimo wszystko po pierwszej bitwie uda mu się przejść do swego zasadniczego planu przecignięcia wojny do jakiejś interwencji dyplomatycznej. Na zupełne zniszczenie Austriaków liczyć nie mógł, gdyż ci zawsze mieli oparcie o czworobok twierdz.

Jak już powiedzieliśmy, Chrzanowski swą służbę sardyńską opłacił reputacją, nie mniej jednak przyznać należy, że i w tej kampanii okazał się świetnym planistą, dwukrotnie przekształcającym zależnie od okoliczności giętkie ugrupowanie wyjściowe. Z innymi dowódcami i z innym żołnierzem plany jego mogły być zrealizowane zupełnie inaczej.

II. RECENZJE

Zygmunt Wojciechowski. „Hold pruski i inne studia historyczne”. Poznań, Księgarnia Ziemi Zachodnich, 1946. Str. 152.

Wbrew zapowiedzi tytułu trudno tę książkę uznać za zbiór studiów historycznych. Niektóre z artykułów, jakkolwiek zawsze mają historię za tło, nie zasługują bynajmniej na tytuł studiów. Co więcej, posługując się historią jako środkiem, cele mają wyraźnie całkiem pozahistoryczne.

Z ośmiu artykułów, zamieszczonych w zbiorze, cztery są starymi znajomymi z czasów przedwojennych: „Pomorze a pojęcie Polski piastowskiej” było drukowane w „Roczniku Gdańskim” w r. 1936; „Dwa ośrodki państwowotwórcze w Polsce” — w „Kwartalniku Historycznym” w r. 1935; „Udział Śląska w dawnym zjednoczeniu ziem polskich” — w wydawanej przez Instytut Śląski w Katowicach serii „Polski Śląsk” w r. 1935; a „Dzieło o związkach Polski z Francją w wieku XII” — w poznańskich „Rocznikach Historycznych” w r. 1935. Można różnić się co do poglądów naukowych, wyrażonych w tych artykułach, nie można jednak mieć zastrzeżeń co do charakteru ich jako studiów.

Cztery pozostałe artykuły pochodzą już z okresu wyzwolenia Polski z całości, wolności i niepodległości przez jej potężnego wschodniego sąsiada. Wszystkie były drukowane w Poznaniu w r. 1945: „Przeszedł przez morze”, „Grunwald” i „Hold Pruski” w „Przeglądzie Zachodnim”, czwarty — „O podstawy cywilizacyjne Polski piastowskiej” — w „Życiu Literackim”. Spośród nich artykuł „Przeszedł przez morze”, zaznaczony przez autora jako „ustęp z większej całości” (str. 17), mógłby uchodzić za studium o charakterze naukowym. Rozpoczynający zbiorek artykuł „O podstawy cywilizacyjne Polski piastowskiej” mógłby co najwyżej pretendować do stanowiska artykułu popularyzacyjnego. „Grunwald” i „Hold Pruski” nie są już nawet i popularyzacją. Pokost historyczny w tych artykułach jest potrzebny jedynie do tym łatwiejszego przemycenia tez politycznych, a nie naukowych.

Dziwna skądinąd symbioza artykułów o charakterze naukowym z dawnych czasów z nowymi, o cechach propagandowo-politycznych, daje się z łatwością wytłumaczyć celami pozanaukowymi książki. Na łamach czasopisma naukowego nie bylibyśmy się nią zajmowali, gdyby nie fakt, że jest ona smutnym przykładem, bodaj że jednym z pierwszych, pójścia historyka w służbę polityki. Objawem czegoś, czemu ze zgorzeniem przyglądaliśmy się w Niemczech i w Rosji, żywiąc dumne przeświadczenie, że przecież nasza historia nie spadnie do poziomu powolnego narzędzia w rękę polityki, lub raczej czynników rządzących.

Już przedwojenne poglądy historiozoficzne prof. Zygmunta Wojcie-

chowskiego, historyka niewątpliwie uzdolnionego i bystrego, a zarazem czynnego polityka, którego poglądy polityczne wyciskały swe piętno na jego historiozofii, zbiegają się pod wieloma względami z tezami politycznymi obecnego reżimu. W okresie kiedy reżim ten, rezygnując z ziem wschodnich Rzeczypospolitej, przekreślał cały dorobek idei jagiellońskiej, wysługując się Rosji, i gwałtownie nawracał do Polski piastowskiej i państwa czysto narodowego, poglądy historyka, który w studiach swoich przedwojennych uzasadniał niejako prawa Polski do powrotu nad Odrę i do Szczecina, uważał, „że utrata ziem zachodnich przez Polskę, zainaugurowana utratą Pomorza szczecińskiego w końcu wieku XII, jest jednym z głównych przewodnich tragicznych motywów w dziejach Polski” (str. 67) i poczytywał za błąd przejście polityki polskiej do krakowskiego ośrodka państwowotwórczego, który doprowadził do unii z Litwą, i to takiej, która „związała się z trwałym opuszczeniem przez Polskę ziem nadodrzańskich” (str. 75 — 77), i głosił, że „najbardziej piekącym zagadnieniem Polski współczesnej jest walka o narodowy charakter państwa” (str. 64—65), poglądy takie nie tylko że nabierały specjalnej wartości, ale i zasługiwały na szerzenie. Zwłaszcza że i sprawa związku Śląska z Polską oraz jego roli w dawnych próbach zjednoczenia państwa znajdowała pełne uwzględnienie w jednym z artykułów i że autor z taką jasnością widział niebezpieczeństwo niemieckie, grożące Polsce na przestrzeni dziejów, nie dostrzegając niebezpieczeństwa rosyjskiego. Mapa jego „Granica ziem macierzystych Polski, zestawiona z granicą prowincji małopolskiej z 1569...” (str. 80), na której granica wschodnia owych „macierzystych ziem” tak szczęśliwie zbiega się z linią Ribbentrop — Mołowow i linią Jałty, że mogła by służyć Churchillowi do uzasadnienia przezeń praw Rosji do ziem wschodnich Polski, mapa ta mogłaby znaleźć aprobatę nie tylko reżimu, ale i jego mocodawców.

Nie można się dziwić, że czynniki, od których to zależało, ułatwiły prof. Wojciechowskiemu ponowne wydanie jego artykułów. Nie można się dziwić i autorowi, że z możliwością takiej skorzystał. Gdyby przedrukował był tylko swe dawne przedwojenne artykuły, nikt by nie mógł mieć żadnych zastrzeżeń co do zbieżności tez politycznych reżimu z poglądami historiozoficznymi prof. Wojciechowskiego. Inaczej zupełnie sprawa wygląda z chwilą, kiedy ogłoszone zostały owe artykuły z „Przeglądu Zachodniego” i „Życia Literackiego”. Tu już nie może być mowy o zbiegu okoliczności. Tu podporządkowanie historii jako narzędzia politycznego celom reżimu jest już całkiem widoczne. Tu chodzi już nie o historiozofię, lecz o czystej wody propagandę, tyle że propagandę zakamuflowaną w pseudohistorii.

Artykuł „O podstawy cywilizacyjne Polski piastowskiej” występuje bardzo zdecydowanie przeciwko tezie niemieckich historyków o normańskim pochodzeniu dynastii piastowskiej. I całkiem słusznie oskarża historię niemiecką o urabianie opinii w związku z drugą wojną światową (str. 9—10). Jeśli chodzi jednak o podstawy cywilizacyjne Polski piastowskiej, artykuł ten nie wnosi niemal że nic nowego, a w ujęciu zagadnienia nie zbliża się nawet do poziomu głębokiego potraktowania tej samej sprawy przez ś. p. Stanisława Zakrzewskiego w jego „Zagadnieniach historycznych”.

Twierdzenie Wojciechowskiego w związku z ustanowieniem przez Bolesława Krzywoustego zasady senioratu, że „po raz pierwszy zasadę tę ustanowiono na Rusi” (str. 16), wolałbym sformułować inaczej: w tym sensie, że obserwujemy ją po raz pierwszy na Rusi. Wydaje się bowiem ona być zasadą ogólnosłowiańską. Chyba że chodzi tu o podkreślenie zasady ogólniejszej: „Ex Oriente lux”.

Próba udowodnienia (str. 15–16), że Mieszko I walczył o wyspę Wołyń, gdyż potrzebował pieniędzy m. in. na opłacenie swej drużyny, jest wielce naiwna. Cały związany z tymi zagadnieniami końcowy ustęp jest już nie historią, lecz propagandą czystej wody. „Zająć Wołyń znaczyło tyle, co uzyskać znaczne źródła dochodu pieniężnego dla skarbu książęcego. Walka o Odrę stawała się tym samym walką o umocnienie władzy książęcej. Zagadnienie te mutatis mutandis wracają i dzisiaj, gdyż szeroki brzeg Bałtyku oznacza dla Polski możliwość prowadzenia handlu morskiego, a ten znów da państwu takie możliwości gospodarcze i finansowe, jakich nigdy dać nie mogły wschodnie latyfundia” (str. 16). W tym dźwięcznym frazesisie, którym historyk polski z lekkim sercem daje swą zgodę na zabór połowy ziem jego kraju, tkwi pointa całego artykułu.

Artykuł „Grunwald” jest właściwie zwykłym przemówieniem wiecowym. Nie widać na nim bodaj znajomości literatury przedmiotu. Autorowi wystarczy tu Sienkiewicz w „Krzyżakach” obok przygodnych urywków z Długosza. Nie można temu się dziwić, gdyż znowu chodzi tu o cele pozahistoryczne.

Autor puszcza całkowicie w niepamięć ustawiczny od czasów jagiellońskich napór Moskwy a potem Rosji na Polskę i stopniowe lecz konsekwentne wydzieranie przez nią ziem Rzeczypospolitej. Woli mówić o Zamoy-skim i Żółkiewskim jako o zwolennikach współpracy Polski z Moskwą. Początki konfliktu dostrzega dopiero w początkach XVIII w. i pociesza się, że przecież zwolennikami współpracy polsko-rosyjskiej byli nawet książę Adam Czartoryski i Roman Dmowski (str. 138).

Punkt ciężkości artykułu nie leży bynajmniej w historii samej, leży on w jej przystosowaniu do potrzeb propagandy. Dwa następujące ustępy są pod tym względem dostatecznie wymowne:

„Kłeska (Niemiec) w 1410 r. nastąpiła w wyniku współdziałania światów polskiego i litewsko-ruskiego, kłeska 1945 r. — w wyniku ostatecznego zharmonizowania poczynań Polski i Związku Radzieckiego. Pamiętajmy, że cała fantastyczna kariera Niemiec wyrosła na konflikcie słowiańskim, na walce polsko-rosyjskiej” (str. 137–138).

„Ten nowy Grunwald musimy wyzyskać tak, jak winniśmy byli wyzyskać go w r. 1410. Musimy trwale odebrać Niemcom ziemie polskie, stanąć bastionem w obronie Słowiańszczyzny przed Niemcami, przekonani, że na Wschodzie mamy sojusznika, którego przed Niemcami chronimy i na którego pomoc w potrzebie liczyć możemy” (str. 138).

„Hołd Pruski” jako odczyt inauguracyjny na otwarcie roku akademickiego 1945–46 w auli Uniwersytetu Poznańskiego jest oczywiście na wyższym od „Grunwaldu” poziomie. I tu jednak momenty propagandowe są istotą

sprawy. Znowu wypływa tu sprawa Polski jako bastionu Słowiańszczyzny. Potraktowanie tej sprawy jest tu przecież ogromnie znamienne: „Polska, wystawiona od wieków na wieloraki wpływ niemieczyny, zachowała się w stosunku do niego dość opornie, niewątpliwie i na skutek swoich odmienności w budowie społeczno-politycznej. Określimy ją jako opartą na zasadach przeciwstawnych do zasady bezwzględnego rozkazu i bezwzględnego posuszeństwa, na której oparta jest cała struktura narodu niemieckiego... Wylania się zagadnienie, czy w obliczu faktu, że Polska z konieczności, z natury swych stosunków będzie na długie wieki jeszcze bastionem Słowiańszczyzny w stosunku do Niemiec, czy nie jest celowe pozostawienie jej pewnych swoistych tradycji liberalizmu politycznego właśnie dla wzmożenia tej odporności wewnętrznej w stosunku do Niemiec. Polska od Niemiec musi być inna, inną zresztą zawsze była” (str. 151).

Wydaje się, że wszelkie dalsze komentarze co do „studiów historycznych”, zawartych w zbiorku prof. Zygmunta Wojciechowskiego „Hold pruski”, są zbyteczne.

Ottton Laskowski

Petrus Savio. „De Actis Nuntiaturae Poloniae quae partem Archivi Secretariatus Status constituunt”. „Studia Teologiczne”, t. XIII, Vaticani 1947. Str. 156.

Praca niniejsza nawiązuje do wydanych poprzednio przez ks. W. Meyszowicza prac o archiwach watykańskich jak i do zapowiedzianego a całkowicie do druku przygotowanego studium p. t. „Prospectica Descriptio totius Archivi Vaticani”.

W „Repertorium Bibliographicum pro rebus Polonicis Archivi Secreti Vaticani” („Studia Teologiczne”, XI, Vaticani 1943) znajdujemy wstępne wiadomości o pracach polskich historyków w Rzymie od r. 1577, kiedy to, za Batorego, zaczęto sporządzać pierwsze odpisy aktów Polski tyjących, aż do ostatniej wojny, zamykającej okres lat 1914—1939, najbardziej owocny, ale najpobieżniej przedstawiony.

Repertorium podaje jedynie bibliografię rzeczy polskich i rosyjskich i ich podstawę źródłową w zbiorach watykańskich; z obcych rzeczy wymienia tylko te, które „ex professo” mówią o rzeczach polskich, i z pominięciem wydawnictw, odnoszących się do dziejów powszechnych.

W całości doliczyć się można w bibliografii 43 nazwisk polskich obok 18 nazwisk obcych historyków — badaczy archiwów watykańskich. Z Polaków największy dorobek wykazują: Wł. Abraham, L. Boratyński, M. Loret i J. Ptaśnik, z obcych — T. Schmurlo i O. P. Pierling.

Repertorium zamyka „Tabula serierum Archivi Secreti Vaticani”, czyli wykaz działów, w liczbie 11, z podziałami (series, fondo), dochodzącymi liczby 244.

W dziale VI „Segreteria di Stato”, najbogatszym, bo obejmującym 66 poddziałów, znajdujemy pod VI a 18: „Nunziatura di Polonia”, a pod VI g 11: „Archivio della Nunziatura di Varsavia”. Nazwy same w sobie mogą spowodować i raz już spowodowały zamieszanie (dzięki błędnym cytatom L. Pastora), zwłaszcza że obok tych Archiwów „Nuncjatury” istnieje jeszcze trzecie archiwum nuncjatury warszawskiej, mianowicie założone przez pierwszego delegata stolicy apostolskiej w Polsce Odrodzonej, Achilleusa Ratti.

Archiwum Nunz. Varsav. przedstawione zostało w obszernej pracy Msgr. W. Meysztowicza „De Archivio Nuntiaturae Varsaviensis quod nunc in Archivio Secreto Vaticano servatur” („Studia Teologiczne”, XII, 1944). Archiwum to powstało w latach 1754—1795 i ze względu na epokę może być, zdaniem autora, nazwane „Archivum Nuntiaturae Varsav. sub Stanislao Augusto”. Wywiezione z Polski w r. 1796 do Wiednia, opatrzone tu zostało nowym katalogiem i przewiezione do Rzymu w r. 1859. Archiwum to zawiera regesta, koncepty i kopie listów, wysłanych z Nuncjatury do Sekretariatu Stanu i innych oraz oryginały listów, napływających do Nuncjatury czy to ze Sekretariatu Stanu, czy też od innych. Obejmuje ono 195 tek i tomów — spuścizna sześciu nuncjuszów, którzy rezydowali w Warszawie w latach 1754 do 1794. Jako zbiór źródeł jest ono zarazem dziełem czwartego z rzędu nuncjusza Józefa Garampiego (1772—1776), który w ciągu czterech lat pobytu w Polsce uporządkował zbiory nuncjatury, zastawszy po przyjeździe do Warszawy jedynie „disiecta folia”.

Archivum Nunz. Varsav. mało było dotąd znane historykom — autor wymienia wśród tych ostatnich M. Loreta, L. Pastora i O. Pierlinga S. J. — a przecież wystarczy przejrzeć mozolnie opracowany „Index Voluminum et Thecarum”, aby się przekonać jakie bogactwo źródeł mieści ono do dziejów Polski w latach 1754—1795. Oprócz spraw czysto watykańskich znajdujemy tu akta do prawie wszystkich sejmów Rzplitej z tego okresu, źródła do dyssydentów, unii, frankistów, do dziejów zakonów i wewnętrznych spraw biskupstw polskich i wielu, wielu innych. Jeżeli zamiarem autora było „utorować jedynie drogę badaczom, czerpiącym z archiwów watykańskich”, to celu tego dopiął w całej pełni.

Archiwum „Nunziatura di Polonia” powstało w latach 1567—1806 w Sekretariacie Stanu i zawiera, w przeciwieństwie do Archiwum Nunz. Varsav., regesta, koncepty i kopie listów, wysyłanych z Sekretariatu Stanu w sprawach polskich, tudzież oryginały listów nuncjuszów i innych osób do Sekretariatu Stanu.

Omawiana tu praca o tymże archiwum posiada następujące dwie części:

1) Inwentarz 434 tomów ze starą i nową sygnaturą i krótkie dane w formie regestu, dające pogląd na zawartość tomów. 2) Druga część przedstawia cały ten materiał w chronologicznym układzie i z następującym podziałem: a) Listy nuncjuszów w Polsce do Sekretariatu Stanu (od 1561—1806); b) Listy z Sekretariatu Stanu do nuncjuszów w Warszawie (1560—1804); c) „Biglietti e carteggi Ministri”, czyli rozmaita korespondencję do i od nuncjuszów i do Sekretariatu Stanu — z wyjątkiem korespondencji wymienionej pod a) i b) oraz korespondencji między obcymi (1564—1804); d) Czwarta część obejmuje

wykaz listów biskupów polskich do Ojca Świętego i Sekretariatu Stanu; e) W piątej części znajduje się wykaz listów różnych osób do nuncjuszów i od roku 1772 (przedtem rzadko) listy nuncjuszów do obcych poza wymienionymi pod a); f) Szósty dział wykazuje „Lettere diverse”, to jest listy osób takich jak królowie polscy i dostojnicy i inni do papieża, Sekretariatu Stanu i inną korespondencję; g) „Scritti informativi” zawierają takie rzeczy jak diariusze sejmów, instrukcje dla legatów apostolskich, akta i uchwały synodów prowincjonalnych polskich, relacje o sejmach, listy pasterskie biskupów i wiele, wiele innych; h) Tego samego rodzaju jest dział dziewiąty, wykazujący głównie rzeczy, które jako „Additamenta” znalazły się poza inwentarzem.

Nie ulega wątpliwości, że obaj autorzy oddali nauce wielką przysługę, którą docenią dopiero w przyszłości polscy i obcy badacze archiwów watykańskich. Przeglądając jednak „Tabulam serierum Archivi Secreti Vaticani”, odkrywamy, że nie całe Archiwum Watykańskie zostało już zbadane w poszukiwaniu rzeczy polskich. W chwili, kiedy Msgr. W. Meysztowicz ogłaszał „Repertorium Bibliographicum” w r. 1943, na 244 działy Archiwum zbadanych zostało 127, nie zbadanych 117, czyli w sam raz połowa zasobów. Właściwie w całości zbadane zostało tylko „Archivum Secretum proprie dictum”, „Acta Camerae Apostolicae” oraz zasoby „Segreteria di Stato” w znacznej części. Prawda, że są to działy najważniejsze, ale nie wiadomo, co się kryje w innych działach do dziejów polskich. Przed historykami polskimi stoi więc nielada trud. Patrząc na dotychczasowy rzetelny i mozolny wysiłek Msgr. Meysztowicza, żywić można nadzieję, że dokona on i tego jakże pożytecznie zaczętego dzieła.

Leon Koczy

Władysław Konopczyński. „Fryderyk Wielki a Polska”. Poznań, Instytut Zachodni, 1947. Str. 288.

Nowa praca prof. Konopczyńskiego, napisana pięknym, jędrnym i potoczystym językiem, daje szczegółowy obraz długiego szeregu wypadków, decydujących w dziejach naszego narodu. Jest to książka niezmiernie ciekawa, ale łatwej lektury nie stanowi. Autor wskutek swej wyjątkowej erudycji i całkowitego wżycia się w epokę operuje ogromną ilością nazw, dat i faktów, często posługuje się niedomówieniami i aluzjami, zrozumiałymi tylko dla kogoś, zorientowanego w zagadnieniach.

„Fryderyk Wielki” rozpada się na 13 rozdziałów, ułożonych chronologicznie. Jednakże w ciągu opowiadania autor często się cofa, a czasem zabiega naprzód. Przypisów nie ma. Bibliografia jest podana oddzielnie dla każdego rozdziału. Jest ona bardzo bogata i obejmuje prace wydane aż do roku 1946.

Treść książki odpowiada ściśle jej tytułowi: nie jest to rozprawa o Fryderyku II, a tylko bardzo szczegółowe studium jego działalności w stosunku do Polski. Książka nie daje obrazu Fryderyka jako wielkiego wodza, ani też

jako wybitnego dyplomaty, występuje z jej stron natomiast potworny obraz oszusta, chciwca, kłamcy, fałszerza, pochlebcy, a nawet łapownika (w młodości, str. 23). Obraz ten jest zabarwiony cynicznymi wypowiedziami Fryderyka i uzupełniony przypuszczeniem, że był on w dodatku i pederastą, co miał rozgłaszać Voltaire (str. 260). Obraz naprawdę straszny.

W całej książce wyczuwa się nienawiść autora do głównej postaci książki. Nienawiść ta jest aż nadto zrozumiała i usprawiedliwiona, jednakże może by było lepiej, gdyby była trochę mniej widoczna. Znajduje ona wyraz również w pewnych przejawach stylu i użyciu zwrotów kpiących, których by się wolało nie widzieć w pracy uczonego tak wielkiej miary. Jako przykład niech posłużą domniemane rozmyślenia młodzieńczego Fryderyka po wizycie w Dreźnie: „Podziwiał pewnie gust i wspaniałość drezdeńskich pałaców i sasko-polskich strojów, zestawiał je w myślach z opiętymi żakietami Prusaków, spod których wyglądały dobrze wykarmione pośladki (str. 17)”. Są to jednak tylko drobne plamki, w niczym nie zmniejszające wartości dzieła.

Znaczenie swej książki najlepiej scharakteryzował sam autor we wstępie. Píše on mianowicie o działalności Fryderyka: „Trzydzieści lat przygotowania, dwadzieścia lat dokonania. Trzydzieści lat słodkich słów, dwadzieścia lat strasznych czynów... Rzecz wszakże uderzająca — nikt dotychczas przedmiotu tego nie opracował. Nie ma o Fryderyku i Polsce ani książki, ani nawet krótkiej rozprawy. Nie usłuchali wezwania Askenazego historycy polscy, nie spróbowali ich wyprzedzić cudzoziemcy. Badacze niemieccy napisali o Fryderyku dużą bibliotekę, ale o jego traktowaniu spraw polskich jest w tym ogromie nieproporcjonalnie mało”. Nowa praca prof. Konopczyńskiego wypełnia tę właśnie lukę w historiografii światowej, i to właśnie stanowi jej główną zaletę. Nareszcie król-filozof, bohater i dobroczyńca ukazał się we właściwym świetle. Pragnąc należy, by praca ta jak najprędzej doczekała się tłumaczenia.

Znaczenie wielkości Fryderyka w dziejach Europy określa autor w końcowym ustępie swej książki, jak następuje: „Bezsporna, historyczna wielkość Fryderyka nie polega na tym, że pokonał Marię Teresę, że wymusztrował swych poddanych, pobił Francję i rozkrzewił w Prusiech oświatę francuską: polega ona na pogwałceniu Polski. Spełniając tę dziejową misję, zaszczerpił on niemieckiemu narodowi jeszcze większe, światowe posłannictwo ujarzmiania i pożerania wszystkich ludów naokoło. I trudno nie nazwać Wielkim męża, który wypromieniował z siebie energie zdobywcze na wnuki i prawnuki, aż pójdą wszyscy za dziesiątą granicę, od zwycięstwa do zwycięstwa na złamanie karku pod El-Alamein, pod Stalingrad, pod Falaise, na ostateczny pogrom — w Berlinie”. Trudno by było nie zgodzić się z autorem, że Fryderyk był głównym promotorem dążności zaborczych Prus, aczkolwiek nie on je zapoczątkował, oraz że on właśnie państwo pruskie do tej przyszłej działalności przygotował i zorganizował, stwarzając potęgę militarną, zakładając podwaliny pod dobrobyt materialny, a przede wszystkim hodując i rozwijając ducha agresji i chciwości. Trudno też się nie zgodzić, że zabór ziem polskich był bardzo wielkim etapem na drodze do przyszłych marzeń o wszechświatowej władzy, a więc i do klęski, której byliśmy świadkami.

Że w dziejach Niemiec Fryderyk II jest figurą pierwszorzędnej wagi, nie ulega wątpliwości, ale czy jest głównym aktorem w osiemnastowiecznej tragedii Polski, to jeszcze kwestia. Autor bardzo szczegółowo przedstawia nam jego działalność. Widzimy niemal rok po roku jego intrygi, dążące do rozbiorów i jak największego obłowienia się przy tej okazji, jego pracę demoralizatorską, prowadzoną nie tylko w Warszawie, ale również i w Petersburgu, i Wiedniu, wreszcie jego starania gospodarcze, mające na celu jednocześnie ruinę Polski i wzbogacenie się Prus. Przed oczami czytelnika przechodzi ponury korowód rozmaitego rodzaju łajdaków, służących sprawie wielkiego króla. Jest i książę Henryk Pruski z jego misjami do Petersburga, jest ohydny rzeczywiście Benoit, są Ephraim, Fraenklowie, Gumpertz et consortes, fałszujący pieniądze, które król będzie siłą wpychał do Polski, są bandyckie wyprawy Bellinga i innych pruskich generałów. Widzimy komorę w Kwidzynie, i komorę w Fordoniu, rujnujące dobrobyt Polski. Widzimy usłużnych pruskich prawników, znajdujących usprawiedliwienie dla każdego bezprawia, widzimy rzesze przekupionych Polaków, ale obok nich również przekupionych Moskali.

Fryderyk jest stale główną sprężyną wszelkich antypolskich poczynań, ale ze stron książki urasta poza jego plecami inna postać, większa, potężniejsza i groźniejsza. Urasta ona zdaje się wbrew woli autora, który skupia swoją uwagę na Fryderyku. Fryderyk przygotowuje rozbiory, śpieszy się, bo może Rosja tymczasem zagarnie całą Polskę. Pogromcą Marii Teresy pisze listy uniżone, prawie że wiernopoddańcze do Semiramidy Północy. Fryderyk rabuje, zagarnia ziemie polskie, przygotowuje i przeprowadza pierwszy rozbiór, obmyśla już następne, ale zawsze za pozwoleniem i zgodą Katarzyny. Jedno jej zmarszczenie brwi wystarcza, by go zmusić do cofnięcia się. Jest to rzeczą wiadomą wówczas i dlatego skargi na czyny Fryderyka płyną do Petersburga. Nawet mieszczańscy toruńscy piszą do wielkiej „Ueberwinderin” z prośbą o ratunek. Od jej woli wszystko zależy i bez niej nic się nie dzieje. Fryderyk zbyt dobrze pamięta wojska rosyjskie w Berlinie, wie on dobrze, iż ratunek swój podczas siedmioletniej wojny zawdzięcza tylko śmierci carycy Elżbiety. Jeśli w sprawie rozbiorów Fryderyk rzeczywiście odegrał rolę głównego podżegacza, to hersztem, na którego spada główna odpowiedzialność za popełnioną zbrodnię, była jednak Katarzyna.

Władysław Dziewanowski

„Rok 1848 w Polsce”. Wybór źródeł. Opracował **Stefan Kieniewicz** (Biblioteka Narodowa, seria I, nr 127). Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1948. Str. XLIX i 1 nlb. i 350.

Historiografia polska nie posiada właściwie — poza odpowiednimi rozdziałami w wydawnictwie Trzaski, Ewerta i Michalskiego „Polska, jej dzieje i kultura” — ogólnej źródłowej monografii, poświęconej polskim ruchom w. 1848 r. (przegląd polskiej historiografii 1848 r. opublikował parę miesięcy temu M. Tyrowicz), zarówno jak nie posiada i pracy, poświęconej całości

„Wiosny Ludów”. Zapowiedziane na r. 1948 jubileuszowe zbiorowe wydawnictwo nie ujrzało jeszcze światła dziennego i, niestety, można się obawiać, iż zawiędzie pokładane nadzieje, a to ze względu na specyficzną dobrany komitet redakcyjny i pewnych współpracowników, którzy, jak świadczą drukowane w „Kuznicy” fragmenty z ich prac (np. „Podłoże gospodarcze Wiosny Ludów” lub „Rok 1848 i sprawa zjednoczenia Niemiec”), nie posiadają dostatecznej znajomości omawianej epoki, a brak źródłowych wiadomości starają się pokryć swoistą frazeologią i daleko idącymi uogólnieniami. Niezależnie zresztą od tych hipotetycznych zastrzeżeń — wierzę, iż autorzy po przeczytaniu w druku tych fragmentów ze swych prac uzupełniają te studia i prace swe pogłębiają — należy podkreślić, iż stulecie „Wiosny Ludów” wpłynęło korzystnie na polską historiografię, która wreszcie poświęca jej więcej miejsca i czasu.

Przejawem wzmożonego zainteresowania się ruchami 1848 roku jest i wydawnictwo Ossolineum, tomik Biblioteki Narodowej, zawierający wybór źródeł do dziejów 1848 r. w Polsce. Nie przynosi to wydawnictwo nowego lub dotychczas mało znanego materiału. Wyjątek stanowi parę rękopisów Ossolineum, dotyczących Galicji. Duża część materiału została przedrukowana z „Wizerunków” Zienkowicza, pewna część wzięta z ogólnie znanych opracowań Rakowskiego i Karwowskiego, część nieznaczna — z opracowań Wislockiego o kongresie słowiańskim, Minkowskiej o organizacji spiskowej 1848 r. w Królestwie Polskim, Sznur-Peplowskiego i Barańskiego o Galicji, Kieniewiczza o Poznańskim, z rozprawki Jakóbczyka i z „Bellony” (ciekawy memoriał Prądyńskiego, drukowany przez Frejlicha). Podano ponadto dużo fragmentów z drukowanych pamiętników i wspomnień jak Sapiehy, Koźmiana, Ziemiałkowskiego, Smolki, Felińskiego, Miłkowskiego, Sczanieckiego, Szumana i Wybranowskiego. Znajduje się tu oczywiście i duża ilość fragmentów z pism Mierosławskiego. Artykuły z pism współczesnych i nieco wyjątków z współczesnej korespondencji uzupełniają te materiały.

Podane źródła nie mają dać nowych danych dla tworzenia nowych aspektów, lecz materiały charakterystyczne, tak by czytelnik mógł wytworzyć sobie wierny obraz przebiegu wypadków i te wydarzenia zrozumieć.

Źródła wybrane zostały trafnie i dobrze rozplanowane. Nie bardzo rozumiałe jest tylko umieszczenie apelu „do Rosjan” (przedruk z poznańskiej „Gazety Polskiej”) w dziale Królestwa Kongresowego, boć był to apel powstańców poznańskich, a jeżeli o umieszczeniu w tym dziale zadecydował moment, że apel ten skierowano, mając na widoku wojnę z Rosją, to również i memoriał Prądyńskiego o wojnie z Rosją należałoby umieścić w tym dziale, a znajduje się on — i słusznie — w dziale „Poznańskie”, jako skierowany do poznańskiego Komitetu Narodowego (pisany w Krakowie). Ponadto byłoby może wskazane podanie i manifestu krakowskiego z 22 lutego 1846 r., choć wiąże się tylko pośrednio z wypadkami 1848 r., a to z tego powodu, iż duża część przedrukowanych w książce enuncjacji powstańczych powołuje się na ten manifest i uznaje go za obowiązujący.

„Wybór źródeł” objaśnieniami i wstępem zaopatrzył prof. Stefan Kieniewicz. Osoba Kieniewiczza, jednego z nielicznych wybitnych znawców

tego okresu (poza Kieniewiczem, Lewakiem, Tyrowiczem i ks. Żywczyńskim nie ma chyba wśród żyjących polskich historyków innych znawców tej epoki), daje gwarancję zarówno ścisłości wyjaśnień, jak i wierności ogólnego obrazu wydarzeń, przedstawionego we wstępie.

Edmund Oppman

III. KRONIKA

— Wydany w Warszawie pod redakcją Stanisława Michalskiego i Janiny Małkowskiej pierwszy powojenny, a XXV ogólnego zbioru tom „Nauki Polskiej” przynosi m. in. referat Władysława Konopczyńskiego „Zadania nauki historycznej w Polsce dzisiejszej”. Za najbliższe zadanie prof. Konopczyński uważa „rewindykację naszego dorobku kulturalnego, wywiezionego przez Niemców i pozostałego na terenach utraconych” oraz uzyskanie od Niemców odszkodowania w książkach i dokumentach („Słuszność wymaga, aby Rzesza Niemiecka wydała Polsce nie tylko wszystkie polonica (jak archiwum Sobieskich, różne działy archiwum drezdeńskiego z czasów Augustów itp.), ale także jeśli nie bezpowrotnie, to na przeciąg lat pięćdziesięciu, do zupełnego naukowego wyzyskania, te działy aktów pruskich, saskich, austriackich i in., które oświetlają sprawy polskie”). W sprawie rozmieszczenia zbiorów autor wypowiada się przeciwko planom komasacji wszystkich zbiorów prywatnych w Warszawie. Domaga się planowości zarówno w dziedzinie wydawania źródeł („Zgodnie z tym Komisja Historyczna P. A. U. zdecydowała się zaraz po wojnie zakończyć tylko tomy już rozpoczęte, prowadzić dalej czy też podjąć publikację najważniejsze, jak Corpus Juris Polonici, Traktaty Międzynarodowe, ewentualnie Rachunki Sejmowe; zawiesić natomiast lauda, diariusze itp.”), jak i prac konstrukcyjnych. Należy natomiast starać się po zniszczeniach wojennych jak najwięcej cennych archiwaliów powielić w odbitkach czy fotokopiach. Jeśli idzie o opracowania, to jako najważniejszy dezyderat wysunięto tu sprawę obszernych zbiorowych dziejów Polski („Muszą powstać na miarę europejską 15-tomowe „Dzieje Narodu aż po rok 1939”), dalej kontynuację „Polskiego Słownika Biograficznego”, opracowanie „Atlasu Historycznego Polski” oraz podjęcie na nowo „Polskiego Słownika Geograficznego”. Jako tematy szczególnie aktualne w chwili obecnej wysunięto tu problemy Ziem Zachodnich, historię chłopów, dzieje warstwy robotniczej oraz opracowanie dziejów Polski w latach 1918—1939. Natomiast badanie dziejów wojny 1939—45 uważa prof. Konopczyński jeszcze dzisiaj za przedczesne. Osobny ustęp referatu poświęcono postulatom w sprawie stacji polskich zagranicą, przede wszystkim w Rzymie, Paryżu, Londynie i Moskwie. Czytamy tu o Londynie: „Dzieje powszechne z jeszcze obfitym skutkiem (niż w Paryżu) badać będziemy w Londynie, w Muzeum Brytyjskim. Powstająca w jego pobliżu biblioteka polska „Polish Research Centre” powinna by służyć nie tyle badaczom przeszłości naszej, ile tym,

co się zainteresują dziejami świata, życiem społecznym, ekonomią, prawem, w ogóle humanistyką, a w szczególności — kulturą anglosaską. Ponieważ British Museum słabo jest zaopatrzone w polonica, a bez nich także i wielu rzeczy światowych poznać nie można, ośrodek nasz powinien luki te wypełnić dziełami własnymi i wypożyczonymi z kraju”.

— Wrocławskie Towarzystwo Naukowe wydało w Serii A swoich Prac następujące studia historyczne: nr. 2, Karol Maleczyński „W sprawie autentyczności bulli gnieźnieńskiej z r. 1136” („znany dziś przekaz jest falsyfikatem, powstałym na podstawie autentycznej bulli z r. 1136 między r. 1139 a 1145”); nr. 3, Tadeusz Mikulski „Nad tekstami Kniaźnina. I” (omawia pięć redakcji „Ody do wąsów” oraz śledzi dzieje „Ody” w tradycji obyczajowej i literackiej XIX w., pod koniec książki podano teksty wszystkich pięciu redakcji); nr. 5, Ewa Maleczyńska „Społeczeństwo polskie pierwszej połowy XV w. wobec zagadnień zachodnich” (zdaniem autorki, „nieprzeciętnej postaci Jagielly Olgierdowicza musimy przypisać śmiałą inicjatywę zmiany dotychczasowego kierunku ekspansji Litwy, zajętej zbieraniem ziem ruskich, na ekspansję na zachód. Punktem wyjścia tej zmiany jest akt krewski, i w tym właśnie leży jego ogromne, niedoceniane dotąd znaczenie. Ekspansja na zachód pozostaje odtąd, choć nie bez wahań i załamań, charakterystyczną cechą pierwszych Jagiellonów. Ona też jedna zasługuje z punktu widzenia naukowego na nazwę idei jagiellońskiej”. Głównego winowajcę niepowodzenia tej polityki widzi autorka przede wszystkim w obozie możnowładczym, głównego zaś przedstawiciela polityki ekspansji zachodniej — w obozie husyckim, którego radykalizm społeczny silnie akcentuje. Klęskę konfederatów Spytka z Melsztyna pod Grotnikami uważa za jeden z punktów zwrotnych historii Polski: „Bitwa grotnicka zadecydowała o porzuceniu przez Polskę sprawy Czech i o przejściu ich w ręce habsburskie, a równocześnie o zaniechaniu gruntownej, wewnętrznej przebudowy państwa polskiego. Późniejsze sukcesy Kazimierza Jagiellończyka w polityce zagranicznej, czy jego wzmocnienie władzy w stosunku do możnowładztwa są sukcesami jedynie chwilowymi, pozornie tylko identycznymi z dążeniami pierwszych Jagiellonów”.); nr. 6, Władysław Czaplinski „Polska a Prusy i Brandenburgia za Władysława IV” (obszerna, bez mała 300-stronicowa książka, opracowana na podstawie archiwaliów polskich, berlińskich, królewieckich, a także sztokholmskich, kopenhaskich i paryskich, omawia szczegółowo stosunki polsko-pruskie od konwokacji 1632 r. do ostatniego hołdu pruskiego 1641 r.; w ostatnim rozdziale króciutko omówiono lata 1641—1648. Do polityki pruskiej króla odnosi się autor krytycznie: „Potrafił on się tu zdobyć na silną rękę i stanowcze działanie, umiał przeprzeć swą wolę, ale tylko wtedy, gdy to miało służyć innym, większym planom. Z chwilą gdy te rozwiewały się jak większość jego zamiarów, przekreślał swe wczorajsze posunięcia, nie dbając o nic.”); nr. 10, Bolesław Olszewicz „Polska a odkrycie Ameryki” (o odkryciu Nowego Świata dowiedziano się w Polsce między r. 1495 a 1501, najstarszym wydaniem w Polsce drukiem, wspominającym o nim, jest książka Jana z Głogowa „Introductorium compendiosum” (Kraków 1506), pierwszym autorem polskim, który użył w r. 1512 nazwy Ameryka, był Jan ze Stobnicy,

pierwszym Polakiem, który korespondował z Nowym Światem, był Jan Dantyszek, zaś pierwszym Polakiem, który pisał o Ameryce z autopsji, był w XVII w. Krzysztof Arciszewski; — praca ma się ukazać również w redakcji angielskiej); nr. 12, Władysław Pocięcha „Polska wobec elekcji cesarza Karola V w r. 1519” (wysuwa tezę, że Polska zdecydowała o wyborze Karola V. Poza tym „w wirze walki o tron cesarski krystalizuje się po raz pierwszy w Polsce całkiem już nowożytna koncepcja polityczna szukania oparcia we Francji przeciwko imperializmowi habsburskiemu”). — Poza wyżej wymienionymi przedstawiono na posiedzeniach Towarzystwa w latach 1946 i 1947, jak się o tym dowiadujemy z jego „Sprawozdań”, m. in. także i następujące prace: Ludwik Bazylow, „Starania Stefana Batorego o tron polski”, Władysław Czapliński „Śląsk a Polska w początkach wojny trzydziestoletniej”, Józef Gierowski „Stosunki językowe na Śląsku na podstawie ankiety z r. 1814”, Stefan Golachowski i Alfred Kucner „Polskość Śląska w świetle tajnych niemieckich dokumentów”, Juliusz Krzyżanowski, „Modyfikacje Szeks-pirowskie (wstęp metodyczny)”, Kazimierz Majewski „Importy rzymskie na ziemiach słowińskich”, Karol Maleczyński „Kodeks dyplomatyczny śląski” (omawia przygotowywane wydanie zbioru pełnych tekstów dokumentów średniowiecznych, dotyczących Śląska; zeszyt pierwszy, obejmujący dokumenty do r. 1200, jest już w druku i ma się ukazać ma jesieni b. r.), W. J. Opatrny „Piotr du Moulin i polski przekład jego Heraklita”, Stefan Przewalski „Generał Maciej Rybiński”, Stanisław Rospond „Pierwotna nazwa Szczecina a północno-zachodnia granica Polski Piastowskiej”;

— Dwa zeszyty „Sprawozdań Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk” za r. 1947 przynoszą streszczenia następujących prac historycznych: Anna Dembińska „Zygmunt I w latach 1540—48. Zarys dziejów wewnętrzno-politycznych” (rzecz opracowana na podstawie Tomicianów oraz archiwaliów królewieckich i wiedeńskich), Olga Łaszczyńska „Ród Herburtów w wiekach średnich” (od połowy XIII do połowy XVI w.), Józef Matuszewski „Rękojemstwo i zastaw w prawie rugijskim”, Józef Mitkowski „Początki klasztoru cystersów w Sulejowie (wiek XII i XIII)”, Janusz Pajewski „Sprawa polska w dobie wojny europejskiej, 1914—1918 jako zagadnienie międzynarodowe” (polemizuje z ujęciami Askenazego, Bobrzyńskiego, Dmowskiego i Seydy, które to ujęcia wszystkie „niezależnie od dzielących je bardzo istotnych i zasadniczych nieraz różnic, zgodnie przedstawiają sprawę polską jako jedno z zasadniczych, podstawowych zagadnień polityki europejskiej jako problem, który wpływa decydująco na losy Europy”. Zdaniem Pajewskiego, „takie ujmowanie sprawy odznacza się niewątpliwym wyolbrzymianiem międzynarodowego znaczenia sprawy polskiej i wielką w tym kierunku przesadą”), Michał Szczaniecki „Dzieje ludności polskiej na Ziemi Lubuskiej”. Spośród prac, przedstawionych na Komisji Filologicznej Towarzystwa, bliżej zainteresować mogą historyków następujące: ks. Alojzy Liguda „Opowieść Galla-Anonima a Biblia”, Jan Miśkowiak „Muenchhausen” i jego polskie przekłady (kartka z dziejów literatury ludowej w Polsce)”, Bożena Osmólska-Piskorska „Pomorskie Towarzystwo Pomocy Naukowej. Pół wieku istnienia i działalności, 1848—1898”, Zofia Skorupska „Mecnat Wła-

dysława IV Wazy", Wiktor Hahn „Józefłowiecki, zapomniany poeta wielkopolski (1852—1902)", Stefania Landówna „Legenda o Byronie w Polsce, 1816—1863". W ciągu roku 1947 Towarzystwo wydało m. in. następujące książki: Oswald Balzer „Statuty Kazimierza Wielkiego", Józef Matuszewski „Studia nad prawem rugijskim, cz. I", Adam Skalkowski „Aleksander Wielkopolski w świetle archiwów rodzinnych", t. I—III; dwa czasopisma naukowe: „Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych" t. IX oraz „Czasopismo Prawno-Historyczne" t. I, i broszurę Zygmunta Lisowskiego „Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w latach 1927—1947".

— Wydany z datą ub. r. pod redakcją Jana Dąbrowskiego, Romana Grodeckiego i Kazimierza Lepszego rocznik LIV „Kwartalnika Historycznego" poświęcony został pamięci Stanisława Kutrzeby. O Kutrzebie jako organizatorze Polskiej Akademii Umiejętności pisze tam Tadeusz Kowalski, o historyku prawa — Adam Vetulani, o historyku Krakowa — Jan Dąbrowski. Zeszyt przynosi także „Uzupełnienie nekrologii wojennej", oraz Romana Grodeckiego charakterystykę pośmiertną Adama Kłodzkiego, Kazimierza Piwarskiego artykuł o Józefie Feldmanie i kronikę naukową.

— Wydany w Łodzi z datą ub. r. t. IX „Przeglądu Socjologicznego" przynosi obszerną rozprawę Tadeusza Gołębiewskiego „Stosunki gospodarczo-społeczne w Królestwie Kongresowym w okresie 1815—1846" oraz w dziale „Problemy i prądy" publicystyczno-sprawozdawcze artykuły Józefa Chałasińskiego „Problematyka najnowszej historii polskiej" i „Historia i socjologia" (referuje głosy historyków oraz publicystów reżimu, swego zdania nie ujawnia), Krystyny Śreniewskiej „Zagadnienie reformy uniwersyteckich studiów historycznych" i M. H. Serejskiego „Problemy teorii i praktyki historycznej w świetle badań amerykańskich" (omówienie zbiorowej pracy amerykańskiej „Theory and Practice in Historical Study").

— We Wrocławiu zaczęło wychodzić nowe czasopismo historyczne, wydawane półrocznie, „Sobótka". Pismo, redagowane przez Antoniego Knota, poświęcone jest dziejom Śląska. Dostępne nam dwa zeszyty rocznika 1946 przynoszą m. in. następujące rozprawy: zeszyt I — Karol Maleczyński „Herb miasta Wrocławia", Ewa Maleczyńska „Udział Śląska w zmaganiach polsko-niemieckich pierwszej połowy XV w.", Władysław Czaplinski „Pierwszy pobyt Jerzego Lubomirskiego na Śląsku (1664—1665)", Antoni Knot „Wrocławskie echa kultu Kościuszki"; zeszyt II — Henryk Barycz „Polska młodzież akademicka we Wrocławiu przed powstaniem styczniowym (1858—1863)", Franciszek Jankowski „Polonia wrocławska w okresie międzywojennym (1918—1939)", Władysław Czaplinski „Polacy w szkole jezuickiej we Wrocławiu w poł. XVII w.", Jadwiga Pelczyna „Polskość prowincji śląskich w pierwszej połowie XIX wieku". W obu zeszytach znajdujemy duży dział recenzji.

— Blackwell w Oxfordzie wydał Louisa B. Frewera bibliografię angielskiej literatury historycznej za lata 1940—1945, „Bibliography of Historical Writings published in Great Britain and The Empire". Tom, opracowany na tych samych zasadach co przedwojenna „International Bibliography of Historical Sciences", obejmuje 5315 pozycji zarówno książkowych, jak i z periodyków

(częściowo także i amerykańskich). Został on zaopatrzony w staranne indeksy. — Inny, popularniejszy charakter mają wydawane przez Historical Association w Londynie tanie zeszyty „Annual Bulletin of Historical Literature”. W r. 1946 ukazał się zeszyt XXXI, obejmujący lata 1942—1945, zaś w b. r. — zeszyt XXXII za rok 1946. „Annual Bulletin” obok historycznej literatury anglo-amerykańskiej odnotowuje także — w skąpym co prawda wyborze — najważniejsze kontynentalne publikacje historyczne.

— Zeszyt za styczeń — marzec b. r. paryskiej „Revue Historique” przynosi m. in. Henri Brunschwiga przegląd wydawnictw, poświęconych najnowszej historii niemieckiej „L’Allemagne moderne et contemporaine: de Bismarck a nos jours”. Trzy omówione tam książki zahaczają bliżej o sprawy polskie. Richard Wonsler Tims w książce wydanej w New Yorku w r. 1941 p. t. „Germanizing Prussian Poland. The H-K-T Society and the Struggle for the Eastern Marches in the German Empire, 1894—1919” dał historię hakaty. Zdaniem recenzenta jest to „pożyteczna synteza”, „doskonale udokumentowana”. John Mason Brown wydał w r. 1946 nakładem Stanford University Press książkę „The Danzig Dilemma”. Ma to być — jak czytamy w recenzji — „magistralna synteza”, oparta na wyczerpującym wyzyskaniu źródeł. Autor książki zbierał do niej materiały w Berlinie, w Warszawie i w Genewie. Gabriel-Louis Jaray wydał w Paryżu w r. 1945 „Tableau de l’Allemagne et de la Pologne”. W recenzji nie omówiono rozdziałów, poświęconych Polsce, obejmujących zresztą mniej niż jedną szóstą objętości książki. Z omówienia jednak „obrazu” Niemiec wynika, że jest to praca popularyzacyjna i raczej powierzchowna. — Wypada wreszcie wspomnieć też wydaną w New Yorku książkę Maxa Weinreicha „Hitler’s Professors. The Part of Scholarship in Germany’s Crimes against the Jewish People”. Książka ta poświęcona jest przede wszystkim udziałowi nauki niemieckiej w eksterminacji Żydów, ale — jak z omówienia wynika — zajmuje się także rolą, jaką nauka niemiecka odegrała w przygotowaniu agresji na Polskę w r. 1939.

— Ostatni, 116, zeszyt „History” przynosi zwięzłą recenzję „Fryderyka Wielkiego a Polski” Władysława Konopczyńskiego pióra W. F. Reddaway’a. „By publishing this study of Frederick the Great — pisze prof. Reddaway — the Western Institute has rendered an outstanding service, not least to the countrymen of Carlyle . . . Every page of this chronological survey cries out for rendering into English or at least some western tongue”. — W tym samym zeszycie znajdujemy też krótką informacyjną wzmiankę o naszym piśmie.

IV. RÉSUMÉS

MARIAN KUKIEL. The Polish Conceptions of National Revolution before 1848.

After their war for independence of 1830-31 the Poles were no more masters of any part of their soil nor had they any national army. Their confidence in an intervention of the Western Powers had been shaken as was, long before, their belief in the brotherly help of freedom loving Peoples. In spite of this, the Polish emigration and the underground leaders never gave up the idea of a new general insurrection. Prince Adam Czartoryski (the former President of the National Government 1831), leader of the Conservative Party in exile, sponsored the idea of an uprising, but one that should be prepared and launched at the right moment, namely that of an international conflict. He looked to foreign help and cooperation. On the democratic Left however the idea of a popular rising, deriving its strength from the whole Polish nation independent of foreign aid, became a dogma which gradually prevailed in Polish political and military thinking. The author shows how much that idea was a legacy of Kościuszko, the leader of the Insurrection of 1794, and to what extent the concepts of a new uprising were influenced by his words and deeds. The general belief in the invincibility of the future national revolution was based on the assumption that the energy of the millions of Polish people, if released by the announcement of the emancipation of the peasants and the granting of full ownership of their lands, would be sufficient to deal with the relatively limited occupation forces of the three Powers. The difficult problem of equipment was to be solved by the use of (as in 1794) scythes as infantry weapons, and the provision of lances for the cavalry. This was a complete delusion: columns of infantry with scythes could still be formidable in Kościuszko's time, but not half a century later.

Those ideas were common to all the left wing political and military leaders and writers, but there were three conflicting doctrines of national revolution. One of them was strongly connected with the still surviving ideological trends of the Carbonarism. Henryk Kamiński, its champion, preached the theory of spontaneous Revolution, without previous organisation or centralised leadership, contemptuously rejecting any military guidance and rules. He explained his theory in a treatise on „The People's War”. The second doctrine, aptly expounded by K. B. Stolzman, recommended guerilla warfare on the Spanish pattern; he believed it to be the most effective form of opposition against the power of regular armies. But the most prominent leader and writer on the democratic side, young Ludwik Mierosławski (the future Commander in Chief in Posnania, Sicily and Baden, 1848-9), vehemently attacked both these doctrines, denouncing them as anarchical extravagancies, and propounded his own theory, modelled on the French Jacobin pattern of 1793: revolutionary dictatorship, total war effort, omnipotent and cen-

tralised authorities, strong military discipline, unity of action, improvised armies immediately launched against the enemy, operations conducted accordingly to the principles of strategy (as demonstrated by Napoleon). Of course, miracles would have to be achieved if those postulates were to be realised. Mierosławski's doctrine prevailed in the „Democratic Society”, the leading left wing political organisation in 1844-5. But the insurrection which was planned for February 1846, was crushed at the very beginning without Mierosławski's ideas having been put to the test, though certainly that catastrophe was a warning against the delusions of political and military romanticism.

OSKAR HALECKI. The Genesis of the Red Tsardom.

The paper discusses a new book published recently in the USA in English under the title of „The Origins of Modern Russia” (New York, The Polish Institute of Arts and Sciences in America, 1948), its author Jan Kucharzewski being a well known Polish historian and statesman. The book is an abridged version of a seven-volume work „From White Tsardom to Red”, published in Polish in 1923—1935. Except for the first chapter which goes back as far as the XV-th Century and the last, on Russian Communism, the book deals with the history of Russia from 1825 till 1881, special stress being laid on three main problems: the agrarian problem, the problem of the Russian „intelligentsia”, and Russian revolutionary movements in the XIX-th Cent. with Bakunin as the central figure. Moreover, the book includes the detailed analysis of the Russian attitude towards Poland, both of official Russia and of Russian revolutionaries. The paper points out that the book reveals the breadth and depth of Kucharzewski's learning and his intimate knowledge of Russia's history.

JULIUSZ KOZOLUBSKI. The Sardinian service of General Wojciech Chrzanowski (The Battle of Novara).

The paper deals with that period of the Austro-Sardinian war of 1848—1849, in which the Polish General Chrzanowski was the real leader of the Sardinian army, although he was nominally only invested with the title of a „Major General”. Having presented the state of the Sardinian army after the lost campaign of 1848 and the military reforms and organisations of Chrzanowski the author points out that the government of Sardinia, oppressed by the enormous expenditure for the army decided to finish the war as quickly as possible and at any cost. Against the opinion of Chrzanowski it denounced the armistice and accepted a plan of action which made the outcome of the war dependent on a single battle. The execution of that plan and the mistakes and errors of the Sardinian generals led to the battle of Novara, which was lost by a tactical error of Chrzanowski.

The author tries to elucidate the problem why Chrzanowski who undoubtedly understood the game of the Sardinian government and saw the very small chances of a victory under those conditions, remained at his post and took the blame for the lost campaign.

KOMITET REDAKCYJNY:

*Leon Koczy, Marian Kukiel,
Edmund Oppman, Henryk Paszkiewicz,
Tadeusz Sulimirski.*

REDAKTOR: *Otton Laskowski.*

ZASTĘPCA REDAKTORA I SEKRETARZ REDAKCJI: *Wiktor Weintraub.*

Cena zeszytu: 3 sh.

Prenumerata roczna 12 sh.

**Adres Redakcji: Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii,
c/o 20, Princes Gate, London S. W. 7.**

Price 3 sh.

Annual Postal Subscription Rate 12 sh.

**Orders, with remittance, should be sent to POLISH HISTORICAL
SOCIETY, c/o 20, Princes Gate, London S. W. 7.**

**Printed by: The Montgomeryshire Printing and Stationery Co., Ltd., Newtown,
Mid-Wales.**

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
W WIELKIEJ BRYTANII

TEKI HISTORYCZNE

NAKŁADEM TOWARZYSTWA

LONDYN T. II, Nr. 4. PAŹDZIERNIK—GRUDZIEŃ 1948

vetal. / die

2.P.4484

SPIS RZECZY

I. ROZPRAWY :

Marian Heitzman: Collingwooda teoria poznania historycznego — str. 233; **Tadeusz Sulimirski:** Pradzieje ziem polskich. Przegląd najważniejszej literatury powojennej — str. 256.

II. RECENZJE : „Polski Słownik Biograficzny”, t. VI (Marian Kukiel) — str. 285; J. W. Thompson — B. J. Holm : „A History of Historical Writing” (A. F. Dygnas) — str. 287; E. L. Woodward : „British Historians” (A. F. Dygnas) — str. 290; Aloys Ruppel : „Stanislaus Polonus, ein polnischer Fruehdrucker in Spanien” (Wiktor Weintraub) — str. 291; G. H. Turnbull : „Hartlib, Dury and Comenius” (Marek Wajsblum) — str. 293.

III. KRONIKA : — str. 300.

IV. RESUMES : — str. 306.

I. ROZPRAWY

Marian Heitzman

COLLINGWOODA TEORIA POZNANIA HISTORYCZNEGO¹⁾.

Zagadnienie teorii poznania historycznego jest zagadnieniem granicznym, dotyczącym zarówno historii, jak i filozofii. Jest ono poza tym graniczne także i w tym znaczeniu, że leży niejako na peryferiach zainteresowań zarówno historyków, jak i filozofów. Historycy interesują się na ogół znacznie bardziej samą historią, aniżeli jej teorią, a filozofowie interesują się wprawdzie bardzo teorią poznania, ale przede wszystkim poznania przyrodniczego, a nie historycznego, czy w ogóle humanistycznego. Tak więc teoria historii jest nie tyle terenem spornym, o który by walczyli historycy i filozofowie, ile ziemią niczyją, którą nie interesują się ani jedni, ani drudzy.

Tak było i tak jest jeszcze na ogół, chociaż trzeba podkreślić, że od czasu do czasu zawiązuje się dyskusja na ten temat. Okazję do takiej dyskusji dają częściej historycy, rzadziej filozofowie. Jest bowiem rzeczą uderzającą, że mimo rozpowszechnionej jeszcze wśród historyków atmosfery pozytywistycznej i antyfilozoficznej zagadnienie teorii historii często nie daje im spokoju i wielu poważnych historyków szuka teoretycznej odpowiedzi na pytanie „jak praca historyczna jest możliwa”, mimo iż praktycznie odpowiadali na nie swoimi dziełami. Ostatnio zagadnienie to zostało zaktualizowane dzięki pracom Crocego oraz, szczególnie jeśli chodzi o Wielką Brytanię, Collingwooda²⁾.

¹⁾ Odczyt wygłoszony w Polskim Towarzystwie Historycznym w Londynie, dnia 15 kwietnia 1948 r.

²⁾ R. J. Collingwood, *The Idea of History*. Oxford, Clarendon Press, 1946. Str. XXVI i 339 i 1 nl.

Zaktualizowane, ale nie zapoczątkowane, gdyż zagadnienie to jest o wiele dawniejsze.

Każde zagadnienie, a zatem i zagadnienie teorii historii, ma swe źródła nie tylko logiczne, ale i historyczne. Znaczy to, że każdy problem kiedyś przy jakiejś okazji zaczął być dyskutowany. Jakież są źródła historyczne naszego problemu? Prehistoria, żeby tak rzec, teorii historii sięga bardzo daleko wstecz, ale właściwych źródeł dyskusji, tak jak się ona toczy obecnie, należy szukać w połowie XIX w., w pozytywizmie. Połowa XIX w. to okres specjalizacji naukowej, to okres, w którym nauki dzielą się na poszczególne gałęzie, w którym powstaje coraz więcej specjalności. Wskutek tego zaszła wtedy potrzeba zorientowania się w tych mnożących się naukach i podnaukach, zaszła potrzeba ich myślowego uporządkowania i wtedy Comte daje swoją klasyfikację. Klasyfikacja ta, powszechnie znana, układa wszystkie nauki w jeden szereg od bardziej do mniej ogólnych. Rozpoczyna ten szereg matematyka, po której następuje fizyka, chemia, biologia, a zamyka szereg socjologia. Każda z następnych nauk opiera się na poprzedniej jako na swojej podstawie, wszystkie razem tworzą jedną całość. W szeregu tym historii nie ma, a w całym systemie gdzieś kryje się wstydliwie na końcu, przyczepiona do socjologii jako jej nauka pomocnicza. Jeśli chodzi o zagadnienie metody pojętych w ten sposób nauk, to Comte przyjmuje, że istnieje jedna jedyna metoda naukowa, ta mianowicie, którą stosuje fizyka.

Jest to metoda doświadczenia i eksperymentu, przy pomocy której zbieramy materiał, następnie go klasyfikujemy, poklasyfikowany ujmujemy w prawa naukowe, na których podstawie przewidujemy przyszłe zdarzenia. Każda nauka jest nauką tylko wtedy, jeśli posługuje się tą metodą, a stopień jej ścisłości i doskonałości zależy od tego, czy potrafi metodę tę w większym czy w mniejszym stopniu stosować. Historia, która w klasyfikacji nauk znalazła się na szarym końcu, tutaj, przy rozważaniach metodycznych, również znajduje się na ostatnim planie. W świetle tych wymagań historia nie może sobie rościć pretensji do miana nauki. Jej obserwacja jest o wiele mniej dokładna od obserwacji fizyka czy chemika, nie tworzy ona uogólnień i nie formułuje praw. Nie pozwala też na robienie przewidywań, na przepowiadanie przyszłego biegu dziejów. Dlatego pozytyw-

wizm nie uznawał historii za naukę w pełnym słowa tego znaczeniu, była ona zaledwie tolerowana jako pewnego rodzaju pseudonauka. Powaga nauk przyrodniczych, które weszły w okres niebywałego rozkwitu, była w owym czasie tak ogromna, że wielu historyków potulnie przyjmowało wyrok, wydany na historię. Wytworzyła się przy tym sytuacja paradoksalna. Wiek XIX bowiem jest wiekiem rozkwitu nie tylko nauk przyrodniczych, ale i nauk historycznych. Powstaje cała masa wydawnictw źródłowych, rozpoczyna się praca żmudnego ustalania faktów historycznych, zbierania materiałów, zupełnie podobnie jak w naukach przyrodniczych. Dodatni wpływ pozytywizmu jest niewątpliwy także i w naukach historycznych. Pod jego wpływem również żąda się od historyków większego krytycyzmu, historia odchodzi od romantyzmu, i stara się być jak najbliższą rzeczywistości, pozytywną. Z tym wszystkim jednak tenże sam pozytywizm, który niewątpliwie oddziałał w pewnym sensie dodatnio na rozwój badań historycznych, wydaje ostateczny wyrok, potępiający historię.

Rychło jednakże przychodzi reakcja. *Casus* historia był tylko szczegółowym przykładem ogólniejszej tendencji pozytywizmu, zmierzającej do sprowadzenia wszystkich nauk i całego człowieka do jednego mianownika, przyrodniczego. Przeciwno tej tendencji zaczynają się buntować przede wszystkim filozofowie, a wśród nich na pierwszym miejscu należy wymienić Bergsona. Reakcja miała, jak zaznaczyliśmy, tło ogólniejsze. Była to reakcja humanizmu, przeciw naturalizmowi. Jeśli chodzi o nauki humanistyczne, a wśród nich historię — w obronie ich występują Windelband i Rickert. Przed nimi próby obrony historii przed krytyką pozytywistycznych myślicieli były bardzo nieśmiałe i sprowadzały się do tłumaczenia, że historia jest nauką jeszcze młodą i że wskutek tego jest jeszcze mało ścisła, ale że w miarę rozwoju, pracując według wzoru nauk przyrodniczych, może się uściślić, może się ulepszyć, może, jednym słowem, doróść i stać się godną miana nauki na równi z naukami przyrodniczymi. Windelband i Rickert zajmują stanowisko o wiele bardziej śmiałe i o wiele bardziej radykalne. Przyznają oni, że historia nie daje w swojej dziedzinie tego, co w swoim zakresie daje fizyka czy chemia. Historia nie formułuje praw, nie posługuje się formułami matematycznymi, nie pozwala przewidywać przyszłości, ale,

oświadczają, z tego nie wynika, że historia nie jest nauką, lub że jest nauką gorszą. Historia nie daje tego wszystkiego, gdyż nie jest to jej zadaniem, ponieważ jest nauką zupełnie innego typu. Zamiast klasyfikacji Comte'a, w której wszystkie nauki stanowiły jeden wstępujący szereg, Windelband i Rickert dają klasyfikację inną. Przyjmują mianowicie dwie podstawowe grupy nauk, a to nauki nomotetyczne i ideograficzne. Nomotetyczne — to nauki przyrodnicze, które dążą do sformułowania praw naukowych w swojej dziedzinie, nauki ideograficzne — to nauki opisowe. Nauki humanistyczne to właśnie nauki tego ostatniego typu. Argumenty Windelbanda i Rickerta są dosyć słabe i dzisiaj już nie dadzą się utrzymać; ich przeciwstawienie nauk nomotetycznych i ideograficznych jest powierzchowne, ale mają oni jedną niezaprzeczoną zasługę. Dali mianowicie początek pewnemu prądowi, rozpoczęli dyskusję, prowadzoną następnie przez innych, wśród których należy przede wszystkim wymienić nazwisko Diltheya. Dyskusja ta toczyła się przede wszystkim w Niemczech oraz we Włoszech, w mniejszym o wiele stopniu we Francji. Prawie zupełnie nie było jej w Anglii, a sam Collingwood zaznacza, że jego książka jest od 35 lat pierwszą, która się w Anglii na ten temat ukazała.

Tak więc wygląda sytuacja myślowa, historycznie wytworzona, którą zastaje Collingwood. Krótko można ją streścić następująco: z jednej strony dawna koncepcja pozytywistyczna, łącząca wszystkie nauki w jedną grupę, u której podstawy stoją nauki przyrodnicze. Jest to tendencja naturalistyczna. Z drugiej strony, jako reakcja przeciw tamtej, zarysowująca się nowa koncepcja dualizmu naukowego; przyjmuje ona nie jedną, ale dwie podstawowe grupy nauk. Jeśli tamtą określiliśmy jako tendencję naturalistyczną, to tej drugiej żadnej etykiety przykleić nie można, myśliciele bowiem, którzy ją przyjmują, reprezentują stanowiska bardzo różnorodne.

Collingwood idzie zasadniczo po linii, zapoczątkowanej przez Windelbanda i Rickerta, ale idzie dalej niż oni i daje swoją własną koncepcję. Według niego nie ma jednego ogólnego typu czy modelu nauki, ale trzy, a to: matematyczny, przyrodniczy i historyczny. Każdemu z tych typów nauki odpowiada inny typ myślenia naukowego, każdy buduje swój gmach za pomocą innej metody. Każdy z nich jest

wskutek tego autonomiczny i od innych niezależny. C. jest o wiele głębszy, a równocześnie o wiele bardziej radykalny od Windelbanda i Rickerta. Jeśli oni walczyli o to, by historia była również uznana za naukę, jeśli dawniejsi apologetyci nauk historycznych mieli mimo wszystko kompleks niższości wobec nauk przyrodniczych, C. nie ma go zupełnie, wręcz przeciwnie — jako historyk patrzy na przyrodników z góry.

Jakżeż wygląda teoria historii według Collingwooda?

Przede wszystkim jego punkt wyjścia. Na wstępie zapytuje C., jaka jest geneza badania historycznego, i odpowiada, że źródła historii i ciekawości historycznej należy szukać w dążeniu człowieka do poznania samego siebie.

Zasadniczo do poznania samego siebie człowiek może iść dwiema drogami. Pierwsza to droga, wskazana przez nauki przyrodnicze. U jej kresu miałyby się znaleźć nauka o naturze ludzkiej, zbudowana tak, jak zbudowane są inne nauki przyrodnicze. A zatem przez obserwację, a może i eksperyment, należałoby zebrać materiał faktyczny, dotyczący natury ludzkiej, materiał ten uporządkować, poklasyfikować, sformułować prawa postępowania ludzkiego, prawami tymi wytłumaczyć zachowanie się człowieka w przeszłości i przewidzieć jego postępowanie w przyszłości. Ta droga jest jednak niemożliwa, po prostu dlatego, że natura ludzka jako coś stałego nie istnieje. Człowiek ciągle na nowo stwarza swoją naturę w historycznym przebiegu.

Dlatego droga do poznania człowieka prowadzi nie przez przyrodniczą naukę o naturze ludzkiej, ale przez historię. Opinia C. o historii jako o nauce nie jest bynajmniej skromna. Twierdzi on, że dzisiaj historia zajmuje w świecie stanowisko podobne do tego, jakie w XVII w. zajmowała fizyka. Historia, oświadcza C., jest szczególną i autonomiczną formą myślenia, dopiero niedawno skryształizowaną i jeszcze niezupełnie zbadaną.

Widzimy zatem, że C. nie tylko odróżnia historię od nauk przyrodniczych, ale ją im zdecydowanie przeciwstawia.

Jaka jest jednak podstawa tego przeciwstawienia?

Różnice między naukami sprowadzają się do różnic metody, a różnice metody z kolei biorą swój początek z różnicy materiału, który ma być badany, i problemów, które mają być rozwiązane. Ostatecznie zatem różnice pomiędzy różnymi typami nauk są wynikiem różnicy przedmiotu

badanego. Co jest przedmiotem nauk historycznych, a co historii?

Każda nauka, czy przyrodnicza czy historyczna, zajmuje się tym, co się dzieje, przedmiotem jej są zdarzenia (*events*). Zdarzenia jednak nie są wszystkie takie same i zasadniczo można je podzielić na dwa typy. — C. określa je jako zdarzenia puste i zdarzenia, posiadające wnętrze.

1. Zdarzenia puste, to po prostu fakty zachodzące w przyrodzie — dadzą się one opisać czy wyrazić w terminach ciał i ich ruchów.

2. Zdarzenia, posiadające wnętrze, nie dadzą się wyczerpująco opisać w terminach ciał; po takim opisie zawsze jeszcze pozostaje w nich coś, co da się wyrazić tylko w terminach myśli. Te zdarzenia to nic innego jak świadome działanie ludzkie. Weźmy jako przykład przejście Cezara przez Rubikon. Zdarzenie to ma swoją stronę zewnętrzną, to znaczy fizyczne przekroczenie pewnej rzeki przez Cezara i jego żołnierzy. Ale właściwe znaczenie tego materialnego faktu zrozumiemy dopiero wtedy, kiedy zrozumiemy myśl, stojącą poza tym zdarzeniem, a tą było zlekceważenie i złamanie przez Cezara praw Republiki.

Zupełnie też inaczej wygląda rozumienie zdarzeń pierwszej i drugiej kategorii. Przyrodnik, który ma do czynienia ze zdarzeniami pierwszej kategorii, rozumie dany fakt wtedy, kiedy potrafi go przyczynowo powiązać z innym faktem. Innymi słowy, aby zrozumieć takie zdarzenie, przyrodnik wychodzi poza nie i cofa się do innych zdarzeń. Natomiast rozumienie wydarzeń drugiej kategorii polega na myślowym wnikięciu do wnętrza zdarzenia, na odkryciu myśli, której ono jest wyrazem. Z chwilą kiedy historyk zrozumie tę myśl, rozumie i samo zdarzenie. I na tym proces rozumienia i badania kończy się według C. Kiedy historyk pozna, co się zdarzyło, wie już tym samym dla czego się zdarzyło. Historyk nie potrzebuje już dalej wybiegać poza zdarzenie, nie musi szukać jego przyczyn tak, jak to robi przyrodnik. Zrozumienie myśli, tkwiącej wewnątrz zdarzenia, jest zupełnie wystarczające.

Powyższe rozumowanie C. jest niewątpliwie przekonujące na pierwszy rzut oka, ale przy bliższej analizie wyłaniają się trudności. Rozważmy jako przykład fakt zamordowania Cezara przez Brutusa. Ażeby zrozumieć to zdarzenie, czyli aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Brutus za-

mordował Cezara, musimy wnikać w jego myśl. Musimy, mianowicie, zrozumieć, co myślał Brutus, gdy powziął decyzję zamordowania Cezara. Zrozumienie tych myśli tłumaczy niewątpliwie samą decyzję i materialny fakt morderstwa, ale przecież to nie wyczerpuje zagadnienia. Historyk ma prawo i obowiązek zapytać, dlaczego Brutus tak myślał. Innymi słowy, rozumienie zewnętrznej strony wypadków zdarzenia osiągamy przez odwołanie się do myśli, ale powstaje pytanie — na czym polega zrozumienie samej myśli. Rozważmy to na innym jeszcze przykładzie. Weźmy np. kampanię Cezara przeciwko germańskim plemionom we wschodniej Galii. Zewnętrzną stroną tego zdarzenia będą ruchy legionów rzymskich, ich uderzenie najpierw na szczep, dajmy na to, Alamanów, z kolei na inne szczepy i t. d. Ażebymy to wszystko zrozumieć, musimy oczywiście wnikać wgłąb zdarzenia, zrozumieć plan strategiczny Cezara. Znając ten plan, rozumiemy dlaczego oddziały rzymskie wykonały takie a nie inne marsze, dlaczego n. p. uderzyły w pierwszej linii na szczep Alamanów. Stało się to dlatego, ponieważ Cezar myślał, że szczep ten jest najsłabszy, gdyż jest rozdarty wewnętrznymi waśniami. Zrozumienie tych myśli Cezara pozwala zrozumieć ruchy wojsk rzymskich, ale z kolei możemy i musimy zapytać się, dlaczego Cezar tak właśnie a nie inaczej myślał. Dlaczego Cezar sądził, że szczep Alamanów jest najsłabszy? Ostatecznie dojdziemy do wniosku, że Cezar tak sądził, ponieważ taki był faktyczny stan rzeczy, czyli, że ostatecznej przyczyny, która zdeterminowała myśl Cezara, należy szukać nie w samej jego myśli, ale poza nią. Ale jeśli tak, to w tym przynajmniej wypadku badanie i rozumowanie historyka jest zupełnie takie samo, jak badanie przyrodnika. Wprawdzie początkowo historyk idzie myślowo wgłąb zdarzenia, wnikać w myśl swoich postaci historycznych, ale w dalszym etapie musi wyjść poza tę myśl i szukać jej przyczyn w innych zdarzeniach. Różnica pomiędzy rozumieniem naszym a rozumieniem C. polega na tym, że podczas kiedy C. zatrzymuje się na przeniknięciu myśli, która mu tłumaczy zewnętrzną stronę zdarzenia, my uważamy, że do tego się nie można ograniczyć, ale że trzeba rozejrzeć się za przyczynami samej myśli. Jeśli C., ograniczając się do przeniknięcia myśli Cezara, dochodzi do tych samych wyników co my w tłumaczeniu jego kampanii — to tylko dlatego, że to ograniczenie jest jedynie pozorne.

C. nie wychodzi sam poza myśl Cezara i nie szuka jej przyczyn tylko dlatego, że pracę tę wykonał zamiast niego sam Cezar, podając jako przyczynę swojej decyzji swoje przekonanie o słabości szczepu Alamanów, oparte na obiektywnych danych. A zatem — naszym zdaniem — na to, aby zrozumieć zewnętrzną stronę zdarzenia, trzeba przeniknąć myśl za nim stojącą, ale na to z kolei, aby zrozumieć samą myśl, trzeba wyjść poza nią i powiązać ją przyczynowo z innymi zdarzeniami. Stanowisko C. jest zasadniczo inne. Na pytanie, na czym polega zrozumienie myśli, C. odpowiada: na przeżyciu tej myśli w moim umyśle. Jeśli historyk chce zrozumieć myśl jakiejś postaci historycznej, powinien ten proces myślowy powtórzyć w swoim umyśle, i do tego się ograniczyć.

Wydaje mi się, że to jest punkt zasadniczy, który musimy bliżej rozważyć. Rzeczą tutaj istotną — to dwoisty charakter myśli. Z jednej strony myśl to treść — np. rozumowanie Euklidesa czy Pytagorasa, lub plan strategiczny Cezara. Można się ograniczyć do rozważania treści myśli i wtedy jej zrozumienie polega istotnie na jej przeżyciu. Ale — i to jest druga strona myśli — myśl to nie tylko treść, myśl to fakt. Tylko obrazowo mówimy, że idee, myśli tkwią w atmosferze. W rzeczywistości myśl jest zawsze czyjąś myślą, jest „w czyjejś głowie” — jak mówimy, czyli jest faktem określonym w czasie i przestrzeni. Przez przeżycie w naszym umyśle myśli Cezara rozumiemy jej treść, ale przez to jeszcze nie rozumiemy jej jako faktu. Rozumiemy, co Cezar myślał, ale nie rozumiemy, dlaczego tak myślał. Myśl jako treść może być rozumiana tylko przez jej powtórne przeżycie w umyśle tego, kto ją chce zrozumieć, ale myśl jako fakt może być rozumiana tylko w analogiczny sposób jak rozumiemy wszystkie inne fakty, mianowicie przez przyczynowe powiązanie jej z innymi faktami. C. traktuje myśl tak, jak gdyby była tylko treścią a nie faktem, i stąd jego twierdzenie, że zrozumienie myśli polega tylko i wyłącznie na jej przeżyciu.

Zwrócenie uwagi na dwoisty charakter myśli, z którą ma do czynienia historyk, uważamy za rzecz bardzo ważną, gdyż pozwala ono na rozstrzygnięcie spornych dotąd kwestii, co właściwie interesuje historyka. Czy możliwa jest np. historia matematyki, myśli politycznej, prądów religijnych bez zrozumienia samych problemów matematycznych, politycz-

nych czy teologicznych, czy, jednym słowem, historyk może się ograniczyć do rozważania myśli jako faktu bez unikania w jej treść? Pytanie, zdawałoby się, retoryczne, gdyż, zdaje się, wszyscy zgodzimy się na to, że historyk powinien interesować się myślą nie tylko jako faktem, ale i jej treścią. A jednak jakżeż często można spotkać rozprawy historyczne, które mówią o tych problemach bez unikania jednak, jak eufemistycznie wyrażają to ich autorowie, w stronę doktrynalną. Eufemizm ten służy na pokrycie powierzchowności historii, która w ten sposób traktowana jest historią czysto zewnętrzną, anegdotyczną, bez głębszej wartości.

Wróćmy jednak do C. Na przykładzie, zaczerpniętym z działalności Cezara, staraliśmy się wykazać, na czym polega zasadnicza różnica pomiędzy rozumieniem, proponowanym przez C., a tym, którego się my domagamy. Na to mógłby ktoś powiedzieć, że w praktyce rzecz ta nie ma znaczenia, gdyż z pewnością tłumaczenie, podane przez C., nie będzie się różniło od naszego. W jednym i drugim jeśli chodzi o wytłumaczenie kolejności uderzenia oddziałów rzymskich — będzie mowa o słabości szczepu Alamanów, z tą tylko różnicą, że to twierdzenie będzie przez C. uważane za element myśli Cezara, a przez nas będzie traktowane jako fakt rzeczywisty, od myśli Cezara niezależny, wręcz przeciwnie — jako fakt, który tę myśl do pewnego stopnia zdeterminował. Takie jednak zlekceważenie tej zasadniczej różnicy jest tutaj całkowicie nie na miejscu. W dyskusji bowiem, którą toczyliśmy, nie chodzi nam o stronę praktyczną, ale właśnie o teoretyczną, a jej celem nie jest sporządzenie praktycznego przepisu na rozprawę historyczną, lecz wypracowanie teorii poznania historycznego.

Sprawa jest zresztą poważniejsza, niżby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka, a dowodem tego jest dalszy rozwój myśli C. Wszystko to bowiem, co mówi on o zasięgu i przedmiocie historii, jest uwarunkowane jego poglądem na rozumienie wydarzeń historycznych. Kiedy C. pyta, co jest przedmiotem historii, to jego rozumowanie biegnie w sposób następujący: wydarzenia historyczne — to wydarzenia z wnętrzem, aby je zrozumieć, trzeba do tego wnętrza, to znaczy do myśli, dotrzeć, wtedy myśl wytłumaczy nam zewnętrzną stronę wydarzenia; zrozumienie zaś myśli

polega tylko i wyłącznie na jej przeżyciu. Zatem przeżywanie i odtwarzanie w umyśle historyka minionych myśli — to właściwa metoda historyczna, to jedyny klucz do wiedzy o przeszłości. Ale w takim razie przedmiotem historii może być tylko to, co w ten sposób da się poznać, co się da przeżyć, a mianowicie myśl.

W pierwszym rozdziale swoich rozważań twierdzi C., że historia interesuje zarówno zewnętrzna, jak i wewnętrzna strona wydarzenia, ale bardzo szybko oświadcza, że w gruncie rzeczy historia interesuje tylko myśl. Bardzo szybko C. dochodzi od przekonania, że przedmiotem historii jest jedynie myśl, o której twierdzi, że jest wolna od dominacji przyrody. W ten sposób podstawą dla koncepcji C. staje się założenie, że istnieją dwa światy odrębne i niezależne od siebie, a to świat przyrody i świat historii, a jako ich odpowiedniki również odrębne, niezależne i autonomiczne — nauki przyrodnicze i historia. W ten sposób — jak widzimy — ostatecznie C. przyjmuje zasadniczo tezę, sformułowaną po raz pierwszy przez Windelbanda i Rickerta, o dwóch zasadniczych grupach nauk.

Jak zaznaczyliśmy, przedmiotem historii według C. jest myśl, i tylko myśl, bo tylko ona daje się w umyśle historyka przeżyć, a przez to odtworzyć.

Jakie są jednak implikacje takiego stanowiska?

1. Pierwszą jest stwierdzenie, że przyroda nie ma historii, co zresztą już wynikało z rozróżnienia przez C. dwóch klas zdarzeń, mianowicie przyrodniczych i historycznych.

2. Drugą — to wykluczenie z dziedziny badań historycznych tej części działalności ludzkiej, która wynika — jak to określa C. — ze zwierzęcej natury człowieka. Wszystkie czynności zwierzęce, wynikające ze zwierzęcych impulsów i pożądań, historia nie interesują — mówi wyraźnie C.

3. Trzecią — to wykluczenie z historii ludzkich uczuć, są one bowiem czysto subiektywne, indywidualne i nie mogą być powtórnie przez historyka przeżyte.

4. Cóż w takim razie pozostaje jako przedmiot badań historycznych? Jedynie tylko refleksyjna myśl ludzka, a ponieważ myśl, czyli umysłowa czynność refleksyjna, to tyle, co czynność celowa, przeto ona jedynie jest przedmiotem badań historycznych. Zaznaczyć jednak należy, że C. rozszerza pojęcie działania celowego w ten sposób, że włącza w nie także i działania teoretyczne. W ten sposób obok hi-

storii polityki, wojen ekonomii przyjmuje również historię nauki, filozofii, sztuki i religii.

Wydaje mi się, że takie stanowisko musi budzić poważne zastrzeżenia. Trzeba uprawdzie uznać, że jest ono logiczną konsekwencją stanowiska, zajętego przez C. w sprawie metody poznania historycznego (pamiętamy, że tą metodą jest przeżywanie minionych myśli w umyśle historyka), ale to wskazuje również, że ten właśnie punkt, to znaczy zagadnienie metody poznania historycznego, jest najbardziej zasadniczy dla całej teorii C. Jeśli jednak stanowisko C. co do przedmiotu i zakresu historii jest w logicznej zgodzie z jego poglądem na metodę historyczną, to nie bardzo zgadza się ono z twierdzeniem, że historia jest historią człowieka (*res gestae, Human Affairs*). Człowiek, jak to przecież uznaje C., nie jest tylko umysłem, ale ma i ciało, lub jak sam C. to wyraża, człowiek — to zwierzę, które myśli. Ale jeśli tak, to czyż możliwe jest, aby historia, która ma być historią człowieka, pomijała zupełnie jego stronę materialną, czy, jak chce C., zwierzęcą? Takie pominięcie byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby te dwa składniki w człowieku były nie tylko odrębne, ale i niezależne nawzajem, jednym słowem, gdyby człowiek był tylko sumą, a nie organiczną jednością różnych elementów. C. twierdzi, że historyka nie interesuje to, że człowiek je, pije, śpi, ponieważ są to czynności zwierzęce. Wiemy jednak, że czynności te, niewątpliwie wpływające z potrzeb biologicznych, nie są zaspakajane przez człowieka impulsywnie, bez udziału myśli. Umysł człowieka bierze żywy udział w działalności, zmierzającej do zaspokojenia tych potrzeb, i działalność ta jest z wszelką pewnością działalnością celową i planową. W takim jednak razie proponowana przez C. linia podziału pomiędzy zwierzęcą i niewierzącą działalnością człowieka musiałaby przebiegać nie — żeby się tak wyrazić — pomiędzy ciałem a umysłem, ale wewnątrz samego umysłu. Musiałaby dzielić ona myśli na związane z czynnościami „zwierzęcymi”, a przeto nie należące do historii, i myśli nie związane z tymi czynnościami. To jednak prowadzi do konkluzji zupełnie absurdalnych, ponieważ ogromna część działalności politycznej, wojskowej, ekonomicznej, o której mówi historia, jest niewątpliwie związana ze „zwierzęcymi” potrzebami i czynnościami człowieka. W takim jednak razie musiałaby one odpaść z dziedziny historii, która ograniczyłaby się

wtedy do historii filozofii, nauki, sztuki i religii, chociaż nawet i co do tych działów możnaby podnieść wątpliwości, gdyż motywy materialne z wszelką pewnością i w tych dziedzinach grają dużą rolę. W rezultacie mielibyśmy sytuację paradoksalnie odwróconą w porównaniu do tej, którą możemy obserwować w historiografii XVII czy XVIII w. Podczas gdy wówczas historia ograniczała się prawie wyłącznie do historii polityki i wojen z pominięciem historii nauki, sztuki i t. p., to przeprowadzając konsekwentnie koncepcję C., otrzymalibyśmy historię tych ostatnich dziedzin z pominięciem historii politycznej i wojskowej. Takie bowiem są logiczne implikacje jego tezy, że zwierzęca natura człowieka i związane z nią czynności powinny być z historii wyeliminowane.

Trzeba stwierdzić, że w tym punkcie teorii C. brak spójności i zwartości logicznej. Jeśli ktoś twierdzi, tak jak to robi C., że historia jest historią spraw ludzkich, a równocześnie przyjmuje, że człowiek to nie tylko sam umysł, ale zwierzę, które myśli — to nie można historii ograniczać do historii myśli i zgłaszać *desinteressement* wobec strony materialnej człowieka. Jest to sprzeczność, która zresztą wypływa z bardziej podstawowej sprzeczności pomiędzy dualistyczną koncepcją człowieka, widoczną u C., a idealistyczno-monistyczną koncepcją historii, przezeń proponowaną.

Wiemy już, jaki według C. jest przedmiot i zakres historii. Zobaczmy z kolei, jak charakteryzuje on historię w porównaniu z innymi naukami.

Wszelka wiedza, powiada C., jest albo wiedzą empiryczną, albo abstrakcyjną.

Empiryczna to ta, której istotą jest postrzeżenie zmysłowe, która wskutek tego jest wiedzą bezpośrednią. Wiedza taka zakłada „współobecność” podmiotu poznającego i przedmiotu poznawanego. Historia, twierdzi C., oczywiście nie jest wiedzą empiryczną. Historyk nie jest świadkiem naocznym faktów historycznych, jego wiedza nie jest wiedzą bezpośrednią, ale jest rezultatem wnioskowania.

Wiedza abstrakcyjna jest pośrednia, t. zn. jest rezultatem wnioskowania tak jak historia, ale jej przedmiotem są abstrakty, powszechniki, które są ogólne, niekonkretne, poza czasem i przestrzenią, jak np. matematyczny trójkąt. Przed-

miotem natomiast historii są rzeczy i wydarzenia konkretne, które zdarzyły się w czasie i przestrzeni. Historia zatem nie jest wiedzą abstrakcyjną.

Ponieważ historia nie mieści się w żadnej z tych dwóch grup, trzeba uznać, twierdzi C., że jest grupą sama dla siebie. Historia jego zdaniem jest nauką zupełnie odrębną, jest — jak to emfaticznie wyraża — „*a third thing*”, a charakteryzuje się, tak zresztą jak każda nauka, swoistym typem rozumowania, swoistą — możnaby powiedzieć — logiką.

Stanowisko C. jest w tym względzie rewolucyjne. Powszechnie — powiada on — przypuszcza się jeszcze dzisiaj, że istnieje jedna wspólna dla wszystkich nauk logika i że poprawność jakiegoś rozumowania można sprawdzić, badając tylko jego formalną, jak mówimy, logiczną strukturę. Taki pogląd jest, zdaniem C., błędny, a historycznie sprawa wygląda następująco.

Logika, wytworzona przez Greków, a sformułowana przez Arystotelesa, była dostosowana do myślenia matematycznego. Dla tego myślenia jest ona ważna i użyteczna. Zupełnie błędnie uznano tę logikę za logikę ogólną.

Przy końcu wieków średnich powstała nowa logika, zbudowana dla użytku nauk przyrodniczych, które wtedy zaczynały się gwałtownie rozwijać. Rozumowanie i wnioskowanie tu stosowane jest zupełnie różne od dawnego, greckiego.

Przy końcu XIX wieku wraz z rozwojem nauk historycznych wykształca się i krystalizuje jeszcze inny typ rozumowania i wnioskowania, mianowicie rozumowanie historyczne. Niestety jednak, jak dotąd, ta nowa logika nie została opracowana i uwzględniona przez tych autorów, którzy piszą podręczniki logiki.

Jakie są cechy charakterystyczne tych różnych typów rozumowania?

1. Rozumowanie i wnioskowanie matematyczne, czyli t. zw. dedukcyjne, charakteryzuje się logiczną koniecznością. Kto przyjmie przesłanki, musi przyjąć i konkluzję.

2. Tej konieczności nie ma przy wnioskowaniu, używanym w naukach przyrodniczych, czyli, jak je zwykle określamy, we wnioskowaniu indukcyjnym. T. zw. dowód indukcyjny nie zmusza nas do przyjęcia konkluzji, ale tylko pozwala na jej przyjęcie. Jak to wyraża Colingwood, nie jest *compulsive*, ale *permissive*.

3. Wreszcie rozumowanie i wnioskowanie historyczne.

Według powszechnej opinii rozumowanie historyczne nie daje wniosków logicznie koniecznych, nie jest *compulsive*, ale *permissive*. C. stanowczo odrzuca to twierdzenie. Jego zdaniem rozumowanie i wnioskowanie historyczne cechuje ta sama konieczność, co wnioskowanie matematyczne. Każdy historyk, powiada C., nieraz doświadczył tego na sobie, kiedy „miał niejako w rękach dowód historyczny, w którym nie było żadnej dowolności, który nie dopuszczał żadnego innego możliwego wniosku, ale udowadniał swoją konkluzję równie ściśle, jak to czyni dowód matematyczny”. Jest jednak różnica między wnioskowaniem matematycznym a historycznym. Oba wprawdzie dają wnioski konieczne, ale wnioski matematyczne są ważne tylko w świecie abstrakcji, podczas kiedy wnioski historyczne dają nam konieczną, możnaby rzec, matematyczną wiedzę o konkretnych rzeczach i zdarzeniach. Tego nie daje nam żadna nauka przyrodnicza i na tym polega odrębność, a także i wyższość historii nad naukami przyrodniczymi. Jak widzimy, C. nie grzeszy zbytkiem skromności jako historyk, a porównując jego opinię o historii z opinią historyków, ulegających pozytywizmowi, widzimy, jaka tymczasem dokonała się ewolucja.

Rozwijając swoją teorię poznania historycznego nie mógł C. pominąć problemu powstawania, tworzenia się poznania historycznego. Wręcz przeciwnie, jego rozważania i uwagi, dotyczące tego zagadnienia, są bardzo obszerne i bardzo interesujące. Jest to zupełnie zrozumiałe, bo trzeba pamiętać, że C., wybitny historyk, pisał w tym punkcie o czymś, co znał z własnego, osobistego doświadczenia. Uwagi te można podzielić na dwie grupy, z których pierwsza dotyczy struktury pracy historyka, druga zaś procesu, który zachodzi w umyśle historyka.

1. Analiza struktury pracy historyka.

Poznanie historyczne jest produktem wyobraźni historycznej. Wyobraźmy sobie, że historyk ma pewną ilość wypowiedzi historycznych, a więc np. wiadomość, że takiego a takiego dnia Cezar był w Rzymie, następnie wiadomość, że innego dnia był w Galii, i t. p. Historyk pracą wyobraźni łączy razem te wypowiedzi w jeden harmonijny, to znaczy niesprzeczny logicznie obraz, powiadając np., że Cezar pojechał z Rzymu do Galii, czego przecież nie ma w żadnej wypowiedzi. Wypowiedzi te to niby uchwyty, przymocowane do tablicy. Wyobraźnia historyka snuje swą myśl

niby nic od jednego punktu do drugiego i ostatecznie powstaje w ten sposób tkanina z wyhaftowanym na niej obrazem historycznym. Praca wyobraźni historycznej jest konieczna, bo bez niej nie może powstać obraz historyczny. Jest ona konieczna także i w tym znaczeniu, że bez niej nie można zrozumieć poszczególnych wypowiedzi historycznych. Wypowiedzi „Cezar był w Rzymie” i „Cezar był w Galii”, pozornie sprzeczne, można zrozumieć i przyjąć pod warunkiem, że zadziała wyobraźnia historyczna, która te wypowiedzi połączy razem w jedną wypowiedź, np. w formie: „Cezar był w Rzymie, po czym udał się do Galii”. Jeśli jednak, powiada C., wyobraźnia historyczna jest konieczna na to, aby doszło do skutku poznanie historyczne, jeśli jest ona warunkiem wiedzy historycznej — znaczy to, że wyobraźnia historyczna jest, używając terminologii kantowskiej, *a priori*, a w terminologii kartezjańskiej „wrodzona”. Poznanie historyczne zatem jest produktem koniecznej, apriorycznej czy wrodzonej wyobraźni historycznej, co w pojęciu C. doskonale wiąże się z jego twierdzeniem o nieempirycznym charakterze historii.

Mógłby jednak ktoś powiedzieć, że produktem apriorycznej wyobraźni jest tylko część poznania historycznego. Tkanina bowiem, utkana przez historyka pracą wyobraźni, opiera się na stałych punktach, zaczerpniętych z wypowiedzi historycznych, a nie z wyobraźni historycznej. C. odrzuca takie ujęcie. Wprawdzie punkty oparcia unoszą tkaninę, ale historyk uznaje i przyjmuje te wypowiedzi, które z obrazem przezeń haftowanym harmonizują, jeśli zaś nie harmonizują — to je odrzuca. Na przykład, powiada C., mam dwie wypowiedzi, jedną Tacyta, drugą Swetoniusza, obie odnoszące się do polityki Nerona. Swetoniusz wspomina, że przez pewien czas Nero zamierzał wycofać się z Wielkiej Brytanii, ale, powiada C., nie przyjmuję tej wypowiedzi, i odrzucam świadectwo Swetoniusza, a przyjmuję relację Tacyta, ponieważ przyjmując pierwszą wersję, nie potrafię zrozumieć całej polityki Nerona jako jednej całości; wypowiedź Swetoniusza burzy harmonijny obraz tej polityki. Nie mam natomiast tych trudności, gdy przyjmę wersję, podaną przez Tacyta¹). Ostatecznie zatem, powiada C., cały bez re-

¹) Należy zwrócić uwagę na widoczny w tym przykładzie skrajny racjonalizm Collingwooda, z którego nie zdaje on sobie nawet sprawy.

sztą obraz historyczny jest produktem apriorycznej pracy wyobraźni historycznej.

Praca jednak historyka nie kończy się na skomponowaniu spójnego i harmonijnego obrazu historycznego. Aż do tego stadium wykazuje ona uderzające podobieństwo z pracą powieściopisarza, gdyż od obu żądamy obrazu logicznie zwanego i niesprzecznego. Ale praca historyczna jest czymś więcej niż dobrze napisaną powieścią. Praca historyczna musi być prawdziwa, to znaczy oddawać zdarzenia tak, jak one istotnie zachodziły.

W tym celu musi ona spełnić trzy warunki:

- a) umieścić swój obraz w czasie i przestrzeni;
- b) musi ją cechować zwartość logiczna nie tylko w obrębie obrazu, ale sam obraz jako całość musi być logicznie zgodny z resztą historii aż do chwili obecnej;
- c) wreszcie, musi ona wszystko to, co umieści w obrazie, poprzeć świadectwem historycznym. Opowieść np. o tym, co się działo w starożytnym Egipcie, napisana na podstawie snu lub przy pomocy wellsowskiego wehikułu czasu, nie byłaby historią, ale tylko powieścią.

Ten ostatni punkt prowadzi do nas do ważnego zagadnienia świadectwa historycznego.

Postawa myślowa historyka dawnego, nienaukowego, powiada C., była zdecydowanie bierna. Przyjmował on to, co mu mówiły pomniki, pozostałe z dawnych czasów, bez zastrzeżeń i bezkrytycznie. Pisał historię, opierając się na autorytetach historycznych, których nie kwestionował. Znacznie później zajął postawę krytyczną. Autorytet przestaje być autorytetem, staje się źródłem, którego wartość i prawdomówność historyk ocenia i nieraz kwestionuje. Zasadniczo jednak jego postawa pozostaje w dalszym ciągu bierna. Kiedy raz przyjął jakieś źródło, czerpie z niego biernie gotową wiedzę historyczną.

Nowoczesny naukowy historyk — według C. — powinien zajmować postawę czynną. Prawdziwy historyk sam formułuje pytania, wie czego się chce dowiedzieć, przewiduje odpowiedź, przewiduje rozwiązanie swego problemu, a do źródła historycznego zwraca się po potwierdzenie jedynie. Źródło historyczne przestaje być źródłem, z którego płynie gotowe poznanie historyczne, a staje się świadectwem historycznym. Nie znaczy to, że w historii wynik badania jest z góry dowolnie ustalony przez historyka. Historyk, jeśli świa-

dectwo historyczne nie potwierdzi jego przypuszczenia, zmieni je i będzie je zmieniał dotąd, aż ureszcie któreś z nich zostanie przez świadectwo historyczne potwierdzone. Główna rzecz jednak w tym, że od niego wychodzi inicjatywa. Historyk nie zaczyna od grzebania w książkach, ale od myślenia, a myśli się o problemach, i tu — powiada C. — tkwi głęboki sens apelu Lorda Actona, który zwywał historyków, by studiowali problemy, a nie epoki.

Rzecz prosta, że taka zmiana charakteru źródła historycznego na świadectwo historyczne (*historical evidence*) musiała pociągnąć za sobą zmianę oraz rozszerzenie zakresu tego pojęcia. To też bez zdziwienia dowiadujemy się, że według C. wszystko, co istnieje, jest, względnie może stać się świadectwem historycznym. Nie można z góry przewidzieć i ułożyć listy świadectw historycznych. Wszystko, co pozostało z minionych czasów (książki, dokumenty, obrazy, meble, zbroje, budynki i t. p.), może rzucić światło na przeszłość, jeśli potrafimy na to odpowiednio spojrzeć. Ale to nie wszystko. Pojęcie pozostałości czasów minionych trzeba jeszcze rozszerzyć, gdyż wszystko, co istnieje, jest właściwie pozostałością czy wytworem przeszłości. Nasze społeczeństwa narodowe i międzynarodowe ze wszystkimi swoimi cechami, prawami, instytucjami — wszystko to jest, jak mówimy, wynikiem rozwoju historycznego, wszystko to ma swoją historię i wszystko, odpowiednio ujęte, może rzucić pewne światło na przeszłe dzieje.

Jeśli np. zwrócę uwagę na jakąś cechę charakterystyczną ustroju parlamentarnego lub jakiś przepis prawny i zapytam, jaka jest jego geneza — zaczynam myśleć historycznie. Już sformułowałem sobie pytanie i prawdopodobnie przypuszczenie, którego potwierdzenia lub zaprzeczenia oczekuję od świadectw historycznych. Z drugiej strony, jeśli na podstawie świadectw historycznych stworzę obraz, który mnie logicznie prowadzi do istniejącego obecnie stanu rzeczy, to ten aktualnie istniejący stan rzeczy jest dla mnie świadectwem historycznym, potwierdzającym moją wiedzę o przeszłości.

Postęp i bogacenie historii polega w dużej mierze na tym, że coraz to nowe strony czy części obecnej rzeczywistości bierzemy pod uwagę i staramy się zrozumieć historycznie, że skutkiem tego znajdujemy coraz to nowe punkty widzenia, z których oglądamy przeszłość. Paradoksalnie możnaby

wyrazić myśl C., mówiąc, że bogactwa historii należy szukać w teraźniejszości. Tak wygląda struktura pracy historycznej.

2. Analiza psychicznego procesu historyka.

Proces ten to znany nam już z poprzednich rozważań proces przeżycia i powtórnego przeżywania (*re-living, re-enactment*, niemieckie *Nacherleben*). Od razu jednak na wstępie trzeba uprzedzić możliwe, a nawet prawdopodobne nieporozumienie. Według C., powtarzne przeżycie przeze mnie myśli np. Platona przy lekturze jego dzieł to nie jest wzbudzenie w moim umyśle myśli takiej samej ale numerycznie różnej. Przeżycie myśli Platona w moim umyśle — to odzycie tego samego numerycznie aktu myślowego.

Jak to jest możliwe?

Akt myśli, powiada C., jest nie tylko subiektywny, ale również obiektywny, ponieważ posiada sens i znaczenie dla każdego umysłu. Dlatego też jest on niezależny od czasu i przestrzeni i nic nie stoi na przeszkodzie, by odżył w innym niż poprzednio czasie i miejscu. Jeśli odczuwamy jakieś trudności w uznaniu czy zrozumieniu tego, to dlatego, że przyzwyczailiśmy się sądzić fałszywie, że istnieje tylko jeden rodzaj jedności w wielości, a mianowicie jedność gatunku w wielości numerycznej. Ten jednak pogląd, twierdzi C., jest fałszywy. Gdy zaś zapytamy go, jaki jest inny rodzaj jedności w wielości, to odpowie, że właśnie jedność aktu myślowego, wielokrotnie odżywającego.

Jest to bez kwestii najciemniejszy punkt myśli C., punkt, który nie tylko trudno przyjąć, ale również trudno zrozumieć. Można jedynie przypuszczać, że to, co C. miał na myśli, to coś w rodzaju ducha obiektywnego Hegla lub ducha obiektywnego, o którym mówią najnowsi niemieccy filozofowie kultury. Sam C., niestety, nie rozwija szerzej tego punktu, nie daje definicji aktu myślowego, a ogranicza się jedynie do przedyskutowania warunków, które muszą zaistnieć, aby nastąpiło odzycie aktu, czyli przeżycie minionych myśli w umyśle historyka. Potrzebne są do tego dwa warunki: jeden, któremu musi odpowiadać sam fakt, drugi, który musi spełnić historyk.

1. Akt nie może być czynnością psychiczną czysto indywidualną i podmiotową, jak uczucie czy wrażenie, które mija, uniesione bezpowrotnie przez strumień świadomości.

Musi to być akt ponadindywidualny w tym sensie, że musi on być obiektywny, a takimi są tylko akty myśli refleksyjnej, myśli celowej i planowej. Tylko taki akt może się odrodzić i może być powtórnie przeżyty. Pamiętamy z wcześniejszych rozważań, że do takich aktów ograniczał C. przedmiot historii.

2. Na to, by tego rodzaju akt mógł odżyć w umyśle historyka, musi on być odpowiednim człowiekiem, gdyż akt wymaga odpowiedniego podłoża. Nie znaczy to, że historyk musi być obdarzony jakimś specjalnym historycznym temperamentem, nie jest tu również potrzebna jakaś przedustawna harmonia między umysłem historyka a jego przedmiotem, nie znaczy to np., że myśl Platona może przeżyć, a więc zrozumieć, tylko urodzony platonik. Chodzi po prostu o to, że historyk musi być zainteresowany przedmiotem i problemem, który studiuje. Tylko wtedy przeżywana przez niego myśl będzie stanowiła organiczną jedność z innymi jego myślami, tylko wtedy będzie ona naprawdę i w pełnym tego słowa znaczeniu przeżywana.

W ciągu dotychczasowych rozważań umieściliśmy sporo krytycznych uwag, dotyczących myśli C.; spróbujmy je teraz podsumować. Widzimy jasno, że C. zajmuje, tak jak powiedzieliśmy na początku, stanowisko nie różniące się zasadniczo od stanowiska Windelbanda i Rickerta. Występuje mianowicie przeciw włączeniu historii do jednej grupy nauk wraz z naukami przyrodniczymi; uważa, podobnie jak i oni, że nauki historyczne stanowią zupełnie odrębną grupę nauk.

Windelband i Rickert motywowali swoje stanowisko, że się tak wyrażę, fenomenologicznie. Opisując nauki przyrodnicze i nauki humanistyczne, wskazywali na ich różnice. Wskazywali, że nauki humanistyczne są *de facto* innymi naukami aniżeli przyrodnicze. Collingwoodowi to nie wystarczy. Stara się on sięgnąć głębiej i wykazać, że nauki historyczne nie tylko są, ale muszą być innymi naukami niż przyrodnicze.

Jego rozumowanie jest następujące. Sposób poznania zależy od natury przedmiotu. Przedmiotem historii jest światome i celowe, czyli wpływające z myśli działanie człowieka, przeto myśl jest właściwym przedmiotem historii. Myśli

zaś nie można poznać empirycznie, ale w szczególny sposób — to znaczy tylko myślowo przez jej przeżycie.

To jest punkt kardynalny i nad nim musimy się zastanowić.

Poznanie empiryczne dla C. to poznanie bezpośrednie, którego istotą jest postrzeżenie zmysłowe. Takie poznanie jest niemożliwe w historii, stąd wniossek, że historia nie jest nauką empiryczną.

Trzeba jednak zauważyć, że poznanie empiryczne, tak jak je określa C., w ogóle nie istnieje i że w tym sensie nauki przyrodnicze również nie są empiryczne.

Poznanie empiryczne, to nie poznanie, którego istotą jest postrzeżenie zmysłowe, ale to poznanie, dla którego postrzeżenie zmysłowe jest punktem wyjścia. Postrzeżenie zmysłowe nie daje przyrodnikowi poznania, ale daje mu materiał, który on myślowo opracowuje i w ten sposób dochodzi do poznania. Poznanie zatem przyrodnicze jest również poznaniem pośrednim i pod tym względem nie ma różnicy pomiędzy myśleniem przyrodniczym a historycznym.

Drugi punkt dotyczy zachodzącej jakoby w poznaniu empirycznym, według C., współobecności przedmiotu poznawanego i podmiotu poznającego. Ta współobecność jest wykluczona w historii, która jest nauką o przeszłości, stąd — znowu wniossek C. — historia nie jest nauką empiryczną. Znowu jednak trzeba tutaj zauważyć, że C. sprawę symplifikuje w sposób niedopuszczalny. Współobecność przedmiotu i podmiotu w naukach przyrodniczych nie zachodzi zawsze i nie jest rzeczą istotną. Nie możemy na tym miejscu analizować szczegółowo tego zagadnienia, wskażemy tylko, że nauki bez wątpienia empiryczne, jak geologia czy paleontologia, czy wreszcie astronomia, mówią również o rzeczach minionych, gdzie nie ma współobecności przedmiotu i podmiotu. Brak tej współobecności nie może zatem wykluczyć charakteru empirycznego jakiegś nauki.

Możemy jednak inaczej postawić to zagadnienie i zapytać, jaki charakter może mieć nauka jeśli nie ma charakteru empirycznego.

Określenie „empiryczny” — to określenie źródła, z którego dana nauka wypływa. Jeśli tym źródłem nie są zmysły, może nim być tylko umysł, intelekt — tak jak w matematyce; *tertium non datur*, chyba że przyjmiemy jakieś tajemnicze trzecie źródło w rodzaju bergsonowskiej intuicji, czego C. na-

wet nie bierze w rachubę. Ale czy w takim razie ktokolwiek zgodzi się na to, że poznanie historyczne dochodzi do skutku na drodze czysto umysłowej, tak jak poznanie matematyczne, bez udziału zmysłów? Jest to oczywisty absurd. W takim jednak razie jedyna ewentualność to teza, że historia jest nauką empiryczną.

Przed chwilą staraliśmy się usunąć niektóre trudności, które zdawały się stać na drodze do przyjęcia tej tezy, a to przez skorygowanie zniekształconego przez C. pojęcia poznania doświadczalnego. Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że nie jest to wystarczające, odczuwamy bowiem bardzo silnie, że zachodzi jakaś głęboka różnica pomiędzy historią a naukami, które są powszechnie uznane za empiryczne, to znaczy naukami przyrodniczymi. Twierdzenie jednak na tej podstawie, że historia nie jest nauką empiryczną, jest wnioskiem zbyt daleko idącym, a przez to błędnym.

Możemy doświadczać i doświadczamy barwy, dźwięki i t. p., ale możemy również doświadczać i myśli. Wszyscy, zdaje się, zgodzimy się na to, że psychologia, czy to ogólna, czy specjalna, np. psychologia dziecka — są naukami doświadczalnymi, mimo że ich przedmiotem jest myśl, tak właśnie jak w historii. Psycholog, badający inteligencję dziecka, jego psychikę — doświadcza jego myśli, ale doświadcza je w inny sposób aniżeli doświadcza barwy lub dźwięki. Doświadcza je przez przeżycie tych myśli we własnym umyśle, i to właśnie przeżycie jest istotą doświadczenia humanistycznego. Pod tym względem uważamy, że stanowisko C. jest słuszne, ale za niesłuszne uważamy jego twierdzenie, że to przeżycie jest poznaniem. Naszym zdaniem przeżycie cudzych myśli daje nam dopiero materiał poznania humanistycznego, tak jak przeżycie czy doświadczenie barw i dźwięków daje nam materiał poznania przyrodniczego.

W konkluzji zatem powiemy, że historia jest nauką empiryczną, czyli doświadczalną, ale że jej podstawą jest doświadczenie tego typu, które jest wspólne wszystkim naukom humanistycznym, spośród których wiele jest powszechnie uznanych za nauki przyrodnicze, a nie doświadczenie tego typu, który znany nam jest z nauk przyrodniczych.

Na usprawiedliwienie dotychczasowych nieporozumień, dotyczących tego punktu, trzeba podkreślić, że sprawa historii jest w istocie trudna i skomplikowana, gdyż w jej wypadku mamy do czynienia z kombinacją dwóch trudności: jedną,

wypływającą z odległości czasowej pomiędzy przedmiotem poznania a podmiotem poznającym, oraz z drugą trudnością, wynikającą z tego, że doświadczenie historyczne jest doświadczeniem specyficznym, bo humanistycznym, niedostatecznie dotąd zbadanym i zanalizowanym.

Wspomniany wyżej problem pośredniości czy bezpośredniości poznania empirycznego prowadzi nas do zagadnienia wyobraźni historycznej. Według C. jest ona czymś specyficznie historycznym, jest aprioryczna lub wrodzona.

Jest to znowu — naszym zdaniem — nieporozumienie. Zasadniczo bowiem praca myślowa przyrodnika wygląda zupełnie tak samo jak praca historyka, opisywana przez C. Jak zaznaczyliśmy wyżej, postrzeżenie zmysłowe nie jest poznaniem, ale jest materiałem poznania. Na to, aby ten materiał przekształcić w poznanie, czyli, powiedzmy, zracjonalizować, potrzebna jest taka sama praca myślowa jak ta, której według C. dokonuje wyobraźnia historyczna. Czy z tego wynika, że obok wyobraźni historycznej istnieje również specyficzna dla nauk przyrodniczych wyobraźnia przyrodnicza? Że jest ona również aprioryczna? Oczywiście nie — wynika z tego tylko, że obok doświadczenia przyrodniczego czy humanistycznego potrzebna jest dla powstania poznania praca intelektu, i że jedynym, co rzeczywiście jest aprioryczne, to znaczy wcześniejsze od danego poznania, jest intelekt. W takim jednak razie trzeba powiedzieć, że i pod tym względem nie ma różnicy pomiędzy naukami przyrodniczymi a humanistycznymi.

Stanowisko metodologiczne C. prowadzi w dalszej konsekwencji do przyjęcia istnienia przedmiotowego, pozaczasowego i pozaprzestrzennego aktu myślowego, który może odzywać w umysłach różnych indywidualiów. Trudno jest powiedzieć coś więcej o tej koncepcji, gdyż C. jej nie rozwija, ale wydaje się niewątpliwe, że mocno ona trąci jakąś metafizyką w stylu heglowskim. Przyjmowanie takiej koncepcji byłoby wtedy tylko uzasadnione, gdyby bez niej nie można było danego zagadnienia, w naszym wypadku zagadnienia teorii historii, w ogóle rozwiązać. Dla C., który założył nieempiryczny charakter historii, koncepcja ta była konieczna. Z chwilą jednak, kiedy zgodzimy się, że historia jest nauką empiryczną, chociaż specjalnego typu, taka koncepcja staje się zbędna, a zatem nieuzasadniona.

Jedną dodatkową uwagę trzeba tutaj zrobić. Koncepcja

przedmiotowego aktu myśli, wprowadzona przez C., jakkolwiek jego zdaniem tłumaczy powstanie poznania historycznego, to przecież z drugiej strony stwarza nowe poważne trudności. Bo zastanówmy się: jeśli poznanie historyczne polega na powtórnym przeżyciu myśli minionych osób, to jak wytłumaczyć błędy i pomyłki historyków? Jeśli np. przeżywam, czytając dzieła Platona, jego myśli, to znaczy jeśli w moim umyśle odżywa ten sam numerycznie akt, który przeżywał Plato, to nie mogę zrobić błędu. Ale skąd w takim razie różne interpretacje Platona, skąd różne poglądy wśród historyków? Tłumaczenie, które narzuca się na pierwszy rzut oka, to to, że w takim razie historyk, który popełnia błąd czy źle interpretuje Platona, nie przeżywa jego aktu. Tylko że wtedy od razu powstaje pytanie, co ten historyk przeżywa? Jest przecież absurdem twierdzić, że powtarza on w swoim umyśle akt myślowy, który nigdy nie istniał.

Kreśląc powyższe krytyczne uwagi, nie twierdzimy w konkluzji, że koncepcja i refleksje Collingwooda są bez wartości, a wszystkie jego twierdzenia — błędne. Stanowczo nie. W tym co Collingwood pisze, należy odróżniać dwie strony. Jedna to analiza i opis poznania historycznego. Ta jest głęboka, w niektórych punktach świetna. Cechuje ją bogactwo myśli i wnikliwych spostrzeżeń o trwałej wartości. Jest jednak i druga strona, a jest nią próba wytłumaczenia procesu poznania historycznego, tak świetnie zanalizowanego. Tę stronę uważamy za chybioną i nie wytrzymującą próby krytyki. Zresztą, zdaniem naszym, odpowiedzialność za tę stronę spada nie tyle na Collingwooda, ile na stary, sto lat sobie liczący idealizm heglowski, któremu uległ.

Poza tym praca Collingwooda, pisana *con amore*, a miejscami z pasją, pobudza do myślenia, krytyki i dyskusji, czego dowodem choćby fakt, że ona właściwie dostarczyła tematu do Sympozjonu, zorganizowanego w Cambridge przez *Aristotelian Society* i *Mind Association* w roku 1947¹⁾. To też jakkolwiek na bardzo wielu punktach trudno zgodzić się z Collingwoodem, skorzystać można od niego bardzo wiele, i z pewnością nikt nie czuje większego długu wdzięczności wobec zmarłego niedawno historyka i filozofa, aniżeli autor niniejszych uwag.

¹⁾ „Explanation in History and Philosophy”, *Arist. Soc., Suppl.* Vol. XXI. London, Harrison & Sons, 1947.

PRADZIEJE ZIEM POLSKICH

Przegląd najważniejszej literatury powojennej

Zainteresowanie najstarszymi dziejami naszego narodu, jak w ogóle dziejami przedhistorycznymi ziem polskich, wzmogło się ogromnie w Polsce, w szczególności jeśli idzie o genezę narodu polskiego, zagadnienia najstarszych jego siedzib, oraz zamierzchłych dziejów Ziem Odzyskanych. Ilustracją tego jest spora ilość publikacji, wydanych w ciągu kilku ostatnich lat.

Publikacje te, jeżeli chodzi o sposób ujęcia i opracowania tematu, różnią się ogromnie między sobą. Obok stosunkowo dużej ilości mniejszych prac o wyraźnym charakterze popularyzacyjnym mamy poważne dzieła naukowe. Większe prace naukowe w przeważnej części pisane były jeszcze przed wojną, niektóre zaś z nich — w czasie okupacji wojennych. Produkcja powojenna to raczej mniejsze prace i artykuły, przy czym tematyka ich obraca się w znacznej mierze dookoła zagadnienia Słowian. Wznowione zostały również wszystkie czasopisma prehistoryczne, z wyjątkiem „Wiadomości Archeologicznych”, których pierwszy powojenny rocznik jest jednak zapowiadany.

Najważniejszą pozycją pośród powojennej literatury prehistorycznej jest duży tom „Prehistoria Ziem Polskich”, dzieło trzech autorów, Stefana Krukowskiego, prof. Józefa Kostrzewskiego i prof. Romana Jakimowicza¹⁾. Zostało ono napisane, a po części i wydrukowane, jeszcze przed wojną.

Pierwszą część „Prehistorii” stanowi praca Krukowskiego, wieloletniego kustosa Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, p. t. „Paleolit”. Obejmuje ona 11 stron tekstu i 49 tablic z rysunkami wyrobów krzemiennych,

¹⁾ „Prehistoria ziem polskich”, „Encyklopedia Polska”, t. IV, część I dział V. Kraków, Polska Akademia Umiejętności, 1939—1948. Str. 448, 100 tablic.

oraz tablicę chronologiczną. Na wstępie autor zajmuje się zagadnieniem chronologii lessów, a to ze względu na to, że w nich znajduje się znaczną część paleolitycznych zabytków, oraz chronologią znalezisk paleolitycznych powierzchniowych. Następnie daje on opis poszczególnych stanowisk. W dziale tym najcenniejszą jest publikacja wyników własnych badań autora; jednak brak jakichkolwiek planów, przekrojów badanych stanowisk i jaskiń, niestety, ogromnie obniża wartość tego sprawozdania. Reszta, obejmująca więcej niż połowę pracy, poświęcona jest charakterystyce przemysłów paleolitycznych, występujących w Polsce.

Praca S. Krukowskiego powinna pełnić rolę podstawowego podręcznika dla studentów paleolitu polskiego i zastąpić już przestarzałe, choć dobrze napisane i zaopatrzone w odpowiednie mapki, plany i przekroje, opracowanie prof. Leona Kozłowskiego z 1925 r. Jest ona jednak napisana w taki sposób, że nawet człowiek jako tako obyty z poruszanymi w niej zagadnieniami, tylko z trudem ją przeczyta. Oto kilka próbek swoistego stylu autora, niespotykanego w wydawnictwach Akademii: „Są zależne od morfiki swych macierzaków w ten sposób, że obrobienie łuskało i nadgryzało miejsca podatne w sposób najłatwiejszy dla siebie” (str. 50); „Jego przydatność (t. j. podziału „prehistoryczno-chronologicznego”) nigdy nie była doskonała. Od paru dziesięcioleci pogarsza się coraz bardziej. Na Syberii i w Afryce była i jest żadna. To też zaopatrzą ten podział w łaty i przybudówki” (str. 61); albo takie zdanie jako początek rozdziału: „W obrębie ogólnej chronologii podokresowej, geologicznej, nie zawsze mocnej tu” (str. 73). Do wad powyższych dołącza się jeszcze to, że autor nie uważał za stosowne dać ani jednej mapki, ani planu czy profilu opisywanych stanowisk, żadnych wzmianek ani cytatów literatury, żadnej bibliografii.

Druga część „Prehistorii” p. t. „Od mezolitu do okresu wędrówek ludów”, napisana przez prof. Kostrzewskiego, obejmuje 240 stron tekstu, 40 tablic z rycinami materiałów archeologicznych, oraz 16 mapek. Podany na końcu spis literatury obejmuje 80 pozycji. W kilku wielkich rozdziałach książki znajduje się omówienie poszczególnych epok przedhistorycznych, a następnie w podrozdziałach omówiono i scharakteryzowano wszystkie kultury, występujące w danych epokach. Liczne mapki podają zasięgi geograficzne

kultur oraz niektórych zjawisk kulturalnych w poszczególnych okresach.

Pojawienie się pracy prof. Kostrzewskiego jest bardzo ważnym zdarzeniem w prehistorii polskiej. W ostatnim dziesięcioleciu przed wybuchem wojny prowadzone były na ziemiach polskich bardzo intensywne badania wykopaliskowe, które przyniosły ogromną ilość nowych materiałów archeologicznych. Liczne sprawozdania z tych prac, jak i większe opracowania monograficzne, publikowane po ukazaniu się pierwszego syntetycznego opracowania pradziejów ziem polskich prof. Włodzimierza Antoniewicza¹⁾, czyniły sprawę nowego ujęcia całokształtu dziejów przedhistorycznych Polski rzeczą ogromnie pilną. To też autor ma niezwykle wielką zasługę, że uporządkował i systematycznie przedstawił cały mniej więcej materiał, znany w chwili wybuchu wojny. W dziele prof. Kostrzewskiego należy podziwiać nie tylko ogrom pracy w nie ułożony, ale przede wszystkim gruntowną znajomość zagadnień i olbrzymich materiałów archeologicznych ze wszystkich części ziem polskich.

Oczywiście, tego rodzaju ogromne dzieło, opierające się w wielu wypadkach o znajomość materiałów jeszcze nie opracowanych należycie, siła rzeczy zawiera pewną ilość spornych twierdzeń i wniosków. Trudno by mi było jednak wchodzić w szczegółową polemikę, zwłaszcza, że brak mi tu notatek i materiałów, których pozbawiony jestem już blisko dziesięć lat. Nasuwają się jednak uwagi ogólniejszej natury. Dotyczą one po pierwsze chronologii bezwzględnej neolitu polskiego. Początek młodszej epoki kamiennej w Polsce datuje autor na 2500 przed Chr. Datę tę należałoby cofnąć wstecz o kilkaset lat. Wynika to tak z badań uczonych angielskich (prof. Childe, prof. Hawkes), jak i z samej roli najstarszej ludności rolniczej, jaką na ziemiach polskich była kultura ceramiki wstęgowej. Dwieście lat (od 2500 do 2300 przed Chr.) jest stanowczo za krótkim okresem na zajęcie przez tę kulturę nie tylko całej Polski południowej, ale także i na skolonizowanie Kujaw i na sięgnięcie jej dalej na północ. To samo dotyczy pojawienia się kultury ceramiki malowanej na Podolu, którą autor datuje na około 2000 przed Chr. Ludność tej kultury niewątpliwie pojawiła się na Podolu o kilkaset lat wcześniej. Z drugiej

¹⁾ „Archeologia Polski”, Warszawa 1928.

znów strony koniec młodszej epoki kamiennej a początek epoki brązowej został za wcześnie datowany na 1800 przed Chr. Zresztą zachodzi tu niezgodność u samego autora, który w innym rozdziale datę tę podaje na 1700 przed Chr. W świetle wyników badań angielskich nad importami z krajów śródziemnomorskich¹⁾ początku epoki brązowej w Polsce nie można wcześniej datować aniżeli na 1600 przed Chr.

W dążeniu do systematycznego uszeregowania kultur przedhistorycznych w obrębie poszczególnych epok autor zbyt rygorystycznie trzyma się obranego schematu. W wyniku tego podział jego staje się niejednokrotnie dość sztuczny i nie daje pełnego obrazu całokształtu osadnictwa w poszczególnych okresach. Typowym tego przykładem jest n. p. kultura ceramiki sznurowej Polski południowo-wschodniej. Kultura ta rozwijała się głównie pod koniec młodszej epoki kamiennej i trwała nadal w pierwszym okresie epoki brązowej. Autor stwierdza to wprawdzie przy opisie kultur młodszej epoki kamiennej, jednak nie uwzględnia tego w rozdziale, poświęconym początkom epoki brązowej. Ważniejszą może rzeczą jest, że przez pominięcie tego faktu na mapce, przedstawiającej stosunki, panujące w pierwszym okresie epoki brązowej, powstała uderzająca pustka, luka w zaludnieniu na ziemiach, które na mapce, przedstawiającej stosunki w poprzedzającym okresie, wykazują niesamowite zagęszczenie kultur. Tego rodzaju sztuczne pustki widoczne są także na innych mapkach. Na skutek tego rygorystycznie stosowanego schematu również niejasno występują związki pomiędzy kulturami bezpośrednio po sobie następującymi na tych samych terenach.

Tych kilka uwag w niczym nie umniejsza ogromnej wartości i znaczenia dzieła prof. Kostrzewskiego, które niewątpliwie przez długie lata będzie ogromnie cennym dziełem źródłowym oraz podstawowym podręcznikiem dla studentów prehistorii. O znaczeniu tego dzieła najlepiej świadczy fakt, że zostało ono przetłumaczone na język niemiecki przez *Publikationsstelle* w Berlinie i wydane na powielaczu.

Trzecia z kolei praca, „Okres wczesno-historyczny”, napisana została przez prof. Jakimowicza, przed wojną dyrektora Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, obecnie profesora Uniwersytetu w Toruniu. Ma

¹⁾ Patrz: G. V. Childe, „*Slavia Antiqua*” I, 90 n.

ona 68 stron tekstu i 10 tablic z materiałem ilustracyjnym i podzielona jest na dwa nierównej objętości rozdziały. Pierwszy, dość krótki, obejmuje okres przedpiastowski, od 600 do 900 po Chr. Zawiera on opis, bardzo zresztą skąpych dla tego okresu, materiałów archeologicznych, a więc osad, zwłaszcza grodów, cmentarzysk, oraz narzędzi, ceramiki i innych przedmiotów codziennego użytku. Drugi rozdział, znacznie większy, zawiera opis materiałów archeologicznych z czasów panowania pierwszych Piastów aż po koniec XII w. z obszaru całej Polski, więc również z części dawnych ziem ruskich. Znajduje się tu opis rozwoju grodów i osadnictwa, opis kultury materialnej, stanu rolnictwa, rzemiosł, handlu i t. d., tak jak się one przedstawiają w świetle rezultatów badań wykopaliskowych.

Załowac bardzo należy, że autor nie podał żadnych mapek z zasięgami poszczególnych zjawisk kulturalnych, typów grodów, typów ceramiki i t. p., o których wspomina w tekście. Brak bibliografii na końcu pracy jest dużą wadą, jakiej nie powinno się spotykać w tego rodzaju opracowaniach.

Do przedwojennych prac, których druk przerwała wojna, należą również dwie poważne prace monograficzne, wydane bardzo starannie przez Polską Akademię Umiejętności. Pierwszą z nich jest praca ś. p. dra Zdzisława Durczewskiego, zamordowanego przez Niemców w 1944 r. w czasie Powstania Warszawskiego, „Grupa górnośląsko-malopolska kultury łużyckiej w Polsce”, wydana w dwu częściach¹). Część pierwsza jest wzorowym opracowaniem regionalnej grupy kultury łużyckiej. Autor poddaje bardzo szczegółowej analizie skrupulatnie zebrany materiał archeologiczny; następnie uzasadnia wyodrębnienie go w osobną grupę, przeprowadza podział chronologiczny i w końcu omawia stosunek omawianej grupy do innych grup, jej współczesnych. W części drugiej, w całości drukowanej już po wojnie, znajduje się bardzo szczegółowe zestawienie i opis wszystkich znalezisk i cmentarzysk omawia-

¹) Zdzisław Durczewski, „Grupa górnośląsko-malopolska kultury łużyckiej w Polsce”. („Prace Prehistoryczne Nr. 4). Część I (Syntetyczna). Kraków, P. A. U. 1939—1946. Str. 187, 8 ryc. w tekście. — Część II (Materiały). Kraków, P. A. U., 1948. Str. 359, 17 ryc. w tekście, 111 tabl. i mapa.

nej grupy. Na końcu umieszczone są tabele, pozwalające orientować się w materiale. Ogromna szkoda, że brak jest streszczenia w obcym języku, co czyni tę pracę niedostępną szerszym kołom prehistoryków zagranicznych.

Drugą monografią jest praca docenta dra Stefana Noska „Kultura grobów skrzynkowych i podkloszowych w Polsce południowo-zachodniej”¹⁾. Podobnie jak praca dra Durczewskiego oraz inne analogiczne opracowania podzielona jest ona na dwie części. Pierwsza poświęcona jest analizie materiału i jego opracowaniu oraz wnioskom; w drugiej podany został dokładny opis wszystkich znalezisk omawianej grupy kulturalnej. Na końcu znajdują się skrowidze nazw miejscowości i nazwisk, spis literatury, oraz dość obszerne streszczenie w języku francuskim. Znajduje się tam także kilkustronicowe uzupełnienie, dodane po wojnie.

Obie powyższe prace są bardzo cennym nabytkiem dla polskiej literatury prehistorycznej. Tego rodzaju szczegółowe opracowania regionalnych grup kulturalnych tworzą właściwą podstawę dla większych ujęć dziejów prehistorycznych poszczególnych epok i krajów. Szczególnie ważne są opracowania regionalnych grup kultury łużyckiej, gdyż kultura ta, która zasięgiem swym obejmowała ogromne połacie ziem polskich, nie jest dotychczas opracowana. Wielkie ilości bardzo bogatych materiałów archeologicznych ogromnie utrudniają ujęcie całokształtu tej kultury, które będzie możliwe dopiero po szczegółowym opracowaniu wszystkich jej grup regionalnych w podobny sposób, jak to uczynił ś. p. dr Durczewski dla grupy górnośląsko-małopolskiej.

Monograficzne opracowania w rodzaju powyżej omówionych mają czasem tendencję do traktowania wszystkich zjawisk tylko z punktu widzenia grupy, omawianej przez autora. Błędu tego nie uniknął ś. p. dr Durczewski przy omawianiu genezy swej grupy. Zdaniem jego miała ona powstać na skutek przesunięcia się nadwyżek ludności z przeludnionego Śląska na wschód, na tereny słabiej zaludnione. Twierdzenie to nie jest słuszne. Podobnie jak

¹⁾ Dr Stefan Nosek, „Kultura grobów skrzynkowych i podkloszowych w Polsce południowo-zachodniej”. („Prace Prehistoryczne Nr. 3). Kraków, P. A. U., 1946. Str. 142, 14 ryc. w tekście, 25 tabl.

w wielu innych wypadkach, rzekome wyludnienie różnych krajów, a w danym wypadku żyznych terenów Wyżyny Małopolskiej, jest tylko wynikiem niedostatecznych badań wykopaliskowych oraz błędu w datowaniu znalezisk. W miarę postępu badań tego rodzaju sztuczne luki w większości wypadków się zapełniają. Analogiczną rzekomą lukę w zaludnieniu wypełnia m. i. omówiona powyżej praca doc. Noska, który wskazał, że na tejże samej ziemi krakowskiej nie tylko że nie ma żadnej tego rodzaju luki pomiędzy kulturą łużycką z końca okresu halszackiego a pojawieniem się kultury grobów skrzynekowych (kultury pomorskiej), ale nawet daje się wyraźnie stwierdzić ciągłość osadnictwa.

Inny charakter ma trzecia z kolei praca monograficzna, napisana w czasie wojny w trudnych warunkach okupacyjnych przez prof. J. Kostrzewskiego „Kultura prapolska”¹⁾. Praca ta, zaopatrzona w starannie ułożone skorowidze, podzielona jest na trzy nierównej objętości działy. Pierwszy, i zarazem najobszerniejszy (330 stron), zawiera opis kultury materialnej; drugi (110 stron) poświęcony jest kulturze duchowej, a trzeci (50 stron) — kulturze społecznej. Chronologicznie pracą objęte są czasy od V do końca XI w. po Chr. Liczne przypiski, zebrane razem na końcu pracy, dają możliwość orientowania się w materiałach i literaturze przedmiotu.

Celem pracy, jak autor na wstępie zaznacza, jest przedstawienie w zarysie całokształtu najdawniejszej kultury polskiej, o ile ją można odtworzyć w obecnym stanie badań różnych nauk, tym zagadnieniem się zajmujących, a szczególnie archeologii. Jako kulturę prapolską określa autor kulturę tych plemion, z których potem utworzył się naród polski.

Podobnie jak „Prehistoria ziem polskich”, tak również i ta praca prof. Kostrzewskiego jest dziełem podstawowym, którego nikt, zajmujący się zaraniem dziejów Polski, nie będzie mógł pominąć. Systematyczny przegląd wszystkich dostępnych materiałów, wszechstronne ich omówienie i liczne, dobrze dobrane ilustracje, dają pojęcie o stanie rolnictwa, rzemiosł, budownictwa i w ogóle o poziomie kultury wszystkich warstw społecznych ludności Polski za czasów pierwszych Piastów i w okresie przedpiastowskim oraz,

¹⁾ Józef Kostrzewski, „Kultura prapolska”. Poznań, Instytut Zachodni, 1947. Str. 605, 261 ryc.

o organizacji społecznej. Obraz ten świadczy wyraźnie, że kultura ta musiała mieć wiele wieków rozwoju za sobą, i tym samym zadaje kłam twierdzeniom niemieckim o niskim stanie kulturalnym ludności ówczesnej Polski.

Powojenne prace prehistoryczne mają na celu raczej popularyzację nauki. Kilka z nich zostało napisanych jako podręczniki lub lektura szkolna, we wszystkich zaś poczesne miejsce zajmuje zagadnienie pochodzenia Słowian.

Najważniejszą z powojennych publikacji jest znów książka prof. Kostrzewskiego „Prasłowiańszczyzna”¹⁾. Jak autor zaznacza, ma ona na celu przedstawienie w przystępnej formie dziejów i obrazu kultury Prasłowian, których pozostałością archeologiczną jest przede wszystkim kultura łużycka. Na początku pracy autor zajmuje się zagadnieniem pochodzenia Słowian i wykazaniem, że ich najstarsze siedziby musiały znajdować się w dorzeczu Odry i Wisły. Następne rozdziały poświęcone są systematycznemu przedstawieniu gospodarki oraz kultury materialnej, społecznej i duchowej, tak jak się one przedstawiają na podstawie badań nad kulturą łużycką. Na końcu autor zajmuje się dalszymi dziejami ludności po upadku kultury łużyckiej, wykazując ciągłość osadnictwa ziem polskich aż do czasów historycznych. Pomimo że praca ta ma charakter popularno-naukowy, jest ona równocześnie wszechstronnym przedstawieniem obrazu życia i poziomu kultury ówczesnej ludności, opartym na gruntownej znajomości materiałów.

Pracą o charakterze popularno-naukowym jest także książka doc. Noska „Słowianie w pradziejach Polski”²⁾. Jest to bardzo pobieżnie ujęty zarys prehistorii ziem polskich od początków młodszej epoki kamiennej, ze specjalnym uwzględnieniem problemu pochodzenia Słowian. Autor zatrzymuje się nieco dłużej przy opisie kultury łużyckiej, a następnie kultury wenedzkiej z pierwszych wieków po Chr. Książka pomyślana jest jako lektura szkolna i uzupełnienie do nauki

¹⁾ Dr Józef Kostrzewski, „Prasłowiańszczyzna — zarys dziejów i kultury Prasłowian”. Poznań, Księgarnia Akademicka, 1946. Str. 164, 68 ryc. i map.

²⁾ Stefan Nosek, „Słowianie w pradziejach ziem polskich”. Kraków, Spółdzielnia „Pomoce i Urządzenia Szkolne”, 1946. Str. 167, 14 map, 132 ryc.

o dziejach ojczystych i została zalecona do użytku szkolnego. Winna ona przyczynić się do wzmożenia zainteresowania naszymi najstarszymi dziejami wśród młodzieży szkolnej. Jej wadą jednak jest przeładowanie materiałem ilustracyjnym kosztem zbyt pobieżnego traktowania samego przebiegu dziejów przedhistorycznych i opisów kultur. Poza tym w kilku wypadkach autor podaje jako pewniki rzeczy nie wyjaśnione jeszcze należycie, albo wprost sporne. Tak np. twierdzenie, że kultura amfor kulistych jest „pierwszym wyrazem wyodrębniających się Pra-indoeuropejczyków”, musi budzić zastrzeżenia. Gdzie indziej, przy opisie ubioru ludności kultury łużyckiej, autor twierdzi, że „Słowianom znane były spodnie”. Dotychczasowe badania nie tylko jednak tego nie potwierdzają, ale raczej nawet temu przeczą. Również nie wydaje się, by dotychczasowy stan badań upoważniał do poświęcenia osobnego podrozdziału omówieniu „organizacji sił zbrojnych” kultury pomorskiej z pierwszej połowy pierwszego tysiąclecia przed Chr. Bardzo natomiast przydatne są tabele chronologiczne, umieszczone na końcu pracy, zwłaszcza tabela porównawcza dziejów przedhistorycznych ziem polskich na tle dziejów Egiptu, Grecji, Rzymu i Europy zachodniej.

W związku z wprowadzeniem wiadomości z zakresu dziejów przedhistorycznych do programu III kl. szkół powszechnych ukazało się kilka podręczników szkolnych. Podręcznik dr. Zofii Podkowińskiej p. t. „Człowiek w czasach przedhistorycznych”¹⁾ przeznaczony jest dla nauczycieli. Jest on napisany jasno i przystępnie. Na wstępie zajmuje się metodą badań prehistorycznych, następnie idzie kolejny opis różnych przejawów z dziedziny kultury materialnej i duchowej. Autorka opisuje rozwój poszczególnych narzędzi, broni, ceramiki, rozwój hodowli zwierząt i uprawy roślin od ich pierwszych zaczątków, dalej przemiany w zwyczajach pogrzebowych, wierzeniach i t. p. Końcowe rozdziały poświęcone są przedstawieniu zagadnienia pochodzenia Słowian i opisowi kultury prapolskiej z zarania naszych dziejów historycznych. Książka ta, pomimo wielu zalet, zawiera jednak również wiele błędów i niedokładności, obni-

¹⁾ Dr Zofia Podkowińska, „Człowiek w czasach przedhistorycznych”. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946. Str. 192, 69 ryc. i 2 mapki w tekście.

zających poważnie jej przydatność, a wytkniętych przez prof. Kostrzewskiego w bardzo szczegółowej recenzji¹⁾.

Dwa inne podręczniki: „Życie ludzi w dawnych wiekach”, przez dr. Janinę Rosen-Przeworską²⁾, i „Ziemia opowiada”, Sarnowskiej, Ogarkowej i Podolaka, przeznaczone są dla dzieci. Podręczników tych nie miałem sposobności przeglądać. Recenzje ich pióra prof. Kostrzewskiego (książka dr. Przeworskiej³⁾ i prof. R. Jakimowicza (drugi podręcznik⁴⁾) podkreślają ich zalety, wytykając pewne błędy i niedokładności, zawarte w obu z nich. Poza tym prof. Jakimowicz występuje w swej recenzji przeciw wprowadzeniu prehistorii do klasy III szkół powszechnych, proponując przeniesienie jej do klasy VI lub VII. Uzasadnia to bardzo rzeczowo, wykazując, że dzieci w tym wieku i w tym stadium rozwoju nie są jeszcze dostatecznie przygotowane do uczenia się prehistorii.

Wyraźny cel popularyzacji nauki ma seria broszurek cyklu „Prasłowiańszczyzna i Polska pierwotna”⁵⁾, wydawana pod redakcją prof. Kostrzewskiego. Całość tego cyklu ma obejmować 14 broszurek formatu dużej 8^o, objętości około 30 stron każda. Poszczególne broszurki, pisane przez specjalistów w danych dziedzinach, zajmują się różnymi zagadnieniami z zakresu kultury materialnej, duchowej i społecznej wczesno-historycznych plemion polskich, ich stosunkiem do Niemiec, oraz walkami Słowian zachodnich z naporem germańskim. Kilka broszurek poświęcono czasom przedhistorycznym. Na końcu każdej z nich podana jest krótka bibliografia przedmiotu.

W broszurce „Gdzie była prakolebka Słowian” dr Konrad Jażdżewski, profesor Uniwersytetu w Łodzi, omawia to zagadnienie w sposób bardzo przystępny. Na kilku mapkach podane są zasięgi Słowian w różnych okresach przedhistorycznych. Szkoda tylko, że na mapkach tych nie została

¹⁾ „Życie Szkoły”, Nr. 8-9, Toruń 1946.

²⁾ Janina Przeworska, „Życie ludzi w dawnych wiekach”. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946. Str. 126, 68 ryc.

³⁾ „Życie Szkoły”, Nr. 6, Toruń 1946. „Przegląd Archeologiczny”, VII/2, str. 117.

⁴⁾ „Z Otczłani Wieków”, XVI (1947), str. 127—136.

⁵⁾ Z cyklu popularno-naukowego „Wiedza Powszechna,” wydawanego przez „Czytelnika”.

wrysowana siatka rzeczna, co ogromnie ułatwiłoby orientację. W innej broszurce p. t. „Biskupin — gród prasłowiański”, dr Zdzisław Rajewski opisuje dotychczasowe wyniki badań tego grodu kultury łużyckiej i daje obraz życia, gospodarki i stanu kultury jego mieszkańców, tak jak się on przedstawia w świetle materiałów wykopaliskowych. Tenże autor w innej broszurce p. t. „Jak żyli nasi przodkowie w zaraniu dziejów” daje popularnie ujęty opis życia, gospodarki i kultury Polan wczesnohistorycznych, oparty o wyniki badań szeregu grodów staropolskich.

Do tego samego typu wydawnictw popularnych, zaleconych do użytku szkolnego i do bibliotek szkolnych, należy interesująco napisana książeczka dra Z. Rajewskiego „Ziemie zachodnie w świetle wykopalisk”¹⁾. Jest to bardzo przystępny opis grodów i kultury prapolskiej i innych plemion zachodnio-słowiańskich, opierający się na wynikach badań takich osad i grodów jak Santok, Wolin, Opole na Ziemiach Odzyskanych, i na innych grodach staro-słowiańskich, jak Arkona, Radogoszcz, na ziemiach dalej na zachód położonych.

Z licznych wydawnictw, zajmujących się Ziemią Odzyskaną, należy wspomnieć o trzech małych broszurkach, napisanych przez dra Rudolfa Jamkę, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, p. t. „Pradzieje Śląska”, „Prusy Wschodnie w dobie przedhistorycznej”, oraz „Pomorze w czasach przedhistorycznych”²⁾. Broszurki te dają bardzo krótkie ale jasne ujęcie zarysu pradziejów poszczególnych odzyskanych dzielnic na tle pradziejów reszty ziem polskich. Mają one bardzo dobrze opracowane mapki zasięgów kultur przedhistorycznych.

Omawiając wydawnictwa z dziedziny prehistorii ziem polskich, jakie pojawiły się w Polsce po wojnie, nie można

¹⁾ Zdzisław Adam Rajewski, „Ziemie zachodnie w świetle wykopalisk. Niektóre pomniki naszej i pobratymskiej dawności” („Biblioteka Ziemi Odzyskanych”). Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947. Str. 67, 37 ryc.

²⁾ Uniwersytet Jagielloński i Akademia Górnicza. Kurs Naukowo-Informacyjny o Ziemiach Zachodnich. Nr. 4: Dr Rudolf Jamka, „Pradzieje Śląska”. Kraków, Polski Związek Zachodni, 1945. Str. 21, z 5 mapkami; Nr. 16: Dr Rudolf Jamka, „Prusy Wschodnie w dobie przedhistorycznej”. J. w. Str. 15, 3 mapki; Nr. 20: Dr Rudolf Jamka, „Pomorze w czasach przedhistorycznych”. J. w. Str. 15, 5 mapek.

pominąć trzech prac prof. Tadeusza Lehra-Spławińskiego. Wprawdzie zajmują się one zagadnieniem pochodzenia Słowian głównie z punktu widzenia lingwistyki, jednak w dużej mierze uwzględniają również wyniki badań archeologicznych i po części na wynikach tych się opierają. Pierwsza z tych prac „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian”¹⁾ została w całości opracowana i napisana w czasie okupacji niemieckiej. Autor rozpoczyna ją od przeglądu wszystkich teorii o pochodzeniu Słowian oraz o ich najstarszych siedzi-
bach i poddaje te teorie krytycznej ocenie. Następnie omawia wzajemne stosunki języków słowiańskich i ich stosunek do innych grup językowych. Osobny rozdział poświęcony jest omówieniu pochodzenia nazw geograficznych, głównie nazw wód i gór, na ogromnym obszarze od Łaby po Wołgę. Wyniki tego omówienia przedstawione są na sześciu mapach. Następnie autor analizuje otrzymane rezultaty na tle wyników innych nauk, a w szczególności prehistorii. W ostatecznej konkluzji wykazuje on, że najstarsze siedziby słowiańskie musiały znajdować się gdzieś w dorzeczu Odry i Wisły. Cytaty, obejmujące ogromną ilość dzieł, zebrane są razem przy końcu pracy na 82 stronach. Książka zaopatrzona jest w skorowidz nazw i wyrazów objaśnionych.

Praca prof. Lehra-Spławińskiego, przynosząc bardzo bogaty materiał dokumentacyjny, opracowany od strony lingwistycznej, czego brak dawał się dotychczas odczuwać, ogromnie przyczynia się do ugruntowania tezy, że wyodrębnienie mowy słowiańskiej ze wspólnoty indoeuropejskiej dokonało się na ziemiach polskich.

Uzupełnieniem powyższego dzieła, ujętym w formie bardzo przystępnej, bez przypiskowego balastu dokumentacyjnego, jest druga praca prof. Lehra-Spławińskiego „Początki Słowian”²⁾. Autor omawia tu kolejno wszystkie grupy słowiańskie, poczynając od Prasłowian, podając po każdym rozdziale najważniejszą bibliografię oraz mapkę zasięgu danej grupy słowiańskiej. Mapki, dotyczące Prasłowian

¹⁾ Tadeusz Lehr-Spławiński, „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian”. Poznań, Instytut Zachodni, 1946. Str. 237, 1 wykres, 6 map.

²⁾ Tadeusz Lehr-Spławiński. „Początki Słowian”. („Biblioteka Studium Słowiańskiego U. J.” Seria B, Nr. 1—4). Kraków 1946. Str. 72, 5 mapek.

podają zasięg kultury łużyckiej z czasów około 1000 przed Chr. oraz ekspansji Słowian w III w. po Chr.

Trzecia praca prof. Lehra-Spławińskiego „The Origin and the Ancestral Home of the Slavs”¹⁾ jest zwięzłym zebraniem w języku angielskim rezultatów wielkiego wyżej omówionego opracowania. Książkę tę należy bardzo gorąco powitać, gdyż daje zagranicy możliwość zapoznania się z wynikami polskich badań nad pochodzeniem Słowian, przedstawionych przez czołowego lingwistę polskiego. Brak takiej pracy dawał się szczególnie odczuwać w krajach anglosaskich.

Ilustracją tego może być fakt, który ze zdziwieniem skonstatowałem, że w Slavonic Department Uniwersytetu w Cambridge za podręcznik służy m. in. moja broszura o charakterze raczej publicystycznym „Poland and Germany”²⁾. Była to jednak jedyna publikacja w języku angielskim, w której przedstawione zostały pokrótce argumenty za umiejscowieniem praojczyzny Słowian w dorzeczu Odry i Wisły. Niestety, mój referat na ten temat, wygłoszony w marcu 1944 r. w Royal Anthropological Institute w Londynie³⁾, pomimo przejścia przez wszystkie korekty wciąż jeszcze czeka na ukazanie się w ogromnie opóźnionym tomie LXXV „Journal”a Instytutu za r. 1945.

Nie można tu również pominąć ostatniej pracy prof. Jana Czekanowskiego „Polska—Słowiańszczyzna”⁴⁾. Jest ona, jak sam autor zaznacza, po części rozwinięciem, po części przeróbką skrótów kilku jego znanych prac, co zresztą odbiło się w tekście w postaci szeregu niepotrzebnych powtarzań. Ta świetnie napisana książka wprowadza czytelnika w ogromną ilość zagadnień. Zaczyna od podstawowych założeń kierunku antropologicznego, stworzonego

¹⁾ Tadeusz Lehr-Spławiński, „The Origin and Ancestral Home of the Slavs. Poland's Place in Europe”, Edited by Zygmunt Wojciechowski. Poznań, Instytut Zachodni, 1947. Str. 61—83. 2 mapki.

²⁾ T. Sulimirski, „Poland and Germany. Past and Future”. London—Edinburgh, 1942. Str. 68.

³⁾ „Some Remarks Concerning the Problem of the Origin of Slavs”.

⁴⁾ Jan Czekanowski, „Polska—Słowiańszczyzna. Perspektywy antropologiczne”. Warszawa, S. Arct, 1948 (Biblioteka Wiedzy o Polsce, t. III). Str. 389.

przez autora. Następnie, w oparciu o te założenia i na tle rekonstrukcji procesów, jakie zaszły w przeszłości, autor stara się dać czytelnikowi klucz do zrozumienia dzisiejszych stosunków antropologicznych i etnicznych w Europie środkowej i wschodniej.

Nie wszystkie rekonstrukcje procesów dziejowych, przedstawione przez prof. Czekanowskiego, dadzą się utrzymać. Do rzędu takich należy przypisywanie Kaukazowi ogromnej roli w kształtowaniu się stosunków antropologicznych krajów czarnomorskich. Dziś już dostatecznie wyjaśniono, że najstarsza ludność rolnicza czarnoziemów Podola i Ukrainy naddnieprzańskiej była najdalej wysuniętą prowincją ogromnego kręgu matriarchalnych kultur „ceramiki malowanej”, sięgających poprzez dzisiejszą Rumunię i Bułgarię do Azji Mniejszej, a stąd dalej na wschód. Na tym tle reminiscencje matriarchalne, spotykane do dziś w Rumunii i na Ukrainie, są zupełnie zrozumiałe. Tą właśnie drogą, a nie przez Kaukaz, mogła nastąpić infiltracja elementów armenoidalnych, które autor stwierdza na terenach, zajmowanych ongiś przez ludność kręgu kultur ceramiki malowanej.

Istotnym jednak zarzutem, jaki można tej pracy postawić, jest to, że autor zupełnie pominął bardzo poważne dzieło profesora Uniwersytetu Harvard, C. S. Coon'a¹⁾, w którym Coon, podobnie jak prof. Czekanowski, omawia współczesne stosunki antropologiczne Europy oraz daje próbę rekonstrukcji przemian, jakie zaszły w przeszłości od chwili pojawienia się w Europie pierwszego człowieka paleolitycznego. W dziele tym sporo miejsca poświęcono omówieniu i krytyce założeń szkoły antropologicznej prof. Czekanowskiego.

Jak wspomniałem na wstępie, wznowione zostały po wojnie prawie wszystkie prehistoryczne wydawnictwa periodyczne, przy czym największą ruchliwość wykazał znów ośrodek poznański. Wyszły tam dwa roczniki „Przeglądu Archeologicznego”, regularnie co dwa miesiące wychodzi „Z Otchłani Wieków”, oraz podjęte zostało nowe wydawnictwo „Slavia Antiqua”.

Pierwszy powojenny rocznik „Przeglądu Archeologiczne-

¹⁾ Carleton Steven Coon, „The Races of Europe”. New York, Macmillan, 1939. Str. 739.

go¹⁾) został niemal w całości wypełniony artykułami prof. Kostrzewskiego. Powstały one na tle krytycznego omówienia kilku książek niemieckich, wydanych przed samą wojną lub już w czasie jej trwania.

W artykule „Słowianie i Germanie na ziemiach na wschód od Łaby w 6—8 w. po Chr.” prof. Kostrzewski wykazuje błędy w datowaniu oraz tendencyjne wnioski, nie mające dostatecznego oparcia w materiale archeologicznym, zawarte w pracach E. Petersena „Fragen der germanischen Besiedlung im Raume zwischen Oder und Weichsel in der Voelkerwanderungszeit” (1936), oraz „Der ostelbische Raum als germanisches Kraftfeld im Lichte der Bodenfunde des 6—8 Jahrhunderts” (1939). W następnym artykule, „Ceramika słowiańska między Łabą a Odrą w zaraniu dziejów”, prof. Kostrzewski zbija błędne twierdzenia, zawarte w książce H. A. Knorra „Die slawische Keramik zwischen Elbe und Oder” (1937), podkreślając przy tym pozytywne rezultaty tej pracy, polegające na wyodrębnieniu pewnych lokalnych zachodnio-słowiańskich form ceramicznych oraz na stwierdzeniu, że ceramika ta była pod bardzo silnym wpływem ceramiki polskiej. Trzeci artykuł prof. Kostrzewskiego, nieco krótszy od poprzednich, „W sprawie zachodniej granicy Słowian w Niemczech Środkowych”, omawia pracę Wernera Huelle „Westausbreitung und Wehranlagen der Slawen in Mitteldeutschland” (1940) wraz z włączoną do niej pracą Wernera Radiga „Die sorbischen Burgen Westsachsens und Ostthuringens”. Prof. Kostrzewski podkreśla znaczenie tej pracy, w której zestawiono przeszło 200 grodów słowiańskich z pogranicza słowiańsko-niemieckiego, oraz zbija jej wszystkie błędne wnioski. Wykazuje on również, że na podstawie wyników tej pracy należy granicę zasięgu plemion słowiańskich, politycznie niezależnych, przesunąć bardziej na zachód w stosunku do zasięgu, nakreślonego przez L. Niederlego.

W czwartym z kolei artykule „Germanie przedhistoryczni w Polsce” został omówiony trzeci tom zbiorowego dzieła „Vorgeschichte der deutschen Staemme. Ostgermanen und

¹⁾ „Przegląd Archeologiczny”. Czasopismo poświęcone archeologii przedhistorycznej. Organ Instytutu Badania Starożytności Słowiańskich i Polskiego Towarzystwa Prehistorycznego. Tom VII, 1 (Rocznik 22). Poznań 1946. Str. 130.

Nordgermanen" (1940). Prof. Kostrzewski pokazał tu wyraźną tendencyjność tego dzieła oraz uwydatnił zawarte w nim sprzeczności, mylne wnioski i twierdzenia, zwłaszcza przypisywania plemionom germańskim różnych kultur przedhistorycznych na ziemiach polskich, co nie wytrzymuje krytyki w świetle rzeczowej analizy materiałów. W znacznie krótszym od poprzednich artykule „Prakolebka Słowian w świetle badań paleobotanicznych” prof. Kostrzewski zestawia najnowsze wyniki badań paleobotanicznych w zastosowaniu do problemu pochodzenia Słowian. Wykazuje on, że praojczyzna Słowian została umiejscowiona przez Maxa Vasmera na Polesiu na podstawie błędnych wniosków, wyciągniętych z niedokładnie na mapę naniesionych dzisiejszych zasięgów różnych roślin, których nazwy były znane Prasłowianom. Przy wysnuciu poprawnych wniosków — nawet z mylnych danych Vasmera — praojczyznę tę trzeba przesunąć dalej na zachód. Na podstawie zaś należyce naniesionych zasięgów buka, cisa, bluszczu i grabu prakolebkę tę należy umiejscowić w dorzeczu Odry i Wisły.

Wreszcie w dziale „Sprawozdań z literatury” prof. Kostrzewski wykazał bezwartościowość książki Kurta Glogiera „Germanen in Osteuropa” (1943) oraz omówił podręcznik J. Przeworskiej „Życie ludzi w dawnych wiekach”, o którym była już mowa wyżej.

Drobniejsze prace sześciu innych autorów zajmują na 130 stron rocznika tylko 21 stron łącznie. Na uwagę zasługuje artykuł W. Hołubowicza „Gлина szlamowana i „grubej roboty” w garncarstwie przedhistorycznym”, zajmujący się problemami techniki garncarskiej. Do tego samego tematu autor powraca w następnym roczniku „Przeglądu Archeologicznego”, oraz w trzech artykułach, umieszczonych w „Z Otchłani Wieków”. Zagadnienie techniki obróbki gliny w ceramice przedhistorycznej jest niezwykle ważne ze względu na rolę, jaką gra ceramika w badaniach prehistorycznych i w oznaczaniu przynależności kulturalnej. Dziedzina ta była u nas dotąd bardzo zaniedbana i dlatego artykuły Hołubowicza należy bardzo gorąco powitać. Autor, który przez kilkuletnie studia nad prymitywnym garncarstwem ludowym na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej nabył gruntownej znajomości obróbki gliny i techniki garncarskiej, zwraca uwagę na wiele mylnych określeń, powtarzających

się w literaturze prehistorycznej, wynikających z nieznamomości zasad techniki garncarskiej.

W następnym artykule „Geneza i chronologia pomorskich urn domkowych” mgr. Jerzy Antoniewicz zajmuje się bardzo ciekawą formą urn z wczesnej epoki żelaznej i dochodzi do wniosku, że powstała ona na tle oddziaływań kulturalnych, idących od południa. Cztery mniejsze artykuły A. H. Kozzańskiej, dra Z. A. Rajewskiego, L. J. Łuki i K. Moldenhawera przynoszą publikacje kilku ciekawych znalezisk z zachodniej części Polski. Zamyka tom „Bibliografia prehistorii polskiej za lata 1939—1945”, oraz wspomnienia pośmiertne pięciu młodych prehistoryków poznańskich, którzy zginęli lub zostali zamordowani przez Niemców.

Następny tom „Przeglądu Archeologicznego” za rok 1947¹⁾ zawiera kilka bardzo cennych rozpraw. Otwiera go artykuł W. Hołubowicza „Technika obróbki gliny w eneolitycznej osadzie ceramiki malowanej w Szypienicach na Bukowinie”, w którym autor słusznie zwraca uwagę na to, że współistnienie w obrębie jednej kultury typów ceramiki, technicznie różnie wykonanej, wynika z samego przeznaczenia tej ceramiki do różnych celów, a niekoniecznie jest świadectwem obcych wpływów kulturalnych. Doc. S. Nosek w pracy „Przyczynki do znajomości kultur z cyklu wstęgowych w Polsce południowej” publikuje kilka nowych stanowisk z zabytkami tych kultur. Ważne jest stwierdzenie zazębiania się starszej kultury ceramiki wstęgowej z kulturą ceramiki malowanej na Podolu, widoczne na materiałach archeologicznych, pochodzących z jaskini Wertebry w Bilczu Żółtym, w pow. zaleszczyckim, przechowywanych w Muzeum Archeologicznym P. A. U. w Krakowie. W dużej pracy „Cmentarzysko z okresu rzymskiego w Koninie” mgr. B. Kostrzewski opisuje bardzo bogaty materiał z cmentarzyska z II—III w. po Chr., pochodzący z badań niemieckich w czasie wojny. Kilka drobniejszych artykułów, napisanych przez R. Jamkę, L. J. Łukę, J. Kostrzewskiego i Z. Prószyńskiego, zawiera opis nowych materiałów archeologicznych, zaś zestawienie bibliografii prehistorii polskiej za rok 1946 oraz wspomnienie pośmiertne ś. p. prof. Leona Kozłowskiego zamykają tom.

Jednym z najbardziej cennych wydawnictw prehistorycz-

¹⁾ Tom VII, 2 (Rocznik 23). 1947. Str. 131—312.

nych jest dwumiesięcznik „Z Otchłani Wieków”¹⁾, wydawany po wznowieniu zrazu pod redakcją prof. K. Jażdżewskiego, a następnie — mgra Bogdana Kostrzewskiego, syna profesora. Czasopismo to ma charakter wydawnictwa popularyzacyjnego, równocześnie jednak spełnia bardzo ważną rolę biuletynu informacyjnego, przynosząc wiadomości o wszystkich nowych odkryciach i badaniach prehistorycznych w kraju i zagranicą. Oprócz artykułów, popularyzujących wyniki poważniejszych prac, pojawiają się tu również krótkie artykuły, mające charakter tymczasowych sprawozdań z nowych badań. Z pomiędzy tychże na wzmiankę zasługuje artykuł mgra W. Szafrąńskiego „Mapka grodów prasłowiańskich” (rocznik 1945), w której zestawia on grody kultury łużyckiej na ziemiach polskich i podaje ich rozprzestrzenienie geograficzne na tle regionalnych grup tej kultury. W artykule „Tyny i Tyńce” (rocznik 1948) daje A. Nadolski mapkę rozmieszczenia miejscowości o nazwach pochodnych od rdzenia „-tyn-”. Nazwa „tyn” jest pochodzenia celtyckiego; została ona przejęta nie wprost od Celtów, lecz za pośrednictwem germańskim. Używana była, obok nazwy „gród”, na oznaczenie miejsca warownego. Miejscowości tego typu, jak wykazuje autor, grupują się w obrębie najdalszego zasięgu celtyckiego lub w obrębie zasięgu wpływów celtyckich, wykreślonych na podstawie zabytków archeologicznych. Mgr. A. Żaki podaje w roczniku 1947 krótki opis nowo odkrytej dużej osady garncarskiej z III—IV w. po Chr. z Zofipola i Igołomii w pow. miechowskim. Osada ta jest zupełnie analogiczna do odkrytej przed wojną w sąsiednim Tropiszowie. Proponowane jest utworzenie rezerwatu w tym miejscu i zachowanie niezwykle ciekawych pieców garncarskich. We wspomnianych już poprzednio artykułach „Z dziejów garncarstwa na ziemiach polskich” (rocznik 1947) i „Z badań nad ceramiką kultury łużyckiej” (roczniki 1947 i 1948) W. Hołubowicz uzupełnia swe rozważania na temat techniki garncarskiej, publikowane w „Przeglądzie Archeologicznym”. Kilka mniejszych artykułów, pisanych przez różnych autorów, zajmuje się zagadnieniami organizacji badań terenowych i techniką wykopaliskową.

¹⁾ „Z Otchłani Wieków”. Dwumiesięcznik poświęcony pradziejom Polski. Organ Muzeum Prehistorycznego i Instytutu Prehistorycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Roczniki XIV—XVII (1945—1948).

Sporo wiadomości odnosi się do grodów wczesno-historycznych z różnych części Polski. W artykule „Gród Mieszka I w Poznaniu” (rocznik 1948) prof. J. Kostrzewski podaje krótkie sprawozdanie z badań w latach 1938—39 na terenie Ostrowa Tumskiego w Poznaniu, gdzie udało się stwierdzić, że miejsce to było zamieszkane już w VIII w. po Chr. W roczniku 1947 mamy ciekawe relacje dra W. Hensla o stanie badań na grodach staroczeskich, oraz sprawozdanie dr. H. Cehak-Hońbówiczej z próbných badań, prowadzonych w 1940 r. na staro-ruskim grodzie w Mińsku. W roczniku 1948 mgr. K. Żurowski daje krótką relację z badań na grodzisku w Horodnicy w pow. horodeńskim, prowadzonych w r. 1939. Natknięto się tam m. in. na zgliszcza spalonej osady z XIII w. po Chr. ze szkieletami pomordowanych mieszkańców. W jednym ze spalonych domostw znaleziono szkielety rodziny, składającej się z siedmiu osób, a w innym w kościach zamordowanego mieszkańca tkwiło ostrze żelaznego topora. Przypuszczalnie jest to ślad najazdu tatarskiego w 1241 r.

Może najbardziej zainteresuje historyków program badań na grodach staropolskich, ustalony na konferencji w lecie b. r. Ośrodek poznański miał nadal prowadzić badania wykopaliskowe na grodach w Poznaniu i Gnieźnie. Ośrodek toruński miał badać Kruszwicę, zaś ośrodek łódzki — staropomorski gród w Gdańsku. Ośrodkowi warszawskiemu powierzono prowadzenie badań na górze zamkowej w Szczecinie, zaś krakowski miał zająć się zbadaniem wzgórza wawelskiego, co, o ile można wnosić z wiadomości z prasy, jest już w toku. W dalszym planie jest zbadanie grodów w Kaliszu, Tumie pod Łęczycą, w Wiślicy, Tyńcu i w Kołobrzegu.

Imponująco przedstawia się pierwszy tom nowego wydawnictwa „Slavia Antiqua”¹⁾, będący równocześnie księgą pamiątkową ku uczczeniu 35-ciolecia naukowej działalności prof. Józefa Kostrzewskiego. Zawiera on 28 artykułów autorów pięciu narodowości, w tym dziewięciu Czechów i Słowaków, dwu Szwedów i jednego Anglika. Na wstępie znajduje się obszerny artykuł dra W. Hensla, za-

¹⁾ „Slavia Antiqua”. Czasopismo poświęcone starożytnościom słowiańskim, pod redakcją Witolda Hensla. Tom I. Poznań 1948. Str. 600.

wierający omówienie działalności i osiągnięć naukowych prof. Kostrzewskiego, następnie bibliografia prac prof. Kostrzewskiego z lat 1945—1947, obejmująca 75 pozycji. Bibliografia za lata poprzednie podana została w XVI tomie „Wiadomości Archeologicznych” (1939).

Artykuły ułożone są mniej więcej wedle chronologii tematów. Kilka pierwszych zajmuje się zagadnieniami z okresów sprzed nar. Chr. Większość obejmuje czasy późniejsze, oraz poświęcona jest rozważaniom na temat pochodzenia Słowian i najstarszych ich dziejów. Poza pracami archeologów znajdują się w tej grupie prace przedstawicieli innych nauk, tym zagadnieniem się zajmujących. Artykuły pisane są po polsku, czesku i francusku, z tym że polskie i czeskie mają streszczenia francuskie lub angielskie.

W artykule „Sur l'âge des objets importés des Iles Britanniques en Pologne” prof. G. V. Childe (Londyn) przedstawia wyniki badań zespołu uczonych angielskich nad zagadnieniem powiązań handlowych Wysp Brytyjskich z krajami środkowo- i północno-europejskimi oraz krajami śródziemnomorskimi w połowie drugiego tysiąclecia przed Chr. Omawia on również znaleziska tego typu z Polski, z czego wynika, że początku epoki brązowej w Polsce nie można datować wcześniej aniżeli na około 1600 przed Chr. Doc. T. Reyman w artykule „Dokumentaryczne wartości odkryć w kopcu wschodnim w Rosiejowie w pow. pińczowskim” zdaje sprawę ze swych badań, które świadczą bardzo wyraźnie o ciągłości pomiędzy kulturą ceramiki sznurowej z końca epoki kamiennej a kulturą trzciniecką z epoki brązowej. Uzupełnieniem niejako tego artykułu jest artykuł prof. K. Jażdżewskiego „O zagadnieniu początków kultury łużyckiej”, w którym autor wykazuje, że kultura łużycka na ziemiach polskich pochodzi genetycznie z kultury trzcinieckiej. Oba te artykuły, łącznie z artykułem prof. Childe'a, rzucają zupełnie nowe światło na cały okres przejściowy pomiędzy epoką kamienną i epoką brązową. Na ich podstawie bardzo wyraźnie występuje ciągłość osadnictwa ziem polskich od neolitu aż do pojawienia się kultury łużyckiej.

Zagadnienie upadku kultury łużyckiej w czasach około 500 przed Chr. omówione zostało w moim artykule, zaś prof. J. Filip (Praga) stwierdza na podstawie materiału archeologicznego, że najazd celtycki w okresie lateńskim na ziemię czeskie i na Śląsk, zajęte wówczas przez ludność kultury łu-

życkiej, miał charakter wyraźnie wojskowy. Celtowie stworzyli wówczas tylko cienką warstwę górną nad podbitą ludnością. W następnym z kolei artykule B. Svoboda (Praga), opierając się na materiale archeologicznym, daje przegląd stosunków, jakie panowały w Czechach w okresie rzymskim.

Duża ilość prac zajmuje się zagadnieniem słowiańskim, rozważając je z punktu widzenia różnych nauk. Doc. G. Labuda w artykule „Okres „wspólnoty” słowiańskiej w świetle źródeł i tradycji historycznej” umiejscawia teren, z którego Słowianie mieli się rozejść w VI w. po Chr., na Wołyniu, co jest jednak niezgodne z danymi archeologicznymi. Natomiast naprowadzone przez doc. Labudę dane, interpretowane zgodnie z wynikami badań prehistorycznych, doskonale popierają i uzupełniają tezy prof. R. Jamki, zawarte w jego artykule „Słowianie w pierwszych wiekach naszej ery w świetle materiałów prehistorycznych, odkrytych na Śląsku i w Małopolsce”. W artykule tym prof. Jamka stara się wykazać, że terenem, z którego mogła zacząć się ekspansja słowiańska, datowana przez autora na przełom II—III w. po Chr., były ziemie, położone w pasie na północ od Karpat i Sudetów. Na Zjeździe Historyków Polskich we Wrocławiu, o którym dalej, przeciw powyższej tezie wystąpili prof. J. Kostrzewski i prof. K. Majewski. Natomiast mniej więcej ten sam punkt widzenia reprezentuje prof. T. Lehr-Spławiński, w artykule „O starożytnych Lugiach”, identyfikując tychże ze Słowianami.

W artykule „Wenetowie, nazwa i rzeczywistość historyczna”, prof. K. Tymieniecki polemizuje z prof. Lehrem-Spławińskim na temat hipotezy, że kultura łużycka jest reprezentantką nie tylko Prasłowian, lecz prawdopodobnie większego zespołu etnicznego, wspólnoty słowiańsko-celtycko-iliryskiej, oraz co do tego, że nazwa Wenetów pierwotnie obejmowała zapewne ten właśnie zespół. Bardzo słuszna jest uwaga prof. Tymienieckiego, że w zakresie nazw krajów i narodów do identyfikacji i wyciągania wniosków nie może wystarczyć sama tylko strona etymologiczna. Jeśli jednak chodzi o kulturę łużycką, względnie „wenecko-łużycką”, to twierdzenie, że jest ona odpowiednikiem wspólnoty celtycko-ilirysko-słowiańskiej, może mieć pewne uzasadnienie w materiale archeologicznym. Niektórzy uczeni, w szczególności prehistorycy angielscy, nazwą „kultura łużycka” obemuja

wszystkie kultury środkowo-europejskie z czasów około 1300—1000 przed Chr., charakteryzujące się całopalnym obrządkiem pogrzebowym¹). W tym ujęciu kultura łużycka, a względnie kultury od niej pochodne i bardzo do niej zbliżone, obejmowane łącznym terminem *Urnfield Cultures*, geograficznie zajmowałyby wielkie terytoria od środkowego Renu na zachodzie aż po Bug na wschodzie, sięgając swymi wpływami na południe aż po morze Egejskie. Być może, że właśnie ten większy zespół w swych stadiach początkowych był odpowiednikiem wspólnoty celtycko-ilirysko-słowiańskiej i że nazwa Wenetów odnosiła się pierwotnie do niego.

Prof. J. Czekanowski w artykule „Synteza slawistyczna a zagadnienie państwowości polskiej” omawia rolę Gotów na ziemiach polskich. Wedle jego przypuszczenia katastrofa państw gockich na Ukrainie, rozbitych w 375 r. przez Hunów, pociągnąć za sobą miała również upadek panowania Gotów na ziemiach polskich. Na ich miejsce miało wówczas powstać państwo lechickie, które zdołało ochronić kraj od najazdów Hunów i Awarów. Organizatorami tego państwa lechickiego mieli być jacyś epigonowie Celtów. Jednakowoż mogiły „książęce”, znane z południowych ziem polskich z IV/V w. po Chr.²), zawierające bogate inwentarze o nawiązaniach ukraińsko-gockich, przemawiają przeciw hipotezie prof. Czekanowskiego. Raczej możnaby przypuszczać, że hipotetyczne państwo lechickie było kontynuacją panowania Gotów. Upadek państwa lechickiego wiąże prof. Czekanowski z uderzeniem Karola Wielkiego na Słowian w 789 r. Fakt ten miał odbić się w tradycji narodowej jako upadek Popielidów i pojawienie się nowej dynastji Piastów, którzy zresztą zdołali skupić tylko małą część ziem dawnego państwa lechickiego.

J. Paulik (Brno) wykazuje, głównie na materiale archeologicznym Moraw i Słowacji, że wpływ najeźdźców awarskich

¹) G. V. Child e, „The Lausitz Culture”. „Antiquity” II (1928); C. F. C. Hawkes, „The Prehistoric Foundations of Europe”. London 1940. Str. 362 n.; — Patrz również: J. Boehm, „Zahlady Hallstattske Perody v Čechach”. Praga 1937. Str. 273 n.

²) W. Antoniewicz, „Archeologia Polski”, str. 190 n.; J. Kostrzewski, „Prehistoria Ziem Polskich”, str. 353 n.

na kulturę podbitej ludności słowiańskiej, wbrew rozpozna-
wszechnionym przypuszczeniom, faktycznie był znikomy.
Kultura tych Słowian rozwinęła się pod bardzo silnymi od-
działywaniami cywilizacji rzymskiej, a później bizantyjskiej.
Prof. E. Simek (Brno), opierając się na podobieństwie nazw
szczepowych, twierdzi, że pierwotne siedziby kilku szczepów
słowiańskich, z których później powstał naród czeski, znajdo-
wały się na Wołyniu. Stąd pod naporem Awarów przesunęły
się one około połowy VI w. po Chr. do Czech. Następnie arty-
kuł omawia rozwój wypadków, który doprowadził do złącze-
nia się tych szczepów w jedną całość i do wyłonienia się histo-
rycznego państwa czeskiego. Wywody autora, oparte głów-
nie na podobieństwie nazw, są zupełnie nieprzekonywujące
i brak im całkowicie poparcia w materiale archeologicznym.
Zresztą sam autor w tymże artykule na innym miejscu stwier-
dza, że już w V, a może nawet i w IV w. po Chr. mamy niewąt-
pliwe ślady słowiańskiej ludności w Czechach, Jak te dwa
fakty pogodzić, tego autor nigdzie nie wyjaśnia.

Większość pozostałych artykułów poświęcona jest cha-
rakterystyce i datowaniu różnych znalezisk z dziedziny kul-
tury materialnej z ziem polskich i Czechosłowacji z okresu
wczesno-histerycznego. Prof. J. Eisner (Praga) stwierdza,
że wczesno-histeryczne wyroby żelazne z Czechosłowacji po-
chodzą przeważnie z miejscowych pracowni kowalskich,
a tylko nieznaczna ilość jest obcego pochodzenia. Bardzo
ciekawy jest artykuł J. Neustupnego (Praga). Omawiając
wczesno-histeryczną ceramikę z ziem zachodnio-słowiań-
skich wykazuje on, że w okresie około V—VII w. po Chr. rzeka
Łaba stanowiła wyraźną granicę pomiędzy cywilizacją me-
rowingską z jednej, a cywilizacją słowiańską z drugiej strony.
Między nimi obu istniały jednak dawno zadzierzgnięte stosun-
ki, a jednym z ich przykładów jest specjalna forma ceramicz-
na, znana w kilku odmianach z terenu słowiańskiego. Po-
wstała ona pod wyraźnym wpływem merowingskim i spo-
tyka się ją tylko na ziemiach zachodnio-słowiańskich, nato-
miast brak jej jest na Słowiańszczyźnie wschodniej i połud-
niowej. I. Borkowsky (Praga) publikuje niewielkie cmenta-
rzysko z IX—X w. po Chr., odkryte w Pradze w 1936 r. Za-
wierało ono groby bogatych kupców obcego pochodzenia,
co potwierdza relacje kronikarskie o istnieniu w Pradze
w X—XI w. kantorów kupców zagranicznych. J. Turek
(Praga) w dłuższym artykule zestawia czeskie znaleziska mo-

net z X—XI w. na grodach, w grobach i w naczyniach glinianych, które umożliwiają ustalenie chronologii zabytków wczesno-historycznych. L. Krasowska (Bratysława), omawiając ozdoby wczesno-historyczne ze Słowacji, wyróżnia wyroby miejscowe i importy bizantyjskie. Z. Rajewski zajmuje się sześciu składanymi sierpami z ornamentowanymi pochwami, znanymi z zachodniej Polski, i zwraca uwagę na ich bardzo charakterystyczny ornament. B. Kostrzewski wykazuje bezpodstawność twierdzeń niemieckich uczonych, jakoby ornament figuralny, znajdujący na niektórych wyrobach ceramicznych i innych zabytkach polskich okresu wczesno-historycznego, był świadectwem tradycji wikingских. W. Hołubowicz omawia znaczenie znaków rodowych i innych, spotykanych na przedmiotach z XI—XIV w., wykpanych na Górze Zamkowej w Grodnie.

Zagadnieniem dróg handlowych zajmuje się H. Arbmán (Lund), stwierdzając, że wykopaliska w Gnieźnie uwiocznily, iż pomiędzy Polską a Szwecją w okresie od połowy X w. do co najmniej XII w. musiały istnieć ożywione stosunki handlowe. Świadczą one przy tym o istnieniu ważnej drogi handlowej, którą poprzez Polskę i Bałtyk docierały do Szwecji różne importy z Rusi kijowskiej. Prof. R. Jakimowicz daje kilka uwag nad relacją Ibrahima Ibn Jakuba o Słowianach, przy czym najwięcej miejsca poświęca zagadnieniu płacideł i cen. Wskazuje na interesujące, nieduże węzłki płócienne, zawierające pewną ilość srebra, znalezione w kilku skarbach srebrnych z XI w. na Łużycach i wyraża przypuszczenie, że prawdopodobnie stoją one w jakimś związku z chusteczkami-płacidłami, wspomnianymi przez Ibrahima.

Zupełnie inne tematy poruszają pozostałe artykuły. T. J. Arne (Stockholm) w bardzo krótkim artykule uzasadnia przypuszczenie, że wspomniany przez Adama z Bremy szwedzki biskup Osmund prawdopodobnie otrzymał konsekrację z rąk prawosławnego metropolity kijowskiego. Wreszcie J. Otrębski w artykule „O pochodzeniu wyrazu kmieć” ustala istnienie czysto słowiańskiego wyrazu „kmet”, oznaczającego chłopca. Z wyrazem tym złął się z czasem zapożyczony z łaciny wyraz *comes*, powodując w języku polskim częściową zmianę znaczenia pojęcia „kmieć”.

Uczczeniu 30-toletniej pracy naukowej i popularyzatorskiej prof. Kostrzewskiego poświęcony jest również pierwszy

powojenny rocznik „Światowita”¹⁾). Rocznik XVIII wydrukowano jeszcze w 1939 r., jednak cały jego nakład został spalony przez Niemców w drukarni. Obecny, zrekonstruowany rocznik XVIII zawiera tylko kilka artykułów pierwotnego tomu, ocalałych przypadkiem w arkuszach korektowych, resztę zaś tworzą nowe prace.

Pierwszy artykuł prof. E. Bulandy „Kult bogini-matki w kulturach prehistorii i etnologii” zajmuje się rolą glinianych figurek, przedstawiających w dużej większości postacie kobiece, znanych z całego kręgu kultur z ceramiką malowaną w Polsce, na Ukrainie, w Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech, z drugiej połowy trzeciego tysiąclecia przed Chr. Prof. Bulanda, zgodnie z innymi autorami, łączy je z ustrojem matriarchalnym i rozwiniętym kultem bóstwa płodności. Następnie mgr. J. Antoniewicz omawia zabytki z powiatu sieradzkiego z dwu cmentarzysk kultury łużyckiej z okresu halsztackiego, wykazując silne wpływy południowe, widoczne na inwentarzu grobowym. Dr. J. Rosen-Przeworska zestawia zabytki okresu wczesno-lateńskiego z ziem polskich. Uważa ona fibule typu Certosa za importy handlowe z południowych Niemiec, z terenu, na którym właśnie zaczęła powstawać wczesno-lateńska kultura celtycka. Inne wczesno-lateńskie wyroby celtyckie, grupujące się wzdłuż górnej Wisły i górnej i środkowej Warty, na północ od zasięgu celtyckiego, i nieco młodsze od fibul Certosa, mają być wedle autorki śladem krótkotrwałej inwazji celtyckiej na te tereny. Twierdzeniu temu przeczy jednak zarówno sam charakter znalezisk, jak i odległość niektórych z nich od terenów, zajętych przez Celtów. Raczej należy je uważać za świadectwo kontaktów handlowych z tymi terenami. M. Gozdowski publikuje wyniki swych dorywczych badań, prowadzonych w 1936-37 r. na cmentarzysku z czasów około 500—300 przed Chr. w powiecie łowickim, zaś F. Łopieński odtwarza sposób wykonania z jednego kawałka blachy brązowej pięknego dzbana przedrzymskiego, znalezionego w Brzeziu pod Warszawą. Napis, jaki wystąpił na tym naczyniu, dziś już nie istniejącym, po umiejętnym odczyszczeniu go, i publiko-

¹⁾ „Światowit”, Rocznik Muzeum Archeologicznego im. Er. Majewskiego Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Redaktor Włodzimierz Antoniewicz. Tom XVIII za lata 1939-1945. Warszawa 1945. Str. 304.

wany w tym artykule, winien zainteresować kogoś z paleografów.

Cztery następne artykuły poświęcone są publikacji znalezisk z okresu wpływów rzymskich. Doc. S. Nosek w artykule „Nowe materiały do poznania kultury wenedzkiej” omawia nowe znaleziska, wskazujące na powiązania pomiędzy tą kulturą a poprzedzającą ją kulturą pomorską. Poza tym opisuje on kilka nowych importów rzymskich z Polski południowej. Doc. T. Reyman publikuje dwa groby z okresu rzymskiego z cmentarzyska w Opatowie, badanego w 1938 r., zaś prof. R. Jamka opisuje inwentarz bardzo bogato wyposażonego grobu wojownika konnego z drugiej połowy I w. po Chr. z Malkowic w pow. pińczowskim. W grobie tym znajdowały się również przedmioty pochodzenia celtyckiego. B. Werner opisuje grób z okresu rzymskiego z powiatu sokołowskiego, w którego inwentarzu dają się wyraźnie stwierdzić wpływy kultury leto-litewskiej.

Trzy następne artykuły zajmują się okresem wczesnohistorycznym. Na uwagę zasługuje artykuł B. Wartałowskiej „Metodyczne badania grodzisk a zagadnienie ustroju społecznego”. Autorka, omawiając typologię grodzisk, słusznie stwierdza, że przy obecnym stanie badań najbardziej pomocny jest podział grodzisk, oparty na kryteriach funkcjonalnych grodu, t. j. jego celu, przeznaczenia. Bardzo słuszną jest również konkluzja, że badanie grodzisk, opracowanie ich typologiczne, chronologiczne i kartograficzne przyczyni się do lepszego poznania genezy form społecznych, politycznych i ustrojowych, oraz że dostateczne ich zbadanie może również dostarczyć decydujących argumentów za teorią najazdową, względnie za teorią naturalnego powstania państwa polskiego. Można mieć nadzieję, że przeprowadzenie planowanych badań na najważniejszych grodach staropolskich, o czym poprzednio wspominałem, znacznie przyczyni się do rozwiązania tych zagadnień. K. Musianowicz opisuje odkryte w r. 1936 cmentarzysko z XI—XII w. w Łowiczu i omawia typologię kabłączków skroniowych. B. Buratyński publikuje materiał ceramiczny, pochodzący prawdopodobnie sprzed X w., znaleziony w Muninie koło Jarosławia.

Innego typu są dwa pozostałe artykuły. W pierwszym ks. W. Motyka opisuje zabytki, pochodzące z różnych epok, znalezione w okolicy Bochni—Gdowa—Niepołomic. Najcen-

niejsza jest publikacja dwunastu przypadkowo odkrytych ziemianek kultury ceramiki wstęgowej z Łęzkowic. Należy wspomnieć, że w powtórzonej tamże za S. Janskiem i uzupełnionej mapce znalezisk obsydianowych w Europie środkowej, brak jest znalezisk obsydianowych z Małopolski wschodniej, znanych z kilku miejscowości pomiędzy Samborem a Starym Samborem.

W ostatnim artykule, „Uwagi o organizacji prehistorii w Polsce”, prof. W. Antoniewicz wysuwa i uzasadnia projekt utworzenia Państwowego Instytutu Prehistorycznego, który by był centralnym zakładem naukowo-badawczym i skupiał wszystkich prehistoryków polskich. Następnie omawia rolę Państwowego Muzeum Archeologicznego jako jednego z działów Instytutu, oraz jego stosunek do muzeów regionalnych. W końcu podkreśla, że wobec coraz bardziej zaznaczającej się specjalizacji w zakresie trzech głównych działów prehistorii — paleolitu, epok późniejszych wraz z okresem rzymskim, okresu wczesno-historycznego — wymagających stosowania odmiennych nieraz metod i ściślejszej współpracy z innymi naukami, należy dążyć do kreowania na uniwersytetach osobnych katedr dla każdego z tych działów. Postulaty prof. Antoniewicza, będące wynikiem jego długoletniego doświadczenia jako profesora, organizatora nauki, dyrektora muzeum i przewodniczącego b. Państwowego Grona Konserwatorów Zabytków Prehistorycznych, zasługują na pełne poparcie. Realizacja ich byłaby bardzo pożyteczna dla rozwoju badań nad dziejami przedhistorycznymi ziem polskich.

Na koniec zająć się jeszcze należy kilku referatami, wygłoszonymi na Sekcji II „Dzieje Słowiańszczyzny” VII Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu¹⁾.

W referacie „Ziemie polskie w starożytności” prof. Kostrzewski rozwija tezę, że historycznie znane plemiona germańskie na ziemiach polskich można uważać wyłącznie za najeźdźców nad podbitą ludnością słowiańską. Archeologicznie jednak identyfikować dadzą się tylko Gotowie i Gepidowie, natomiast nie dało się dotąd uczynić tego w sto-

¹⁾ „Pamiętnik VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu, 19—22 września 1948”. T. I. Referaty. Warszawa, Polskie Towarzystwo Historyczne, 1948.

sunku do Burgundów i Wandalów. Równocześnie prof. Kostrzewski uważa, że nie można łączyć nazwy Wenedów z grupą oksyuską kultury grobów jamowych, ani Lugiów — z kulturą przeworską z pierwszych wieków po Chr. W następnym referacie, „Przesunięcia etniczne na ziemiach polskich w starożytności”, prof. L. Piotrowicz omawia pokrótce wszystkie starożytne źródła historyczne. Wbrew prof. Lehowi-Splawińskiemu uważa Lugiów za plemię germańskie. Popiera również tezę, że Germanie na ziemiach polskich byli tylko warstwą górną nad podbitą ludnością słowiańską. Doc. G. Labuda w referacie „Osiągnięcia i postulaty historiografii polskiej w zakresie dziejów Słowiańszczyzny Zachodniej” robi przegląd dotychczasowych prac, dotyczących Słowiańszczyzny połabskiej, oraz wylicza zagadnienia, które czekają jeszcze na opracowanie. Do wykonania tego niezbędna będzie również pomoc ze strony prehistoryków. Prof. K. Tymieniecki w referacie „Geneza państwowości polskiej” stwierdza, że legendy nie nadają się do budowania rekonstrukcji historycznych. Odpowiednią podstawą mogą być tylko współczesne źródła pisemne oraz materialne, dostarczone przez numizmatykę i archeologię wczesnodziejową. Na końcu wymienia kilka zagadnień, które należy opracować w związku z problemem genezy państwa polskiego.

Najdłuższy, a zarazem najciekawszy ze wszystkich, jest referat dra W. Hensla „Geneza państwowości polskiej w świetle badań archeologicznych”. Referent stwierdza, że formacje państwowe istniały na ziemiach polskich od czasów przedhistorycznych. Uważa również, że hipotezy o gockiej genezie państwa polskiego, a tym bardziej o wiking-skim pochodzeniu Piastów, nie mają uzasadnienia w materiale archeologicznym. W świetle tychże materiałów państwo polskie jako organizacja o szerszym zasięgu jest uchwytnie dopiero od połowy X w. Powołuje się on przy tym na swą pracę na ten temat¹⁾, której niestety brak jest w Londynie. Nie ze wszystkimi jednak twierdzeniami referenta można się zgodzić. Chcąc sobie zdać sprawę z roli plemion germańskich na ziemiach polskich, trzeba zawsze mieć przed oczyma ten obraz, jaki nam dają wiadomości historyczne

¹⁾ Witold Hensel, „Wstęp do studiów nad osadnictwem Wielkopolski wczesnohistorycznej”. Poznań 1948.

odnośnie dziejów i roli tych plemion na zachodzie Europy. Można tam wyróżnić kilka etapów, podczas których nastąpiło ostateczne zlanie się najeźdźców germańskich w jeden twór etniczny z podbitą ludnością, pomimo że pozostali oni nadal jej warstwą górną¹). Jednakowoż, gdyby brakło danych historycznych, rekonstrukcja tego procesu, opierająca się wyłącznie na materiale archeologicznym, dałaby niewątpliwie zupełnie inny obraz tych przemian. Dlatego uważam, że zabytki „rodzime” w t. zw. grobach książęcych IV w. na Śląsku bynajmniej nie świadczą o tym, że są to groby książąt „słowiańskich” rodzimego pochodzenia. Mogli oni już być „słowiańskimi”, ale jednak obcego pochodzenia. To samo dotyczy późniejszych grobów „książęcych” z V i VI w. Gocka (germańska) etymologia terminów, związanych z całą pierwotną organizacją państwową, jest faktem, nad którym nie można przejść do porządku dziennego, tym bardziej że dane archeologiczne wskazują na to samo. Oczywiście nie znaczy to, aby państwo polskie, które wyłoniło się w połowie X w., miało być w prostej linii potomkiem państw gockich (germańskich). Raczej można sobie wyobrazić, że na ziemiach polskich od chwili opanowania ich przez najeźdźców germańskich musiały niejednokrotnie zachodzić procesy — tak dobrze nam znane z czasów piastowskich — rozpadania się większych organizmów, przerywane od czasu do czasu nagłym rozrostem niektórych z nich, głównie dzięki energii wybitnych jednostek, stających na ich czele. Dlatego można powiedzieć za referentem, że dopiero przyszłe prace, wykonane przez większe zespoły pracowników naukowych, pozwolą na uzyskanie istotnego obrazu naszej zamierzchłej przeszłości.

¹) Ferdinand Lot, „La fin du monde antique et le début du Moyen Âge”, Paris, Albin Michel, 1927 (L'Évolution de l'Humanité, t. 31); tenże „Les invasions germaniques. La pénétration mutuelle du monde barbare et du monde romain”, Paris, Payot, 1939.

II. RECENZJE

„Polski Słownik Biograficzny”, tom VI (Dunin Rodryg — Firlej Henryk), Kraków, Polska Akademia Umiejętności, 1948. Str. XII + 480, 4-o.

Jedno z największych polskich przedsięwzięć naukowych przedwojennej doby, a może największe w dziedzinie historii, wydawany od 1935 r. przez Polską Akademię Umiejętności „Polski Słownik Biograficzny” — przerwane było z wybuchem wojny przy końcu litery **D** na niedokończonym **V** tomie. Wznowienie wydawnictwa niemal bezpośrednio po ustaniu okupacji niemieckiej — bo już w r. 1946 ukazały się dwa kolejne zeszyty — przynosi zaszczyt wytrwałej woli, energii w zwalczaniu ogromnych trudności i poświęceniu w służbie nauki ze strony Akademii, a w szczególności ze strony Redakcji, spoczywającej nadal — jak od samego początku — w rękach prawdziwie niezmordowanego prof. Władysława Konopczyńskiego, z pomocą dr. Kazimierza Lepszego jako sekretarza. Trudności były — o czym wspomina Redakcja — ogromne: wylomy w Komitecie Redakcyjnym przez nieobecność lub śmierć; wylomy w legionie współpracowników — około stu zabrakło; zniszczenie publicznych i prywatnych warsztatów pracy, hekatomba bibliotek i archiwów, a zapewne i dotkliwy brak środków. W tych warunkach silna musiała być pokusa, by przejść na t. zw. „system holenderski” wydawania życiorysów w miarę jak są gotowe, w każdym tomie od **A** do **Z**, z indeksami jako kluczem do takiej biograficznej *silva rerum*. Stało się dobrze, że na przekór trudnościom utrzymano układ alfabetyczny całości. Idąc w najcięższych warunkach po linii największego oporu, osiągnięto wynik bardzo pomyślny. Mamy w rękę (poza uzupełnieniem tomu **V**) cały tom **VI**, a już wyszedł pierwszy zeszyt tomu **VII**, zbliżając nas do końca litery **F**. Dokonano tego bez żadnego obniżenia poziomu naukowego dzieła, widocznych pominięć, bez poważnych luk w dokumentacji.

Tom **VI** przynosi 684 życiorysy, pióra 240 współpracowników: liczby to świadczące wymownie o ogromie pracy, dokonanej przez Redakcję, i o twórczym współdziałaniu polskiego świata naukowego, a zwłaszcza historyków w Kraju.

Tom **VI** kończy literę **D** (od Duninów do Dzwonkowskich), daje całość litery **E**, początek **F** (do Firlejów). W literze **D** wśród mnóstwa nazwisk liczbą życiorysów dominują Działyńscy, o których dużo rzeczy mało znanych mieli do powiedzenia Bodniak, Kieniewicz i in. — oraz Dzieduszyccy, gdzie dominuje Tyrowicz; świetny życiorys Waleriana Dzieduszyckiego przez Kipę sprostował i uzupełnił to, co o tym spiskowcu-patriocie pisałem przed blisko czterdziestu laty; w ciekawym życiorysie Wojciecha Dzieduszyckiego przez Kieniewicza nie całkiem jasne napomknienia o jego stanowisku wobec ewentualnego konfliktu europejskiego 1908 i 1909 r.

Z innych szczególnie interesujące życiorysy Benedykta Dybowskiego (Ludwik Bykowski), Józefa Dzierżanowskiego (Konopczyński). Brak generała Kazimierza Dzierżanowskiego (zmarł zapewne zimą 1939-40 roku w więzieniu sowieckim). Życiorys generała Karola Durskiego nie dość krytyczny, zarówno w stosunku do urzędowych stanów służby, jak w stosunku do żółtiwej plotki.

Warto zwrócić uwagę na życiorys rotmistrza Jana Dzika przez Zygmunta Lasockiego; jeszcze jedna postać niezmiernie interesująca, wydobyta przez tego niestrudzonego badacza z zupełnej niepamięci. Uderzają obce nazwiska dwóch Duererów, twórczością z Polską związanych, braci wielkiego Alberta (Bochnak i Krystyna Sinko-Popielowa), oraz Dupont'a de Nemours (Hulewicz).

Na litery E i F mamy w ogromnej przewadze nazwiska obcego pochodzenia, długi zaś katalog osób i rodzin, przesuwających się w tym tomie przed nami, świadczy wymownie o potężnej sile asymilacyjnej, jaką posiadała polskość aż do XIX w. włącznie.

Literę E otwiera współczesny nam inżynier Adam Ebenberger ze Lwowa, a zamyka uczony karaimski z XVII w., Ezra ben Nisan; wśród mnóstwa Polaków o niemieckich nazwiskach są tacy jak Gustaw Ehrenberg, autor „Hej tam w karczmie za stołem” i „Gdy naród do boju”, i Józef Esman, przywódca Związku Plebejuszów przed stu laty, i poczet Estreicherów — bardzo interesujące i bogate w treść są życiorysy wielkiego bibliografa Karola (Birkenmajer) i męczennika Oranienburga, rektora Stanisława Estreichera (Kot). Wśród cudzoziemców, którzy stali się współobywatelami naszymi, jakże niezwykła jest postać Waurzyńca Engestroema, szwedzkiego kanclerza a naszego indygeny, zmarłego jako ziemianin poznański. Czynny w Warszawie przez lat trzydzieści i zmarły w niej dyplomata saski August Essen, również polski indygena, nieszczęśliwie się tej drugiej ojczyźnie przysłużył (o obu gruntownie Konopczyński).

Wśród imion dynastów oczywiście dominują Elżbiety: ważne postacie Elżbiety Łokietkówny (Dąbrowski), Elżbiety Bośniaczki, Elżbiety Rakuszanki (Garbacik); mniej znane a ciekawe Elżbiety Ryksy, córki Przemysława II, królowej czeskiej i polskiej (Włodarski), Elżbiety Granowskiej, trzeciej żony Jagiełły (Strzelecka), Elżbiety, córki Kazimierza W., zameżnej za Bogusławem Szczecińskim, i ich córki, żony Karola IV, cesarzowej-mocarki (Pieradzka) — trudno wyliczać inne. Osobne miejsce zajmuje cesarzowa rosyjska i królowa polska, tragiczna Elżbieta Aleksiejewna, o której dużo wie Mościcki.

Warto wspomnieć Eryków pomorskich: słupskiego, króla Danii, Norwegii i Szwecji, i wologoskiego (Mitkowski).

Wśród Polaków pochodzenia żydowskiego w czasie i legendzie wysuwa się Esterka; o niej wiadomość z konieczności dość pusta. Po niej idzie z wieku i urzędu Jan Abraham Ezofowicz Rabinkowicz herbu Leliwa, podskarbi ziemski litewski i bankier królów Aleksandra i Zygmunta I; o nim rewelacyjny życiorys dał Pocięcha, jak również o jego bracie Michale.

Zastrzeżenia nasuwa notatka o poległym w powstaniu styczniowym rotmistrzu „Esterhazym”, niezidentyfikowanym dostatecznie. W tych wypadkach lepiej rzecz odłożyć do dokładnego zbadania i suplementów.

Rozpoczęta litera **F** przynosi między innymi ciekawy życiorys Felicjana Faleńskiego przez Tyrowicza — zabawne, że ten parnasista pisał za młodu, za „Wiosny Ludów” — „hymn karbonarski”. O generale Hipolicie Falkowskim pisze Skalkowski, jak zawsze z gruntowną wiedzą, ale hipoteza, że „związki wolnomularskie niewątpliwie wywarły pewien wpływ na jego karierę”, nie ma dostatecznego uzasadnienia w samej przynależności do łóż w czasach, gdy należeli do nich prawie wszyscy wybitniejsi ludzie wojskowi i cywilni.

Bardzo ciekawa rzecz Kieniewicza o Juliuszu Falkowskim. O inflancich Farenbachach dobre artykuły Herbsta. O tak bliskich nam Feldmanach, ojcu Wilhelmie i synu Józefie, świetne życiorysy Tadeusza Stanisława Grabowskiego i Lepszego przynoszą dużo wiadomości rewelacyjnych: ze wzruszeniem się czyta, jak nieodżałowany historyk Leszczyńskiego, roku 1848, Bismarcka, jako „profesor Sokołowski” wykladał na podziemnym uniwersytecie warszawskim, a w czasie powstania wydawał „Nowiny Żoliborskie”.

Na wzmiankę zasługuje życiorys arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, napisany przez mistrza portretów historycznych, biskupa Michała Godlewskiego.

Nieraz spotyka się w notatkach bibliograficznych przy poszczególnych artykułach wzmianki o zespołach źródłowych, dziś nie istniejących, z których pochodzą zapiski autora lub odpisy. Z pociechą dowiaduje się czasem czytelnik, że poodpisywano dużo. Po zagładzie głównych zespołów materiału źródłowego do okresu międzypowstaniowego i powstania styczniowego ratuje to, co wypisać zdołano, ratują też starzy badacze, którzy przez dziesiątki lat systematycznie zbierali materiały, pisarze będący sami jakby instytucjami czy zakładami badawczymi, jak autor wielu cennych życiorysów z doby powstania styczniowego, p. Justyn Sokulski. Jakąś namiastką spalonych archiwów z doby legionowej i napoleońskiej są odpisy Skalkowskiego i Pachońskiego.

Byłoby wiele jeszcze do powiedzenia o „Słowniku”, ale trzeba to do następnej odłożyć okazji, poprzestając tu na wyznaniu, że każdy jego zeszyt otwiera się ze wzruszeniem, zamyka z wdzięcznością.

Marian Kukiel

J. W. Thompson with collaboration of **B. J. Holm**. „A History of Historical Writing”. (Vol. I—II. New York, Macmillan, 1942. Str. XVI i 676 (I); X i 674 (II).

Wśród obfitej literatury historiograficznej Stanów Zjednoczonych praca powyższa wybija się zasięgiem treści na czoło, co zresztą podkreśla sam autor, pisząc bez fałszywej skromności, że „nigdzie jeszcze dotąd w żadnym języku nie ukazał się taki ogólny i ciągły przegląd, ustawiający każdego autora na ogólnym tle intelektualnym epoki i ustalający jego miejsce w rozwoju współczesnej mu historiografii”. Dzieło Thompsona obejmuje historię

dziejopisarstwa całego kręgu cywilizacji zachodniej, a czasami autor wykracza nawet poza zakreślone sobie ramy, dając np. rozdział o piśmiennictwie arabskim, perskim i mongolskim. Jednym z najpoważniejszych zarzutów, jakie można Thompsonowi postawić, jest całkowite pominięcie historiografii amerykańskiej.

Całość dzieła, w bardzo kunsztowny sposób podzielona na 15 ksiąg i 64 rozdziały, z których 15 w drugim tomie napisał prof. Holm, rozpada się naturalnie na cztery ogromne działy: starożytność, średniowiecze, renesans z reformacją i wiek XIX. Wieki XVII i XVIII rozpluwają się w tym podziale. Te cztery działy uwydatniają się głównie ze względu na pewne różnice w ujęciu tematu, bądź to będące wynikiem upodobań autora, bądź wynikające z dotychczasowego podejścia do tematu i dotychczasowej postawy badawczej jego poprzedników.

Partie poświęcone średniowieczu wydają mi się najbardziej sporne. Autor, sam wybitny mediewista, dał nam popis imponującej erudycji, ale całość wypadła zbyt „metodologicznie”. Są wprawdzie rysy ogólnego rozwoju kultury średniowiecznej, są wyczerpujące sylwetki niektórych pisarzy, lecz, niestety, zbyt typowy jest zwrot, że „oczywiście tylko ostatnia część (kroniki) przedstawia wartość”. Czasem autor niecierpliwi się tym, że każdy pisarz zaczyna od stworzenia świata, i wyrzywa mu się okrzyk irytacji „szkoda, że człowiek o takim doświadczeniu zmarnował trzy czwarte swego czasu na niezdatną kompilację poprzednich prac”, jakby nie pamiętał o tym, że średniowieczny kronikarz nie pisał historii celem dostarczenia źródeł przyszłym badaczom, lecz dla zaspokojenia potrzeb współczesnych. Zdaje się, że najlepiej uchwycił ten problem Adamus w swej rozprawie o Gallu: „może jest to choroba naszego czasu z ową historią idei, ale na pewno byłoby czymś nienaturalnym, gdybyśmy w ten sposób mieli badać nowoczesnych historyków, a tylko nie dawnych pisarzy, których świat pojęć jest nam bardziej obcy i wymaga więcej studiów”.

Z renesansem wchodzimy w nowy okres rozwoju dziejopisarstwa. W przeciwieństwie do równomiernego podziału chronologicznego działów poprzednich, przeprowadzonego mniej więcej równoległe dla wszystkich państw europejskich, autor wprowadza tu barwną mozaikę różnych prądów i poglądów, rozwijających się w jednym czasie, a nieraz w ramach jednego państwa. Punktem wyjścia jest oczywiście szczegółowy rozdział, poświęcony renesansowi włoskiemu do końca XVI w. O ile w wiekach XV i XVI historiografia włoska nadawała ton Europie, to wieki XVII i XVIII są domeną Francji. Nauki historyczne rozwijają się dwoma równoległymi torami. Okres od początków XVII aż do około połowy XVIII w. to we Francji „wiek erudycji”, początki nowoczesnej dyscypliny naukowej. Od połowy XVII do końca XVIII w. trwa „wiek rozumu”, wywodzący się od Kartezjusza, którego filozofia wywarła raczej ujemny wpływ na rozwój myślenia historycznego. Racjonalizm opierał się o osiągnięcia wielkich filozofów XVIII w. — Montesquieu, Voltaire'a, Fleury'ego, a w Anglii — Hume'a. Najwyższym wykwittem myśli racjonalistycznej jest dzieło Gibbona, jednego z największych, obok Thucydidesa, historyków, jakiego cywilizacja nasza wydała.

Z Oświeceniem historiografia niemiecka wysuwa się na plan pierwszy. Thompson, jak zresztą niemal wszyscy historycy amerykańscy, ma duży szacunek dla nauki niemieckiej, i wyraźnie widać, że bardziej odpowiada mu atmosfera solidnej erudycji niemieckiej niż francuskie czy angielskie osiągnięcia. Podkreślić to trzeba i z tego względu, że na ogół traktuje on sprawy angielskie z pewnym ciepłem i jakby uczuciem patriotycznej dumy.

W dziale poświęconym w. XIX obok rozdziałów ogólnych mamy także specjalną księgę o historykach instytucji z raczej sarkastycznym rozdziałem o „historykach dziejów gospodarczych i społecznych”, oraz z bardzo ciekawym rozdziałem o szkole pozytywistycznej. Dalej idą księgi o studiach nad historią starożytną, bizantyjską i historią religii.

Tyle w najogólniejszym zarysie o wielkich prądach w historiografii europejskiej. Prądy te reprezentują u Thompsona przede wszystkim pisarze angielscy, francuscy i niemieccy. T. zw. małe narody dla średniowiecza i w. XIX otrzymały rozdziały zbiorowe, dla okresu od XVI do XVIII w. Thompson nie wydzielił podobnych rozdziałów, a tylko podoczeptał odpowiednie paragrafy do rozdziałów ogólniejszych.

Spośród tych „małych narodów” najlepiej, obok hiszpańskiej, opracowana jest, jak zwykle, historiografia czeska. Rosja świeci ogromną luką od końca średniowiecza aż do początków XVIII w. Bizantynologii rosyjskiej autor nie szczędzi ogólnikowych pochwał, ale oprócz kilku nazwisk nic nie daje. Niezbyt szczęśliwym pomysłem jest doczepienie do historiografii rosyjskiej ustępu, poświęconego teorii materializmu dziejowego. Ponieważ „marksiści są bardzo płodni w teorie, a jałowi w praktyce” i „jak dotąd napisali tak mało historii, że sprawdzenie ich teorii jest niemożliwością”, Thompson ogranicza się tylko do krótkiej charakterystyki założeń teoretycznych.

Polska historiografia średniowieczna zaczyna się oczywiście od nazwiska Gallusa i poprzez Kadłubka, „z którego Polacy są absurdalnie dumni”, dochodzi do Marcina Polaka i „omijając różne jałowe roczniki”, kończy się na Długoszu, „być może największym nazwisku w historiografii polskiej”. Z Długoszem powtarza się historia bizantynologii rosyjskiej: wielkimi słowami autor daje czytelnikowi odczuć swoje wielkie uznanie i całkowitą bezradność. Z drugiej strony, niespodzianką jest spora ilość wzmianek o mało u nas znanym Marcinie Polaku, dominikaninie, kapelanie papieskim i wreszcie arcybiskupie gnieźnieńskim (którego polskość jest zresztą przez niektórych uczonych, także i polskich, podawana w wątpliwość). Jego „Cronica summorum pontificum et imperatorum” była „best-sellerem swego czasu, rodzajem średniowiecznego H. G. Wellsa . . . i była jedną z pierwszych książek drukowanych; tłumaczono ją też na czeski, niemiecki i włoski”. Pustkę między Długoszem a Lelewelem wypełnia tylko trzywierszowa wzmianka o Kromerze. Ustęp o historiografii XIX w., sumaryczny, nie odbiega na ogół od paragrafów, poświęconych innym „małym narodom”, choć wypada znacznie słabiej niż np. opracowanie historiografii czeskiej. Niestety, nie można tu winić autora, który mimo swych sympatii i antypatii może być jednak uważany za wzór obiektywizmu. Raczej należy wyrazić życzenie, by znalazł się uczyony, który by przez porządne opracowanie na-

szej historiografii oddał nam tę usługę, jaką Luetzow wyświadczył Czechom niemal przed półwieczem.

Dzieło na tak ogromną miarę zakrojone nie ustrzegło się licznych błędów i pomyłek, z których kilka pozwolę sobie zacytować. Do stosunkowo nieszkodliwych, lecz pokazujących, jak masa materiału wymykała się spod kontroli autora, należy dwukrotne powtórzenie tej samej cytaty (t. II, str. 200 i 269). Do tej samej kategorii zaliczyłbym dwie na tej samej stronicy figurujące nazwy „Lwów” i „Lemberg”. Bardziej dotkliwym potknięciem jest charakterystyka „fantastycznej interpretacji stosunku między historią a wiedzą ścisłą, przedstawionej przez polskiego ekonomistę Cieszkowskiego w jego *‘Prolegomena zur Historiographie’*”. W rzeczywistości chodzi o „*Prolegomena zur Historiosophie*” Augusta Cieszkowskiego, którego poglądy ekonomiczne nie były wcale fantastyczne; tylko przytoczona w książce cytata z Cieszkowskiego pochodzi z dzieła nie ekonomicznego, ale filozoficznego. Jednym z najbardziej irytujących błędów jest bardzo ogólnikowe używanie słowa „Slavonic”, kiedy z kontekstu wynika, że chodzi o całkiem określony naród. Z rzeczy całkiem drobnych można zanotować, że hrabianka Maria Arco była żoną, a nie matką Actona i że Pasquale Villari żył w latach 1826—1917, a nie 1827—1932. Listę błędów możnaby jeszcze wydłużyć, jednak wartość dzieła mierzy się nie ilością błędów, lecz wartością tego, co pozostanie po ich eliminacji, a z tego punktu widzenia praca Thompsona, w trzech tysiącach odsyłaczy cytująca literaturę we wszystkich dosłownie językach europejskich, jeszcze długo będzie podstawą do wszelkich badań nad historiografią.

A. F. Dygnas

E. L. Woodward. „*British Historians (Britain in Pictures Series)*”. Londyn, Collins, 1943. Str. 48.

Wydawca powyższej pracy twierdzi, że daje się odczuć brak tego rodzaju popularnej syntezy historiografii angielskiej. Ponieważ i naukowe opracowanie syntetyczne tego zagadnienia tak dobrze jak nie istnieje, warto zwrócić uwagę na tę książeczkę, napisaną przez jednego z najwybitniejszych dziś historyków angielskich.

„Byłoby rzeczą przyjemną otworzyć ten przegląd stwierdzeniem pewnej wyspiarskości temperamentu, poprzez stulecia uwidaczniającej się w pracy historyków brytyjskich” — czytamy zaraz w pierwszym zdaniu. Prof. Woodward nie znajduje jednak podstaw do takiego stwierdzenia. Z tym zaprzeczeniem jakiegoś specyficznego charakteru historiografii brytyjskiej w parze idzie nieraz nawet za daleko posunięta skromność w ocenie jej światowej doniosłości.

Obok tego cennego braku szowinizmu narodowego drugą ciekawą cechą omawianej pracy jest spojrzenie na historiografię z punktu widzenia raczej czytelnika niż badacza. Dobór nazwisk jest zgoła nieortodoksyjny. Wpraw-

dzie wszyscy wielcy pisarze posiadają mistrzowskie charakterystyki, nieraz zawarte w kilku zaledwie zdaniach, to jednak szereg gwiazd drugiej wielkości został pominięty milczeniem, podczas gdy wielu mniejszych historyków, na ogół przemilczanych przez bardziej naukowe prace, znajduje tu swoje miejsce.

Obok Bede'a czy Raleigh'a, Hume'a czy Robertsona znajduje się tu miejsce i na wzmiankę o „gigantycznych rozmiarów” zbiorowej historii powszechnej, pisanej przez Szkotów pod redakcją Anglika Sale'a i Francuza Psalmanazara, czy o innej również popularyzatorskiej imprezie z przedmową Goldsmith'a, „za którą pisarz otrzymał kwotę trzech gwinei”. Przy tym wszystkim znalazło się również miejsce i na śmiałe próby przewartościowania pozycji i dorobku takich pisarzy, jak np. Gibbona czy Macaulay'a. Próba obrony atakowanego czasami autorytetu Macaulay'a, bardzo błyskotliwa i dobrze argumentowana, przekonywa bardziej niż zlekka zażenowane wywody Fishera w „The Whig Historians”, podczas gdy wysiłki zdążające do „odbrązowania” Gibbona wydają się niesprawiedliwe. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w rozwinięciu werdyktu, iż Gibbon był „nieheroiczną postacią, żyjącą w nieheroicznym wieku”, Woodward szereg ujemnych cech epoki niesłusznie przerzuca na barki jej przedstawiciela.

Książka kończy się właściwie na wieku dziewiętnastym. O naszym stuleciu, okresie specjalizacji, autor nie wiele chce mówić.

A. F. Dygnas

Dr. Aloys Ruppel. „Stanislaus Polonus, ein polnischer Fruhedrucker in Spanien”. Monachium, Oficyna Warszawska im Ausland, 1946. Str. 2nl. i 84 i 4nl i 5 wkładek.

O Stanisławie Polaku, tajemniczym drukarzu polskim, który w r. 1491 założył w Sewilli typografię razem z Niemcem Meinardem Ungutem, pisał u nas jeszcze w r. 1882 Pawiński, i od tego czasu wiedza nasza o nim, jak to widać z zestawień bibliograficznych i literatury przedmiotu, podanych w XXIX tomie Estreichera, właściwie nie posunęła się naprzód. Dlatego książka dra Ruppla, dyrektora biblioteki miejskiej i muzeum Gutenberga w Moguncji, która z fachową kompetencją a równocześnie żywo i barwnie zebrała wyniki zupełnie nieznanymi u nas badań, przede wszystkim hiszpańskich (nieznanymi nawet hispanistom, jak świadczą skąpe i niecisłe uwagi o Stanisławie Polaku w wydanej tuż przed wojną, w r. 1939, książce p. Stefani Ciesielskiej Borkowskiej „Mistycyzm hiszpański na gruncie polskim”) jest dla nas pozycją bardzo cenną.

Ani Rupplowi, ani hiszpańskim badaczom nie udało się ustalić, jak się naprawdę nazywał ten tajemniczy Polak, który wydając książki hiszpańskie nad Guadalquivirem, przy swym imieniu Stanislaus (czy — rzadziej — Ladislaus, bo i tak się podpisywał) zawsze zaznaczał swoją przynależność narodową. Wiadomo jednak na pewno, że to Polak i że użytej przezeń na

sygnetach drukarskich formy „Polonus” nie należy rozumieć jako zlatynizowanej formy jakiegoś nazwiska, raz bowiem podpisał się też jako „Stanislaus de Polonia”.

Nie wiemy też, z jakich okolic Polski pochodził. Wiadomo tylko, że Stanisław Polak i Ungut przybyli do Sewilli z Neapolu, gdzie musieli pracować w typografii Mateusza Moravusa (Morawczyka), skoro krój czcionek ich typografii jest taki sam jak typografii Moravusa. Stanisław nie był pierwszym Polakiem drukarzem w Neapolu. Już w r. 1478 był tam czynny pewien Polak, znany nam również tylko z imion Jan Adam. W źródłach występuje on jako Niemiec, „obwohl — jak stwierdza Ruppel — seine polnische Herkunft nicht bezweifelt werden kann”. Po prostu w XV wieku sztuka drukarska była uważana w świecie za sztukę niemiecką i obcego drukarza już z racji jego zawodu często uważano za Niemca.

Oficyna drukarska Stanisława Polaka i Unguta rozwinęła w Sewilli bardzo żywą działalność: do r. 1500 wydała ona co najmniej 69 inkunabułów. Nie są to pierwsze inkunabuły sewilskie (pierwszą typografię w Sewilli założono jeszcze w r. 1477), ale dla swoich wartości artystycznych są one dziś szczególnie cenne i poszukiwane.

Stanisław Polak wydawał książki w Sewilli razem z Ungutem do r. 1496, potem zaś, kiedy Ungut wraz z innym drukarzem Niemcem przeniósł się do świeżo zdobytej na Maurach Granady, gdzie założył filię typografii, pracował w Sewilli sam, jakkolwiek Ungut nominalnie pozostał współnikiem aż do r. 1499, w którym to roku zmarł. Potem, do r. 1502, pojawiają się druki typografii sewilskiej, firmowane wyłącznie nazwiskiem Stanisława Polaka. W r. 1502 pojawia się wytłoczony w typografii przekład hiszpański podróży Marca Polo, na którym jako wydawcy figurują Stanisław Polak i Niemiec, Jakob Cromberger, który współnikiem drukarni stał się w ten sposób, iż ożenił się z wdową po Ungucie. Wkrótce potem, jeszcze tego samego roku 1502, Stanisław Polak opuszcza Sewillę i zakłada filię drukarni w mieście Alcalá de Henares pod Madrytem (tym samym, w którym przyszedł na świat Cervantes). Znamy jego druki z Alcalá z lat 1502—1504. W r. 1504 tracimy go z oczu. Równocześnie w r. 1504 zaczyna Cromberger firmować druki sewilskie sam. Stanisław Polak musiał jednak żyć jeszcze przynajmniej dziesięć lat, skoro na pewnym dokumencie z r. 1514 figurują „Alanzalao de Polonia i Juan de Pamplona, drukarze z dzielnicy Św. Izydora w Sewilli”. Nie zachował się ani jeden druk, wytłoczony w tej polsko-nawarrskiej typografii.

Warto jeszcze dodać, że typografia, założona przez Stanisława Polaka i Unguta, stała się drukarnią macierzystą dla pierwszej w ogóle typografii, jaka powstała w r. 1539 na kontynencie amerykańskim, w Meksyku.

Książka Ruppla przynosi zwięzłą analizę typograficzną druków oraz omawia szczegółowo na zgrabnie podanym tle historycznym te wszystkie dane biograficzne do życia Stanisława Polaka, jakie możemy wydedukować z druków oraz z nielicznych zachowanych dokumentów. Na końcu dał autor chronologiczne zestawienie druków typografii z lat 1491—1503. „Oficyna Warszawska”, której książka ta jest szóstym powojennym drukiem „in parti-

bus infidelium", dała jej piękne wyposażenie bibliofilskie. Liczne reprodukcje, zarówno w tekście jak i na wkładkach, dobrze orientują w charakterze druków typografii sewilskiej. Wyróżnia się wśród nich reprodukcja wyjątkowo pięknej karty tytułowej wydanego w r. 1495 inkunabułu „Lilio de Medicina”.

Wiktor Weintraub

G. H. Turnbull. „Hartlib, Dury and Comenius. Gleanings from Hartlib's Papers”. Liverpool, University Press, 1947. Str. XI + 477.

Samuel Hartlib i jego wszechstronna, o europejskim zasięgu działalność na terenie Anglii stała się niemal legendą historyczną. Nazwisko tego pół-Niemca, pół-Anglika z Elbląga, jedynie pochodzeniem i sprawami rodzinnymi z Polską związanego, z wyboru i kariery życiowej obywatela Anglii, a z zainteresowań i działalności obywatela europejskiej Republica Litterarum, przewija się przez wszystkie dziedziny życia kulturalnego i religijnego Europy współczesnej, poprzez dzieje prądów myśli technicznej, gospodarczej, pedagogicznej, poprzez protokoły parlamentów i akta dyplomatyczne Anglii rewolucji i Cromwella. Pisarz i myśliciel raczej przeciętny, zdumiewa jednak swą wszechstronnością, niebывałą nawet w tym wieku, w polihistorów obfitującym. Z łatwością przerzuca się od publikacji, dotyczących spraw religijnych i politycznych, do gospodarczych i pedagogicznych, od kabały do organizacji pośrednictwa pracy, od matematyki do medycyny, od języka międzynarodowego do rolnictwa i techniki przemysłowej, od „perpetuum mobile” do ulepszonych metod pieczenia chleba. I w każdej z tych dziedzin wychwytuje istotne momenty postępu społecznego i technicznego, konkretyzując idee już przenikające społeczeństwo angielskie i europejskie sfery intelektualne, ale jeszcze nie sformułowane w jednolity program.

Hartlib był uosobieniem pasji reformatorskiej. W oparciu o filozofię Bacona i nurtującą sferę intelektualne myśl o poprawie ludzkości przez wiedzę, staje się jednym z naczelných promotorów ruchu pansoficznego w ujęciu Komenskigo. Z właściwą sobie lotnością przenosi ten program teoretyczny na płaszczyznę zagadnień społecznych, t. j. na płaszczyznę zagadnień wychowawczych, propagując idee Komenskigo. Myśl pedagogiczną konkretyzuje w śmiały plan organizacji szkolnictwa państwowego, opartego na nowych podstawach programowych i metodycznych, a ogarniającego całość ludności państwa i mającego za zadanie zaspokojenie wszystkich potrzeb kulturalnych, gospodarczych i politycznych społeczeństwa. Syn farbiarza, wnuk kupca, chwytą w tendencjach rozwojowych Anglii rewolucyjnej przewodnią nić postępu gospodarczego i technicznego, któremu daje trwałe podstawy w konkretnym i gruntownym programie szkolnictwa technicznego i organizacji badań technicznych i naukowych — w programie, wybiegającym daleko w przyszłość.

Wyznawca Bacona, ale protestant, ale wychodźca z kraju, który na tle roz-

dariej Europy wyróżniał się nie tylko tolerancją, ale — co wówczas jeszcze rzadsze — współzyciem ideowym wyznań protestanckich, przyłgnał do idei i akcji wielkiego irenisty Johna Dury, pół-Anglika, pół-Holendra, przejściowo Elblążanina, a zawsze — jak sam Hartlib — Europejczyka z protestanckim „*reservatio mentalis*”. Mieszczanin z pochodzenia, protestant z przekonania a intelektualista z powołania, widział on w rewolucji angielskiej urota do realizacji swych idei; zdołał też uzyskać wpływ na politykę Lorda Proktora jako referent międzynarodowych spraw kulturalnych i religijnych, a po trosze — jak się zdaje — jeden z asów międzynarodowego wywiadu Cromwella.

Przed wszystkim jednak z temperamentu i powołania był działaczem, organizatorem i promotorem — „*a cursitor and agent for universal objects*”, jak go trafnie określał Dury. Studia w Brzegu, w słynnym gimnazjum Melchiora Laubanusa, późniejsze studia i podróże po Europie kontynentalnej wprowadziły go w atmosferę życia intelektualnego Niemiec protestanckich, które dusząc się w ciasnocie swych zaścianków kościelnych, państwowych, szkolnych, w błędnym kole wciąż tych samych kontrowersji wyznaniowych, szukało wyjścia w mistyce i tajnych organizacjach, związanych z legendą Różokrzyżowców i humanitarną inicjatywą literacką Jana Walentego Andreae. Anglia okresu wzmagającego się protestu politycznego dała mu wiarę w potęgę inicjatywy społecznej. Stąd przewodnią w jego działalności idea zjednoczenia sił intelektualnych świata cywilizowanego (z protestanckim znowuż zastrzeżeniem), zjednoczenia, którego zadaniem byłaby nie tylko obrona praw jednostki myślącej przeciw naporowi ciemnoty, ale i organiczne zespolenie wszelkich nowych osiągnięć indywidualnych we wszystkich dziedzinach wiedzy ludzkiej. W epoce, nie znającej jeszcze prasy naukowej, głównym środkiem wymiany myśli była korespondencja — i ją właśnie chciał Hartlib uczynić podstawą swego planu, nadając jej ściśle formy organizacyjne.

Realizację tych celów widział początkowo w formie tajnej organizacji międzynarodowej; stąd jego żywy udział w związku Antilia, wywodzącym się z pism Jana Walentego Andreae, stąd usiłowania stworzenia, analogicznego ruchu na terenie Anglii, wielokrotnie nauracające po załamaniu się innych planów. Rewolucja angielska otwiera mu szerokie perspektywy jawnej działalności. Powstaje wówczas jego śmiały projekt Office of Address and Correspondencie — międzynarodowej centrali korespondencyjnoinformacyjnej do spraw nauki, religii i sztuk i technicznych, która by zarazem służyła stosunkom międzyludzkim, np. w zakresie filantropii, opieki nad uchodźcami religijnymi, poprawy obyczajów i t. d.

Mimo że Hartlib dla realizacji swego planu gotów był oddać go na usługi rewolucji, mimo silnego poparcia w sferach rządowych, projekt jego zbyt wyprzedzał epokę, by mógł być zrealizowany. A jednak Hartlib realizuje ten olbrzymi program jako jednoosobowa instytucja, wciągając w wir swej działalności świat intelektualny Anglii, Holandii, Szwecji, Niemiec — wszystko bez jakichkolwiek podstaw finansowych, w oparciu jedynie o swą nieposkromioną inicjatywę i iście niesamowitą energię. Trudno sobie wyobrazić bez niego akcję irenistyczną Dury'ego, prace Komenskigo, akcję pomo-

cy dla uchodźców religijnych z Niemiec, egzulantów czeskich, ofiar prześladowań religijnych w Polsce, dziesiątki akcji wydawniczych, kampanii oświatowych, filantropijnych i naukowych. Całość jego działalności walnie się przyczyniła do stworzenia w Anglii tego klimatu intelektualnego, z którego się zrodziło i Royal Society i masoneria brytyjska.

Nazwisko Hartliba aż nazbyt często przewija się przez literaturę i korespondencję angielską wieku XVII, dopiero jednak wydanie pamiętników jego przyjaciela i korespondenta dra Johna Worthingtona¹⁾ dało impuls do pierwszej o nim pracy biograficznej²⁾, za którą pośpieszyła nauka niemiecka, anektując Hartliba³⁾. Comeniana Kvaczali i Patery oraz badania K. Brauera i G. Westina nad działalnością irenistyczną Johna Dury wniosły tyle materiału źródłowego, że opracowanie nowego życiorysu stało się koniecznością. Pokusił się o to G. H. Turnbull⁴⁾, wyzyskując dodatkowo materiały rękopiśmienne British Museum, ale nie zdołał wyjść poza dane biograficzne i nie dał sylwety Hartliba na tle dziejów intelektualnych Europy.

Sprawę pchnęło naprzód odnalezienie zaginionej od r. 1667 korespondencji Hartliba, a raczej tej jej części, jaka ocalała po rozparcelowaniu jej przez przyjaciół po śmierci autora. Ale ta reszta — to „wiele tysięcy” listów, dokumentów i rękopisów, dających wyobrażenie o ogromie prac Hartliba. Prof. Turnbull dokonał żmudnego dzieła identyfikacji i uporządkowania tej masy dokumentów, bardzo nierównej wartości, ale w całości swej stanowiących nieocenione źródło do poznania życia intelektualnego Europy w w. XVII. W wyniku tych prac ogłosił przegląd głównych źródeł do biografii samego Hartliba i jego stosunków z Dury’em i Komenskim.

Nie jest to dzieło strawne. Treść ujęta jest z luźna w rozdziały, związane personalnie i chronologicznie, ale ich treść wewnętrzna posiada nader słabą więź tematyczną. Co więcej, autor zadawalnia się zewnętrznymi ramami faktów i zdarzeń, nie interesując się ich tłem, ni związkami przyczynowymi. Książki, dokumenty, dyskusje obchodzą autora tylko z punktu widzenia ich zewnętrznej historii — dziejów idei, starć prądów umysłowych tylko domyślać się można. Prawda, przedmowa książki z góry się zastrzega, że podaje jedynie materiał przygotowawczy. W rezultacie jednak otrzymujemy tylko „kuchnię” pracy badawczej, która rzadko kiedy jest w całości ogłaszana.

Szczególnie źle wyszły na tym polonica — choćby ze względu na brak elementarnej znajomości źródeł polskich. A jednak, jak można sądzić z porzrzuconych wzmianek, bardzo dużo i ciekawego materiału należy się spo-

1) Crossley, „The Diary and Correspondence of Dr. J. Worthington”, 3 t., Manchester 1847—1886, Chetham Society Publications, t. 13, 36, 114.

2) H. Dircks, „Biographical Memoir of Samuel Hartlib”, London 1865.

3) Fr. Althaus, „Samuel Hartlib; ein deutsch-englisches Charakterbild”, Historisches Taschenbuch, Leipzig 1884.

4) G. H. Turnbull, „Samuel Hartlib; a Sketch of his Life and his Relations to J. A. Comenius”, Oxford 1920.

dziewać w nieogłoszonej jeszcze części korespondencji informacyjnej, jaką Hartlib prowadził w interesie zjednoczenia wyznań protestanckich, no i w służbie Cromwella.

Dość ciekawe przyczynki znajdujemy tu do dziejów Kompanii Angielskiej w Elblągu i życia wewnętrznego tamtejszej gminy presbiteriańskiej. Interesujące są zwłaszcza powiązania społeczne i genealogiczne tych Merchant Adventurers, które od farbiarń elbląskich sięgają stopni tronu Stuartów. Drugie, to siła tradycji rodowej patrycjatu pruskiego, która np. Hartlibów elbląskich wiąże z rodzinnym Śląskiem i wysyła młodego Samuela na studia do gimnazjum w Brzegu.

Jeśli chodzi o rodzinę Hartliba i o jego pochodzenie, to żmudne dociekania Turnbulla byłyby niepotrzebne, gdyby zajrzał do niestrudzonego badacza reformacji polskiej Teodora Wotschke, którego rozprawka p. t. „Der Posener Kirchenpfleger Georg Hartlib” (Hist. Monatshefte fuer die Provinz Posen, 1910) obrazuje środowisko, z którego wyszedł późniejszy promotor międzynarodowej współpracy intelektualnej. Istotnie ciekawe natomiast są przyczynki do życiorysu jego brata Jerzego, najwybitniejszego bodaj rektora szkoły wileńskiej. Dowiadujemy się m. in., że pogrom wileński r. 1639 wywołał żywe echo w Anglii w postaci wydanej w r. 1642 broszurki, opisującej przejścia Jerzego Hartliba.

Stosunki Hartliba z Polską w okresie jego najczynniejszym, t. j. w okresie pobytu w Anglii, nie znajdują szerszego uwzględnienia, wyjąwszy organizację zbiorów na rzecz exulów czeskich oraz protestantów polskich, zwłaszcza delegatów Jednoty Litewskiej w r. 1660. Jak się jednak zdaje, Hartlib, utrzymując ściśle kontakty z wybitnym dyplomata Sir Thomasem Roe, zaangażowanym w sprawy polskie, oraz poprzez swych przyjaciół pruskich z dyplomacją szwedzką, musiał odegrać pewną rolę w intrygach, snujących się wokół sprawy rozejmu sztumskiego oraz projektu małżeństwa Elżbiety Palatynówny z Władysławem IV, skoro wpływowi przyjaciele planowali dlań stanowisko na dworze przyszłej królowej polskiej.

Na marginesie jednak życiorysu Hartliba wylania się nader ciekawy problem wschodniego zasięgu protestanckich organizacji tajnych, ideologicznie związanych z legendą Różokrzyżowców. Rozdział to zupełnie w historiografii polskiej nieznaną. Cała gdańska literatura „różokrzyżowa” z lat 1615—1625, skupiająca się wokół drukarni Andrzeja Huenefeld, wydawcy Comeniusa, została poza zakresem „Bibliografii” Estreichera. A szkoda. Bo przecież właśnie gdańskie wydania manifestów różokrzyżowych były podstawą przekładów angielskich, bo dziełka polemistów gdańskich i w Paryżu przedrukowywano.

Turnbull nie zdołał wyjaśnić związku ideowego ani genetycznego badanych dokumentów z inicjatywą J. V. Andreae, właściwego autora legendy, ani też nie wyszedł powiązań z ruchem irenistycznym. Niemniej, jak wynika z ogłoszonych przezeń danych, można ustalić, że jedna z pierwszych organizacji tajnych, Antilia, posiadała pewne wpływy wśród patrycjatu i inteligencji miejskiej w Gdańsku, Elblągu, Królewcu i Dorpacie. W okresie wojny 30-letniej, kiedy główny ośrodek organizacji w Niemczech (jak można przypusz-

czać, ośrodkiem tym był Rostok) uległ rozproszeniu, punkt ciężkości przeniósł się na ziemię Rzplitej. Projektowano nawet w okresie okupacji szwedzkiej przeniesienie głównej siedziby Antilii na teren Prus Królewskich.

Antilia miała m. in. na celu stworzenie wzoru idealnego społeczeństwa, realizację jednej z tych licznych utopii, wywodzących się z dydaktycznych fantazji J. V. Andreae i idei Bacona. W sprawie tej ścierały się w odłamie pruskim dwie koncepcje. Jedną reprezentował burmistrz królewiecki Jan Friedwald, który werbował ochotników na pionierów utopii gdzieś w Ameryce Północnej. Drugą wysuwał ówczesny *spiritus movens* Antilii, J. A. Poehmer, agent dyplomatyczny magistratu norymberskiego, który skłaniał się do projektu realizacji utopii w samej Europie, konkretnie na wyspie Runoe, pod protektoratem gen. Jakóba de la Gardie, czy też admirała Karola Guldenhelma. Poszukiwania miejsca dla Królestwa postępu w miniaturze trwały lat kilka i wygasły koło r. 1636 wraz z uwiędnięciem pierwotnej Antilii.

Drugie zagadnienie, jakie się wysuwa na tle książki Turnbulla, to związek akcji irenistycznej Johna Dury ze sprawami polskimi. Sam Dury, poza pięcioletnim okresem pracy na krańcach państwa polskiego, ale poza bezpośrednim zasięgiem kultury polskiej, w charakterze ministra kupców angielskich w Elblągu (1625–1630), niewiele wspólnego miał z Polską. Więcej, jego akcja ireniczna była oparta na przesłankach sprzecznych z polityką polską. Wystarczy pamiętać, że na szersze szlaki pchnął go w r. 1628 (a więc w okresie okupacji miast pruskich) polityk szwedzki, dr Jakób Godeman, zaprzęgając go do rydwanu Gustawa Adolfa, i że w r. 1630 związał go z Anglią i odtąd popierał na terenie międzynarodowym Sir Thomas Roe, b. ambasador w Polsce, którego antypolskie nastawienie i plany są znane aż nazbyt dobrze.

Z drugiej jednak strony, żadna protestancka akcja ireniczna nie mogła nie oprzeć się o tradycje reformacji polskiej. Punktem wyjścia była tu (podobnie jak dla Daniela Jabłońskiego w w. XVIII) Zgoda Sandomierska, którą i Grotius doradzał Dury'emu jako podstawę do akcji irenicznej w r. 1634 i sam Dury, niezależnie od Grotiusa, zamierzał wysunąć jako podstawę dyskusji na organizowanym wówczas a niedoszłym wszechniemieckim kongresie protestanckim. Zdaje się zresztą, że poza przeżyciami osobistymi popchnęła Dury'ego na drogi irenizmu inicjatywa, z Polski się wywodząca. W papierach Hartliba dochował się przesłany mu przez Dury rękopis p. t. „*Exhortationis summa quam pro consensu constituendo per Reformatas Ecclesias per Europam edidit pius quidam Theologus nomine Fratrum Evangelica Professionis in Regno Poloniae. Francoforti in officina Jonae Rosae. 1618*”. Rzecz jasna, że to po prostu wyciąg ze znanej broszury Bartłomieja Bythnera, pastora w Głębokim, p. t. „*Fraterna et modesta ad omnes per universam Europam reformatas ecclesias earumque pios ac fideles moderatores ac defensores, pro unanimi, in toto religionis evangelicae negotio consensu inter se constituendo exhortatio, a pio et erudito theologo, nomine fratrum evangelicae professionis in Regno Poloniae existentium, ante aliquot annos scripta, nuncque in lucem edita. Prostat Francoforti 1618*”¹⁾.

¹⁾ Estreicher, XIII, 488, mylnie podaje 1718.

A wreszcie — jak sam o tym wspominał Gustawowi Adolfowi w r. 1631 — do akcji tej zachęcili go ministrowie z Prus Królewskich i — dodajmy — mieszczañstwo elbląskie. To też już w r. 1631, planując zorganizowany nacisk moralny na protestantów niemieckich ze strony współwyznawców zagranicznych, wyznacza polskiej opinii protestanckiej miejsce w swym planie na równi z Anglią, Szwecją, Francją i Szwajcarią. Projektowana wówczas podróż propagandowa do Polski nie doszła do skutku, ale w r. 1634, w okresie przygotowań do niedoszedłego kongresu protestantów niemieckich, Dury zwrócił się o poparcie moralne do protestantów litewskich i polskich.

Zażalenie się planów Dury'ego znów zwraca uwagę kół irenistycznych na Polskę, zwłaszcza odkąd rozejm sztumdorfski usunął trudności polityczne. Co więcej, upadły wówczas nadzieje na poparcie szwedzkie wobec zwycięstwa w Szwecji skrajnie nietolerancyjnego stronnictwa luteranckiego, zdecydowanie wrogiego irenizmowi. Wreszcie, upadek wpływów starzejącego się Sir Thomasa Roe i coraz wyraźniejszy zwrot Karola I i arcybiskupa Lauda ku katolicyzującemu latitudinaryzmowi pozbawił Dury'ego podstaw politycznych w Anglii. W okresie więc kryzysu sprawy irenicznej, w r. 1639, wysunięto projekt przeniesienia ośrodka ruchu do Gdańska. Już uprzednio, w r. 1638, Hartlib proponował Gdańsk na siedzibę projektowanego kongresu uczonych dla zorganizowania zbiorowych prac pansoficznych według planu Komeńskiego. Dury jednak, nie chcąc zrywać z Anglią, odrzucił ten projekt, powołując się na trudność utrzymywania korespondencji z Gdańska i — jak można się domyślać — nadal oczekując politycznego zjednoczenia protestanckiej Europy, o co trudno by prowadzić akcję na terenie państwa katolickiego. Wybuch rewolucji, w której Dury stanął po stronie Parlamentu, zahamował zresztą na pewien czas akcję na kontynencie Europy, i sprawa Gdańska spadła z porządku dziennego.

Materiały, dotyczące Dury'ego i Komenskigo, rzucają również pewne światło i na nierozważany dotychczas aspekt Colloquium Charitativum, w którym pewne koła protestanckie podejrzewały — bodaj i słusznie — kontrminę wobec protestanckiego ruchu irenistycznego, wywodzącego się z inicjatywy Dury'ego i Jerzego Calixta. Dury sam zamyślał o konieczności oddziaływania na katolików, ale wbrew oskarżeniom o uleganie machinacjom Lauda porozumienie pojmował po prostu jako misję wśród katolików. Dlatego też duże zaniepokojenie wywołało w Anglii zbliżenie się Komenskigo z Bartłomiejem Nigrinusem, jednym z inicjatorów Colloquium toruńskiego (1643); Hartlibowi i Dury'emu sekundował ze Szwecji rajca Louis de Geer, który z ramienia królowej czuwał nad pracami pedagogicznymi Komenskigo. Zbliżające się Colloquium witano niechęcią. Podczas gdy np. protestanci litewscy naciskali na udział Komenskigo w akcji przygotowawczej i w samym zjeździe, de Geer zażądał odeń natychmiastowego przyjazdu do Szwecji, by mu ten udział uniemożliwić. Jak wiadomo, Komenski, choć niechętnie, to jednak stawiał się na kongregację w Orle i na sam zjazd w Toruniu, ale choć starał się trzymać w cieniu, udział swój przeplacił utratą opieki de Geera, a przejściowo nawet i pomocy finansowej od rządu szwedzkiego.

Inną stroną działalności Dury'ego jest jego walka z socynianizmem, któ-

rego zasady tolerancji ideowej stanowiły poważne zagrożenie dla akcji irenicznej. Dury należał też do komitetu teologów, który w r. 1652 opracował dla Izby Gmin referat o katechizmie rakowskim, wydanym wówczas przez Wilhelma Dugard.

Kontakty Dury'ego z Polską muszą być w tych latach dość żywe. Kiedy w r. 1654 Dury z ramienia sekretarza stanu Johna Thurloe rozpoczął objazd Europy w misji oficjalnie irenicznej, prof. Samuel Des Marets (Maresius) zaatakował go w liście do jakiegoś „przyjaciela polskiego”. Wybuch wojny szwedzkiej przerwał zresztą te stosunki; natomiast od r. 1656 Dury bierze żywy udział w akcji pomocy dla protestantów polskich, litewskich i czeskich, występując w ich sprawach wobec Thurloe.

Jeśli chodzi o Komenskigo, to omawiana książka przynosi istotne dane do jego stosunków z Anglią oraz w pełni naświetla postać jednego z jego współpracowników, Cypriana Kinnera. Poloniców tu niewiele, mimo że okres lesznieński jest obficie reprezentowany. Spotykamy tu przede wszystkim Andrzeja Reja, który poznał się z Hartlibem w Londynie w r. 1637, podczas swego nieudanego poselstwa, i korespondował z nim i z Dury'm. Rej opiekał się Komenskim i odwiedzał go w Lesznie, starając się o zdobycie dlań środków do życia (1640). Nic dziwnego, że śmierć Reja (3/13 lutego 1641) była ciężkim ciosem dla filozofa; na szczęście Rej przed śmiercią zdążył go polecić Bogusławowi Leszczyńskiemu.

Znana skądinąd jest opozycja przeciw pansoficznym ideom Komenskigo wśród Braci Czeskich w Polsce (Hieronim Broniewski, Mikołaj Arnold); rzecz ciekawa, że już uprzednio, w r. 1637, analogiczne zastrzeżenia ze strony uniwersytetu oxfordzkiego wywołały „Conatum Comenianorum Praeludia” i trzeba było dopiero interwencji znanego hebreisty, prof. Bythnera, by po dodatkowej ekspertyzie otrzymać zezwolenie na druk książki¹⁾.

Dodatkowe światło na znane zresztą stanowisko polityczne Komenskigo rzucają jego stosunki z sekretarzem Rakoczego Konstantym Schaumem i poparcie, jakiego udzielał rokowaniom dyplomatycznym siedmiogrodzko-szwedzkim w r. 1655. Niejedno możnaby zapewne znaleźć i we wzmiankowanych przez Thurnbulla raportach Komenskigo o sprawach polskich, śląskich, pruskich i tureckich, przesyłanych Hartlibowi do Londynu do użytku Cromwella.

Należy się spodziewać, że dalsze publikacje korespondencji Hartliba otworzą i dla badaczy polskich to nieprzebrane źródło informacji historycznych.

Marek Wajsbium

¹⁾ Turnbull, „Samuel Hartlib”, str. 29.

III. KRONIKA

— Ukazały się w Warszawie nakładem Polskiego Towarzystwa Historycznego „Pamiętnika VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu 19—22 września 1948” tom I oraz tomu II zeszyt I. Tom I przynosi referaty czterech sekcji. W pierwszej sekcji, poświęconej dziejom Śląska i Wielkiego Pomorza, referaty wygłosili: Jan Natanson-Leski „Struktura geograficzno-historyczna granicy zachodniej Polski”, Stanisław Zajączkowski „O periodyzacji dziejów ziem odzyskanych”, Kazimierz Tymieniecki „Przyczyny zahamowania ekspansji niemieckiej u schyłku średniowiecza”, Karol Górski „Problematyka historyczna Pomorza Zachodniego”, Marian Małowist „Polityka gospodarcza Zakonu Krzyżackiego w XV w.”, Stefan M. Kuczyński „Długosz wobec polskiej granicy zachodniej”, Władysław Czapliński „Wpływ reformacji i kontreformacji na stosunki narodowościowe na Śląsku”, Witold Jakubczyk „Rozwój organizacji wewnętrznej społeczeństwa polskiego w byłym zaborze pruskim, 1828—1918”, Andrzej Wojtkowski „Budzenie się świadomości narodowej Mazurów Pruskich”, Irena Pietrzak-Pawłowska „Budzenie się świadomości narodowej Mazurów Pruskich”, Henryk Wereszycki „Wpływ polityki zagranicznej Austrii i Prus na politykę polską w latach 1848—1914”, Janusz Pajewski „Główne elementy polityki zagranicznej Niemiec i Austro-Węgier w stosunku do Polski w latach 1914—1918”, Tadeusz Dobrowolski „Uwagi o średniowiecznej kulturze artystycznej Śląska”.

— W sekcji drugiej, poświęconej dziejom Słowiańszczyzny, referaty wygłosili: Józef Kostrzewski „Ziemie polskie w starożytności”, Ludwik Piotrowicz „Przesunięcia etniczne na ziemiach polskich w starożytności”, Kazimierz Majewski „Ziemie polskie w starożytności”, Gerard Labuda „Osiągnięcia i postulaty historiografii polskiej w zakresie dziejów Słowiańszczyzny zachodniej”, Kazimierz Tymieniecki „Geneza państwowości polskiej”, Witold Hensel „Geneza państwowości polskiej w świetle badań archeologicznych”, Wojciech Hejnosz „Uwagi o potrzebie badań porównawczych w dziedzinie historii praw słowiańskich”, Władysław Tomkiewicz „Stosunki kulturalne rosyjsko-polskie do końca XVIII w.”, Karol W. Zawodziński „Stosunki kulturalne rosyjsko-polskie od końca XVIII w.”, Stefan Wierczyński „Stosunki kulturalne polsko-czeskie. Czasy dawne”. — W sekcji trzeciej, poświęconej „Rewolucji 1848 r.”, znajdujemy referaty: Wisława Knapowska „Rok 1848 w Poznańskim”, Stefan Kieniewicz „Galicja w roku 1848”, Marian Tyrowicz „Śląsk w okresie rewolucyjnym, 1846—1849”, Kazimierz Popiołek „Śląsk w okresie rewolucyjnym, 1848”, Henryk Batowski „Stosunki wzajemne Polaków i innych Słowian w dobie Wiosny Ludów”, Marian Jakubiec „Stosunki wzajemne Polaków i innych Słowian w dobie Wiosny Ludów”, Adam Lewak „Emigracja polska wobec rewolucji 1848/9 r.”, Celina Bobiń-

ska „Sprawa polska w teorii i praktyce twórców naukowego socjalizmu w wieku XIX” (referat wyznawczy; kłopotliwe teksty, jak np. sławny antypolski list Engelsa do Marxa z 23 maja 1851 r. (Marx—Engels „Gesamtausgabe” III, 1, str. 206—207), przemilcza; wszystkie odnośniki nie do krytycznego wydania niemieckiego czy przekładów polskich, ale do wydania dzieł Marxa i Engelsa w przekładzie r o s y j s k i m), Józef Dutkiewicz „Przemiany historiografii francuskiej wobec 1848 r. we Francji”. — W sekcji czwartej, poświęconej genezie współczesnego państwa i społeczeństwa polskiego, znajdujemy referaty: Jan Rutkowski „Zagadnienie podziału dochodu społecznego do XVIII w.”, Witold Kula „Wielkość i podział dochodu w ustroju feudalnym”, Natalia Gąsiorowska „Górnicy w Królestwie Polskim przed uwłaszczeniem”, Stefan Ingłot „Kwestia chłopska w XIX i XX w.”, Janusz Durko „Początki ruchu socjalistycznego w Królestwie Polskim”, Kazimierz Piwarski „Geneza „Monachium””, Janusz Deresiewicz „Przebudowa gospodarcza ziem przyłączonych do Rzeszy w latach 1939—1945”, Władysław Rusiński „Położenie Polaków zatrudnionych w czasie wojny na „ziemiach włączonych””. — Zeszyt pierwszy drugiego tomu przynosi następujące referaty sekcji piątej, poświęconej „Polskiej nauce historycznej po drugiej wojnie światowej”: Stanisław Śreniowski „Zagadnienie metody badań historii ustroju Polski”, Bogusław Leśnodorski „Uwarunkowanie społeczne faktów historycznych”, Roman Lutman „Podstawy metodologiczne historiografii”, Ewa Maleczyńska „Rola kultury historycznej w dobie przebudowy ustroju społecznego”, Wanda Moszczeńska „Związki między badaniem a szerzeniem kultury historycznej”, Marian H. Serejski „Problematyka historii historiografii”, Adam Stebelski „Podstawa archiwalna historiografii polskiej po r. 1945”. — Poza tym zeszyt przynosi referaty podsekcji historii wychowania: Bogdan Suchodolski „Stosunek pedagogiki do historii wychowania”, Łukasz Kurdybacha „O nowy podział historii wychowania”, Stefan Truchim „Postulaty w zakresie badań historii szkolnictwa i wychowania w Polsce”, Henryk Barycz „Zagadnienie uniwersyteckie w Polsce w epoce Oświecenia”, Hanna Pohoska „Zmiany w położeniu społecznym nauczyciela w pierwszej połowie XIX w.”, Ignacy Szaniawski „Diesterweg i Wiosna Ludów”, Janina Ender „Sprawa oświaty ludowej na Śląsku w r. 1848”, Stanisław Świdwiński „Komunikat o pracach wykonywanych z ramienia Komisji do badań dziejów oświaty i wychowania przy ZNP”. — Wreszcie w uzupełnieniu referatów sekcji pierwszej wydrukowano w zeszycie Jana Dąbrowskiego „Szczyt natężenia niebezpieczeństwa niemieckiego w XIV w.”.

— Ukazał się z datą b. r. pod redakcją Romana Grodeckiego nowy tom, LV, wydawanego w Krakowie „Kwartalnika Historycznego”. Przynosi on następujące rozprawy: Witold Kamieniecki „O metodzie porównawczej w historii” (cytuje m. in. artykuły Adamusa i Sulimirskiego z pierwszego zeszytu „Tek”), Witold Suchodolski „Stan archiwów polskich wobec potrzeb nauki historycznej”, Antoni Rybarski „Rewindykacja i zabezpieczenie archiwaliów w latach 1945—1947”, Gerard Labuda „Projekt nowej bibliografii historii polskiej” (występuje przeciwko projektom wydawania poprawionej edycji Finkla, natomiast domaga się wznowienia bi-

bibliografii bieżącej w „Kwartalniku”, stworzenia nowego typu bibliografii podręcznej i stworzenia dwutomowego przewodnika bibliograficznego). Przeszło połowę tomu zajmuje bogaty dział recenzyj: jest ich 44, z tego 10 recenzji obcych książek. Tom przynosi również szczegółową „Kronikę naukową”. — Zeszyt 1—2 rocznika LVI „Kwartalnika”, wydany z datą b. r. pod redakcją Henryka Mościckiego i Józefa Garbacika, przynosi w dziale rozpraw Emila Kipy „Stan badań nad r. 1848 w Polsce” oraz Kazimierza Tymienieckiego „Zagadnienia gospodarcze dziejów Polski” (obszerna, obejmująca bezmała 90 stronic rozprawa, omawiająca wybrane problemy pierwszego tomu „Historii gospodarczej Polski” Jana Rutkowskiego, który nie dawno ukazał się w nowym wydaniu). Zeszyt przynosi też obszerny dział recenzji, w którym bogato reprezentowane są książki angielskie (m. in. Władysław Konopczyński pisze tu o Collingwooda „The Idea of History”, a Stefan Kieniewicz ogłasza arcyciekawą recenzję L. B. Namiera „1848. The Revolution of the Intellectuals”. Spod pióra Kieniewicza wyszła też obszerna recenzja „Aleksandra Wielopolskiego” A. M. Skałkowskiego. Poza tym w zeszycie mamy obszerny dział krótkich „Zapisek bibliograficznych”.

— Tegoroczny XXXVIII tom wydawanego w Warszawie pod redakcją Janusza Wolińskiego „Przeglądu Historycznego” poświęcony jest Wiośnie Ludów. Otwiera tom Marcelego Handelsmana fragment dzieła o Adamie Czartoryskim p. t. „Rok 1848. Przegląd zagadnień międzynarodowych”, poczem idą: Henryk Batowski „Zagadnienie roku 1848 w Słowiańszczyźnie”, Stefan Kieniewicz „Sprawa włościańska w Galicji w 1848 r.”, X. Mieczysław Żywczyński „Rząd Królestwa Kongresowego i kler katolicki w przeddzień 1848 roku”, Witold Jakóbczyk „Cieszkowski i Liga Polska”, Wisława Knapowska „Memoriał Waleriana Krasińskiego” (w sprawie polskiej, skierowany w r. 1848 przez Krasińskiego do ambasadora pruskiego w Londynie Bunsena i przesłany przez Bunsena do Berlina; tekst memoriału przedrukowano w tomie), Karol Lewicki „Lwowska legia akademicka 1848 r.”, Henryk Barycz „Bronisława Trentowskiego marzenia o katedrze uniwersyteckiej w Krakowie”, Adam Lewak „W kręgu Mickiewiczowskim 1848 r.” (na temat Mickiewicza i Margaret Fuller), Jan Baumgart „Polska bibliografia historyczna” (omawia zagadnienia przedruku Finkla, jego kontynuacji za lata 1815—1914, opracowania nowej bibliografii oraz bibliografii bieżącej). Tom uzupełnia 34 recenzje, przeważnie z obcych książek.

— Ukazał się w Warszawie z datą b. r. pod redakcją Witolda Suchodolskiego i Piotra Bańkowskiego pierwszy powojenny, a XVII ogólnego zbioru, tom „Archeionu”. Tom otwiera seria niepodpisanych krótkich charakterystyk pośmiertnych „Pamięci tych, co odeszli”. Osobne obszerniejsze studium pióra Jadwigi Karwasińskiej poświęcono zmarłemu w Oświęcimiu dyrektorowi Archiwum Głównego, Józefowi Siemieńskiemu. Tematy ogólne omawiają w tomie Witold Suchodolski („Archiwa wobec dzisiejszej problematyki badań historycznych”) i Kazimierz Konarski („Nowe zadania polskiej archiwistyki”). Suchodolski dostarczył tu również obszernego artykułu „Archiwa polskie za okupacji (1939—1945)”. Poza tym tom przynosi następujące artykuły: Kazimierz Kaczmarczyk „Archiwum państwowe w Po-

znaniu w czasie okupacji niemieckiej", Tadeusz Kupczyński „Archiwum Elbląskie”, Piotr Bańkowski „Archiwum kameralne i jego losy”, Piotr Bańkowski „Najstarszy nieznany inwentarz Archiwum Koronnego z roku 1740”, Adam Wolff „Archiwalne karty inwentarzowe”. W dziale recenzji i sprawozdań Adam Stebelski omówił powojenne publikacje polskie, dotyczące archiwów, a Aleksy Bachulski — nowsze publikacje sowieckiej literatury archiwalnej.

— Pierwszy zeszyt tegorocznego, XVII, tomu poznańskich „Roczników Historycznych” (redagują Kazimierz Tymieniecki i Zygmunt Wojciechowski) otwiera obszerna rozprawa Kazimierza Myślińskiego „Polska a Pomorze Zachodnie po śmierci Krzywoustego”, poczem idą Hanny Matuszewskiej „Początki Gdańska” (od r. 997 do XIII w. włącznie), Władysława Czaplińskiego „Władysław IV (próba charakterystyki)” (zgodnie z J. G. Krajewskim a wbrew Czermakowi i Konopczyńskiemu charakteryzuje króla surowo) i Janusza Pajewskiego „Z dziejów niemieckiej myśli politycznej” (o planach t. zw. „Mitteleuropą” w niemieckiej literaturze politycznej z lat 1871—1914). Zeszyt uzupełniają drobne prace i materiały oraz recenzje.

— Ukazał się świeżo w Krakowie z wyjątkiem dwóch ostatnich arkuszy złożony jeszcze przed wojną tom IX—X za lata 1937—39 wydawanej pod redakcją Stanisława Kota „Reformacji w Polsce”. Przynosi on następujące rozprawy: Jean Moreau-Reibel „Sto lat podróży różnowierców polskich do Francji”, A. Kawecka-Gryczowa „Jakób Sylvius a rozłam w zborze małopolskim”, ks. Andrzej Wańtuła „Ks. Jerzy Trzanowski — słowacki Luter”, Władysław Eugeniusz Czapliński „Eliasz Arciszewski młodszy, pułkownik i dworzanin królewski”, Marek Wajsbłum „Ex registro arianismi” (obszerne, bo obejmujące przeszło 300 stron studium o procesach przeciwko Braciom Polskim w XVII w.; część pierwsza studium ukazała się w poprzednim tomie „Reformacji”), Wiktor Weintraub „Staropolski przekład Bunyana”. Poza tym tom przynosi obszerny dział „Materiałów” oraz 15 recenzji i nekrolog Karola Voelkera pióra Jakuba Glassa.

— Zeszyt za rok 1946 „Sprawozdań z posiedzeń Wydziału II” Towarzystwa Naukowego Warszawskiego przynosi streszczenia następujących prac historycznych: Waclaw Borowy „Anglo-Polonica. Wiadomość o niedokończonych pracach i zniszczonych materiałach” (przynosi m. in. bibliografię 20 studiów Borowego o stosunkach polsko-angielskich politycznych, kulturalnych i gospodarczych, z których większość poświęcona jest w. XVI, oraz informacje o zebranych a nieopracowanych materiałach, które spłonęły w Warszawie w 1944 r.), Witold Kamieniecki „Społeczeństwo litewskie w XV wieku”, Eugeniusz Szwankowski „Gospodarka finansowa Warszawy w czasach Królestwa Kongresowego, 1815—1930”, X. Franciszek Sokołowski „Propaganda polityczna w Grecji w okresie upadku niepodległości”, Jakub Sawicki „Prolegomena do Synodyku Kościoła Polskiego”, Edward Bronisław Sydow „Korespondencja Fryderyka Chopina” (o przygotowanym nowym wydaniu krytycznym korespondencji, które przyniesie m. in. 28 listów nie zamieszczonych w poprzednich wydaniach), E. B. Sydow „Chopin. Bibliografia — Ikografia”, Władysław Konopczyński „Historyka”. — Poza tym znajdujemy

w zeszycie streszczenia dziesięciu prac, przedstawionych na posiedzeniach Komisji Historii Kultury i Sztuki.

— Ukazał się w Poznaniu pod redakcją Jana Otrębskiego, Mikołaja Rudnickiego i Ludwika Zabrockiego pierwszy powojenny a XVIII ogólnego zbioru tom „Slavii Occidentalis” za lata 1939—1947. Przynosi on m. in. następujące rozprawy, mogące bliżej zainteresować historyków: Mikołaj Rudnicki „Okupacja niemiecka od r. 1939—45 i Instytut Zachodnio-Słowiański”, Józef Widajewicz „Ujemne opinie o Bolesławie Chrobrym” (polemizuje z sądami Małeckiego i Tymienieckiego, który nazwał Chrobrego „półbarbarzyńcą”), Jan Otrębski „Imiona pierwszej chrześcijańskiej pary książęcej w Polsce”, Gerard Labuda „Dąbrówka czy Dobraw(k)a?” („Pierwszy chrześcijański książę polski — pisał Otrębski — posiadał słowiańskie imię Mieżko, z ż; jest ono skrótem pełnego dwuczłonowego imienia na -mierz, mianowicie Kazimierz. — Chrześne imię Mieżka było Dagobert; wynika to ze skrótu Dagus (Dago) w dokumencie „Dagome iudex”; zgodnym zdaniem obu autorów imię książęcy brzmiało Dobrawa), Gerard Labuda „Powstania Słowian połabskich u schyłku X wieku”, Mikołaj Rudnicki „L’habitat primordial des Slaves après l’époque i. e.” (stawia tezę, iż tubylczość Słowian w dorzeczach Wisły i Odry należy cofnąć „przynajmniej do wieku XV—XX przed Chr.”), Stanisław Rospond „Pierwotna nazwa Szczecina a północno-zachodnia granica Polski Piastowskiej”. W tomie, przynoszącym także obszerny dział recenzji, zapowiedziano wydawanie Biblioteki czasopisma „Slavia Occidentalis”. Jako pierwszy jej tom ma się ukazać książka Mikołaja Rudnickiego „Prasłowiańszczyzna, Lechia, Polska”, jednym z dalszych tomów ma być Gerarda Labudy „Słowiańszczyzna Zachodnia w VIII—X w.”.

— Sekcja Muzealna Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie wznowiła pismo „Broń i Barwa”, które, poświęcone bronioznawstwu historycznemu i munduroznawstwu, wychodziło w Warszawie jako miesięcznik od r. 1934 aż do wojny — pod redakcją W. Dziewanowskiego. Pismo, odbijane na powielaczu w 100 egzemplarzach, będzie wychodziło w nieregularnych odstępach; w wypadkach, gdy zajdzie potrzeba zaznaczenia barw, ilustracje będą kolorowane ręcznie. — Ukazał się zeszyt pierwszy pisma, zawierający J. Węsierskiego uwagi wstępne, S. Meyera wspomnienie pośmiertne o płk. Br. Gembarzewskim, W. Dziewanowskiego artykuł o polskich hełmach wczesnośredniowiecznych oraz pierwszą część pracy J. Kozłubskiego o Legii Nadwiślańskiej. — Zeszyt drugi jest obecnie w opracowaniu i powinien się ukazać w styczniu.

— Zeszyt 67 z kwietnia b. r. wydawanego w Londynie pod redakcją W. J. Rose’a „The Slavonic and East European Review” przynosi m. in. następujące polonica: M. K. Dziewanowski „1848 and the Hotel Lambert” (przekład studium, ogłoszonego pierwotnie w „Kulturze”), Kazimierz Popiołek „1848 in Silesia. I. Prussian Silesia”, Franciszek Popiołek „1848 in Silesia. II. The Duchy of Teschen”, Stanisław Westfal „The Genitives: „Londynu’, „Glasgowa’ and „Edynburga’ in Modern Polish”. Poza tym w zeszycie recenzje z książek polskich pióra G. Nandrisza, W. J. Rose’a i W. Weintrauba.

— Wydawany Przez University of Colorado w USA „Journal of Central European Affairs” przynosi w zeszycie kwietniowym z b. r. (vol. VIII, Nr. 1) Władysława Konopczyńskiego „England and the First Partition of Poland” oraz M. K. Dziewanowskiego „Herzen, Bakunin and the Polish Insurrection of 1863”. Poza tym w zeszycie recenzje z powojennych książek Zygmunta Wojciechowskiego pióra Oskara Haleckiego.

Sprawozdanie Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii za okres od 30. XI. 1947 do 30. XI. 1948.

Ilość członków Towarzystwa w roku sprawozdawczym wynosiła 113, o 43 mniej niż w roku poprzednim. Ilość członków zmniejszyła się z powodu wyjazdu wielu osób poza granice Wielkiej Brytanii.

Towarzystwo zorganizowało w okresie sprawozdawczym czternaście odczytów publicznych:

18 grudnia 1947 r. prof. H. Paszkiewicz „Problem powstania państwa polskiego w X w. w świetle najnowszej literatury historycznej”;

16 stycznia 1948 r. — dr. E. Oppman „Kongres Wiedeński w świetle najnowszej literatury”;

30 stycznia — prof. T. Sulimirski „Problem małżeństw mieszanych polsko-brytyjskich. Dotychczasowe wyniki ankiety Sekcji Socjologicznej”;

26 lutego — ppłk. W. Dziewanowski „O najazdach Mongołów”;

18 marca — gen. M. Kukiel „W przede dniu Wiosny Ludów. Wojna poetów”;

1 kwietnia — ppłk. J. Kozolubski „Numizmatyczne przyczynki do historii królów Baktrii”;

15 kwietnia — prof. M. Heitzman „Colingwooda teoria poznania historycznego”;

25 maja — mgr. P. Zaremba „Wpływ wojny secesyjnej na kształtowanie się narodu amerykańskiego”;

22 czerwca — prof. M. Heitzman „Zagadnienie relatywizmu historycznego”;

13 lipca — gen. M. Kukiel „Kilka uwag nad życiem Aleksandra Wielopolskiego”;

10 sierpnia — doc. J. Adamus „Sprawa św. Stanisława w świetle najnowszych badań”;

28 września — dr. M. Wajsblum „Z dziejów protestanckich organizacji tajnych w Polsce XVII w.”;

19 października — prof. M. Heitzman „Bertrand Russell jako historyk filozofii i socjolog”;

17 listopada — prof. W. Lednicki „Tematy rosyjskie w poezji Słowackiego”.

Odczyt prof. Sulimirskiego zorganizowany był przez Sekcję Socjologiczną, a ppłk. Kozolubskiego — przez Sekcję Muzealną. Przeciętna frekwencja na odczytach wynosiła 50 osób.

W ciągu roku sprawozdawczego wyszły trzy zeszyty „Tek Historycznych”.

Sekcja Socjologiczna powstała w r. 1947 pod przewodnictwem prof. T. Sulimirskiego. Liczy około 20 członków. W ciągu roku sprawozdawczego odbyła ona dwa posiedzenia wewnętrzne, na których omówiono

program działalności i rozdział prac nad wynikami ankiety. Ponadto Sekcja zorganizowała wyżej wspomniany odczyt publiczny.

Sekcja Muzealna powstała w b. r. pod przewodnictwem płk. Węsierskiego. Liczy 12 członków. Sekcja wznowiła wydawanie dawnego pisma Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum Wojska w Warszawie „Broń i Barwa” oraz powieliła książkę B. Gembarzewskiego „Rodowody pułków polskich”. Odbyła ona trzy zebrania dyskusyjne w dn. 20 lipca, 5 września i 4 listopada oraz zorganizowała wspomniany wyżej odczyt publiczny. Członkowie Sekcji ofiarowali do Muzeum Sił Zbrojnych ok. 20 eksponatów i książek.

Sekcja Humanistyczna powstała w b. r. pod przewodnictwem prof. W. Folkierskiego. Zorganizowała ona trzy zebrania wewnętrzne. Na pierwszym, inauguracyjnym, dnia 25 czerwca, prof. W. Folkierski podzielił się z zebranymi swymi wrażeniami z Międzynarodowego Kongresu Historyków Literatury, który się odbył w Paryżu w kwietniu b. r. Dn. 26 października dr. K. Lanckorońska wygłosiła odczyt „Twórczość Michała Anioła w jego ostatnich dziełach plastycznych i poetyckich”, a dn. 23 listopada dr. J. Pietrkiewicz mówił na temat „Zbieżność techniki poetyckiej. C. K. Norwid — C. M. Hopkins”.

Sekretarz Towarzystwa

Halina Heitzmanowa

IV. RÉSUMÉS

MARIAN HEITZMAN. Collingwood's Theory of Historical Knowledge.

The author analyses Collingwood's theory of historical knowledge as stated in part V of his „The Idea of History”. He thinks that one should distinguish between the two different sides of Collingwood's exposition. On the one hand we have a description of the process of historical thinking. It is deep and sometimes brilliant. It is characterised by a profusion of thoughts and penetrating remarks of lasting value. On the other there is an attempt to explain that process. This attempt the author considers to have failed and tries to show that it will not bear critical examination, the blame for this being attributed to some extent to the idealism of Hegel under whose influence Collingwood evolved his theory.

TADEUSZ SULIMIRSKI. Post-war Archaeological Literature in Poland

The author makes a review of the books, pamphlets and periodicals dealing with archaeology of Poland and other, mainly Slavonic, lands published in Poland in the post-war period. A similar review by the same author is soon to appear in one of the English archaeological periodicals.

KOMITET REDAKCYJNY:

*Leon Koczy, Marian Kukiel,
Edmund Oppman, Henryk Paszkiewicz,
Tadeusz Sulimirski.*

REDAKTOR: *Otton Laskowski.*

ZASTĘPCA REDAKTORA I SEKRETARZ REDAKCJI: *Wiktor Weintraub.*

Cena zeszytu: 3 sh.

Prenumerata roczna 12 sh.

**Adres Redakcji: Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii,
c/o 20, Princes Gate, London S. W. 7.**

Price 3 sh.

Annual Postal Subscription Rate 12 sh.

**Orders, with remittance, should be sent to POLISH HISTORICAL
SOCIETY, c/o 20, Princes Gate, London S. W. 7.**

**Printed by: The Montgomeryshire Printing and Stationery Co., Ltd., Newtown,
Mid-Wales.**